

34423

Jednostka i Ogół

Odbito czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

<http://rcin.org.pl>

Wacław Nałkowski

Jednostka i Ogół

szkice i krytyki psycho-społeczne.

Πόλεμος πατήρ πάντων.

Heraklit.

Kraków 1904

Nakładem Ursyna Czatowicza.

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 0 22 69-78-773

<http://rcin.org.pl>



Historia geografii



34423

OD AUTORA.



przedmowie do mych „Szkiców geograficznych“, w której była zapowiedź pojawienia się szkiców psycho-społecznych, wyjaśniłem, jaki prąd skłonił mnie do wkroczenia z pola geograficznego na społeczne; wyjaśniłem genezę niniejszych „Szkiców“. Prąd ten, tamowany codzienną pracą zawodowo-naukową, wybuchał od czasu do czasu, zwłaszcza pod wpływem przeciwnych mu objawów społecznych, wrywał się, choć drobnymi, przerywanymi strumieniami, poprzez naciskającą go tamę.

Tak powstały w różnych czasach te drobiazgi (drukowane w różnych pismach postępowych), które obecnie czytelnik ma przed sobą, zgromadzone w jedną całość, spojone jedną wspólną nicią ideową. Są to wszystko niby drobne poruszenia skrępowanego organizmu, dające słabe tylko pojęcie o jego pragnieniach i zamiarach.

W fizyce istnieją liczne przyrządy, które dla ułatwienia obserwacji są tak zbudowane, aby mogły najdrobniejsze ruchy wyrażać wielkimi; w ustrojach społecznych odwrotnie: są przyrządy, i to bardzo liczne, służące do zamieniania wielkich ruchów — drobnymi.

Treść niniejszych szkiców jest najrozmaitsza odpowiednio do faktów literackich i życiowych, jakie się przeciwstawiły na drodze pełnego walk życia. Wszystkie one jednak są atakowane z jednej pozycji, traktowane z jednego punktu widzenia — z „jednego“,

lecz nie z jednostronnego; owszem, jak sędzę, z syntezy: uwzględniającego zarówno „jednostkę“ jak „ogół“. Przytem muszę tu dodać, że w mojem pojęciu jednostka jest celem, społeczeństwo tylko środkiem; nie jednostka istnieje dla społeczeństwa, lecz społeczeństwo dla jednostki. Nie należy zbyt rozrzutnie szafować życiem jednostki dla celów społecznych (i to jeszcze często fałszywie stawianych): jednostka, czująca i myśląca, to materiał zbyt drogi; no i jedyny!

Gotów tutaj ktoś postawić znów tani i banalny zarzut, że takie drobne prace mają znaczenie tylko chwilowe i nie powinny być wskrzeszane w osobnej książce¹⁾.

Nie sędzę, aby w danym razie tak było: prace te, choć drobne, traktują o zjawiskach typowych, wyrazach współczesnej fazy kulturalnej; a faza ta nie skończyła się jeszcze bynajmniej, więc i prace te nie utraciły dotąd na znaczeniu. A nawet i wtedy, gdy faza ta, gniotąca ludzkość jak straszna zmora, wysysająca jej krew, jak wampir, zapadnie w otchłań przeszłości, drobne te „szkice“ zachowają znaczenie historyczne — dla przyszłego historyka naszej umysłowości i naszego życia. Zestawienie ich w jedną całość nietylko ułatwi mechanicznie ich odszukanie, ale, przez ich zogniskowanie, rzuci jaskrawsze światło na to, co one oświetlić miały na celu, a co starannie bywa zaciemniane.

Warszawa w grudniu 1902 roku.

1) Porównaj artykuł „Dzikie pretensye“ w tym zbiorze.

Natura i siła.¹⁾



Od czasów najdawniejszych aż do dni naszych — od Dyogenesa do Tołstoja, dusze subtelniejsze, umysły wyższe, krytyczne, uginające się pod brzemieniem uczuć i myśli, odczuwające i rozumiejące wadliwość współczesnego im społecznego ustroju, współczesnego stadyum cywilizacji, ulegały, w części na podstawie swego osobistego instynktu zachowawczego, w części na podstawie hyperkrytycznego rozumowania, „wylewającego dziecko wraz z kąpielą“ — popędowi do zrzucenia bolesnego brzemienia myśli, zerwania gniotących więzów cywilizacji — popędowi do powrotu ku naturze, instynktom, pierwotności, prostocie.

Popęd ten, z którego korzystali nieraz ludzie w cywilizacji zapóźnieni lub, co gorsza, szalbierze, by we własnym interesie powstrzymać rozwój ludzkości, wyraził się powielekroć w systematach filozoficzno-społecznych lub utworach artystycznych i to w różnych formach odpowiednio do charakteru twórców: w formie fanatycznego ascetyzmu Savonaroli — demokratycznego idyllizmu Rousseau'a — arystokratycznego estetyzmu Ruskina — brutalnego dynamizmu Nietzschego — prostaczego ascetyzmu Tołstoja.

Cokolwiekby można było powiedzieć o pozytywnej stronie tych pomysłów, wszystkie one, mimo

¹⁾ Prawda 1893.

znacznych różnic między sobą, mają jedną cechę wspólną, a zarazem zasługę — mianowicie krytykę danego stadyum kultury, dającą impuls do reform.

Ze wszystkich wyżej przytoczonych myślicieli-działaczy najwybitniejszym, a przynajmniej najbardziej typowym i wpływowym przedstawicielem idei „powrotu do natury“ był bezwątpienia Rousseau, który opracował swój system w sposób najbardziej skończony i wszechstronny, przeciwstawiając go wiekowi oświecenia, ideom encyklopedystów.

Idee Rousseau'a nie zdołały jednak cofnąć ludzkości do stanu natury, zburzyć cywilizacji; przeciwnie: w paroksyzmie rewolucyi francuskiej otrząsnęła się ona z wytkniętych jej wad, złożyła należną daninę uczuciu (romantyzm) i szła dalej po drodze ewolucyi, do czego krytycyzm Rousseau'a i jego pomysły, złagodzone, zmodyfikowane, znacznie się przyczyniły. Pod parciem realnych potrzeb życia, zbyt wybujałe, wzloty uczucia zostały ściągnięte na ziemię, nastąpiła epoka przyśpieszonego rozwoju wiedzy pozytywnej, olbrzymiego wzrostu przemysłu — spotęgowania tętna kulturalnego.

I obecnie wyrosło znów nowe brzemię cywilizacji z nowymi wadami i pod ich naciskiem zaczyna znów kiełkować w tej lub innej formie, z większemi lub mniejszemi zastrzeżeniami idea powrotu do natury, do zaniedbanego uczucia. U nas ideę Rousseau'a podjął uczony przyrodnik St. Kramsztyk w końcowym rozdziale swych wybornych szkiców przyrodniczych, zatytułowanym „Człowiek i przyroda“.

P. Kramsztyk podejmuje ideę Rousseau'a, ideę powrotu do natury; a jakkolwiek uznaje, że taki po-

wrót do przyrody, jakiego choiał zagniewany na cywilizację znakomity genewczyk, jest niemożliwy („albowiem człowiek po raz drugi narodzić się nie może“), to jednak w niezwykle pięknym porównaniu podnosi zasługę Rousseau'a w tem mianowicie, że nas nawrócił ku przyrodzie *uczuciowo*, i upatruje w tem podniesienie etyczne człowieka, przeciw wagę ambicyi, oraz argument wobec tych, co w naukach przyrodniczych widzą wpływ demoralizujący, materyalizujący człowieka.

„Zdarza się — mówi autor — że dziecię skromnej lepianki, syn chaty wiejskiej, dzięki zdolnościom swoim i pomyślnemu zbiegowi okoliczności, wyrasta na pana wielkiego, staje się ministrem, biskupem; ale nieraz wśród wspaniałości i wrzawy nowego swego otoczenia, szczęścia nie znajduje; ludzie, co go otaczają, nie odczuwają tajnych serca jego porywów, nie może z nimi uczuć swych podzielić, z myśli swoich wypowiedać się przed nimi nie potrafi, czuje się obcym i osamotnionym:

Wtedy budzi się w nim tęsknota za ciszą i skromnym bytem dzieciństwa, tam szczerze i serdecznie powitają go dawni towarzysze, tam matka, choć prosta, ukoi boleści jego. W tęsknocie tej mieści się przeciwwaga dla dążeń jego ambicyi, narzuca mu ona oględność w doborze środków, które mają go do celu dowieść, staje się źródłem uczuć szlachetnych.

Podobnież i człowiek wzniosł się nad przyrodę, ale śród blasku cywilizacji nie jest szczęśliwy, samotnym czuje się nawet śród tłumu... Wyrwamy się więc ku przyrodzie, która przedstawia nam jakby minione dzieciństwo nasze, które jest dla nas naj-

droższem zawsze wspomnieniem. Rozwój świadomości jest źródłem udręczeń, więc tęsknimy do przyrody, jako nieświadomej“.

W kwestyi podjętej przez autora *Szkiców przyrodniczych* pozwolimy tu sobie rozwinąć parę własnych poglądów.

Naprzód, twierdząc, że powrót do natury w duchu Rousseau'a jest niemożliwy, choć upragniony, winni jesteśmy *postawienia na to dowodu*; otóż sądzimy, że dowód taki tkwi w zasadzie walki o byt, jako w czynniku rozwoju, cywilizacyi, oddalania się od natury. Ludy natury giną w walce o byt z ludami cywilizacyi, powrót więc pewnego ludu do stanu natury byłby dlań wyrokiem zagłady; powrót zaś całej ludzkości na łono natury byłby tylko nowem rozpoczęciem tej samej gry, którą ludzkość zaczęła już od wieków: wśród tej ludzkości powróconej na łono natury wywiązałaby się walka o byt, która zaczęłaby ją znowu oddalać od stanu natury po raz przebytej już drodze cywilizacyi.

Co do walki z twierdzeniem, że *nauki przyrodnicze znoszą cześć dla ideału, wiodą do egoizmu, materializują człowieka* i t. d., to sądzimy, że jest ono dość niedorzeczne, aby warto było z niem walczyć. Wszelka praca naukowa jest zawsze przetwarzaniem energii życiowej z cielesnej na duchową, zwraca ona człowieka od zewnątrz ku wnętrzu, uduchawia go; ci więc pracownicy myśli, którym praca spędza krew z policzków i wysusza tłuszcz podskórny, są prawdziwymi duchownymi; nie ci, którzy wymyślają na materializujący wpływ nauki, a sami żyją jedynie najgrubszymi popędami ciała.

Co się tyczy *tęsknoty do natury*, to bynajmniej nie zaprzeczamy faktu jej istnienia wśród ludzi; nie zaprzeczamy, że każda lepsza, wyżej uorganizowana, jednostka doświadcza jej w pewnych chwilach życia, lecz *geneza tej tęsknoty i wartość jej ze stanowiska społeczno-ewolucyjnego* przedstawia nam się nieco inaczej, niż autorowi. Mimo całego uroku tej tęsknoty, który znalazł tak piękny wyraz w przytoczonych wyżej słowach, nie możemy jej uważać za *plus* w rozwoju ludzkości, za jej ideał.

*Tęsknota do natury jest poprostu objawem znużenia*¹⁾; doświadczają jej jednostki wyczerpane zapasami na arenie rozwoju cywilizacyjnego, a także (co zresztą w zasadzie jest identyczne) jednostki, które, znajdując się jeszcze na niskim, mało od natury oddalonym, stadium rozwoju zostaną rzucone nagle w obcy im wir cywilizacji, która ich oszałamia i przygnębia. *Ideałem ludzkości nie jest natura lecz siła*; nie odpoczynek, nie żywot rajski na jej łonie, nie nirwana, lecz walka; spoczywać na łonie natury, idzie inwalida cywilizacji (lub zwierz zbiegły z menażeryi), silny dąży tam, gdzie najgorętszy wre bój!...

Rzeczywiście: przy *każdej formie znużenia* zawsze objawia się owa tęsknota do natury. Tęskni do niej zarówno wojownik okryty ranami, jak i człowiek przepracowany umysłowo, przefilozofowany lub też rozpustnik zużyty zmysłowo; zarówno człowiek wyczerpany orgiami ducha, jak i orgiami ciała. Ta

¹⁾ Mowa tu o tęsknocie w ściślejszym znaczeniu, t. j. ze stanowiska czysto *uczuciowego*, po za wszelkimi względami artystycznymi lub naukowymi.

tęsknota, tak pięknie przez autora przedstawiona, jest jednak w rezultacie identyczna z uczuciem tego smakosza i viveura, co długi czas objadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktyny, chartreusy, szampany; co młodość strawił wśród elegantek paryskiego półświatka... „tęskni“ on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą“ wódką, która trąci karczmą, za prostą dziewczyną wiejską (jak znowu dama wielkiego świata za zakopańskim „frajerem“).

Znużenie to niekoniecznie musi towarzyszyć cywilizacji wysokiej, albowiem jest to objaw względny, zależny od umysłowego stadium, umysłowej siły jednostki: siłacz podźwiga się dopiero ciężarem dwustofuntowym, dla dzieciaka lub charłaka wystarczy już pięćdziesięciofuntowy. Mamy na to przykład zarówno w naszej młodzieży szkolnej, która przeciążona nauką chętnie ucieka ze szkoły „na łono natury“, jak i na australczykach, botokudosach i t. d., którzy, pokończywszy gimnazya, zrzucają z siebie cywilizowaną skórę i uciekają na pustynie lub w lasy, aby tam razem ze swymi dzikimi rodakami żyć życiem włóczędzów (analogia z owym „dzieckiem chaty wiejskiej“, które stało się „panem“).

Dla uzupełnienia powyższej ilustracji „tęsknoty do natury“, zwrócimy jeszcze uwagę czytelnika na dwa blisko z nią spokrewnione objawy, mianowicie *knajpizm* i *chłopomaństwo*. Ze knajpizm jest wynikiem znużenia, wyczerpania, choroby, to naturalnie nie potrzebuje dowodzenia, a jednak jest on tylko leczniczo-realną formą idei Rousseau'a. Co do rozpowszechniającego się u nas w ostatnich czasach chłopomaństwa,

to nie mamy tu na myśli ani pedagogizmu społecznego, mającego na celu umysłowe i ekonomiczne podniesienie ludu, ani też naukowo-etnograficznego, mającego na celu naukowe zbadanie objawów życia ludowego i w ogóle życia ludów pierwotnych (jeżeli kierunki te można nawet w ogóle nazwać tem mianem), lecz chłopomanstwo właściwie, t. j. *uczuciowo-obyczajowe, czułościowo-sielankowe*, które chętnie ubiera się w sukmanę i łapcie, zarzuca grzebień i mydło, jako wymysły niemiecko-szatańskie, wpada w świętobliwą ekstazę na widok chłopskiej budy lub chłopskich wierszydeł, przypisuje ludowi niebywałe cnoty i idealność uczuć, na podobieństwo owych, nieznanających etnologii, podróżników, którzy dziś zachwycali się gołębią dobrocią człowieka pierwotnego, a nazajutrz „spoczęli na łonie natury“, t. j. w jego kanibalskim żołądku. Temu to prądowi u nas przypisać należy, że w dobie ostatniej głównym kierownikiem filozoficzno-estetycznej myśli polskiej jest Sabala — dostawca żętycy dla chorych żołądków i mądrości dla chorych, lub uwstecznionych w rozwoju, mózgow... „A pan Bóg — mówi ten prorok — śmierć chrast w pysk“. Ach jakież to ładne!! — woła w ekstazie taki nawiedzony przez *chłopomania-idillica*, a za nim odbekuje toż samo całe stado Panurga. Idąc za tą ideą, ludzkość powinna by zarzucić tragedye Shakespearea, poemata Byrona, utwory Goethego i t. d., zarzucić prawa Keplera i Newtona, odkrycia Wattów, Edisonów i t. d., i t. d., zarzucić wszystkie swe zdobycze, co tyle łez i krwi ją kosztowały i iść po naukę i piękno do peszeresów, buszmanów, australczyków i — Maćków.

Powiedzą mi może, iż wszystkie zdobycze cywilizacji w pierwotnej umysłowości człowieka wzięty swój początek? Bardzo dobrze, ale stąd bynajmniej nie wynika, aby teraz trzeba było powracać do początku; niech ci panowie chłopomani zechcą łaskawie odrzucić uszlachetnione kulturą bery i spożywać twarde jak kamień, a kwaśne jak ocet gruszki polne i niech wołają ze zdławionem gardłem: ach, jakie to smaczne! Z pewnością nie zrobią tego, bo chociaż i smak się psuje (jak zauważyliśmy wyżej), to przecież zwykle nie tak prędko, jak mózg; a zresztą ta nasza *chłopomania idillica* jest po większej części objawem mózgow nie precywilizowanych (bo takich u nas mało), lecz raczej niedocywilizowanych lub tylko względnie precywilizowanych (smak zaś nasz stoi zwykle na wysokości cywilizacji); my jesteśmy jak ów australczyk lub botokud, dla których już średnie wykształcenie było za silną dawką cywilizacji tak, iż, wyczerpani nią, uciekają na łono natury.

A może panowie chłopomani sądzą, że australczyk lub botokud utrzymają tym sposobem swą narodowość? Jeżeli tak, to są w grubym błędzie: schłopenie narodu jest jego zgubą: „mój Boże, mówiła pewna szlżaczka do turystów, czy też studentów wrocławskich, tacy porządni panowie i mówią po polsku!”

Zechciejmy przecież zrozumieć to, że jeżeli *wolno* komuś, co „znużony cierpieniem, przeciwnością, wiekiem“, chce osiąść wśród „Łobzowian“, żyć ich życiem prostem, nie wyczerpującem nerwów; że jeżeli *należy* podnosić lud umysłowo i ekonomicznie, oraz badać naukowo objawy nikszej jego pierwotności,

to nie wolno i nie należy odwrotnie: życia takiego uważać za ideał ludzkości, a płody ducha człowieka pierwotnego wnosić *in crudo* do cywilizacji i tym sposobem powstrzymywać jej rozwój.

Wskutek tego wstecznego prądu zwykle materiały do etnografii identyfikują się z płodami artyzmu lub głębokiej myśli, a za tem idzie znów przeceńnianie zasług zbieraczy: jakiś fotograf lub rysownik, który przedstawił nam parę typów chłopskich, będzie uchodził za etnologa, jakiś szczęśliwy posiadacz osobliwie pomalowanego jajka, kijanki o dłuższym trzonku, niż zwykle, jakiś znalazca skorupy lub dobitniejszego wariantu z poematu „Kaśka za piec“ i t. d. jest u nas obecnie uważany za potęgę naukową, przynajmniej tak wielką, jak głęboki znawca i szczęśliwy posiadacz marki pocztowej z wyspy Mauritius! (a to nie jest wcale bagatela!)

Nie chcemy tu bynajmniej zaprzeczać, że n. p. niektóre motywy pieśni lub podań ludowych, jako objawy pewnej *siły* (o czem niżej), *obrobione* artystycznie przez mistrza tonów lub słowa, mogą się stać wielkimi utworami sztuki, podobnie jak pewne kamienie, w naturze zanieczyszczone i niekształtne, stają się po oszlifowaniu najpiękniejszą ozdobą. Nie myślimy przeczyć, że wszelkie, choćby najdrobniejsze, choćby najniedorzeczniejsze, objawy życia ludu mogą posłużyć uczonemu etnologowi do *zbudowania doniosłych praw naukowych*; chodzi tylko o to, by objawów tych nie traktować ze stanowiska mdłej czułości. Co innego jest, powtarzamy, chłopomaństwo idylliczne, a co innego socyologiczne lub etnologiczne; tak samo jak co innego jest „tęsknota na łono natury“, a co

innego badanie tej natury przez uczonego przyrodnika lub skierowywanie jej sił na pożytek społeczeństwa przez doświadczonego technika. Nie chcemy tu wreszcie bynajmniej tłumić „zapału“ tych etnografów zbieraczy, bo naturalnie lepiej, gdy jakaś „panienka ze dwóra“, zamiast zbierać plotki szlacheckie dość banalnego kosmopolitycznego charakteru, zbierać będzie typowe gadki chłopskie — chodzi nam tylko o to, aby rzecz każda była postawiona na właściwem jej miejscu, *suum cuique!* Albowiem gdy społeczeństwo będzie jedne produkty opłacać moralnie zbyt wysoko, to na inne zbraknie mu odpowiedniej monety i tak też dzieje się w rzeczywistości¹⁾.

1) Analogiczny pogląd na wartość szczegółów etnograficznych i ich zbieraczy był już w „Prawdzie“ poprzednio w krótkości wypowiedziany tak przez autora niniejszych szkiców (z powodu „obrony“ geografii), jakoteż przez „Posła Prawdy“. Pogląd ten wywołał polemikę między innymi w tak poważnem piśmie etnograficznem jak *Wisła*. Sądzimy, że polemika ta wynikła jedynie z nieporozumienia, które chyba zostanie usunięte powyższym rozbiorem tej kwestyi. A jeżeli p. I. K. mówi przy tej sposobności w *Wiśle*, że „możemy się wiele nauczyć od Maćków“, to my dobrze wiemy, co taki znawca metod naukowo-etnograficznych mógł pod tym wyrazem rozumieć. Znaczy to, że jeżeli będziemy studyowali n. p. budowę bobrów albo robotę pszczół, to możemy się nauczyć wiele o ich instynkcie, sposobie życia i t. d., lecz naturalnie nie nauczymy się *od nich* budownictwa ani teorii maximów i minimów; albowiem nasza technika i nasza umysłowość przebyła dawno stadyum bobrów i pszczół i nie myśli bynajmniej do nich powracać. Podobnie gdy dowiemy się od „Maćków“ z europejskiej niziny, że kamienie erratyczne „czort rozsypał“, od czarnogórców, że ich góry powstały wskutek rozer-

Chociaż ze stanowiska *ogólno-ewolucyjnego* musimy wystąpić przeciw tej, że tak nazwiemy, *naturotropii* (która przybiera różne formy a między innymi formę chłopomanii), to jednak z *obecnego* stadyum rozwojowego musimy przyznać, że tęsknocie do przyrody, obok maniaków i zacofańców, rzuconych w wir cywilizacyi, podlegają nieraz, jak to już wspomnieliśmy, właśnie ludzie najwyżej uorganizowani duchowo, albowiem oni właśnie w obecnej, wśród nienormalnych warunków toczonej, walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy zadowoleni prosperują); są to właśnie wyżej wspomniani „siłacze“, zmuszeni

wania się worka z kamieniami unoszonego przez Boga; od czikósów, że liczne serpentyny ukochanej ich Cissy powstały dzięki szczególniejszej pieczy jakiegoś świętego, który, chcąc suche ich stopy obdarzyć rzeką, zaprzął osła do pług, dosiadł go i zaczął wyorywać bródę, lecz żarłoczny osioł, szukając trawy, zbaczał co chwila to w jedną, to w drugą stronę i pokrzywił bródę i t. d., to przez te wszystkie wiadomości wzbogaca się nasza wiedza o słabości umysłu człowieka pierwotnego, lecz naturalnie nie nasze teorye lodowcowe, orogeniczne lub hydrologiczne. To znaczy jednym słowem, że p. I. K. mówiąc, iż możemy się wiele nauczyć od Maćków, rozumiał przez to, iż możemy się wiele nauczyć na Maćkach i na to zupełna zgoda. Ale pospolity zbieracz weźmie to natychmiast w znaczeniu „Ładowej Pieczary“ i tem tylko szkodę przynieść może, albowiem takie twierdzenia źle zrozumiane, podsycają istniejący obecnie u nas zastęp ludzi, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie są zasadniczymi nieprzyjaciółmi nauki, nie chcą nic wiedzieć o rozumie filozoficznym i odgrzebują stare rzeczy o zdrowym czyli chłopskim rozumie (według którego naturalnie słońce obraca się około ziemi), a posiadając mechaniczną zdolność pisania, bałamuca umysły i tak już bardzo potrzebujące światła. To jest jeden z czynników dzisiejszej reakcyi wstecznej; powrotu do dawnej prostoty, dawnych wierzeń, dawnych głupstw.

dźwigać gwichty zbyt wielkie, i dlatego podźwigujący się mimo swych sił niezwykłych. I rzeczywiście, któż z dzisiejszych wyższych duchów, stojących na wyłomie, wiodących bezustannie a beznadziejnie (dla siebie samych przynajmniej) zapasy, nie doświadczał, przynajmniej w pewnych cięższych chwilach walki, tej tęsknoty? Kto nie pragnął wtedy „w ciszy wiejskiej zagrody zapomnieć, że są na świecie narody“; kto nie powtarzał „dość, dość żyłem nie sobie... ha, tam chyba odżyję, gdzie powietrza, gdzie stepów do woli“; kto nie zazdrościł indyaninowi, przebiegającemu swobodnie dziewicze lasy Nowego Świata, kto nie zazdrościł wolnemu synowi pustyni jego wyścigów z wichrami, horyzontu bez końca, nieba bezchmurnego, nocy iskrzących się gwiazdami jaśniej, żywiej niż u nas... Jakkolwiek oni uczuć nam podobnych nie doświadcniają: uczuć takich względem takich obrazów przyrody może doświadczać ten tylko, „kto je utracił“. Najlepszą zresztą ilustracją, że najwyżej uorganizowane jednostki podlegają właśnie tej tęsknocie do przyrody, jest sam naukowy inicjator idei powrotu do przyrody, Rousseau, jak również analogiczny z nim filozof-poeta Nietzsche: gruntem uczuciowym u obu jest wyczerpanie się cywilizacją, a czy ono objawi się w formie tęsknoty do spokoju na łonie natury, czy w formie tęsknoty do pierwotnych brutalnych instynktów, startych przez cywilizację, to jest to już tylko kwestya temperamentu danego osobnika. Objawy takie antycywilizacyjne u duchów potężnych, które wdarły się aż na szczyty cywilizacji, przypominają tego wodza, który forsownym marszem dążył w bój i wszystkie swe pułki wprowadził odrazu

w ogień; zdobył najwyższe pozycje, lecz już nie miał siły do ich utrzymania; musiał się cofnąć, wyrzekając się wszystkich korzyści zwycięstwa.

W tem, że właśnie najwyżej uorganizowane jednostki podlegają dziś często (choćby chwilowo) tej tęsknocie do natury, leży po części przyczyna złudzenia, że ta tęsknota, mianowicie w formie swej idyllicznej, jest jednoznaczna z „uczuciami szlachetnymi“; a zresztą człowiek tęskniący do przyrody (spokoju) jest już inwalidem (choćby chwilowym), ustępuje z placu, nikomu nie przeszkadza w wiecznych wyścigach: zyskuje on przez to naszą sympatyę, nazywamy go „szlachetnym“, jak *lucus a non lucendo*, gdyż jest on właśnie niezdolny do walki (Schlacht).

Gdy wreszcie rzucimy okiem w *daleką przyszłość*, to znajdziemy jeszcze jeden argument przeciwko stałemu powrotowi do natury. Ludzkość dożyje bowiem chwili, gdy powrót do natury byłby nie tylko bezużyteczny, lecz *absolutnie* niemożliwy, a to z tego prostego powodu, że nie będzie już do czego powracać: „natura“ w tem znaczeniu, o jakim mówimy, zniknie; krajobrazowa różnorodność otoczenia będzie jedynie objawem działalności człowieka. Gdy na, „dziewicze“ dziś jeszcze, szczyty gór, lśniące w promieniach słońca srebrną oponą śniegów, pobiegną szyny kolei; gdy rzeki, wijące się malowniczo wśród zielonego kobierca łąk, staną się prostymi jak sznur kanałami, ujętymi w tamy; gdy dziko-wspaniałe, nieokiełznane dziś wodospady staną się fabrykami elektryczności; gdy niezmierny ocean zostanie pokryty pływającymi miastami; gdy orkany będą pracować dla człowieka; gdy groźne dziś kuźnie Hefaista staną się kuźniami zwykłymi; gdy

nawet widok nieba gwiaździstego zaćmiewać będą liczne statki lub miasta powietrzne; gdy szumiące bory, wśród których można „upolować tyle dumań“, znikną, ustępując miejsca intensywnej kulturze i t. d., i t. d., cóż wtedy z dzisiejszej „natury“ zostanie, prócz może „Parków Narodowych?“ Wtedy „natura“, a właściwie otoczenie, będzie jedynie wyrazem wszystko łamiącego rozumu ludzkiego, nieugiętej woli ludzkiej, niezmiernych, nieskończonych pragnień ludzkich!

Tak więc okazaliśmy, jak się zdaje, że:

1) *Stały* powrót do natury jest szkodliwy lub przynajmniej bezużyteczny z powodu walki o byt.

2) Jest objawem znużenia, nie może być ani społeczno-filozoficznym, ani uczuciowo-etycznym ideałem ludzkości, która dąży dalej i wyżej.

3) W przyszłości ludzkość nie będzie miała nawet do czego wracać. bo natura zniknie.

Tęsknotę do przyrody możemy więc uznać obecnie nie jako ideał, cel ostateczny, program społeczny, lecz tylko jako potrzebę *chwilowego odpoczynku*; odpoczynku na to, by tem skuteczniej podjąć dalszą walkę na drodze *oddalania się od przyrody*. Rzeczywiście mamy przykłady, że jednostki dzielniejsze, gdy, wyczerpane walką, usuną się w tę przyrodniczą nirwanę, by raz przecież zaznać spokoju, to po krótkim czasie krew znów w nich grać zaczyna, pragną powrócić znów do życia intensywnego, życia cywilizacyi, do ruchu, do walki — jak ów dzielny żołnierz, którego rany wtrąciły do szpitala: zaledwie rany zablizniać się zaczęły, już wrywa się do szeregów na pole walki.

W objawach tych widać to, co ze stanowiska ewolucyjnego można twierdzić a priori i o czem

jużeśmy nadmienili, a mianowicie, że *ideałem ludzkości nie jest natura, nie żywot rajski na jej łonie, nie odpoczynek wieczny, nie nirwana, lecz siła!* Nie darmo już dawniej jednostki wybrane rozumiały, że „Bóg jest przyjacielem silnych“, a dziś wszyscy ludzie coraz bardziej dochodzą do przekonania, że zakon należy nieco zmodyfikować: „starajcie się tylko o siłę, a wszystko inne będzie wam przydane“. Kto, dzięki pracy własnej i pracy przodków, nagromadził w sobie największy zapas sił; kto może je najdłużej wyteżać, do najwyższego stopnia napiąć; kto potrafi je skoncentrować błyskawicznie na jeden punkt, by jak wódz genialny olbrzymią przewagą i szaloną furją zdruzgotać przeszkody, tamujące ruch naprzód, w górę, do celu — ten jest tryumfator! — Myślmy tu nie o tych tryumfatorach, którzy zyskują za życia sławę i fortunę przez to, że się przystosowują do tłumu, lecz o tych, którzy swą potęgą usiłują przystosować tłum do swych ideałów; oni giną, ale ich idee zwyciężają i „gniotą ludzi niewidzialne“, aż ich wreszcie „w aniołów przemienia“ — o takich myślmy tryumfatorach.

Ta dążność ludzkości naprzód, coraz wyżej i wyżej, jako wynikająca z odwiecznie czynnego prawa ewolucyi, ma w sobie coś żywiołowego, co nie opuszcza jednostek dzielniejszych nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa, nawet w chwili śmierci. „Naprzód, naprzód!“, wołał Alonzo Pinzon, wódz kolumbowej karaweli, gdy przed nim rozpościerał się ocean bez końca, pod nim tajemne jego głębie, dokoła brzmiało groźne szemranie załogi-filistrów. „Naprzód dzieci, naprzód!“, wołał ugodzony śmiertelnie pewien

wódz szturmowej kolumny, „umrę szczęśliwy, widząc was na szczycie tych skał“.

Czcząc siłę, jako najwyższy ideał ludzkości, nie jesteśmy przez to bynajmniej bezkrytycznymi wyznawcami nietzscheanizmu; *czcząc siłę bowiem, nie koniecznie trzeba widzieć jedyny jej wyraz w instynktach pierwotnych, a jedyną jej miarę w powodzeniu*. Dla wyjaśnienia tej różnicy musimy przede wszystkim rozróżnić dwojaką ocenę człowieka: *absolutno-dynamiczną (biologiczną)* i *względnie-dynamiczną (społeczną)*. Zasadniczą wartością człowieka jest jego siła absolutna, realną zaś wartością człowieka jest forma przejawienia się tej siły, to jest stosunek tego przejawienia do potrzeb społecznych. Pierwsza siła, którą, teoretycznie rzecz biorąc, można wyrazić przez pewną ilość kilogrammów lub koni parowych (*mechaniczny równoważnik człowieka*), posiada wartość względnie stałą; wartość drugiej zmienia się stosownie do zmiany stosunków społecznych; pierwsza jest ważniejsza z ogólnego stanowiska ewolucji wiekowej, druga ze stanowiska danej chwili lub danej fazy rozwoju. Zważywszy jednak, że siła ludzka, jak każda siła, ulega *transmisji*, że może być *zwrócona* w pożądanym dla danej chwili kierunku, objawić się w *pożądanym formie*, przyjdziemy do przekonania, że w ocenie człowieka jego siła absolutna powinna mieć pierwszorzędne znaczenie, a możliwe spotęgowanie tej siły (*obok możliwego ułatwienia transmisji*) musi być ideałem tak pojedynczego człowieka, jakoteż całej ludzkości. (Pierwotne więc instynkty mogą zasługiwać na cześć jedynie jako wielka siła absolutna, ale nie jako jej forma przejawienia).

Podobnie gdy inżynierowie oceniają potoki jako

motory, to na pierwszym miejscu stawiają potok, mający najsilniejszy pęd, jakkolwiek wartość jego może być w danej chwili dla danego kraju niszcząca; wiedzą bowiem, że ta sama siła, która dziś jest zniszczeniem, skierowana właściwie, a umiejętnie, stanie się źródłem bogactwa kraju, błogosławieństwem społeczeństwa; podczas gdy potok, sączący leniwie swe skąpe wody wśród niziny, nie sprowadza wprawdzie zniszczeń (zresztą za to zabagnieniem wywiera zwykle wpływ trujący), ale też nie da się zużytkować korzystnie; albowiem siła da się skierować, lecz nie da się stworzyć.

Dzięki transmisyi, siła popędów pierwotnych, pragnień egoistycznych, powstrzymana w swym wylewie pewnemi tamami, skierowana w pewne łożysko, przetwarza się w dodatnią siłę społeczną. Dzięki tej transmisyi, n. p. dzieci, wszystko ruszające i psujące, uparte, zacięte, stają się często w wieku dojrzałym dzielnyimi członkami społeczeństwa, chlubą ludzkości. Ta sama siła objawiła się w Kolumbie, naprzód jako w zuchwałym rozbójniku morskim, później jako w wytrwałym odkrywcy; zarzucają mu tuzinkowi moralisci, że miał żądzę złota, podobnie jak Stanleyowi, że miał żądzę kości słoniowej. Naiwni! nie wiedzą, że ta żądza stała się właśnie pobudką odkrycia „Nowego świata“, oraz rozjaśnienia pomroki, kryjącej wewnątrz „tajemniczego kontynentu“¹⁾.

Transmisya sił odbywa się bądź pod wpływem

¹⁾ Szczegółową ocenę Kolumba na podstawie tych zasad patrz w artykule moim „Nowe prace na polu historii geografii“. Ateneum 1894. I. str. 114 i nast.

okoliczności życiowych, bądź jest prowadzona systematycznie przez hodowlę społeczną (system „otamowań“). I tak n. p. wiadomo, że gdy społeczeństwo chce mieć dajmy na to słoninę, to bierze wieprza, zamyka go, tamuje swobodę jego ruchu, okalecza go i powstrzymując w ten sposób zużycie siły w celach osobnikowych, zamienia ją na cel korzystny dla siebie, na wytwór słoniny. W podobny sposób postępuje i z osobnikami ludzkimi; chce mieć n. p. nauki, wynalazki, sztuki, ulepszenia techniczne i t. d., bierze w tym celu człowieka i od dzieciństwa wychowaniem opanowuje jego siłę życiową: zmuszając go do pracy siedzeniowej, do wyteżania umysłu, traktując odpowiednimi morałami, przykładami poświęceń, sławy i t. p.; tym sposobem nadaje ono życiowemu potokowi osobnika pewne tamy, pewien spadek i pewien kierunek, aby namęł jak najwięcej mąki społecznej. U jednostek przeciętnych, sił mniejszych, ta transmisja odbywa się nieświadomie dla nich, podobnie jak u wieprzów; są oni zadowoleni z tego, że dali się społeczeństwu skrępować, zamknąć, zarżnąć; są to faustowscy Wagnerzy. U innych, potężniejszych jednostek, budzi się prędzej lub później świadomość gwałtu, popełnionego przez społeczeństwo na ich naturze i reszta wielkich sił jeszcze niezużytych staje się zarzewiem buntu, niby ostatni żywy płomień gasnącej lampy; są to Fauści. Transmisja więc sił małych okazuje się łatwiejszą, niż wielkich; stąd jednak nie wynika, aby pierwsze miały posiadać większą wartość społeczną, aby drugie były antyspołecznymi; albowiem siła wielka nawet bez wszelkiego przymusu zwykła promieniować we wszystkich kierunkach, zwykła roz-

rzucac na wszystkie strony hojne dary swej bogatej natury; bunt wynika tylko z gwałtu na niej uczonego, z nadmiernego wyzysku i nieekonomii transmisji. Społeczeństwo jest nienasycone: nie dość mu tego, co dać może nawet najbogatsza natura osobnika: ono wydziera mu i to, co jest jego własnością nieoddzielną, bez której osobnik musi zginąć; prowadzi gospodarstwo rabunkowe, samo postępuje antyspołecznie, gdyż wybrakowuje siły większe, sprzyja łatwiejszym do transmisji, ale mniejszym. Z czasem umiejętność transmisji wśród społeczeństw, z drugiej łatwość jej wśród osobników musi się zwiększać.¹⁾ Z czasem rozwinię się może taki „nadczołowiek“, który będzie w stanie przeprowadzać sam w sobie taką transmisję w możliwie najkrótszym czasie; byłoby to coś w rodzaju „zamykania jednej szufladki a otwierania drugiej“ (jak o sobie mawiał Napoleon I), tylko w daleko obszerniejszym zakresie. Tym sposobem społeczeństwo uniknęłoby częstego dziś marnowania sił wielkich, co jest najważniejszym interesem ewolucji.

Transmisja siły może się odbywać nie tylko w obrębie danej jednostki, lecz może przechodzić z jednej jednostki na drugą; pominąwszy tu znów transmisję fizjologiczną, którą powinnyby się więcej niż dotąd

¹⁾ Jak umiejętność transmisji sił ludzkich w znaczeniu psychicznym powinna być zadaniem socjologii, tak umiejętność transmisji w znaczeniu fizycznym powinna być zadaniem medycyny: ileż to chorób mogłaby ona usunąć, ilu ludzi znakomitych uchronić od wczesnej śmierci, gdyby jej się udało n. p. część siły z genialnego mózgu uczonego przenieść do jego suchotniczych piersi; część siły muskułów przenieść do osłabionych nerwów i t. p.

zając medycyna, zastanowimy się nad *psychiczną*. Przykład jej mamy w tem, co nazywamy talentem, to jest w pewnej formie przejawienia się siły absolutnej człowieka („iskra boża“ dawniejszych autorów). Jeden artysta narysuje ołówkiem puszcę i dreszcz grozy przeniknie cię na jej widok, czujesz, że za chwilę wśród tej głuchej puszczy grom wojny się rozlegnie, opary krwi gorącej ją napełnią, i w duszy twej powstają cenne uczucia miłości i nienawiści, cenne pragnienia pracy i walki. Drugi wymaluje wojnę ze wszystkimi jej barwnymi szczegółami, a ty stoisz w obec jej widoku zimny, nieporuszony, nie zapominając ani na chwilę, że przed tobą nie walka wre, lecz wisi płótno, na które pędzlem nałożono farby. Fala życia, fala krwi nie uderzy na cię z obrazu, i nie zakipi falą krwi twej własnej. Ta fala, która w tobie na widok obrazu uderza, to właśnie transmisja psychiczna siły artysty, którą ty możesz zużytkować stosownie do swych uzdolnień i ideałów¹⁾. Podobnie rzecz się ma z utworem muzycznym: jeden zagra z wielką biegłością, wykończeniem, według wszelkich wymagań teorii sztuki, a jednak nie robi wrażenia; drugi zagra z mniej może doskonałą techniką, a jednak stanie się dla ciebie Tyrteuszem. Na tem właśnie polega wartość, którą daje talent, i to nawet wtedy, gdy on wyraża się w formie nieodpowiedniej: gdy n. p. pisarz utalentowany nie posiada dość wykształcenia filozoficznego lub socyologicznego; mimo niezgadzenia się na jego

¹⁾ Cokolwiekby temu można było zarzucić ze stanowiska teoretycznego, to jednak fakt, iż „transmisję“ taką *odczuwamy*, nie da się zaprzeczyć.

poglądy, cenimy jego talent, to znaczy cenimy znaczną siłę absolutną, która nam się udziela i którą możemy zużytkować w sposób odpowiedniejszy.

Tak więc w ocenie człowieka mamy do rozważania dwa względy: jego siłę absolutną i jej transmisyę; ideałem ludzkości jest spotęgowanie i *uruchomienie siły*.

Co do *powodzenia*, o którym wspomnieliśmy wyżej, to ono przy dzisiejszych stosunkach społecznych nie może być, jak chce Nietzsche, „miarą siły“; byłoby ono taką miarą wtedy tylko, gdyby walka o byt między ludźmi nie komplikowała się w sposób niesprawiedliwy przywilejami społecznymi, lecz odbywała się przy równych szansach. Gdy dwa rogacze wśród polany leśnej wiodą ze sobą bój śmiertelny, to sarna pasie się spokojnie, instynktowo bowiem czuje, że jakikolwiek wypadnie rezultat walki, będzie on dla niej zawsze pomyślny, zwycięży silniejszy. Inaczej wśród ludzi. Tutaj, jak sądzimy, leży właśnie klucz do rozwiązania sprzeczności między nietzscheanizmem i socjalizmem. Nietzsche, tkwiący zbyt bezpośrednio w darwinizmie biologicznym, jako czynnik zozwoju uważa walkę bezładną wszystkich przeciw wszystkim; socjalizm zaś uznaje walkę na zasadach pewnej strategii, nie godząc się na strategię dzisiejszą; mianowicie na nierówność uzbrojenia pojedynczych jednostek, przyczem przewaga leży nie po stronie silniejszego, lecz lepiej uzbrojonego.

* * *

Na podstawie powyższych uwag o sile, możnaby rzucić jaśniejsze światło na wiele objawów psychicznych

i społecznych, zrozumieć i ocenić lepiej wiele typów ludzkich, tak w życiu jak i literaturze napotykanym.

Na tej podstawie zrozumiemy łatwo, n. p. pewne *objawy jednostronności*, napotykanne zwykle u ludzi wybitniejszych; gdy maszyna zużywa znaczną siłę w jednym kierunku, w innych okazuje się brak; dlatego ludzie genialni bywają w pewnych kierunkach głupcami: dlatego to siła, która tryska z pod pióra pisarza, bądź jako ogień temperamentu, bądź jako lawina erudycji (wykluczające się najczęściej, nie błysnie mu ogniem krwi na twarzy, ani zamigoce sprytem życiowym, jak u zwykłego filistra, który jednak jako maszyna dynamiczna, jako siła absolutna, jako „równoważnik mechaniczny“ jest miernotą wobec tamtego. Tem się też tłumaczy, często napotykana, praktyczna niezaradność ludzi idei, którzy dają się zwykle opanowywać i wyzyskiwać głupcom. Człowieka idei możnaby z tego stanowiska porównać do owego wielkiego kapitalisty, który cały swój kapitał umieścił w jakimś przedsiębiorstwie i nie może go w danej chwili i w danym celu podnieść, i nie ma nic prawie w kieszeni; podczas gdy filister jest marnym kramarzem, który cały swój nędzny kapitalik nosi zawsze w kieszeni. Ta nieproporcjonalność, to wzajemne wykluczanie się znacznych przejawień siły jest tem godniejsze uwagi i tem bardziej odpowiada powyższemu wyjaśnieniu, że rozciąga się do kierunków bardzo bliskich, pokrewnych, które, pozornie biorąc, nie powinnyby się wykluczać: i tak n. p. wiadomo, że pełen zapału poeta Petofi, co napisał tyle pieśni tak śpiewnych, nie był w stanie wyśpiewać ani jednej melodyi, i że pełen uczuć bohaterkich, zamiłowany w teatrze, „zgiębiał bohaterów

Shakespeare'a, a przedstawiał lokajów Kotzebuego". Objawy te wynikają po części z trudności transmisyi sił większych, po części z nieekonomii „otamowań”; tylko wyjątkowo pomyślne warunki życiowe chronią jednostki wyższe od tej nieproporcjonalności, przykładem Byron, Goethe, a i to zwykle kosztem uczuć etycznych.

Na tej podstawie można również, jak sądzimy, rozstrzygnąć, często podnoszony, spór, *czy kobieta w nauce, sztuce i t. d. może dorównać mężczyźnie*. Otóż zdaje się, iż, przeciętnie biorąc, absolutna siła kobiety, mechaniczny jej równoważnik po potrąceniu wydatku na cele rozrodcze jest mniejszy niż mężczyzny; kobieta więc może wprawdzie dojść wysoko w pewnym kierunku, dorównać mężczyźnie, ale wtedy nastąpi u niej jeszcze większa, niż u tego ostatniego, nieproporcjonalność, nierównowaga; okaże się zbyt wielki deficyt siły w innych kierunkach, jak wola, uczucie, wreszcie zdrowie fizyczne; deficyt tak wielki, że nawet kierunek główny nie będzie mógł być należycie zużytkowany. Zresztą należy tu zrobić zastrzeżenie, iż na ten deficyt znaczny wpływ wywierają więzy społeczne, uciskające kobietę bardziej niż mężczyznę.

Kwestya kobieca nasuwa na myśl kwestyę *powodzenia u kobiet*; powodzenie u kobiet mieli wielcy wojownicy, wielcy rozbójnicy, wielcy gracze, wielcy artyści, ba nawet wielcy uczeni. Wielcy, wielcy, wielcy... dlaczego? Bo wielkość, to siła; chodzi o skierowanie tej siły w swoją stronę, o jej korzystną dla siebie transmisję. Widzę tu uśmiech pewności siebie, oraz politowania na ustach filistrów — dla uspokojenia ich więc dodaję natychmiast, iż nie twierdzą bynaj-

mniej, aby istoty marne nie miały bardzo często powodzenia u kobiet, lecz są to już specjaliści w omawianym fachu, istoty, których siła, jakkolwiek mała, jest zwrócona w jednym, pożądanym dla kobiet, kierunku, nie trzeba jej dopiero zwracać, jest już gotowa; wiele więc kobiet woli rzecz gorszą gotową, niż lepszą, lecz daleką, niepewną, wymagającą zabiegów. Powyższe więc prawo siły należy stosować w obrębie każdej z dwóch powyższych grup („niespecjalistów“ i „specjalistów“) oddzielnie; jeżeli zaś porównamy obie te grupy z sobą, to musimy przyznać ku zadowoleniu filistrów, że „specjaliści“ mają przewagę; a to dla tej samej zasady, którąśmy już poprzednio wyrazili porównaniem wielkiego kapitalisty i drobnego kramarza, oraz dlatego, że transmisja sił wielkich jest trudna. Jeżeli n. p. stosunkowo łatwo było cygance Carmenie odciągnąć dragona od gorliwych zajęć służbowych lub dziewczynie bretońskiej — „islandzkiego“ rybaka od morza, to o wiele trudniej przysłoby im odciągnąć np. genialnego astronoma od obserwacyi ciał niebieskich i musiałyby zniecierpliwione, jak pewna włoszka do Rousseau'a powiedzieć „lascia la donna e studia la matematica“, lub jak pewna francuzka do Goncourta, że „jego cała siła utkwiała w mózgu“. Zrestą większość kobiet wskutek niskiego poziomu umysłowego nie pojmuje wielkości, podobnie jak ktoś, co nie zna się na papierach wartościowych, woli srebrną złotówkę niż papier, który jednak, zmieniony, dałby wiele takich monet. Naturalnie, że maximum powodzenia powstaje wtedy, gdy wielka siła łączy się ze „specjalnością“; tak n. p. tradycyjne szczęście szlachty polskiej do kobiet

wszelkich narodowości (a zarazem obecne jej niepowodzenie życiowe) objaśnia się wielką jej bezsprzecznie energią życiową, nieuwięzioną przytem w żadnym fachu, nie pochłanianą przez żadną ideę.

Kwestya powyższa przywodzi nam na pamięć Wokulskiego (z *Lalki* Prusa), którego na powyższej podstawie można lepiej zrozumieć. Nie nazwiemy go więc, jak niektórzy krytycy, „niezdarą“, ani nie będziemy moralizować po tołstojowsku, radząc „celibat“; ale zrozumiemy go jako olbrzymią siłę absolutną, która zmarnowała się przez nieekonomiczne „otamowanie“, przez zamknięcie w klatkę romantyzmu i metafizycznej etyki, odpowiedniem wychowaniem; zrozumiemy łatwo, że siła ta w razie lepszej „inżynierii“ przyniosłaby społeczeństwu korzyści olbrzymie. Ci, co nazywają Wokulskiego niezdarą, uważają chyba, że jakiś subretek, przedstawiają siłę daleko większą. Czyż ci krytycy sądzą, że lew jest słabszy od szczura dlatego, że pierwszy rozbił potężną głowę o żelazną klatkę, podczas gdy drugi, dzięki swej marności, prześliznął się między jej szczeblami? To znaczy, że klatka romantyzmu, ani żadnej innej idei, nie może zamknąć tych, od mizernego umysłu których wszelkie idee odbijają się jak groch od śoiany.

Z tego samego stanowiska można też rzucić niejaki światło na kwestyę, tak ważną pod względem społecznym i politycznym, jak *kwestya żydowska*. Żydzi, uciskani, prześladowani przez wieki, wyrobili sobie w ciężkich zapasach olbrzymią siłę; siła ta była skierowana ku temu, co stanowiło jedyny skuteczny oręż w walce, mianowicie ku zdobyciu pieniędzy. Cel

ten w naszych czasach został w wysokim stopniu osiągnięty, znaczna więc część sił została wyswobodzona; i oto przed naszymi oczami odbywa się transmisja: potomkowie wielkich handlarzy, lichwiarzy, oszustów stają się wielkimi artystami, uczonymi, altruistami... Wampiry ludzkości — chluba ludzkości. Wygląda to tak, jakby jakiś potok, zatrzymywany przez wieki w swym odpływie, napełnił rezerwoar, w którym woda w skutek stagnacji uległa psuciu, wytworzyły się miazmaty, zgnilizna, pleśń; rezerwoar stał się gniazdem trucizny, ale zarazem akumulatorem olbrzymiej energii potencjalnej. Dziś rezerwoar przepelnia się, woda przelewa się przez tamę, oczyszcza, staje się siłą żywą, energią kinetyczną... skierować ów potok w swoją stronę — oto wielkie zadanie etniczno-dziejowe.

Dalej na tej samej podstawie można dojść do lepszego wyjaśnienia *kwestyi przestępstw i oceny przestępców*. Z tego stanowiska mianowicie niejedyn przestępca może się okazać więcej wartym dla ludzkości, niż wielu ludzi „porządnych“; tak samo, jak n. p. koń, który, wyrwawszy sztabę od stajni, potratował ludzi, jest więcej wart dla właściciela, niż jakaś marna szkapina, która się nie ruszy od żłobu. Teraz zrozumiałem to będzie, dlaczego wielki zbrodniarz, obok wstrętu dla jego ohydnych czynów, budzi też nieraz uczucie podziwu, imponuje potęgą: to uczucie podziwu jest nieświadomem odczuciem tej prawdy, że taki zbrodniarz jest potokiem niezwykłej siły, który przy odpowiednim „otamowaniu“, odpowiedniej transmisji, możnaby zużytkować z wielką korzyścią dla celów dodatnich.

Z drugiej znow strony złe „otamowanie“ może

sprowadzić wylewy i zniszczenia nawet tych potoków, które z natury swej miały kierunek dla ludzkości pożądanym; i oto nieraz świeczniki ludzkości stają się przestępcami (lub samobójcami, obłąkańcami, pijakami), a zarazem miernikami wadliwości „otamowań“, t. j. stosunków społecznych: jeżeli bowiem jakiś postulat etyczny spełniają zawsze tylko jednostki tępe i bierne, zaś bystrzejsze, energiczniejsze, mogące przysporzyć najwięcej dóbr społeczeństwu, postulat ten łamią, lub zmuszone do jego spełnienia, marnieją, to jest to dowodem, że postulat taki nie leży w interesie rozwoju ludzkości, jest dlań szkodliwy. Społeczeństwo więc w swoim własnym interesie, pod grozą swej zguby nie tylko powinno cenić każdą wielką siłę w swem gronie, i starać się zwrócić ją w pożądanym kierunku, ale czyniąc to, nie wznosić „otamowań“ wadliwych, przestarzałych, opartych na metafizyce, które albo muszą być zrywane przez potoki silniejsze, albo spowodować ich zmarnienie.

Te uwagi prowadzą nas do zastanowienia się jeszcze nad jednym objawem, spotykanym u zwolenników natury, mianowicie nad *potępianiem utworów >szarpiących nerwy<* (naturalnie jako przeciwstawienie ukłojenia ich na łonie natury). Otóż w oświeceniu wyżej wymienionych zasad, rzecz ta przedstawia nam się wprost przeciwnie; utwory takie nie zasługują bynajmniej na potępienie; są one niejako rzutami oka w przyszłość, one przedstawiają nam typy ludzkie najbardziej naprzód w ewolucyi wysunięte, one uświadamiają lepszym, wyżej uorganizowanym jednostkom ich stanowisko w społeczeństwie, ich pragnienia ich prawa; wykazują wadliwość dzisiejszych

stosunków, dzisiejszych „otamowań“ w obec pragnień jednostki. Bohaterowie tych utworów, to jednostki nie zrównoważone zapewne; ale zrównoważenie, (zwłaszcza w obec dzisiejszych stosunków), to pospolitość, przeciętność, zastój, filisterya. Jednostki zaś nie zrównoważone, to zwykle pionierowie ludzkości; wstrząsają oni przesady, zwyczaje, „otamowania“, dobre może dla natur dawniejszych, grubszych, zgubne dla przyszłych, subtelniejszych. Jednostki takie zwykle giną, bo gdy im się uda zerwać tamy, padną pod ciosami gawiedzi-filistrów, gdy się nie uda, strawią się ogniem wewnętrznym. Ale w jednym i w drugim razie swoim zmarnowaniem „szarpią nerwy“, to znaczy, budzą inne jednostki z ospałości umysłowej, wyrabiają w nich samowiedzę, krytycyzm, odczucie potrzeby reform w „otamowaniach“. Ci pionierowi są, jak owi podróżnicy polarni lub afrykańscy, którzy pierwsi wdzierają się w niebezpieczne krainy — giną, ale za ich śladami postępują zwarte szeregi, powstają stacye wojskowe, handlowe i naukowe, a dawne niebezpieczne bezdrożne krainy, do których „żaden śmiertelny nie wstąpił bez trwogi“, stają się dostępne, uprawne, pokrywają się sieciami dróg dogodnych, po których już może stąpać bez obawy nie bohater, lecz najzwyczajniejszy filister-tchórz.

Nie przeczę, iż jak między pionierami odkryć, tak i między pionierami nowych myśli jest nieraz wiele nadużyć, które nas napełniają smutkiem; nadużycia te wynikają po części z wyżej zaznaczonej „nieproporcjonalności w rozkładzie sił; wiele z tych nadużyć są takimi tylko w odniesieniu do dawnej etyki, dawnych zwyczajów, od których uczuciowo

trudno nam się tak prędko otrząsnąć, chociażbyśmy się nawet otrząsnęli rozumowo; a zresztą à la guerre comme à la guerre; każda burza nie tylko odświeża, lecz i niszczy, każde nowe życie wiąże się ze śmiercią, a kwiaty często rosną na grobach.

Jeżeli potępienie utworów literackich „szarpiących nerwy“ przez tych, co zwróceniem ludzi ku naturze pragnęliby ukoić ich nerwy, uchronić od cierpień, wywołało z naszej strony protest, to nie możemy jednak tym miłośnikom ludzkości odmówić sympatii ze względu na szczerę, uczuciową motywację. Inaczej jednak przedstawia się, jakkolwiek formalnie analogiczne, oburzenie się naszych prawowitnych krytyków literackich na „niemoralność“, „zgniliznę“ i t. p. tego rodzaju utworów. Krytycy ci protegują enoty bierne, niski ton życia, przestawanie na małym, ograniczoność pragnień, „czyste rozkosze estetyczne“ (mikstura ułatwiająca trawienie), rozciągają nad naszym społeczeństwem skrzydła filistersko-opiekuńcze, chcąc je uchronić od „zarazy“, ale najczęściej, jak mówi Heine, „sie trinken heimlich Wein und predigen öffentlich Wasser“. Ci panowie nie wiedzą zapewne, że jak oni nad zachodem tak samo nad nimi „wyżsi moralnie“ czują się n. p. mahometanie, albowiem w ich powieściach bohaterowie nie jedzą bezczelnie wieprzowiny, nie piją grzesznego wina, a bohaterki nie odkrywają bezwstydnie swych twarzy i nie emancypują się aż do okazywania swej woli w wyborze mężów. Nad mahometanami znów o całe niebo wyżsi moralnie czują się murzyni pogańscy, bo oni wierzą w potęgę dziurawego garnka wyrzuczonego na ich brzeg ojczysty przez białych maryna-

rzy; nad murzynami jeszcze wyżsi czują się buszmani, bo oni, przynajmniej „moralniejsi“ wśród nich, ręką świętokradzką nie budują sobie domów, lecz zadawalają się, jak ich przodkowie, danemi im od Boga jaskiniami i t. d., i t. d.

To poczucie „wyższości moralnej“ u każdego narodu cywilizacyjnie niższego nad narodem wyższym jest wynikiem pewnego zakrzepnięcia mózgu, który wyobraża sobie, że pojęcia, panujące w pewnej chwili wśród rodaków, są skończonym, ostatecznym absolutem, nie zaś tylko znikomą fazą w nieskończonym rozwoju ludzkości.

Sądzymy, że na powyższych podstawach możnaby rzucić jaśniejsze światło na wiele jeszcze innych objawów psycho- i socyologicznych, lecz praca na innym polu nie pozwala nam zająć się tem w sposób bardziej wyczerpujący i systematyczny.

Forpoczty ewolucyi psychicznej i troglodyci. ¹⁾

»Naprzód! Naprzód!« — wołał Alonzo Pinzon, wódz Kolumbowej karaweli, gdy przed nim rozpościerał się ocean bez końca, pod nim tajemne jego głębie, dokoła brzmiało groźne szemranie załogi-flistrów (»Natura i siła«).

I.



życiu i literaturze naszych czasów pojawiają się coraz częściej typy o przewadze życia wewnętrznego nad zewnętrznym, duchowego, nad cielesnym, ludzkiego nad zwierzęcem, refleksyjnego nad czynnym. Typy z organizacją duchową niezmiernie wrażliwą i subtelną. Typy, niemogące wyżyć w atmosferze popolitości, a tembardziej podłości. Typy o wielkiej nieproporcjonalności pragnień do możliwości, a nawet możliwości ich urzeczywistnienia; typy więc szarpane bezdennem niezadowoleniem wewnętrznym. Typy, dostarczające największej ilości nowych idei, ale zarazem największej ilości obłąkanych i samobójców. Typy, zajmujące w ogóle w społeczeństwie stanowiska podrzędne i grające podrzędną rolę w *zewnątrznem* życiu ludzkości, w przeciwieństwie do wysoko rozwiniętej indywidualności psychicznej. Typy, które ze stanowiska fizyologicznego możnaby nazwać *nerwowemi* (*nerwowcami*, *mózgowcami*), ze stanowiska psychologiczno-ewolucyjnego zaś — *ewolucyjnymi* (»forpocztami ewolucyi psychicznej«).

Po za tymi typami, stosunkowo nielicznymi, a ostro odrzynającymi się od otoczenia, pozostaje cały wielki

¹⁾ 1895 r.

tłum, oporny na idee; mówimy „tłum“ w znaczeniu psychicznem, bo w znaczeniu społecznem to wcale nie tłum, owszem! Pośród tego tłumu, który ze stanowiska fizyologicznego możnaby nazwać *beznerwowym*, *zwierzęcym*, ze stanowiska zaś psychologiczno-ewolucyjnego — *trogłodytycznym* (*trogłodytami*), występują wyraźnie szczególnie trzy podtypy, mianowicie: *ludzie-byki*, *ludzie-swinie* i *ludzie-drewna* (*automaty*)¹⁾.

Ludzie-byki to magazyny dość znacznej energii brutalnej; przy wyższym stopniu energii i większej inteligencji typ ten nabiera niekiedy cech lwich; przy zmniejszeniu się zaś obu, nabywa pewnej „stateczności“, pewnych nawyków, tak zwanych „obywatelskich“ i staje się „wołem“. W życiu są to viveury, w ogóle ludzie czynu, często bardzo pożyteczni, nieraz torujący drogę w *zewnątrznem* życiu ludzkości; ze stanowiska jednak psychicznego rozwoju uważane, typy te są czemś w rodzaju zwierząt pociągowych w armii.

Ludzie-swinie to siły marne, filistry najgorszego gatunku, których właściwym żywiołem jest błoto. W społeczeństwie i oni zręcznem wślizgiwaniem się wszędzie, nawet „bez mydła“, zajmują nieraz intratne stanowiska, ale żadnego nie przynoszą pożytku; są oni wstrętnym, hańbiącym balastem w pochodzie ludzkości. Istnieje też pewien podgatunek świń, mianowicie wśród ludzi bogatych, którzy *nie potrzebują* się wślizgiwać, popełniać świństw; są to *swinie utajone*, *swinie potencjalne*, albo — *kryptoświnie*. Subtelny nerwowiec potrafi je odczuć przez skórę. Na ujawnie-

¹⁾ Naturalnie, iż prócz tych typów czystych zdarzają się też i mieszane, pośrednie: *świnio-byki*, *świnio-drewna* i t. d.

nie się, przejście w stan *świń kinetycznych* czynnych potrzebują one tylko drobnego impulsu, podobnie jak owa woda, która nie zamarza tylko wskutek spokoju.

Ludzie-drewna (automaty, maszyny, „szewcy“) to ludzie dotknięci atrofią uczucia, idyoci uczucia. Pod względem fachowym jednak mogą oni stać nieraz bardzo wysoko, być bardzo prawidłowo działającymi maszynami; przytem są zwykle uczciwi (co w obec braku namiętności łatwo im przychodzi), mogą więc być bardzo pożyteczni dla pracy społecznej, do której zostali włożeni bez najmniejszego oporu, sposobem tresunku, podobnie jak psy rachujące, papugi mówiące i t. p. Ludzie tacy mogą więc być doskonałymi, nawet znakomitymi, szewcami¹⁾, w ogóle rzemieślnikami, urzędnikami, aptekarzami, uczonymi zbieraczami owadów, jaj, numizmatów i marek pocztowych; bardzo poszukiwanymi profesorami (których w takim razie mogłyby jednak zastąpić fonografy) i t. d., i t. d.; dla wewnętrznego jednak, psychicznego, ideowego rozwoju ludzkości, ci ludzie-drewna są może najszkodliwszymi ze wszystkich. Podczas bowiem, gdy ludzie-byki niezbyt są lubiani, z ludzi-świń wszyscy niemal podkpiwają sobie po trosze; to ludzie-drewna, dzięki

¹⁾ Zastrzegamy się tutaj przed możliwym zarzutem, jakobyśmy lekceważyli lub pogardzili pewnemi zajęciami lub stanowiskami; na każdym stanowisku można być nie tylko maszyną, spełniającą swój fach, lecz i człowiekiem, to znaczy, — indywidualnością psychiczną wysoko rozwiniętą; lecz to bynajmniej nie ma związku ze stanowiskiem, nieraz właśnie szewc może jako indywidualność psychiczna stać nieskończenie wyżej od profesora, inżyniera, doktora, literata, poety i t. d.; on, będąc z fachu szewcem, może być z psychicznej natury człowiekiem, a oni, z fachu inteligencya, mogą być właśnie „szewcami“.

swej fachowości, uczciwości i neutralności („wytrawności“) mają, u nas zwłaszcza, na opinię wpływ przeważający; są to ludzie „solidni“.

Jeżeli ogólny pochód ludzkości pojmiemy jako walkę, to typy drewniane, obce wszelkim dramatom wewnętrznym i walkom zewnętrznym, dadzą się porównać do ciurów, którzy są wprawdzie pożyteczni przy spełnianiu różnych funkcji obozowych, ale stoją zupełnie po za walką, bo nie posiadają do tego ani impulsu, ani odwagi, ani umiejętności. Mogą nawet w walce być przeszkodą jako zawalidrogii.

* * *

Rzecz godna uwagi, że wskutek liczebnej i życiowej przewagi typów drugiej kategorii (troglodytów) nad pierwszymi (forpocztami), *ogólne zapatrywanie na stosunek obu kategorii typów jest zupełnem odwróceniem rzeczywistości*. W przekonaniu „tłumu“ on jedynie jest „normalny“ i „zdrowy“; nerwowcy to w mniemaniu ludzi-byków są „niedołęgi“ (bo ludzie-byki nie pojmują innej siły prócz codziennie-brutalnej), w mniemaniu ludzi-świń to „niemoralni“ (bo dla „świń“ jedynie moralnem jest to błoto, w którym one żyć przywykły), w mniemaniu ludzi-drewnian to „niedojrzały, narwańcy, histerycy, neurastenicy“ i t. d. w ogóle „chorzy“ (bo dla automatów silna wrażliwość jest czemś niepojętem). W ogóle najbardziej utarty termin wśród „tłumu“ oznacza typy nerwowe jako „zwyrodniałe“, skazane na zagładę; przeszłość ma należeć do troglodytów!¹⁾

¹⁾ Trzeba tu wyznać ze smutkiem, że do tego troglodytycznego chóru, potępiającego nerwowców, przyłączają się niekiedy i ner-

Niestety panowie troglodyci, to tylko wasze rozkoszne złudzenie; albowiem czyż można „zwyrodnieniem“ nazywać to, co jest oddaleniem od natury pierwotnej, a „normalnem“ to, co jest podobniejsze do typów przeszłości? Wszakże wśród tworów, napotykaných w pokładach geologicznych (a reprezentujących rozwój życia na ziemi), ewolucyę organiczną, stopień rozwoju danej formy określa się jej oddaleniem od formy najpierwotniejszej i zróżniczkowaniem.

Zresztą niema nawet potrzeby opierać się tu na słabszej podstawie analogii, bo można wyprowadzić to samo ze szczegółowego bezpośredniego zestawienia cech i oceny ich wartości. I tak: czemuż jest owo „niedołężstwo“, a właściwie przewaga refleksyi nad pochopnością do czynu (a nawet i słowa) u pierwszych w stosunku do czynnej energii i swady drugich? — jest to głębokość w stosunku do powierzchowności, ułatwiającej szybką decyzję, choćby najgłupszą. Czem jest stosunkowo mniejszy udział pierwszych w codziennych sprawach publicznych? — wstrętem do kompromisów z sumieniem tam, gdzie każdy krok, choćby nawet dodatni, musi być czyniony do połowy w błocie. Czem jest niezadowolenie, pesymizm pierwszych w stosunku do pogody drugich? — miarą wielkich, potężnych pragnień pierwszych w stosunku do poziomości drugich; przytem to niezadowolenie jest właśnie koniecznym warunkiem rozwoju ducha, jak wątpienie — rozwoju wiedzy. Czem jest „niedojrzałość“ pierwszych

wowcy sami, którym przeduchowanie tak dokuczyło, iż przeklinają je, pragnąc jedynie zdrowia za wszelką cenę: wszakże Rousseau uważał myślenie za objaw zwyrodnienia!

w stosunku do „wytrawności“ drugich? — szczerością uczuć i odwagą przekonań w stosunku do przewrotności, tchórzostwa i lawirowania. Czem jest tak zwane „wątrobiarstwo“ pierwszych w stosunku do obiektywności drugich? — zdolnością oburzania się na fałsze, podłości i krzywdy, w ogóle subtelnością uczuć w stosunku do gruboskórności, drewnianości, a często też świństwa i podłości drugich; człowieczeństwem w stosunku do bydlęctwa. Czem „niemoralność“ pierwszych w stosunku do „zdrowia moralnego“ drugich, t. j. zgodności z wszelkimi utartymi kodeksami — wyłamywaniem ścian więzienia, tamujących swobodny rozwój ludzkości; wybijaniem okien dla odświeżenia powietrza, w którym nowe subtelniejsze pokolenie o głębszym oddechu oddychać już nie może. Czem częste obłąkanie i samobójstwo pierwszych w stosunku do niezmaconej równowagi drugich? — zbyt dalekiem wybiegnięciem naprzód, zbyt wielkim wydatkiem psychicznym, któremu nie mogą sprostać siły organizmu, choćby daleko większe od tych, któremi rozporządzają zrównoważeni; bydło nie dostaje obłąkania, nie podlega samobójstwu. Zresztą wypadki tego rodzaju sprowadzają w znacznej części sami troglodyci, tamując działalność nerwowców, niszcząc nienawistne sobie wyższe indywidualności. Świeży przykład mamy z Podkowińskiego¹⁾ a ileż to jeszcze podobnych indywidualności, tak ze sfery artystycznej jak naukowej, zniszczyli u nas lub zniszczą troglodyci! — oni popierają tylko karki giętkie i umysły niewolnicze.

W ogóle typy pierwsze w stosunku do drugich

¹⁾ Pisał w 1895 r.

to subtelne, delikatne ważki, czułe na każdy najlżejszy powiew, używane w najściślejszych naukowych badaniach, w stosunku do grubych, brutalnych wag, używanych do węgla lub siana. — Doprawdy, wartoby tym panom troglodytom, tak łudzającym się względem swych postaci, pokazać, jak w owym Witzu niemieckim, lustro i zapytać: „kennen Sie die Affen?

A więc: panowie „byki“, panowie „świnie“, panowie „drewna“, raczcie to dobrze zrozumieć, że to, co wy nazywacie zwyrodnieniem, to nie zwyrodnienie, to coś trochę innego, to ewolucya! Albowiem to jest oddalenie się od natury pierwotnej, byczej, świńskiej lub drewnianej, — a przecież byki, świnie lub drewna nie są chyba ideałami ludzkości!

Tak panowie: jesteśmy świadkami narodzin nowego typu człowieka, bardziej różnego od typu człowieka-byka, człowieka-świni i człowieka-drewna, niż ci różnią się od swych prawdziwych prototypów.

Ten typ nowy, obdarzony wielką subtelnością zarówno myśli jak i uczucia¹⁾, ten typ o wielkim rozwoju, że tak powiem, zmysłu wewnętrznego, o pragnieniach bezmiernych; ten typ, obdarzony zdolnością

¹⁾ Ten nowoczesny zwrot od wyłącznego panowania zimnego rozumu do uczucia, sprytni życiowo troglodyci już usiłują wziąć w arendę i w tym celu głoszą zwrot ku „starej moralności“; ale to jest tylko stary idyotyzm lub nowe szalbierstwo; czyż bowiem nie idyotyzmem lub świadomem oszukaństwem jest twierdzenie jednego z troglodytów, że „moralność przez wszystkie czasy i u wszystkich ludów była zawsze jednakowa“? Nie, panowie troglodyci, siedźcie sobie spokojnie w waszem błocie życiowym i nie nawołujcie nas do moralności i ideałów: profanujecie te wzniosłe pojęcia i ośmieszacie się tylko w obec ludzi świadomych: „i wieprze, mówi Lutomski, podnoszą ryje, ale to jeszcze nie jest idealizm“.

odezuwania prądów przyszłości, urzeczywistni zapewne z czasem, zbankrutowany poczęści, bo z mniejszemi podjęty siłami, dawny ideał: „sięgać, gdzie wzrok nie sięga“ i „z idei tworzyć kamienie“; zdoła — być może — rozjaśnić ciemne dziś jeszcze zjawiska, drzeмиące w tajemnych głębiach natury ludzkiej.

*
*
*

*Przyczyna, dla której troglodyci są w tak miłym złudzeniu co do swej wyższości względem typów ewolucyjnych, jest łatwa do zrozumienia. Nie wydatkując masy sił na wewnątrz pracę ducha, nie trawiąc się ogniem wewnętrznym, poruszając się zawsze w gotowych szablach, mają oni pewne plus zdawkowej energii na swe zawołanie, co daje im pewne *podmiotowe złudzenie siły*; zwłaszcza, że posiadają zwykle dobrą pamięć¹⁾, a słabe rozwinięcie krytyczne. Powtóre: dzięki swemu sprytowi życiowemu troglodyci, ów „tłum“ w sensie psychicznym, są zwykle „śmietanką“ w sensie społecznym: z nich rekrutują się możni tego świata, szafarze wszelkich dóbr ziemskich; od nich zależą po większej części losy typów ewolucyjnych, mają więc oni i *przedmiotowe wskazówki swej siły*²⁾.*

¹⁾ Wiadomo, jak zdumiewającą pamięcią odznaczają się ludy pierwotne.

²⁾ O typach tych pod względem gospodarki społecznej powiem w osobnej pracy; nadają oni taki ton opinii i życiu u nas, postępowanie ich z typami ewolucyjnymi, poświęconymi cichej pracy naukowej lub artystycznej, jest tak bezceremonialne i bezczelne, że zasługuje na osobną epopeję, a zatem: „arma virosque canam“, Wtedy to zrozumiemy nieco gruntowniej (niż z artykułu p. Lutosławskiego), „skąd się biorą pesymiści“.

Jest to ten sam pierwiastek złudzenia w miniaturze, jakiemu w najwyższym spotęgowaniu ulegali cesarzy: „Kaligula, mówi Radliński (Dzieje literatury średnio-wiecznej str. 29), przekonawszy się w praktyce, że wola jego łamie wszelkie prawa, godnych i szlache-nych pozbawia tak łatwo życia, jak nędzników do szczytu władzy wynosi, nie widząc dla swojej wszech-mocy nigdzie kresu, nie spotykając żadnego oporu, nie słysząc jak obłąkany w domu waryatów żadnego zaprzeczenia, sam nakoniec w boskość swą uwierzył“.

Wreszcie złudzenie wynika z *ubóstwa duchowego* troglodytów: dusze ciasne i tępe skłonne są uważać wszystko to, czego pojąć nie są w stanie, za godne lekceważenia, głupie i waryackie. Dzicy uważali bia-łych za „niedołęgów“, ponieważ ci ostatni nie mieli takiej zręczności w tropieniu zwierzyny, lecz uprawiali ziemię lub oddawali się rzemiosłom: „głupi, jak biały“, mawiali indyanie (Krzywicki, Ludy, str. 184). O pew-ny myślicielu, który, bawiąc na wsi, błędził po polach i lasach, przestając z naturą i własnymi myślami, chłopci nasi mówili: „był tu ten głupi“; a gdy znów wśród pewnego partykularza, o którym to Gogol po-wiedział, iż „jest tam tylko jeden porządny człowiek, ale i ten — świnia“, zjawił się jakiś człowiek praw-dziwie uczciwy, ogłoszono go za waryata!

I cóż więc dziwnego, iż troglodyci uważają typy ewolucyjne za anormalne, narwane, waryackie, a siebie za typy normalne, wyższe, za „moralnie zdrowe“. Lecz niedość tego, literaci, z ich grona pochodzący, którzy zyskali sobie sławę wśród publiczności kuryer-kowej za pomocą reklam i węszenia, w którą stronę zwraca się w danej chwili stado Panurga, są do tego

stopnia zaślepieni, do tego stopnia ulegli złudzeniu, że gdy ktoś z typów ewolucyjnych występuje przeciw nim, oni tłumaczą to sobie zazdrością o ich sławę, popularność, płodność pisarską i t. d. Im zazdrości sławy! Ależ, uwzględniając nawet wszelkie możliwe przyczyny, niepodobna oprzeć się myśli, że to nie jest złudzenie, lecz raczej szczyt bezczelności! Co najwyżej, gdy w chwilach wyczerpania, w chwilach, gdy wszelki punkt oparcia usuwa się z pod nóg, możnaby troglodytom zazdrościć *jedynie* tego *usposobienia*, tej organizacyi psychicznej, przy której oni mogą być zadowoleni z siebie i szczęśliwi: człowiek, szarpany cierpieniem, może w najcięższych chwilach zazdrościć usposobienia świni, iż doznaje ona rozkoszy, leżąc w gnojówce, lecz nie można przecie przypuścić, aby człowiek miał ochotę tam się położyć, tak, bez żadnej zmiany, ze swoją własną duszą ludzką, ze swoją własną jaźnią!

Ale na wszystkie powyższe wywody troglodyci gotowi powiedzieć jak ksiądz Romanek (C. Jellenta „W przesileniu“): „e, e to metafizyka“ i rzucić argument konkretny „jak głąz na piersi“, że to oni są właśnie typami ewolucyjnymi, typami przyszłości, ponieważ oni zwyciężają w życiu, podczas gdy tamci giną, marnieją (jako „niedołęgi“). Ani słowa panowie, fakt to spizowy, nic nie jest w stanie go wzruszyć: w życiu zwyciężają byki, wyślizgują się świnię, ostają się drewna; ludzie giną¹⁾. Tak, ludzie rzeczywiście giną

¹⁾ Jedynie tylko w powieściach „zdrowych moralnie“ nacechowanych „poczciwą tendencją“, a pisanych przez szubrawców, zwyciężają szlachetni; albowiem autorzy, będący sami zwycięzcami

ale ich *idee żyją* i „zjadaczy chleba gniotą niewidzialne“, wyciskają wreszcie na ich twarzy rumieniec wstydu, opanowują ich, podnoszą ich lubo z trudem na wyższy poziom duchowy ogólny, nad który wznoszą się następnie pojedynczo nowe „forpoczty“ i tak dalej w nieskończoną dal wieków.

Tak i na wojnie: forpoczty, straceńcy giną, lecz śmiercią swą otwierają drogę i pociągają główną masę armii; tylko, że na wojnie postępująca za forpocztami armia oddaje cześć poległym na przodzie; w życiu zgraja spasionych filistrów i łotrów wyje nad ich grobami: oto niedołęstwo, oto zwyrodnienie, oto niemoralność, oto brak religii!

* * *

Jednym z *najnowszych ataków przeciwnego obozu na typy ewolucyjne* jest artykuł p. Lutosławskiego („Skąd się biorą pesymiści?“. Ateneum, styczeń 1895),

w życiu, chcą w dobrze zrozumianym własnym interesie wmówić w naiwnego czytelnika, że szlachetność zwycięża. Może zresztą niektórzy z nich mają przytem bezinteresowne upodobanie w kreśleniu tego, czego sami nie posiadają; ich tworzenie jest czemś w rodzaju kołysanki, nuconej w wolnych od „zajęć“ chwilach przez — prostytutkę.

Nie przeczę zresztą, iż poza takimi autorami i uczciwi malują nam nieraz zwycięztwo szlachetności, a ci czynią to w celach pedagogicznych: by nie mrozić zapału. Ale ta zasada jest błędną, prowadzi do omyłek, rozczarowań i odstępstw: niech bojownicy życia wstępują na arenę z całą świadomością niebezpieczeństwa, a nawet ofiary; pisząc, bądźmy jak ów wódz starożytny wielkiego serca, który objawił swej drużynie całą grozę czekając walki i dozwolił bojaźliwym oddalić się swobodnie; śmiertelnego boju, który stoczono nazajutrz, nie splamiło żadne odstępstwo, żadne tchórzostwo.

który tutaj nie tyle ze względu na powagę argumentów, ile ze względu na nominalną powagę autora, profesora filozofii, odeprzeć zamierzany.

Pesymizm (autor ma na myśli życiowy, nie filozoficzny) uważa autor za skutek „nieudolności osobistej“ i żywi błogą nadzieję, iż charakteryzując pesymistów jako „nieudolnych“, odbierze im „urok wyższości“ (z powyższego wiemy już, co mamy rozumieć pod tą „nieudolnością“, czy „nieudolnością“). Nie dość na tem: autor *sądzi*, że „ponieważ każdy *sądzi* innych według siebie“, więc pesymiści, powstający na nikczemność ludzką, muszą być sami „nikczemnikami“! — Pomijam tu już, iż jest to logika, którą by można nazwać brukową: „tyś dureń“ mówi ulicznik do drugiego — „tyś sam dureń“, odpowiada mu tamten, niezbyt oryginalny w pomysłach, ale, co ważniejsza, logika ta prowadzi do fatalnych konsekwencji: według niej bowiem wszyscy sędziowie, sądzący łotrów, są sami łotrami; powtóre logika ta, a raczej cios przez nią wymierzony, ma pod względem formalnym wielce niemiłą dla inicjatora własność bumerangu: zakreśla koło i powraca do punktu wyjścia.

Ale p. L. jako filozof, zbyt spoufalony z logiką, obchodzi się z nią w ogóle zupełnie bezceremonialnie: optymista, filozof zdrowia, usiłuje on dla zniszczenia pesymizmu wpoić ograniczonemu ludziskom tę „elementarną prawdę“, że „śmierć nie jest żadnem nieszczęściem“, (obawa śmierci ma sprowadzać pesymizm), lecz tylko „uwolnieniem od ciężkich obowiązków“. Ten pogląd, jakby żywcem zapożyczony od poety rozpaczy, Leopardiego, w ustach filozofa zdrowia,

optymisty, mógłby dać powód do zarzutów logicznych, gdyby nie rozbrajał swym wysokim komizmem.

W ogóle wiele miejsc w artykule p. L. jest czemś pośredniem między farsą humorystyczną, a dydaktycznym zbiorem przykładów na nielogiczności. Ilustrują to szczególniej *radę, jak należy płodzić i hodować optymistów.*

I tak: p. L. radzi, aby kawalerowie żenili się jedynie w tym celu, t. j. dla płodzenia optymistów, a nie dla swego upodobania, więc — nie z takimi panienkami, które zapomocą gorsetów zamieniają swą krew na wodę i starają się działać na zmysły mężczyzn (jako za pomocą „wody“?), jeno z takimi tylko, które się wykazały umiejętnością wychowania dzieci.

Ależ, panienska, któraby chciała osiąść rzeczywiście sztukę wychowania dzieci, musiałaby nietylko studyować filozofię, psychologię, etykę, pedagogikę, higienę, ale i nauczyć się stosować to wszystko, w praktyce (co jak obaczymy niżej, jest wielką różnicą). Tym sposobem kawaler musiałby czekać zbyt długo na ukończenie tych studyów, co znów wobec wymaganej przez p. L. od kawalera tak zwanej czystości, w sensie Björnstjern Björnsona, naraziłoby go na wiele niedogodności, sen niespokojny, a może i na uciekanie się do self helpu w sensie nie Smileasa. Powtóre, zupełnie inne kwalifikacye są potrzebne do rodzenia dzieci, a inne do ich wychowywania i nieraz jedne przeszkadzają drugim. — Potrzebie wreszcie, znajomość wychowania dzieci najczęściej nie ma dla rodziców żadnej prawie wartości praktycznej, gdyż żelazne prawo zarobkowe nie pozostawia czasu na

stosowanie tych wiadomości. — Chyba, że p. L. pisat swe rady nie dla ludzi, żyjących z pracy własnej, lecz z pracy innych; ale w takim razie czyż może być mowa o tem, aby „ojciec swem życiem dawał moralny przykład dzieciom“?

Przytem dla otrzymania pokolenia dzielnego (to jeszcze nie znaczy bynajmniej optymistycznego) potrzebne jest właśnie owo, potępiane przez p. L. „działanie na zmysły“, tymczasem p. L. stoi w tej kwestyi na stanowisku maszynowem, na stanowisku, że tak powiem, strzelby magazynowej, koniecznie w jeden punkt wycelowanej i automatycznie pukającej. — Z takiej procedury, przypominającej w zasadzie małżeństwo Hettema (z „Safo“ Daudeta), przedewszystkiem nie będzie ludzi, choćby nawet, jak żąda p. L., strzelba była dobrana przez buchsmachera-lekarza i opieczętowana legalnemi pieczęciami przez „duchownego celnika“; nic to nie pomoże, albowiem wartość dzieła ludzkiego zależy nie od sumy sił, jakie on w ogóle posiada, lecz od tej ich części, jaką w tym celu zużyje, a więc od siły porywu; gdzie zaś jest przepis i obstalunek, tam nie ma porywu.

Otrzymaawszy tym sposobem maszynowe pokolenie homunkulusów, p. L. daje teraz *rady wychowawcze*. Mianowicie, nie należy pokoleniu temu dawać do czytania Byrona i t. p., lecz pogodniej na świat patrzącego“ Szekspira (czy może oczami optymisty-Hamleta?!), albowiem tak czynią zdrowi Angliacy, dla których Byron jest „immoral“, których moralność jednak wyprowadziła przed niedawnym czasem na światło dzienne „Pall Mall Gazette“. A propos Anglii wyborny jest, przytoczony przez p. L., budujący przy-

kład wypasionego studenta angielskiego z jezuickiego Cambridgu, który czas wolny między criquetem i regatami obraca na nauczanie wygłodniałego robotnika angielskiego, jak ma w sobie wyrobić pogodny pogląd na ten jasny świat z ciemnych podziemi węglowych.

Dalej spotykamy niezmiernie, że tak powiem, sympatyczną, lubo nie nową, radę, aby ludzi niezamożnych nie dopuszczać do nauki (bo ztąd wychodzą pesymiści). Naprzód rady tej jako człowiek nie zazdroszczę panu L.; powtóre, czytając życiorysy wielkich ludzi, trzeba przyjść do przekonania, że gdyby dopuszczanie do nauki zależało od cenzusu majątkowego, to rozwój ludzkości przedstawiałby się bardzo smutnie. Po trzecie wreszcie i tu jak w wielu miejscach rady p. L. prowadzą do sprzeczności: wedle tej recepty mielibyśmy z jednej strony ludzi bogatych, nieraz *kretynów*, którym od młodości z wielkim nakładem kosztów pakują w głowę wiedzę, niby gałki indykowi przeznaczonemu na tuczenie; z drugiej strony — ludzi ubogich, *ludzi* nieraz w całym znaczeniu tego słowa o duchu pełnym pragnień, pełnym wielkich porywów, którzy byliby gwałtem wtłoczeni w dół, przeznaczeni na sługusów, skazani na męki Tantalowe. Znów więc mielibyśmy z jednej strony wstrętnych maszynowych optymistów, Wagnerów, nakręcane lale z mechanizmem naukowym; z drugiej — zrozpaczonych, zmarnowanych pesymistów (prawda tylko, że wygodniejszych, bo ciemnych, a więc według polecenia pana L. — „cierpiących w milczeniu“).

W ogóle rady pana L. pod względem społecznym dadzą się sformułować w ten sposób, że pewna część



ludzi powinna się drugiej części nietylko pozwolić zjadać, ale jeszcze powinna robić przytem minę zadowoloną, pogodną. Jest to obok humorystyki i pewne urągawisko dla cierpienia ludzkiego; p. L. nie może zrozumieć tego, że aby on mógł być optymistą, to na to złożyć się musiały siły bardzo wielu pesymistów (nie filozoficznych, lecz tych „cierpiących w milczeniu“), podobnie jak na wyhodowanie delikatnej rączki damy salonowej lub długiego świderkowego paznokcia filozofa indochińskiego. I za to jeszcze wymyślać pesymistom od nikczemników! — nie to już czarna niewdzięczność. Wprawdzie filozofowi wolno jest może nie być socyologiem, ale przecież nawet tak zalecany przez p. L. do czytania „pogodny“ Szekspir powiedział już, wcale nie dobrodusznie: „musi ktoś czuwać, aby mógł spać ktoś“.

Smutno to powiedzieć, ale takie same poglądy na pesymizm, jakie wygłasza p. L. filozof, słyszałem już po wielekroć od przeciętnych kamieniczników, piwowarów, znaczniejszych obywateli ziemskich i porządnych bankierów, którzy mają aż nadto wiele powodów do pogodnego poglądu na ten najlepszy (dla nich) ze światów.

Jedno jednak zdanie pana L. jest bezwarunkowo słuszne: „u nas, mówi on, brak logiki i psychologii we współczesnem wykształceniu“. Wielka prawda, a p. L. dowiódł jej niezbitcie całym swoim artykułem. Mówię to z całą świadomością stanowiska naukowego pana L. jako profesora filozofii, albowiem z drugiej strony mam też świadomość, że co innego jest *umieć* filozofię, psychologię, logikę i t. d., a co innego *być* filozofem, psychologiem, logikiem.

Być filozofem, mieć umysł filozoficzny, to znaczy umieć patrzeć właściwie na najbardziej złożone zjawiska otaczającego nas świata: umieć ogarnąć z wyższego stanowiska ich ogół w jego ruchu, w jego nieustannej zmienności; pojmować, że w rozwoju ludzkości to, co dziś jest tak zwaną podwaliną, jutro staje się przeżytkiem, kulą u nogi w dalszym pochodzie.

Być psychologiem, to znaczy pojmować i odczuwać pragnienia i cierpienia duszy ludzkiej; odczuwać nawet najłżejsze jej drgnienia.

Być logikiem, to znaczy mieć prawidła logiki nie w pamięci, lecz we krwi, w naturze swej, przyswojone, zharmonizowane, zjednoczone całkowicie.

Być etykiem, to znaczy pojmować, że to, co jest „prawem moralnym“ dla natury gruboskórnej lub automatycznej w rodzaju Hettemów, staje się nie do zniesienia dla natury subtelnej, wrażliwej, i że to nieznoszenie nie jest niemoralnością, lecz ewolucją.

Jednym słowem nie o sumę wiedzy tu chodzi, lecz o stopień jej przyswojenia i sposób jej stosowania do zjawisk napotykaných.

Jakiż to więc filozof patrzy na świat jako na coś, co jest, a nie co się staje; na zjawiska, na formy społeczne, jako na niewzruszone podwaliny, jako na coś trwałego, niezmiennego, a nie jako na zmienne znikome fazy w nieskończonym rozwoju ludzkości?

Jakiż to psycholog patrzy na ludzi, i to w epoce spotężnienia indywidualizmu, jako na maszyny. niby dawny Dekart na zwierzęta?

Jaki psycholog i socyolog patrzy na pesymizm jako na pewien rodzaj zewnętrznej choroby skórnej, którąby można leczyć tamującami obieg krwi silnemi

bandażami, a nie głębokiem, swobodnem oddychaniem w oczyszczonej atmosferze, któreby przyspieszało, potęgowało obieg krwi?

Jaki socyolog może chcieć *dziś i u nas* fabrykować optymistów, ludzi zadowolonych. — Z czego? i cui bono?

Jaki wychowawca, widząc, iż jego elew w starej ciasnej sukni krzywi się, jęczy lub szamocze, nie radzi zmienić ubrania odpowiednio do wzrastających kształtów ciała, lecz woła silnego bedela i każe ubranie zapiąć na wszystkie guziki, dowodząc, że nasi przodkowie chodzili jeszcze w ciaśniejszych i twardszych pancerzach i dobrze im było?

*Jaki logik stawia obok siebie twierdzenia sprzeczne lub do sprzeczności prowadzące?*¹⁾

¹⁾ Możeby czytelnik nie uwierzył, że profesor filozofii może popełniać takie błędy, pozwolę więc sobie tu jeszcze zestawić parę rozwickłań jego bogato splecionych węzłów nielogiczności.

1. Autor radzi *stłumiać* w sobie *idealny popęd do kształcenia* i starać się *robić od młodości grosze*, poświęcając się szewstwu, kramarstwu i t. p., a zarazem *studyować głęboko filozofię*, aby nie bać się śmierci, i to znów dlatego, aby *dla marnych celów materialnych* nie odstąpić nigdy od *zasad idealnych*.

2. Radzi być pogodnym optymistą i zarazem uważać śmierć jako miłą oswobodzicielkę od cierpień tego życia.

3. Wstrzymanie się od kształcenia według p. L. ma *chronić od pesymizmu*, ale zarazem: zaniedbanie studyów filozoficznych, a stąd obawa śmierci, wytwarza chęć zachowania życia, choćby w najgorszych warunkach, a więc *prowadzi do pesymizmu*.

4. Nawet wtedy, gdy w przemyśle samolubne jednostki wywołują krytyczne położenie ogółu, to i tak, mówi p. Lutosławski, winić ich nie można całkowicie, skoro działały *zgodnie z prawodawstwem* i ogół nie powstrzymał ich. To niby sprowadza się do zasady, że nie złodziej winien, lecz ten, co się dał okraść,

Jaki to etyk wreszcie każe nakładać dyby na ręce wyciągnięte ku światłu; jaki etyk urąga dostojności cierpienia ludzkiego?¹⁾

a powtóre: jakże ogół mógł przeciwdziałać, skoro p. L. każe mu być optymistycznym, zadowolonym i nie marzyć o żadnych reformach.

5. Wreszcie bezdenną naiwnością odznaczają się poglądy p. L. na kobiety, które jako „dziewice“, uchronione od wszelkich prochów ziemskich, oczekują na przyszłego męża i pana (zaleconego przez lekarza), ten zaś w nagrodę za rodzenie potomków będzie je chronił swą pracą od kołców i głogów walki o byt, a stąd od zarazy pesymizmu. Pan L. musiał być zahypnotyzowany przed stu laty i dopiero dziś się obudził; dlatego nie zdołał się jeszcze rozejrzeć, że sytuacja jest nieco inna: kobieta, pominąwszy wyjątki, jest zmuszona pracować na utrzymanie, jej zarobek jest nędzny, stoi więc ona wobec dylematu: albo charłactwo, suchoty i t. d. z przepracowania i niedostatecznego odżywiania, albo prostytutcyca. Wyjątek stanowią tu znów córki rentyerów, które mają zawsze szanse wyjścia za mąż (wprawdzie po za tem mogą się też oddawać prostytutcy, ale to już dla własnej przyjemności, a nie dla podłego zarobku) — Jeżeli więc wśród kobiet jest mniej pesymizmu, wynika to tylko z małego ich wykształcenia, a stąd i małego uświadomienia: wszakże wśród jagniąt, które zarzynamy, pesymizm też jest mało rozpowszechniony!

¹⁾ I któżby dał wiarę, iż poglądy i rady powyższe tryglodytyczni sprawozdawcy nazwali „zdrowemi“ i „obywatelskimi“!! Czy to jest bezmiar gruboskórności, czy bezmiar hypokryzyi? Rzecz godna uwagi, iż tryglodyci, przyklaskujący potępieniu pesymizmu społecznego, będącego głównym motorem rozwoju, przyklaskują zarazem pesymizmowi zasadniczemu, albowiem ten prowadzi w socjologii do klerykalizmu (jak w polityce do Hartmanizmu), do negacji nauki i rozwoju, do uznania marności życia doczesnego; gdy się zaś w biedaków wmówi, że życie jest *zasadniczo* marne, to już łatwiej będzie w spokoju zażywać na ich rachunek jego rozkoszy.

Obok zarzutów i napaści ze strony obozu przeciwnego możemy się tu spotkać z zarzutami *naturam pokrewnych*, lecz pochwyconych przez reakcję ku pierwotności pod wpływem *idei Nietzschego*. Idea Nietzschego, idea indywidualności o potężnych instynktach brutalnych, którą tak bezkrytycznie pochwycili liczni pisarze typu ewolucyjnego wśród najmłodszego pokolenia piszących, jest prawdą tylko jako pragnienie, jako chwilowy wybuch zwrotny ku pierwotności, jako paroksyzm, jako klapa bezpieczeństwa dla organizacyi zbyt wybujałych duchowo, zbyt skrępowanych przez więzy cywilizacyi; jako środek, nigdy jako cel ludzkości; jako chwilowa reakcyja, nie jako ewolucya.

Tylko biorąc z gruba, bezkrytycznie, może się wydawać, iż walka o byt wytworzy z czasem wśród ludzkości typ, stawiany jako ideał przez Nietzschego: nie w przyszłej, lecz w pierwotnej fazie kultury typów takich szukać należy. Albowiem proces ewolucyi, wywołanej walką o byt, jest bardziej skomplikowany, niż się to na pozór wydaje: jak potok górski im gwałtowniej płynie i silniej wyżłabia swe łożysko, tem więcej gromadzi na dnie osadów, które zwolna wypierają go z łożyska i zmuszają go do zmiany kierunku: tak i tutaj: im bardziej zażarta wre walka brutalna, tem więcej wymaga wysiłków nietylko muskularnych, ale i mózgowych, nerwowych, a wskutek tego zjawia się zupełnie nieoczekiwany uboczny produkt tej walki: nietylko rozwój inteligencyi, ale, co ważniejsza dla nas tutaj, wysubtelnienie nerwowe, wysubtelnienie uczucia, zmieniające kierunek walki. Wiekowe zwycięstwa brutalności były tym sposobem zwycięstwami Pyrrusowemi, bo oto obecnie w miejsce

jednostek pierwotnych, dla których prawem był ogólny mord, skalpowanie, pożeranie, zjawiają się jednostki, dla których odebranie życia nawet najdrobniejszemu tworowi jest czemś niewymownie bolesnem, często niewykonalnem; dla których chwilowe nawpół nieświadome zadowolenie z cudzej śmierci staje się na całe życie trapiącym wyrzutem sumienia;¹⁾ dla których najmniejsza krzywda, komuś przez innych wyrządzona, budzi szal oburzenia: które, jak mówiła Komornicka, potrafią wtedy „nienawidzieć całą potęgą zdolności kochania“; typy, które nie mogą wyżyć psychicznie w atmosferze fałszu i gwałtu (podobnie jak fizycznie w atmosferze kwasu węglanego); które w tej atmosferze nabierają wstrętu do życia, a stąd stają się panami wyboru gatunku śmierci, co, mimo pozorną sprzeczność, nie zdaje się być dobrą wróżbą na przyszłość dla ostatecznego zwycięstwa brutalności.

Tak więc, pomimo wszelkie pozory przeciwne, możemy twierdzić, że przyszłość należy do typów, zwanych powszechnie „zwyrodniałemi“ i że one są rzeczywiście „forpocztami ewolucyi psychicznej“.

¹⁾ Przykładem doktor Morgex w powieści Roda („La Sacrifié“); niestety tylko, że Rod, obalamucony przez dzisiejszy prąd reakcyjny, każe bohaterowi szukać lekarstwa naprzód u sędziego śledczego, a ostatecznie u księdza, który sprawę, będącą wynikiem wielkiego psychicznego wysubtelnienia (ewolucyi), rozstrzyga prosto zakazem dakalogu: „nie zabijaj“. Wygląda to tak, jakby kto ranę zadaną najbardziej wyszukanem narzędziem katuszy, wymagającą leczenia najbardziej subtelnymi narzędziami nowoczesnej chirurgii, przy zachowaniu środków antyseptycznych, chciał leczyć za pomocą chłopskiego kozika i zalepienia gliną.

Zastanówmy się teraz, *co jest istotą tej ewolucji* i postarajmy się rzucić z tego stanowiska niejakié światło na charakterystyczne cechy typu ewolucyjnego, oraz jego „upadek“.

Ewolucya, jak to łatwo z powyższego zrozumieć, polega na ciągłym przetwarzaniu się sił fizycznych na duchowe, biologicznych na socyologiczne, bezpośrednich porywów na refleksyę (wbrew nietzscheanizmowi); czyli jak wyraziliśmy się już dawniej („Natura i Siła“ Prawda 1893), na *transmisji sił* fizycznych na duchowe, a to pod naciskiem walki o byt, potrzeb społecznych.

Bywają epoki w dziejach, gdy transmisya ta odbywa się w tempie przyspieszonym, takiej epoki my właśnie jesteśmy świadkami i stąd owe częste pojawianie się typów, któreśmy nazwali ewolucyjnymi i scharakteryzowali powyżej¹⁾.

Ta transmisya sił jest dla osobnika *bolesna*, tak iż ludzkość cała wyrasta, jak niegdyś nasz bohater, z tego, co ją boli. Ból ten wynika z dwóch powodów: *indywidualnego (zasadniczego, koniecznego) i społecznego (ubocznego. przypadkowego)*²⁾.

¹⁾ Możliwy tu naturalnie pójsć dalej po za przyczyny psychiczne i sięgnąć do *historycznych*, sprowadzających przyspieszenie tętna; dość tu jednak będzie wskazać na analogię z przeszłości: „Jeżeli okres lat 1789—1793“, mówi C. Jellenta („Ideał wszechludzki 1895 str. 54), „zdwoił, odnowił energię ducha ludzkiego, to rok 1815, gnębiąc jednych, innych przyprawił o istną hipertrofię samowiedzy. Pomógł on wykluczyć się do reszty nowemu rodzajowi ludzkiemu, który składał się z jednostek o nowym całkiem ustroju duchowym“ (Porów. też str. 284 i 285).

²⁾ To odpiera możliwy zarzut tryglodytów, że typy nerwowe mogą być wynikiem pijaństwa, nadużyć płciowych i t. p.; otóż my

Zasadniczo transmisya jest bolesna, bo oddala jednostkę od stanu przyrodzonego pierwotnego, zmusza do wyrzeczenia się nawyknień i rozkoszy dzieciństwa, tak osobnikowego jak i ludzkościowego (przez jednostkę odziedziczonego).

Przypadkowo transmisya jest bolesna wskutek jej nieekonomii, wywołanej stosunkami społecznymi; etyką już przeżywającą się, przyczem realne potrzeby jednostki bywają często tłumione dla fikcyi, formułek przestarzałych („umarli nas zjadają“). Wskutek tego jednostka przy transmisyi traci więcej biologicznie niżby powinna, bez potrzeby, bez korzyści społecznej; przyczem, jak mówi Komornicka, nieraz „cyklony bywają zmuszane do obracania młynów“. Nieekonomia transmisyi psychicznej dochodzi nieraz nawet do absurdu, bo odejmuje człowiekowi to minimum fizyczności, które jest konieczne do tego, aby wyrobiony mózg mógł działać z pożytkiem; zamiast więc pożytku z transmisyi, społeczeństwo ponosi szkodę, gdyż wytwarza sobie rzeczywistych niedołęgów, którzy stają się dla niego ciężarem.

Ta nieekonomia transmisyi jest tem większa, im większa odległość, im większa przepaść dzieli jednostkę od jej otoczenia: a do bólu tej nieekonomii, bólu, wywołanego przyczynami wewnętrznymi, dołącza się jeszcze ból wywołany przyczynami zewnętrznymi: wielkiem odosobnieniem duchowem, naciskiem i arogancją troglodytyzmu i trudnościami warunków bytu

występujemy w obronie tylko takich typów, których nerwowość jest związaną z wielką transmisją sił na mózgowe.

materyalnego, co wszystko razem wiąże się, wikła, potęguje w piekielną harmonię, harmonię śmierci.

Jeżeli więc szczęście człowieka da się sformułować jako stosunek pragnień do rzeczywistości, to czemuż jest w obec takiej rzeczywistości szczęście takich ludzi — ludzi o potężnych pragnieniach, ludzi, których „dusza, jak mówi poeta, to przepaść bezdenna... wlej w nią wszystkie, wszystkie rozkosze tej ziemi, pochłonie je jak kroplę i tylko nad niemi, jak fala nad ofiarą, wzniesie pragnienie“; czemu jest ich szczęście? — zerem? nie: zerem podzielonem przez nieskończoność, jakby powiedział matematyk: „cierpieniem za miliony“, jak mówi poeta.

Stąd to cechą wszystkich typów wyższych, wspólną z więźniami, jest *smutek* (wskutek bólu transmisyi) oraz pewna *dzikość* (a w formie słabszej — *sielankowość*), a raczej jej paroksyzmy: jest to potrzeba reakcyi, wywołana uświadomionym nadmiernym bólem transmisyi, pewnym quousque tandem; jest to więc potrzeba *retransmisyi*, wywołana nadmiernym rzuceniem sił w jednym kierunku, które grozi ruiną maszyny; potrzeba chwilowego powrotu do tej natury pierwotnej, od której jednostka zbyt daleko odbiegła.

To wyjaśnia nam wiele objawów w życiu, literaturze i sztukach pięknych, objawów nieraz formalnie bardzo różnych, mających jednak jeden wspólny motyw. To w części wyjaśnia obecną reakcyę historyczną, powrót ku dawnym wierzeniom, dzieciennym przesądom, legendom i baśniom: nietylko wyjaśnia, ale uczy zarazem, że ta reakcyja nie jest żadną „syntezą“ po wieku krytyki (piękna synteza wieku, polegająca na

wyrzeczeniu się jego najcenniejszych zdobyczy!) lecz jest objawem ujemnym. objawem znużenia (o ile nie jest objawem szalbierstwa), które musi przeminąć, niby chwilowe omdlenie. To wyjaśnia nam dalej dzisiejszy zwrot ku sportom wszelkiego rodzaju, oraz pracom ręcznym (w pedagogice). To wyjaśnia, dlaczego tak czynny psychicznie Gladston rąbał drzewo, dlaczego tak potężny umysł, jak Darwin, osiadłszy na wsi, grywał w bilboquet; dlaczego geniusz wojenny, Moltke, oddawał się z zamiłowaniem karmieniu ptactwa domowego (niby Zosia z Pana Tadeusza!) To wyjaśnia, w swych dwóch wyżej wymienionych formach, nietzscheanizm (dzikość) i rousseauizm (sielankowość). To wyjaśnia, dlaczego przeduchowiony, umierający już prawie z wyczerpania sił na transmisyę duchową, artysta tworzy „szał uniesień“, uosobienie potęgi żywiłowej zmysłów¹⁾. To wyjaśnia znaczenie takich

¹⁾ Objaw to charakterystyczny, iż nasi trogolodcy zarzucali twórcy „Szału“, że jego serce jest wyzute ze szlachetnych pożądań, zarzucali mu zwierzęcość, niemoralność, nawoływali do idealnych celów dobra, piękna i prawdy. (Timeo Danos!). Zwierzę umierające z przeduchowienia! — Czy istnieje większa ironia? A co do samego obrazu: powiedzieliśmy już dawniej („Natura i siła“), że wrażenie, jakie czyni wielki talent, to transmisyja *siły* artysty na widza, która w tym ostatnim budzi lub wzmaga jego własną drzemiacą siłę; siłę tę może on zużytkować *w rozmaitej formie*, stosownie do swej natury, chwilowego usposobienia lub okoliczności. Lecz gdyby nawet na jakiegoś filistra siła zaklęta w „Szale“ podziałała jaknajbardziej bezpośrednio, naturalistycznie, to i tak wpływ ten nie będzie demoralizujący: filister taki porówna tę potężną chucę orkanu, która płodzi gieniusze, ze swoją nędzną chucią maszyny, która rodzi kretyńców, ze swym „snem fabrykanta“, jak mówi Krasiński, i może choć raz w życiu dozna silniejszego porywu. Ze stanowiska ewolucyjnego to będzie też umoralniające.

typów niewieścich w życiu poetów lub w poezji, jak Marguerita Cogni Byrona (ciesząca się nim „jak tygrysyca kociętami“), jak Matylda Heinego, jak Margaretha Goethego (znaczenie to jest przytem spotęgowane urokiem kontrastu). To wyjaśnia wogóle występowanie w sztukach pięknych motywów i scen ludowych. To wyjaśnia, dlaczego jednostki, wybiegające myślą daleko naprzód w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, uczuciem powracają nieraz „po nocnej rosie“, z „powiewem ranku“, z upajającym tchnieniem dnia letniego ku niknącym obrazom swej ewolucyjnej przeszłości. Nie na to jednak, by tam pozostać, uwstecznić się i zgnuśnieć, lecz żeby tam odpocząć, nabrać siły do dalszej walki (pozostawiając w zamian zarody śmierci dla tego, co ze stanowiska ewolucji jest morituum; n. p. zetknięcie się turystów ze swiatem góralskim).

Te objawy retransmisji, prócz chwilowego odpoczynku, zdają się mieć jeszcze ważniejsze ewolucyjne znaczenie: są one jakby ćwiczeniami, wprawiającemi człowieka w transmisyę sił, (przez wybrakowanie niezdolnych do retransmisji), a wszakże dowolne przerzucanie siły na różne funkcje organizmu jest ideałem indywidualnego rozwoju.

W razie bowiem niemożności urzeczywistnienia retransmisji w chwilach wielkiego przełomu jednostce grozi zupełne wyczerpanie, melancholia, samobójstwo, związane często z zabójstwem lub obłąkanie (n. p. osobistość Nietzschego). Retransmisya dla natur potężniejszych to skok nad przepaścią; kto nie dosięgnie jej krawędzi, ten roztrąci się o skały, na dnie sterzące; a choćby się zdołał jeszcze przebudzić, to mó-

więc słowa Krasieńskiego: „przebudzenie coraz rzadsze i coraz krótsze, a sen w grobie coraz dłuższy i coraz twardszy“.

Są to bezwątpienia objawy niemoralne, objawy upadku: naturalnie jednak, iż terminów tych używamy nie w znaczeniu etyki troglodytów (którzy właśnie doprowadzają typy ewolucyjne do takiego upadku), lecz w znaczeniu etyki ewolucyjnej. Właściwiej może byłoby nazwać te objawy nieszczęściem; ludzie ci nie są przestępcami, lecz ofiarami. W każdym razie „upadki“ te nie są wynikiem słabości, jak sądzą trologdyci. Słabość! — Ależ wśród tych typów, które „upadają“, napotyka się ludzi nie tylko z wielką siłą umysłu i wielką siłą talentu, jaki rzadko jest udziałem troglodytów, ale nawet z potężną siłą muskułów (Maupassant); tak wielka jest ich siła absolutna, że nawet po wielkiej transmisji psychicznej zostało się jeszcze wiele na stronę fizyczną. A więc to nie słabość, tylko nieproporcjonalność między pragnieniami i rzeczywistością (zwiększana jeszcze przez gospodarke troglodytów), między wielkimi zapasami i jeszcze większymi jednak wydatkami. Można wypowiedzieć twierdzenie na pozór sprzeczne, a jednak zupełnie prawdziwe, że ich „upadek“ jest skutkiem nie słabości, lecz siły! Trzoda, tarzająca się w błocie, nie może upaść niżej, lecz orłowi szybującemu w obłokach, upadek wciąż grozi: dzięki wielkiej sile skrzydeł i wewnętrznego impulsu, wzbił się wysoko w chmury, lecz tam może zabraknąć odżywoznych zapasów ziemskich i atmosfera może stać się za rzadka do takiego wzlotu, a duma lub rozmach zbyt wielki

nie pozwolą cofnąć się ku ziemi, choćby dla chwilowego odroczenia, nabrania nowych sił...

Mówimy tu naturalnie o typach ewolucyjnych z wielką siłą absolutną — nie przeczymy jednak, iż obok takich zdarzają się słabsze, pozbawione owej cechy dzikości, zaciętości. Typy takie w obec wielkiego wyczerpania, nacisku ekonomicznego i t. d. ulegają reakcyi, retransmisyi nie ku naturze brutalnej, lwiej, lecz ku naturze innych podtypów troglodytycznych: drewnianej lub nawet świńskiej; albo obojętnieją one na wszystko, zasklepiając się w swej skorupie, albo wślizgują się w łaski troglodytów, żałując „grzechów młodości“, i zyskują w ten sposób poparcie w formie dóbr materyalnych i reklamy; „przyjąwszy, jak mówi Heine, błogosławieństwo opastych czarodziejów, ucztują ze szlachetnymi poganiaczami osłów“. Lecz typy silne nie ugną się nigdy, gotowe są zerwać wszelkie więzy osobiste, któreby im w tym kierunku mogły być niebezpieczne — postąpić nieraz, jak nasz bohater z pod Cecory, co przebił mieczem ulubionego konia, aby w chwili najgorszej nie uledez pokusie ucieczki — a gdy ich wszystko opuści, potrafią się złamać, lecz nie ugiąć; umrzeć, lecz nie poddać się. Upadek lub chwianie się silnych mogą być niewyczerpanem źródłem piękna dla dramaturgów i powieściopisarzy.

*

Urzędowi troglodytyczni krytycy literaccy, zgodnie z tą opinią, jaką troglodyci w ogóle żywią o nerwowcach, twierdzą, że w *utworach literatury pięknej* nie ma na nich miejsca.

Z różnych typów krytyków troglodytycznych, szczególnie przeważny głos, zgodnie z tem, co powiedzieliśmy powyżej o „wytrawności“, mają krytycy-drewna. Przez jakieś dziwne prawo kontrastu, zamiast zasuszać rośliny, klasyfikować pająki, wiwisekować króliki lub żaby, biorą się oni do analizy duszy ludzkiej, oceniania uczuć, dla których zrozumienia nie mają w swej duszy żadnego punktu zaczepnego do analogii, albowiem z powodu swej organizacyi, uczuć tych nigdy nie doświadczyli. Sami nie żyjąc, nie czując, nie pragnąc, nie cierpiąc, nie walcząc z wściekłością, nie padając z sercem zakrwawionem, nie powstając znowu z okiem krwią nabiegłym, z zaciśniętymi zębami, z pianą na ustach — nie z tego co przeżyli, przeboleli, przewalczyli — lecz z książek czerpią swą wiedzę o uczuciach; nie odczuwając żywych drgnień serca ludzkiego, oceniają utwory i typy ze stanowiska wyuczonych szablonów. Wskutek tego właśnie typy, o jakich mówimy, typy ewolucyjne, przeciśnięte przez ciasne i suche formy dusz takich krytyków, ukazują się czytelnikowi pokoszlawione do niepoznania. niby „rzecz sama w sobie“, przeciśnięta przez formy zmysłów ludzkich.

Tym sposobem krytyka „drewien“, lubo nacechowana sumiennością, zlewa się z grubą krytyką „byków“ i obliczoną na zyski, krytyką „świń“ w jedną harmonię (wspaniała orkiestra!): takie utwory to „paskudztwa“, takie typy są „zwyrodniałe, historyczne, narwane“ i t. p.; głoszą one idee „niezdrowe, niemoralne, cuchnące“ i t. p. Krytycy nasi chcą widzieć tylko typy normalne, zrównoważone“, które głoszą idee „poczciwe, pogodne, ciepłe, nasze“ i t. p.

Oni są smakosze; lubią kotlety tak zwane à la Kawalkiewicz¹⁾, to jest siekane z padliny, zawijane w uperfumowane papiloty i podlane słodko-moralnym sosem. Są widać wytrwali na chorobę morską; czemuż nie zostali marynarzami!

Nie dość na tem; przeciw przedstawianiu typów ewolucyjnych w powieści występują też społecznicy: co nas tam obchodzą jakieś osobiste cierpienia i burze wewnętrzne, to jest egoizm; w powieściach takich nie ma zmysłu społecznego, autorowie nie podnoszą „kwestyi społecznych“ i t. d. Ale to jest tylko krótkowidztwo: zapewne, że formalnie nie ma tam rozbioru kwestyi społecznych, ale społecznicy powinni by zrozumieć, że sprawiedliwość społeczna rozwija się z rozwojem subtelności i wrażliwości psychicznej jednostek, z zanikaniem gruboskórności i drewnianości. Bez takiego wysubtelnienia psychicznego niemożliwym jest postęp społeczny, bo mimo wszelkie reformy formalne, gruboskórność i świństwo ludzkie zawsze znajdują dla siebie korzystne ujęcie.

Pomimo to wszystko, powieściopisarze pod naciskiem samego życia przedstawiają jednak coraz częściej typy tego rodzaju, ale przedstawiają zwykle albo czysto realistycznie, albo, jeżeli tendencyjnie, to ujemnie.

Z naszego stanowiska, ze stanowiska walki o idee, *typy te należy przedstawiać w utworach literackich tendencyjnie i dodatnio*; albowiem w interesie ewolucyi leży pozyskanie czytelnika dla tych typów, oraz uświadomienie typom pokrewnym, lecz słabszym, nie-

¹⁾ Ob. niżej artykuł: „Trzeba mieć metodę“.

uświadomionym, ich stanowiska i wartości psychicznej. W jakież sposób to osiągnąć?

Gdyby kto chciał n. p. skłonić ogrodników swego kraju do zaprowadzenia nowego gatunku owoców, którego, co ważne, ojcowie ich nie znali, to musiałby im okazać indywidua tego gatunku najokazalsze, najlepiej rozwinięte, najsilniejsze. Tak samo więc czynić należy, okazując grubemu tłumowi typy ewolucyjne; trzeba aby one robiły wrażenie siły (absolutnej). W tym celu potrzeba w ogóle: 1) aby ich słabość względna, codziennie-życiowa była umotywowana wielką wydajnością (a przynajmniej wielkiem napięciem) na cele duchowe, na walkę o idee oraz na walkę o byt; 2) aby w fazie reakcyi biologicznej okazali wielką, żywiołową siłę pragnienia, t. j., by rozmach reakcyi był wielki, cel jej daleko ku pierwotności wysunięty; 3) aby po daremności usiłowań rozpacz miała ton wysoki. Kto jest filozofem, pojmującym typy ewolucyjne, a zarazem artystą i człowiekiem, współczującym z nimi, ten potrafi na powyższych podstawach wydobyć z nich gromy, których ulękliby się troglodyci, podobnie jak rozjuszony byk lub flegmatyczny wielbłąd-automat lękają się buchającego parą i skrami, pociągu kolei, niosącego cywilizację wśród puszczy pierwotnej!

Trzeba wdroić w umysły tłumu, że te typy są potęgą, która, mimo pozorną, słabość, może się w razie przeciągnięcia struny zmienić nawet w brutalną, a tak wielką, że jednorazowem wybuchem potrafi zmiażdżyć codzienną, rutynowaną brutalność troglodyty; że to są lwy zamknięte w klatce, które w napadzie wściekłości mogą klatkę rozerwać; a któż

z widzów nie zadrży na widok szarpnięcia się lwa. Że te „niedołęgi“ — to są Samsoni, którym Dalila-transmisa obciąła włosy energii brutalnej, lecz którym włosy odrastają czasami na chwilę, a wtedy stają się oni zdolni „jednem wstrząśnieniem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem“. Że te „niedołęgi“ to niepozorne ciche torpedowce, które wybuchem mogą zdruzgotać najbardziej imponujące brutalnością kolosy dawnej konstrukcyi. Że typ taki pośród gawiedzi, to typ europejczyka pośród dzikich: dzicy lekceważą drobną jego postać i, ufni w liczbę i siłę, rzucają się na niego z potężnymi maczugami: lecz z drobnej ręki jego wypada grom ognisty, który powali najsilniejszych. Trzeba wreszcie typy te przedstawiać z pewnym smutkiem ofiary, ale zarazem z pewną dumą straceńców, otwierających ludzkości drogę krwią swoją, jak nowi Winkelridzi; otaczających się atmosferą chłodu, która trzyma w należytem oddaleniu wszelką duchową hołotę ¹⁾.

¹⁾ Zwracamy uwagę, iż dla wyrażenia stanów duszy, właściwych dzisiejszym typom ewolucyjnym, posługiwaliśmy się bardzo często formami zapożyczonymi od wybitnych poetów doby romantycznej — a czyniliśmy to z pewnym celem; albowiem gdy troglodycie okazać jakąś nową ideę, to przedewszystkiem obwącha on ją z niedowierzaniem — i dopiero gdy zwęszy i wyszpera z zadowoleniem, że idea ta nie jest zupełnie nowa, że już tam za Piasta lub Sasa było coś podobnego — wtedy patrzy na nią z mniejszem niedowierzaniem — mniej z góry; w miejsce surowości gromowładnego Zeusa zjawia się u niego pewna pobłażliwa surowość ojcowska; gniewa on się wprawdzie jeszcze na młode pokolenie, ale tak jak ów ojciec w komedyi na wybryki syna; „a to cymbał! — kubek w kubek ojciec!“

II.

Postaramy się teraz *wyrażone powyżej idee ogólne uilustrować (a po części i dalej rozwinąć) za pomocą rozbioru dwu, po części odpowiadających im, utworów literackich, wyszłych z pod pióra »najmłodszych«*; mówimy tu mianowicie o nowelach Cezarego Jellenty („W Przesileniu) i M. Komornickiej („Szkice“). Zwrócimy też zgodnie z powyższem uwagę na *charakterystyczne stanowisko krytyki troglodytycznej względem tych utworów*.

Rozbiór prac Jellenty podjąłem tutaj tym chętniej, że w owym czasie z powodu sprawy z Mieszkowskim stał on się celem napaści i bojkotu ze strony świata reportersko-literackiego. W sprawie tej pisałem wówczas między innymi, co następuje:

„Gdy dojdę do przekonania, że ktoś został pokrzywdzony, nie waham się rzucić mego nazwiska na szalę jego sprawy, a to tem bardziej, gdy, jak w danym razie,

To podobieństwo między dzisiejszym indywidualizmem i dawnym romantyzmem nie jest przypadkowe, lecz zasadnicze: pierwszy jest dalszym ciągiem drugiego, lecz nie powrotem, jak niektórzy sądzą; dawna droga została porzucona dla braku zapasów — obecnie te zapasy zostały zebrane na drodze chłodnych dociekań naukowych; z temi zapasami wstępujemy na końcowy punkt dawnej drogi, to znaczy, wstępujemy nietylko lepiej uzbrojeni, lecz także pozbawieni wielu naiwnych złudzeń; jeżeli jeszcze krępują nas niektóre więzy nawyknięcia, to jesteśmy zupełnie świadomi tego; nie drżymy przed wytworami własnej wyobraźni. Tymczasem nasi troglodyci zrozumieli to nie jako ewolucję, lecz jako powrót do dawno już obalonych bogów. Szanowni panowie, aby to być mogło, trzebaby z mózgow dzisiejszego pokolenia wyprzeć te tkanki, które pracą myśli kilku pokoleń zostały wytworzone.

przeciwstawiają się nie dwie osobistości, lecz raczej dwie zasady, dwa światy: z jednej świat ludzki, świat idei, świat nieskazitelności, świat nauki: z drugiej świat reportersko-literacki, bez idei, bez zmysłu etycznego, bez kultury umysłowej.

Stawianie czoła takiemu światu, po stronie którego są takie szanse, jak: spryt życiowy, pisma, pieniądze, brutalność liczby, bezkrytyczność ogółu, tchórzostwo opinii — stawianie czoła takiemu światu, przyznając, jest „nierozważne“ w sensie filistersko-praktycznym, ale na szczęście nie wszyscy ludzie jeszcze spodleli do rzędu filistrów, lub ulegli ślepotcie moralnej; są jeszcze tacy, którzy siłą swego przekonania są w stanie przeciwstawić nie tylko warszawskiej reporteryi, ale nawet światu całemu!...

Że za to przeciwnicy, kupczący idealizmem postarają się o poderwanie im bytu materialnego, nie ułęką się oni, przywykli bowiem odmawiać sobie wszystkiego, aby nie frymarzyć swą duszą.

Że za to w dodatku spotkają ich szkalowania, nie ułęką się również, wiedzą bowiem, że są ludzie i pisma, których szkalowania są zaszczytem, tak jak pochwały są zniewagą“.

Zanim do typów Jellenty zastosuję powyższą skalę wymagań, muszę się załatwić z możliwym przeciw mnie zarzutem, iż zamiast oceniać te „wykramki z życia“ ze stanowiska realistycznego, podsuwam autorowi tendencję, której może nie miał i z tego sztucznego samowolnego stanowiska choć go oceniać.

Zarzut taki jednak nie byłby słuszny. Wszakże Jellenta, jako krytyk artystyczny, nawet w malarstwie nie jest zwolennikiem kierunku realistycznego,

bezideowego, beztendancyjnego; nie zachwycają go wcale, choćby najprawidłowiej namalowani, „oficyaliści towarzystwa asenizacyi zajęci spełnianiem swych obowiązków“ (C. Jellenta „Studia filozoficzne“ str. 251); w swem zaś świeżem dziele: „Ideał wszechludzki“ na str. 36. powiada: „Poezya jest nie tyle malarzem życia, ile wyobrazicielem pragnień i ideałów, to skłania do mierzenia poezyi probierzem praktycznym“. Na tej podstawie mam prawo twierdzić, iż nie jest on jedynie fotografem swych typów. Powtóre autor posiada umysł zbyt filozoficzny na to, jest zbyt europejczykiem, wyzwolonym z pęt parafiańszczyzny, a nie-pochwyconym w pęta dzisiejszej chwilowej reakcyi wstecznej, reakcyi ku dogmatom, aby miał swym bohaterom brać tendencyjnie za złe, że są „bez dogmatu“, by ich uważał za typy zwyrodniałe, sprowadzone na bezdroża filozofią (Uczeń Bourgeta).

Tak więc autor musiał mieć tendencyę i musiał mieć taką, jaką myśmy postawili; w szczególności chciał przedstawić typ ludzi, którym ich praca umysłowa nadała wielką przewagę strony wewnętrznej nad zewnętrzną, umysłu nad ciałem, oderwała od życia, pokrzywdziła i upośledziła życiowo i którzy, uświadomiwszy to sobie („przesiliwszy się“), ulegają reakcyi (retransmisji) biologicznej (głównie erotycznej). Ze stanowiska zatem takiej tendencyi utwory autora oceniać mamy prawo.

* * *

Stosując wyżej wyłożone zasady do oceny typów Jellenty, musimy postawić sobie następujące pytanie:

1) Jakie jest umotywowanie słabości życiowej (biologicznej). 2) Jaki jest cel reakcyi (retransmisji). 3) Jaki jest ton cierpienia po niedosięgnięciu celu.

Co do 1-szego, t. j. co do *umotywwania słabości biologicznej wydajnością duchową*, czyli tem, co nazwalimy transmisją sił fizycznych na duchowe, to w formie szkiców trudno to było wykazać szczegółowo, jednakże autor przeważnie zaznacza to: tak n. p. Jerzy (w noweli „Pięć wieczorów“) mówi do zrównoważonego „przyjaciela“: „gdybyś ty tak siadywał przy biurku po dziesięć godzin dziennie, jak ja i dawał się żywcem pożerać literackim ambicyom, możebyś nie był tak pewien siebie. My piszący jesteśmy niedołączkami zawsze i wszędzie, gdzie nie chodzi o myślenie“. Podobnież Walery („Tryumfy pana Walerego“) mówi w duchu do rozbawionych filistrów z pewnem poczuciem wyższości swej siły absolutnej, a zarazem z pewną zazdrością względem ich energii zdawkowej: „próbujcie tak pracować jak ja, a prędko wyciągniecie kopyta“. Wacław („Stary kawaler“) jest w tym względzie mniej umotywowany i dlatego czyni słabsze wrażenie.

Co do 2-go, to jest, *jak zachowują się omawiane typy w fazie reakcyi (retransmisji) i jak daleki jest cel reakcyi?* Reakcyja biologiczna (erotyczna) objawia się u typów Jellenty w formie, w której umysłowość, salonowa, szermierka międzypleciowa gra ważną rolę; dla której możnaby użyć rozszerzonej nieco nazwy flirtu. Otóż, na podstawie wyżej wyrażonych zasad, jest to forma reakcyi błada, albowiem cel jej nie jest zbyt daleko ku pierwotności wysunięty, jest daleki

od żywiołowości; od tej burzy, która jest wyrazem potęgi i odnowy.

Rzeczywiście, mózgowiec, który wciągnięty w towarzystwo szablonów, zwanych „damami“ i „panami“, upodabnia się im, czyni takie wrażenie jak lew, który, wydostawszy się jakimś wypadkiem z klatki, nie miazdży swą siłą otaczających go gapiów i nie powraca do swej rodzinnej dzikiej puszczy, lecz zmieszawszy się z pasącym się po za klatką stadem, zaczyna łakomie skubać badyle. Lew taki obudzi w stadzie lekceważenie, a w swych braciach żal. Wynika to ze zbyt bliskiego celu reakcyi, będącego znakiem małej siły rzutu w ogóle. Lecz bohater, któryby potrafił, a przynajmniej usiłował, pragnął, siły swe retransmitować chwilowo na cel dalszy, pierwotniejszy, na poryw brutalniejszy, nie budziłby lekceważenia, jak nie budzi lekceważenia n. p. Ieremontowski więzień Mcyri, gdy wydostawszy się z klatki klasztornej, brata się lub walczy z burzą i dzikimi bestyami¹⁾.

Cały ten psychiczny proces transmisji i retransmisji da się porównać do procesu mechanicznego zagłębiania się kuli, rzuconej w zaporę sprężystą; im silniejszym był rzut, im głębiej kula wcisnęła się

¹⁾ Mógłbym tu być posądzony o sprzeczność, albowiem w innym miejscu („Natura i siła“) występowałem przeciw idei powrotu do natury tak w formie Rousseauizmu jak i Nietzscheanizmu; nie jest to jednak sprzeczność, bo co innego jest być n. p. zwolennikiem chwilowego snu dla odnowy sił w celu dalszej natężonej działalności, a co innego z mędrcecm wschodnim uważać wieczny sen za ideał życia („lepiej spać, niżli leżeć“ itd.), co innego być zwolennikiem ćwiczeń cielesnych dla podtrzymania dzielności duchowej, a co innego zwolennikiem zgrubienia fizycznego i duchowego.

w zaporę, tem dalej zostanie odbitą w tył; otóż słabsze odbicie świadczy o słabości pierwotnego rzutu.

W jednym tylko razie „filozof“, flirtujący nie czyniłby wrażenia słabości, mianowicie wtedy, gdy flirt jego nie byłby szczerością, lecz ironią: Konrad Wallenrod, ten bohater, co wielką swą siłę absolutną przetopił na „głupią chęć sławy i miłość ojczyzny“; ten kolos ze stali, kryjący czoło w chmurach piorunowych, uśmiecha się czasem „i rzuca damom pięknych słówek krocie z zimną grzecznością, jak dzieciom łakocie“. W jednym miejscu znajdujemy analogiczny rys u Jellenty: „Wacław, nieprzejednany krytyk, był w towarzystwie milczącym szyderstwem... odstręczał kobiety pewnem subtelnem lekceważeniem“; ale ten sam Wacław w innych razach okazuje się niestety słabym, wygodnickim i t. p.

Nietylko jednak ze stanowiska wyżej określonej tendencji, ale nawet i ze stanowiska realistycznego, flirt jest tu nie na miejscu: dla typu, o którym mówimy, jest on nie tylko formą reakcyi słabą, ale i nieodpowiednią dla jego natury. — Jest to raczej rzecz sybarytów, salonowców z fachu, którzy, nie nie myśląc, nie wydatkując sił na cele duchowe, mają przy miernej nawet sile absolutnej wiele energii zdawkowej; będąc grubymi materyalistami i płytkimi umysłami, szukają a contrario sprytu kokieteryjnego, jako przyprawy miłości; flirt jest jedyną niemal formą ich działalności umysłowej, na równi z grą w karty, szachy, wreszcie z lekturą powieści historycznych, jako rzeczy „poważnych“. Wszystkie te objawy „umysłowe“ spotykamy u ludzi grubych, prowadzących życie raczej czynne niż umysłowe. Podobnie ucześnieżanie na

dramata i tragedye, a także odwiedzanie cmentarzy, są często jedynymi formami smutku u ludzi, prowadzących życie lekkie i wesołe. Jak ludzie, żyjący ciałem, szukają „reakcyi“ quasi duchowej, tak ludzie, żyjący duchem, szukają reakcyi cielesnej (jak to już wyżej zostało uzasadnione).

Wreszcie jeden jeszcze argument przeciw flirtowi: jakkolwiek wielkie wysubtelnienie umysłowe typów ewolucyjnych daje im na tem polu wielką przewagę nawet nad rutynowanymi fachowcami w tym względzie z pośród troglodytów, to jednak zwycięstwo tego rodzaju jest pyrrusowem, prowadzącem do duchowego katzenjammeru: bo podczas gdy dla troglodytów jest to życie samo, to dla nerwoców jest to aktorstwo, a powodzenie, tą drogą otrzymane, jest dla nich psychicznie bezwartościowe: jeden ze znanych mi typów takich wyraził się charakterystycznie, iż „pozy skiwać kobietę przewagą umysłową, jest to stać na stanowisku aptekarza, który ją pozyskuje perfumami, mydełkami lub ślazowem ciastem“; czemś, co nie jest nim samym, lecz jego wytworem. Zdaje się też, że w niedalekiej przyszłości, to co nazywamy małżeństwem, będzie (przynajmniej w fazie reakcyi) tak w interesie jednostki jak i potomstwa, nie spełnianiem przepisów w rodzaju p. Lutosławskiego, lecz kojarzeniem się naturalnem i swobodnem typów, zajmujących na drabinie ewolucyi psychicznej szczeble skrajnie przeciwległe, a to na zasadzie dążności natury do wyrównania kontrastów, podobnie dążność cząstek atmosferycznych jest największą między punktami o największej różnicy ciśnienia. Przykłady takich „mezaliansów“,

takich kojarzeń „niedobrych“ spotykamy w życiu¹⁾, a i w literaturze²⁾ występują one coraz częściej, mimo swego „narwaństwa“, „niemoralności“ i „skandaliczności“ towarzyskiej.

Taką jest forma silnej reakcyi biologicznej; reakcyja ta będzie zawsze „powrotem na łono natury“; prawda jednak, iż to „łono“ z biegiem czasu ulegać będzie zmianie, to więc, co dziś (lub w niedalekiej przyszłości) jest formą „reakcyi“ *umysłowej* dla ludzi grubych, przeciętnych (flirt), może stać się z czasem formą reakcyi *biologicznej* dla forpoczt ewolucyjnych³⁾.

Na dziś jednak flirt dla wielu powodów nie wy-

¹⁾ Wyobrażam sobie, jaką zgrozę myśli powyższe wywołają wśród naszych prawowiernych, poważę się jednak przypomnieć im pokornie, że niedawno zachwycali się małżeństwem pewnego artysty-malarza z wieśniaczką krakowską: niech więc raczą rozważyć, czy można potępiać w teoryi to, co, przeprowadzone w praktyce, budziło uwielbienie.

²⁾ Pośród, odznaczających się wielką subtelnością psychiczną, szkiców literackich Leona Winiarskiego znajduje się sprawozdanie z powieści angielskiej, w której wysubtelniona dama wielkiego świata Londynu została porwana pierwotnością chłopca szkockiego: „Wolę jego siłę i prostotę, mówi ona, niż całą kulturę londyńską“ („Prawda“ Nr. 3 r. 1895). Coś podobnego spotykamy też w powieści Orzeszkowej „Nad Niemnem“.

³⁾ Znałem nawet jeden typ współczesny, zbyt wyczerpany pracą mózgową i nieszczęściami, dla którego formą reakcyi biologicznej stało się małżeństwo (jako takie); po jednym niepowodzeniu w tym względzie wpadł, że tak powiem, w furję małżeńską; postanowił ożenić się — bądź co bądź z kimkolwiek, bo chodziło mu o *możliwość* ożenienia się. To więc co dla viveurów stanowi zwykle pewne ustępstwo z natury brutalnej na rzecz człowieczeństwa, „reakcyę“ duchową, idealną, to dla tego typu zbyt przeduchowionego było reakcją biologiczną. Oryginalny Nietzscheizm!

daje się formą reakcyi ani dość silną, ani właściwą dla mózgowców.

W ostatniej jednak noweli C. Jellenty („W przesileniu“) reakcyja posiada wielką siłę, lecz ma ona tutaj zupełnie inny (nie erotyczny) charakter i występuje w typie niewieścim (Basi); tu nie chodzi o reakcyę biologiczną dla celów erotycznych, lecz o reakcyę biologiczną dla celów walki ducha, zbyt wysubtelniejszego, z otoczeniem brutalnem. Ta subtelna natura niewieścia, „mająca więcej w sercu niż w gardle“, musiała z trudem zdobywać się („przesilić“) na odwagę ostrego starcia z brutalnym narzeczonym, a nawet z całą zgrają brutalów; na danie im moralnego policzka. Reakcyja, a raczej uświadomienie, prowadzi tu nie do zwrotu ku brutalności życia biologicznego, lecz ku „brutalności“ (sit venia verbo) energicznego wystąpienia w obronie zasad człowieczeństwa, na którą poprzednie siły, zwrócone ku wnętrzu ducha, nie mogły się zdobyć, nie mogły się przenieść do „gardła“. Lecz przyszła wreszcie chwila wybuchu; gdy na słowa Basi pełne szlachetnego porywu (w obronie nieszczęśliwych wieśniaków dotkniętych pożarem) jeden z troglodytów (ks. Romanek) mówi charakterystycznie: „ee, to metafizyka, darwinizm“, wtedy ona rzuca mu w twarz: „ja nie twierdzę, że ludzie pochodzą od małpy, lecz że nie powinni być małpami“ i opuszcza nienawistną zgrają, spiorunowaną, zawstydzoną. W swem oburzeniu ta wąta dziewczyna wygląda wspanialej od wszystkich typów męskich z innych noweli. Po wybuchu tym ulega ona rozpaczycy (obacz niżej), ale po jej przebyciu nastąpiła odwaga trwała, uparta: „nie obawia się już niczego, bo się opancerzyła wolą i rozu-

mieniem siebie i ani niechęci ludzkiej, ani nawet prę-gierza opinii nie ulęknie się nigdy, jeżeli tylko będzie *sobą* i w zgodzie z *sobą*... „zdaje się jej, że przywie-zie do domu hardość i nieugiętość dębu... to nic, że słaba i wiotka, ale jest czujna i przekonana o niespo-żytości tego skrytego ognia, który się nazywa uporem człowieka... Czyż właśnie nie tkwi wielka, drogocenna rozkosz w poczuciu, że nikt na okół siły naszej nie podejrzewa, a my czaimy się z nią i wtedy, gdy jej się najmniej spodziewają, wyrzucamy stalowy grot“ (jest to ów „grom“ z ręki białego na gromadę dzi-kich. Ob. wyżej str. 66).

Co do 3-go. Skończywszy z celem reakcyi, zo-baczymy teraz jakie jest u typów Jellenty *natężenie rozpacz* z powodu *nieosiągnięcia celu reakcyi*.

Chwila, gdy typ ewolucyjny dochodzi do uświa-domienia, że „grau ist alle Theorie“, że dla osiągnię-cia szczęścia trzebaby przed każdym krokiem dotych-czasowego życia zmienić znak algebraiczny na wprost przeciwny, ale już zapóźno, jest wysoce dramatyczną i stanowić powinna pod względem artystycznym kulminacyjny punkt utworu.

Rozpacz ta u różnych typów Jellenty ma różny stopień natężenia: najslabiej przejawia się w Wacławie („Stary kawaler“), u którego rozplywa się w tęsknotę. Walery mówi sobie wprawdzie z goryczą: „małpa!“, ale to za mało: nie chodzi nam tu o trywialność, która w danym razie jest na miejscu: człowiek szar-pany bólem nie szuka wyrazów w słowniku dla do-brze ułożonej „moralnej“ panny „na wydaniu“; ale chodzi o niedostateczność siły. Gdyby bohater był z wściekłości gryzł poręcz swego łóżka, roztrzaskał

potężną pięścią stół, reprezentant jego więzienia, gdyby się był wił po podłodze jak szaleniec i drapał ją skrawionymi paznokciami, gdyby był uderzył głową o mur aż do stracenia zmysłów — byłby potęgą, która nie oddaje się bez zaciętej walki; byłby zaimponował czytelnikowi, porwał go. Tak, wydaje się jak i jego krewniak, Wacław, przeciętnemu czytelnikowi tylko „starym kawalerem“ (choć autor tytułu tego użył w sensie ironicznym). Silniejsze już wrażenie czyni Jerzy („Pięć wieczorów“): ohodząc pod oknami swej kochanki (świeżo zaślubionej innemu) w noc poślubną, gdy światła w oknach gasną, pada zemdłony na trotuar, wołając: „ssamico! ciebie kochać, to perły przed świnię rzucać“ — ale i tu rozpacz można było o jeden ton podnieść — wystrzałem rowolweryowym (podobnych wypadków nie brak przecie w życiu, n. p. Chałczyński i Wyrwiczówna). Przytem autor niepotrzebnie osłabił tę scenę, pozwalając filisterskiemu „przyjacielowi“ brać zrozpaczonego bohatera poufale „za podbródek“. Najsilniej rozpacz przejawia się, jak wszystko, u Basi (choć motywy są tu nieco różne): noc bezsenna przepędzona po zerwaniu z narzeczonym jest pełna wielkiej siły dramatycznej i piękności.

Omawiając stopień wrażenia, jakie typy Jellenty sprawiają na czytelniku, nie możemy pominąć jednej okoliczności formalnej, przez którą autor zmniejszył to wrażenie, niezależnie od siły wewnętrznej; mianowicie *sam on traktuje swych bohaterów (wyjąwszy Basię) nieco z wysoka*, niby sztukmistrz swe automaty; otoczył ich atmosferą trywialności: ludzi tych, którzy, jak powiedzieliśmy, powinni nosić na ozole piętno dumy

straceńców, różni filisterscy „przyjaciele“ nazywają poufale „Wackami“, klepią protekcyjnalnie po ramieniu, biorą lekceważąco za podbródek, a żaden z bohaterów nie zdobywa się na to, aby śmiałka spiorunować — roztoczyć przed sobą wzrokiem jak Mefisto szpadą, krąg ognisty, trzymający w oddaleniu wszelką duchową hołotę. Autor, wytworny estetyk, nie czyni tego bezwątpienia nieświadomie: widocznie chciał być takim, ale dlaczego? — Znam pewien typ człowieka niezmiernie subtelnego i czułego na cierpienia ludzkie, na losy idei, który jednak prawem dziwnego kontrastu usiłuje sobie nadać pozór grubasa (jak grubasi pozór idealistów), którego to wszystko nic a nic nie obchodzi: „głupstwa, szopki, romanse“ powiada on, a w oczach nieraz łza zaświeci. Otóż to jest analogia psychologiczna: autor chciał zamaskować swą sympatyę dla typów ewolucyjnych, ale przez to właśnie osłabił ich wpływ na czytelnika. Jest to ważna wada; możemy się maskować w życiu potocznym, aby z duszy naszej nie czynić domu zajezdnego, w którym każdy głupiec mógłby się rozbijać, ale w piśmiennictwie co innego: tutaj przemawiamy do ludzkości całej w przekonaniu, że głos nasz będzie jedną, choć może drobną, z sił składowych, których wypadkowa popycha ludzkość na wyższy poziom w nieskończonym pochodzie; winniśmy więc głosić całą prawdę naszych myśli, uczuć i pragnień¹⁾. A choćby nasza

¹⁾ Maskowanie pozostawmy takim powieściopisarzom, którzy dla pozyskania ciemnego tłumu (a stąd kopiejek) w powieściach swych przypisują niedowiarkom t. j. tak zwanym „pozytywistom“, swoje własne świństwa, a z prawowiernymi wiążą wszelkie cnoty, z którymi sami nie mają nic wspólnego. Tacy autorowie mają do-

prawda była tylko cząstkowa, choćby tylko wyjątkowo-indywidualna, nie to nie szkodzi, bo ze ścierania się różnych prawd indywidualnych, cząstkowych, z ich interferencji, z wzajemnego sumowania się i odejmowania powstaje prawda wypadkowa, siła wypadkowa, dająca impuls w ogólnym rozwoju ludzkości, wyznaczająca jego kierunek.

Tu leży przyczyna, dla której rozwój indywidualizmu i jego przedstawienie w utworach literackich, tak potępiane przez niektórych, a tak wymownie bronione przez młodą autorkę, Maryę Komornicką („Szkice“), ma wielkie znaczenie dla rozwoju literatury.

Zanim przejdziemy do rozpatrywania typów, skreślonych przez Komornicką, zatrzymamy się chwilę *na paru jeszcze cechach utworów Fellentę, mających pewien, lubo mniej bezpośredni, związek z ideami, powyżej poruszonemi*. Chcemy tu mianowicie wspomnieć o żywym i subtelnym odczuciu natury, oraz życia wiejskiego (bardzo zrozumiałem u autora pięknego obrazka: „Salve Natura“), oraz o subtelności psychiki erotycznej, zwłaszcza u typów kobiecych.

Jakże żywy aż do halucynacyi jest obraz poranku na wsi: „zbliżała się (Basia) ku lasowi, od którego powiewał świeży, orzeźwiający aromat. Dzień był promienny, lazur niezmącony, powietrze czyste i balsamiczne, widok po obu stronach rozległy, nie-

stateczny powód do maskowania się, a czynią to dwoma sposobami; bojaźliwi zamilczają skromnie swe nazwiska, czują bowiem, iż osoba ich stanowi zbyt rażący kontrast z opiewanemi cnotami; bezczelniejsi zaś dają swym powieściom różne tytuły ujemne, będące syntezą cech ich autorów; jest to znany fortel: złodziej dla niepoznaki woła: „łapaj, trzymaj złodzieja!“

skończony. Natura była jak po kąpieli, odmłodzona i świeża, lśniąca liśćmi traw i drzew, kwieciami łąk; jak wystrojona w niedzielę dziewczyna wiejska; dyszała życiem, spokojem, ciepłem“. *Fod wpływem takiej przyrody Basia odzyskuje swą siłę i zachwianą równowagę.*

Subtelna jest, jak powiedzieliśmy, psychika erotyczna, szczególnie kobiet: w „Starym kawalerze“ Marya po wzajemnem uświadomieniu miłości „była jeszcze łagodniejsza, niż zwykle, miała dla matki więcej miłości, dla wuja więcej uśmiechów i dowcipków“; jest to subtelne podpatrzenie tej życzliwości dla wszystkich i wszystkiego u człowieka przenikniętego własnem szczęściem, które promienieje na wszystkie strony. Jest też inny typ kobiecy, typ samicy (Anieli w „Pięć wieczorów“), która ma „inną moralność rano a inną wieczorem“. Basia jako typ antypodycznie od tej ostatniej różny, o uczuciach uduchowionych, jest, jak we wszystkim, tak i tutaj przepiękną: niezmiernie subtelnie pojęte jest jej pożegnanie z Kością, który, dopomógłszy jej do duchowego wyzwolenia, oczekiwał na nią konno na skraju lasu: kochała go ona niewątpliwie, ale po świeżem zerwaniu z narzeczonym, nie była w stanie okazać tego, nie mogła przedłużyć rozmowy i pożegnała go szybko¹⁾. Dobry jest też w tym względzie „Stary kawaler“: tęskni on za kochanką a zarazem ma „złość“ na nią: bezwzględnie

¹⁾ Jednak pewien krytyk nie chce zrozumieć, dlaczego Basia „nie chciała zrozumieć Kości“; otóż mniej więcej dlatego, szanowny panie, dlaczego, biorąc nawet nowego lokatora, musimy mieć pewien czas na uprzątnięcie pokoju po pierwszym. Tylko natury bardzo grube (że nie użyję terminu właściwszego) są w stanie kierować się w sprawach miłości zasadą: „Le roi est mort — vive le roi“.

nia dlatego, że otworzyła mu nowe widoki życia, dała pojęcie o szczęściu, niby Arab Słowackiego — spokojnemu rybakowi rzucając perłę w głębinę; ze szczęścia tego korzystać on już nie mógł, ucieka więc od kochanki do swego dawnego więzienia, t. j. do życia umysłowego, wewnętrznego. Jest to, że tak powiem, symetryczna analogia z owym australozykiem, któremu otworzono nowe horyzonty wiedzy, lecz to mu posłużyło na to tylko, by lepiej poznać swą nędzę, ucieka więc w pustynie: australozyk ów *jeszcze* nie jest zdolny do transmisyi sił fizycznych na duchowe; ten *już* nie jest zdolny do retransmisyi sił duchowych na fizyczne.

Ze stanowiska *realistycznego* niewieleby typom Jellenty było do zarzucenia; chyba to, iż zbyt optymistycznie zapatruje on się na warunki życia nauczyciela prywatnego („Stary kawaler“), który w *rzeczywistości*, pracując po całych dniach, ledwie jest w stanie zarobić na lichwiarzy, a w *powieści* jest tak szczęśliwy, iż wysiaduje całymi godzinami po cukierniach i spija tam koniaki, jakby jaki renomowany reporter pisma, stojącego „na straży ideałów“, który koniak dostaje darmo za reklamy, pisane dla cukierni. Nauczyciel Jellenty zbiera również pięknie oprawną bibliotekę, jakby jaki rentyer, który na starość bawi się, pięknie oprawnymi, książkami, nie mogąc już czem innym. Nauczyciel Jellenty ma nawet czas i pieniądze, by wyjeżdżać na rendez-vous do Paryża, niby jaki obiecujący synek przedsiębiorcy lub kamienicznika (dawniej do tego celu służyli w powieściach hrabowie). Nie, szanowny kolego! wierz mi, nauczyciel, któryby chciał u nas zbierać piękną bibliotekę, prze-

jechałby się wkrótce nie do Paryża, lecz do Tworków lub na Brudno. I jeszcze jedna uwaga: nauczyciel Jellenty jest człowiekiem myślącym, krytycznym, posiada zdanie niezależne... Ależ taki przedewszystkiem nie miałby u nas lekcyi! Społeczeństwo nasze nie daje wielkiego popytu na naukę, zwłaszcza niezależną; ono spożywa wiele spirytusu tak płynnego, jak i duchownego; tylko więc dostawcy takowych mają u nas powodzenie i mogą sobie wyjeżdżać do Paryża, już nie jako marni i „wstrętni“ reakcyoniści ku życiu, lecz jako gruntowni fachowcy — w celu poważnego studyowania ulepszonych metod na polu erotyki.

W rezultacie jednak należy przyznać wielką zasługę autorowi, że w formie powieściowej poruszył idee wyżej sformułowane; a jeżeli w wykonaniu nie osiągnął wszędzie doskonałości, to głównie dlatego, że liczył się niepotrzebnie z opinią, jaką ludzie przeciętni darzą typy ewolucyjne, i starał się wskutek tego zamaskować swą dla nich sympatyę, wystąpił niedość radykalnie. Tam, gdzie to go nie krępowało, jak w noweli ostatniej („W przesileniu“), tam dał nam utwór od początku do końca głęboki, subtelny, piękny i silny; jednym słowem miniaturowe arcydzieło.

Naturalnie, że krytocy nasi uznali utwory Jellenty za „chorobliwe“, „etycznie wstrętne“: takie poglądy na małżeństwo, jakie wygłasza Jerzy, nie mogły się naturalnie podobać tym, którzy za ideał „zdrowia moralnego“ w tym względzie uważają zapewne małżeństwo Hettema. Na szczęście ewolucya psychiczna wytwarza coraz więcej ludzi takich, dla których „nie-moralnem“ jest przedewszystkiem kłamanie uczuć, a „wstrętnem“ — mechaniczne spełnianie obowiązków

włożonych przez „duchowego celnika“. Można krytykować sposób, w jaki autor ideę swą przeprowadził (np. traktowanie wolnej miłości w oderwaniu od innych reform społecznych), ale nie można lekceważyć jej podjęcia.

* * *

Utwory M. Komornickiej („Szkice“) nie zawierają wprawdzie w *założeniu* tendencji wyżej sformułowanej: celem autorki jest w ogóle autoanaliza, „bunt potęgi wewnętrznego życia przeciw pospolitości nieożywionego faktu“, uprawnienie *wszystkich* władz ducha i wszelkich jego zjawisk, od lekkich drgań nerwowych do potężnych wzruszeń i bohaterstwa — „Odtworzenie potężnej i wstrząsającej symfonii duchowego życia“.

Tym sposobem Komornicka obejmuje całość zjawisk duchowych, właściwych typom ewolucyjnym, typom o przewadze życia wewnętrznego nad zewnętrznym.

Ale gdzie jest całość, tam musi być część, a skoro ona jest znaczną, to musi zajmować widoczne miejsce, choćby nie była wysuwana naprzód z umysłu. To też w utworach Komornickiej znajdujemy między innymi urzeczywistnione te same postulaty, jakieśmy jako tendencję wyżej sformułowali.

Wymaganie siły nie wprawi Komornickiej w kłopot, naprzód dzięki niewyczerpanej potędze jej talentu, a powtóre dzięki temu, że w pesymizmie jej góruje społeczny, wyrażający się we wściekłej nienawiści do wszystkiego, co pospolite i podłe. „Duszy ludzkiej, mówi ona, brak nienawiści do złego więcej

może, niż ukochania dobrego — „Z oburzenia tworzy się zapał“. Otóż oburza się ona, iż „siły kotła parowego zużywają się w zajęciach kuchni domowej“, a „cyklony bywają używane do obracania młynów“.

Nie dziw też, iż wiele jej typów, mimo wysubtelnienia nerwowego, mimo trawiącej je autoanalizy, mimo „pijaństwa smutku“, mimo pewnej nieporadności życiowej, mimo nieudolności do czynu, przynajmniej codziennego, powszedniego, odznacza się żywiołową potęgą pragnień, grozą (Helena, Staszka; znów typy kobiece! porównaj Basię). Słabość do życia realnego wynika u nich tylko stąd, iż życie to jest dla nich za małe. Bywają wyczerpani, ale po tem następują u nich „paroksyzmy potęgi“; Helena („Z fantazyi realnych“) mówi: „chcę wielkich własnych burz — nie lekkiego marszczenia się życiowej fali“. Staszka („Staszka“) jest również potężna w swem pragnieniu życia: „ja żyć umiem jeszcze jak demon, jak szaleniec, siać zniszczenie i zginąć na stosie zgliszcz własnych! Ja mam niespożyte siły, potworne pragnienia, żyć chcę w jednej chwili całą potęgą szau“.

Nawet gdy Komornicka przedstawia zupełnych rozbitków życiowych („Nirwana“, „Z życia nędzarza“), to i wtedy ich słabość życiową okupuje potęgą cierpienia, która ich chroni od lekceważenia; okazuje nam „majestat rozpaczki zrezygnowanej, którą zwykły poprzedzać dziesiątki lat oporu i wytrwałości“. Bohater mówi te znamienne słowa, motywujące doskonale nadmierne zużycie sił: „Mojem nieszczęściem jest, że byłem nawpół uczonym, nawpół człowiekiem“;¹⁾

¹⁾ Nie dziw też, że typów takich nie zrozumieli u nas ci krytycy, którzy są tylko uczonymi, a nie są ludźmi, oraz ci, którzy

„uczony wołał nauki, człowiek łaknął szczęścia“. Jest to jakby algebraiczna formuła typów Jellenty. Słabość Gustawa („Staszka“) została znów ochroniona potęgą umysłu i dumy, która lekceważy świat, bo nie się już odeń nie spodziewa: trudno mu nawet uleść czarowi okazywanej mu miłości przez kobietę, bo taki ma „wstręt do śmieszności“. Niepotrzebnie tylko autorka nazywa wysubtelnienie nerwowe „spaczeniem nerwów“, „zużyciem“, „spruchnieniem genealogicznego drzewa“. Jest to błąd, który też doprowadził do sprzecznego a smutnego rezultatu, że „ofiary zużycia odziedziczonego są to właśnie bogate, wszechstronnie rozwinięte natury“.

Co do reakcyi erotycznej, to przeduchowione typy Komorniokiej przedstawiają się raczej jako olbrzymie, potężne, groźne i mroczne cienie, niż ludzie z krwią i ciałem. „Zmysłem co kochać przymusza“ jest u nich dusza, nie ciało. A jednak i one mają choć przelotne, mgliste pragnienia reakcyi fizycznej. Helena chce bezpośrednich impulsów, „chce żyć jak *zwierzę*“ (lub jak bóstwo), ale, zbyt wysubtelniona, nie umie już być „tak wstrętnie pospolitą“ (i to jest jedną z przyczyn jej cierpienia); jest tak uduchowiona, że nie jest w stanie nawet wejść w harmonię z wiosenną naturą: ona budzi w niej wstręt (podobnie jak w Basi — zbyt fizyczne pieszczoty narzeczonego), a jednak zarazem budzi pragnienie życia; ona „żyć pragnie, a żyć nie może“ (rozpacz

nie są ani uczonymi, ani ludźmi. Ależ ci bohaterowie nie umieją nawet tropić zwierzyny, są „głupi jak biali“, wołają warszawscy indyanie. (Ob. wyżej).

z niemożności reakcyi biologicznej). Staszka tak silna w swem pragnieniu życia, jest może nieco bardziej fizyczna, ale i ona została porwana ku miłości raczej duchem przez typ przeduchowiony (Gustawa); zresztą mniej przeduchowiona od tego ostatniego i silna młodością, byłaby może odegrała względem tego ostatniego rolę reakcyi fizycznej, gdyby autorka śmiercią Gustawa nie była przerwała akcyi.

Sądzę, iż bez wprowadzenia takiej przypadkowości (wada serca), możnaby było osiągnąć w powieści lepsze rezultaty: albo ona zdołałaby „szał w trupie obudzić“ i on w tym zharmonizowaniu ducha i ciała znalazłby punkt oparcia dla życia; ona zaś, osiągnąwszy cel swych pragnień namiętnych, byłaby przynajmniej chwilowo szczęśliwa (n. b. nie chodzi mi tu o połączenie Numy z Pumpiliuszem, lecz o co innego, co niżej wyjaśnię). Albo też on, ulegając skrupułom niewiązania jej życia lub obawie śmieszności, lub późniejszej rozłąki, byłby się odsunął i tem sprowadził u Staszki taką samą katastrofę, jaką autorka sprowadziła zapomocą śmierci przypadkowej (zresztą można było wprowadzić i śmierć, lecz nie przypadkową, ale związaną przyczynowo z jego stanem psychicznym: samobójstwo).

W pierwszym razie mielibyśmy stwierdzenie tego, co nazwalibyśmy retransmisją, tego, co autorka sama wkłada w usta Gustawa, przeciwstawiającego siebie Staszce: „gorączka czy prawo natury łączy czasami negacyę z życiem, rozpacz z nadzieją“¹⁾.

¹⁾ Dziwne to na pozór „prawo natury“ jest dla nas zupełnie zrozumiałe na podstawie tego, cośmy powiedzieli w artykule „Natura i Siła“. Gustaw był niewątpliwie wielką siłą absolutną, która

W drugim razie okazaniem by było, że szczęście, miłość to są rzeczy zależne od indywidualności: chcąc kogoś uszczęśliwić, trzeba się stosować do jego natury, usposobienia, a nie do metryk i przepisów doktorskich; albowiem istota, której Gustaw nie chciał zawiązywać „szczęścia“, odbiera sobie z tego powodu życie, mimo to, że dokoła niej był rój młodzieży, samych „optymistów“, „pięknie tańczących“, i „znakomicie flirtujących“.

W obu razach otrzymalibyśmy rozwiązania, wzory, że tak powiem algebraiczne, których rozbiór dałby nam wiele do myślenia, dałby nam pewne ogólne drogowskazy; autorka dała nam rozwiązanie arytmetyczne, ważne tylko dla jednego wypadku

Ach prawda, zapomniałem — możliwe jest jeszcze jedno rozwiązanie: przed szalejącą z rozpacz Staszka staje maszyna zwana „filozofem zdrowia“ z proboszczem miejscowej parafii i lekarzem powiatowym pod rękę; proboszcz okazuje metrykę, która nie odpowiada przepisanej przez gminę proporcji lat; doktor zaś po szczegółowym zbadaniu Gustawa, odmawia mu kwalifikacji na męża. Wtedy „filozof“ oświadcza Staszce, że Gustaw jako „pesymista“ nie mógłby dobrze wychować dzieci, gdyż zamiast wykładać im prawdy moralne według Putiatyckiego, wszczepiałby w dzieci niezadowolenie z tego najlepszego ze światów. Poczem Staszka, oddawszy ukłon pełen uszanowania należnego od umysłu niedojrzałego i niewyrobionego umysłowi skończonemu i wytraw-

jednak uległa całkowitej prawie transmisji na pracę mózgu; otóż odczucie tej siły przez Staszkę, porywa ją ku niemu, budzi pragnienie zwrócenia tej siły ku sobie.

nemu, a przede wszystkim reprezentantowi porządku społecznego, zwróciłaby się z ofiarowaniem „ręki“ do którego z normalnych troglodytów. Byłoby to zakończenie powieści, które ze względu na źródło, z którego je zaczerpnąłem, mam prawo nazwać *psychologicznem!* (Ob. wyżej rady p. Lutostawskiego).

Ale porzućmy żarty i maszyny, by spojrzeć na wspaniały dramat, toczący się w *ludzkiej* piersi; nigdzie może talent autorki nie wzniosł się do takiej potęgi, jak w odmalowaniu oierpienia Staszki po śmierci Gustawa. Obrazy jej halucynacyi, przechodzące od grozy do melancholii, czynią tak plastyczne złudzenie i tak przerażające wrażenie, iż czytelnik zdaje się odczuwać wznoszenie się włosów na głowie i zimny pot oblewający ciało; coś chwyta go za gardło, tamuje oddech, a do oczu, choćby ze stali, łza, choćby dawno zapomniana, się ciśnie. Oto jeden z obrazów, współzawodniczących we wspaniałości i grozie: „Znowu zmiana. Step daleki, cichy, posępny, a tam jedna mogiła bez krzyża, bez napisu — tam leżą w chłodnej ziemi obok siebie, on i ona; ale oni żyją przecie; mają być nowy, nikły jak myśl, jak cień; błakają się razem po stepie, księżyc rzuca fantastyczne, ponure światło umarłych na tę przestrzeń bez końca, bez miary, wydłużając ich oienie i roztapiając je w swoim blasku; wiatr się zrywa i huczy, jęczy, żali się; błędzą jak duchy pól Elizejskich“.

I znowu zobaczymy, co na to mówi nasza krytyka troglodytyczna; ona, która autorów, węszących dla karyery, w którą stronę dym się zwraca; autorów, udających dla zyskania popularności wśród gawiedzi, że wierzą w bajdy ludowe, nazywa „szczerymi“,

o Komornickiej, która na widok wszelkiego fałszu dostaje kurezu oburzenia w gardle, powiedziała, że „pozuje“!! Jakże trafnie mówił *jeszcze niezbyt dawno* „Poseł Prawdy“, że ludzie, którzy na świat patrzą przez oczy naszych dzienników, widzą go dogóry-nogami.

Jeden jeszcze sąd o utworach Komornickiej kursuje dość powszechnie: „autorka nie wie czego chce“. Autorka, bawiąca do niedawna daleko poza krajem, napisała na to w liście prywatnym wyjaśnienie, które pozwolę tu sobie bez zmiany powtórzyć:

„Czego ja chcę? powiedzcie tym filistrom, że pragnę szczerości zamiast obłudy, że szarpię się ku swobodzie w arkanach jassyru, że w chłodzie rozdieram piersi za wszechludzkim uściskiem bratnim, że w pyłe ziemi się tarzam, spragniona życia na słońcu! Powiedzcie im, że w duszy mojej drgają bóle milionów istot zmarłych bez śladu, prócz ich jęków, drgających nieśmiertelnie w zimnem, martwem powietrzu świata, że wśród jego fal trupich zjada mnie żądza za spienionymi, wrzącymi bałwanami oceanów życia. Powiedzcie im, że gdy widzę ich twarze, gdzie szkielet nędzy wewnętrznej ubiera się w strzępy rozkładu, porywa mnie wściekła chęć zmiecienia ich z oblicza świata, wydarcia im berła ziemi. Powiedzcie im, że aktem oskarżenia za pożarte przez nich dusze mi pokrewne, że buntem, szarpiącym się w ich brutalnem jarzmie, że ich sędzią i przekleństwem. Powiedzcie im, że głowy ich czerwone krwią naszą wylaną, że w ich chlebie są nasze zmarnowane dusze, że z winy ich serca nasze pali stygmat męczeństwa, że, by oni żyć mogli jak wieprze, my przykuci do

skąły umieramy, nie mogąc dochować prometejskiej iskry. Ppowiedzcie im, że nędzni są i słabi, że szczęście nasze pożerają, by móżdż wlec swój tłuszcz trupi po targowiskach dobrobytu. Powiedzcie im, że wiem, czego chcę, bom żądzą miłości, która się nienawiścią stała!"

Oto wspaniały epizod walki między jednym z najbardziej naprzód wysuniętych typów ewolucyjnych i zgrają troglodytów; walki tak zaciętej, że nawet po śmierci zapaśników płomień ich ciał, jak w mycie greckim, jeszczeby się gryzły ze sobą!...

Przypominam sobie widziany niegdyś obraz, przedstawiający europejskiego podróżnika-badacza, opadniętego przez zgrają dzikich ludożerców, kłapiących zębami i wyjących: „mięsa, mięsa!“ Oparty o skałę, z rewolwerem w ręku, w postawie dumnej, bez cienia obawy, trzymał w należytych od siebie promieniu ten tłum, który padał, lecz wzrastał znowu, jakby głowy hydry. Miotane zewsząd assagaje sączyły krew podróżnika, który padł wreszcie i został pożarty przy tryumfalnym wyciu. Ale w tem samym miejscu, gdzie dziś wyzionął ducha, jutro powstanie ognisko cywilizacji. Ten obraz, to emblemat naszej walki.

* * *

Mamy nadzieję, iż powyższa nasza *próba syntezy obecnych stosunków psycho-społecznych* uświadomi jednemu z typów ewolucyjnych jego stanowisko i znaczenie; że ich zagrzeje i zgrupuje do zaciętszej, zwartszej walki z troglodytami. A choćbyście nas dziś zgnetli przewagą złota, brutalnością liczby, „*przyszłość nasza i nasze będzie za grobem zwycięstwo!*“

Z powodu Forpoczt. ¹⁾



Nr. 28 „Przeglądu“, w art. p. K. Sterlinga, „Powrotna fala“, napotkałem wzmianki o mnie z powodu „Forpoczt“, oraz z powodu mego niewydanego dotąd „Wykładu geografii fizycznej ogólnej“. W sprawie tej pragnąłbym tu podać parę słów wyjaśnienia, a po części i sprostowania.

Naprzód sędzę, że, pomieszczając wzmiankę o Forpocztach pośród objawów „Powrotnej fali“, należało dla zorientowania czytelnika dać wyraźną klasyfikację tych „fal“: należało ostro odgraniczyć z jednej strony reakcję obłudy czyli interesu, z drugiej strony reakcję znużenia, oraz reakcję uczuciowia i filozoficzną. Zupełnie co innego jest bowiem wyczerpanie walką, potrzeba zaspokojenia pragnień serca, lub powrót do dawnej drogi z *nowemi* zasobami, a co innego przedsiębiorstwo eksploatacyi tych wszystkich objawów, w celu utrzymania dawnych przywilejów, oraz handel świętościami.

Bez takiego rozgraniczenia pomieśzamy wysubtelnionych z zamaskowanymi brutalami, przeduchowionych — z przedsiębiorcami interesu religijnego, altruistów z jezuitami — ludzi z małpami; tembardziej, że liczni pisarze, będący na służbie „przedsiębiorstwa“, pracują gorliwie nad zamydleniem oczu w tym względzie.

Powtóre p. Sterling z mej charakterystyki nerwowców podaje: „część dla siły we *wszelkich jej objawach*“. Tymczasem ja zrobiłem jaknajwyraźniej

¹⁾ „Przegląd“ Tygodniowy 1897 Nr. 32.

zastrzeżenie następujące: „czcąc siłę, jako najwyższy ideał ludzkości, nie jesteśmy przez to bynajmniej bezkrytycznymi wyznawcami nietzscheizmu; czcąc siłę bowiem, nie koniecznie trzeba widzieć jedyny jej wyraz w instynktach pierwotnych a jedyną jej miarę w powodzeniu“; a dalej objaśniłem, że siła dlatego jest ideałem, dlatego budzi w nas cześć, ponieważ ulega „transmisji“ i może się objawić „w pożądanej formie“.

Bez takiego zastrzeżenia przytoczenie autora może znów wywołać w czytelniku fałszywe pojęcie, a koncesyonowanym kataryniarzom warszawskim dać znów sposobność do chwycenia za korby swych katarynek i nieskończonego wygrywania podkościelnych zawodzeń o „czci dla siły brutalnej“, „rozpasaniu nerwów“, „zwierzęcej walce o byt“, „chuci zmysłowej“, „moralności niezależnej“, „żydowskiej bezwyznanowości“ itd. itd., w kółko in infinitum, co wszystko służy podobnie jak gongi lamów buddyjskich do oszłomienia wiernych i uczynienie ich podatnymi na otwieranie swych kieszeni.

Po trzeciej p. St. przytaczając moje przeciwstawienie nerwowców „tłumowi“, nie dodał tego, na co ja silny położyłem nacisk: „mówimy tłum w znaczeniu *psychicznym*, bo w znaczeniu *społecznym* to wcale nie tłum, owszem!“ Jest to dodatek bardzo ważny, gdyż on określa stosunek nerwowca do kwestyi społecznych; stosunek ten uwydatniony też został w mej krytyce artykułu pana Lutosławskiego („Zkąd się biorą pesymiści“), oraz w podniesieniu pesymizmu społecznego po nad pesymizm zasadniczy. Jest to stosunek nerwowca tego mianowicie typu, jaki ja za ideał uważam. Typ ten nie jest bynajmniej identyczny

z typem aspołecznym, egoistycznym, sybarycko-artystycznym, o jakim myśli p. Sterling, wspominając Bourgeta, oraz bohatera pana Sienkiewicza („Bez dogmatu“). Nie mam tu miejsca na szczegółowe wyjaśnienie tej różnicy; wyjaśnię to z czasem w osobnej pracy; tymczasem nadmienię tylko, że klasyfikacja nerwowców na podstawie stosunku między instynktami biologicznymi i socyalnymi doprowadziła mnie do wyróżnienia następujących czterech głównych typów:

1) Typ biologiczny-asocyalny albo nietzscheański (np. Napoleon, Byron),

2) Typ biologiczny-socyalny, albo wybuchowy (np. Nietzsche, Ada Negri, Kowalewska¹)

3) Typ abiologiczny-socyalny, albo chrystusowy (Guyau, Amiel, Shelley).

4) Typ abiologiczny-asocyalny albo dekadenski (Renan, Bourget).

Typy te mają pod względem psychicznym wiele cech wspólnych, ale pod względem swego stosunku do społeczeństwa różnią się nieraz krańcowo.

Otóż p. Sterling nie odróżnił tego ideału nerwowca, jaki ja kreślę w „Forpocztach“, od typu dekadenskiego, i stąd znów czytelnik może z pracy autora nabrać błędnego mniemania, że ja jestem rzecznikiem typu dekadenskiego, do czego nie mogę się przyznać bynajmniej. A to tembardziej, iż typ ten, należący do słabszych, ulega zbyt często takiemu gatunkowi reakcyi, którą ze względu na mą klasyfikacyę troglodytów nazwałbym „świńską“; powstają więc: „świnie smutne“,

¹) Wiele typów stworzonych przez Mickiewicza: Wallenrod, Almanzor, Litawor, Jacek Soplica, i t. d.

„świnie sentymentalne“, „świnie pokutujące“ i t. p. Z nich to troglodyci rekrutują swych najlepszych „bardów“, których wieńczą za obronę ich interesów — interesów arystokracji, burżuazyi, klerykalizmu. Jakkolwiek więc przejmują mnie politowaniem napaści na dekadentów, przedsiębrane przez koncesyonowanych przedsiębiorców moralności, jak również gładzenia pisarzy, którzy niby przysłowiowy dyabeł, na starość stali się pielgrzymami; jakkolwiek przyznaję typowi dekadenciemu rolę w ewolucyi jako fermentowi, przegryzającemu analizą stare budowle, które runąć powinny, to jednak typu tego nie uważam bynajmniej za ideał nerwowca, który mimo analizy, mimo pogardy dla moralności przeciętnej, powinien być dość silny, by się nie dać zgnieść analizie, lecz nad nią zapanować, powinien mieć własny probierz etyczny i jemu pozostać wiernym, powinien mieć barki dość potężne, by udźwignąć ciężar odpowiedzialności za czyny własne. Pragnąc szczęścia własnego, powinien mieć siły, dążyć doń swym własnym kosztem, a nawet torować zarazem drogę do szczęścia ogólnego. Taki typ różni się nieco od niektórych, przytaczanych przez p. Sterlinga.

Dalej jak lapsus calami lub błąd zecerski brzmi dla mnie twierdzenie autora, że „z pod pióra podobnych sprzymierzeńców nie mogło wyjść dzieło *czyste*“. Wyrażenia takiego używa się zwykle w razach, gdy zachodzi jakaś malwersacya. Tego naturalnie autor nie miał na myśli: chodzi mu o udział w tem namiętności, w której według niego „topi się złoto uczuć“. Lecz i tak pojęty zarzut nie przekonywa mnie wcale: owszem wartość każdego dzieła ludzkiego jest ceteris

paribus wprost proporcjonalna do namiętności w nie włożonej, z tem jedynie zastrzeżeniem, aby ta namiętność służyła dla celów prawdy i sprawiedliwości, a nie przekraczała po za nie; czy w danym razie ta ostatnia okoliczność zachodzi, autor bynajmniej nie wykazał.

W związku z zarzutem powyższym cała geneza „Forpoczt“ przedstawiona jest w świetle niewłaściwym, a przynajmniej niejasnym.

Czytelnik mógłby sądzić, iż zrodziły się one okolicznościowo, tak sobie „z przyjaźni“, mianowicie z powodu sprawy C. Jellenty. Tymczasem większa część prac w skład tej książki wchodzących (a moje wszystkie trzy) została napisana, a po części nawet drukowana znacznie dawniej, co widać z dat umieszczonych pod temi pracami i co wyraźnie zaznaczył C. Jellenta w „Spowiedzi Zbira“. Jak sprawa Jellenty tak również i mój „żał“ (uczucie — zbyt idylliczne) z powodu zmarnowania mej „geografii fizycznej“ przez Kasę Mianowskiego nie były tu wcale głównemi motywami; obie te sprawy to tylko pojedyncze epizody ogólnego stanu społecznego, który wywołał przeważną część prac pomienionych; epizody, różniące się zresztą tem, że pierwszy był zamachem na ludzką cześć, drugi — tylko na ludzką pracę i dlatego ja mogłem sobie pozwolić przejść nad nim spokojnie.

Przechodząc do wzmianki autora o zmarnowaniu mej geografii fizycznej, muszę wyznać, iż wzmianką tą byłem niezmiernie zdumiony; nie przypuszczałem nawet, aby ktoś u nas mógł jeszcze o tej sprawie pamiętać i nią się interesować: wszakże pisma głosiły, że u nas tak dalece nikt się nauką zajmować

nie chce, iż „Kasa Mianowskiego“, nie mając ofert w tym kierunku, jest zmuszona dawać pieniądze na tłumaczenia, dostarczające makulatury. Co do mnie. to gdy rękopis mój, zamówiony przez redakcyę „Biblioteki matematycznej“, po przedstawieniu „Kasie“ i zakwalifikowaniu do druku, leżał przez lat kilka, zwróciłem się do „Kasy“ (już temu blisko lat cztery) z podaniem, w którym wyłuszczyłem, że wobec szybkich postępów wiedzy, rękopis mój, wskutek przetrzymania, potrzebuje odpowiednich zmian; a ponieważ zwłoka z drukiem nie pochodziła z mej winy, prosiłem więc obok przyśpieszenia druku o wynagrodzenie za pracę dodatkową, na co każdy wydawca *przedsiębiorca* z wykle się zgadza; jednak „Kasa Pomocy“ odrzuciła moje podanie i odesłała mnie do redakcyi „Biblioteki“, gdym się zaś tam udał, odesłano mnie napowrót do „Kasy Pomocy“!... Dalszych starań naturalnie zaprzestałem, nie posiadam bowiem niestety enót ks. Bodouina, a enoty takie musi posiadać każdy, co u nas chce się zajmować nauką, nie będąc rentyerm. Dlatego również zarzuciłem myśl wydawnictwa geografii Polski, jakie po wydaniu geografii fizycznej miałem zamiar podjąć. Wogóle przestałem już wierzyć z młodzieńczą naiwnością w pożyteczność pracy naukowej u nas: wiele sił idzie u nas w tym kierunku na marne; młodzi, rwący się do wiedzy, zapełniają wkrótce szpitale, przytułki i wielu już legło w przedwoznych mogiłach (może im z czasem wdzięczni ziomkowie wystawią pomnik). Ziarna wiedzy można siać tylko na gruncie przygotowanym; kto je sieje na chwasty i ciernie, ten jest dzieckiem, marnującym

ziarna: trzeba wprzód ohwasty i oierne wyrwać z ko-
rzeniem, oddać zgniliźnie lub ogniem spopielić, a wtedy
dopiero rzucone ziarno plon wyda. Tak, dziś jeszcze
nie czas na siew — dziś nie nauki potrzeba. lecz —
walki!



Reakcja i ewolucya.



Uden z najwybitniejszych przywódców dzisiejszego ruchu społecznego, Ignacy Daszyński, rzuciwszy kiedyś cały chaos stosunków i prądów obecnej doby dziejowej na ostrze miecza, otrzymał dwa równo odcięte kawały: „z jednej strony reakcja, z drugiej socjalizm“.

To silne i ostre cięcie jest trafne ze względu na zewnętrzną stronę objawów, na ich morfologię; ale czy jest ono takim również i ze względu na ich wewnętrzną budowę i wewnętrzne pulsowanie; na ich anatomię i fizyologię, a stąd, co najważniejsza — na ich stosunek do ogólnej ewolucyi postępowej?

Wiadomo geologom, że, chcąc sobie zdać sprawę z chaosu, wielce zróżniczkowanej, plastyki ziemskiej, nie dość jest, rzuciwszy ją na mapę, szukać linii obniżzeń i według nich przeprowadzać podziały; często bowiem po zbadaniu szczegółów na miejscu, usunięciu zewnętrznego rumowiska i przyjrzeniu się budowie wewnętrznej, okazuje się, iż to, co zewnętrźnie, plastycznie, jest ostro oddzielone, to wewnątrz, strukturalnie i genetycznie należy nieraz do jednego systematu, stanowi jedną całość; i odwrotnie: to, co zewnętrźnie, plastycznie, jest połączone, to okazuje się tylko przypadkowym zlepkiem, powstałym chwilowo pod wpływem czynników zewnętrznych; wewnątrz jest różnorodne. Otóż i w danym razie, lubo cięcie poszło trafnie po zewnętrznej linii podziału, odcięło jednak, od socjalizmu, jako ruchu postępowego,

pod ogólnem mianem reakcyi, niektóre takie objawy, które wewnątrznie łączą się z nim w jeden system postępowo-ewolucyjny, a oddzielają się od pozostałych objawów reakcyi, tworzących w swej istocie osobny system wsteczny.

Z drugiej strony, jeden z najznakomitszych filozofów francuskich, Alfred Fouillée, w jednym z najnowszych swych dzieł (*Le mouvement idealiste et la réaction contre la science positive*), uzasadniając dzisiejszą reakcyę i wywalczając racyę bytu dla filozofii idealistycznej wobec nauki pozytywnej, kończy następującem, pełnem poezyi porównaniem: „Dla oka wewnętrznego miłszą jest filozofia ze swą ciemnością, niż nauka ze swem światłem. Dzień, zamykając nas w naszym systemacie słonecznym, ogranicza nasz widok i oświecając najdrobniejsze, bliskie szczegóły, zdaje się zasłaniać nam świat pozazjawiskowy; noc otwiera nam nieskończoność przestrzeni i nieskończoność światów: przenosi nas ona w społeczność wszechświatową. Zmusza nas do myślenia nietylko o żyjących, lecz i o umarłych, do pojmowania ich nieśmiertelności pod innem, nieznanem niebem; po za tem, co jest znane i pewne, odkrywa tajemnicze, po za tem, co skończone — nieskończoność marzenia i nadziei. Ona ma też swe widowiska życia, bardzo różne od tego, jakie nam ukazuje nasze słońce: ona roztacza nad nami niezliczonych gwiazd korowody i zdaje się nam, że jesteśmy nie już świadkami drobnych i ograniczonych wydarzeń ziemskich, jak te, które widzimy w świetle dnia, lecz tych nieobliczalnych faz życia kosmicznego, których wyrazem jest widok gwiazdziwego nieba.

Do gwiazd, świecących wśród nocy, podobne są idee, równie wysokie, równie dalekie, często niepewne, migotliwe, z których każda jest światem, gubiącym się wśród innych światów, z którymi pozostaje w stosunkach przez tajemną siłę grawitacji. Filozofia, ta noc nieskończona, usiana gwiazdami, jest piękniejsza niż jasny, ściśle ograniczony, świat nauki“.

Może ktoś nie godzić się na tak szerokie pojmowanie „filozofii“, może pod tą nazwą pojmować coś ciaśniejszego, ale pewniejszego, w każdym jednak razie nie można zaprzeczyć, że taka „filozofia“, jak Fouillégo, Maeterlincka i t. p., jest potrzebą każdej wyższej, subtelniejszej duszy ludzkiej, której duszno wśród rogatek pozytywizmu, wśród ciasnego zakresu zjawisk świata immanentnego, która odczuwa dreszcz nieskończoności i cierpi nieugaszone pragnienie przeniknięcia w tajemniczą otchłań zagadki bytu.

Mimo to jednak, pogląd Fouillégo na reakcję jest równie jednostronny, jak poprzedni: Fouillée, filozof-poeta, zapatrzony w gwiazdy, nie dostrzega jednej doniosłej rzeczy. Oto, że gdy wśród nocy wyższe, idealne natury, tonąc w nieskończoności nieba gwiazdzistego, zapominają o ziemskim padole, wtedy, korzystając z ciemności nocnej, podkradają się, przebrani w szaty idealne, rzezimieszkowie, by uprawiać bezkarnie swe nieczne rzemiosło. Fouillée, zbyt zapatrzony w gwiazdy, zbyt uprzejmy literacko, nie dostrzega tego, widzi co najwyżej, niekiedy „przesadę“ w idealnych dążeniach. A jednak tutaj tkwi główne niebezpieczeństwo każdej reakcji idealnej, przyczyna, dla której może ona nieraz sprowadzić w praktyce, w życiu społeczeństwa, skutki fatalne. Wprawdzie

i w dobach realizmu ciężą również nad ludzkością natury drapieżne, ale muszą one wtedy występować otwarcie, starając się tylko uzasadniać swe postępowanie („walka o byt“, „siła przed prawem“); w dobach idealizmu podchodzą one podstępnie swe ofiary, usypiając je przedtem, lub zatruwając „idealnymi“ gazami; — to jest niebezpieczniejsze.

Teraz czytelnik łatwo już zrozumie, że powyższa sprzeczność dwóch poglądów na reakcję, wynikła ztąd, iż każdy z pomienionych dwóch obserwatorów oglądał zjawisko reakcyi w innem, częściowem polu widzenia: jeden w społeczno-praktycznem, drugi w filozoficzno-ideowem.

Dla pogodzenia tej sprzeczności, a zarazem dla dokładnego zrozumienia i ocenienia reakcyi, należy objąć w polu widzenia całe to zjawisko w jego wielkiej złożoności i różnorodności.

Gdy szturmowa kolumna wdziera się na wyniosły szczyt po uciążliwych skalistych ścieżynach, wówczas po bardziej przyśpieszonych tempach ataku, wielkich wysiłkach, następują chwile wyczerpania sił (znużenia) lub zapasów; chwile przekonania, że na danej drodze, przy danych siłach i zapasach wdrzeć się dalej niepodobna, że trzeba szukać drogi innej i w tym celu trzeba z nowo zdobytymi środkami i nowem doświadczeniem wrócić do dawnych stanowisk, których należyte zużytkowanie przedtem było niemożliwe, a które teraz, przy nowych zdobyczach, otrzymują zupełnie inne, donioślejsze znaczenie; przytem na stanowiskach tych leżą pozostawione zapasy, znajdują się bezpieczne punkty oparcia i wypoczynku, które zresztą nieraz znużonemu wzrokowi przedsta-

wiają się zdala ułudnie w formach zbyt olbrzymich i barwach zbyt wspaniałych.

Przy tym ruchu, mającym pozornie charakter cofania, nie wszystkie części armii wykonywują ruch jednakowy; niektóre oddziały lub jednostki inercyjne, czy zbyt porwane zapalem, kontynuują jeszcze czas jakiś ruch dotychczasowy; cofające się oddziały natrafiają na pozostałe w tyle rezerwy, szukając w nich oparcia i zaprowiantowania. Nastaje pewne zamieszanie, potrzeba nowego sformowania i zorientowania się w złożonej sytuacji.

Z takiej chwili zamieszania korzystają zwykle tchórze, zrozpaczeni i słabi, by sromotnie uciekać; korzystają zwłaszcza podli rabusie i geszefciarze: obdzierają lub mordują rannych i inwalidów, rozgłaszają o mniemanej klęsce, by zwiększać zamieszanie, obalamują rezerwy, by uniemożliwić ich uruchomienie i zużytkowanie bojowe, zakładają szynki i kramy, poją rannych zabójczą wódką i karmią padliną, sprzedają amulety, udają opiekunów, zbawców, felcerów, chirurgów.

Podobne chwile przeżywa ludzkość cała w swem odwiecznym dążeniu naprzód ku szczytom, ginącym w nieprzeniknionych chmurach przyszłości; chwile takie w dziejach obejmujemy pod nazwą reakcyi. Jedną z takich chwil przeżywamy właśnie obecnie i to mianowicie chwilę reakcyi idealnej.

W przytoczonym powyżej porównaniu z kolumną szturmową, zawarte zostały, jak sądzę, wszystkie, przynajmniej najważniejsze, czynniki i pierwiastki reakcyi; zresztą, rozbierając je szczegółowo, możnaby dojść do jeszcze większego zróżniczkowania objawów. W obecnym jednak razie, gdzie chodzi nam głównie

o kwestyę wartości ewolucyjnej objawów, wystarczy wniosek ogólny z powyższego porównania, a mianowicie, że objawy reakcyi dadzą się podzielić pod tym względem na dwa różne działy. Jedne, wynikające z potrzeby wyrównania jakiegoś deficytu są, potrafiwszy coś na złudzenia, dodatnie: są koniecznym warunkiem postępu. Drugie, będące korzystaniem z zamieszania w celach osobistych lub kastowych, są *wsteczne*, są obłudnymi środkami powstrzymania postępu, które dla tem większej skuteczności kryją się pod maski reakcyi postępowej: pod maską zwrotu ku uczuciu kryją geszefciarski formalizm kultu; pod maską koniecznego odpoczynku, chwilowego zwrotu ku naturze — wstręt do wszelkiej cywilizacyi; pod maską idealnych wzlotów — wstręt do badań naukowych, krzewienie ciemnoty; pod maską uczuć humanitarnych — krzewienie owczej ofiarności dla wilków; pod maską czci dla bohaterów — wysławianie rozbójników i opojów, oraz związanego z niemi wstecznicstwa (np. przy pomocy powieści historycznych) i t. d.

Wobec tego, uznając w reakcyi pierwiastek ewolucyjny, nie należy z drugiej strony, jak to czyni Fouillée, zapatrzony w gwiazdy, zapominać, że stoimy na ziemi i że na niej nieostrożna uprzejmość jest nieraz karygodną słabością. Patrząc śród nocy w niebo gwiazdziste, należy zarazem, przy pomocy silnego reflektora, rzucać jaskrawe światło na kręte ścieżki tych, co, korzystając z ciemności i masek idealizmu, podkradają się w nikczemnych zamiarach pod naszą świątynię; a choćby ostrożność taka krępowała nas nieco narazie w idealnych wzlotach, choćby jaskrawość światła przeszkadzała nieraz w obserwacyach gwia-

ździstego nieba, to nie powinniśmy się tem zniechęcać, bo gdy, spłoszeni światłem, rzezimieszkowie pierchną nareszcie, duch ludzki, pozbywszy się wampirów nocnych, pomknie tym szybciej w przestwory nieskończoności.

Przeduchowiona.¹⁾

»Orłowi, szybującemu w obłokach wciąż grozi upadek; dzięki wielkiej sile skrzydeł i wewnętrznego impulsu, wzbił się wysoko w chmury, lecz tam może zbraknąć odżywczych zapasów ziemskich i atmosfera może stać się za rzadka do takiego wzlotu, a duma lub rozmach zbyt wielki nie pozwoli cofnąć się ku ziemi, choćby na chwilę odpoczynku, nabrania nowych sił«.

»Forpoczty ewolucyjnej psychicznej i troglodyci«.



ofia Kowalewska, ta genialna kobieta, interesująca świat cały, i jako pierwszorzędnym umysł matematyczny, i jako bujna, a zarazem subtelna, organizacya uczuciowa, i jako jednostka społeczna, odczuwająca cierpienia, pragnienia i dążenia ludzkości; jednym słowem, jako jedna z najbogatszych, najpełniejszych indywidualności psychicznych, jakie kiedykolwiek istniały — nas Polaków interesować powinna jeszcze z jednego specjalnego względu: pośród wszystkich narodowości najbardziej sympatyzowała ona z Polakami²⁾; współczuła ich niedoli, marzyła o ich szczęściu.

Naturalnie, że sympatye tej wielkiej duszy zwracały się nie do takich Polaków, którzy w myśl polityki krakowskich stańczyków, pragnęliby odegrać dziejową rolę międzynarodowych żandarmów pilnu-

¹⁾ Praca ta, drukowana po raz pierwszy w „Przeł. Tygodn.“ 1899 Nr. 2 i nast., ukazała się w przekładzie niemieckim St. Goldening w „Wiener Rundschau“. 1901 N. 2.

²⁾ Ob. Listy Kowalewskiej (do p. Jankowskiej) w „Revue des Revues“ 1897 Nr 13, 14, 15, gdzie pisze ona między innymi: „żaden naród nie budzi we mnie takiej sympatyi jak Polacy“.

jących wiernie powszechnej prawomyślności i „denuncyjących szlachetnie“ każdy najdrobniejszy objaw jej przeciwny, lecz — do takich, którzy na obu półkulach naszego globu walczyli i gineli w imię najdroższych ideałów ludzkości. Ponieważ zaś obecnie w dobie powszechnej reakcyi pierwszy gatunek Polaków, jako powszechnie pożądanym, rozpanoszył się wielce i nadaje ton naszej literaturze, która z tego powodu zaczęła słynąć „zaszczytnie“ na cały świat i jako wyborna faszyna do zatkania potoku dziejowego, i jako przyjemny przetwórcy spożywczy dla koproflagów całego świata, nic więc dziwnego, że my, mimo długu wdzięczności dla Kowalewskiej, w zapoznaniu się z jej życiem daliśmy się wyprzedzić innym narodom (gdzie przecież tętnią i inne prądy prócz reakcyjnego) i że obecnie niewdzięczność tę względem Kowalewskiej postarała się wynagrodzić również jedna z kobiet-bojowniczek, spolszczając jej „pamiętnik“.

Nie będziemy tu szli niewolniczo krok w krok za wątkiem pomienionej książki, którą każdy interesujący się wewnętrznym życiem wyższej jednostki ludzkiej, przeczyta sam z wielkim zajęciem; a każdy, komu nie obcą była kiedykolwiek rozterka między głodem życia i głodem idei, przeczyta jednym tchem, z przyspieszonym tętnem serca, jak przy spotkaniu z istotą pokrewną.

Nasz zamiar tutaj jest inny; pragniemy tu na podstawie faktów w tej książce znalezionych, a po części i skądinąd zaczerpniętych, pokusić się o skreślenie ogólnej *psychologicznej genezy* tej bogatej i wielkiej indywidualności; o *objaśnienie najważniejszych objawów jej życia, oraz katastrofy życiowej.*

Do podjęcia takiego zadania czujemy się popchnięci tembardziej, że życie Kowalewskiej stanowi uderzająco wierną ilustrację tych ogólnych poglądów na jednostkę nerwową, jej przeduchowanie („transmisję“), reakcję biologiczną („retransmisję“) i upadek, które wyraziliśmy w dwóch artykułach naszych („Natura i siła“, „Forpoczty ewolucji psychicznej“), zanim jeszcze biografia Kowalewskiej była nam znana. W życiu Kowalewskiej znajdujemy więc niejako eksperymentalny dowód idei, wyżej wypowiedzianych, i odwrotnie: idee te posłużyć nam mogą do rzucenia światła na wiele objawów w życiu Kowalewskiej, ułatwić ich zrozumienie.

Kowalewska przedstawia *ten najdoskonalszy typ nerwowy*, do którego odnosiliśmy właśnie naszą ogólną charakterystykę nerwowców: typ o silnych instynktach zarówno życiowych jak społecznych, typ biologiczno-socjalny (ob. klasyfikację typów w art. „Z powodu forpoczt“), typ, który można nazwać wybuchowym, łączy on bowiem z łagodnością, z subtelną uczuciowością w stanie normalnym, wielką, nieraz brutalną energię, wielką siłę oburzenia, wybuchu w stanie chwilowym, wywołanym tamą stawianą dążeniom, przeciągnięciem struny, krzywdą własną lub cudzą. P. Jankowska mówi o Kowalewskiej (Revue des Revues), że „obawa sprawienia przykrości tym, których kochała, choćby przez zapomnienie lub milczenie, sprawiała jej przykrość“, a jednak, jak mówi Leffler: „pomimo miękości i uczuciowości, które leżały na dnie jej natury, od czasu do czasu w chwilach stanowczych, przejawiał się w niej charakter żelazny i upór nieugięty. Ona, która z czułością kotki tuliła się do osoby, uj-

mującej ją przyjaznem wejrzeniem, była w stanie, gdy się w niej przebudził duch walki, podeptać nogami wszystkie stosunki!“ i t. d.

Dla wytworzenia się takiego typu, prócz ogólnego usposobienia, przyniesionego na świat, wpływa nacisk jakichś więzów¹⁾, najczęściej materyalnych; u Kowalewskiej te ostatnie zastąpione były więzami kobiecości, konwenansu, panującego w domu jej rodziców, niedozwalającego na swobodne zabawy dziecinne, despotyzmem ojca, generała, wreszcie obojętnością matki (kobiety powierzchownej, balującej) na objawy czułości dziecinnej, przez co dziecko, krępowane, obrażane w swych delikatnych uczuciach, stawało się „skryte i dzikie“.

Określiwszy *ogólny charakter typu* Kowalewskiej, zastanówmy się teraz nad najważniejszymi wytycznymi zjawiskami jej życia, mianowicie nad *transmisją jej sił na duchowe*, w szczególności matematyczne; a następnie — nad rezultatem tej transmisji: *reakcją biologiczną i katastrofą życiową*.

Przytem musimy tu zaraz z góry zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo transmisji dla natur takich, jak Kowalewska, natur zaciętych, zapalnych, wybuchowych: gdzie zwrócą one swe siły, ku jakiemukolwiek celowi, nie wstępują na drogę jak spokojne, powolne zwierzę robocze, lecz jak bohater, idący w bój krwawy z błyskawicą pragnienia w oku i dławieniem szafu w gardle, przez które zdają się przeciskać stłu-

¹⁾ Nie dziw też, że z różnych poezji najwięcej zapалу budziły w Kowalewskiej: „Mcyi“ i „Jeniec Kaukazu“, utwory, przedstawiające jednostkę, skrepowaną w swych pragnieniach.

mione słowa starej pieśni szkockiej: „Mój sztandar musi w górze tam lśnić, lub trup odpocznie na Bothwell-Hill...”

Na transmisję Kowalewskiej złożyły się cztery czynniki: 1. dziedziczność, 2. atmosfera domowa, 3. braki fizyczne, 4. powszechny prąd umysłowy, powszechny przełom ideowy epoki jej lat młodzieńczych.

Nad każdym z tych punktów musimy się tu zastanowić.

Śród przodków Kowalewskiej w linii matczynej (Schubertów) byli znakomici matematycy, stryj zaś jej, którego znała, człowiek wszechstronnie wykształcony, był fanatycznym czcicielem matematyki i swym zapałem w tym kierunku oddziałał na młodociany umysł siostrzenicy, rzucił weń pierwsze zasady ogólnych matematycznych idei (kwadratury koła, asymptoty, i t. p.), które podniecały fantazyę dziecka, wytworząc „bałwochwalczą cześć dla matematyki, jako dla nauki wyższej, tajemniczej, otwierającej świat nowy, cudowny, niedostępny dla zwykłych śmiertelników”. (Autobiografia).

Ojciec Kowalewskiej (generał Krukowski) studiował też w młodości matematykę i posiadał litografowane kursa rachunków wyższych; przypadek zrządził, że z powodu zbraknięcia tapet, wylepiono tymi właśnie kursami pokój dziecinny. Mała Zofia odczytywała litografowane wyrazy, przyglądała się tajemniczym formułom; nie rozumiała wprawdzie tego wszystkiego na razie, ale w umyśle jej utkwіło to mechanicznie i gdy następnie, jako piętnastoletnia dziewczynka, zaczęła w Petersburgu brać lekcye rachunku różniczkowego, nauka znalazła w jej umyśle już gotowe formy,

w które z łatwością wlewały się idee: znakomity jej nauczyciel zauważył, że pojęcie granicy i pochodnej zrozumiała tak prędko „jak gdyby już pierwej o tem wiedziała“.

Jak bardzo studia matematyczne pochłaniają człowieka, jak bardzo odrywają go od życia, ubezcieleśniają, przeduchowiają, ten tylko potrafi zrozumieć i odczuć, kto sam w latach młodzieńczych poświęcał się tym studjom. Nie mówimy tu naturalnie o rzemieślnikach matematyki (choćby najlepszych), lecz o jej poetach, fanatykach, czcicielach. Taki czciciel uważa każde zastąpienie swej kochanki z wysokiego piedestału abstrakcyi ku światowi konkretnemu, praktyce, życiu — za profanacyę świętości; nawet w matematyce teoretycznej figury, ciała matematyczne, owe puste formy bez żadnej zawartości konkretnej, będą dlań jeszcze za bardzo konkretnemi; będzie on dążył do zupełnego zastąpienia ich abstrakcyjnymi wzorami — geometryę zastąpi algebrą. Geometrya bez figur, oto ideał i дума matematyka! Nawet „urojenia“ są dla niego światem, śród którego obraca się z całą swobodą.

Ale i te wszystkie abstrakcyje noszą na sobie jeszcze pewien pył ziemski — trzy wymiary; a więc i ten pył konkretności strząsnąć potrzeba: zbudować wzory n -wymiarowe, od matematyki zwykłej, zbyt jeszcze konkretnej, zbyt fizycznej, wznieść się do matematyki, że tak powiem, metafizycznej, do metamatematyki — po za wszelką zmysłowość, po za wszelką wyobraźalność.

Tym sposobem matematyk buduje sobie świat, nie mający nic wspólnego, z życiem, będący najwyż-

sza abstrakcją, odkrywający nam rąbek nieskończoności; w tej abstrakcyi ginie przytem zupełnie jego ludzkie ja, które musi się poddać despotycznym, żelaznym, niezłomnym, wszystko miażdżącym prawom tego osobliwego świata. Taki matematyk jest jak ów „Farys“, syn pustyni, kochanek słońca, który dąży tylko ku niemu „i nic go w biegu wstrzymać nie zdoła, ani uroczej cienie oazy, ni beduinka głosem anioła...“ — do czasu!

Co do braków fizycznych, to one, jak to wielu życiorysami możnaby poprzeć, bardzo często odrywają człowieka od życia i zwracają ku idei; a to tembardziej, że obiektywna doniosłość tych braków bywa zwykle potęgowana subiektywnie, przez jednostki o wielkich pragnieniach i wielkich od siebie wymaganiach. Z braków fizycznych Kowalewskiej należy podnieść krótkowzroczność, która, ścieśniając zakres wrażeń zmysłowych, zwraca człowieka ku wnętrzu; oraz — brak piękności, który przytem u Kowalewskiej ulegał nie tylko, wyżej zaznaczonemu, spotęgowaniu ogólnemu, subiektywnemu, ale także i szczególnemu, obiektywnemu przez to mianowicie, iż starsza siostra Zofii była niezwykle piękną i przyćmiewała ją swym blaskiem; „nie mogąc dorównać siostrze pięknnością, Zofia *za to* starała się ją prześcignąć w *innym kierunku*“ (Leffler).

Ale nie dość na tem: obok czynników powyższych, że tak powiem miejscowych, wtłaczających wielką siłę życiową Kowalewskiej (odziedziczoną po „babce cygance“) w łożysko ideowe, były, jak wspomnieliśmy, także i czynniki powszechny: powszechny przełom idei między r. 1860 i 1870, powszechny umy-

słowy prąd czasu, kiedy to „dzieci wychowywały rodziców“, kiedy „osobiste szczęście było rzeczą podrzędną, a poświęcenie dla idei — jedynym zadaniem, godnym człowieka“, kiedy wyjście za mąż z miłości uważanem było za pospolitość, za „hańbę“; kiedy panny natomiast zawierały tylko małżeństwa formalne, aby tym sposobem uwolnić się z pod władzy rodziców i móc się poświęcić studjom naukowym, wogóle — pracy dla idei; kiedy, ubogi, brzydki, niezgrabny student, przywiózłszy z uniwersytetu na wieś nowe idee, porywał niemi córki magnatów, które przedtem wyszywały herby i marzyły tylko o rycerzach i księżętach: teraz, porzuciwszy te marzenia, sprowadzają książki naukowe i filozoficzne, biorą się do pracy naukowej, pogardzają balami i uczą czytać chłopskie dzieci, któremi się dawniej brzydziły.

W takiej atmosferze, pod parciem takich czynników, wzrosła Kowalewska, nic więc dziwnego, że z toczącej się w jej dziedzicznych instynktach walki, między „babką cyganką“, która chciała życia i „dziadkiem astronomem“, który żądał nauki, ten ostatni wyszedł zwycięzcą. Cała potęga siły życiowej, która kazała dziewięcioletniej Kowalewskiej gryść do krwi swą rywalkę w miłości, została w dojrzałym dziewczęciu całkowicie transmitowana, wparta w łożysko idei, nauki, matematyki. Panna Zofia Krukowska zawarła wbrew woli rodziców małżeństwo formalne ze studentem Kowalewskim, całkowicie pochłoniętym znów geologią, by swobodnie móc wyjechać za granicę i studiować dalej matematykę u sławnego mistrza Weierstrassa w Berlinie. Wielka siła, rzucona w jedno łożysko, musiała sprawić wielkie rezultaty i Kowalew-

ska nie mogła się uskarżać na brak powodzenia na tem polu: w nagrodę za swe przeduchowanie, za ofiarę ze swego życia biologicznego dla idei naukowej, doznała największych duchowych rozkoszy tryumfu. Ogniskami tego tryumfu są dwie chwile w jej życiu, jedna na wstępie, druga w kulminacyjnym punkcie jej kariery naukowej; jest to mianowicie pierwsze spotkanie z Weierstrassem, a następnie odebranie nagrody akademii paryskiej.

Kto kiedykolwiek w życiu, jeszcze nic nie znaczący, nieznan, lecz z iskrą zaciętości w swej duszy, duszy pragnącej i dążącej, stawał przed sławną, sztywną, naukową powagą zachodu, która patrzyła nań z góry, jak na natrętnego przybłądę z „Halbasien“, jak na istotę rasowo niższą, o czasosie niemal buszmańskiej, ten zrozumie rozkosz, jaką przybłąda ów, głodem wiedzy przygnany wśród obcych, odczuł, gdy udało mu się wstrząsnąć mandaryńską sztywnością tej powagi, wywołać na jej zmartwiałej twarzy pewne zdziwienie, przekonać ją, że ten półazytycki przybłąda znaczy coś przecie, że jest pewną potęgą w tem ściśle ograniczonym państwie nauki. (Nie mówiąc już o tem, że po za temi granicami, że w państwie ogólnoludzkiem, w wewnętrznym państwie duszy, przybłąda ten może obejmować horyzonty, nieraz niepojęte dla najznakomitszych mandarynów nauki).

Takim przybłądą z półazyti była Kowalewska, gdy stanęła po raz pierwszy przed Weierstrassem: drobna, niepokaźna, nieładna, niedbale ubrana cudzoziemska dziewczyna. Profesor niemiecki, by się odzepić, dał jej kilka trudnych zadań, pewnym będąc, że nie zdoła ona nawet poruszyć tego ciężaru i nie po-

każe się więcej; lecz jakież było jego zdziwienie, gdy po tygodniu Kowalewska przynosi wszystkie zadania rozwiązane i to, jak się pokazało, rozwiązane wybornymi sposobami z dokładnymi wyjaśnieniami. „Kowalewska, objaśniając zadania, w zapale pracy zdjęła kapelusz; krótkie kędzierzawe włosy spadły jej na czoło, była zarumieniona od jego pochwał i stary profesor uczuł napływ ojcowskiej czułości dla tej młodej, ledwie rozwiniętej kobiety, która okazała takie zdolności umysłowe, jakie nie często zdarzało mu się spotkać u swych dojrzałych uczniów“. Początkowe niedowierzanie Weierstrassa przeszło w uwielbienie i głęboką przyjaźń dla tego genialnego dziecka. Sądzimy, że ta chwila pierwszego tryumfu była droższą dla Kowalewskiej, niż późniejszy większy tryumf paryski, gdy otrzymała nagrodę od akademii i nieskończone owoce: to było już wtedy, kiedy oderwanie się od życia, wyczerpanie pracą, przeduchowienie zaczęło silniej przygniatać Kowalewską swem potężnym brzemieniem; gdy zaczęła odczuwać nicość celów ambitnych, zdobywszy ideowych wobec braku osobistego szczęścia.

Już przedtem zresztą Kowalewska czuła się nieraz bardzo nieszczęśliwą, był to *ból transmisji*, dokonanej w jej organizmie w sposób gwałtowny, nieekonomiczny (Ob. Forp. ewol. psychicznej). Rozumiała to ona dobrze, żałując (w liście do Jankowskiej), że „filisterscy przodkowie niemieccy ze strony matczynej *wzięli w niej górę* nad cyganami i kozakami ze strony ojcowskiej“ — wspominając zaś dalej o swych „zacierwienionych od pracy oczach“, dodaje z goryczą: „i czyż taka osoba może się kazać kochać?“

Wynikający z przeduchowienia brak miłości

w życiu, miłości w realnym, ziemskim tego słowa znaczeniu, oto co było główną przyczyną jej niezadowolenia życiowego, jej cierpień, a wreszcie i śmierci.

Wprawdzie w energicznej naturze tej kobiety, powstał czynny bunt przeciw przeduchowieniu, *reakcja biologiczna (retransmisja)*: Kowalewska rzuciła się do sportów wszelkiego rodzaju jak łyżwiarstwo, konna jazda, taniec (Ob. Forp. ew. psych.) ale są to tylko paljatywy: hartują one ciało, czynią je wytrwalszem na cierpienia duchowe, lecz samych cierpień tych nie są w stanie usunąć, ani zmniejszyć; owszem: dopomagając nieraz człowiekowi do przetrwania ciężkiej choroby, pozwalając żyć dłużej, zwiększają zakres cierpień przeżytych.

Jedynym zbawieniem, jedynym środkiem, który mógłby przywrócić naruszoną równowagę przeduchowionego organizmu, przynosząc mu nowe siły z zewnątrz, byłaby *retransmisja erotyczna* — miłość; lecz ta piękna, a bezlitosna bogini, najokrutniejsza dla najlepszych, nie przychodziła. „Keiner begehrte ihrer mit dem *Urtrieb* des Mannes zum Weibe“, mówi Laura Marholm o Kowalewskiej. Obie biografki jej, Marholm i Leffler zastanawiały się nad przyczyną tego.

Marholm (*Das Buch der Frauen*), często subtelna, ale na punkcie miłości zbyt pretensjonalna, nawet natarczywa, wyjaśnia to w taki sposób, w jaki biedne stare panny usiłują pocieszać się w swem niepowodzeniu: „brakiem rutyny w miłości, nieużywaniem kokieterii“. — Rutyna! ależ wiadomo każdemu, że rutyna jest zabójcza we wszystkim, a cóż dopiero w miłości! „Kokieteria?“ — zapewne, ale nie ta, której może użyć każdy, „gdyby tylko chciał“, gdyby

się do tego zniżył! Nie ta, która się robi, która jest sztuką, czemś z zewnątrz nalepionem — taka jest wstrętna, jest zamachem; lecz ta, która jest, że tak powiem immanentną, wypływa z płciowej natury danej jednostki, jak woń i barwa wypływają z natury kwiatu. Wprawdzie Marholm mówi w innem miejscu o płciowości Kowalewskiej, o wspomnionem wyżej ugryzieniu rywalki. Ale to obudzenie się płciowości było zawczesne na to, aby znaleźć ujście bezpośrednie; tym łatwiej więc mogła być ona zniweczona, a raczej, (bo siła nie ginie), wciśnięta w łożysko ideowe. Późniejsza miłość Zofii dla Dostojewskiego, genialnego epileptyka, miała już charakter idealny, a przytem nie doznała wzajemności, zwyciężona pięknnością siostry.

Wyjaśnienie dane przez Leffler, że Kowalewska „za wiele wymagała w miłości“, zawiera już przynajmniej cząstkę prawdy, bo jeżeli uczynimy zadość zasadzie „audiatur et altera pars“, to znajdziemy u Edmunda Goncourta w jego „Dzienniku“ nieco podobne wyjaśnienie, dla czego kobiety popolite bywają częściej kochane. Marholm jednak ostro krytykuje Leffler i twierdzi, z pewną słusznością, że „im kto więcej wymaga, tym więcej dostanie“ — zapewne, ale z małym zastrzeżeniem: nie każdy! Napoleon wymagał od ludzi największych ofiar i odpowiadano mu: „Najjaśniejszy panie my wszyscy gotowi jesteśmy umrzeć dla ciebie“. Ale niestety, nie każdy jest Napoleonem w miłości: najmniej zaś ten, co od lat najmłodszych porzucił *ziemię*, by wznieść się w podobłoczne sfery ideału; co, jak mityczny bohater Eddy, porzucił swój kraj i powędrował do zaświatowej krainy Jötunów, by tam pokusić się o spełnienie dzieł nadludzkich: wypicie

oceanu — wiedzy, ruszenia z posad globu — globu nędzy i bezprawia; co pokusił się o zwyciężenie śmierci samej — żłobiąc swe imię na spżżu!...

Wiemy, że małżeństwo Kowalewskiej było tylko formalne, a chociaż później stało się ono realnem, to jednak człowiek taki, jak Kowalewski, natura prawie drewniana; człowiek, który „gdy miał książkę i szklankę herbaty, nie pragnął już nic więcej w życiu“, nie mógł uszczęśliwić Kowalewskiej: małżeństwo to dało jej macierzyństwo, lecz nie dało miłości: Marholm trafnie się tu wyraża: „Mutter wurde sie ja und Gattin auch — aber *Geliebte* nicht“.

Po rozejściu się z mężem (który, wdawszy się w nie-szczęśliwe przedsięwzięcia, odebrał sobie później życie) Kowalewska spotkała w Paryżu pewnego młodego Polaka, matematyka, poetę, marzyciela i rewolucyonistę, człowieka podobnego do niej samej, równie przeduchowionego: „jego dusza i dusza Zofii były podobne do dwóch żarzących się świec, zapalonych na jedną uroczyłość“ (Leffler). Sympatyzowali oni naturalnie ze sobą, prowadzili po całych nocach zapalone dysputy, nacechowane krańcowym idealizmem i mistycyzmem; stosunek ten nie był jednak miłością w zwykłym, ziemskim tego słowa znaczeniu; nie tylko nie mógł on przywrócić Kowalewskiej utraconej równowagi, lecz przeciwnie: przyczynił się do tym większego przeduchowienia, wyczerpania i, wraz z wiadomością o gwałtownej śmierci męża, podkopał silnie jej zdrowie.

Wreszcie zabłysła Kowalewskiej nadzieja prawdziwej miłości w realnem, a raczej realistycznym, tego słowa znaczeniu, miłości, przywracającej naruszoną równowagę między duchem i ciałem. Spotkała ona

mianowicie człowieka, o którym sama pisała (w liście do Leffler), że jest „odpowiednim bohaterem do romansu (ma się rozumieć w kierunku *realistycznym*)“. Był to rosyjski bojar, może nieodrodny potomek żywołowych „Zaporożców“ Riepina, organizacya nie pokrewna Kowalewskiej, jak ów Polak — idealista, lecz dopełnicza; nie spotęgowanie jej aspiracyi duchowych, wzmożenie ciężaru, pod którym już i tak ugięło się jej ciało, lecz jego podpora: po za uzdrawiającym wpływem fizyologicznym organizacyi silnej i zdrowej, oddziaływał on na Kowalewską i bezpośrednio-psychicznie w sposób równoważący, a to drogą wytwarzania jaźni zbiorowej, drogą wymiany psychicznej dwóch natur różnych; niby drogą wymiany ciepłika dwóch ciał o różnej temperaturze, przez co powstaje obniżenie temperatury psychicznej u jednostki wyższej, zwolnienie pulsu zabójczej gorączki psychicznej. Mianowicie, człowiek ten do jej marzycielskiego idealizmu wnosił realizm, do jej ofiarnego zapału — egoistyczny sceptycyzm, do jej nerwowego niepokoju — równoważny spokój.

Nie dość na tem: jako jej rodak, spotkany śród cywilizacyjnego ogniska zachodu, śród najbardziej wytężonego życia psychicznego — w Paryżu, przynosił on jej powiewy z pól rodzinnych, szumy niw złotych, wonie łąk i kwiatów ojczystych, dźwięki dalekiej pieśni ludowej — przynosił jej wspomnienia tego impulsywnego dzieciństwa, gdy nieznużone jej zmysły chwyciły bezpośrednio, żywo, choiwie wszystkie dźwięki, zapachy i widoki przyrody, wchłaniały cały świat zewnętrzny; gdy żyła pełnią życia fizycznego; gdy zamiast rozwiązywania równań różniczko-

wych, gryzła namiętnie swą rywalkę, jak każda prawdziwa samica.

On jeden mógł wyrwać ją na zewnątrz, spowodować reakcję erotyczno-biologiczną, przerzucić „wahadło“ po za punkt martwy¹⁾. To też, gdy pewnego razu Kowalewska na skutek otrzymanego listu sądziła, że marzenie jej się urzeczywistnia, padła na kanapę nawpół omdlała, wołając: „o Boże, Boże, co za szczęście! — o ja nie zniosę tego! Ja umrę! O! co za szczęście!“ — Słowa te, wzruszające, przypominające Fausta, malują całą doniosłość tego momentu krytycznego dla życia; malują potęgę uczucia, z którym człowiek, oderwany gwałtem od natury, stara się ku niej powrócić, a zarazem — całą otchłań cierpień w razie nieudania się tego.

Niestety było już zapóźno, przytem chwila najnieodpowiedniejsza: Kowalewska, pracująca właśnie nad konkursowem zadaniem matematycznym w celu otrzymania nagrody Bordina, była bez wyjścia zaangażowana ambicyą i straszliwie wyczerpana; prócz tego osłabiała się jeszcze bardziej ciągłą analizą: trafiła ją np. myśl, że „więcej go pociąga uwielbienie dla jej umy-

¹⁾ Kowalewska zauważyła, iż w życiu człowieka są pewne punkty graniczne, jak w mechanice: gdy np. wahadło pchniemy tak silnie, że przejdzie po za pewien punkt, to nie powróci, ażeby odbywać swój zwykły ruch wahadłowy, lecz zakreśli cały okrąg dookoła punktu przyczepienia. Gdy człowiek w krytycznym momencie swego życia ma dość siły, aby przejść po za ten punkt, to życie jego całkiem inny przybierze kierunek. Jest to myśl analogiczna do kwestyi retransmisji (ob. „Natura i siła“, „Forpoczty ewol. psychicznej“).

słu i talentu, niż miłość¹⁾. Obawiała się zresztą, i słusznie, że ulegnie *stałemu* wpływowi przyszłego męża, stałemu obniżeniu tętna psychicznego; że zostanie ściągnięta ze swych lotów wysokich, nie na chwilę dla nabrania nowych sił, lecz stale; że stanie się sprzętem domowym małżeńskiego pożycia.

Wszystkie te względy razem zwyciężyły poryw ciąta, budzącego się do życia z długiego letargu — „Wahadło“, pohnięte silnie, zadrgało, lecz nie zdołało przerzucić się po za punkt szczytowy; wróciło do swej drogi pierwotnej, ciężkie, ołowiane. Retransmisja nie często się w życiu udaje; nie dziw: nie przychodzi jej, jak w marzeniach poety, na pomoc siła nadprzyrodzona — Mefisto. Powiedzieliśmy (Forp. ewol. psych.), że „retransmisja dla natur potężniejszych to skok nad przepaścią; kto nie dosięgnie jej krawędzi, ten roztrąci się o skały na dnie sterczące“, a jeżeli nie zginie odrazu, to życie straci dlań wszelką wartość; późniejsza śmierć będzie tylko nominalnym wyrazem tego, co już poprzednio faktycznie się stało. Tak było z Kowalewską.

Ludzie-maszyny, ludzie-drewna, ludzie-kawałki

¹⁾ To uczucie Kowalewskiej jest potwierdzeniem tego, cośmy powiedzieli gdzieindziej, że pozyskiwanie miłości przewagą umysłową jest dla nerwoców psychicznie bezwartościowe (Forp. ew. psych.). Człowiek, znający swą wartość umysłową, nie potrzebuje szukać jej próbierza, zwłaszcza na takiej drodze; lepiej już robi rozwiązując zadania konkursowe. Odwrotnie: jeżeli chce znaleźć próbierz miłości, powinien raczej ukrywać swe zalety umysłowe, jak bogacz powinien ukrywać swe bogactwo, albo pojechać do kraju gdzie nie znają pieniędzy. Małgorzata nie знаła zasług naukowych doktora Fausta.

powiedzą zapewne, że Kowalewska, posiadająca, tak wysokie stanowisko naukowe, nagrodę Akademii, sławę, itp. nie powinna była czuć się nieszczęśliwą, — że to była słabość, i gotowi ukuć z tego nawet argument przeciwko wykształceniu kobiet. Zobaczymy więc, jak zachowują się wobec podobnych losów życiowych silni mężczyźni.

Nietzsche porusza tę kwestyę we właściwy sobie sposób obrazowy, alegoryczny: filozof Zarathustra przypatrywał się pewnego razu tańcowi dziewie na polanie leśnej. „Gdy taniec się skończył i dziewice *odeszły*, zasmucił się.“

„Słońce już dawno zaszło, łąki są przejęte wilgocią, z lasu powiewa *chłód*“.

„Duch *wieczoru* przychodzi i pyta Zarathustry: „Co, ty żyjesz jeszcze? — Dlaczego?... na co?... przez co?... do czego?... gdzie?... jak?... Czyż to nie głupota żyć jeszcze?...”

Lecz Nietzsche jest, powiadają, „zupełnie niezrozumiały“, weźmy więc kogoś zrozumialszego.

Jakobsen we wspaniałej powieści „Niels Lyhne“ kreśli nam duszę filozofa Biguma, który zbudował sobie potężne państwo ducha, gdzie panował niepodzielnie: „Istnieje świat, gdzie ja panuję, potężny, dumny, bogaty, olśniony blaskiem zwycięstwa, uszlachetniony świętym popędem, który wiódł Prometeusza, gdy ten unosił ogień z krainy bogów...” A jednak teraz, wobec braku miłości, Bigum pojął, że to całe potężne państwo, cały ten wielki świat myśli jest niczem: „es war ja alles wertlos was er besass“. W porywie miłosnego szału wobec ukochanej, lecz nie kochającej go, kobiety — wyrzuca z siebie nastę-

pujące słowa rozpaczy, godne co do siły, stanąć obok słów dumy wszechwładnego Lermontowskiego „Demona“: „Nie ma nic w mej duszy, czegobym nie wyrwał, nie wytępił, gdybym przez to mógł miłość twoją pozyskać. Nie, nie — gdyby mi dano do wyboru stać się szalonym i gdybym w wizjach tego szaleństwa ciebie mógł posiadać — wtedy odrzekłbym: macie tu mój mózg, wdrzyjcie się bezlitosną ręką w jego pełną oudu budowę i potargajcie wszystkie delikatne włókna, któremi moje ja jest przywiązane do promiennego, trumfalnego wozu ducha ludzkiego“. — Filozof ofiaruje tu więc miłości — to co ma najdroższego: myśl swoją!

Wielką jest wprawdzie potęga duchów wybranych w walce z przytłaczającym je cierpieniem; ta walka wewnętrzna świadczy bardziej o wielkości człowieka, niż najwspanialsze jego dzieła konkretne. Człowiek potrafi nawet w samej truciznie znaleźć środek do walczenia z cierpieniem: rzucić się w otchłań pracy, która pozwala mu, jak Zoli, jeszcze czas jakiś „przeżyć do dnia następnego“. I Kowalewska więc, szarpana cierpieniem, szukała oszołomienia w pracy. Ale to ciągłe wahanie między pijaństwem pracy i trzeźwością cierpienia może znieść przez czas dłuższy tylko organizm żelazny, któremu pozostało jeszcze dość siły brutalnej do mocnego zaciskania zębów, i to w takim tylko razie, gdy stworzy sobie podstawę, na której może się oprzeć; taką podstawą jest przekonanie, że nasze cierpienie nie zginie bez śladu, że ujawni się ono *bezpośrednio*, uwydatni w twórczości literackiej lub działalności społecznej; że padając, pozostawimy po sobie gruzy naszego więzienia.

Ale jaką podstawę może mieć w tym względzie człowiek-matematyk, jak Kowalewska, którego praca jest zupełnie bezosobista, którego indywidualność ulegnie, jak wspomnieliśmy, zgładzeniu bez śladu (zewnątrznego) pod żelaznym naciskiem formuł niezmiennych, zimnych, bezlitośnych, jak prawa przyrody i którego cierpienia mogą się odbić na pracy tylko w sposób ujemny: jako czynniki, osłabiające trzeźwość i energię myślenia. Nawet filozof, budujący swój systemat, ujęty w najściślejsze formy logiczne, wkłada weń wiele nietylko logiki, ale oraz swych uczuć, swych osobistych doświadczeń i zawodów, wiele swego ja; do tego stopnia, że niekiedy trudno określić, gdzie kończy się system filozoficzny, a zaczyna utwór poetyczny (Nietzsche!). Filozof kładzie tam dalej wiele z medyum, wśród którego żyje; ze stanu społecznego swej epoki, względem którego zajmuje takie lub inne stanowisko, odpowiednio do swej indywidualności. Na pracy matematyka nie odbija się nie z tego, prócz większej lub mniejszej potęgi jego umysłu; praca matematyka nie należy do żadnej epoki¹⁾, żadnego ustroju

¹⁾ Aby mnie źle nie zrozumiano i nie posądzono o herezję, o negowanie rozwoju historycznego matematyki, pospieszam się zastrzedz, że mam tu na myśli „epokę“ dziejów powszechnych, a nie epokę dziejów matematyki; te dwie rzeczy należy odróżnić. Każda nauka, obok zewnętrznych, ogólnodziejowych czynników swego rozwoju, posiada też wewnętrzne, polegające na akumulacji wiadomości, będącej funkcją czasu, oraz na tem, że nie może być wykryte prawo B, póki nie zostanie sformułowane prawo A. Otóż, gdy w innych naukach wpływy zewnętrzno-dziejowe grają rolę ważną, nieraz przeważną, to w matematyce schodzą one, materyalnie rzecz biorąc, do zera i działają tylko mechanicznie, przez przyspieszanie lub opóźnianie tętna rozwoju wewnętrznego.

społecznego, żadnej indywidualności. Matematyka jest funkcją od tych czynników niezależną. Nawet wyżej wspomniana miłość badacza dla matematyki, nawet ta jego poezya, nie może się przejawiać bezpośrednio, jako taka, jako „ciepło“; zmieni się ona w „ruch“, w motor mechaniczny, poruszający jedyny aparat — rozumu.

To też niedziw, że Kowalewska, ta bogata indywidualność, mimo zamiłowania do matematyki, czuła się zbyt ściśnięta w tem państwie, marzyła o twórczości literackiej i działalności społecznej; lecz tych środków ratunku tylko w bardzo drobnej części użyć mogła.

Co do działalności społecznej praktycznej, to na to prócz, nieskrępowanego innemi celami czasu, trzeba obok idei zachować jeszcze pewien zapas grubości fizycznej i duchowej, któreby pozwalały być w stanie stosowania się do okoliczności, zawierania różnych kompromisów; ścisły teoretyk o uczuciu zbyt wysubtelnionem tego nie zniesie i może nawet paść ofiarą wewnętrznej rozterki i niesmaku.

Co do działalności literackiej, to więzy matematyczne zbyt silnie wpiły się w umysł Kowalewskiej i paraliżowały jej polot w tym kierunku. Matematyka, nie tylko jak wspomnieliśmy, zbyt pochłania człowieka w fazie zajmowania się nią, ale prócz tego wytwarza ona stale pewną organizację umysłu, pewne nawyki, pewne procesy myślowe, które niezmiernie utrudniają pracę literacką i to tak pod względem formalnym (strukturalnym), jak i materalnym (treściowym).

Przedewszystkiem matematyk, przywykły do nadzwyczajnego ładu, do żelaznego, logicznego na-

stępstwa w przedstawieniu rzeczy, natrafia na nieprzewyciężone trudności budowy, gdy zechce tę swoją metodę zastosować do nadzwyczaj skomplikowanych, zmiennych, ruchliwych, niepochwytnych, chaotycznie krzyżujących się z sobą, zjawisk świata ludzkiego; któż byłby w stanie uporządkować zmienny chaos, walczących z sobą, wznoszących się i spadających kropelek we wrzącym słupie gejeru!

Nie dość na tem, matematyk natrafia przy twórczości literackiej także i na trudności materyalne, treściowe. Badania matematyczne zacierają wrażliwość na świat zewnętrzny, zacierają zdolności empiryczne, wyrabiają natomiast zdolności dedukcyjne. Matematyk więc przystępuje do twórczości literackiej nie jak aparat fotograficzny, nie projektuje świata zewnętrznego na swoją kliszę duchową — lecz odwrotnie: postępuje jak malarz, malujący nie z natury, lecz z głębi swego ducha, projektujący go niejako na zewnątrz. Już to samo jest ograniczeniem (ilościowem) materiału twórczości (u Kowalewskiej ograniczenie to potęgowało się jeszcze więzami kobiecości). Ale i na tem jeszcze nie dość; matematyk, przyzwyczajony nie do opisywania lub opowiadania poszczególnych faktów, lecz do najwyższych uogólnień, nie może dać nawet tego własnego materiału w sposób dość bezpośredni: wszystkie zjawiska podmiotowe, wszystkie myśli, doświadczenia i cierpienia zlewają się w jego duszy w jedną jednolitą syntezę, w której, jak w rezultacie arytmetycznym, nie widać pojedynczych części składowych, pojedynczych czynników, poszczególnych dróg. Jego dusza jest jakby miażdżąca maszyna, w której miliony

pojedyńczych pestek zmieniają się w jedną skoncentrowaną kroplę goryczy¹).

Nie mówimy już o tem, że do tych trudności specjalnych, jakie napotyka matematyk, musiała Kowalewska naturalnie napotykać i te trudności, jakie ogólnie napotyka każda niezmiernie subtelna organizacja nerwowa, której daleki wzrok duchowy nie dosięga nigdzie końca, kresu, granicy, lecz gubi się w nieskończonej tajemnej głębinie rzeczy, trawiąc się pragnieniem sięgnięcia głębiej i głębiej — i te trudności wreszcie, jakie napotyka każda wyższa organizacja bojownika, któremu wszystkie, wymierzane przezeń ciosy, wydają się zbyt słabe, zbyt nikłe, chociażby one były ciosami piorunu; chociażby po nich, jak po ciosach Thora, pozostały niezatarte bruzdy na skalnem obliczu ziemi.

Nic więc dziwnego, że pomimo, a nawet poczęści z powodu bogactwa duchowego Kowalewskiej, jej twórczość literacka była nieznaczna i że musiała ona brać do pomocy inną, niższą od siebie organizację duchową (Leffler), by swe pragnienia, swe cierpienia i swe idee, które jej rozsadały głowę, ubrać w konkretne literackie szaty. O ironio losu! — iluż to marnych pisarzy posiada na swym składzie krawieckim najwspanialsze szaty, by niemi odziewać zgniłe trupy, rozsiewające zarazę, albo lalki z trocin i słomy, któ-

¹) Te trudności strukturalne i treściowe, które napotykała Kowalewska w rozwinięciu twórczości literackiej, tłumaczą nam, dlaczego wyżej wspomniany jej utwór jest „Pamiętnikiem“ (łatwość budowy) i to z lat „dziecinnych“ (większa łatwość chwytania zjawisk poszczególnych i zatrzymanie ich w formie pierwotnej).

remi, jak sztukmistrze bud jarmarcznych, rozweselają gawieź, zwabioną przez reklamę!...

I tej więc podpory pozbawiona była Kowalewska, tej podpory, bez której nawet egoistyczny Goethe byłby „zginął“ jak sam mówi; czyż można tedy przeczytać Kowalewskiej za słabość, że się ugięła pod brzemieniem cierpienia? Wszakże ugiął się pod niem i Nietzsche, ten zraniony król pustyni, co rykiem rozlegającym się śród mroku, napełniał grozą spokojne, handlowe karawany; ten Tytan woli, co na pytanie ducha leśnego, „jak żyje?“ odpowiadał z niezachwianą pewnością i dumą: „jest we mnie coś niewzruszonego, nieśmiertelnego, coś, co rozsadza skały — to moja wola. Milcząca i niezmienna stąpa ona poprzez lata. Tak! jeszcze jesteś przy mnie, ty, co burzysz wszystkie groby. Bądź pozdrowiona wolo moja!...” A jednak i ta wola tak potężna ugięła się przed głodem życia.

Nietzsche się ugiął — więc nie dość pracy, nie dość nawet twórczości; te środki, jakkolwiek potężne, nie są jeszcze dostateczne do pokonania cierpienia i ciosów, spadających lawiną na głowę człowieka bojownika. Trzeba więc wznieść się jeszcze o stopień wyżej na skali potęgi ludzkiego ducha, a w tym celu trzeba sięgnąć jeszcze głębiej w naturę ludzką, by wydobyć stamtąd jeszcze trwalszy kruszec i wykuć zeń jeszcze silniejszy oręż.

W samem cierpieniu jako takim, w niem szukać należy *bezpośredniego* źródła siły. A nie myślimy tu o rezygnacyi cierpienia, nie: taki typ człowieka to dla rozwoju ludzkości, typ bezwartościowy, bierny — to balast, to — kanonenfutter! My myślimy nie o rezygnacyi — lecz o wściekłości cierpienia!

Zarathustra Nietzschego powiedział: „bądźcie

twardzi“; lecz twardą jest natura i twardym jest człowiek natury, człowiek-zwierzę; nie może więc być twardym człowiek przyszłości, człowiek nad-czuający — *nad-człowiek*. Zarathustra nowy powiedziałby: bądźcie wściekli, a wszelka „twardość“ zadrży i zblednie przed wami; a cierpienia, ciosy — tych się nie ulękniecie, te was nie złamią, bo staną się dla was żywiołem, jak dla innych szczęście.

Nie jest to wcale pusty frazes: życie organizmu bowiem to wejście w pewną równowagę między nim i medyum, nie ma więc medyum złego lub dobrego wogóle, lecz tylko w zastosowaniu do pewnego organizmu: dane medyum może być złe dla pewnego organizmu, który w niem nie wzrósł, ani nie wszedł zniem w warunki równowagi, a dobre dla innego: powietrze zabójcze dla ryb, jest warunkiem życia dla istot, które wyrobiły sobie płuca; zimno zabójcze dla jednych organizmów jest korzystne dla innych, które potrafią wyrabiać w sobie wielką ilość ciepła i t. d.

Czyż więc walki, cierpienia, ciosy nie mogą stanowić medyum korzystnego dla pewnych osobników, dla tych mianowicie, które zdołały wyrobić w sobie wielką ilość wściekłości?

Cierpienia i ciosy są z tego powodu bolesne i groźne dla życia, że obniżają tętno życiowe, zwalniają wymianę materji; lecz możliwym jest taki organizm w którymby one przeciwnie — potęgowały życie, a to przez pobudzanie wściekłości; podobnie, jak zimno, które w jednych organizmach obniża tętno życia, w innych przeciwnie, potęguje takowe przez pobudzanie do wytwarzania ciepła.

Ten wywód teoretyczny nie jest pozbawiony

też poparcia w praktyce: czyż nie słyszeliśmy o wojownikach, którzy dopiero śród huku dział, śród kłębow dymu bojowego czuli się dobrze, byli w swoim żywiole, i którzy, jak ów heinowski grenadyer, mogli mówić: „szczęk broni owiewa mnie *czarem*“?

Czyż więc nie są możliwi tacy bojownicy ducha i życia, którzyby w wielkich cierpieniach, w ciosach życiowych znajdowali swój żywioł, źródło siły, podniecie życia? Im bardziej ciosy się kombinują, im te kombinacje są piekielniejsze, im bardziej wyrafinowane, niemożliwe, wykluczające się nawzajem, tym bardziej rośnie zaciętość i wściekłość bojownika: zmiążdżył jednego wroga, w miejsce jego wyrastają setki, oparł się plecami o skałę — skała rozsypuje się w proch, zarył się silnie stopami w ziemię, ziemia rozstępuje się pod nim... To nic!... z tajemnych głębin jego duszy bucha nowa nieznana fala siły i wściekłości, która rzuca go w bój z porywem orkanu, z wszystko niszczącą potęgą ognistej lawy, wypartej z wyniosłego krateru.

Ten wzrost wściekłości w miarę wzrostu ciosów łączy się przytem z mistycznym uczuciem dumy, z pewną halucynacją: przed oczyma bojownika zdaje się wyrastać jakieś widmo nieznanej potęgi; godząc weń świadomie, z piekielnem wyrafinowaniem i pod tem uczuciem rośnie jeszcze bardziej wściekłość bojownika: wyzywa on tego uosobionego wroga, podaje naprzód swą pierś ze stali i z okiem krwią nabiegłym, z zaciśniętymi zębami, z pianą na ustach rzuca mu harde pytanie: „no cóż jeszcze, jakież jeszcze masz ciosy w zapasie, uderzaj, uderzaj — ja się nie ulękę, ja — gardzę tobą! —

Tak skała z marmuru, gdyby miała duszę, mówiłaby pewno roztrącającym się o nią falom oceanu. — Powie ktoś może, iż najtwardsza skała legnie pod zimnym całunem fal? — Tak, ale z tego grobu powstanie ład nowy i nowe życie zakwitnie.

A więc: „bądźcie wściekli“...

Kowalewska, która, jak wiemy, często wykazywała zaciętość, miała już pewne zadatki, pewne przebłyski tego środka walki, gdyż zauważyła, że ciosy mają to do siebie, iż uderzają w sposób skombinowany. Lecz niestety, w uwadze jej więcej brzmi żalu niż zaciętości — za miękką była widać kolebka jej dzieciństwa i nie mogła nadać jej ciału „twardości“ stali. A nie myślimy tu naturalnie o „twardości“ nietzscheańskiej, lecz o tej, która chroni duszę bojownika od pieśni żalu nad sobą samym; bo kto raz pieśń taką zaintonował w duszy, ten już zgubiony; gdy „róże zwiędły“, pieśń niech będzie „tak dzika i twarda jak hałas rogu i oręża szczęki“.

Wreszcie Kowalewska nie mogła naturalnie w swem cierpieniu, jak wielu ludzi pospolitszych, mieć podpory w towarzystwie, unikała nawet najbliższych; w towarzystwie duma nakazywała jej wkładać maskę wesołości; mówiono o niej: „jaka ona dziś wesoła i ożywiona“, wtedy właśnie, gdy największy ból szarpał jej wnętrze. — Odgrywać rolę króla, gdy się jest nędzarzem, to zbyt drogo kosztuje; nie więc dziwnego, że Kowalewska szukała odosobnienia, zapragnęła śmierci, a ta niedługo kazała czekać na siebie. Formalnie mówiąc, Kowalewska umarła na zapalenie płuc.

Człowiek, co zużywa materię cielesną na kształcenie zwojów mózgowych, co transmituje siłę życiową

na działalność psychiczną, jest jak budowniczy, co wznosi gmach z materiału skalnego, wydobytego z pod fundamentów; im więcej wydobędzie materiału, im wyżej ku niebu pomknie szczyty swej budowli, tem bardziej rozszerzy pod nią otchłań, osłabi podstawę i zwiększy ciśnienie na nią wywierane. Wreszcie przy tej szalonej żądzy nieba, przy gorączkowym wznoszeniu gmachu do zawrotnych wysokości, osłabiona podstawa nie wytrzyma ciśnienia i gmach runie, jeszcze przed wykończeniem, przed tem, zanim mógł spełnić cel, dla którego był tak wspaniale wznoszony. — Niech więc budowniczy będą ostrożni: jeżeli gmach ich zacznie się chwiać, niech zawczasu część materiału przeniosą napowrót do podstawy. Kowalewskiej nie udało się tego uczynić, nie mogła też, jak okazaliśmy, oprzeć się na żadnych podstawach sztucznych, i dlatego budowa jej, choć nie całkiem bezpłodnie, ale w każdym razie bardzo przedwcześnie, zapadła się w tajemną, bezpowrotną głąb.

Gdy się oglądamy myślą za współczesnymi wielkimi duchami kobiet, zbudzonych do życia umysłowego, do czynnej roli w psychicznej ewolucji ludzkości, nie wiele znajdujemy takich, któreby się mogły mierzyć z Kowalewską, a przewyższa ją jedna może tylko — Ada Negri.

Pierwsza, dziecię bogactwa, znosiła w dzieciństwie brzemień despotyzmu rodzicielskiego i zwyczajowego — druga, dziecię robotnicy, znosiła od dzieciństwa brzemień nędzy. Pierwsza, po wysiłkach i walkach duchowych, mogła znaleźć wytchnienie wśród wygod wsi rodzinnej — druga nie miała chwili wytchnienia od walki podwójnej, duchowej i życiowej. Pierwsza „wy-

ohowywała swych rodziców“ — druga opiekowała się swą matką chorą i utrzymywała ją swą pracą. Pierwsza, zgodna duchowo ze swem stanowiskiem społecznem, mogła znaleźć przyjaciół, jak ona rozporządzających swobodnie sobą, wśród których grona mogła żyć wymianą myśli i uczuć — druga, magnatka duchem, a robotnica, nędzarka stanowiskiem, pozostała samotną, musiała sobie wystarczyć, we własnym tylko duchu szukać pokarmu i sił do zniesienia życiowego brzemienia, do życiowej walki. Pierwsza, wydelikatniona bogatym dzieciństwem i hołdami, jej nauce składanemi, mogła przyjmować od przyjaciół drobne usługi, uwalniające ją od drobiazgów życiowych — drugą odosobnienie i duma ubóstwa pozbawiły i tej ulgi; ona cały ciężar życia na własnych barkach podźwignąć musiała. Pierwsza w licznych podróżach, wśród wielkich ognisk cywilizacji i wiedzy mogła znaleźć źródła i pobudki do swych wzlotów wysokich — druga musiała tworzyć w ciasnym horyzoncie szkoły ludowej i małej miejsciny. Pierwsza, nie znająca, co to chleb najmity, była w swych sympatyach dla cierpiących i wyzyskiwanych rośliną egzotyczną, wzrosłą na gruncie cierpień osobistych — druga, poetka-robotnica, była w tych sympatyach rośliną rodzimą, wzrosłą na gruncie tym samym, wspólnym.

Jeden tylko dar losu otrzymała Ada Negri korzystniejszy niż Kowalewska: zamiast brzemienia talentu matematycznego, otrzymała poetyczny, który ją niemniej wprowadzie przeduchowiał, ale który pozwolił znaleźć jej ujście dla bólów. Być może, iż ta właśnie okoliczność wraz z zahartowaniem na cierpie-

nia od dni najmłodszych, nawet dziedzicznem, uchroniły Adę Negri od katastrofy Kowalewskiej¹⁾.

Te dwa duchy wielkie, te dwie najbardziej naprzód wysunięte forpoczty ewolucyi psychicznej, które tak różnemi drogami życia, z tak różnych sfer społecznych doszły do jednego punktu duchowego, stanęły na tym samym poziomie uczuć i myśli ogólnoludzkich, rzucają pewien promień światła w chaos dzisiejszych prądów psycho-społecznych (które zresztą dadzą się ująć w cztery, a względnie dwa główne łóżyska): zdają się mianowicie wskazywać, że rozwój ludzkości nie pójdzie drogą *nietzscheańską*, ani *dekadencją*, t. j. drogą więcej lub mniej brutalnego gwałtu, drogą rozłamu społeczeństwa na oświeconych panów i ciemnych niewolników, lecz drogą miłości i sprawiedliwości; a nie tej miłości *tołstojowskiej*, pokornej, biernej, bezróżnicowej, która gotowa karmić swą krwią robactwo i „nie sprzeciwiać się złu“, lecz drogą *miłości krytycznej*, która gotowa ponieść śmierć dla sprawiedliwości, ale w swych darach kieruje się wyborem i mimoto że kocha ludzkość, a nawet dlatego, że kocha, jest w momencie krytycznym, momencie wybuchu, gotowa wszelki gwałt odeprzeć gwałtem i tym sposobem nie tylko biernie, ale i czynnie przyczynić się do jego wytępienia wśród ludzkości i zapewnienia jej *całej* najswobodniejszego rozwoju i najpełniejszego szczęścia.

¹⁾ Wprawdzie pisarze-artyści, pisarze-panowie, pisarze-rentierzy, pisarze-lokaje, którzy dzięki cudzej krwi lub cudzej kuchni mają dość czasu i spokoju do artystycznego cyzelowania swych utworów, lekceważą Adę Negri, za brak artyzmu i spokoju. My jednak, pomimo to, a po części nawet dla tego, musimy ją postawić wysoko, bo oceniamy ją nie ze stanowiska formalnego, lecz ze stanowiska potęgi ducha.

Nietzsche i Nietzscheanizm.¹⁾



dea Nietzschego, idea o „nadczłowieku“, potężnym, „twardym“, spotkała się z najrozmaitszymi sądami. Brutale otwarci, bezczelni uznali go za swoją duszę pokrewną! a przynajmniej za swego teoretyka, i szukają w nim usprawiedliwienia ba! — apoteozy swych niecnych, zwierzęcych czynów. Brutale zamaskowani, hipokryci odwrotnie: rzucili się na niego z „moralnym kwikiem“ w imię różnych szczytnych hasel, któremi się lubią posługiwać dla uśpienia czujności swych ofiar; rzucili się dlatego, że Nietzsche, niezmiernie przenikliwy wróg wszelkiej hipokryzyi, odsłania istotę dzisiejszych stosunków społecznych, zdiera maskę z instynktów zwierzęcych. Wreszcie różni filozofowie i psychologowie książkowi, o duszach skleconych z zadrukowanej bibuły, nie będąc w stanie zrozumieć psychologii Nietzschego, uznali go za płytkiego, nudnego gadułę, plotącego bez sensu i ładu.

Postarajmy się zrozumieć duszę Nietzschego, a stąd i genezę jego idei; a w następstwie — ocenić jej teoretyczną prawowitość i praktyczną wartość.

Nietzsche to indywidualność wybitna i nawskroś uczuciowa, niezmiernie wysubtelniona, przeduchowiona, a wskutek tego, oraz wskutek miękkiego kobiecego wychowania i gorącego przejęcia się początkowego ideami chrystyanizmu, — wydelikaccona fizycznie,

¹⁾ Drukowane w 1901 r.

o ciele, uginającym się pod brzemionami uczuć i myśli, pod pętami antyfizycznego wychowania. Wobec grozy tego brzemienia i tych pęt, instynkt zachowawczy organizmu rodzi ideę i pragnienie reakcyi biologicznej, zwrotu ku fizyczności, ku życiu; reakcyja ta, w tak potężnej jak Nietzsche indywidualności przyjmuje potężne rozmiary, olbrzymie natężenie; wyraża się ona we wścieklej nienawiści ku pętom lat młodzieńczych, ku „wzgardzicielom ciała i kaznodziejom śmierci“, i naodwrot — w szalonem pragnieniu potężnej, „twardej“ fizyczności, cielesności, którą uosobił w swym „nadczłowieku“. Tym sposobom „nadczłowiek“ Nietzschego to w zasadniczych rysach psychiczna antyteza jego samego. — „Znużenie i niemoc, mówi Nietzsche, stworzyły bogów i zaświaty“ i ma zupełną rację, ale nie spostrzegł się, że one to również stworzyły i jego „nadczłowieka“.

Dowód takiego procesu psychicznego u Nietzschego, takiej psychicznej genezy nietzscheizmu, można znaleźć nie tylko w jego biografii, ale i we własnych jego słowach: „jako rzecz najświętszą kochał on niegdyś „*Powinieneś*“, a później: „dziesięciokrotne przewyciężenie“ (dekalog) nazywa — „makiem duszy“ (snem) i mówi z pogardą: „ubodzy w duchu sprzyjają snowi“, a odwrotnie: „coraz uczeiwięj uczy się mówić owo — ja; a im więcej się uczy, tym więcej znajduje słów i *czci dla ciała i ziemi*“. „Nowej dumy nauczyło mnie moje ja, [tej uczę ludzi: *nie kłaść więcej głowy w piasek rzeczy niebieskich*, ale nosić ją *swobodnie*, tę głowę *ziemską*, która stwarza treść *ziemi*“. — „Niegdyś dusza patrzyła na ciało z pogardą i wówczas pogarda ta była rzeczą najwyższą: dusza

choiała mieć ciało chude, brzydkie i zgłodniałe“. „Teraz najstraszniejszą jest rzeczą dopuszczać się zbrodni przeciwko ziemi“ i t. d.

Poznawszy nietzscheanizm, jako wybuch, jako bunt istoty przeduchowionej przeciw pokrzywdzeniu ciała, poznawszy jednym słowem uczuciowo-psychiczną genezę nietzscheanizmu, zastanówmy się nad jego genezą logiczną. Proces myślowy Nietzschego był tu bez wątpienia mniej więcej taki: ponieważ uczuciowość, subtelność, miętkość czynią człowieka nieszczęśliwym, nie pozwalają mu zdążać ku swym indywidualnym celom, czynią go niewolnikiem, igraszką w rękach ludzi silnych, bezwzględnych, brutalnych, „twardych“ (dodajmy: przy dotychczasowym ustroju społecznym), a więc: „bądźcie twardzi“. Otóż logika taka nie wytrzymuje krytyki; jest ona taką samą, jak logika człowieka, który, przekonawszy się, iż w pewnym kraju grasuje zwycięzka banda rozbójników, radzi mieszkańcom, aby sami dla pomyślności swej i swego kraju, stali się rozbójnikami; tymczasem powinien im poradzić, aby starali się usunąć rozbójników, a głównie, by starali się zmienić grunt, na którym oni wyrastają i tym sposobem zapewnić pomyślność spokojnym pracownikom.

Przypominam sobie, iż w latach młodszych sam kierowałem się tą błędną logiką Nietzschego, jeszcze nic o nim nie słysząc. Zacząłem więc nowicyat „przezwyjęzań“: przejść około złamanego cierpieniem kaleki, nie wspomagając go niczem; zastrzelić biednego ptaszka, radującego się życiem wśród zieleni; przypastrywać się bez wzruszenia umierającym i t. d. — Oto były pierwsze, łatwiejsze zagadnienia, które należało

rozwiązać, by pokonać uczucie, stać się „twardym“. Ale ta nauka była bardzo kosztowna i wątpliwe dawała rezultaty: „natura ciągnęła wilka do lasu“; zresztą zrozumiałem wkrótce, że choćby nawet nauka ta dawała chwilowo pewne korzyści wśród twardych również warunków, nie może być jednak ideałem rozwoju ludzkości, lecz tylko chwilową, instynktową reakcją biologiczną.

Rzecz ciekawa, iż Tołstoj, choć antyteza Nietzschego pod względem biegu życia (Nietzsche od negacji życia ku życiu, Tołstoj — od życia ku jego negacji) i pod względem wynikającej stąd teorii społecznej, popełnia jednak formalnie ten sam błąd logiczny, co Nietzsche. Proces myślowy Tołstoja jest mniej więcej taki: ponieważ najwyższymi zdobyczami kultury, np. sztuką, mogą się napawać tylko próżniaki i wyzyskiwacze (dodajmy: przy dotychczasowym ustroju), więc usuńmy sztukę (prócz chyba jarmarcznej), wogóle stłumijmy kulturę, zniżmy tętno życia do minimum, schłopiejmy — zamiast powiedzieć: podnieśmy ton życia do najwyższej potęgi, czyniąc go zarazem dostępnym dla największej liczby ludzi.

Pod względem praktyczno-społecznym idea Nietzschego, jest usprawiedliwieniem gwałtu, i urzeczywistniona, cofnęłaby ludzkość w czasy barbarzyństwa (tak jak idea Tołstoja — w czasy rajskiego dzieciństwa). Dzisiejszy rozwój społeczny, dążący w kierunku urzeczywistnienia idei sprawiedliwości, idzie w kierunku wprost przeciwnym idei Nietzschego.

Jeżeli dodamy do tego, że i filozoficzne stanowisko Nietzschego, skłaniające się ku grubemu materializmowi („jestem ciałem całkowicie i niczem po za tem“),

nie da się dziś już utrzymać, to wydawałoby się napozór, że ci, co lekceważą sobie Nietzschego, mają słuszość, — iż nad jego spuścizną przejśćby już należało do porządku dziennego. Nic mylniejszego: Nietzsche długo jeszcze panować będzie nad duszami ludzi wyższych i długo będzie przedmiotem głębokich studyów i komentarzy: nie logika jego, która jest wadliwa i co chwila pryska pod parciem uczucia; nie socyologia, która jest wsteczna; nie filozofia, która została obalona — lecz głęboka psychologiczna i poetyczna potęga — oto co czyni Nietzschego jednym z najwyższych duchów naszej epoki — duchów czczonych i miłowanych przez duchy pokrewne, niezrozumiałych, niedoścignionych przez miernoty; i nie dziw: „kroczy on, jak sam powiada, od szczytu do szczytu, a na to trzeba mieć długie nogi“ — „pisze on krwią“, a na to, by krew odczuć, trzeba samemu mieć krew.

Ale i pod względem praktycznym nie jest nietzscheanizm tak zupełnie pozbawiony wartości: jeżeli tym brutalom, którzyby chcieli przy jego pomocy uzasadniać i usprawiedliwiać swe egoistyczne czyny gwałtów, można roześmiać się z pogardą i zamknąć ich za kratę, to z drugiej strony dla nieuświadomionych dusz subtelných i ofiarnych potrzebne jest, jako instynkt zachowawczy, pewne minimum „twardości“ i „cielesności“; otóż dusze takie, dowiedzą się od Nietzschego, że są ludzie, którym „podawać należy nie rękę, lecz łapę“ — miękka rękę wam zgruchoczą, lecz gdy im podacie twardą łapę z mocnemi pazurami, wnet nabiorą dla was szacunku. Dusze ofiarne dowiedzą się dalej, że należy się opierać wyzyskowi „najnatrętniejszych żebraków“. Dowiedzą się, jednym słowem, że nie na-

leży zejść aż do roli fakira, karmiącego swą krwią robactwo. Takim duszom miękkim i subtelnym radzimy czytać Nietzschego; niech on, o bracia, będzie dla was biblią, w której znajdziecie pokrzepienie; przy jej pomocy strząsniecie z siebie niejedno gniotące was brzemie, odtrącicie niejednego wampira, co przyłożył swe choiwe ssawki do waszego krwawiącego się ciała.

Amiel a Nietzsche.



Amiel należy do tej samej rodziny formoczt ewolucyi psychicznej“, przeduchowionych nerwowców, co i Nietzsche, którego charakterystykę skreśliliśmy powyżej, lecz jest to odmienny typ psychiczny tej rodziny. Podczas gdy Nietzsche przedstawia typ o silnem napięciu uczucia, niespokojny, nieugięty, skłonny do buntu, wybuchu, to Amiel jest typem bardziej intelektualnym niż uczuciowym, smutnie spokojnym, skłonny raczej do analizy niż do wybuchu, do rezygnacyi niż do buntu; pod tym względem ma dużo wspólnego z Goncourtami, tylko gdy u nich tłem duchowem, punktem oparcia, była estetyka, u Amiela jest tem etyka. Swą przenikliwą, pogłębiająco-trzeźwą auto-analizą przypomina on w łagodniejszej formie Garborgowego Grama z „Dusz znudzonych“, swym etyzmem — Kierkegaarda lub Tołstoja; choć zresztą nie neguje on estetyki, lecz stara się ją pogodzić z etyką; toteż, gdyby nie tło chrześcijańsko-religijne, przypominałby Guyau'a, tego, rzecz można, chrześcianina „irreligijnego“, nie wierzącego w Boga, który był dlań za mało chrześcijańskim.

Jeżeli typy Nietzschego i Amiela są odmienne, to tymbardziej odmiennemi są ich utwory literackie; mówimy „tymbardziej“, dlatego, że podczas gdy utwór literacki Amiela, jako „dziennik“ auto-analityczny¹⁾

¹⁾ Ob. Henryk Fryderyk Amiel. Z pamiętnika tłóm. z franc. A. Kordzikowska.

jest wiernym wyrazem stałego, normalnego stanu duszy autora, to utwory Nietzschego nie są wyrazem stanu normalnego, lecz chwili wybuchu, buntu, reakcyi biologicznej (w myśli); są wściekłym wyprężeniem się mocarza, usiłującego zerwać więzy, nałożone przez ducha na ciało. Stąd to jeszcze większy kontrast utworów literackich, niż typów psychicznych — kontrast między spokojnym, zrezygnowanym etyzmem Amiela i wściekłym anti-etyzmem Nietzschego: etyka zbyt drogo go kosztowała! — ta dusza namiętna o szalonym pragnieniu potęgi, szczęścia, miała więcej do stracenia, niż spokojna, intelektualna natura Amiela. Wprawdzie i u tego ostatniego widać tu i owdzie ślady pragnienia biologicznej reakcyi, „powrotu do instynktu“: budzenie się przyrody na wiosnę, rozkoszne niebo Italii i t. p. niecą w nim pewne nieokreślone pragnienia, oraz poetyczne nastroje i woła on: „przybywajcie, poezyo, przyrodo, młodości, miłości, rękami wieszczek odnowcie moje życie, rozpocznijcie we mnie swe nieśmiertelne płąsy, zanućcie śpiewy syrenie...“ Natychmiast jednak słycać brzęk kajdan: „albo raczej nie *pogańskiego!*“ Raz nawet, trapiiony cierpieniem, pragnie „oszołomienia zmysłowego“. Ale nie posiada dość energii, by się wyrwać z więzów analizy i rzucić na łono przyrody, czy kobiety (jest tylko w ciągłym „oczekiwaniu“); nie ma dość energii, by choćby tylko pragnąć tego aż do piany na ustach, jak Nietzsche; stąd utwór Amiela, jak wogóle utwory natur zasadniczo etycznych, nie wywiera tego potężnego wrażenia, co utwory Nietzschego. „Es ist kein Teufel darin“.

Odpowiednio do różnic psychicznych Nietzschego

i Amiela, różne są też ich stanowiska filozoficzne; na-
przeciw materjalizmowi Nietzschego występuje Amiel,
jako spirytualista, zwolennik Platona, Berkeley'a, Leib-
niz'a, Fichte'go. Nietzsche mówi: „jestem ciałem i ni-
czem więcej“, Amiel zaś: „ideał jest prawdziwszy od
rzeczywistości“.

Oba byli „znużeni na wyżynie“ i oba runęli
w głąb przepaści; ale gdy Nietzsche upadł, jak Tytan
z błyskawicą w oku i przekleństwem na ustach, Amiel —
jak Chrystus, „dźwigając krzyż w pokorze“.

Poszukiwanie utraconego ojca.



twór Arne Garborga, „Utracony ojciec“, przypomina treścią „Znużone dusze“, lecz pod względem formy nie jest tak prosty: przedstawia on pod formą alegoryi, nie zawsze dość przejrystej, myśli i uczucia człowieka, który poczęści wskutek przeżycia i wyrzutów sumienia (żył z procentów, był bezwzględny dla ludzi), poczęści wskutek przeduchowienia, analizy, utracił pod nogami wszelki grunt życiowy — cierpi, miotany bez celu i kierunku, niby statek bez steru, lub liść jesienny, pędzony wichrami. Pragnąłby znaleźć oparcie, spokój w powrocie do stron rodzinnych, t. j. do natury, pierwotności; pragnąłby odnaleźć „ojca utraconego“ tj. utraconą wiarę. Lecz usiłowania są daremne, nikt nie może mu dopomódz do wyszukania „ojca“; waha on się między nieubłaganym sceptycyzmem i wybuchami modlitewnymi, wypowiadając przytem mnóstwo uwag głębokich, a bezlitosnych. Garborg jest obok Nietzschego jednym z najznakomitszych znawców duszy człowieka współczesnego, człowieka-nerwowca; tylko gdy Nietzsche piorunowymi błyskami rozświeca ciemne przepaście duszy ludzkiej, Garborg spokojnie spogląda w nie bez zawrotu głowy i zapuszcza sondę aż na dno.

O poszukiwaniu „ojca“ mówi on: „kto szuka ten znajdzie ale nie znajdzie tego, czego szuka“. A dalej:

„Zawsze, gdym chciał być wesół, musiałem zapomnieć o Bogu“.

„Nie odważę się wejść do kościoła, wiem, że gdy tylko wejde, On zniknie przedemną“.

Wiele ma kto dzieci, tyle gwoździ do trumny.

„Pożyczałem złoto na procenty, lecz znam takiego, który brał jeszcze wyższe procenty, a teraz siedzi w izbie prawodawczej“.

„Gdy biorę gazetę do ręki, tak mi jest jakbym wchodził do szynkowni“.

„Mędrzec do dziecka mówi: jesteś już duże: do żony: tyś aniołem; do przyjaciela: czy nie potrzebujesz pieniędzy; do narodu: hurra!“

„Nie młodość kocha życie, ona marzenia swoje kocha; nie wiek dojrzały kocha życie, on kocha swą walkę; starość kocha życie i t. d.“

W tych szamotaniach zbolalej duszy bohater znajduje pewne oparcie w „bracie“, typie pełnym oddania się, pełnym miłości dla ludzi, usług dla społeczeństwa; swoją drogą społecznik ten, ma dość utarte i w części nawet wytarte poglądy społeczne: dla niedemoralizowania ubogich każe „dopomagać im tylko własną pracą“ (tak zwłaszcza radzą kapitaliści, którzy altruizm swój posuwają tak daleko, iż bardziej dbają o moralność biedaków, niż o swoją własną); bierze za złe robotnikom, że zamiast opływać we wszystko na wsi, idą na nędzę do miasta (mrzonki Ruskinowskie); wiele poglądów jego sięga jeszcze bardziej oddalonych epok: jako środki lecznicze (a nie symptomata choroby) podaje „posty i modlitwy“. Każe roztropnie „oddawać cesarzowi, co cesarskie“, jakby ktokolwiek od tego obowiązku się uchylał itp.

Bohater z początku nie dowierza bratu, jak wszystkim „co w rogi dmą“. I rzeczywiście, ma rację, bo

jakkolwiek nie można twierdzić absolutnie, aby żaden z takich „braci“ nie był szczerym, to jednak należy pod tym względem zachować nadzwyczajną ostrożność: gdy słyszy się kogoś, prawiącego w natchnieniu o miłości, poświęceniu, ideałach, moralności, czystości, zaparciu i t. d. zaraz nieubłagana empirya nasuwa myśl: albo oszust, pracujący „w interesie“ wyrobów idealnych; albo hodowca owiec, kochający swe stado, które go darzy wełną i mięsem; albo przeżyty viveur, który ofiaruje ludzkości bezinteresownie swój tabes i t. d.

„Brat“ w utworze Garborga okazał się jednak szczerym, rzeczywiście dobrym człowiekiem; pod jego wpływem bohater zaczął odzyskiwać spokój i był na dobrej drodze odnalezienia „Ojca“; wreszcie rzeczywiście musiał go odnaleźć, gdyż, jak głosi obcy dopisek na dzienniku, umarł.

„Chimera“ wobec ewolucyi.¹⁾



połeczniczy zarzucają często, i po części słusznie, modernistom brak zmysłu społecznego w ewolucyjnym tego słowa znaczeniu, a niekiedy nawet — wprost dążność do wstecznicstwa kastowego lub religijnego.

Ktoby nieuważnie przerzucał kartki „Chimery“, ten, natrafiwszy tam na takie rzeczy jak potępienie „demokracji“, „równości“ — jak pragnienie, „hierarchii“, pretensye do rewolucyi francuskiej, że „schłopiła szlachtę“; dalej — tytuły hrabiowskie przed nazwiskami poetów, lekceważenie Zoli, i t. p. — ten, powiadamy, mógłby przyjść do przekonania, że zarzut powyżej zaznaczony jest i w zastosowaniu do „Chimery“ zupełnie usprawiedliwiony. I kto wie nawet, czy jakiś Połaniecki (używam tego terminu swojskiego zamiast cudzoziemskiego: filister), dostrzegłszy również takie wyrażenia w „Chimerze“, a przezornie zaniedbawszy przejrzeć się w lustrze, jakie swojskim Połanieckim stawia w swej znakomitej bajce Lemański („ruch etyczny“); kto wie, powiadam, czy taki Połaniecki nie uznałby na razie „Chimery“ za „ogromnie swoją“, i po załatwieniu, jako zwolennik porządku, wszelkich formalności, nie wziął jej artystycznie pod brodę i nie usiłował zaciągnąć do — „służby bożej“.

Sądzę jednak, że „Połaniecki“ mógłby źle wyjść

¹⁾ Artykuł pomieszczony w „Głosie“ 1901 Nr 142 z powodu pojawienia się pierwszego numeru „Chimery“.

na tych zapędach: „Chimera“, jakkolwiek nie dość uświadomiona społecznie, nie jest ulubioną przez niego swojską gęsią i mogłaby na jego zadowolonych, rumianych policzkach pozostawić taką „bliznę honorową“, że dla jej pozbycia się nawet poślubna podróż do Rzymu po leki nie na wieleby się przydała; napisu: „w zdrowem sadle zdrowa *świnia*“ nie zmyje żadna woda cudowna.

Możliwość zaznaczonej pomyłki byłaby po części winą „Połanieckiego“, któryby nie dostrzegł i nie zrozumiał, że „Chimerze“ chodzi ostatecznie o hierarchię duchową; że zarzucając rewolucyi francuskiej, iż „schłopiła szlachtę“, zarzuca jej również, że „nie uszlachociła ludu“ (a nie ma chyba tu na myśli herbów); że dalej „Chimera“ występuje przeciw przezwaczom „starych wiórów“, że Miriam uznaje w kaźdej jednostce ludzkiej możliwość istnienia żyty szczerego złota i pragnie warunków, sprzyjających jego ujawnieniu; że, jak już wspomnieliśmy, „Chimera“ daje wyborny wizerunek różnych „Połanieckich“ i tak dalej. Wreszcie, a popros, bardzo znamienne jest stanowisko, jakie przyjęła „Chimera“ wobec działalności pana Sienkiewicza. Działalność ta jest wybornym charakterystycznym odczynnikiem chemicznym dla określenia danego duchowego medyum: po sposobie reagowania na ten odczynnik poznajemy odrazu, czy mamy przed sobą medyum ewolucyjne, czy wsteczne; czy nosi ono w sobie zacząyn przyszłości, czy jest skisłem ciastem naszych prababek. Otóż stanowisko „Chimery“ wyraziło się tu w pochodzącej od Norwida formule: „laurowo i ciemno“, która w tem zastosowaniu nabrała cechy klasycznej.

Z drugiej strony jednak nie podobna mi zamilczeć, że część winy za możliwość wyżej zaznaczonej pomyłki spada i na samą „Chimerę“; a to z powodu pewnego braku dobitności w wyrażeniach, głównie z powodu przestarzałej terminologii społecznej, oraz z powodu pewnych szczegółów, które nie zgadzają się, jak sądzę, z ogólnem tłem „Chimery“, a zwłaszcza z jej dążnościami.

I tak: występując przeciw demokracji, bierze ją „Chimera“ w jej dawnem znaczeniu, które dziś jest równoznaczne z burżuazją; przytem winą tej demokracji było nie to, że wprowadziła równość, lecz — że ją wprowadziła tylko na papierze, w rzeczywistości zaś wprowadziła, jako burżuazya, nową nierówność, nową hierarchię: w miejsce hierarchii urodzenia — hierarchię bogactwa. Wieści o zrównaniu, zniwelowaniu indywiduów przez demokrację, do poziomu przeciętności, miernoty, ba! nawet o rozdaniu pieniędzy równo każdemu, są to stare fikcyje i stare straszdyła, w które dziś już nikt nie wierzy i których nikt się nie lęka, chyba arystokratyczna lub burżuazyjna dewotka, ciułająca procenty na kościół w starej pończosze. Nie, dzisiejsze pojęcie demokracji jest, jak wiadomo, inne i wprost przeciwne pojęciu burżuazji: dzisiejsza demokracja, dążąc do rzeczywistego zrównania nie jednostek, lecz warunków rozwoju każdej jednostki ludzkiej, jest właśnie jedyną drogą wytworzenia się hierarchii duchowej. Kto więc jest zwolennikiem hierarchii duchowej, kto boleje nad nieuznawaniem, marnowaniem geniuszów, ten musi być właśnie zwolennikiem demokracji w jej dzisiejszem pojęciu: tylko ona, podnosząc poziom duchowy

ogółu i wytwarzając warunki swobodnego rozwoju przyrodzonych zdolności jednostek, zdolną jest zerwać więzy zależności geniusza od uprzywilejowanych idiotów, oraz zwęzić otchłań duchową między geniuszem i tłumem, a tym sposobem — uchronić geniusza od upadku lub zmarowania — nadać mu w społeczeństwie stanowisko naczelne, niby na wierzchołku z w a r t e g o trójkątnego klucza zórawi, prujących fale powietrzne w dalekim locie. Wszelka zaś hodowla geniuszów przez kasty uprzywilejowane, hodowla „laurowa“, prowadzi do pieczeniactwa, do kalectwa duchowego, do spodlenia: jest to hodowla owiec z krótkimi nogami, by nie przeskakiwały przez płot przywileju i jedynie dostarczały delikatnej wełny dla ogrzewania cielska chlebowców. „Zabili Podkowińskiego, zabili Kurzawę!“ — woła pełen bólu Przybyszewski w „Chimerze“; tak zabili i wciąż zabijają wielu, wielu innych; zabijają powoli, czyniąc im życie ciąglem konaniem. Ale kto zabija? czy zrównanie? nie: zabija właśnie hierarchia arystokratyczno-burżuazyjna (choć innych zdobi w laury) — zabija dlatego, że ich ideały nie są jej ideałami. W pojęciu stosunku sztuki do społeczeństwa czasby już było, nawet u nas, pójść dalej po za, ciasne i błędne, arystokratyczne stanowisko Renanów, Bourgetów i t. p.

Rażą też w „Chimerze“ takie terminy archaiczne, jak „uszlachcenie ludu“ w znaczeniu duchowego, kulturalnego podniesienia. Podobnie archaicznem jest przydawanie tytułu hrabiowskiego do nazwisk sławnych poetów; tytuł taki nie im z wielkości nie doda: owszem budzi tylko niemiłe asocjacje, a przytem nie ma już dziś żadnego realnego znaczenia, jest

objawem szcątkowym, podobnie jak guziki ztytu fraka, które wprawdzie niegdyś służyły kawalerzystom do zapinania długich pól surduta, ale na które dziś nikt przecież już nie zapina.

Co do szczegółów, to przedewszystkiem uznaję zupełną słuszność uwagi Miriama o odwrotnej proporcjonalności między wielkością twórców i wielkością ich sławy; gotówem nawet powiedzieć, że uwaga ta jest słuszną w takim stopniu, iż dla przywrócenia sprawiedliwości względem wielkich duchów i dokładności chronologicznej co do pojawiania się nowych idei, należałoby dzieje rozwoju ludzkości napisać zupełnie na nowo. Nie mogę się jednak zgodzić na niektóre przykłady, przytaczane w celu zilustrowania tej uwagi. Nie pojmuję np. dlaczego autor chce przypisaniem wielkiej sławy upośledzić Heinego, tego wroga wszelkich pikelhaub i wszelkiej filisteryi, nawzajem przez nie znieawidzonego; Heinego, który zasłużył sobie na tak wielką sławę, że nawet dziś jeszcze mili ziomkowie nie chcą pozwolić na wystawienie mu pomnika! Podobnież przeciwstawienie sławnego Mickiewicza mniej sławnemu Słowackiemu nie wydaje mi się przykładem trafnym, choć nie zaprzeczam naturalnie faktu, i choć jestem wielkim czcicielem Słowackiego. Trzeba tu, jak mi się zdaje zwrócić uwagę na to, że niekiedy wielki twórca może być niewinnym swej sławy; że mianowicie przeciętność może czasem obdarzyć go sławą tylko przez pomyłkę, biorąc go za niższego, niż był rzeczywiście. Zdaje mi się, iż ta uwaga stosuje się właśnie do Mickiewicza: nie zrozumiano go dostatecznie; przez wszystkie bowiem jego dzieła przewija się, jak nić czerwona, taki wielce po-

tężny typ psychiczny, który, zrozumiany należycie, nie w jego poszczególnych przejawach, lecz w jego ogólności, w jego istocie psychicznej, nie byłby przy- niósł Mickiewiczowi takiej sławy wśród przeciętności — nie darmo powiedział on: „ile krwi mojej ludzie ujrzą na mej twarzy, tyle tylko z mych uczuć od- gadną w mych pieśniach“. Gdy zaś raz sława Mic- kiewicza się ustaliła, to już i ci, dla których Mickie- wicz, nawet tylko na wpół zrozumiany, był zbyt rażący, nie mogli rzeczy naprawić, starali się tylko usilnie „naprawić“ samego Mickiewicza: wszystkie ostrzejsze kanty, wszystkie głębsze rysy wieszczą zalepiali legal- nym, klerykalnym, klajstrem, aby tak wygładzony mógł stanąć godnie obok laureatów dzisiejszej wstecznej reakcyi i zasłużyć na pomnik.

A sława Zoli? to też nieporozumienie: przecięt- ność szuka w nim „pornografii“; to co jest u Zoli środkiem, co jest wyrazem „cierpienia za miliony“, to przeciętność bierze sobie za cel — za zabawkę lub podniecię dla swych bydlęcych instynktów. „Chimera“ jednak nazywa Zolę „płytkim i hałaśliwym“; ale rezultat pomiaru głębin oceanowych zależy nietylko od ich wielkości, lecz i od sposobu zapuszczania sondy: zdaje mi się, że gdyby redaktor „Chimery“ w chwili pisania był sobie uprzytomnił porównanie między „laurowem“ „Quo Vadis“ i indeksowym „Rzymem“ Zoli, to sąd o tym ostatnim wypadłby inaczej; może ta mniemana „płytkość“ okazałaby się głębią dna dziejowego i społecznego.

Ale powiedzą mi może, iż to jest kwestya ten- dencyi, a w ocenie dzieł sztuki i twórców tendencya nie wchodzi w rachubę lub nawet, że stanowi cyfrę

ujemną. Nie sadzę, aby kwestya była tak prosta. Zdaje mi się, iż wielki artysta, brzydząc się, sztucznie, mechanicznie lub nawet gieszefoiarsko dolepianą do dzieła, tendencyą — tendencyą, że tak powiem tendencyjną, nie może jako dusza wszechobejmująca, syntetyczna, nie nosić w sobie, nie uznawać, tendencyi organicznej, że tak powiem immanentnej (Ada Negri!). Artysta, jak i uczony, pozbawiony tego organu, czy tego zmysłu, byłby takim samym, uboższym we wrażenia, kaleką duchowym, jak człowiek, pozbawiony np. słuchu, jest kaleką fizycznym.

Przypuśćmy jednak, że to podstawa zbyt obszerna, a zatem sporna, stanę więc w obronie Zoli na podstawie węższej, na podstawie sztuki beztendencyjnej, aspołecznej, „czystej“. Stając jednak nawet na tej podstawie, nie można przecież nie uwzględnić punktu widzenia historycznego. Otóż jak w historii rozwoju wiedzy epoka syntezy nie powinna lekceważyć epoki analizy, bo tylko dzięki tej ostatniej mogła ona się wznieść do wyższych uogólnień, nie tracąc pod nogami gruntu, tak w historii sztuki epoka idealnych „niebosiężnych“ wzlotów nie powinna patrzeć z lekceważeniem na epokę realizmu, bo tylko dzięki jej może ona wzlot swój rozpocząć z wyższego poziomu; tylko dzięki jej we wzlocie tym nie będą jej przeszkadzały różne złudzenia, niby ciężkie kajdany; tylko dzięki jej, dzięki jej pracy pszczelnej, może ona użyć tęższego wosku do swych ikarowych skrzydeł i wzbić się wyżej ku słońcu.

Wprawdzie rozumiem to dobrze, a nawet odczuwam „mistycznie“, że epoki analizy, realizmu, są w dziejach rozwoju ludzkości jedynie epokami środ-

ków, nie celów; ale bez pierwszych niemożliwe są drugie. Jak w nauce nie można bez epok analizy „budować kamieni z idei“, bo takie budowy rozsypią się w proch, tak również w sztuce wzloty „niebo-siężne“ na nic się nie zdadzą, gdy atmosfera społeczna będzie zbyt rzadka. Czyż zresztą wielkie duchy mogą nawet chcieć wzlatywać w sfery podniebne, pozostawiając na tym padole cierpiących braci? — Guyau opowiada swój sen, w którym, porwany przez anioła na skrzydła, wznosił się śród jasnych sfer niebieskich, ale tam dochodziły go z ziemi dalekie jęki ludzi; gdy się zwrócił z zapytaniem o to do anioła, ten z twarzą pogodną, z skrzydłami białymi, lśnięciami w promieniach słońca, odrzekł, iż są to modły ludzkie, wznoszące się do Boga; „comme je fondrais en larmes si j'etais ce Dieu“ zawołał Guyau, puścił rękę anioła i spadł na ziemię, myśląc: qu'il restait en moi trop d'humanité pour que je puisse vivre au ciel“. Tu Guyau przypomina mi żywo Piotra Fromont Zoli. Czyżby to wszystko miało być rzeczywiście tak „płytkie, hałaśliwe“, grube?

Mimo powyższe nasze uwagi, które zresztą tylko w części przeciwstawiły się poglądom „Chimery“, w części zaś były jedynie wyraźniejszymi tych ostatnich podkreśleniami, nie wahamy się oświadczyć, że ogólny duch „Chimery“, z jej poważnem traktowaniem sztuki, jej sądem niezależnym i śmiałym, jej obroną tak zwanej „chorobliwości“, „zwyrodnienia“, „nawrozy“, jej wstrętem do kompromisów, do „przezwycięzających starych wiórów“ i t. d. czyni to pismo wysoce dodatnim objawem naszego życia duchowego; jest to jasny promień światła, żywy prąd świeżego

powietrza, które przyczynią się do rozjaśnienia i oczyszczenia naszej atmosfery, pełnej bagnistych wyziewów.

Stanowisko, jakie „Chimera“ zajmuje wobec wielkiej złożoności objawów doby obecnej, wydaje mi się, pominąwszy zaznaczone różnice społeczne, pokrewnem temu stanowisku, jakie my przed kilku laty zajęliśmy w „Forpocztach“, wydawnictwie podjętem wraz z Cezarym Jellentą i Maryą Komornicką¹⁾. Jestto mianowicie stanowisko ewolucyjne na polu reakcyi idealnej.

Ale gdy się zajmuje jakieś stanowisko na polu takiej ewolucyjnej reakcyi, należy starać się o jasne, ostre odgraniczenie tego stanowiska: należy ostro przeciwstawić tłum psychiczny tłumowi społecznemu; hierarchię duchową hierarchii przywileju, dawną demokrację burżuazyjną demokracji dzisiejszej; odwrotnie zaś nie należy obecnie przeciwstawiać arystokracji i burżuazji, bo obecnie one zjednoczyły się ze sobą w reakcyi wstecznej, jak, pierwotnie wrogie sobie, bestye bratają się w jednym bagnisku podczas pożaru stepów.

Inaczej bowiem, bez tak ostrego, „hierarchicznego“ odgraniczenia się na polu reakcyi, można wobec licznych objawów idealistycznego mimikry popaść w bardzo niemiłe sąsiedztwo: wszakże szanowni, „etyczni“ obywatele bajki Lemańskiego uprawiają też grunt reakcyi „idealnej“²⁾.

¹⁾ Muszę tu zaznaczyć, że ta ostatnia autorka stanowisko to opuściła, oddalając się odeń w kierunku biblijnym.

²⁾ Tak np. wstecznie reakcyjna „Niwa“ zaczyna się już solidaryzować z „Chimerą“, która w swych dalszych numerach nie skorzystała z naszych uwag.

Z drugiej strony trzeba jednak przyznać, że u nas jasności i dobitności nie zawsze można żądać, można ich tylko pragnąć; albowiem „laurowość“ nie tylko na polu literackim wszelką jasność zaciemnia, ale i na polu praktycznym często ją uniemożliwia.

Skandale jako czynniki ewolucyi. ¹⁾



ie jeden zapewne zadawał sobie pytanie, dlaczego sprawa jakiegoś tam Dreyfusa tak gorączkuje umysły, tak ostro przeciwstawia sobie zwolenników Zoli i Picquarta z jednej strony, a generalnego sztabu z drugiej — zwłaszcza, dlaczego wpływ ten sięga daleko po za granice Francyi, udziela się silnie nawet naszemu, tak zaściankowemu społeczeństwu?

Poczucie sprawiedliwości, współczucie dla cierpienia gra tu bezwątpienia wśród zwolenników Zoli pewną rolę, ale nie jest to motyw jedyny, nie wyjaśnia bowiem wielkiego natężenia ruchu psychicznego; zwłaszcza, że wiele spraw, sądowno analogicznych z omawianą, przechodziło bez nadzwyczajnego wrażenia; zaciętość zaś zwolenników sztabu jest wobec powyższych uczuć humanitarnych czemś napozór zupełnie niepojętem, zwłaszcza u nas, gdzie przecież trudno się wykręcać względami patryotycznymi, obawą wojny z Niemcami!

Żydowskie pochodzenie Dreyfusa jest tu wprawdzie dolaniem oliwy do ognia, zwłaszcza łatwym środkiem wywołania wrogiego usposobienia wśród ciemnego tłumu, który, obalamucony, gotów „szarpać rękę zrywającą obrożę“; ale i to nie jest rzeczą zasadniczą, jak się przekonywamy stąd, że przedmiotem nienawiści jest tu nie tyle Dreyfus, ile Zola — ten „plu-

¹⁾ „Przegląd tygodniowy“ 1898 r. nr. 40.

gawy gieszefciarz!“ — jak go w swej zaciekłości mianują arendarze miłości chrześcijańskiej.

Zasadniczą natomiast rzeczą jest tu społeczne stanowisko sądu, który potępił Dreyfusa; wskutek bowiem właśnie tego stanowiska, sprawa więźnia z Czaraciej wyspy stała się ściśle związana z dalszą ewolucją dzisiejszego ustroju, kwestyą przełomową: kwestyą albo zachowania powagi systemu, panującego obecnie we Francyi, systemu burżuazyjnego w fazie reakcyjnej, albo jego zdemaskowania, zdyskredytowania, wstrząśnienia lub nawet obalenia zapomocą skandalu — kwestyą, czy reakcyja ma wzrosć w siłę i zdusić prąd ku swobodzie myśli, ku sprawiedliwości i powszechnemu szczęściu; czy też prąd ten przerwie tamę reakcyjną i popchnie naprzód rydwan dziejowy¹⁾.

Każde takie zdemaskowanie, zdyskredytowanie, skandal, w łonie reakcyi, jest niezmiernie ważne, jako wyłom w tamie; szereg takich skandalów, to szereg wyłomów — zerwanie tamy.

Skandale takie nie stanowią w obecnej przełomowej dobie czegoś przypadkowego, wyjątkowego: owszem stanowią one zasadę, prawo, konieczność ustroju burżuazyjnego, który, gnijąc i ratując się reakcyą, musi się stroić w maskę obłudy, jej zaś zdzieranie sprawdza skandale. Im rozpaczliwsze wysiłki czyni reakcyja w celu utrzymania walącego się systemu, tembardziej rozrasta się obłuda, mnożą skandale.

Konieczność obłudy wynika stąd, że chcą przy

¹⁾ Zastrzegamy się, iż wyraz „reakcyja“ bierzemy tu wszędzie w jego znaczeniu ściślejszem: ujemnem, regresyjnem; podobnie jak wyraz „ewolucya“ — w znaczeniu progresyjnem.

danym systemie używać życia, trzeba wyzyskiwać cudzą pracę w stopniu, uniemożliwiającym wyzyskiwanemu nie tylko używanie życia, ale nawet zaspakajanie najkonieczniejszych jego potrzeb. A jakkolwiek reakcja ma w tym celu do rozporządzenia siłę brutalną, to jednak ona zaczyna coraz bardziej niewystarczać, przy coraz większym wysubtelnianiu się i uświadamiania pokrzywdzonych i cierpiących. Dlatego reakcyoniści muszą w pomoc sile brutalnej używać hipnotyzowania ofiar, to jest muszą, głównie za pomocą zaprzędanej literatury, oddziaływać „ideowo“, „moralnie“, wmawiać w wyzyskiwanych „dla przykładu“, że zaspakajanie potrzeb życiowych to grzech, to nikczemny, niski materyalizm. Naturalnie! — chcąc samemu zjeść więcej z zastawionego stołu, trzeba towarzyszom obrzydzić jadło lub zastraszyć jego szkodliwością. Ztąd wynika konieczność zupełnego kontrastu między tem, co się robi i tem, co się głosi; to jest — konieczność obłudy.

Zkąd to pochodzi, że np. ten, co sam żyje cudzym potem i cudzą krwią, głosi, iż człowiek powinien brzydzić się materyalizmem, poświęcać się dla drugich, życie oddać dla obowiązku; że ten, co sam jest bezlitosnym zdziercą, chciwym grosza, głosi, że człowiek nie powinien pracować jedynie dla marnego kruszcu, dla celów materyalnych, lecz dla celów wyższych, idealnych, zwłaszcza dla Boga; że ten, co sam żyje z przywłaszczania cudzej pracy, a więc cudzej własności, głosi, że własność jest świętą; że ten, co sam wydaje tysiące w towarzystwie dam półświatka, głosi, i zaleca innym, oszczędne i skromne życie w gniazdku małżeńskim; że ten, co pieniędzmi żony opłaca me-

tresy, głosi świętość rodziny; że ten, co sam uwodzi lub kupuje młode dziewczęta, głosi i zaleca czystość i cnotę, i t. d. i t. d. Wogóle, że im ktoś prowadzi żywot niktzemniejszy, tem surowsze głosi zasady moralne i takowe innym do spełnienia zaleca. Jestto instynkt zachowawczy reakcyonistów; wszyscy oni praktykują zupełnie poważnie radę, jaką pewien powieściopisarz daje ironicznie swemu bohaterowi: „pamiętaj włożyć na siebie znaczek bractwa wstrzemięźliwości, bo nos ci się bardzo czerwieni“.

Demaskowanie tej obłudy okrywa reakcyonistów śmiesznością lub hańbą, rodzi skandale, podrywa powagę i wptyw.

Skandale potęgują się jeszcze przez to, że reakcyja wysuwa naprzód, stawia u steru, nie osobistości uzdolnione do tego swym umysłem i charakterem, lecz kreatury oddane systemowi, sługusów reakcyi; czyli, jak się zwykle mówi — ludzi „zdrowo myślących“, „rozsądnych“, a w rzeczywistości miernoty lub łotrów, którzy przez swą głupotę lub podłość, przez chciwość i zdzierstwo okrywają się wreszcie hańbą.

Ten to system wynosi np. na ministrów marynarki takich, co „chowają armaty do kieszeni“, a flotę źle uzbrojoną wysyłają na pewną zgubę; generałami mianuje niezdarów i tehórzów, którzy pierwsi uciekają z placu boju, marnując życie powierzonych sobie tysięcy ludzi (Baratieri); gubernatorami kolonij — takich, którzy urządzają wyprawy zbójceckie do krajów sąsiednich dla napełnienia swej kieszeni, (Cecil Rhodes) lub takich, którzy wieszają kobiety za to, że nie były im powolne (Peters); sędziami — takich, którzy uwolnią łotra jako duszę pokrewną, a potępią charakter

czysty i żelazny, bo on jest im solą w oku, widomem wyrzutem ich sumień (osądzenie Zoli i Picquarta z jednej strony, a Esterhazego z drugiej). Ten to system czci „patryotów“, którzy, jako pańscy lokaje, wymyślają na sejmie od „bydląt“ przedstawicielom ludu, budzącego się do życia umysłowego i politycznego; ten system wysławia kaznodziejów moralności, wiodących żywot bezecny; on oddanych sobie pisarzy jurgieltników ogłasza za najznakomitszych, za „mistrzów“, jak niegdyś w czasach feudalizmu, książęcych pieczeniarzy ogłaszano książętami poetów; on ministrami oświecenia robi maszyny kancelaryjne (Gautsch!); on na prezesów akademij wynosi płytkich i banalnych przedstawicieli arystokracji; on profesorami uniwersytetu mianuje ludzi, którzy nie są w stanie nawet podręcznika szkolnego napisać bez błędów najelementarniejszych, a w obronie swej, argumentem naukowym przeciwstawiają swe tytuły i stanowisko służbowe; on wybiera na redaktorów indywidua, których całą zaletą jest mechaniczna zdolność pisania, a nadewszystko spryt łotrowski — i t. d. i t. d. Zaiste, jakaż retorta nie pęknie pod parciem tak zabójczych gazów!

W ostatnich czasach księży, wskutek zmniejszania się dochodów parafialnych, zaczynają coraz bardziej przystępować do różnych przedsięwzięć i spekulacyj finansowych, a to zaraz spowodowało liczne oszustwa bankowe (ksiądz Mardorysiewicz we Lwowie, monsignor Drozd w Pradze, skandaliczny handel rozwodami we Francji itd.). Głównym impulsem do tych oszustw były, zamiłowane „jako lilie“ w strojach i klejnotach utrzymanki, czyli tak zwane „siostrzenice“ księży. Dzisiejsze pilniejsze zwrócenie uwagi na kongregacye

we Francji wykryło oburzające fakty, ukrywane dotąd pod płaszczykiem świętobliwości: klasztory francuskie były więzieniami dla małoletnich, których zmuszano do ciężkiej pracy; handel prowadzony produktami takiego pochodzenia był jednym ze źródeł bogactw klasztornych. — Klasztorne nauczanie stało się źródłem innych jeszcze zbrodni: w Villeneuve-sur-Lot sąd przysięgłych skazał trzech zakonników za bezczeszczenie nieletnich dziewcząt i chłopców. Jeden z zakonników, nauczyciel religii, przeciw któremu zeznało aż 11 jego wychowanków, skazany został na cztery lata więzienia. Drugi kapłan, Boissi, skazany został za zhańbienie 13 letniej dziewczynki na 6 lat robót przymusowych. Trzeci zaś „brat“ Bec, przeciw któremu zeznało 26 dzieci, skazany został na 8 lat takich robót. („Głos“ 1902 N. 52).

Znany jest też skandal z podobnym pedagogiem, Kruppem, którego nawet opieka przepotężnego przyjaciela, Wilhelma, nie zdołała uratować.

Z drugiej strony też reakcja napada, szarpie, obrzuca błotem ludzi jej przeciwnych, którzy najczęściej swym życiem bez skazy, swym podniosłym charakterem i głębokim umysłem, stanowią dotykalny dowód fałszywości oszczerstw, miotanych na nich przez reakcjonistów, strojących się przytem w pióra moralności, miłości bliźniego i t. p. (np. Zoli odebrano krzyż legii honorowej!)

Nie dość na tem: *sami reakcyoniści, zwłaszcza literaci na służbie reakcji, często okrywają się śmiesznością przez zbytnią gorliwość, przez przebranie dozy mikstury reakcyjnej lub wskutek usiłowań obrony za pomocą zbyt grubych, rażących wykrętów.* Tak np. francuskie

pisma, przeciwne Zoli, po przyznaniu się Henry'ego do fałszerstwa, broniły się taką logiką: „wyjątek potwierdza regułę, ponieważ zaś jeden dokument w sprawie Dreyfusa jest sfalszowany, więc inne są prawdziwe“ (nie ma chyba takiego idioty, któryby się dał tą logiką oszukać); inne zaś pismo radziło wystawić pomnik Henry'emu, jako męczennikowi, który „użył *podstępu wojennego* dla uratowania *honoru(!)* armii“. U nas pełna enót ewangelicznych „Biesiada“ uciekła się do tak grubego kłamstwa, że Zola występuje „w obronie szpiegostwa!“ „Biesiada“ liczyła tu widocznie na niebywałą tępotę umysłową swych czytelników, że nie dostrzegą oni różnicy między obroną człowieka posądzonego niesłusznie (jak obrońca mniema) o szpiegostwo, a obroną szpiegostwa samego. A któżby spisał wszystkie grube sposoby i sposobiki „Roli“, która swą żarliwość reakcyjną posunęła tak daleko, że stała się poprostu żenującą dla najbardziej interesowanych — za religijną nawet dla „Przeglądu katolickiego“, za węższą nawet dla policyi, za głupią nawet dla swych własnych prenumeratów — a to przecież nie jest bagatela.¹⁾

¹⁾ Sprawiedliwość nakazuje mi przyznać, że nie wszyscy reakcyoniści używają tak grubych sposobów, nakazuje mi obok stron ujemnych u przeciwników, wymienić też i *dodatnie*. Otóż zobaczmy jak sobie poczyną w trudnej sprawie „Niwa“, która, widocznie dla przysporzenia sławy swemu narodowi, przyjęła w ostatnich czasach przydomek „polskiej“ par excellence. Otóż, gdy przyznanie się Henry'ego do fałszerstwa i podejrzenie gardła spadło jak piorun na pisma reakcyjne, „Niwa“ użyła nadzwyczaj mądrej metody, którą możnaby nazwać metodą lisiej jamy; rozpoczęła artykuł polityczny ab ovo, że jak wiadomo, istnieje we Francyi rozgałęziony syndykat żydowski w celu użycia wszelkich środków uwolnienia Dreyfusa i tak

Ale najważniejszym motywem samodemaskowania się reakcyonistów są *wyścigi konkurencyjne*, choiwość. Jakkolwiek bowiem kierują się oni zasadą: „man muss leben und leben lassen“, co znaczy: „trzeba oszukiwać samemu i pozwolić oszukiwać innym“, to jednak źródło, zbyt wypompowywane, może się wyczerpać, a wobec tej grozy, interes całej korporacji ustępuje nieraz osobistemu. Wyścigi takie i powstające ztąd skandale, klasycznie przedstawił ten „plugawy“ (właśnie dlatego!) Zola, opisując wyzyskiwanie pielgrzymów i chorych w Lourdes za pomocą kramarstwa świętościami. U nas konkurencya między kilku pismami reakcyjnymi doprowadziła w ciągu paru ostatnich lat do odkrycia wielu świństw, wywołała parę skandali, które choć trochę przyczyniły się do oczyszczenia naszej prasy; wykryły też, że np. nasi dygnitarze, moralisci, filantropi, na czele zakładów umoralniających dla dziewcząt stawiali swe utrzymani, rozumując zupełnie słusznie, że dogodniej je opłacać z grosza publicznego, niż z własnej kieszeni, itd.

Takie i tym podobne okrywanie się śmiesznością,

nastroiwszy, na ton spiskowy, umysł czytelnika, zakończyła artykuł krótką wiadomością o śmierci Henry'ego, dodając głęboki frazes: „W tem tkwi jakaś tajemnica“. Czy pojmujesz czytelniku całą finezyę tego fortelu? Otóż chodzi o to, że prenumerator z Psiej Wólki, przeczytawszy takie zakończenie, będzie sobie łamał głowę nad rozwiązaniem „tajemnicy“ i zestawivszy zakończenie z początkiem o żydowskim spisku, stuknie się w głowę i wnet zawoła: aha, już go mam, to te szelmy żydy zarżnęły Henry'ego, aby całą sprawę zagmatwać i w mętnej wodzie ryby łapać — co trafił, to trafił i „Niwa polska“ utrzymała wobec swych prenumeratorów nimb nieomylności i patryotyzmu. To jest dopiero mistrzowska finezya to spryt prawdziwie, że tak rzekę — *redaktorski!*

wzajemne wytykanie świństw i łotrostw, wywoływanie skandali przez samych reakcyonistów jest, że tak powiem, najekonomicznieszym sposobem posuwania naprzód ewolucyi, odbywa się bowiem bez ofiar (nie-raz ciężkich) z jednostek lepszych; jedynie zaś przez ściieranie się, wzajemne niszczenie się, złych potęg.

Dlatego to, gdy łotry wzajemnie wykrywają swe łotrowstwa, uczuwamy dla nich coś w rodzaju sympaty; doznajemy uczucia, jakbyśmy patrzyli na owe idealne krajobrazy dawnych epok geologicznych, gdzie widać różne żarłoczne potwory o wydłużonych uzębionych mordach, pożerające się wzajemnie; patrząc na nie, myślimy sobie dobrotliwie: żryjcie się *bestye*, bo gdy się pożrecie, zostanie teren oczyszczony dla rozwoju *ludzi*.

Mimo to ludzie, którym na sercu leży ewolucya ludzkości, nie powinni wyczekiwać biernie, aż reakcyoniści sami się pożrą, lecz przyśpieszać ten proces za pomocą śmiałego i bezlitosnego demaskowania obłudy, dyskredytowania, skandali. W czasach przełomowych, jak dzisiejsze, większą zasługą dla ewolucyi jest wykrywanie i tępienie łotrostw, niż bezpośrednie stwarzanie dobra — walenie gnijących gmachów, niż budowanie nowych; albowiem nowe gmachy, budowane śród starych gnijących, same ulegną zgniliznie lub pogrążą się w powszechnem błocie. Załóżmy np. zakład dobroczynny — stanie się pastwiskiem dla „filantropów“; napiszmy dzieło naukowe — zbutwieje w rękopiśmie; nauczajmy według wymagań prawdziwej wiedzy — nikt jej nie zapotrzebuje; ufundujmy stypendya — dostaną się lokajom; zawiążmy towarzystwo dla popierania nauki — stanie się przybytkiem kliki;

założmy czytelnię — reakoya usunie z niej dzieła naukowe, i t. d. i t. d.

Nadaremny więc trud wznosić nowe budowle, trzeba wprzód teren dla nich oczyścić; oto najwyższe zadanie obecnej doby przełomowej; wystąpienie Picquarta i Zoli jest właśnie jednym z takich usiłowań i oto tajemnica ich zasługi, a zarazem i obustronnej zaciekłości w tej sprawie.

„Et Haec Meminisse Juvabit“

(pod adresem Kasy Mianowskiego¹⁾).



łos w paru końcowych numerach z roku zeszłego wystąpił z krytyką działalności komitetu Kasy Mianowskiego.

Nie solidaryzując się bynajmniej z antysemickiem tłem, na którym krytyka „Głosu“ została postawiona, podzielam w zupełności potrzebę poddania publicznej krytyce różnych instytucyj, a zwłaszcza takich, jak Kasa Mianowskiego, z której działalnością tak ściśle są związane losy naszego społeczeństwa; — nie jest to wcale przesada: kto rozumie proces ewolucyi ludzkości, ten nie zaprzeczy, iż instytucya, która w danym społeczeństwie warunkuje jego produkcję umysłową, warunkuje tem samem jego rację bytu, jako niezbędnego ogniwa wśród społeczności wszechludzkiej. Z drugiej strony podzielam w zupełności wyrażone w odpowiedzi „Głosowi“ żądanie Komitetu Kasy, aby krytyka taka opierała się na „niewzruszonych danych faktycznych“.

Ponieważ fakta, przytoczone przez „Głos“, wydały się komitetowi niewystarczającymi, postaram się więc, jakkolwiek bardzo obciążony pracą, przytoczyć poniżej takie, które, jak mniemam, zdołają zadowolić nawet najbardziej wygórowane żądania.

Sprawa jest następująca :

¹⁾ „Głos“ 1899 N. 2.

Przed kilkunastu laty zgłosił się do niżej podpisanego ówczesny redaktor *Biblioteki matematyczno-fizycznej* (wydawanej z zapomogi „Kasy Mianowskiego“), profesor Maryan Baraniecki, z propozycją wzięcia udziału w wydawnictwie Geografii fizycznej kursu wyższego (a następnie i średniego), mianowicie — opracowania historycznego rozwoju tej nauki, jako wstępu do właściwego kursu, który miał opracować p. Jędrzejewicz. Część (meteorologiczną) tego wstępu miał początkowo opracować p. Apolinary Pietkiewicz, lecz następnie odmówił swego udziału. I ja na propozycję p. Baranieckiego z początku nie chciałem się zgodzić, gdyż odrywała mnie ona daleko od moich własnych idei geograficznych (antropogeoграфicznych), i dopiero po usilnem naleganiu zgodziłem się na nią pod warunkiem, że umożliwionym mi będzie wyjazd do zagranicznych bibliotek dla zebrania potrzebnych w tym celu materyałów. Warunkowi temu stało się zadość przez zapomogę „Kasy Mianowskiego“, a równocześnie p. Jędrzejewicz zrzekł się opracowania geologicznej i hydrologicznej części kursu, zachowując sobie część matematyczną (o kształcie ziemi) i klimatologiczną.

Po powrocie z zagranicy z materyałami do historycznego wstępu, oraz do geologiczno-hydrologicznej części właściwego kursu, dowiedziałem się, iż p. Jędrzejewicz zrezygnował z udziału i w matematyczno-klimatologicznej części kursu tak, iż na mnie przypadło opracowanie całego dzieła (które poprzednio było rozdzielone na trzech). Okoliczność ta, ile była dla mnie pożądana ze względu na możność nadania książce pewnej jednolitości, tyle była niepożądana ze

względu na kosztą sprowadzania książek i atlasów, wogóle źródeł, do opracowania tej części kursu, na którą, będąc za granicą mniej zwracałem uwagi, jako nie mnie początkowo obowiązującą.

Mimo to po 6-ciu latach mozolnej pracy, pracy przeważnie nocnej, gdyż dnie musiałem poświęcić pracy lekcyjnej, złożyłem nowemu redaktorowi *Biblioteki*, panu Czajewiczowi, (który naturalnie zaakceptował układ z p. Baranieckim) rękopis złożony, jeżeli się nie mylę, z przeszło 100 arkuszy (t. j. około 40 arkuszy druku dużego formatu) z dodatkiem licznych figur, bądź zaznaczonych co do źródeł, z których je należy skopiować, bądź wykreślonych, a bardzo nieraz skomplikowanych (jak np. w kartografii).

Praca ta według ustawy Kasy została oddana do oceny dwu z ramienia jej wybranym ekspertom, pp. W. Kwietniewskiemu i S. Kramsztykowi, którzy ją za kwalifikującą się do druku uznali, poczem (zdaje mi się dopiero po upływie roku) Kasa, działając wedle swych przepisów, wypłaciła mi zaliczkę w wysokości $\frac{2}{3}$ honorarium, t. j. rubli 500 (zaznaczę tu mimochodem, że według cen praktykowanych wśród mniej wyzyskujących wydawców-przedsiębiorców, oraz w czasopismach, honorarium za pracę taką wyniosłoby do 1.600 rubli; przytem wydawca obowiązuje się zwykle sprowadzić wszelkie źródła, niepowodowany do tego żadnymi względami filantropijnymi).

Od tego czasu upłynęło już około 7 lat! a rękopis mój (o którego opracowanie, trzeba to zauważyć, nie prosiłem się, lecz byłem usilnie proszony, a następnie przypilany) jak leżał, tak leży we wzorowo prowadzonej kancelaryi Kasy i obecnie już w swej formie

pierwotnej stał się niemożliwym do druku¹⁾. Kto śledzi za rozwojem geografii za granicą, ten wie, iż dzieła tego rodzaju co moje doczekały się w ciągu tego czasu drugich wydań i że te drugie wydania są zupełnie niepodobne do pierwszych, lecz uległy gruntownemu przerobieniu; geografia umiejętna bowiem jest nauką młodą i jako synteza poszczególnych nauk przyrodniczych (na tle powierzchni ziemi) musi ulegać olbrzymim zmianom, zdążać naprzód olbrzymimi krokami.

Gdym przed paru laty wystąpił do Kasy z podaniem, w którym wyłuszczyłem powyższe względy, i prosiłem, ponieważ zwłoka z drukiem nie pochodziła z mej winy, o wynagrodzenie za książki i pracę dodatkową w celu uzupełnienia rękopisu, Kasa podanie moje odrzuciła i odesłała mnie do p. Czajewicza, gdym się zaś tam udał, p. Czajewicz odesłał mnie znów do Kasy.

Taki jest rezultat mej sześcioletniej pracy! To chyba nie potrzebuje komentarzy!

Sądzę, że fakta powyższe są „niewzruszone“, wątpię przynajmniej, czy znalazłby się ktoś, coby miał odwagę im zaprzeczyć; w każdym razie pewien jestem, iż nie zaprzeczy głównemu ich szkieletowi, gdyż ten jest zadokumentowany pismiennie, — mianowicie: że 1) rękopis był u mnie zamówiony, 2) został Kasie złożony, 3) został zakwalifikowany do druku, 4) leży 7—8 lat od ukończenia, 5) podanie moje o przyspieszeniu druku i wynagrodzenie za nadkompletną pracę

¹⁾ Podczas tego inna moja praca „Geografia Rozumowa“ doczekała się w ciągu lat 4 drugiego wydania, tak, iż obecnie należy się spodziewać niedługo trzeciego. A to dla tego, że miała szczęście nie dostać się do kancelaryi „Kasy“.

i koszta, nie z mej winy wynikłe, zostało odrzucone, — to znaczy, że praca moja została zmarnowana.

Ponieważ w sprawie powyższej, jak widzieliśmy, wszystkim formalnościom stało się szczęśliwie zadość, ponieważ moje kwalifikacye naukowe zostały zadokumentowane przez ludzi tak kompetentnych (a co ważniejsza — z ramienia Kasy wyznaczonych), jak pp. Kwietniewski i Kramsztyk; ponieważ kwestya pieniężna nie mogła stać na przeszkodzie, albowiem członkowie Kasy mówią, a pisma piszą, iż pieniądze są, tylko nie ma u nas ludzi, chcących pracować na polu naukowem; ponieważ względy stronniczości członków komitetu muszą być wykluczone, gdyż stronniczość w szafowaniu groszem publicznym na takie cele byłaby zbrodnią, więc „niewzruszony“ fakt zmarnowania mej pracy przez komitet Kasy staje się niepodobną napozór do rozwiązania zagadką: dlatego zwracam się niniejszem do komitetu Kasy o wyjaśnienie. Wprawdzie parokrotne już odezwy moje w pismach o tej sprawie (z nadmienieniem, że w razie ukończenia jej pomyślnego mam zamiar opracować geografię naszego kraju) Komitet Kasy pozostawił bez odpowiedzi; naturalnie: jestem zbyt drobną osobistością, aby na słowa moje miała zwracać uwagę tak poważna instytucya. Ale na szczęście obecnie czasy zmieniły się nieco: powiał w Europie pewien prąd, który skłania nawet najwyższe instytucye do ujawniania motywów swego postępowania, gdy chodzi o wymiar sprawiedliwości dla pokrzywdzonej jednostki; tembardziej winno to mieć miejsce w danym razie, gdy krzywda jednostki jest zarazem krzywda społeczną. Zresztą obok tych względów moralnych domagają się wyja-

śnienia i względy praktyczne: chodzi mianowicie o objaśnienie przyszłych, podobnych mnie, pracowników, jak mają postępować, aby się uchronić od eksperymentu, który spotkał mnie, a który może niejednego naiwnego pracownika-ideologa uczynić niezdolnym do dalszej pracy, a nawet i do życia! Wprawdzie życie takich ideologów nie jest równie ważne jak jakaś formalność kancelaryjna, ale tak znów zupełnie lekceważyć go może nie należy?

Wreszcie wyjaśnienie jest konieczne dla przyszłego historyka, ten bowiem wobec powyżej wyłożonej sprawy zada sobie bezwątpienia pytanie: jak to być może, aby instytucja, założona dla popierania ludzi nauki i zwiększania naszego dorobku umysłowego, skłoniwszy jednego z takich ludzi do sześcioletniej pracy, rezultat tej pracy zmarnowała, a w następstwie uniemożliwiła pracę drugą; i to mianowicie: zmarnowała napisaną geografję fizyczną, której nie mieliśmy od czasu Śniadeckiego¹⁾ i uniemożliwiła napisanie geografii kraju ojczystego, której nie mieliśmy nigdy.

Pozwolę sobie mieć nadzieję, że na ten raz Komitet Kasy nie pozostawi odezwy mojej bez odpowiedzi; że w interesie społeczeństwa i w interesie własnym zechce rozwiązać tę niepojętą zagadkę²⁾.

¹⁾ Właściwie mówiąc, *Biblioteka matematyczna*, jak już wspomniałem, zamówiła u mnie dwie geografie fizyczne: oprócz omawianego kursu wyższego — także i kurs średni (kurs niższy napisał p. Witkowski, profesor fizyki w uniwersytecie Jagiellońskim); ten kurs średni jednak nie został na szczęście złożony komitetowi Kasy, uniknął więc zniszczenia i wyjdzie niebawem u innego nakładcy.

²⁾ Na odezwę tę komitet „Kasy“ dał odpowiedź wykrętną, wobec czego zmuszony byłem do ogłoszenia odezwy, która tu następuje.

Ewoe!

Jak ci bogowie na sposoby biorą się!

»A choć ta praca naukowa, budownicza i burząca, jest powolna i ciężka; choć droga do światła wiedzy ciernista; choć krocząc po niej, gnań nieraz najdzielniejsi bojownicy, bądź nagle wśród pustyń lodowych lub zabójczych zwrotnikowych wybrzeży, bądź zwolna, wśród czterech ścian cichej pracowni; choć życie zatrzyma im nieraz zawiść, fanatyzm lub ciemnota, to jednak niech nas pociesza i krzepi ta myśl świetlana, że w końcu zawsze zwycięży prawda«.

(Moja przepowiednia, wyjęta z historycznego wstępu do zmarnowanego kursu geografii).

*»Doch giebt es Höllen aus deren Haft
Unmöglich jede Befreiung;
Hier hilft kein Beten, ohnmächtig ist
hier*

*Des Welterlöser Verzeihung!
Kein Gott, kein Heiland erlöst dich je
Aus diesen sengenden Flammen
Nimm dich in Acht, dass wir dich nicht
Zu solcher Hölle verdammen.
Heine (Deutschland).*



est to moje prawdziwe nieszczęście, że z powodu właściwej mi łagodności charakteru, a także właściwej wszystkim wogóle ludziom pracującym niepoczytalności finansowej, przeciwnicy moi uważają mnie stale za daleko głupszego, niż jestem w rzeczywistości (co zresztą i im samym nie zawsze na dobre wychodzi). Toż samo ma miejsce obecnie: członkowie komitetu Kasy Mianowskiego, odpowiadając mi w nr. 4 „Głosu“, byli widocznie najpewniejsi, że mają przed sobą człowieka zupełnie ograniczonego umysłowo, który nie umie myśleć o tyle logicznie, aby odkryć wykręty co do przeznaczenia jego własnego rękopisu, i nie jest

o tyle obznajmiony z pieniędzmi, aby dostrzedz wolty w cyfrowych pozycjach. Może przytem szanowny Komitet liczył jeszcze i na to, iż ciągle bezrezultatowe „odnoszenia się“ Komitetu do „Biblioteki Matemat.“ i nawzajem „Biblioteki Matemat.“ do Komitetu, a zwłaszcza ostatnie, uparte, graniczące z moral insanity, niepoczucie się Komitetu do błędu i do obowiązku naprawienia go, tak już wyczerpie moją cierpliwość, iż zółć zaleje mi, zamroczy mózg i logika odmówi mi posłuszeństwa.

Z drugiej znów strony, szanowni panowie z Komitetu rachują na to, że mają do rozporządzenia środki materyalne, stosunki, oraz pisma przez siebie kierowane („Słowo“ p. Godlewskiego, „Kurjer Codz.“ pana Libickiego). Zapewne, to są wszystko środki potężne i bardzo cenne: przy ich pomocy można zniszczyć niejednego pożytecznego pracownika, nie zdołają one jednak zdusić idei, — idei sprawiedliwości i prawdy.

Ale przypatrzmy się bliżej odpowiedzi Komitetu i zanalizujmy ją szczegółowo.

Komitet, nie mogąc odeprzeć faktu zmarnowania mej pracy, zamówionej i zakwalifikowanej do druku, usiłuje zatrzeć wrażenie tej krzyczącej niesprawiedliwości i odwrotnie: rzucić niekorzystne światło na moją osobę; a to za pomocą dwóch forteli:

1. Za pomocą zwaleni winy na mnie, dając do zrozumienia, że ja nie chciałem się (jakoby) porozumieć co do nadania dziełu, (jakoby) zbyt obszernemu, formy odpowiedniej dla początkujących, dla których było (jakoby) przeznaczone.

2. Za pomocą rzucenia czytelnikowi w oczy wszy-

stkich sum (cytowanych po dwa razy), jakie mi były na różne cele kiedykolwiek wypłacone i niewypłacone, aby czytelnik. oszołomiony niemi, nabył wyobrażenia o mnie, jako o niewdzięczniku, człowieku nienasyconym i natrętnym w swych żądaniach.

Spróbujmy naprzód olbrzymim wysiłkiem woli stłumić w sobie wszelkie uczucie oburzenia: puśćmy przedewszystkiem w ruch tylko zimny aparat rozumu: rozbierzmy te dwa fortele Komitetu ze stanowiska ścisłej logiki, jak to czyni sędzia śledzcy w sprawie, nie dotyczącej zgoła jego uczuć; przytem na samym wstępie posłuchajmy, co mówią świadkowie.

* * *

Spotykając się przez długie lata z pp. St. Kramsztykiem i W. Kwietniewskim, wiedziałem dobrze, jakiego oni są o mej pracy zdania i jak ubolewają nad jej marnieniem w kancelaryi Kasy. Chcąc jednak w niniejszej mej odpowiedzi zachować największą ścisłość, udałem się do nich przed kilku dniami z formalnem pytaniem. P. Kramsztyk odpowiedział, że „o przeznaczeniu książki dla początkujących mowy być nie może“ — o ile sobie przypomina — mogła być w ocenie co najwyżej uwaga, iż „może za wiele jest cytat¹⁾“. P. Kwie-

¹⁾ Cytaty, prócz celu ułatwienia czytelnikowi dalszych studyów, miały jeszcze ten cel, że po ukazaniu się mej „gieografii rozumowej“ i „gieograficznego rzutu oka na dawną Polskę“ puszczono na mnie całą sforę krytyków, którzy chcieli na podstawie przestarzałych elementarzy poprawiać to, co ja traktowałem na podstawie monografii. Odpowiedzi moich klika redakcyjna, ściśle związana z Komitetem kasy, nie przyjmowała, jako „za obszernych“ (oj ta „za obszerność!“: już dwa razy zaważyła ona na mojem życiu i to ze strony tej samej kliki, protegującej pewnego benjaminka-geologa).

tniewski zaś odpowiedział: nie pamiętam już dziś dokładnie szczegółów, ale najlepszym dowodem, że dzieło pańskie zostało przez nas zakwalifikowane do druku bez żądania przeróbek jest fakt, że jeden z członków kasy wymawiał mi, jak mogłem zakwalifikować do druku dzieło tak kosztowne“. Że pamięć prof. Kwietniewskiego nie myli go w tym względzie, stwierdzają akta, które mi przed kilku dniami dał do przejrzenia redaktor „Biblioteki“: z aktów tych widać że p. Czajewicz na podanie swe, w którym oznaczył kosztorys na 2.856 rb. 66 kop. (już razem z honorarium), otrzymał odpowiedź odmowną, a argumentem odmowy było żądanie „z m i a n y k o s z t o r y s u;“ żądania naukowe (?) „skrócenia“, „przeróbki dla początkujących“, były już w ł o n i e s a m e j k a s y s f a b r y k o w a n e później. Nie dziw, że szanowy prof. Kwietniewski wyraził mi swe gorące współczucie z powodu takiego obrotu sprawy i przy pożegnaniu dodał stanowczo: „w sporze z Komitetem Kasy słuszność jest całkowicie po stronie pańskiej“.

Na tem świadectwie ludzi, których charakter i wiedzę wszyscy cenimy wysoko, mógłbym poprzestać, ale nie z takim przeciwnikiem, jak Komitet Kasy; tutaj trzeba przejść stopniowo cały szereg dowodów, coraz bardziej ścieśniać obręcz żelazną, aż do takich nakoniec rozmiarów, aby nie była „za obszerną“; aby wszelki obrót przeciwnika w niej stał się już niemożliwym.

Przypuszczam więc, że przytoczone przezemnie wyżej zdania świadków nie były wypowiedziane, lub, że pomimo ich wypowiedzenia Komitet, bądź to na podstawie owego: „może za wiele cytat“, bądź to na

podstawie władzy supereksperta, miał formalne prawo odrzucić mą pracę; zobaczymy, czy miał prawo realne, a raczej racjonalne.

Komitet użył napozór bardzo dyplomatycznych argumentów odrzucenia: „należy przerobić dla początkujących“ i: „za obszerna“.

Rozumiemy dobrze użycie takich wyrażeń: są one nadzwyczaj dogodne, jako nieokreślone; wśród nich można robić swobodne ewolucje; przytem mają tę dobrą stronę, że, wprowadzone w wykonanie, obniżają naukową wartość książki, a ztąd i jej autora. Na nieszczęście jednak Komitet zapomniał, że wyrażenia te w stosunku do mej pracy nabierają znaczenia zupełnie określonego: ja bowiem nie przychodziłem z mą pracą, jako wolontaryusz, luzak (takich można śmiało uśmiercać takimi argumentami); ja przychodziłem, jako żołnierz regularny, t. j. jako współpracownik „Biblioteki Matemat.“, mającej pewien pisany program, oraz pewne konkretne jego wzory, zaakceptowane przez Kasę; to jest właśnie całe nieszczęście, albowiem wobec tego powyższe nieokreślone wyrazy nabierają, jak to zaraz zobaczymy, określoności; stają się klatką, z której nie tak łatwo się mimo zręczności wyśliznąć.

„Dla początkujących!“ — zważ, czytelniku: praca moja, to kurs geografii, przeznaczony do seryi III-ciej „Biblioteki Matemat.“, najwyższy kurs geografii, jaki istnieje w tej bibliotece; przed nim są dwie serye: I-sza i II-ga; jeżeli III-cia jest „dla początkujących“, to dla kogo I i II, ? zapewne dla niemowląt, co?

Ale niedość na tem; poszukajmy jeszcze dokładniejszej, konkretniejszej określoności: w tej samej seryi III wyszła KosmogRAFIA Jędrzejewicza, w której

autor, mając widać na względzie „początkujących“, używa w wykładzie trygonometrii sferycznej; w „Trygonometrii“ zaś p. Czajewicza tej samej seryi trygonometria sferyczna stanowi przedmiot systematycznego wykładu.

I jeszcze nie dość: nie tylko, że serya III, do której należy moja praca, nie jest dla początkujących, ale co więcej: praca ta stanowi, wraz z kilku innymi, w tej seryi taką grupę, która, jako nie mająca kontynuacji w seryi IV, musi być traktowana na poziomie wyższym, niż norma seryi III. Zasada ta została wskazana w przedmowie redaktora „Biblioteki“ do „Kosmografii“ Jędrzejewicza; przytem, jako drugi powód podniesienia poziomu, przytoczono, iż żadne dzieło o astronomii nie pojawiło się u nas od ćwierci wieku. Dla Geografii Fizycznej powód ten urasta prawie do całkowitego stulecia, a więc ja miałem *a fortiori* prawo postawienia mej pracy na wyższym poziomie; więcej: nie było to tylko prawo, lecz obowiązek, a nawet zobowiązanie.

Czytelnik sądzi zapewne, że już wykazałem mą rację; o nie, poczekajmy jeszcze: kto ma do czynienia z tak zwrotnym przeciwnikiem, musi być ostrożny: tu jest jeszcze wykręt, wprawdzie z pewną ofiarą. Komitet gotów powiedzieć tak: być może wyraz, „dla początkujących“ był użyty zbyt pośpiesznie, cofamy go, ale przy „za obszerna“ stoimy twardo, a to zupełnie wystarcza do odrzucenia pracy. Wprawdzie Komitet nie posiada enoty przyznawania się do błędów, ale gdy obóz jest zbyt zagrożony, lepiej cofnąć się z jednej pozycyi, aby utrzymać drugą. A więc: „za obszerna“, tak!

To jest zapewne w mniemaniu Komitetu już taka pozycja, z której sam dyabeł nie wyprze, bo któż może zabronić komuś, zwłaszcza znakomitemu „finansście“, gdy jemu podoba się uznać, że coś jest „za obszerne“: powiadam, że za obszerne i basta!

Za pozwoleniem: szanowny Komitet zapomina, że w tej samej seryi III wyszły Zasady Fizyki pana Witkowskiego, złożone z dwóch tomów, a jeszcze nie ukończone! Dlaczegoż więc to, co u p. Nałkowskiego jest „za obszerne“, u p. Witkowskiego nie jest „za obszerne“, choć jest obszerniejsze? Skąd ta podwójna buchalterya?

Tak więc dowiedliśmy zdaje się, że zręcznie i szlachetnie pomyślane argumenty: dla „początkujących“ i „za obszerne“ okazały się w zastosowaniu do mnie, niestety, bezsilnemi¹⁾.

Ale nie poprzestańmy jeszcze na tem, ścieśniajmy dalej naszą obręcz; albo może to wyrażenie nie parlamentarne? bo tak wygląda, jak gdybyśmy, ugaśniając się za jakimś zwierzem, który się wymyka, zapędzali go do coraz ciaśniejszej klatki; gotów więc

¹⁾ Obok powyższego dowodu konkretnego dla kancelistów, przytaczam tu dowód rozumowy, naukowy — uzasadnienie dla tych, co się na geografii znają. Otóż geografia fizyczna musi być znacznie obszerniejsza od kosmografii Jędrzejewicza, albowiem: 1) jest, formalnie biorąc, nauką złożoną z geologii, hydrologii, klimatologii, biologii. 2) Jest nauką bardziej konkretną, rozpatrującą zjawiska blizkie. 3) Jest nauką mniej ścisłą, zatem dającą pole do różnych teoryj, co zwłaszcza we wstępie historycznym musi się odbić na obszerności. 4) Dlatego wielka dysproporcya tych dwóch części we wszystkich podręcznikach geograficznych. 5) Moja geografia fizyczna musiała być jeszcze wyjątkowo obszerniejsza dla

jestem użyć innego wyrażenia: będę dawał Komitetowi w tych zapasach fory, albo robił ustępstwa; a więc.

Przypuśćmy, że wszystko, co wyżej powiedziane, jest z mej strony wierutnem łgarstwem, że dotąd prawda jest całkowicie po stronie Komitetu: i specjaliści orzekli przeciwko mnie, i praca moja jest za obszerna, i przeznaczona dla początkujących, i znakomici geografowie z łona kasy potwierdzili toż samo. Albo, jeżeli Komitet woli, zrobimy przypuszczenie mniej skandalicznie kłamliwe — mianowicie, że Komitet ma prawo wydawania sądów, jakie mu się żywnie podobają bez potrzeby uzasadniania, a nawet — sensowności.

Przy takich forach czytelnik sądzi zapewne, że zostanie powalony; że mianowicie Komitet w takim razie miał już na pewno rację twierdzić stanowczo w swej odpowiedzi, iż moje „zażalenie“ (sic!) jest „nieuzasadnione“. — Bynajmniej!

Nie można wprawdzie wymagać, by np. pracodawca zawsze stawiał żądania rozumne, sprawiedliwe, ludzkie; pracownik nie ma prawa żądać ich uzasa-

tego, że musiały wejść do niej niektóre części geografii astronomicznej (kształt ziemi, kartografia itd.), które albo tylko pobieżnie, albo całkiem nie były uwzględnione u Jędrzejewicza. 6) P. Czajewicz żądał odemnie wyraźnie, i zupełnie słusznie, ażebym gruntownie traktował kartografię, gdyż inaczej musiałyby nią obciążać swą trygonometrię kulistą.

Z tego czytelnik, znający się na rzeczy, zrozumie, że ja zda-
wałem sobie dobrze sprawę z tego co mam pisać, i że, choć pisałem po nocach, nie traktowałem rzeczy przez sen, jak Komitet Kasy, który, dziwnem zrządzeniem ironii losu, rościł sobie prawo bezceremonialnego rozporządzania się mą książką, a ztąd do pewnego stopnia i życiem jej autora.

dnienia; ale w każdym razie ma jedno prawo: aby żądania te były przynajmniej wyraźnie sformułowane, bo inaczej nie mogą być spełnione.

Otóż nikt nigdy: ani ekspert, ani redaktor „Biblioteki“, ani żaden członek Komitetu, ani woźny komitetowy — nikt absolutnie nie sformułował mi jasno i szczegółowo, jakie przeróbki, poprawki, skrócenia¹⁾ mają być dokonane: czego właściwie pod względem naukowym Komitet chce odemnie²⁾.

¹⁾ Zresztą za przeróbki książki, napisanej według umówionego programu, należy mi się osobne honorarium: czyż który z panów komitetowych każe np. krawcowi swój zamówiony u niego obszerny garnitur darmo przerabiać na swego małego synka i to jeszcze bez wskazania na którego? Tymczasem Komitet, zamiast powiększyć płacę za nadkompletną robotę, chciał zmniejszyć koszt wydawnictwa i obciął kosztorys p. Czajewicza z 2856 r. na 2000 r. Tutaj małe pytanie: dlaczego moja książka, potrzebująca do zrozumiałego wykładu wielu niezbędnych map, wydawała się za drogą, a fizyka Witkowskiego nie, choć kosztowniejsza? Obcięciem kosztorysu p. Czajewicza i bezprawnym żądaniem odemnie darmo nadkompletnej i to destrukcyjnej, a przytem nieokreślonej roboty, Komitet sparaliżował działalność p. Czajewicza, uniemożliwił wydawnictwo. Na odezwy zaś, tak moją, jak i pana Czajewicza, pozostał głuchym.

²⁾ Już po napisaniu tych słów dowiedziałem się od jednego z dawnych członków Komitetu, że jeden z tych ostatnich żądał usunięcia geologii z mej geografii! Jestto jedyne, choć spóźnione sformułowanie żądań, którego przedtem nikt mi nie zakomunikował; muszę tu jednak zaraz wyznać, że gdyby nawet zakomunikowanie takie w swoim czasie nastąpiło, nie byłbym w stanie go spełnić: kto stawia takie żądanie, ten dowodzi, iż nie posiada pojęcia, nie tylko o geografii i geologii, ale wogóle o żadnej nauce, albowiem form geograficznych nie można wyjaśnić bez geologii, a wyjaśnienie zjawisk jest zadaniem każdej nauki. Muszę tu jednak dodać, iż żądanie usunięcia geologii, będąc nie naukowem, było sprytnem: Kasa bowiem wydała podręcznik geologii (p. J. Siemiradzkiego), którego bezsensu i sprzeczności ja wykazałem swego czasu w *Prawdzie*.

Ale uczynmy jeszcze ostatnie usiłowanie ratunku: przypuścemy, że instrukcyja naukowa była, lecz ja, bezczelny zarozumialec, sądząc, że kto zajmuje się przez lat przeszło 20 geografiją i prowadzi jej wykłady, sam ma prawo rozstrzygać, co i jak ma być napisane w jego kursie; że ja, mówiąc krótko, otrzymawszy wyraźną i szczegółową instrukcyę zmian, nie zgodziłem się na nią. W takim razie Komitet kasy ma już chyba słuszość za sobą?

Tak ma, albowiem: zmarnował społeczeństwu 500 rb., a mnie książkę, i to dlatego, że w niej było za wiele — nauki! — Zupełna racya!

Tak się przedstawia w świetle logiki pierwszy fortel Komitetu, zobaczmy teraz drugi.



Na moje pytanie zwrócone do Komitetu, dlaczego zmarnował mój rękopis i nie wypłacił mi zań reszty honorarium, Komitet wymienia skrzątnie i dodaje różne sumy, wypłacane mi od roku 1885 na różne cele, między innymi zaliczkę na honorarium; czyni to przytem w sposób bardzo zręczny: powtarza te sumy po dwa razy i miesza je (lokalnie) z sumą kosztorysową, tak wyasygnowaną, jak i proponowaną. Tym sposobem odpowiedź na moje „nieuzasadnione zażalenie“ jest gęsto ozdobiona cyframi, które mają, nawet z plusem, kasować mą krzywde. To „rzucanie garściami cyfr“, jak się wyraża w swej obronie Kasy zacny, ale aż nazbyt zgodny p. Prus („Kurjer Codz.“), jest właściwie metodą zasypywania oczu piaskiem

czytelnikowi. nieumiejącemu myśleć dość logicznie i oryentować się dość szybko w sytuacji.

Gdy zgromadzenie urzędniczo-finansowe wydaje błędny sąd o nauce, fałszywie charakteryzuje dzieło naukowe i stawia niemożliwe żądania co do jego przeróbek, to to jest zupełnie w porządku, a przynajmniej może być w porządku; to znaczy — może być szczere, naiwne, z obywatelskiego serca płynące. Ale gdy zgromadzenie takie umieszcza niewłaściwe pozycje różnych sum, gdy je miesza, to tu już można być pewnym, że nie zaszła mimowolna pomyłka, że to był fortel świadomy. Albowiem wyobraźmy sobie, że ja przychodzę do którego z tych panów, np. do dyrektora banku handlowego i kupuję papiery procentowe: kupuję raz papier np. za 800 rb., kiedyindziej za 200 rb., wreszcie przychodzę i żądam papieru za 1500 rb.; płacę rb. 500, chowam papier do kieszeni i zabieram się do wyjścia. Rzecz niewątpliwa, iż dyrektor banku z całą energią zażądałby wypłaty jeszcze 1000 rb. Cóżby wtedy było, gdybym ja odpowiedział: „zażalenie pańskie jest nieuzasadnione, albowiem, jak widać z notesu, wypłaciłem panu 13 lat temu 800 rb., 10 lat temu 200 rb., obecnie zapłaciłem 500; tym sposobem wypłaciłem panu razem 1500 rb., i na tem działalność moja się skończyła“. Dyrektor banku handlowego, jestem pewien, nie zadowoliliby się takim „zakończeniem mej działalności“.

Przypuśćmy jednak (bo i tu pragniemy dać Komitetowi fory), że pozycje są zupełnie w porządku: że wszystkie wypłacone mi sumy przyjmujemy jako honorarium za zamówioną książkę; to i tak suma ta nie przenosiłaby (jak już wspomniałem w pierwszej

mojej odezwie) zwykłego honorarium wydawców-przedsiębiorców (licząc i cenę książek, sprowadzanych zwykle na koszt wydawców). A gdzież korzyści drugiego wydania, które stanowią zwykle połowę honorarium pierwotnego z dodatkiem za nowe opracowanie?

Ale przypuśćmy dalej, że drugie wydanie jest fikcją; przypuśćmy, że materyalnie jestem zupełnie wynagrodzony, to czyż sprawa jest skończona? — bynajmniej: pozostaje strata moralna zmarnowanego dzieła; lecz tej naturalnie „znakomici finansisci“ z pewnością nie rozumieją!

Tak więc panowie: z której strony dotknę palcem forteczki panów, ukleconej z gliny przeciw mnie, rozsypuje się ona w gruzy, a z wnętrza wyziewa odór zgnilizny.

Takie postąpienie i taką odpowiedź Komitetu usiłują bronić literaci z jego łona, stojący na czele pism. A więc p. Libicki („Kurjer Codz.“) mówi: „Takie postąpienie Komitetu kasy godne jest tej poważnej instytucji... i miejmy nadzieję, będzie przykładem! i t. d.“ Naturalnie inaczej nie może sądzić ten stróż prawa i sprawiedliwości: on to zainaugurował metodę takiego postępowania, t. j. metodę wołyżowania pozycjami sum; mianowicie w swej odpowiedzi, danej redaktorowi „Prawdy“, gdy ten wystąpił niegdyś w sprawie mej Geografii. P. Libicki śmiał nawet stroić sobie żarciki z mej sprawy; jeżeli zapomniał, niech zajrzy do „Prawdy“ (1894, nr. 47). Ja mam dobrą pamięć, szanowny panie, i mam zwyczaj załatwiać zaległe rachunki...

Inny członek Komitetu — redaktor, p. Godlewski („Słowo“) dowodzi piórem jakiegoś „Raka“ (godło

z drowego postępu!), że w kasie Mianowskiego powinni być nie tylko uczeni, lecz i finansiści; naturalnie: powinni też być i kanceliści, kopiści, woźni oraz zamiatacze, ale wszyscy ci panowie, od finansistów włącznie, nie powinni mieć władzy nad duszami ludzi nauki, idei. Władzę nad takimi duszami powinny mieć tylko dusze tego samego typu, dusze harmonijnie z niemi drgające, pod wpływem tych samych ideałów. A pod wpływem czego drgać może dusza groszoroba? Co przyspiesza jej tętno? — kursa papierów procentowych! Gdyby tacy panowie nawet nie nadużywali swej władzy, to już sam fakt ich posiadania jej nad nami byłby dla nas obrazą!

Pan Godlewski dochodzi do takiej buty, iż głosi, że nikomu nie wolno się wtrącać do Komitetu kasy, bo „wolność Tomku w swoim domku!“ Przysłowie to jest do pewnej granicy słuszne, ale gdy ten „domek“ jest zbudowany za pieniądze społeczne, wtedy zbyt rozpierającego się „Tomka“ bierze się za kark i wyrzuca za drzwi, przy zastosowaniu znanego środka przyspieszającego...

Muszę wspomnieć jeszcze o jednym na pozór drobnym, ale charakterystycznym szczególe odpowiedzi Komitetu w „Głosie“: odezwę moją nazwano tam „zażaleniem“, chcąc tym sposobem zbagatelizować i sprawę moją i osobę; przeciwko temu wyrażeniu protestuję w imieniu godności ludzkiej człowieka skrzywdzonego. Komitet może bezprawnie obciąć kosztorys mej książki do poziomu, uniemożliwiającego jej wydanie, może żądać zmian rzeczy, o których nie ma wyobrażenia, ale nie wolno mu traktować mnie, jak swego woźnego: odezwa moja nie była ż a ż a l e n i e m, lecz

o s k a r ż e n i e m Komitetu, że nie dopełnił ani moralnego, ani materyalnego zobowiązania, przyjętego względem mnie za pośrednictwem „Biblioteki Matematycznej“ — to znaczy: *a*) zmarnował moje dzieło, *b*) nie wypłacił mi reszty honorarium.

Powyższych moich wywodów nie zdołają obalić ani „jedyni w swoim rodzaju organizatorowie“, ani „znakomici finansiści“, ani patentowani „magistrowie“ groszorbstwa, ani woltyżerowie prawa, ani „sumy rzucane garściami“, ani nawet najbardziej utalentowani literaci, miłujący z g o d ę i znakomitych finansiistów — a to dopóki sumienia ludzkie odczuwać będą sprawiedliwość, a mózgi ludzkie funkcyonować według zasad logiki.

A gdyby nawet społeczeństwo nasze było tak apatyczne, tak obojętne na losy nauki, tak znieczulone na krzywdy, tak niezdolne do logicznego myślenia, że żadna dusza nie przyjęłaby w mym proteście udziału, żaden głos nie poparł słów moich¹⁾, to i tak pozostanę spokojny — spokojny o sąd przyszłości: ta karta z historii działalności Kasy nie przyniesie wam zaszczytu, panowie²⁾.

1) Rzeczywiście: już cztery lata upłynęło od czasu ogłoszenia tego protestu i ani jeden głos nie odezwał się w tej sprawie! — Ach prawda: odezwał się głos jeden, o którym mowa w artykule następnym!

2) Jeżeli czytelnik zechce wniknąć w istotę całego tego epizodu, niech zajrzy do mego artykułu: „Skandale jako czynniki ewolucyi“

Dzikie pretensye.



ostatnim zeszytcie dawnego¹⁾ „Ateneum“ p. Br. Chlebowski pomieścił recenzję mych „Szkiców geograficznych“, w której nie spotykam wprawdzie ani jednego zarzutu naukowego, ale za to — mnóstwo do mnie pretensyi.

Pragnę wykazać jak dalece nieuzasadnione i dziwne są te pretensye:

1) P. Chl. ma do mnie pretensyę, że napisał mało: przez 25 lat tylko jedną i taką małą książeczkę.

Jako zajmujący się literaturą polską i geografją p. Chl. mógł podwójnie wiedzieć, że prócz tej książki wydałem też i inne, a nawet tylko jako recenzent mógł z mej przedmowy wyczytać, że oceniona przez niego książka jest tylko początkiem seryi wydawnictw, których dalsze ukazywanie się jest naturalnie zależne od księgarskiego powodzenia tego początku (p. Chl. chciał się zapewne swą recenzją do tego przyczynić!) — Zresztą jestem doprawdy w kłopotcie, jak tym poczciwym ludziskom dogodzić, bo proszę tylko zauważyć: zarzuca mi, że napisałem tylko jedną książkę i to za małą solidarny członek tej samej instytucyi (kasy Mianowskiego), która nie chciała wydrukować drugiej mej książki (geografii fizycznej) dlatego, że ta była za duża.

2) P. Chl. ma do mnie pretensyę, że zamiast dawać społeczeństwu naszemu rzeczy z krajoznawstwa

¹⁾ Za redakcyi p. I. Chrzanowskiego.

polskiego zajmuję się czem innym, zwłaszcza geografią powszechną.

Naprzód należałoby wiedzieć, że społeczeństwo nie może nabrać naukowego pojęcia o własnym „krajoznawstwie“, nie nabrawszy uprzednio ogólnogeograficznego wykształcenia, nie poznawszy narzędzi geograficznego poznania; nie mogłoby więc przyjąć geografii własnego kraju „z wdzięcznością“ (jak sądzi p. Chl.), gdyby geografii takiej nie rozumiało: wszakże nasza „Encyklopedia Wychowawcza“ w artykule prof. Plebańskiego („geografia“) uznała mój „geograficzny rzut oka na dawną Polskę“, jako nienależący do geografii (!) — Ta moja praca, którą sam p. Chl. umieścił w „Słowniku geograficznym“ powinna mu była wyjaśnić niestusznosc aż trzech jego pretensyj: że napisał tylko jedną pracę, że się nie zajmował geografią Polski, że społeczeństwo za geografię kraju jest „wdzięczne“.

Wreszcie znów proszę zauważyć: zarzuca mi obojętność dla sprawy naszego krajoznawstwa, a zajmowanie się powszechnem: *a)* redaktor tego samego słownika geograficznego, w którym była pomieszczona moja praca o Polsce, i *b)* recenzent tego samego czasopisma (Ateneum), które odrzuciło dwie moje prace, dotyczące Polski (o rzekach sarmackich i o poglądach Duchńskiego), a artykuły z geografii powszechnej, które obecnie potępia (Abisynia, Afganistan, Nil) nie tylko pomieściło, ale takich właśnie odemnie żądało.

3) P. Chl. ma do mnie pretensję, że mam „spotęgowane przeświadczenie o ważności moich studyów“, że jestem „wielce przywiązany“ do mych prac i dla

tęgo zamieściłem w „Szkicach“ dawne artykuły „mające tylko chwilową wartość“.

Naprzód sędzę, że przywiązanę do swej pracy jest nie ujemną, lecz dodatnią stroną każdego pracownika. Powtóre, co się tyczy „Szkiców“, to na ich nowe opracowanie użyłem trzy miesiące czasu i uzupełniłem je nowymi zdobyczami wiedzy; z drugiej strony wiele obszernych artykułów uległo skróceniu (np. o Kolumbie, Rogozińskim), aby usunąć wszystko, co miało charakter chwilowy lub sprawozdawczy. — Jeżeli mimo to p. Chl. znalazł rzeczy przestarzałe, to wielka szkoda, że nie wykazał tego szczegółowo: nie omieszkałbym skorzystać z tego w następnem wydaniu i to nie pomimo, lecz właśnie dla tego, że jestem do prac mych „wielce przywiązany“¹⁾.

4) P. Chl. ma do mnie pretensję, że w mych „Szkicach“ dałem charakterystykę Kołłątaja, Śniadeckiego, Hubego, a nie dałem Długosza, Macieja z Miechowa i wogóle całokształtu (nb. w „szkicach“) historii geografii u nas.

Akurat z temi samemi pretensjami mógłbym się zwrócić do p. Chl.: dlaczego on tego wszystkiego nie napisał, dlaczego nie napisał historii literatury polskiej, itd. itd. Taka metoda była używana dotąd

¹⁾ Zresztą co do tego „chwilowego znaczenia“, to wiele zależy od indywidualnego poglądu: tak np. ręczę, iż niniejszemu memu artykułowi p. Chl. przyznałby tylko „chwilowe znaczenie“; a jednak ja nie waham się pomieścić go w zbiorze mych „Szkiców“, sędzę bowiem, iż ma on znaczenie dokumentu historycznego, zwłaszcza w zestawieniu z dwoma powyższemi, a prócz tego — także i dokumentu psychologicznego, zwłaszcza, że p. Chl. zanim został dygnitarzem Kasy, był dla mnie życzliwym kolegą.

tylko w stosunkach handlowych: gdy proponujemy skromnie handlarzowi do sprzedania np. spodnie, odwraca on się od nich obojętnie i żąda wyniośle butów; i to ma sens, chodzi mu bowiem o osłabienie strony przeciwnej, o suggestyjonowanie, że ona do swego towaru przywiązuje „spotęgowaną ważność“, a tymczasem jest to towar, nie mający żadnej wartości rynkowej. — Tak bywa w handlu, ale po co ta metoda w recezyi p. Chl.?

5) Dalszą pretensją jest, że nie zrozumiałem potrzeb społeczeństwa; zamiast „operacji“ krytycznych, nie napisałem obszernej geografii Polski.

Właśnie w tych „Szkicach“, które p. Chl. powinien był chyba czytać całe, wyjaśniłem, jakie do powstania dzieła takiego potrzebne są warunki, dlaczego dzieła takiego dotąd nie mamy. P. Chl. niechce nic o tem słyszeć, udaje, jak to mówią, że ma „feler na ucho“. Stawiać wymagania wieloletniej pracy prawie platonicznej można rentyerowi lub synekurzyście, którzy rozporządzają swobodnie swym czasem, mają pieniądze na biblioteki i inne pomoce naukowe. P. Chl. mówi, iż społeczeństwo byłoby „wdzięczne“; zapewne, tylko ta wdzięczność ograniczyłaby się do kilku nauczycieli, zajmujących się geografią; tymczasem „społeczeństwo“ składa się jeszcze z innych, daleko poważniejszych elementów, jak lichwiarze, kamienicznicy, a dalej krawcy, szewcy itp. otóż sądzę, że takiemu półgłówkowi, a raczej „odludkowi, mizantropowi“, któryby na lat wiele zatopił się w pracy nad geografią Polski, tacy panowie okazaliby taką „wdzięczność“, iżby go zlicytowali, wyrzucili na bruk i tropili na każdym kroku jak dziką bestyę. A gdyby przedtem

nawet zdążył dzieło wykończyć, to nie ujrzałoby ono światła dziennego, gdyż wydanie jego zależałoby od widzimisię jakiegoś mecenasa — idyoty, któryby je uznał za „nie należące do geografii“, za „przeładowane geologią“ i t. p.

Wreszcie ma p. Chl. do mnie pretensye o „zgrzyźliwość, żółciowość, mizantropię“. — Nie wiem doprawdy skąd się wzięły te pretensye, bo na wątrobę, rzecz dziwna, nie choruję, a w mych recenzjach nie roszczę nigdy nieuzasadnionych, a zwłaszcza dzikich pretensyj. Poprostu jest to widać właściwa terminologia pana Chl.: wrażliwość na krzywdy jednych a nikczemność drugich p. Chl. nazywa żółciowością, mizantropią, czemś niby w rodzaju waryactwa. Nie jest to wprawdzie terminologia nowa, lecz dotąd znana była tylko w ustach wszelakiej filisteryi i tam jest ona zupełnie zrozumiała: służy za tarczę, lecz co ona znaczy u p. Chl.? Czy może to tarcza przeciw mej „pretensyi“ do „Kasy“ o niewydanie geografii fizycznej? ależ „pretensya“ to czysto prawna, nie można jej zamazać żadnemi, *ad hoc* fabrykowanymi „żółciami“. Jeżeli p. Chlebowski chciał swem wystąpieniem obronić instytucję, której został członkiem, to nie wyświadczył tem, ani jej, ani sobie, zbyt wielkiej przysługi.

Wyjaśnienie.



Nr. 6 „Książki“ szanowny mój kolega-geograf, p. Wacław Jezierski, zdając sprawę z mych „Szkiców geograficznych“, obok wyborowego sformułowania geograficznych idei poszczególnych artykułów, dotyka też „struny subiektywnej“ i tu przeciwstawia dwa, sprzeczne, jakoby, moje stanowiska w dwóch różnych artykułach: „We wstępie, mówi p. W. J., dźwięczy struna subiektywna: autor kreśli w nim historię rozwoju swoich zamiłowań naukowych, *zawierza się z warunków i losów swej pracy... niestety, szara dola* przypada wielu u nas pracownikom nauki w udziale. Wszakże zwątpienie należy odpierać odważnie, zwłaszcza skoro do innych wygłasza się taką zasadę: cierpienia nasze i żale zamknijmy w sobie i t. d.“.

Możliwość takiego przeciwstawienia wynikła być może z niedostatecznej jasności mych słów, ale z pewnością nie z tkwiącej w nich myśli i dlatego pośpieszam wyjaśnić tu bliżej moje stanowisko.

Radząc „zamknięcie w sobie cierpień i żalów“, stosowałem to do żalów za takimi wierzeniami lub instytucjami, które w danej chwili dziejowej znikają wskutek ewolucji, aby ustąpić miejsca innym, wyższym. — Rozwodzić się z tego powodu z żalami jest to powstrzymywać bieg ewolucji; dlatego radziłem „zamykanie żalów“ w jej interesie. We „wstępie“ zaś do mej pracy ja sam *wyjawiałem fakta* (nie: *zawierzałem żale*), których znów zamileczenie byłoby

ze szkodą ewolucyi, byłoby nawet karygodne, jak ukrywanie każdego postępkę antyspołecznego.

W obu więc razach byłem w zgodzie zarówno z ewolucją jak i ze sobą: zamknięcie w jednym razie i „otwartość“ w drugim służą do jednego dodatniego celu i nie zawierają sprzeczności.

Przytem muszę zauważyć, że użyte przez p. W. J., dla scharakteryzowania przytoczonych przeze mnie faktów o traktowaniu u nas pracy naukowej, wyrazy: »szara dola« nie wydają mi się dokładnie malującemi rzecz: nadają one całej sprawie charakter pojedynczego liryzmu, a zarazem fatalistycznego mistycyzmu. Otóż co do liryzmu to ten, w danym przynajmniej razie, był mi całkowicie obcym; a co do mistycyzmu, to wprawdzie nie odmawiam prawa jednostce ludzkiej do uciekania się doń w kwestyach, leżących po za sferą poznawalnego, po za możliwością pozytywnego badania, ale w danym razie okoliczność ta niema bynajmniej miejsca: przyczyną faktów, przezemnie przytaczanych, t. j. przyczyną marnowania się pracy naukowej u nas, nie jest bynajmniej mistyczna, fatalistyczna »szara dola«, lecz zupełnie pozytywne, konkretne: *szare tło społeczne*. Jasne zdanie sobie z tego sprawy, śmiałe wyjaśnienie (nie: „zamknięcie“), jasna diagnoza, jest pierwszym warunkiem możliwości uleczenia tej choroby społecznej. Przytem nieobojętnym jest tu również i wzgląd, że tak powiem, etyczny — zadośćuczynienie zasadzie sprawiedliwości: po co obwiniać o to „dole“, czemu jedynie winni są ludzie?

Trzeba mieć metodę.¹⁾

«Difficile est satyram non scribere.»



Są u nas ludzie, mający niewzruszone przekonania i odwagę ich wypowiedania; są ludzie, których oburza wszelki fałsz lub niesprawiedliwość; są ludzie, którzy umiłowali wiedzę, którzy ją zdobywają, walcząc z przeciwnościami, z nędzą nawet nieraz; którzy z surową samokrytyką ważą każde napisane zdanie, każdy wyraz; którzy gardzą wszelką błagą, arlekinadą, reklamą... A jakkolwiek byłoby niesprawiedliwością, chcieć to wszystko „między bajki włożyć“, to jednak nie można nie twierdzić, że ludzie tacy są *pozbawieni metody*; a nawet jestem pewien, że w oczach człowieka *normalnego* muszą oni wyglądać wprost na aspirantów do honorowego obywatelstwa Tworzków lub Kulparkowa.

Bo rzeczywiście, cóż zyska u nas jakiś Tworkowski lub Kulparkiewicz na takiej metodzie, albo raczej na takiej bezmetodyczności życiowej? Oto po wielu latach ciężkiej a sumiennej pracy, gdy włos się posrebrzy, wzrok osłabnie i siły opuszczą, wyczyta, co najwyżej, w którym z *kuryerów* taką np. wiadomość: „P. Kawalkiewicz młody, a głęboki autor „Śłodkiego Paluszka“ i „Różowej Pętelki“, oraz p. Tworkowski (lub jemu podobny) wyjechali w dniu dzisiejszym z Syreniego grodu; pierwszy, wysłany przez ruchliwą i zasłużoną redakcję „Bawidełka Damskiego“,

¹⁾ Drukowane po raz pierwszy w „Prawdzie“ 1893 r.

udaje się na studia estetyczne do Wenecyi, Rzymu i Neapolu; drugi do — Nowego Miasta dla poratowania nadwątlonego zdrowia“.

Dla zyskania zaszczytów i rozgłosu, dóbr materialnych i moralnych nie koniecznie jednak trzeba być u nas Kawałkiewiczem, to znaczy „sympatycznym“ i „głębokim“ (nadewszystko głębokim!) autorem blue-tek, nowelek, noweletek, noweletek; nie koniecznie przez stosunki z wydawcami trzeba trzymać berło krytyki teatralnej, a stąd panowania nad aktorami, a nadewszystko nad aktorkami, które wywdzięczą się między innymi i tem, że za pomocą deklamacyi na koncertach, rautach i t. p. rozpowszechniać będą farsy Kawałkiewiczów; nie koniecznie tak samo trzymać należy berło krytyki malarskiej, przezco „głębokie“ oblicze Kawałkiewicza wyglądać będzie z każdej wystawy, z za każdej szyby. Nie koniecznie trzeba palić mówki na jubileuszach, a szczególnie na pogrzebach osób znakomitych i pisać na ich cześć kantyczki, a to w celu, aby imię mówcy lub piewcy rozbrzmiewało tuż obok imienia znakomitego nieboszczyka, roztrąbione przez przyjaciół-reporterów po gazetach, rozlepiane na plakatach, zapowiadających wydawnictwo dzieł pogrobowych. Nie koniecznie, pisząc w fejletonie o jakiejś banalnej kwestyi, trzeba dodawać: „właśnie mówiłem o tem z Sienkiewiczem w czasie przyjacielskiej pogawędki w Zakopanem“. Nie koniecznie trzeba mieć dar podkadzania temu lub owemu z rzeczywiście poważnych krytyków w celu, aby płytkość nazwał „głębokością“, banalność — „mistrzostwem“. Nie koniecznie trzeba w kronikach tygodniowych podnosić „rzeczy pocziwe“, to jest takie, które ściągają jak

najwięcej prenumeratorów i czynią przez to autora bożyszczem wydawców, „wytrawnym“ doradcą w każdym przedsiębiorstwie propinacyjno-literackim, jako człowieka „z nosem“. Nie koniecznie przed napisaniem „Pętelki“ trzeba się „długo nosić z myślą“ (o czym donoszą *Kuryery*), w powieściach podnosić rozum i zalety tych, co najwięcej prenumerują „Bawidełko Damskie“, a jako głupców i nicponiów przedstawiać tych, co są zbyt umysłowo rozwinięci, aby podobne brednie czytywać. Nie koniecznie trzeba być badaczem buduarów i opiekunem sztuk pięknych (a choćby tylko ładnych), a zarazem słodko-moralnym autorem sielanek małżeńskich w biedzie i ciężkiej pracy, to znaczy — być hipokrytą lub idyotą socyologicznym. Wogóle nie koniecznie trzeba być maszynistą figur woskowych, kręcących się i mówiących automatycznie według starych szablonów. Nie koniecznie trzeba być fabrykantem i dostawcą literackiej wody słodkiej, pachnącej i różanej, która jednak w rzeczywistości jest wyciągiem ze zgniłych już trupów i zatruwa nie dość oświecone, nie dość krytyczne umysły itd. itd. Nie koniecznie, powiadamy, tem wszystkim być i to robić trzeba, jakkolwiek to jest najlepsza metoda ze wszystkich znanych¹⁾, aby u nas zdobyć sławę, stanowisko i zaszczyty; owszem: można to osiągnąć, któżby to przepuścił, nawet na drodze naukowej.

Trzeba jednak i tutaj pamiętać zawsze o „meto-

¹⁾ Niech mnie czytelnik nie posądzi, że „metoda“, wyżej wyłożona, jest produktem mój bujnej fantazyi, iż jest wysnuta *a priori*; bynajmniej, umysł mój jest w tym kierunku tak ograniczony, że nigdyby nie wpadł samodzielnie na odkrycie tak głębokich prawd życiowych, tego niejako nowego dekalogu, tej nieomyłnej recepty

dzie“; jedna z tych metod naukowych jest podobna do tej, jakiej używa nauczyciel w komedyi „Pieszczoszek“ i zasadza się na tem, że naukę wykląda się społeczeństwu w śpiewie na nutę „Pięknej Heleny“, ubrawszy się przytem samemu w trykoty i dzwonki.

Na metodę taką w nauce wpadały już dawno niektóre „głębsze umysły“. Oto np. jaki typ uczonego opisuje p. Kramsztyk (*Szkice przyrodnicze*) w osobie Jana Ernesta Eliasza Besslera, który, „jakby mu jeszcze za mało było tych imion“, przybrał piątę Orfyreusa; uczony ten wynalazł mianowicie *perpetuum mobile* (1715 r.) i ogłosił o tem światu całemu pod szumnym tytułem: „Triumphans Perpetuum mobile Orfyreanum“. Wynalazkiem tym zachwycał królów, książąt, landgrafów, a nawet urzędowychuczonych profesorów. Dopiero jakiś mało znany pisarz (naturalnie „niefachowy“, „warchoł“, „nieprzyzwoity“, lubiący tylko „waśnie osobiste“ itp.) przedsięwziął ciężki trud dowiedzenia społeczeństwu, a co najtrudniejsza — „fachowcom“, że to wszystko jest tylko błągą; a musiał na to zużyć wiele argumentów: Po pierwsze — mówi on — Orfyreus jest głupiec (ten argument jeszcze nie wystarczał), po drugie niepodobna, aby głupiec mógł wynaleźć to, czego tylu mądrych ludzi napróżno poszukiwało, po trzecie nie wierzę w niemożliwości, po czwarte itd... Wszystkie jednak argumenty nie zdołały zachwiać sławy nabytej przez dobrą „metodę“.

na wielkość; wszystko to jest rezultatem moich długoletnich obserwacji, zbiorem, z automatyczną wiernością i pietyzmem spisywanych objawów, z którymi się spotykałem; powstało na drodze jaknajzupełniej empirycznej.

Ale porzućmy obczyznę, oraz przeszłość i dla uilustrowania tej metody zwróćmy się znów do naszych stosunków; przypatrzmy się podobnie doskonałemu na polu naukowem typowi, jak Kawałekiewicz na polu literatury nadobnej. Oto na przykład, w jaki sposób poczyną sobie taki „metodolog“, jak dajmy na to, bo „nomen est omen“, doctor es sciences Letkiewicz Łap Cap de Blagieradzki. Przedewszystkiem, ażeby chwyoić za serce rodaków (nie krzywdząc jednak bynajmniej siebie), dowiódłby on, że w jakichś górach krajowych w czasie epoki lodowej rosły gruszki na wierzbach i że jemu należy zaszczyt pierwszego odkrywcy ich śladów. Dobrze jest przytem na szczycie tych gór wypić ze wspaniałego puharu zdrowie krajowej płci pięknej, co w osobnej korespondencyi powinno być zaznaczone.

Rozpocząwszy w ten sposób swą karierę, uczony nasz puszcza się na szersze przedsięwzięcia: wyjeżdża „za ocean“ i to jak wyjeżdża; trzeba bowiem umieć wyjeżdżać za ocean *metodycznie*. Dr. Blagieradzki przedewszystkiem oznajmia to całemu narodowi w osobnym telegramie, zwróconym do zjazdów naukowych; telegram ten przechodzi za pomocą takiej rozumnej manipulacyi do wszystkich sprawozdań ze zjazdów, figuruje we wszystkich gazetach. Przytem „metodolog“ nie wyjeżdża nigdy jako prosty żołnierz, lecz jako „wódz wyprawy naukowej“. Nie dziw też, że w wyprawie takiej może on odkryć wielce nową prawdę antropologiczną, iż „arcyksiężę austryacki nie jest osobistością identyczną z *rodowitymi* Japończykami“. Co do miejsca „badań“, zależy to naturalnie od okoliczności, na który kraj, lub część świata, jest zwrócona

głównie w danej chwili uwaga ogółu; *ceteris paribus* jednak dobrze jest obrać sobie wyspy Oceanii, gdzie tak wdzięczne pole dla głębokich badań otwierało się zawsze od czasów Coocka podróżnikom, zwłaszcza młodemu. Stamtąd trzeba palić telegramy i sypać korespondencye tej mniej więcej treści:

Dan w Honolulu roku pańskiego...

Z polecenia królowej Kama Kacha Liliuokalaui zwiedzałem kraj w towarzystwie ministra robót publicznych i innych dostojników państwa Sandwichskiego; w pięknie na moje przybycie przystrojonej willi spożywaliliśmy wyborne śniadanie w dobranem i wesołem towarzystwie; perlącym się szampanem piliśmy zdrowie dwóch bratnich ludów, polskiego i — sandwichskiego, oraz zdrowie pięknych cór Oceanii, które towarzyszyły nam w swych wdzięcznych narodowych strojach, składających się wyłącznie z kwiatów. W tem jakby grom z pogodnego nieba uderzył nas telegram królowej, wzywający do powrotu z powodu rewolucyi w Honolulu. Zrywamy się natychmiast, oglądamy swe rewolwery, są jeszcze w dobrym stanie; nadobne twarzyczki ognistych cór południa żegnają nas ze smutkiem i trwogą, pędzimy jak wichher osobnym pociągiem dla nas przeznaczonym. Lotem błyskawicy przybywamy do Honolulu; na wieść o mojem przybyciu kupy warchołów umknęły, porządek został w zupełności przywrócony. Królowa dziękowała nam ze łzami w swych pięknych oczach i w nagrodę obdarzyła nas najwyższym urzędem i orderem swego państwa.

Zaprowadziwszy porządek w Honolulu, powracam za kilka dni do Europy, aby nauką i zaszczy-

tami, zdobytymi za oceanem, podzielić się z moimi kochanymi rodakami¹⁾

Podpisano: Dr. es sciences Letkiewicz Łap Cap de Blagieradzki, wielki kanclerz królowej Kama Kacha Liliuokalaui, kawaler orderu Wielkiego Rekina (na wstędze).

Dobrze też bywa w czasie takiej podróży spotkać gdzieś wśród puszczy zwrotnikowych jakiego kolonistę z Psiej Wólki, który dotąd pija codzień swojską żubrówkę i co rok jeździ do spowiedzi o setki mil do księdza jak gołąb staruszcza — też z Psiej Wólki.

To się nazywa u nas metoda, a nie jakieś tam ślęczenie nad zdobyciem wiedzy przez długie lata i troszczenie się w pracach o to, aby każde napisane zdanie miało sens i było prawdą.

Nadaremnie jakiś, „niefachowy,“ lubiący tylko „waśnie osobiste,“ chciałby dowodzić, że nasz „młody i sympatyczny“ uczonek nie mógł znaleźć śladów gruszek na wierzbie w epoce lodowej, albowiem: po

¹⁾ I to znów nie jest bynajmniej wytworem mej fantazy: jest to prawie dosłowne powtórzenie listu pewnej naszej wysokiej w danym kierunku powagi pisanego do „Czasu“, a powtórnego, jako rzecz znakomita, przez „Kraj“ (zmieniliśmy tylko miejscowość). Wogóle cały nasz artykuł niech czytelnik uważa jako kompilatorski zbiór wskazówek „metodycznych“, zaczerpniętych od najznakomitszych powag, jako pewnego rodzaju Vademecum dla chcących zostać u nas wielkimi. Że np. wyżej podana metoda wyjazdu za ocean i gruszek na wierzbie jest wyborna, to najlepszym dowodem jest karyera jej autora, który, nie będąc w stanie nawet spolszczyć podręcznika szkolnego bez popełnienia mnóstwa błędów i sprzeczności, niemniej jednak osiągnął najwyższe zaszczyty i stanowiska naukowe. „Metoda“ więc jest w praktyce zupełnie wypróbowana.

pierwsze uczony nasz jest Orfyreus, po drugie gruszki nie mogą rosnać na wierzbie, po trzecie wierzby nie mogą rosnać na lodzie, po czwarte itd.

Nadaremnie powoływalibyśmy się na to, iż odkrycie, że Niemcy należą do innej rasy niż Japończycy, było już znane nieco dawniej.

Nadaremnie ktoś chciałby wykazywać, że familiarność z ministrami honolulujskimi, piękne twarzyczki honolulek, oglądanie swego rewolwera, poskramianie rewolucyi i t. d. są to wszystko marne efekty, błaga najgrubszego gatunku, przypominająca bufonadę czwartoklasistów po powrocie z wakacyi.

Nadaremnie wreszcie dowodzilibyśmy, że takie bezustanne i wierne rżnięcie żubrówki i tym podobnych swojskich napitków nie orzeka bynajmniej o żywotności etnicznej i jest na rękę tylko propinatorom rozmaitego gatunku.

Nadaremnie! — nasz Orfyreus, dzięki swej dobrej „metodzie“, pozostanie zawsze „naszym dzielnym uczonym“. Co najwyżej, jeżeli po tych wszystkich dowodach przyjaciele i kondotyeryzy zaczną przed tymi epitetami dodawać „bądź co bądź“; będzie on więc teraz „nasz bądź co bądź dzielny uczony“. To klasyczne „bądź co bądź“ usuwa za jednym zamachem wszelkie argumenty, dowodzące najniezbiciej, że uczoność „naszego dzielnego“ jest tylko błagą. Żadne dowody, żadna siła ludzka, nie są w stanie zawrócić stada panurgowego, gdy już raz zostało popchnięte w pewnym kierunku.

Ponieważ doścignięcie wielkości na polu naukowem, jako mniej wdzięcznem, jest trudniejsze, niż na belletrystycznym, więc podczas gdy metoda Kawał-

kiewiczza jest jedyną, a on sam — doskonałym typem, mistrzem, do którego każdy z młodych adeptów literatury nadobnej stara się mniej lub więcej zbliżyć, to na polu naukowym jest parę metod, parę typów; przypatrzmy się jeszcze niektórym.

Oto n. p. taki dr. Kapłański, nie zadaje sobie bynajmniej trudu śledzenia za rozwojem wiedzy; czego się nauczył przed laty może trzydziestu, tem wciąż wojuje, a ponieważ nie zużywa sił na pracę umysłową, więc posiada duży zapas energii niewyżyczonej, to jest dużą swadę i butę; krzyczy głośno, tupie nogą i wymyśla na wszystkich, szczególnie na „niedojrzałych“ (tj. takich, którzy, nie pojmując jego „metody“, śledzą za rozwojem wiedzy). Tym sposobem udaje mu się ludzi zahukać; jest on członkiem wielu redakcyi, należy do różnych komisji i za te zajęcia każe się dobrze honorować. Ta metoda jest już nieco gorsza, albowiem buta może się ludziom wreszcie uprzykrzyć; a przytem „metodolog“, uniesiony nią, zatracą samoocenę, zbytńio lekceważy przeciwników, zbytńio się naraża i tym sposobem, zbierając pewien czas laury, musi wreszcie kark skręcić.

Typ Kapłańskiego ma formalnie coś z zacięcia Bismarka, tylko brak mu, niestety, odpowiedniej siły; typ ten nazwano też słusznie „kapitanem rotty“.

Jeszcze jedna metoda, używana szczególnie w Galicyi, polega mianowicie na tem, że, będąc jeszcze na uniwersytecie, metodolog zaskarbia sobie względy jakiegoś wpływowego profesora, który opiekuje się za to swym pupilem. Oto taki np. dr. Biały, który, dla nadania sobie cenionego w Galicyi rodowego splendoru, dodaje czasem do swego nazwi-

ska pewne przydomki niemieckie tak, iż całe jego nazwisko brzmi pięknie: Dr. Weiss von Weissenberg Biały: zajmował się przez pewien czas jakimś przedmiotem, naturalnie najbardziej w Galicyi cenionym, ale w tym kierunku wypromować go było trudno: ogólny sąd o nim brzmiał jak sąd owego pułkownika o Bartku Zwycięzcy, gdy Steinmetz chciał go wypromować na podoficera; promotorzy więc naszego metodologa kazali mu się wyuczyć innego przedmiotu, który, jak sądzili, mniej wymaga rozumu. No i tym sposobem dr. Weiss von Weissenberg został c. k. przysięgłym urzędnikiem od nauki, którego obowiązkiem jest robić wypisy z książek zagranicznych oraz wykazywać różne nowe i głębokie prawdy, jak np., że kolejami się prędko jeździ, że korki wynaleziono po wynalezieniu butelek, że upał w lecie jest większy, niż w zimie, że woda pod wpływem ciepła paruje itd. itd. To też, dumny ze swego tak wysokiego stanowiska urzędowego, gromi on z wysokości mandaryńskiego fotelu i to bez dowodów (albowiem „zbyt na to ceni czas“), gdy tylko ktoś z po za granic Galicyi ośmieli się wkroczyć na pole jego specjalności, nie posiadając c. k. marki. — Istny finanswach galicyjski, konfiskujący tytoń i wódkę, nie posiadające austriackiej banderoli!

Dr. Weiss przypomina nieco typ dra Kapłańskiego, tylko, że gdy ten ostatni czerpie swą zarozumiałość w pewnej bismarkowskiej swadzie, w temperamencie, w swoim ja, to pierwszy — jedynie w swem c. k. urzędowym stanowisku.

Wreszcie do metod zaliczyć też należy żeniaczkę z bogatymi starymi pannami wysokiego rodu, praktykowaną szczególnie w Galicyi; metoda ta prowadzi

też szybko do stanowisk i zaszczytów, jest jednak, że tak powiem, nieco niehygieniczna. Kto więc chce jej używać, powinien się dobrze obrachować z siłami, oraz polecić opiece Matki Boskiej.

Charakterystyczną cechą wszystkich „metodystów“ jest cześć dla stanowisk nominalnych i tytułów naukowych (bo one są murem obronnym dla wszelkiej głupoty i chronią ją od zaniku, są pancernem w walce o byt z ludźmi prawdziwej nauki), dalej wstręt do wszelkich sporów naukowych i polemik, (w świetle których ich głupota mogłaby się zbyt jaskrawo przedstawić), do wszelkiej nowej myśli, walczącej ze starym porządkiem: „dopiero, gdy ta myśl zwycięży, biorą jej stronę przeciwko dalszej ewolucji“; mają instynkty, które Lapouge nazywa „trzedowemi“.

Kwintesencya „metod“ na tem polega, aby wprowadzić w pole społeczeństwo i za pomocą minimalnego zużycia sił, nie dając społeczeństwu nic prawie, a nawet przynosząc mu fałszywymi produktami szkodę, otrzymać od niego maximum dóbr materialnych i moralnych. Metodysci więc są to jednostki, które społeczeństwo powinno ścigać zarówno jak wszelkie pijawki społeczne. Ale że krytyczny zmysł społeczeństwa jest jeszcze bardzo mało rozwinięty, więc „metodyści“ jeszcze długo zbierać będą laury, panować; długo jeszcze zamiast sami uleść prześladowaniu, oni tytułarną powagą i środkami materialnymi będą prześladowali pracowników cichych i sumiennych, którzy poświęcili swe życie dla pewnej idei i są przez to solą w oku, widomym wyrzutem, dla metodystów. A niechże jeszcze który z tych skromnych pracowników zajmie się jakimś przedmiotem niemitym, nie-

przyzwyczajonym, albo niech będzie tak niegrzeczny i źle wychowany, że potrącony osłem kopytem Letkiewiczów, Weissów, Kapłańskich *et tutti quanti*, odeprze ich napaść, dowiedzie im braku nauki i etyki; wtedy naturalnie podlegnie formalnej nagance, albowiem patentowani uczeni, metodyści, filistry, drzemiący na synekurach, lękają się zawsze, „gdy pośród tłumu błysnie w ogniach twarz człowieka“: podrywa to ich chińską powagę, zmusza do śledzenia za postępami wiedzy, zamiast spokojnego „dojrzałego“ przeżuwania rzeczy odwiecznych. Będą więc, oparci na swej nominalnej powadze, wśród wydawców rozsiewać wiadomości, że takiemu pracownikowi „brak podstaw naukowych“; będą starali się zabić go moralnie za pomocą stronnych, niesumiennych krytyk, na które nie przyjmą odpowiedzi, i tym sposobem zmusić do wyniesienia się z kraju lub ugięcia karku. Stąd to tak częsty u nas *typ człowieka-ruiny*, stanowiący nieraz pośmiewisko dla ludzi przeciętnych, filistrów, którzy się ani domyślają, co się pod temi ruinami kryje, jaka jest ich przeszłość, jakie koleje. Dopiero głęboki znawca serca i duszy ludzkiej z jednego przelotnego spojrzenia, gorzkiego uśmiechu, z jednej myśli, błyskającej niekiedy z pod śmiertelnego całunu apatyi, z rozpaczliwej chwilowej energii, zwykle nieoczekiwanej, zrozumie czem był taki człowiek, czem mógłby być zostać. — Tak uczony podróżnik, stojąc wśród mchem lub pyłem pokrytych odwiecznych ruin, po których drapieżny syn pustyni, niewolniczy fellach lub obojętny potomek Inkasów, depcą bezmyślnie, potrafi z ułamka muru, z nawpół zatartego napisu, poznać i odtworzyć tę budowę, co niegdyś wznosiła się dum-

nie ku obłokom, zanim zębem czasu, ręką złych ludzi lub kulami wroga została strącona wdół!...

Na szczęście wśród tej garstki pracowników, wzrosłych w ciągłej ciężkiej walce, zmuszonych do ciągłego stawiania czoła wszystkiemu, do przewycięzania wszelkich bólów i trosk z milczącą pogardą i zaciśniętymi ustami, zdarzają się *natury żywiołowe*, których nie zniszczyć nie może, ani ugiąć ich żelaznego karku, choć godzi na nich zewnątrz koalicja filisteryi, zawiści i więzów społecznych, choć wewnątrz szarpie ich hydra Vandei; hydra walk między pragnieniami wszechstronnego ducha i obowiązkami kół machiny społecznej, między uczuciem i rozumem, teorią i praktyką, dumą życiową i dumą twórczości; choć wszystko, co ich otacza, co może być podporą, otuchą, rozsypuje się w gruzy. Ludzie ci mogą bez przesady mówić o sobie z poetą: „i jakąś dumą drży moja warga, że w tych płomieniach nie ginę“. Gdy się patrzy na nich, przypominają się słowa, jakie pewien wódz floty wypowiedział, donosząc swej władzy o niepokonalnym nieprzyjacielu: „nie pojmuję, co za ludzi oni mają; cała wyspa stoi w płomieniach, wszystkie ich forty zamieniłem w gruzy, a jednak nie zdołałem wyprzeć wroga z jego stanowisk“.

Jako bojownicy w literaturze, ludzie ci przedstawiają trzy typy, trzy metody walki: jedni, z usposobieniem bardzo wrażliwym, intuicyjnym, z poetyckim porywem, heinowskiego typu, są w walce literackiej jak owi świetni wodzowie kawaleryi, co trawieni gorączką boju, gnani świętością sprawy, walczą pełnymi brawury, nieraz zbyt drogo kosztującymi, nieobliczonymi atakami. Drudzy, rozważni, walczą

powoli, spokojnie, niepostrzeżenie; nie narażając się zbyt, z dobrodusznym niemal uśmiechem podkopują się oni pod fortecę przesądów i podłości i tworzą bezdenną otchłań ironii, w którą forteca zapada się bez śladu. Trzeci nakoniec podsuwają się pod fortecę krokiem miarowym, pewnym, matematycznie obliczonym; nigdy nie zajmą pozycji takiej, z której mogliby być zepchnięci. Zbliżywszy się z pogardą nieprzyjaciela pod same jego szanice, zataczają działa najcięższego kalibru na zajęte pozycje, i nagle ze wszystkich swych redut otwierają ogień krzyżowy na jeden punkt nieprzyjacielskiej twierdzy, który musi pęknąć, choćby był ze stali. Ideałem jest połączenie szybkości środków metody pierwszej z pewnością rezultatów trzeciej.

Lecz bojowników takich jest niestety drobna garstka, więc chociaż sami się nie ugną, czyż potrafią jednak pokonać całą filisterską tłuszcę, czyż głos ich nie przebrzmi niedosłyszany wśród ryku tego stada, wśród skrzeczenia tych żab?

W każdym razie długo jeszcze nad naszym bagnem umysłowo-społecznem unosić się będą, „tańcząc lekko“, zadowoleni z siebie, filisterscy, z „buzią jak malina“, Kawałkiewicz, oraz arogancko „wspaniałomyślni“ Blagieradscy; długo kroczyć będą poważnie w czapce c. k. finanswacha, ze sztywnością mandaryńską, Weiss von Weissenbergowie; długo stąpać hardo z zadartymi karkami w pikelhaubach Kapłańscy. Podczas gdy prawdziwi pracownicy nauki — ludzie idei, długo jeszcze dusić się będą w tem bagnie, lub widząc daremność walk i zabiegów, wydostawać się będą na twardsze brzegi okoliczne, by już nigdy do

bagna nie wrócić. To też drogą takiego wybrakowania, bagno staje się coraz wyłączniejszą dziedziną fauny typowej, bagniskowej, zupełnie przystosowanej — wszystko, zdaje się, co przedstawia stadium wyższe nad płazy, ginie albo uchodzi.

Zdaje się, nie pojmujemy tej prawdy, że stosunek między wielkością pogrążenia i dostrzegalności pierwszych i drugich z wyżej przeciwstawionych grup, stosunek między stopniami ich moralnego powodzenia wśród społeczeństwa, jest probierzem siły organizmu społecznego; jest miarą jego zdrowia i rozwoju lub zgangrenowania i zaniku.

Epizod z rugów polskich ¹⁾

„Et haec meminisse juvabit.“



Przed dwoma laty radosne fanfary naszych pism obwieściły światu, że „Przegląd Pedagogiczny“, redagowany dotąd przez p. J. W. Dawida, przeszedł pod nową redakcją, p. W. Skrzetuskiego, i że przeto należy się spodziewać większego, niż dotąd, ożywienia pisma i gruntowniejszego traktowania, zwłaszcza kwestyi etycznych.

Jeżeli nasza prasa, przepowiadająca na podstawie takich danych pojawienie się nowego światła, stanęła w roli genialnego Le Verriera, który powiedział Neptuna, to ja pozwolę sobie przyjąć w tem odkryciu skromną rolę Gallego, który postarał się istnienie tego światła stwierdzić na drodze empirycznej.

Ponieważ zaś jasność nowego światła ocenioną została przez prasę na tle dawniejszej ciemności, więc zadanie moje sprowadza się do następujących punktów:

1). Wykazać nicość *»Przeglądu Pedagogicznego«* za redakcyi p. Dawida.

2). Wykazać świetność *Przeglądu Ped.* za redakcyi p. Skrzetuskiego.

3). Wykazać, przez porównanie obu rezultatów, wielkość *plusu* po stronie redakcyi p. Skrzetuskiego.

¹⁾ Druk. po raz pierwszy w „Głosie“ 1899 Nr. 41. nast. („Nowy kurs Przeglądu Pedagogicznego“) — Podajemy to również tu, jako ważny dokument historyczny.

4) Wreszcie, po skonstatowaniu i scharakteryzowaniu zjawiska reformy, wykazać, dlaczego ona została podjęta i dlaczego tak radośnie była przez naszą prasę powitana.

I.

P. Dawid redagował *Przegląd* od r. 1890 do połowy roku 1897 włącznie. Zadaniem redakcyi było: 1) powiadamianie naszej publiczności o najnowszych pracach zagranicznych na polu pedagogiki teoretycznej i praktycznej, oraz na polu psychologii i higieny; 2) stosowanie wyników tych prac do praktyki pedagogicznej u nas; i to nietylko przez artykuły dorywcze, ale także przez umieszczenie w „dodatku“ systematycznych kursów różnych nauk dla różnych stopni nauczania.

Ażeby się przekonać, w jaki sposób redakcyja zadanie powyższe spełniała, przyjrzyjmy się, choć pokrótce, artykułom *Przeglądu* i dodatkom.

Większe artykuły *Przeglądu* traktują zwykle kwestye teoretyczne i mają szeroki filozoficzny charakter. Kwestye z praktyki pedagogicznej traktowane są w drobnych artykułach pod tyt. „Z ruchu zagranicznego“ i „Luźne kartki“.

Z pierwszych artykułów w ostatnim roku 1897 (pierwszym półroczu t. j. bezpośrednio przed usunięciem p. Dawida) wymienimy następujące: „Brak woli i jej kształcenie“, krytyka dzieła Payota przez M. Komornicką (nr. 2, 3). Dalej — niezmiernie zajmujący artykuł pod t. „Integralizm“, zawierający cały szereg reformatorskich pomysłów na polu wychowania; mianowicie: wybitni uczeni francuscy i belgijscy, zawią-

zawszy Powszechne Towarzystwo Wychowania Integralnego, opracowali nowy system wychowawczy pod nazwą integralizmu. Głównymi punktami tego systemu są: połączenie wychowania z wykształceniem, wszechstronność, nierozdzielność pracy fizycznej i umysłowej (co stanowi dotkliwy brak we współczesnym systemie wychowania), metoda pozytywna w naukach, koedukacja płci, moralność bez przymusu, rozwijająca instynkta społeczne. Artykuł ten porusza mnóstwo kwestyi i wyrabia krytycyzm względem systemu współczesnego (nr. 2, 3, 4, 5). Artykuł L. Steina, profesora uniwersytetu w Berlinie, p. t. „Pedagogika doświadczalna“; jest to odczyt wygłoszony w rocznicy Pestalozzie'go, zawierający przegląd systematów pedagogicznych od czasów Herbarta, a przytem uzasadnienie nowego kierunku badań nad zagadnieniami pedagogiki, który stanowi „Pedagogika doświadczalna“. W nr. 8 tegoż roku spotykamy artykuł, zawierający charakterystykę „Cudownego dziecka“ przez Stumpfa, profesora filozofii w Berlinie. Artykuły o kwestyi przeciążenia szkolnego w świetle współczesnej psychologii i fizjologii („Kwestya planu szkolnego“ nr. 10, 11) na podstawie broszury Hermana Schillera, jednego z najznakomitszych pedagogów współczesnych, profesora uniwersytetu w Giessen, i Kraepelina, znakomitego psychologa, profesora psychologii w Heidelbergu. Obie broszury zawierają badania psychologiczne nad uwagą i zmęczeniem. Wreszcie w nr. 12 spotykamy artykuł: „Dziwne skojarzenia“ — szczególne zjawisko psychologiczne, opisane przez Flournoy w ostatnim roczniku »*Année Psychologique*«.

Prócz tych większych artykułów, *Przegląd za-*

mieszczą też mniejsze artykuły sprawozdawcze w rubryce p. t. „Z ruchu zagranicznego“ (jak „Szkolnictwo szwajcarskie“ nr. 7 i 8; „Opis politechniki w Berlinie“ nr. 1; „Nowy uniwersytet francuski nr. 11). Jeżeli dodamy do tego w „Luźnych kartkach“ mnóstwo wiadomości z pism europejskich i amerykańskich o psychologii ducha i o nowych projektach nauczania, to otrzymamy doskonały obraz ruchu zagranicznego na polu pedagogiki. Ten sam charakter noszą numery z lat dawniejszych.

W r. 1896 spotykamy przedewszystkiem prace pierwszorzędných sił europejskich, jakie były przedstawione na 3-cim kongresie psychologicznym w Monachium (Flechsiga „O ośrodkach mózgu asocjacyjnych“, Preyera „Z psychologii dziecka“). *Przegląd Pedagogiczny* zamieścił te artykuły wcześniej, niż inne nasze pisma naukowe, gdyż p. Dawid brał czynny udział w tym kongresie: przedstawił swój referat „O wahaniach w rozwoju dziecka“ (jest to część pracy, która była wydrukowana jako dodatek książkowy do *Przeglądu* p. t. „Zasób umysłowy dziecka“). W r. 1895: Paulsena „Na czem polega prawdziwe wykształcenie“; Gide'a „Profesye wyzwolone i praca fizyczna“; Hirtha „Dlaczego jesteśmy roztargnieni“; Queyrata „Abstrakcja w życiu i wychowaniu“; Kraepelina „Zdolność do pracy umysłowej“; Patricka „Psychologia kobiety w świetle nowych faktów i teorii“; Karejewa „Listy do uczącej się młodzieży“; W. Langego (doktora medycyny): „O jednej z przyczyn powolnego lub upośledzonego rozwoju umysłowego“ (odczyt wygłoszony w Kopenhadze na posiedzeniu Tow. Pedagogicznego) itd. Prócz tych większych, widzimy

artykuły w rubryce „Z ruchu zagranicznego“: Wychowanie w Anglii; Wykształcenie zawodowe w Anglii; Literaci i dziennikarze; Gry atletyczne we Francji; Szkoły pracy ręcznej w Filadelfii; Międzynarodowy kongres geograficzny w Londynie. I znów mnóstwo pouczających i ciekawych wiadomości w „Luźnych kartkach“. Materiał z tych trzech lat (inne pomijamy dla braku miejsca) wystarczy chyba czytelnikowi do nabrania pojęcia, czem był *Przegląd* za redakcyi p. Dawida; wystarczy do zrozumienia, że czytelnik ówczesnego *Przeglądu* był stale informowany o wszystkich zdobyczach psychologii i pedagogiki na zachodzie.

Zdobyty tym sposobem materiał naukowy, redakcyja zastosowywała w praktyce do celów naszego społeczeństwa, usiłując tym sposobem wywołać zwrot w opinii publicznej i wstrząsnąć zapleśniałą rutyną. Tak np. agitowała w sprawie reformy gimnastyki, radząc w prowadzenie swobodnych gier dla młodzieży, zachęcając do założenia w Warszawie placów do zabaw. Sprawą tą zajęło się obecnie Towarzystwo Hygieniczne, a w ostatnich tygodniach doczekało się w Warszawie praktycznego urzeczywistnienia¹⁾.

¹⁾ Zgadając się zupełnie na doniosłość gier na świeżem powietrzu, przypuszczam, że krytyka gimnastyki idzie za daleko, zwłaszcza u nas, gdzie ludzie wolą grać w karty, niż się gimnastykować. Jeżeli bowiem gry wyrabiają bardziej samodzielność niż gimnastyka, to ta ostatnia kształci wszechstronniej muskuły; rozwija te, które w grach oraz w życiu mało są rozwijane (np. ruchy rąk w górę, przeginanie się w tył): wprowadza ona do fizycznego chowu człowieka racjonalność i celowość; stanowi pewne ogólne

Drugą sprawą, jaką *Przegląd* wprowadził do naszej praktyki pedagogicznej, jest pismo prostopadłe. W wielu szkołach i w prywatnym nauczaniu zostało ono przeprowadzone, o czym często w listach do redakcyi pisali prenumeratorzy.

Trzecią taką sprawą było naturalne nauczanie języków. Niestety jednak wpływ *Przeglądu* był krótkotrwały, rutyna więc w tym kierunku nie dała się przełamać; dotąd jeszcze praktykuje się zabójcze kucie reguł gramatycznych i tłumaczenie zdań, jakich nigdzieindziej się nie spotyka, prócz podręczników do tego celu przeznaczonych. Dla ułatwienia tej metody praktykom był drukowany w *Przeglądzie*, znakomicie przeprowadzony, kurs języka niemieckiego przez W. Osterloffa.

Wreszcie *Przegląd* poświęcił wiele miejsca sprawie badań nad psychologią dziecka. P. Dawid napisał o tem nawet większą pracę p. t. „Zasób umysłowy dziecka“, która wyszła jako dodatek bezpłatny do *Przeglądu*. W samym zaś *Przeglądzie* pierwszy u nas dał inicjatywę do zbierania obser-

fizyczne wykształcenie, które następnie przy sportach i grach swobodnych znajduje szczególne zastosowanie; przytem przez wykonywanie ćwiczeń na komendę wpływa bardziej na odpoczynek umysłu niż sporty i gry wolne, wymagające większego udziału umysłu. Ja z własnego doświadczenia muszę stwierdzić doniosłe skutki gimnastyki: dała mi ona wielką łatwość nauczania się wszelkich sportów, ułatwiła radzenie sobie w życiu praktycznym (np. w podrózach pieszych), wzmogła w ciągu lat kilku moje siły przeszło w dwójnasób (ze 150 kilogr. na dynamometrze krzyżowym do 375 kgr.); wreszcie każdorazowo po godzinie gimnastyki czułem się zawsze jakby odrodzonym, a przytem skłonniejszym do pracy umysłowej, niż po jakimkolwiek sporcie.

wacyi nad dziećmi, w artykule swym: „Program spostrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem“. W myśl tego programu *Przegląd* umieścił obserwacje A. Szyca i J. Moszczyńskiej. Wyborny też pod tym względem jest artykuł A. Potockiego: „Rok dziecięcy z notatek domowego nauczyciela“.

Prócz powyższych spraw poszczególnych, redakcyja przystosowywała zdobycze wiedzy i reformatorskie dążności zachodu do naszej praktyki pedagogicznej przez dodatki, zawierające systematyczne kursy nauk na różnych stopniach nauczania.

Tak już w pierwszym roku objęcia redakcyi przez p. Dawida w r. 1890 *Przegląd* ogłasza wydawnictwo metodycznego kursu nauk w zakresie pierwszych lat nauczania. Opracowanie poszczególnych przedmiotów redakcyja powierzyła najlepszym naszym siłom naukowym (Dawid, Osterlof, Szyca, Wernic, Sosnowski i Heilpern), dzieląc materiały na lekcyje. W ciągu ośmioletniej redakcyi „kurs metodyczny“ drukuje się dla coraz starszej młodzieży. O ile kurs taki odpowiadał potrzebom dowodzi to, że kursy I i II-gi zostały zupełnie wyczerpane i na nieustanne dopominanie się czytelników trzeba było zrobić powtórne wydanie (i to właśnie w tym roku w którym klika zmusiła Dawida do ustąpienia). „Kurs metodyczny“ wobec braku u nas systematycznego wykształcenia pedagogicznego, jakie dawać powinny seminaryja, a stąd wobec panującej przed tem przestarzałej rutyny w domowem nauczaniu, sprowadził zupełny w tem ostatniem przewrót; stanowi małą epokę.

Obok powyższego kursu dla dzieci starszych, uczących się już systematycznie, redakcyja wprowadziła dla ułatwienia prowadzenia dzieci małych *Ogródek dziecięcy*, który miał również wielkie powodzenie.

Rozszerzając wciąż swą działalność, *Przegląd* w r. 1895 wprowadza *Kurs samokształcenia*. Prąd w kierunku samokształcenia przyjął w Europie zachodniej i Ameryce północnej ogromne rozmiary; u nas pierwszy *Przegląd* podjął to zadanie, zwróciwszy się o współudział do naszych specjalistów (Chmielowski, Dawid, Dikstein, Flaum, Heryng, Jellenta, Kozłowski, Kryński, Krzywicki i niżej podpisany). W szeregu tych kursów wyszła między innymi „Psychologia“ Dawida, „Estetyka“ Jellenty, „Filozofia“ Kozłowskiego itd. Kurs samokształcenia miał ogromne powodzenie; rok 1895, pierwszy rok wydawania kursu, był epoką w istnieniu pisma: podczas gdy przedtem pismo kończyło rok zwykle deficytem 300 — 400 rb., to rok 1895 pokrył koszta i dał nawet pewną *przewyżkę*¹⁾.

Prócz tego od dawniejszego już czasu *Przegląd* dawał bezpłatne dodatki książkowe: za dawniejszej redakcyi p. Łagowskiego wyszły w tych dodatkach: *Nauka rysunków* Flincera, *Algiebra* Tot-huntera (tłom. Kwietniewskiego), *Fizyka* Avery (tłom. Kwietniewskiego), *Geografia rozumowa* Nałkowskiego, *Nauka o rzeczach* J. W. Dawida. Za redakcyi Da-

¹⁾ Za ten rezultat umiejętnej i ciężkiej pracy pana Dawida akcyonariusze złożyli gremialne podziękowanie panu — Dawidowi? — ale gdzież tam — wydawcy i właścicielowi kamienicy, panu Połkotyckiemu!

wida wyszły: dokończenie Nauki o rzeczach, Reformatorzy wychowania przez Quicka (tłomaczone), Zespół umysłowy dziecka p. J. W. Dawida, Wady charakteru dziecięcego p. Scholtza, Zbiór zadań Thomasa, Suggestya w wychowaniu Thomasa.

Obok tych prac praktycznych na większą skalę, *Przegląd* okazał wielką ruchliwość w informowaniu o naszych praktycznych kwestiach bieżących; dowodzą tego artykuły: „W sprawie opieki nad ubogimi dziećmi“; „O potrzebie założenia biblioteki publicznej w Warszawie“ przez J. Szczawińską-Dawid; „W kwestyi języka Polskiego“ p. J. W. Dawida (artykuł o szerszym zakresie); „Pomnik Mickiewicza“; „Gimnazyum żeńskie w Krakowie“; „Gimnazyum żeńskie we Lwowie“ itd. itd.

Jak redakcyja starała się czynić zadość potrzebom swych czytelników, za dowód może też służyć wprowadzenie działu *Poradnika wychowawczego*, w którym redakcyja udzielała porad swym czytelnikom w wypadkach poszczególnych z zakresu pedagogiki, wychowania, higieny.

Prócz tego redakcyja ogłaszała kwestyonaryusze, a ilość nadchodzących odpowiedzi może świadczyć o żywotności kwestyi, poruszanych przez redakcyę. Wymieniamy tu: „Czy i o ile wczesna nauka języków obcych przynosi pożytek“, „O położeniu nauczycielek prywatnych i ich stosunku do rodziców.“ Publiczne omawianie tej kwestyi mogło się przyczynić do polepszenia warunków pracy nauczycielskiej, a redakcyja stała zawsze po stronie pracujących. Kwestyonaryusz „Co na mnie najwięcej w życiu wpłynęło“ miał szczególniejsze powodzenie, wywołał

mnóstwo odpowiedzi, tak że redakcyja mogła drukować tylko najcharakterystyczniejsze. Materiał zgromadzony przez *Przegląd* na ten temat jest niezmiernie pouczający i interesował szerokie koła inteligencji. Wreszcie *Przegląd* z wielką starannością i bezstronnością prowadził rubrykę p. t. „Kronika wydawnictw,” w której dawał ocenę książek pedagogicznych i z pedagogią związanych.

Redakcyja, pragnąc przyjść w pomoc naszym nauczycielkom w poszukiwaniu pracy, jako też i rodzicom — w znalezieniu odpowiednich wychowawców, oraz usunąć kosztowne i niemoralne pośrednictwo kantorów, urządziła u siebie pośrednictwo pracy, zamieszczając oferty obu stron bezpłatnie. Mnóstwo nauczycieli i nauczycielek korzystało z tego pośrednictwa. Redakcyja i tu starała się o uzyskanie lepszych warunków dla uciążliwej pracy pedagogicznej i bywała nieraz sędzią stron obu, które się do niej z całym zaufaniem zwracały. Lokal redakcyi stał się miejscem, gdzie wychowawcy i nauczyciele znajdowali zawsze gotowe rady, oraz wskazówki co do podręczników naukowych i książek do czytania.

Plan powyższy, a w znacznej części i jego wypełnienie były dziełem p. Dawida, który przez lat 8 wkładał w *Przegląd* cały swój czas, całe siły, całą duszę. W nagrodę za to został usunięty od redakcyi. Nie dziw też, że wiadomość o tym brutalnym czynie dawni prenumeratorowie przyjęli z oburzeniem, wyrażonem w licznych listach do redakcyi.

Sprawiedliwość każe wreszcie zaznaczyć tu, że wielką pomocą w tej różnorodnej pracy około *Przeglądu* była dla p. Dawida jego żona, autorka wielu śmia-

łych i wybornych artykułów w tem piśmie, pełna zapału nauczycielka, indywidualność o niespożytej energii, wielce zasłużona na polu ruchu umysłowego u nas. Naturalnie, iż za to zyskała ona sobie też nienawiść wielu dusz filisterskich. Filistrom się zdaje, że ponieważ jeden z nich zrobił dobre interesy na przedsiębiorstwie restauracyjno-pedagogicznem, drugi — na zdzieraniu lokatorów, trzeci — na synekurze, czwarty — na schlebaniu możliwym, piąty — na prostytucyi literackiej, szósty — na bogatym urodzeniu, siódmy — na takimże ożenku — to wszyscy oni mają prawo stroić się w togi i wydawać sądy o jednostce, która, poświęciwszy wszystkie swe siły, całe swe życie, idei, nie zdołała jak oni uciuć groszy. — W ten to sposób, przez takich ludzi, powstaje u nas „opinia“, która dąży do wybrakowania jednostek najlepszych przez paraliżowanie ich działalności, podrywanie bytu, obrzucanie błotem.

Do jakiego stopnia doszło postępowanie z Dawidem, niech posłuży za dowód to, iż po usunięciu go od redakcyi, gdy spostrzeżono się, iż trudno będzie dać sobie rady bez niego, p. Górski proponował mu miejsce subalterna — sekretarza redakcyi; praca tego sekretarza miała być ta sama, co redaktora, z tą różnicą, że wszystko, co robił, miał on przedstawiać komitetowi i zapisywać protokolarnie rozporządzenia tegoż; nawet listów nie dozwolono pisywać p. Dawidowi bez poprzedniego przedstawienia ich do skorygowania komitetowi! Za tę pracę, pochłaniającą cały czas człowieka, ofiarowywano mu 25 rubli miesięcznie!

II.

Widzieliśmy, jak wybornem pismem był *Przegląd* za p. Dawida, mimo to nowa redakcyja usunęła go i postanowiła uczynić to pismo lepszem, a więc czemś nadzwyczajnem, jakimś *Ueber-Przeglądem*. Zobaczymy, na czem polegają reformy, ulepszenia, nowej redakcyi, zmierzające ku tak wielkiemu celowi.

1) Pierwszem ulepszeniem była, wraz ze zmianą redaktora, zmiana komitetu redakcyjnego. Wraz z Dawidem usunięto Wernica, zasłużonego autora mnóstwa dzieł pedagogicznych, p. Weryho, popularyzatorkę metody Froebła u nas, również autorkę wielu książek pedagogicznych i książek dla młodzieży, Osterlofa, autora wielu artykułów metodycznych w dawnym *Przeglądzie*, jednego z autorów „kursu metodycznego“ itd.¹⁾ Usunięto też na razie Szcównę i tylko pod pewnym naciskiem utrzymano ją nadal. Zamiast tych pierwszorzędných sił pedagogicznych, spotykamy w nowym składzie redakcyi wiele imion bądź nieznaných zupełnie, bądź przynajmniej nieznaných na polu pedagogiki.

I tak, p. Skrzetuski, który ma stanowić „ule-

¹⁾ Usunięcie niżej podpisanego nie jest dziełem nowej redakcyi, gdyż ja sam posłyszawszy o różnych knowaniach p. Górskiego *et consortes* przeciw Dawidowi, napisałem do tegoż list, oświadczający, iż w razie usunięcia jego od redakcyi, ja także cofam całkowicie mój udział. O usunięcie więc mnie nie mam żadnej pretensyi do redakcyi nowej, owszem pretensyę mam tylko o to, iż wymienia nadal moje nazwisko wśród autorów „kursu samokształcenia“, gdyż ja współpracownictwo moje przyrzekłem Dawidowi, a dla nowej redakcyi, jako wzrosłej na gruncie aktu krzyczącej niesprawiedliwości, ani jednej litery nie mam i nie miałem zamiaru napisać.

pszenie“ wobec Dawida, jest o tyle znany w literaturze, iż nazwiskiem tem opatrzył swego bohatera p. Sienkiewicz w jednej ze swych licznych, a „sympatycznych“ powieści. Mieć nazwisko tak sympatyczne jest to naturalnie kolosalna wyższość wobec Dawida. Zresztą p. Skrzetuski, jest tylko strohmanem; za jego plecami ukrywa się rzeczywista „dusza“ nowego *Przełądu* — p. Górski, przedsiębiorca zakładu pedagogicznego-restauracyjnego, znany też w literaturze jedynie, jako bohater noweli Dygasińskiego, zresztą już nieco mniej „sympatyczny“. Za to wprawdzie p. Górski wnosi do *Przełądu* wielkie zdolności administracyjno-przedsiębiorcze: znany on jest np. ze sprytu, z jakim potrafi wybrnąć z położenia, gdy nauczyciele oburzeni jego postępowaniem, postanawiają gremialnie opuścić jego szkołę.

Nowa redakcja chciała, zdaje się, uzasadnić swoją nowość przez wprowadzenie niektórych sił młodych, wolnych jednak od grzechów młodości, np. p. I. Chrzanowskiego, który rozpoczął swą karierę literacką od *Słowa* i zasiadł tak młodo wśród bogów Olimpu, t. j. w komitecie kasy Mianowskiego. Zresztą na polu literatury pedagogicznej pan Chrzanowski zupełnie nie jest znany i tylko na polu praktyki zdobył sobie duże powodzenie.

P. Król jest wprawdzie znany jako autor względnie najlepszego podręcznika szkolnego do „Historii literatury polskiej“ (napisanego wraz z Nitowskim); p. Korzon — jako poważny i zasłużony badacz historyczny; ale wśród nowego składu nie spotykamy, prócz p. Łagowskiego, ani jednego właściwego pedagoga, (p. Szybczyński, jako przeforsowana pozostałość z redakcyi

dawnej nie może być policzona do kategorii „ulepszeń“ redakcyi nowej); tym mniej — ani jednego psychologa, któryby mógł zastąpić Dawida; a więc mamy nową pedagogikę, ulepszoną — bez psychologii!

2) Drugiem „ulepszeniem“ nowej redakcyi, która zapowiedziała z większenie się ruchu pedagogicznego, było zmniejszenie objętości *Przeglądu*, a to w sposób dyplomatyczny: przez wprowadzenie interlinii i usunięcie petitu, którym dawniej była drukowana „kronika wydawnictw“ i ogłoszenia nauczycielskie. Wskutek takiej „ulepszającej“ manipulacji, każdy numer został zmniejszony średnio o 250 wierszy, co stanowi rocznie 6.000 wierszy. Tak więc prenumeratorzy nowego *Przeglądu* otrzymują za te same pieniądze rocznie o 3 numery mniej: zapewne nowa redakcyja kieruje się zasadą pedagogiczną, że dobrych rzeczy trzeba dawać mało!

3) Trzeciem „ulepszeniem“ jest zniesienie dodatków książkowych. Oszczędność ta była zaprowadzona w imię „obsługiwania czytelników swoich żwawiej“. W stylu tym czuć inspirację przedsiębiorcy restauracyjno pedagogicznego; styl ten jest zresztą „sympatyczny“, taneczno-piosneczkowy: „Żwawiej chłopcy, dalej żywo, będzie wódka, będzie piwo“ itd. Dość jednego wyrazu, by poznać „nowy duch“: *ex ungue leonem!*

4) Czwartem „ulepszeniem“ było usunięcie dodatków dawnego *Przeglądu*, t. j. kursu samokształcenia, metodycznego kursu nauk i ogródka dziecięcego. Dopiero później na skutek niezadowolenia czytelników z tego „ulepszenia“ nowa redakcyja zaczęła przywracać to, co z poprzedniej redakcyi odrzuciła.

5) Piątem „ulepszeniem“ było usunięcie „Kwestyonaryuszów“, gdyż nowa „żwawa“ redakcyja nie miała — czasu do stawiania kwestyi.

6) Wraz z powyższemi „ulepszeniami“ formalnemi, zmienił się też naturalnie, „ulepszył“, „umoralnił“ duch redakcyi: zamiast ducha p. Dawida, zapanował, przeniknął redakcyę duch p. Woj—skiego. Zaczęły się pojawiać jego artykuły etyczne (i kilku nowych pokrewnych mu współpracowników), które za dawnej redakcyi byłyby niemożliwe. Ton tych artykułów banalny, pospolity, kumoszkowaty, „żwawy“, niezmiernie przypomina naszą sympatyczną *Rolę*.

Nie będziemy tu naturalnie szczegółowo rozbięrali tych artykułów, dość dla charakterystyki przytoczyć kilka punktów.

P. Woj—ski odkrył nową prawdę etyczną, mianowicie, że sprawiedliwość jest w szkole potrzebna, i szeroko tę prawdę uzasadnia — bah! ja odkryłem jeszcze nowszą prawdę: Bona umarła! Sprawiedliwość zaś dla tego jest, według p. Woj—skiego, w szkole potrzebna, ponieważ „sprawiedliwość w szkole jest podwaliną spokoju społecznego“. „Prawda“ ta, tak się p. W. podobała, że wziął ją za motto do swego drugiego artykułu. Naturalnie: spokój, stagnacyja to bagno, a niektóre twory żyć i prosperować mogą tylko w bagnie. Ponieważ jednak bagno nie jest wcale ideałem ludzkości, więc gdyby sprawiedliwość w szkole była podwaliną spokoju, to byłaby niepotrzebną, nawet zgubną; ale na szczęście jest ona naodwrot: podwaliną ruchu społecznego. W szkole sprawiedliwość jest łatwą do osiągnięcia: dość, aby przewodniczący szkoły był człowiekiem, a nie przed-

siębiorcą-restauratorem, by zasady „uwzględniania indywidualności ucznia“ nie zużytkowywał dla forytowania pensjonarzy, by potrafił dobrać sobie nauczycieli: też ludzi o umyśle szerokim, a nie powolne narzędzia. W życiu o sprawiedliwość trudniej, życie jest bardziej skomplikowane, w niem ścierają się najrozmaitsze siły i interesy. Otóż gdy człowiek przywyknie w szkole do sprawiedliwości, to wszedłszy w życie i tam spotkawszy niesprawiedliwość, będzie na nią bardziej wrażliwy, bardziej skłonny do oburzenia, bardziej zdolny do walki w celu jej obalenia i tym sposobem stanie się czynnikiem ruchu społecznego ku wyższemu poziomowi etycznemu. Inaczej byłoby, gdyby już w szkole przywykł do niesprawiedliwości, uważał ją za stan normalny, zdemoralizował się, stępił — umiłowal „spokój społeczny“.

P. Woj—ski radzi ludziom mieć jak najwięcej dzieci (przedsiębiorcy szkolni są w tem zarówno interesowani, jak akuszerki), bo „dla dobra dzieci“ ileż to ludzie już — świństw narobili. To też słusznie sądzi p. W., że „społeczeństwo złożone z samych ojców i matek, skłonniejszeby było do wszelkich ustępstw“. Naturalnie: kto miewa zatargi z nauczycielami, ten umie cenić „skłonność do ustępstw“ i wie, że nauczyciel, obarczony dziećmi, łatwiejszy będzie do powodowania. W kwestyi tej p. W., radzącej się go naiwnej nauczycielce, która się spostrzegła, że warunek karzący, przez nią postawiony, był nieproporcjonalny do winy, mówi, że „warunek raz postawiony cofniętym być nie mógł“ — coś jak francuski sztab generalny w sprawie Dreyfusa! Ale koroną rad etycznych p. W. jest, aby dzieciaka, który okrada

babkę, umoralnić w ten sposób, iżby „jego ręką składać podczas mszy świętej ofiarę na tacy“. To jest właśnie owe, pożądane przez prasę, „gruntowniejsze traktowanie kwestyi etycznych!“ Jedynym pozytywnym rezultatem takiej metody byłoby przejście pieniędzy z kieszeni niewinnej babki na tacę. Ażeby jednak ten pozytywny rezultat, bezwątpienia pożądany dla p. W., był zupełnie pewny, trzebaby (w myśl przymusowej moralności p. W.) jeszcze wiązać dziecku rękę lewą, bo nużby, kierując się zasadą, że lewica nie powinna wiedzieć, co robi prawica, ściągało lewą rękę więcej pieniędzy z tacy, niż położyło prawą.

Ale żart na stronę. Więc p. W. chce w ten mechaniczny sposób umoralniać? Ależ bandyta włoski składa ofiary przed ołtarzem, aby mógł więcej narażować; a zresztą po cóż tu bandytów włoskich — iluż to kamieniczników, przedsiębiorców, lichwiarzy, grabieżców, złodziei, zebrawszy krocie, kładzie drobną cząstkę na „tacy“ dobra publicznego i zyskuje za to sławę filantropów, dobroczyńców — ba, zyskuje władzę nad duszami ludzi. Jeżeli takie rezultaty „moralne“ chcemy osiągnąć, to korzystajmy z etycznych rad pana W.

Naturalnie, że taki nowy „żwawy duch“ *Prze-glądu* musi się wyrazić niechęcią do ducha zachodu, nauki zachodu. Tenże p. W. twierdzi, że dla nauczyciela niczem jest znawstwo psychologii, pedagogiki, nauki — jeżeli nie „odbył praktyki“ (zwłaszcza pod światłem i umoralniającem, za pomocą „tacy“, kierownictwem p. Woj—skiego).

Inny autor napada w nowym *Przeglądzie* na literaturę zachodu, podnosząc naszą, jako wyższą

czystsza moralnie. O tak: my jesteśmy najmoralniejsi, a kto to twierdzi? — my! Każdy barbarzyńca uważa siebie za moralniejszego od narodu cywilizacyjnie wyższego: Chińczyk uważa się za członka najwyższego narodu na świecie, Buszman, mieszkający w jaskiniach, stworzonych przez Boga, uważa się za moralniejszego od sąsiada Murzyna, który jest heretykiem, bo sam sobie buduje chaty itd. Ależ my rzeczywiście dziś w dobie burżuazyjnej przodujemy innym narodom. Nasi artyści są ulubieńcami cesarza Wilhelma, nasi uczeni — „ukochanymi synami papieża“, nasi powieściopisarze popłacają w całej „dobrze myślącej“ Europie, a nasze kobiety — aż w Argentynie! Nasza literatura, sienkiewiczowska, jest tak „moralna“, że tłómaczą ją obecnie na wszystkie języki, by nią umoralniać wszystkie narody. Tak, cieszymy się z tego „zaszczytu“, cieszymy się póki czas, bo wobec surowego sądu przyszłości „zaszczyt“ ten inaczej będzie wyglądał: jak za czasów reakcyi początku wieku armia „świętego przymierza“, zjawiała się wszędzie, gdzie trzeba było „umoralniać“ bezbożników, przywracać obalone „prawa boskie“ — to znaczy stłumiać dążenia ku swobodzie, tak w reakcyi końca wieku nasza literatura zjawia się wszędzie, by powstrzymać rozwój myśli ludzkiej; zastępy reakcyi innych krajów, nie znajdując u siebie dość sił do zwalczania tych prądów, przywołują do pomocy naszych pisarzy (tłómaczami są często księża) — my mamy „zaszczyt“ być — kondotierami reakcyi.

Zresztą nowemu *Przeglądowi* chodzi głównie o literaturę dla dzieci; oieszy się mianowicie, że nasza jest taka doskonała! Już *a priori* możnaby twierdzić,

że z małemi wyjątkami, musi ona być licha: albowiem, by pisać dla dzieci, nie dość jest być tak głupim, jak dziecko, lub odbyć „praktykę“ moralności u p. Wojskich. Przeciwnie, na to potrzeba dwóch przymiotów: trzeba być psychologiem, mieć umysł filozoficzny, któryby obejmował wytyczne kierunki współczesnej myśli i współczesnego życia, a zarazem umieć z tej zawrotnej wysokości zstąpić do umysłowego poziomu dziecka. Takich umysłów u nas niema chyba dużo, oóż więc dziwnego, że nasza literatura dla dzieci, to, z małemi wyjątkami, zlepek jakichś martwych okrucichów wiedzy, najczęściej dla dziecka za trudnych, z fabułą najczęściej nawet dla dziecka za głupią, z moralnością filisterską. Niejedno naiwne dziecko, czytając te rzeczy, przypomni sobie pewno dekalog: „nie będziesz brał imienia Boga nadaremno“, a jednak nie jest to wcale „nadaremno“, bo to właśnie napycha kieszenie wydawcom.

„Duch“ p. Woj—skiego, ucieleśnił się także w nowym współpracowniku *Przeglądu*, doktorze Jakubowskiej, która dowodzi, że przeciążenie szkolne jest fikcją, wymysłem i co najwyżej dotyka jednostki niezdolne (czysto szkolne pojęcie zdolności!). Ażeby tego dowieść, dr. Jakubowska używa bardzo skomplikowanego aparatu, coś jak Bertillon dla udowodnienia winy Dreyfusa: zestawia mianowicie masy cyfr, wykazujących pomyślny przyrost wagi ciała dzieci, uczących się, u nas. Stąd wniosek, że nie ma przeciążenia umysłowego.

Przyrost wagi ciała mógłby być rozstrzygającym w kwestyi kulinarnej hodowli pulard albo świń, ale nie w kwestyi umysłowej hodowli człowieka. Po co

zresztą dla skonstatowania, czy istnieje przeciążenie, używać tak skomplikowanego aparatu: dla człowieka nieuprzedzonego i posiadającego oczy dość widzieć papierowe twarze, dotkniętych blednicą, dziewcząt, dość przyjrzeć się jednemu dniu życia uczennicy lub ucznia: po pięciu lub sześciu godzinach siedzenia w szkole przychodzi ona lub on do domu z zadaniami lekcjami, po kilka kartek z każdego przedmiotu, wraz z odpowiednią dozą pisaniny; więc np. kilka kartek geografii z podziałami administracyjnymi, wyliczaniem stacji kolejowych, nawet granicznych komór celnych i drobnych rzeczek granicznych (niby wskazówki dla przemytników); tyleż historii z masą dat i nazwisk; tyleż literatury z bio- i bibliografią; kilka zadań matematycznych, w których chodzi o wyrobienie rachmistrzostwa, nie — myślenia; kilka utworów do wyuczenia się na pamięć, najczęściej pisarzy starych, nie mających żadnego związku z prądami myśli współczesnej i życia współczesnego (Dr. J. twierdzi jednak, iż wymagania życia zmuszają właśnie szkołę do nakładania dużego brzemienia na uczących się) itd. Na wpakowanie sobie w głowę tego całego „dobroczyennego światła wiedzy“ trzeba znów z jakie 6 godzin. A więc uczący się ma 12 godzin pracy umysłowej i siedzeniowej (nie licząc korepetycyi uboższej młodzieży); dla wykonania jej musi on spieszyć się z jedzeniem, skracać czas snu. Według dr. J. to wcale nie jest przeciążenie. Przysięgam, jeżeli w końcu roku znużony umysł nie zdoła wylegitymować się z tej całej nauki, to mu ją każą spożywać przez całe wakacje, aby i tę jedyną drogę odrestaurowania sił, odświeżenia mózgu, zatamować. Dodajmy wreszcie, że wiedza ta jest podawana przez

nauczycieli także znużonych nadmierną ilością lekcji, a zrozumiemy jak dalece uzasadniony jest optymizm dr. Jakubowskiej.

Przeciążenie to przytem dotyka najbardziej nie najgorsze, jak sądzi dr. J., lecz właśnie najlepsze jednostki, bo to są aparaty delikatniejsze, wrażliwsze; są to zegarki, któremi szkoła wbija gwoździe w ściany: umysły głębsze, krytyczniejsze, trudniej znoszą pracę bezmyślnego kucia, ambicya zaś nie pozwala im przychodzić do szkoły nieprzygotowanymi lub używać wykrętów. Tym sposobem szkoła dąży do wybrakowania jednostek lepszych, umysłów wyższych. — Zamiast ludzi wytwarza fonografy. Tożsamo ma miejsce w odniesieniu do nauczycieli: umysły ciasne, maszynowe, jako zgodniejsze z ogólnym „duchem“, wypierają tu (jak i w redakcyach!) umysły krytyczne, indywidualności. Te to maszynowe umysły nauczycieli przykładają się jeszcze bardziej do przeciążania uczniów, gdyż nie potrafią zapanować nad szczegółami, nie potrafią ich wiązać przyczynowo, nie potrafią uogólniać — nie potrafią ekonomizować wiedzy.

Tak wygląda ten najlepszy ze światów dr. Jakubowskiej. Metoda zaś jej, niezmiernie naukowa, robi na mnie wrażenie metody takiego meteorologa, który, schwytany przez ulewę, nie otwiera parasola; jest on bowiem ostrożny, naukowy, metodyczny; nie zwiedzie go *»grüne Weide«*. Stawia on sobie naprzód kwestyę: pada deszcz, czy nie pada? Zestawia i oblicza cyfrowy materiał wieloletnich obserwacyi, np. nad ciśnieniem, i na tej podstawie dochodzi do wniosku, że stosunki ciśnienia nie okazują, aby obecnie był deszcz, a więc deszcz nie pada, parasola nie potrzeba

otwierać; tembardziej, że mógłby zaczepić o — nos którego ze „świątłych przełożonych“.

Kwestya postawiona przez dr. Jakubowską ma jednak nietylko naukowe, ale i społeczne znaczenie, a pod tym znów względem „duch“ jej artykułów przypomina ekonomistów burżuazyjnych, którzy dowodzą, że wyzysk pracy jest fikcją, długość dnia roboczego — prawidłowa, a narzekania na to pochodzą od próżniaków i „niezdolnych“.

Naturalnie, że powyższe „ulepszenia“ formalne i taki ulepszony „duch“ nowej redakcyi nie mogły nie być zauważone przez czytelników. Wprawdzie prasa, o ile jest prostem przedsiębiorstwem, stanowi odbicie umysłowe czytelników (u nas zresztą rozpęd reporterski idzie tak daleko, że prasa bywa głupsza od czytelników), ale dawny *Przegląd* nie był przedsiębiorstwem i był kierowany przez człowieka nauki, więc przodował swym czytelnikom i postawił ich na wysokim umysłowym poziomie, uczynił wymagającymi, niedogodnemi dla *Przeglądu* nowego. Protestowali oni też często przeciw „ulepszeniom“ *Przeglądu*; protesty te, jak widać z odpowiedzi redakcyi, przyjmowały nawet rzadki u nas charakter zbiorowy. W nr. 18 z r. 1898 jedna z nauczycielek w liście do redakcyi, zamieszczonym w rubryce „Głosy publiczne“, pisze, co następuje: „Nie wątpię, że każda z prenumeratorek *Przeglądu* chętnie złożyłaby jakąś opłatę, by mogła zaznajomić się z najnowszemi systemami uczenia na zachodzie, i za małym wynagrodzeniem lub zupeł-

nie filantropijnie podjęłaby chętnie trud przekładu dzieł cudzoziemskich; w ten sposób możnaby rzucić między nauczycielki dużo jasnych promieni zachęty i świeżej myśli“.

Jest to więc protest przeciw zaniedbaniu zaznajamiania czytelników z ruchem naukowym zachodu.

W nr. 1 z roku bieżącego znajdujemy odpowiedź redakcyi aż „23-em podpisanym czytelnikom“. W odpowiedzi tej redakcyja na swe usprawiedliwienie skarży się na brak piszących (usunąwszy pierwszorzędną siłę na polu psychologiczno-pedagogicznym!), zarzuca swym czytelnikom, że nie nadsyłają jej korespondencyi, wskazuje k z zakresu stosunków miejscowych, „wiadomości z dziedziny ruchu naukowego“ itd. Wywnętrza się z wyrzutem, że przecież „na samem czytaniu nie opiera się byt żadnego czasopisma na świecie“ (ba, naturalnie: trzeba je przedewszystkiem pisać!) — jednym słowem redakcyja zanosi pretensye do czytelników, że oni nie redagują pisma, jak należy.

Jeżeli odezwa 23 czytelników stanowiła votum nieufności dla „nowego kursu“, to odpowiedź redakcyi była dla niej *testimonium paupertatis*.

To też w kilka miesięcy później, w nr. 11 b. r. spotykamy nową odpowiedź redakcyi, nowemu gronu nauczycielek. W odpowiedzi tej redakcyja zaleca przedewszystkiem odczytanie swej, tak wybornej, odpowiedzi poprzedniej, a z zarzutami takimi, jak ten, że *Przegląd* „milczy w kwestyach szerszych a istotnie ważnych, tudzież w rzeczach, dotyczących się ruchu zagranicą“, redakcyja załatwia się krótko i wężłowato, oświadczając, że „zarzutu tego stanowczo do siebie stosować nie będzie“. Dla czego? — tego już nie

wyjaśnia; z tego zaś wszystkiego, cośmy wyżej powiedzieli, wynika, że zarzut ten stanowczo do siebie stosować powinna, i że koła czytelników, występujące do redakcyi z zarzutami, mają zupełną słuszność.

Ze zresztą wiele zarzutów co do „nowego kursu“, któremi od samego początku nowa redakcyja była atakowana, uznała ona sama za słuszne, znajdujemy dowód w tem, że z biegiem czasu zaczęła, jak już wspominaliśmy, stopniowo przywracać to, co z dawnej redakcyi odrzuciła. Naprzód zaczęła przywracać odrzucone dodatki:

I tak: w nr. 2 z r. 1898 w odpowiedziach od redakcyi czytamy: „Kurs samokształcenia“ będzie dołączony w zeszytach. W nr. 6 b. r. czytamy: „Dalszy ciąg metodycznego kursu nauk z językiem niemieckim wyjdzie napewno w bieżącym półroczu“, a gdy ten się ukończył, redakcyja nie znalazła żadnego środka, aby dalej prowadzić kurs metodyczny. W nr. 22 tegoż roku r. redakcyja pisze: „czyniąc zadość licznym życzeniom, rozpoczynamy ponownie druk „Ogródka dziecięcego“.

I pocóż więc nowa redakcyja zadawała sobie trud „ulepszań“, obalań tego, co rozpoczęła redakcyja dawna, gdy teraz pod naciskiem żądań czytelników, powraca do rzeczy dawnych, korzysta z pracy i myśli redakcyi poprzedniej, którą obaliła i którą poprawić rościła sobie pretensye? Przytem nowa redakcyja, zapewne w myśl tego, że więcej niż poprzednia interesować się ma etyką, przypisuje sobie to, co jest dziełem redakcyi poprzedniej; tak np. nowa redakcyja „pośpiesza podzielić się z czytelnikami przyjemną wiadomością, że prof. Chmielowski przyrzekł nam

opracować metodykę literatury polskiej“; tymczasem przyrzeczenie to dał prof. Chmielowski redakcyi dawnej. Podobnież nowa redakcyja chwali się obietnicą p. Dawida (którego usunęła), co do dalszego ciągu Psychologii, tymczasem on dalszego ciągu odmówił.

Wraz z przywracaniem dawnych rubryk, nowa redakcyja przybiera sobie z biegiem czasu współpracowników z poprzedniej redakcyi: obok pozostawionej poprzednio Anieli Szyc, przybiera następnie Moszczeńską i Karpowicza (a ostatnio dr. Kamińskiego), chcąc się ratować ich gruntowną wiedzą i wybornemi piórami, jakkolwiek pisarze ci wyraźnie potępili postąpienie nowej redakcyi z p. Dawidem. Przystając na wezwanie nowej redakcyi, członkowie ci wychodzą zapewne z zasady, że trzeba zmniejszać zło przez domieszanie doń dobrego. Co do mnie, nie podzielam tego poglądu, ani ze względów etycznych, ani nawet praktycznych.

Etycznie bowiem nie mogę pojąć ochoty częstowania ludzi wybornemi potrawami na stole, gdzie tu i owdzie stoi siekanina z padliny, przyrządzana przez panów Wojskich. — Zapach od niej może się udzielić i potrawom dobrym.

Praktycznie zaś sędzę, że lepiej „nie sprzeciwiać się złu“, choć w znaczeniu różnym od tołstojowskiego — w znaczeniu, że im gorzej tem lepiej: niech zło szybko wybuja i dojdzie do stadyum skandalu, bo — „skandale to czynniki ewolucyi“.

III, IV.

Po powyższem skonstatowaniu i scharakteryzowaniu reformy możemy, zdaje się, pozostawić już

samym czytelnikom ocenienie wielkości owego plusa, jaki przedstawia redakcyja nowa, to nowe światło, w porównaniu z dawną (punkt III. naszego zadania).

Zajmiemy się więc teraz ostatnim punktem (IV), to jest wyświeceniem przyczyny tego dziwnego faktu, że pewne grono ludzi usuwa jakąś jednostkę od kierownictwa pisma, burzy wzniesioną przez nią budowę na to, aby tę samą budowę potem fuszerką odbudowywać oraz — że prasa przyjmuje czyn taki jako nowinę radosną.

Przyczyna jest tu, jak sądzimy, podwójna: jedna bliższa, bezpośrednia: druga dalsza, ogólniejsza.

Naprzód dla przedsiębiorcy pedagogicznego, który robi interesa na istniejącym porządku rzeczy („spokoju społecznym“), solą w oku być musi pismo, wskazujące wady takiej rutynicznej pedagogiki, uświadamiające ogół o reformach, jakie w tym kierunku przeprowadzają się zagranicą; musi być solą w oku człowiek, stojący na czele takiego pisma, odrzucający idiotyczne artykuły Wojskich et comp. Trzeba go więc wyrzucić, a gdy się dało coś pieniędzy „na tacę“, t. j. na pismo, to dokonało się takiego czynu etycznego (w myśl rady Wojskiego co do kierownictwa dziecka), że to już daje zupełne prawo wyrokowania o kwestyach myśli ludzkiej, daje władzę nad jej reprezentantami.

Powtóre, drugą, ogólniejszą przyczyną, jest ogólny prąd reakcyjny, który używa wszędzie rozpaczliwych środków do powstrzymania rozwoju myśli ludzkiej, stara się r u g o w a ć zewsząd brutalnie jednostki ewolucyjne, umysły niepodległe (np. usunięcie Chmielowskiego z Ateneum!), a stawia w to miejsce

swoje kreatury. Dla tego to u nas psychologowie muszą być rachmistrzami w kantorach, a prawdziwi rachmistrze, rachmistrze z serca, z powołania, pisują za nich artykuły psychologiczne lub etyczne — co za świetna przyszłość czeka takie społeczeństwo!

Jasną też jest rzeczą, że i prasa nasza, tak w szczególności, rozgniewana na dawny *Przegląd* za ostrą nieraz krytykę jej bezsensownych reporter-skich sądów o pedagogice i reklam dla lichych pedagogicznych wydawnictw; jakoteż wogóle — ulegając prądowi reakcyjnemu, musiała przyjąć z radością wieść o „ulepszeniu“ *Przeglądu*, t. j. o obniżeniu go do jej umysłowego i etycznego poziomu; musiała przyklasnąć wyrugowaniu człowieka, który przeszkadzał jej do popłatnego ogłupiania społeczeństwa.

Jeden z naszych literatów, (a czy to jeden!), z „naszych znanych“, pojmując tę wysoce altruistyczną, etyczną prawdę, że „ręka rękę myje“, w jednym ze swych licznych toastów wzniosł kielich „na cześć naszej zacnej, poczciwej prasy“. — Biorąc asumpt z powyżej wzmiankowanej radości prasy na skutek zmiany kierunku *Przeglądu*, pozwolę sobie i ja pójść za dobrym, „zacnym“ przykładem i wykrzyknąć z całego serca: niech żyje nasza zacna i poczciwa prasa! — »*Vive l'armée, a bas Zola!*«...

Początki dziedzicznego obarczenia ludzkości.



szeregu wybornych wydawnictw „Biblioteki Samokształcenia“ jak Clodda „Człowiek pierwotny“, Woltmana „Darwinizm“ i t. d., mających, prócz specjalnie naukowego, także wielkie ogólne znaczenie impulsywno - ideowe, znaczenie dla wyrobienia, względnie zmiany, światopoglądu, pojawiła się książka I. Radlińskiego „Historia nauki o człowieku,“ stanowiąca dopiero początek pracy zamierzonej na szeroką skalę. Praca ta posiada w wysokim stopniu dwie wyżej wymienione cechy: naukową i impulsywno-ideową.

Tę właśnie nić ideową, ciągnącą się przez książkę Radlińskiego, postaramy się tu przed czytelnikiem rozwinąć; ale naprzód słów parę o autorze, którego u nas nie doceniono.

Radliński jest umyślem o wrażliwości i ciekawości iście młodzieńczej; nikt z większą od niego słusznością nie mógłby o sobie powiedzieć: „*homo sum et nil humanum a me alienum esse puto*“. W swych bardzo licznych pracach zwiedzał on najrozmaitsze pola: językoznawstwa, historii, antropologii, etnologii geografii kulturalnej i t. d. W tych, tak rozlicznych swoich podróżach i wycieczkach umysłowych nie traci on jednak nigdy pewnego, właściwego mu, punktu widzenia, swoistej, jakby powiedział Taine, ścieżki wyrąbanej wśród lasu, od której wyrąbuje on sobie na prawo i lewo linie boczne dla pozyskania rozleglej-

szego widoku, czynienia wycieczek na obce ścieżki, lub lepszego oryentowania się na własnej, głównej.

Tą jego własną główną ścieżką jest nauka religii. Naturalnie, iż nie myślimy tutaj o katechizmie, lecz o traktowaniu religii, jako pewnego psycho-społecznego objawu na równi z innymi, bez szczególniejszego przywileju. W tym kierunku posiada Radliński największe naukowe przygotowanie i, co niemniej ważne, pewną namiętność, pewien nerw indywidualny, który nadaje jego pracom charakter impulsywny, ujawniający się w pewnej spokojnej i niezwykle subtelnej, ale zabójczej ironii. Jest to ironia filozofa, patrzącego z góry na smutno-śmieszne zabiegi i wybiegi rojowiska ludzkiego, które stwarza sobie różne podpórki, a zarazem więzy, z wszelakich kultów;— które *»vult decipi«* i które też *»decipitur«*.

Traktując w wyżej zatytułowanym początkowym tomie najpierwotniejsze stadyum wiedzy o człowieku, Radliński znalazł dla siebie najodpowiedniejsze pole badania: tutaj mógł w sposób najdobitniejszy wykazać, jak dalece człowiekowi trudno otrząsnąć się z tych więzów, które wkładają nań umarli; jak dalece nawet umysł filozofa bywa niewolnikiem mniemań atawistycznych, utrzymujących się powszechnie w łonie współczesnego mu środowiska.

*
*
*

Człowiek należy do dwóch światów, świata przyrody, z którego powstał, i świata społecznego, który sam wytworzył. Za pomocą świata społecznego człowiek zapanował wszechwładnie nad światem przy-

rody; tylko śmierci nie zdołał opanować, ale, jak to z filozoficznym spokojem a zarazem głęboką trafnością zauważył autor „śmierć jednostki jest *dźwignią* spraw społecznych, warunkiem jedynym ich *rozwoju*, gdyż tylko ona wprowadza w społeczeństwie na polu pracy coraz to *nowe siły*, bez konieczności uciekania się następców do zabijania swoich poprzedników“. Wprawdzie obecnie jeszcze (a zwłaszcza u nas!) śmierć zabiera przedwcześnie najlepszych pracowników, najbardziej ewolucyjne umysły, ale „usunięcie warunków obecnie istniejących, które przyśpieszają śmierć, staje się celem zabiegów ludzkich“.

Wytworzywszy sobie osobne stanowisko w przyrodzie, człowiek zasłużył na osobną o nim naukę. Nauka ta, antropologia, której nazwa powstała późno, wyłoniła się z wytworów fantazyi, mitów i podań. Autor czyni tu ważną dla charakterystyki jego dzieła uwagę: „ponieważ nic bardziej dokładnie i obrazowo nie może przedstawić stanu umysłowości ludzkiej w jej rozwoju, jak to co człowiek sam o sobie myślał — więc przy takim sięgnięciu w historii antropologii jej początków, historia ta nie tylko będzie nauką o tym, jak antropologia powstawała, lecz zarazem poniekąd historią rozwoju umysłu ludzkiego.“

Sięgnięcie w historii nauki aż do mitów, które nie są jeszcze nauką, lecz ją zastępują, ma ważne znaczenie dla zrozumienia rozwoju myśli ludzkiej, albowiem nawet w tym, co stanowi naszą wiedzę, przebijają się częstokroć, nie tylko w jej początkowych okresach, mity; na nich niejedna tak zwana nauka dziś jeszcze jedynie się opiera.

Znaczenie mitów wogóle w historii nauk jeszcze

większe przybiera rozmiary w historii antropologii. Mityczne rozwiązanie pytania o pochodzeniu człowieka i o początku jego istnienia stało się podstawą wiedzy o człowieku. Wiadomości nowe o nim, poczerpnięte później z innych nauk, były do tej podstawy gwałtem zastosowywane, z punktu widzenia mitycznego rozważane, światłem mitycznym zabarwione, w razie niezgodności z mitami — odrzucane. — Mit zapanował wszechwładnie w antropologii.

Nie dość na tem: takie sięgnięcie w przeszłość antropologii ma, jak to w innym miejscu¹⁾ zauważył Radliński, nie tylko znaczenie teoretyczne — dla wyjaśnienia zjawisk, ale prócz tego i praktyczne — dla oceny ich wartości: mianowicie różne instytucje społeczne, obrzędy, zwyczaje i t. d. zostały utworzone i przyjęte przez człowieka na zasadzie tego co człowiek o sobie sądził; a więc historia antropologii rzuca jasne światło na genezę, oraz na wartość tych zjawisk; daje więc impuls do rozluźnienia, podkopania jednych, a wzmacniania, utrwalania¹ drugich.

Dla powstania wszelkiej wiedzy wogóle, a wiedzy o człowieku w szczególności, podstawowe znaczenie ma ciekawość; ta ciekawość tak potępiana przez różne kasty, o której mówi przysłowie, że jest „pierwszym stopniem do piekła“; nawet poeta twierdzi, że „pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego zaczęła się najprościej od słowa: dla czego?“ Ciekawość ta doprowadziła człowieka, między innymi, do

¹⁾ Ob. artykuł „Antropologia“ w Encyklopedyi Nauk społecznych zeszyt III.

pytania: skąd się wziął człowiek? i to dało początek antropologii.

Z początku, w czasach przedhistorycznych, opowiadano sobie na to ustnie (mity, podania), potem, w historycznych, te mity i podania spisano. Ale gdy wszystko inne, co budziło interes w królach i ludziach możnych, co wzmacniało znaczenie kapłanów i ich karmicieli — bogów, było ryte na trwałych kamieniach i dla tego przechowało się aż do naszych czasów w pierwotnej formie, to opowiadania o człowieku, spisane na cegiełkach (dolina Eufratu) lub papirusach (dolina Nilu), przechowały się zaledwie w ułamkach, strzępkach. Szczęściem, że wiele wzmianek o pogładach ludów z nad Eufratu, a szczególnie z nad Nilu, znajdujemy w dziełach pisarzy greckich; kombinując te wzmianki z owymi strzępkami, możemy sobie odtworzyć jako tako całokształt pojęć ludów starożytnych o pochodzeniu człowieka.

Tak np. już u Egipcyan występuje pewien bóg-garniarz, który z nilowego błota ulepił ludzi i to mianowicie Egipcyan; inni bogowie lepiłi Murzynów i azyatów. Podobne mity spotykamy u Babilończyków, wogóle u Semitów; wszystkie te mity o pochodzeniu człowieka zebrali i usystematyzowali Żydzi; prosta i jasna forma tego usystematyzowania przyczyniła się do jego wielkiego rozpowszechnienia.

Chociaż te i inne mity sięgają głębokiej starożytności, nie były one jednak najwcześniejszym aktem myśli ludzkiej; aktem takim najpierwotniejszym, który dostarczył mitom pojęć o bogach i dwoistości istoty człowieka, jako złożonego z ciała i duszy, był tak

zwany animizm, światopogląd ludzi pierwotnych, poprzedzający wszelkie kosmogonie i teogonie.

Ten pierwotny światopogląd dzieciniego pierwotnego umysłu wywarł olbrzymi wpływ na cały rozwój umysłowy ludzkości; dostarczył on nawet filozofii punktu wyjścia i oparcia, z teorii zaś wszedłszy do praktyki, nałożył na umysł ludzki niezgłędzone dotychczas jeszcze znamiona, wytworzył różne, dotychczas jeszcze istniejące, instytucje, wysunął na dominujące stanowisko w społeczeństwie pewne kasty, nałożył fatalne więzy na czyny i myśli jednostki i wskazał jej cele, które zapanowały wkrótce nad innymi w życiu jej całym.

Praktyczne i teoretyczne następstwa animizmu stanęły przed filozofami niby jaka twierdza, którą należało albo zburzyć, albo w niej zamieszkać, a zamieszkawszy, bronić przed wrogami, do niej szturmującymi.

Istotę animizmu stanowiło upatrywanie przez człowieka pierwotnego wszędzie, w sobie i po za sobą, duchów niewidzialnych; następnie klasyfikowanie ich na wewnętrzne i zewnętrzne, dobre i złe; nadawanie im rang, a to wskutek przenoszenia realnych stosunków społecznych na utwory wyobraźni: ponieważ stosunki realne są oparte na poddaniu słabszych władzy silniejszych, przeto przez zastosowanie do duchów — człowiek wytworzył bogów i dyabłów różnych władzą i potęgą, a więc: królów, wodzów, sługi, ulubieńców i t. d. Wszystkim tym duchom nadał człowiek swą ludzką postać i swe cechy duchowe. Następnie władzy tych fikcyjnych potęg poddał człowiek siebie i świat cały.

Stworzywszy bogów i dyabłów, człowiek musiał im wynaleźć jakieś pomieszczenie: dyabłów pomieścić łatwo w głębi ziemi i jaskiniach, ale z wyszukaniem godnej siedziby dla bogów miał niemało kłopotu. Grzeszne postępy wiadomości geograficznych i kosmologicznych, zmuszały go do przenoszenia rezydencji bogów coraz to dalej i coraz to wyżej.

Wywyższywszy w taki sposób, stworzonych przez siebie, bogów ponad siebie i przyrodę całą, człowiek zrywał przez to węzły, które go przedtem z temi bogami łączyły; pozostałby więc obcy im, niezaradny wobec ich potęgi, niedołączony przed nimi w swej nicości, gdyby jego płodna pomysłowość nie wyszukała nowych sposobów łączenia się z temi władcami: obdarzeni pożądaniami i słabostkami ludzkiemi, bogowie ci w dowód szczególniejszej łaski, raczyli płodzić z żonami i córkami człowieczemi synów, a nawet, choć rzadziej, córy. Otóż synowie i córy bogów, stawali się nowemi ogniwami, łączącemi ludzi z bogami; stawali się orędownikami, pośrednikami między światem ojców i światem matek.

Jakby więc nie dość było dla niewolniczych popędów człowieka korzenia się przed potęgami realnemi, ziemskimi, człowiek wytworzył sobie w tym celu potęgi fikcyjne, niebieskie; na wielbienie tych potęg, na mięczenie ich darami, sławienie mową i pieśniami, odtwarzaniu w sztukach plastycznych, ciągłym uprzytamnianiu w symbolach, począł on życie przepędzać, poświęcając temu zajęciu swój czas, swe ciężką pracą zdobyte mienie, swe potrzeby fizyczne, zdrowie, upodobania, a częstokroć i całą swą istotę. Uwielbienie to wywoływała nie miłość, lecz bojaźń

niewolnicza, nie jakieś uczucie szlachetniejsze, lecz interes egoistyczny, podłaca obłuda i psia pożądlivość nagrody.

Jak z duchów zewnętrznych powstali bogowie i dyabły, tak z wewnętrznych — dusza ludzka. Ona to stała się główną częścią składową człowieka. Wiadomości i wymysły o duszy były pierwszymi elementami antropologii, a taki charakter tych elementów stał się przyczyną, że antropologia tak późno weszła na drogę naukową.

Za pomocą tej duszy objaśniano sen (opuszczanie chwilowe ciała przez duszę) i śmierć (opuszczenie zupełne); życie pośmiertne stało się głównym przedmiotem rozważania: u Egipcyan np. układano tak zwaną księgę zmarłych, rodzaj *savoir vivre'u* dla zmarłych: rady i prawidła jak dobrze wychowana dusza ma się zachowywać po śmierci na zebraniach towarzyskich z innymi duszami

Z początku, jak to widać z greckiej księgi bogów, „boskiej komedyi“ — Iliady, a także Odyssei — duszom na tamtym świecie, w „Hadesie“ niezbyt osobliwie się powodziło, tak iż nawet, panujący nad cieniami w Hadesie, Achilles zazdrościł życia na ziemi parobkowi, dozorującemu stada. Nieprzyjemność przebywania w Hadesie, potęgowało umieszczenie tego przybytku w ciemnościach, podziemnych otchłaniach, w niemiłym sąsiedztwie ze złemi duchami, dyablami, a to tembardziej, że wreszcie pewna kategoria dusz dostała się w moc dyabelską. I sporo, mówi z ubolewaniem Radliński, mozolnej pracy umysłowej potrzeba było jeszcze łożyć, aby, nie mówię już parobkowie od bydła, ale panujący na ziemi wśród ludzi

żyjących poczęli zazdrościć losom umarłych — wprawdzie tej kategorii, która się z czasem zjawiała i nie była poddana mocy dyabelskiej,⁴ lecz zakwalifikowana szczęśliwie do czeladzi boskiej. Do tak pomyślnego rezultatu doprowadziło dociekanie istnienia i istoty dusz, które z biegiem czasu nie ustaje, a nadając duszy pierwszorzędne znaczenie, wpływa fatalnie na drugą część składową człowieka — ciało.

Z biegiem czasu znaleziono dla dusz lepsze miejsce niż Hades, mianowicie pola Elizejskie, gdzie jednak umieszczano tylko dusze uprzywilejowane, ulubione specjalnie przez bogów; więc ich kochanki, ich powinowatych, dusze ludzi, którzy składali bogom na ręce kapłanów bogate dary. Nie każdy jednak mógł się spowinowacić z bogami lub składać im bogate ofiary, a jednak pola Elizejskie, w obec grozy Hadesu, nęciły każdego śmiertelnika. Powstała więc nieodzowna potrzeba wymyślenia najskuteczniejszego sposobu dostania się do Elizyumu, który byłby dostępny każdemu: sposobu tego zaczęły dostarczać *misterya*, pewne tajemnicze nauki i ceremonie. W tych misteryach ludzie, poddawszy się pewnym tajemnym obrzędom, wtajemniczywszy się w pewne formuły, zapewniali sobie po śmierci pobyt razem z ulubieńcami bogów. Narzątało to tylko, jak zwykle w takich razach, na wydatki pieniężne, ale to była naturalnie drobnostka wobec olbrzymich korzyści, jakie się stąd odnosiło.

Animizm pierwotny przeniknął, jak już wspomnieliśmy, do filozofii. Pierwsi filozofowie greccy szkoły jońskiej przyjmowali wraz ze współczesnym sobie ogółem istnienie bogów i dusz jako fakty do-

świadczony i uznany, nie podlegający powątpiewaniu, nie wymagający dowodów; ale było to dziedzictwo kłopotliwe. Już u Heraklita, który, jakby przeczuwając ewolucjonizm, uważał byt jako stawanie się, występuje sprzeczność nowego pojmowania, naukowego i przekazanego, animistycznego: gotowe pojęcie duszy z trudnością daje się wcisnąć do jego systemu filozoficznego. Później u niektórych z filozofów greckich kiełkuje krytycyzm względem tej spuścizny animizmu: współczesny Pitagorasowi Ksenofanes, założyciel szkoły eleackiej, mówi: „śmiertelnicy mniemają, że bogowie są zrodzeni jak i oni, że posiadają zmysły, głos, ciało podobne do ich ciał. Ale i woły lub konie, jeśliby miały ręce i umiały rysować, to woły stwarzałyby bogów podobnych do wołów, konie — bogów podobnych do koni.“

Ale dopiero Anaksagoras zerwał stanowczo z bogami i zbudował harmonijny system filozoficzny, gdzie jako czynnik, który wyprowadził świat z chaosu, występuje rozum (noos) — za taką herezyję został skazany na wygnanie z Aten.

Anaksagoras zamyka szereg pierwszych filozofów greckich.

W dalszym ciągu swej pracy (zeszyt II.) Radliński poszukuje pierwszych animistycznych elementów wiedzy o człowieku w początkowej medycynie, geografii i historii; wreszcie przechodzi do pierwszych naukowych elementów, które znajduje u Demokryta.

Ze wszystkich nauk, dotyczących się człowieka, najwcześniej w pracach pierwszych filozofów greckich zaczęła się wyosabniać *medycyna* tak, iż za cza-

sów ostatniego z pierwszych filozofów greckich, Anaksagorasa, występuje już pierwszy naukowy przedstawiciel medycyny, Hippokrates. Ale medycyna jest nie tylko nauką, lecz zarazem i sztuką, sztuką leczenia, i medycyna, jako sztuka, wyprzedziła medycynę jako naukę. Ta ostatnia rozpoczęła się wtedy, gdy człowiek nie zadawałał się samem leczeniem chorób, lecz zaczął wykrywać *przyczyny* chorób.

W pierwotnej fazie rozwoju umysłowości człowieka dla objaśnienia wszelkich zjawisk uciekano się do animizmu; animizm, rozwiązując w medycynie pierwotnej kwestye patologiczne, wytworzył również terapię. Według wyjaśnienia animizmu, przyczyną chorób był *zły duch*, który wchodził w człowieka, sprawiał mu cierpienia i sprowadzał śmierć. Gdy się zaś znajdzie przyczyna choroby, to już łatwy i sposób: trzeba złego ducha z człowieka „opętanego“ wypędzić, a sposobem na to są *zaklęcia*, to jest pewne słowa, wypowiedane nad chorym w różnych formach: szeptu, stanowczego rozkazu, krzyku przerażającego lub śpiewu, uspakajającego.

Czasem duch był oporny, twardo się trzymał; wtedy trzeba było od słów przejść do *akcyi*. Akcya ta, z początku była często *mechaniczna*: wodzano ręką po chorym, niby chcąc wymacać złego ducha, wymacawszy, wyciskano go z chorego, aby za jego pośrednictwem i duchowi, w nim siedzącemu, dokuczyć.

Gdy i to nie skutkowało, zaczęto używać innych sposobów, które Radliński nazywa *chemicznemi* (?). Zamiast ręki ludzkiej poczynano używać różnych narzędzi. Postać zaś samego człowieka, zaklinacza, niby

potęgowano przez odpowiednie *przebranie* jakiejś niezwykłej, innej niż ludzi, istoty. Strój był zwykle fantastyczny, różnobarwny, wywołujący przerażenie. Pochwyciwszy narzędzia, zaklinacz wykonywał niemi ruchy dziwaczne, gwałtowne, groźne. Narzędzia te i wogóle przedmioty, przygotowane dla wystraszenia złego ducha, odrażały smakiem, wonią; gdy były twarde, zaklinacz przykładał je choremu, miękkimi nacierał go, płynnemi podniecał; ze środków tych z czasem drogą doświadczenia powstały lekarstwa.

Wprowadzenie pierwiastków dekoracyjnych i mimicznych do czynności wypędzania złego ducha, czyli leczenia, doprowadziło do wytworzenia się różnych *obrzędów leczniczych, które następnie złąły się z religijnymi* — zaklinacze, czarodzieje stali się zarazem kapłanami. Gdy zaś z czasem leczenie weszło na drogę naukową, atrybucya wypędzania z ludzi złych duchów pozostała przy kapłanach, którzy w dalszym ciągu przebiegają się przy obrzędach. Przyczyną tego złącia się pierwotnego leczenia z kapłaństwem jest ta okoliczność, że człowiek pierwotny swemi animistycznymi poglądami zmuszony był przeciw duchom złym używać na pomoc (przez dary i modły) duchów dobrych, z których następnie powstałi liczni bogowie: leczenie odbywało się w miejscach poświęconych owym bogom: w świątyniach, przy pomocy kapłanów. Kapłani walczyli przeciw duchom złym przy pomocy duchów dobrych, bogów; a raczej walczyli w ich imieniu. Stąd to formuła, rozpoczynająca modły, głosi zwykle, że to w imię takiego to a takiego boga się występuje.

Że taki był pogląd na przyczynę chorób i sprawę

leczenia, autor znajduje dowody w najwcześniejszem piśmiennictwie greckiem, mianowicie w *Odysei*: ochorobą „*bóg udręcza zawistny*,” a zaś „*zdrowie znów wróć niebiany*.” Podobne wyrażenia żyją dotychczas w mowie potocznej.

Religijny charakter lecznictwa sprowadził mianowicie bogów lecznictwa; z początku bogiem takim był Chejron, syn Kronosa, następnie Asklepios, wnuk Zeusa, a syn Feba. Świątynie Asklepiosa, tak zwane Asklepiiony lub Asklepie, stały się pierwszymi lecznicami publicznymi, a kapłani tego boga, zwani Asklepiadami — pierwszymi lekarzami urzędowymi.

Z czasem choroby takie jak zranienia, zadane przez drugiego człowieka, których przyczyna naturalna była zbyt widoczna, aby je można było przypisać duchom, i które wymagały prostej i naturalnej pomocy (wyjęcia tkwiącego w ranie ostrza, zatamowania krwi), wywołały powstanie lekarzy świeckich, zwłaszcza chirurgów. Ze środków zaś, używanych na wypędzenie złego ducha i przykładanych do ciała opętanego, powstały różne maście i balsamy, a później i lekarstwa wewnętrzne.

Według wyobrażeń człowieka pierwotnego (podanie o Melampusie) lekarze-czarodzieje dowiadywali się o tych środkach leczniczych na różne dolegliwości od tworów ziemnych i powietrznych (ptaków). Radliński wyjaśnia to okolicznością, że duchy, tak złe jak dobre, bądź unoszą się w powietrzu, bądź przebywają pod ziemią, ptaki więc i twory ziemne łatwiej się mogą od tych duchów o czemś dowiedzieć niż człowiek. Z czasem poczęli się zjawiać tacy ludzie, czarodzieje, kapłani, którzy dla zwiększenia swej po-

wagi, wzmocnienia wiary w swe słowa, zaczęli wma-
wiać w tłum, że ich wiadomości mają takie nadprzy-
rodzone pochodzenie, że udzielone im one zostały
nawet bezpośrednio przez bogów drogą objawienia.
Typem takiego czarodzieja, poprzedzającym innych,
był właśnie wspomniany Melampus.

Z czasem czarodzieje ci, zorganizowani jako
asklepiadzi, zaczęli prowadzić swój proceder cudowny
przy asklepikonach. Chorzy musieli naturalnie za
cudowne porady składać zapłatę — Asklepiosowi.
Prócz tego składali tak zwane wota, przedstawiające
uzdrowione członki i części ciała ludzkiego. Zwy-
czaje te zakorzeniły się mocno, skoro spotykamy je
do dziś dnia — bogowie zmieniają nazwy, ale cu-
downa skuteczność ich leków i „zapłata“ pozostają
bez zmiany.

Podczas gdy u pierwszych filozofów greckich
człowiek rozpływał się w pojęciu powszechnego bytu,
świata; podczas gdy pierwsi lekarze greccy zajmo-
wali się, odpowiednio do swego zadania, człowiekiem
tylko w jego stanie chorobliwym (potem dopiero
rozwinęła się z tych rozważań nauka o człowieku ży-
jącym wogóle), to człowiekiem, jako istotą my-
ślącą, chcącą i działającą, zajęli się pierwsi *historycy*,
dla których punktem wyjścia były mity o pochodze-
niu człowieka. Pierwszym historykiem greckim był
Herodot, spóczesny Demokrytowi i Hippokratesowi
(przed nim byli prości *zapisywacze* podań, oraz —
logografowie).

Człowiek, zwłaszcza pierwotny, jest związany
z ziemią, z krajem rodzinnym, więc pierwsi histo-
rycy, opisując czyny człowieka, nie mogli pominąć

miejsowości, gdzie się te czyny odbywały; pierwsi więc historycy greccy byli z konieczności i pierwszymi *geografami*. Autor pojmuje tu oczywiście geografję w znaczeniu szczuplejszem, (zresztą uwarunkowanym jego potrzebą dla celów antropologii), w znaczeniu geografii człowieka. Biorąc geografję w pojęciu obszerniejszem, trzeba pierwszych geografów szukać pośród filozofów jońskich.

W prastarych czasach tworzenia się drobnych społeczności ludzkich, skupiających się w pewnej miejscowości, myśl ludzi, składających taką społeczność, zwrócona ku przeszłości, interesowała się głównie dwiema rzeczami: starożytnością osady i pochodzeniem rodów, stojących na jej czele. Wywyższać ród rządzących przez przypisywanie mu odległego i cudownego początku, dla wyróżnienia od ogółu, było koniecznością dla zapewnienia mu powagi, podobnie jak dla kapłanów, cośmy widzieli wyżej, koniecznością było przypisywać swe wiadomości stosunkom z bogami. To też pierwsi historycy greccy, a właściwie logografowie, zapisywali głównie podania o zakładaniu osad i pochodzeniu wybitnych w nich rodów.

Ten ciasny patryotyzm lokalny i rodowy stanowi cechę charakterystyczną pierwotnych dziejów każdego narodu, cechę niskiego stadyum kultury; pojawiając się zaś w stadyach późniejszych (jak to mamy przykłady w dobie obecnej), jest on objawem reakcyjnym, wstecznym, mającym źródło bądź w atawizmie jednostek, bądź w interesach kastowych.

Już u logografów spotykamy pierwsze wiadomości geograficzne. Tak np. Ksantus Lidyjczyk (z V w.

przed Chrystusem) w dziele o swej ojczyźnie (*Lydiaca*) zwraca już uwagę na zmiany zjawisk geograficznych: „Za panowania Artakserksesa wielka zdarzyła się posucha: rzeki, błota, nawet studnie wyschły były. Wskutek tego znajdowałem na lądzie opodal od morza kamienie, mające kształt ryby, muszle morskie i inne kamienie morskie. Z czego *wywnioskowałem*, że te przestrzenie kiedyś stanowiły morze.“

Jeszcze więcej zajmowali się geografią dwaj inni logografowie: Scylaks z Karyi i Hekateos z Miletu; pierwszy napisał dzieło „Opłynięcie morza,“ drugi — „Naokoło świata.“ Ten ostatni stanowi przejście do Herodota.

Elementy wiedzy o człowieku, napotykanne tak u pierwszych filozofów, jakoteż u lekarzy i logografów, noszą animistyczny charakter. Dopiero w drugiej połowie wieku V-tego spotykamy *pierwsze naukowe* elementy tej wiedzy, mianowicie u *Demokryta*, którego autor wyłączył z szeregu pierwszych filozofów greckich, gdyż on dopiero usiłował zastąpić pierwotny animistyczny światopogląd nowym, naukowym. Systemat Demokryta posiada najwięcej pokrewieństwa z nauką dzisiejszą.

Na Demokrycie kończy się początek znakomitej pracy Radlińskiego. Oczekujemy z niecierpliwością dalszego ciągu tego myślowego pochodzenia przez przeszłość z okiem utkwionem w przyszłość.

Z dziejów miłości chrześcijańskiej.



Stanisław Przybyszewski w swej „Synagodze szatana“ daje zarys historii czarów i czarownic średnio-wiecznych na tle psychicznem a raczej psychopaty-cznem; wyjmujemy z niej parę punktów najcharakterystyczniejszych, wykazujących jak straszne zniszczenia wywołuje zata-mowanie potoku życiowego i jak okrutne kary za to wymierzają ci, co przez głupie lub zbrodnicze ta-mowanie stali się tych zniszczeń przyczyną.

Histero-epilepsya była tak rozpowszechniona jak dziś suchoty... tworzyły się bandy mężczyzn i kobiet... i rozpoczynał się szalony, bezwstydnny taniec, przechodzący w niestychane orgie płciowe aż kończył się jakimś kateleptycznym odrętwieniem. Podczas tych konwulsyj powstawały wizye szatanów. Tą drogą rozwijała się wielka histerya, czyli „opętanie,“ prowadzące do czarownictwa. Chorobie tej podlegały przeważnie kobiety: ówcześni kompetentni „diabolo-dzy“ konstatuują że na 1000 czarownic przypada jeden czarownik; u czarownicy wszystkie zasadnicze stosunki są odwrócone: to co jest u góry odwraca się u czarownicy ku dołowi, prawa strona staje się lewą, tył — przodem! — to ułatwia czarownicy stosunki z szatanem!

Ciało opętanych wykazuje pewne znaki, które i dziś u tak zwanego medyum znaleźć można; były to czarne lub ciemno-czerwone plamy, przeważnie na narządach płciowych. Le Lancre „jeden z najpotęż-

szych i najinteligentniejszych dyabologów, który przysłużył się ludzkości oczyszczeniem prowincyj Baskijskich od czarownic (spalił ich przeszło 2000), opowiadał, iż znalazł około 3000 tak naznaczonych osób. Ale nietylko po tych znakach można było poznać czarownicę; odznaczała się ona nieczułością na ból: śpi najspokojniej podczas gdy kat rozciąga ją na wałkach, a kat miał święty obowiązek tak porządnie całe ciało rozciągnąć, żeby słońce mogło przeświecać przez członki, jak przez rzeszoto. Często zdarzały się wypadki, że torturowano czarownicę po pięć razy z rzędu, a po paru dniach można było rozpocząć na nowo całą procedurę — taką to siłą szatan obdarzał swoich wybranych!

„Opętanie“ szerzyło się naturalnie najbardziej wśród różnych heretyków, obejmowanych pod nazwą Katarów, których cechuje wspólnie fanatyczna, do obłąkania spotęgowana nienawiść ku nauce chrześcijańskiej: ich obowiązkiem i rozkoszą było opluć krzyż, uwalać hostyę w błocie i t. p.

Wtedy święty Dominik, twórca świętej inkwizycji stanął na czele krucyaty przeciw heretykom. Rozpoczęła się krwawa rzeź.

Przy zdobywaniu miast Albigensów nie oszczędzano nikogo, nawet chrześcijan: „zabijcie wszystkich, Bóg już wie, kto mu należy“, wołał pewien pobożny opat; gdzieindziej obiecano życie, chcącym się nawrócić, lecz nie dotrzymano bo: „jeżeli kłamie, to spotka go to, na co zasłużył — jeżeli chce się nawrócić, to ogień zgładzi jego grzechy.“

Kobieta wieków średnich, żyjąca w warunkach niehigienicznych, pozbawiona świeżego powietrza, była słaba i bezkrwista; to też mózg jej wytwarzał najdziwsze pomysły zemsty, już to przeciw sąsiadce, co rzuciła na nią urok, już to przeciw mężowi, co ją kopał nogami, lub przeciw dziedzicowi, co ją kazał publicznie wychłostać. Dręczył ją ustawicznie głód rozkoszy, pragnienie orgii płciowej, co kościół nazywał łaźnią, w jakiej szatan dusze kąpie. Wskutek choroby nerwowej stawała się „opętana“, doznawała wizyi, zjawiał się przed nią szatan, jako kusiciel — mężczyzna. Zwierza się ona starej czarownicy, otrzymuje od niej maść, którą się naciera i wpada w kamienny sen; wtedy dusza wyzwala się z ciała, dopada miotły, kota, albo jakiegokolwiek przedmiotu i dalej w drogę. Tak dostaje się gdzieś w ustronne miejsce wśród puszczy w nocy. Tutaj kobiety w pół nagie tańczą z mężczyznami; rozlega się krzyk Har, har! Sabat, sabat! — Dyable, dyable! Skacz tu, skacz tam! Kobieta pod opieką szatana oddaje się wściekłej, nimfomanicznej rozpuście! Tu, przed ukazującym się dyablem, odbywa się ogólna spowiedź z obrzydliwego grzechu czystości i t. p. Prawa boskie ulegają tu odwróceniu i powstaje kodeks satańiczny: kochaj szatana, nienawidź Chrystusa, gardź matką i ojcem twoim, zabijaj, morduj, cudzołóż, niszczy, kradnij, rabuj — krzywoprzysięgaj i składaj fałszywe świadectwo. Wszyscy opętani zieją piekielną nienawiścią ku kościołowi katolickiemu; średnie wieki nie mogły się z tą szatańską sektą (chorych psychopatów!) inaczej uporać, jak tylko ją doszczętnie wyniszczyć. Prawda, że niejedną czarownicę usmażono

niewinną, ale na te osiem milionów czarownic, które spalono, przypada, jak nas pociesza Przybyszewski, „tylko mały ułamek niewinnych“. Reszta wszystkie były winne — no to jakoś lżej na sercu! a jednak dla tępych pozytywistów wystarczyło to „za powód, by mózdz napaść na kościół.“

Kwestyi nie ulega, że źródłem tych osobliwych objawów „satanicznych“ było średniowieczne skrępowanie naturalnych popędów, które wskutek tego skrępowania przybierały charakter wybuchowy, charakter szału. Ci, którzy temi więzami krępowali innych, a sami tem łatwiej korzystali z wolności, nie podlegali chorobie i mogli, jako stróże moralności, mordować chorych.

Rzecz dziwna, iż na innem miejscu, w swych dramatach Przybyszewski twierdzi znów, że nieskrępowanie „mści się.“ Tak więc w rezultacie „mści się“ zarówno skrępowanie jak i nieskrępowanie i niema napozór wyjścia z tego strasznego dylematu. Tymczasem wyjście jest, i to teoretycznie bardzo proste, choć praktycznie w daleką jeszcze przyszłość odsunięte; wyjściem tem jest, z jednej strony reforma społeczna, która wyrwie kobietę z więzów ekonomicznej zależności od mężczyzny, z drugiej — wdrożenie wychowaniem w duszę ludzką tej zasady, że jednostka nie ma prawa nakładać na drugą egoistycznie więzów zależności erotycznej; w interesie swobodnego rozwoju jednostki i w imię przysłych pokoleń instynkt miłości powinien pozostać wolnym — wszelkie krępowanie go w imię rzekomej moralności jest w najwyższym stopniu niemoralne.

„Ludzie, kończy Przybyszewski. po wszystkie

czasy, we wszystkich plagach nieba, we wszystkich męczarniach życia mieli tylko jedyne (?) wyjście — upoić się. I ludzkość upajała się zbrodnią i potwornością, a całe to upojenie dochodziło do szczytu w płciowej ekstazie tak, że nerwy się rwały, że człowiek sam ze siebie się wyłaniał, cierpiał i wił się w mękach, ale zapominał przynajmniej o tem, co było dla niego najstraszniejszym — że żyje, że żyć musi“.

Przybyszewski przedstawia kwestyę dość obiektywnie, zajmuje wobec niej stanowisko dość nieokreślone; a to rzecz dziwna, boć przecież nawet dziś jeszcze jest dość dyabologów, którzy z całym namaszczeniem usiłują wypędzać dyabła z takich np. Przybyszewskich.

Wartoby więc dla sił zatamowanych i zakumulowanych znaleźć inne, że tak powiem produkcyjniejsze ujście, niż „upojenie“ — wartoby, chociaż przez wdzięczność dla przeszłości, tradycyi: jeżeli *dyabłodzy* starali się, ba, nawet i dziś się starają, wypędzać dyabłów z ludzi, to analogicznie powinnyby się obecnie wykwalifikować *świnolodzy*, którzyby, i to z równą energią, wypędzali z ludzi — świnie.

Nie tędy droga szanowny panie!

»Rzecz jednak staje się nad wszelką miarę obmierzała i zgoła nie do zniesienia, gdy karzeł mizerny wylezie na szczudła, grzbiet garbaty purpurą okryje, wdzieje na głowę szychową koronę zdobną w kamienie fałszywe i mizdrząc się a pusząc, pisliwym falsetem wmawia w ludzi, że Salomon to głupiec... a on dopiero jest mędrcem prawdziwym, bohaterem i prawodawcą. To już w samej rzeczy nad siły człowieka grzesznego, każdy prawy mężczyzna (sic!) poczuje wtenczas chęć nie-przepartą zrzucić malca ze sztucznej wysokości, zamiast korony wbić mu po brodzie czapkę z dzwonekami, a szepnąwszy na ucho coś w rodzaju apelesowego, pilnuj szewcze kopyta, zwrócić do zajęć małym ludziom właściwych«.

Ks. Karol Niedziałkowski: »Nie tędy droga szanowne panie« str. 10, 11.



przytoczonych słów, które służą wybornie za »motto« do naszego artykułu, czytelnik może się przekonać, jakim to tonem przemawia do „szanownych pań“ ks. Niedziałkowski, stanąwszy na podwójne „szczudła“ swego stanowiska, męzkiego i księzęgo. Ton ten w dalszym ciągu staje się nie tylko „napuszony“, ale wprost ordynaryjny, pełen słów takich jak „głupota“, „mózg kurzy“ i t. d. Sam tytuł broszury zresztą: „Nie tędy droga szanowne panie“, zdradza pasterza przyzwyczajonego zaganiać stado owiec do strzyży, który zamiast pilnować „zajęć małym ludziom właściwych“ w swej niesłychanej zarozumiałości i pysze wkracza na pole nauki tak bardzo skomplikowanej, tak rozległego, tak wolnego od uprzedzeń kastowych umysłu wymagającej, jak socyologia.

Jeżeli ktoś staje wyłącznie na stanowisku wiary, to jest wolny od wszelkiej krytyki; wolno mu pisać,

co mu się żywnie podoba: „powie np. »*credo quia absurdum*« i „mózgi kurze“ będą z tego zupełnie zadowolone, mózgi zaś naukowe nie będą się treścią tego zajmować; mogą się zajmować tylko tego rodzaju osobnikami, jako przeżytkami z dawno minionej fazy rozwoju ludzkości. Jeżeli jednak który z takich osobników wkracza na pole naukowe i usiłuje argumentować, to choćby był augurem, podlega krytyce jakby człowiek zwyczajny.

Zobaczmy tedy jak dostojny autor *argumentuje*; naprzód jednak przedstawmy w krótkości *stanowisko ks. N.* w sprawie, którą się zajmuje, to jest w *sprawie emancypacji kobiet.*

Sprawiedliwość nakazuje zaznaczyć, że ks. N. zwraca się głównie przeciw emancypacji „pań“, podczas gdy ubogie robotnice znajdują u niego uznanie, a nawet pożałowanie. Zdawałoby się więc, przykro to powiedzieć, że stanowisko szanownego autora jest zgodne ze stanowiskiem socjalistów w tej sprawie; ale jest to naturalnie tylko złudzenie. Naprzód bowiem pojęcie „pań“ jest u ks. N. nadzwyczaj szerokie: dla niego „paniami“ są wszystkie kobiety, pragnące gruntownie się kształcić, choć przecież wśród nich jest bardzo wiele takich, co pracują o chłódzie i głódzie. Cały więc ten demokratyzm ks. N. ma za źródło nie tyle miłość dla przeciążonych pracą, ile nienawiść dla pożądanym wiedzy. Przytem, platoniczne pożałowanie ks. N. dla ciężko pracujących robotnic nie na wiele im się przyda, gdyż za cały środek wybrnięcia z trudnego położenia, radzi im powrót do utraconej jakoby wiary. Stanowisko więc ks. N. jest bliskie tak zwanego socjalizmu katolickiego, który służy („für dumme Kopfe“) jako

szczepienie ochronne przeciw socyalistycznej „chorobie“ (czy tam „poganizmowi“) i tym się od niej wyróżnia korzystnie, że w miejsce praw człowieka stawia litość, w miejsce poczucia godności — pokorę; przytem wiąże on się zawsze bardzo ściśle z drugim środkiem leczniczym na „chorobę“ — puszczaniem krwi, znanem pod nazwą antysemityzmu (nie dziw też, że broszura ks. Niedziałkowskiego została wykołyszana w „Roli“ przez p. Jeleńskiego).

Przechodzimy teraz do argumentów ks. N. przeciw dążeniu kobiet do kształcenia umysłu, wogóle — do równych praw z mężczyznami. Dążenia te uważa ks. N. za głupie, niedorzeczne, grzeszne, pogańskie — albowiem kobieta jest fizycznie i umysłowo niższą od mężczyzny i nie wydała geniuszów. Jako słabsza powinna być pod panowaniem mężczyzny, a jako głupsza nie powinna się kształcić. Szan. autor przejęty dumą z tej swojej zasługi, że jest mężczyzną, woła: „wy panie potrzebujecie zawsze jakiejś pomocy, a my, myśmy sobie wszystko sami zdobyli, my jesteśmy plemieniem geniuszów“. Zapewne, tylko że tem „my“ należałoby postugiwać się ostrożniej, mógłby bowiem ktoś zaprotestować przeciw zbytnej konfidencyi. Ks. N. nie zwraca na to bynajmniej uwagi, że nie wszyscy mężczyźni są geniuszami, że są przecież mężczyźni, nie wybiegający umysłem po za fazę pierwotną, mitologiczną, przeciętni; ba idyoci, którzy jednak mają prawo do zyskownych posad, mogą zabierać głos w kwestyach publicznych, pisać broszury, dzieła itp.; dla czegożby więc wiele kobiet rozumnych nie miało mieć takich samych praw, jakimi cieszą się i imponują mężczyźni-idyoci? Szanowny autor drwi sobie

rubasznie z umysłowości różnych „profeserek“ i „doktorek“; z których według niego „nie wiele pociechy“ — a jednak wobec potęgi umysłowej takiej Zofii Kowalewskiej, która rozwiązywała najtrudniejsze zagadnienia matematyki wyższej, lub takiej Klemencyi Royer, która wyprowadzała najdalsze konsekwencje z teorii Darwina, tych kobiet, przed którymi schylały się ze cziłą głową największych umysłów ludzkości; wobec tych (i nietylko tych) kobiet, umysły wielu mężczyzn zarozumiałych i pewnych siebie wydają się takimi „karłami“, że im żadne „szcudła“, żadne „puszenie się“, żadne, choćby najbarwniejsze szaty, wkładane na „grzbiet“, żadne „sychowe czapki“ na głowie nie są w stanie nadać powagi.

Ks. N. nie zważa na to, bo ma on za sobą liczne argumenty, które czerpie ze wszystkich dziedzin wiedzy: z historii, biologii, a zwłaszcza pisma św., oraz z głębokich dzieł filozoficznych p. Jeske-Choińskiego. Ponieważ, mówi autor, kobieta dotąd przez tyle wieków praw takich nie miała, to widać leży już to w jej naturze i to dowód, że praw tych mieć nie powinna! Logika tego dowodu zaczerpnięta od pana Sienkiewicza (vide Połaniecki) jest naturalnie „mistrzowska“, przy jej pomocy da się dowieść, że np. prostytutcyca nigdy istnieć nie przestanie, ponieważ istnieje przez tyle wieków; ba przy pomocy tej logiki może się nawet pocieszać niejeden starowina, że nigdy nie umrze, ponieważ przez tyle lat ani razu nie umarł. Gdyby argument ten miał siłę zakazu — żadna zmiana, żadna reforma nie mogłaby być zaprowadzona na świecie. Ale szanowszy autor ma w swym kramie i mocniejsze argumenta: nie waha on się użyć takiego:

„kto czegoś nie posiada, to widać „nie miał siły“ tego zdobyć, a zatem „nie ma prawa do posiadania“. To znaczy, że ks. N. nie wahał się stanąć na stanowisku darwinizmu, a nawet więcej — na stanowisku bismarkowskim, t. j. przeniósł darwinizm żywcem z biologii do socyologii. Moznaby przypomnieć ks. N., że tym sposobem wypiera się on swego stanowiska chrześcijańskiego i staje na potępionem przez siebie — pogańskim, iż w dalszej konsekwencji musiałby odmówić wszelkich praw kalekom i starcom, nawet skazywać ich na śmierć, jako słabych.

Nad zarzutem, że emancypacja jest niemożliwą, ponieważ studia naukowe zmusiłyby kobietę do rozbratu z rodziną, jako nad zbyt naiwnym i oklepanym, zastanawiać się nie będę¹⁾; podniosę tylko ciekawe przeciwstawienie. Ks. N. dodaje: gdy to czyni zakonnica, to co innego, bo nie dla marnych studyów naukowych, nie dla zostania bezużyteczną profesorką lub doktorką, lecz „Bogu i ludziom na pożytek“; ciekawa rzecz na co może być pożyteczny pasorzyt? Szarytki stanowią tu wyjątek, ale nie koniecznie trzeba zostać szarytką, aby z poświęceniem doglądać chorych; dowiodła tego dzuma w Wiedniu.

Jak to, rzuca mordercze pytanie ks. N., dzisiejsze głupie emancypantki z „kurzym mózgiem“ śmiały myśleć, że dokonają tego (wyzwolenia kobiet), czego tylu królów (np. Henryk VIII!) i papieży (np. Aleksander Borgia!) nie dokonało? A toż to właśnie całe szczę-

¹⁾ Krakowscy przeciwnicy emancypacji sami doprowadzili ten argument *ad absurdum* twierdzeniem, że studia naukowe nie pozwoliłyby kobietom prowadzić smacznej kuchni w domu, wobec czego mężczyźni musieliby się demoralizować w handelkach!

ście ludzkości, że umie ona dokonywać takich rzeczy, jakich ani królowie, ani papieże nie dokonywają.

Ale zresztą „co tu gadać“, woła zniecierpliwiony ks. N., że już tak długo raczy zajmować się takim drobiazgiem: „pismo św. mówi jak najwyraźniej: pod *mocą* będziesz mężową, a on będzie *panować* nad tobą — św. Paweł też zaleca, aby białogłowy były mężom swym *poddane*, zresztą tak już Bóg rzeczy te urządził i odmienić tego nikt nie zdoła, *podobnie* jak tego, że człowiek nie ma skrzydeł“. Argument ten nie jest nowy: używali go mnisi przeciw inżynierom angielskim, chcącym usplawnić rzeki hiszpańskie, które „już tak Bóg urządził, aby nie były spławne“. Analogia praw społecznych ze skrzydłami jest też argumentem śpiżowym. Ale ks. N. na punkcie analogii jest niewyczerpany i wysoce oryginalny: kobiety muszą być niższe i nie powinny się tem martwić, „albowiem tak już te rzeczy Bóg urządził i to jest bardzo mądrze, a to dla tego, że kobiety są jak trawy a mężczyźni — jak wysokie drzewa; otóż drzewa bez traw wyglądają smutno („bez kobiet jam fryc“, śpiewa aktor jakiejś operetki): smutku z tego braku doświadczył dostojny autor w swej podróży do Ziemi Świętej, gdzie drzewa sterczą samotnie. (Ciekawa rzecz dla czego jednak w ziemi tak uprzywilejowanej nie dano drzewom trawy dla rozweselenia?)

Sprawiedliwość, znów każe mi przyznać, że ks. N. nie zabrania kobietom wszelkiej nauki, ale ma swój program pedagogiczny, który kulminuje w tem, że „należy między innymi usunąć z nauk rysunki a za to zwiększyć ilość godzin katechizmu“; to znaczy: usunąć najpotężniejszy środek rozwijania zmysłu

obserwacyi, a wzmocnić najpotężniejszy środek, że tak powiem, uspokojenia myśli. Tak więc program dostojnego pedagoga zdąża do stłumienia za jednym zamachem dwóch najważniejszych władz poznawczych człowieka. Nie dziw, że mając tak gruntowny pogląd na pedagogikę, szanowny autor może twierdzić, iż nauka w Ameryce północnej jest „szablonowa i martwa“ i stąd „zabija samodzielność i inicjatywę“ (uwaga czytelniku, że to nie omyłka pióra, ani też kpiny!), — i że „Ameryka nie posiada uczonych“ (dla tego według ks. N. kwitnie tam emancypacja). Czy też szanowny autor słyszał co o geologii, geografii, etnologii i t. p. naukach, czy widział kiedy amerykańskie czasopisma tym naukom poświęcone? A po cóż mu to, kiedy mu filozof ks. Dębicki wyjawiał „prawdę“, że „nauka zbankrutowała z kretelem“ — tak zapewne — a za to zapanowały: bezczelność i idyotyzm!¹⁾

Wreszcie ks. N. używa jeszcze jednego środka na grzeszne a tchórzliwe kobiety: chce je zastraszyć i roztacza przed niemi zgrozą przejmujące obrazy, gdyby prąd emancypacyjny, wogóle gdyby nowe

¹⁾ To rozwrzaskiwane „bankructwo nauki“, jest bankructwem tych jedynie jej twierdzeń, które nie były oparte na gruncie „badawczym“, lecz podane na „wiarę“. Tym sposobem nauka zbankrutowała o tyle, o ile posługiwała się taką metodą, jaką posługują się arendarze wszystkich systemów mitologicznych; gdy więc szamani głoszą z takim zapałem o bankructwie nauki, przypomina się pewien szewc z komedyi: chroniczny pijak, zataczający się bezustannie, chcąc zdyskredytować swego przeciwnika, który wypił jeden kieliszek, mówi: „ja, jak Boga kocham, nie jestem pijany, ale ten to się urznął!“

prądy zwyciężyły. Wtedy, woła dostojny autor, będzie to „spoganienie społeczeństwa“¹⁾.

Dawszy tak szczęśliwą nazwę nowym prądom, wyprowadza z niej wszelkie konsekwencje: kobieta zamiast się wyzwolić, wpadnie znów w przemoc mężczyzny, jako spoganionego (ale przecież ks. N. sam przytaczał słowa pisma św. uprawniające tę przemoc); żąda ona, mówi autor, rozwodu, obalając chrześcijanizm, a jednak (?) pragnie niezależności (rozwód i niezależność kobiety według ks. N. wykluczają się wzajemnie!) „Podobną jest do człowieka, który ścina drzewo owocowe, ale chce, by ono po dawnemu rodiło“ (owszem: nie chce, by po dawnemu rodiło takie owoce, jak: „poddanie białogłowy mężowi“ itd.). Ks. N. nie pojmuje, że można dążyć do fazy rozwojowej, któraby oddaliła się bardziej od poganizmu,

1) Cennej pracy ks. N. ukazało się po napisaniu tych słów naturalnie już drugie wydanie, w którym autor rozkoszuje się, iż widocznie „trafił w sedno“, skoro spotkał się z krytyką „postępców i masonów“, a chociaż trafił, to jest tak wspaniałomyślny, że raczy wyjaśnić jeszcze dokładniej swe poglądy i przytoczyć parę jeszcze mocniejszych argumentów jak np. że „najlepszym dowodem, iż kobieta jest stworzona wyłącznie na żonę i matkę (a stąd na ciasnotę horyzontu umysłowego) jest to, że kobiety niemające rodziny ciągle czegoś szukają, czegoś pragną“, podczas gdy w tem samem położeniu mężczyźni (księża) oddają się spokojnie „modlitwom, kaznodziejstwu, misjom, pisaniu ksiąg“ (i jakich jeszcze!) i t. d. — Zapewne, tylko, że ks. N. przez nieuwagę zapomniał dodać, że mężczyźni, zajmując się temi wzniosłemi rzeczami, składają wszelkie troski domowe na łono gospodyń (podczas, gdy kobiety rzadziej posługują się gospodarzami), a te, lubo według świadectwa ks. N. nie odznaczają się „tęgiemi głowami“, to z drugiej strony mogą jednak tęgością swoją usuwać od swych pryncypałów wszelkie troski i trudy „pragnień i poszukiwań“.

niż chrześcijaństwo; nie pojmuje, że kobieta nie tak znów wiele na tem zyskała, że zamiast przymusowej poligamii, otrzymała przymusową monogamię i to równie fikcyjną, jak celibat księży. Wszakże według takiego zwolennika nierozzerwalności małżeństwa i wogóle według takiej powagi w rzeczach wiary, moralności i obowiązków mężowskich, jak pan Sienkiewicz, nawet Połaniecki, będący „w porządku“ ze wszystkimi swemi funkcjami od kiszkowych i kieszeniowych aż do moralnych — nawet taki ideał, taki »*ecce homo*« pana Sienkiewicza, nie mógł wytrwać w monogamii, tak iż Bóg sprawiedliwy musiał za jego sprawki karać ciężką chorobą jego wzorową żonę, spełniającą wszelkie przepisy katechizmu. Cóż kobieta dalej zyskała na tem, że zamiast pięści poganina wiąże ją do męża stuła, która zresztą wcale pięści (chrześcijańskiej) nie wyklucza, jak to stwierdza sam ks. N., gdy w innem miejscu, gdzie trzeba mu było dowodów, że kobieta jest słabsza fizycznie, dostojny autor mówi we właściwy mu sposób milejowialny: „rzadki chłop nie zdoła wyprać jak się patrzy swej baby, ile razy potrzeba tego wymagać będzie“; a jednak wszyscy się zgadzają, że do ludu naszego „zaraza jeszcze nie doszła“, że lud jest „z gruntu chrześcijański“. Tymczasem żona „poganina“ (jak go nazywa ks. N.), Micheleta wspomina o mężu ze czcią i w jego imieniu występuje w obronie pokrzywdzonych, „gdyż on gdyby żył, postąpiłby tak samo“. U nas, w kraju religijnym i katolickim kwitnie donżuanerya uliczna, a kobiety, podróżujące same kolejami, narażone są na brutalne napaści mężczyzn; w „pogańskiej“ zaś Ameryce, gdzie emancypacya pogańska,

tak się rozrosła, kobieta może bez obawy wszędzie sama podróżować i t. d. i t. d.

Widać więc, że z jednej strony chrześcijaństwo nie chroni kobiety od gwałtu, a z drugiej „poganizm“ nie czyni jej ofiarą. W dawnym zaś razie, czyż może przeciw brutalności „pogańskiej“ występować ten, co częstuje ludzkość „szubienicami“ (ob. niżej), a nazwę „pogan“ nadałby ludziom takim jak Shelley lub Guyau?

Podobną wartość mają i inne konsekwencye, wyprowadzone przez ks. N. z dowolnej nazwy „pogan“; tak np. „poganie“ mają być „głupimi i złymi i są w sądach o rzeczach *natury* nadzwyczaj powierzchowni“. Czy tymi „poganami“ mają być dzisiejsi badacze natury w stosunku do ks. N., czy choćby poganie greccy w stosunku do chrześcijan doby scholastycznej? Czyż autor myśli, że cała czytająca ludzkość składa się z idiotów, aby słowom tym mogła uwierzyć? Poganie, według dalszych konsekwencyi ks. N., „cenią jedynie pieniądź“; to prawda! — wiadomo, jak to „chciwie“ poganie zbierają grosze chorych biedaków w Lourdes, jak są czuli na świętopietrze!

Pośród tej grozy „poganizmu“ pociesza ks. N. kobiety nadzieją, że „reakcyja chrześcijańska zwycięży“ i, jak to mamy przykład z dzisiejszych wypadków we Francyi (no i z „szubienic“ zalecanych przez ks. N.), będzie się starała za pomocą sądów tajnych i fałszowanych dokumentów gubić ludzi niewinnych, zwłaszcza Żydów, bo, jak twierdzi ks. N. „rzeczą jest pewną, że żydzi rodzą się z usposobieniem do chciwości, wykrętów i nienawiści“ (rzecz dziwna, bo przecież księdzu N. dobrze wiadomo, że to „naród wybrany!“). Jedyne zbawienie kobiety, jedyny

sposób uwolnienia jej od krzywd i przemocy mężczyzn, widzi ks. N., jak wspomnieliśmy, w powrocie do wiary; bo nawet wzrost kapitalizmu, wyzysk fabrykantów uważa nasz demokratyczny socyolog-ekonomista za wynik spogania. Tak więc środkiem osiągnięcia lepszego bytu dla robotnic jest skombinowany wzrost katolicyzmu z jednej strony wśród robotnic, z drugiej wśród fabrykantów.

Co do tego, w jaki sposób religijność robotnic ma poprawić ich dołę, trudno to zrozumieć; niedawno czytałem ogólne zachwyty naszych pism nad jakąś robotnicą, która na budowę kościoła koło fabryki ofiarowała znaczną sumę pieniędzy, oszczędzanych przez długie lata z nędznego zarobku. Biorąc rzecz ze stanowiska czysto ekonomicznego, nie widać w tem bynajmniej polepszenia bytu, uwolnienia od wyzysku, lecz raczej jego zdwojenie.

Korzystniejszy na pozór rezultat otrzymalibyśmy z powrotu fabrykantów do chrześcijaństwa; ale i ta nadzieja jest tylko złudzeniem. Przypuśćmy bowiem, że fabrykant stanie się chrześcijaninem-katolikiem, nawet, tak doskonałym, jak sam dostojny autor omawianej broszury, to i cóż, czyżby to uwolniło robotnice od wyzysku? — bynajmniej: gdyby kobiety zaczęły domagać się lepszego losu, wyższego wynagrodzenia, dość by mu było, idąc za metodą ks. N., nazwać to żądanie „pogańskim“ i zastosować do nich, jako do „poganiek“, taką „miłość bliźniego“, jaką radzi ks. N., t. j. „wysłać na nich hajduki i żołnierze i pozaczepiać je na szubienicach wysokich“ (według tej samej metody postępował z Murzynkami osławiony Peters). Zresztą sprawiedliwość nakazuje mi wystąpić

stanowczo w obronie kapitalistów i przedsiębiorców, mianowicie w obronie ich chrześcijaństwa przeciw tak krzywdzającemu posądzeniu ich przez ks. N. o „poganizm“.

Wiadomo przecież każdemu, że przedsiębiorcy, fabrykanci bardzo często składają znaczne ofiary na budowę kościołów koło fabryk i osadzanie tam księży; że w sporach z robotnikami zdają się przykładowo na sąd księdza, który zwykle potrafi wpłynąć na nieposłusznych umoralniając, tłumacząc im, że żądania ich są brudnym materyalizmem, grzechem, „poganizmem“; że Bóg nakazuje pokorę, przestawanie na małym; że owszem, najuboższy z zapłaty swej powinien jeszcze coś zaoszczędzić na kościół, a Bóg go w przyszłym życiu za to wynagrodzi. — Że perswazyje takie wydają zbawienne owoce, widzieliśmy wyżej. Zdarza się prócz tego często zauważyć, że wielu ludzi, dość obojętnych w rzeczach wiary, stawszy się przedsiębiorcami, zmieniają się bardzo korzystnie: stają się ludźmi głęboko religijnymi, uczęszczają punktualnie do kościoła i dają tym sposobem „dobry przykład“ robotnikom.

Nawet przedsiębiorcy literaccy, wśród których idee „pogańskie“, zdaje się, powinnyby najwięcej znajdować posłuchu, nie stanowią pod tym względem wyjątku; tak np. dobry znajomy księdza N., pan Jeleński, którego wydawnictwo, „Rolę“, ks. N. uznał, i bardzo słusznie, za rodzaj ambony, za najdogodniejsze miejsce do głoszenia swych słów umoralniających, ów p. Jeleński pisywał niegdyś w „plugawym“ „Prze-głądzie Tygodniowym“, ba, považał się nawet krytykować księży, był więc niezaprzeczenie „poganinem“;

gdy jednak tylko stał się przedsiębiorcą interesu antysemickiego, zrobił się odrazu jako „niezależny“, zupełnie innym człowiekiem: o księżach, zwłaszcza prenumerujących „Rolę“, wyraża się z taką czcią, z takim uniesieniem, jak „najniezależniejszy“ organista lub najdoświadczeńsza gospodyni; jest więc bez najmniejszej wątpliwości wiernym „chrześcijaninem“. Do tych zalet dodać należy, iż zasłużył on się jako obrońca oszustów literackich, piszących powieści „moralne“, oraz jako denuncyant czytelników, które „demoralizowały“ czytelników bezpłatnie temi samymi książkami, któremi p. Jeleński w swej czytelnicy umoralniał za pieniądze. Wreszcie dzięki p. Jeleńskiemu ogół nasz mógł zapoznać się i zbudować pracami szanownego ks. N. Tak więc ks. N. zarzucając przedsiębiorcom „poganizm“, krzywdzi ich dobre imię i staje w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy.

Pracę swą, wskazującą kobietom właściwą drogę postępowania, koronuje ks. N. niezbitym argumentem: »*per crucem ad lucem*«. Siła logiczna tego argumentu polega na niewzruszonych prawach — deklinacji łacińskiej, według której „lucem“ rymuje się z „crucem“. Za faktyczny zaś jego sprawdzian może posłużyć np. Hiszpania, która, wydawszy jezuitów i inkwizycję, będąc najwierniejszą i najukochańszą córką kościoła katolickiego, wylała w jego imieniu morze krwi; która znaczyła swą drogę dziejową przez wznoszenie krzyżów i szubienic, jako dylematu miłości chrześcijańskiej; której stopa, jak stopa Atylli, pozostawiła wszędzie pustynie i doszła do takiego „lucem“, że ma największą ilość analfabetów w Europie i stała się hańbą

imienia ludzkości¹⁾. Ale po co tu Hiszpania: sprawdzian faktyczny możemy znaleźć w samej broszurze ks. N., który jak najwyraźniej twierdzi, że gdy ktoś wysyła hajduki i żołnierze, a wyłapawszy zbójów, zaczepia ich na szubienicy wysokiej, to jest miłość bliźniego“; przyczem przez wyraz „zbójce“ dostojny autor robi aluzję do różnych postępowych „fałszerzy, wykrętaczy i głupców“. — Oto co znaczy „lux“, oto co robią „wykrętacze“ ze wzniosłej nauki Chrystusa i w jaki sposób walczyliby dziś jeszcze, gdyby mieli władzę!

Tak więc argument ks. N. byłby w zgodzie z faktami tylko pod warunkiem, że przez „lux“ należy rozumieć „szubienice w wysokie“, płomienie stosów i łuny pożarów!

Ale mniejsza już o to, mniejsza o stronę faktyczną; dla mnie ważniejszą jest w tej chwili strona formalna argumentu ks. N., bo ona daje miarę, jaki jest gatunek umysłu autora, który tak z wysoka traktuje umysłowość kobiet. Ażeby ks. N. mógł swój argument i całą wogóle pracę zobaczyć niejako w lustrze, zrobię następujące przepuszczenie. Przypuszczę, że jestem

¹⁾ W nowym wydaniu swego opus u ks. N. tryumfuje nad moim „nieuctwem“, mianowicie „nieznawstwem logiki i historyozofii“, bo oto, wykrzykuje „uczenie“ ks. N.: „inkwizycję wydała nie Hiszpania, lecz Francya“. — „Historyozofia“ ks. N. polega na tem, że pierwsze sądy kościelne nad heretykami były ustanowione w Tuluzie. Jeżeli jednak ktoś stoi nie na stanowisku najbardziej typowych objawów życia, jak ja, lecz na stanowisku urzędowych akt, jak ks. N., to powinien twierdzić raczej, że inkwizycję wydały Włochy, ponieważ papież ustanowili pierwszy trybunał inkwizycyjny w Rzymie. — Dla czegoż ks. N. zapoznaje zasługi papieża dla ludzkości w tym względzie?

Turkiem i to nie byle jakim, stworzonym „do zajęć małym ludziom właściwych“, lecz baszą; mam wysokie wyobrażenie o swym umyśle, czuję, iż jest nieskończenie wyższy od kobiecego, albowiem: 1) jestem mężczyzną; 2) jestem baszą; 3) przeczytałem (jak ks. N.) „historię Cezarego Cantu do samego końca“; 4) zgłębiłem (jak ks. N.) wszystkie dzieła znakomitego tureckiego filozofa, Jeske Choińskiego i mogę je w każdej chwili cytować. Pomimo to jednak, a raczej dlatego właśnie, nie posiadam tak dalece zmysłu historycznego, że uważam mahometanizm za ostatnią i najwyższą fazę w rozwoju ludzkości, oraz nie posiadam tak dalece zmysłu naukowego i filozoficznego, iż jestem najpewniejszy, że w kwestyach naukowych wystarcza zdrowy rozum, wystarcza argumentowanie rymami, analogiami, przysłowiami, wnioskami z dowolnie nadawanych nazw, cytatami z koranu i t. d. Przypuśćmy dalej, że jako basza mam liczny harem i chodzi mi naturalnie o jego utrzymanie przy sobie: tymczasem kobiety tureckie zaczynają narzekać na instytucję haremu, chcą mieć dozwolony swobodny wybór męża, wolność chodzenia z odsłoniętymi nosami i t. p. Oburzony taką „niemoralnością“ i „kręctwem“, takim sprzeciwianiem się prawom Proroka, piszę broszurę; przyzwyczajony przemawiać rozkazująco do eunuchów, piszę ją tonem imponującym, nie znoszącym opozycji: dowodzę wyżej zaznaczonemi argumentami, którymi zawsze przekonywałem eunuchów, że instytucya haremu jest utworem Allacha, że leży w naturze rzeczy, jako istniejąca od wieków, iż nikt nie może jej zmienić, ponieważ ani sułtani, ani

muły tego nie dokonali. Wreszcie kończę argumen-
tem kulminacyjnym:

Przez proroka Mahometa Bóg obja-
wił swe sekreta!

Czyż postępowanie moje byłoby różne od po-
stępowania ks. N. i czy mój kulminacyjny argument
byłby gorszy, niż jego? Bynajmniej; owszem: będąc
logicznie zupełnie tego samego gatunku, byłby z in-
nych względów nawet lepszy. Naprzód bowiem rym
jego nie jest gramatyczny, a powtóre argument mój
nie da się tak łatwo obalić faktami, jak argument
ks. N., bo podczas gdy każdemu wiadomo, do jakiego
to lucem doprowadził Hiszpanię crux, któż wie, jakie
są naprawdę boskie sekreta?

Tak więc widzimy, że gdyby zgodzić się na
sposób argumentowania ks. N., to możnaby dowieść
wszystkiego, co się tylko żywnie komu podoba, np.,
że niemożliwi są antypodzi, bo jakżeby ludzie mogli
chodzić do góry nogami; że słońce obiega dokoła
ziemię, a nie odwrotnie, bo tak twierdził nieboszczyk
Jozue, że nietoperze są ptakami, bo latają, że wielo-
ryby są to ryby, ponieważ pływają i ponieważ wy-
rażenie to bardzo ładnie, a zwłaszcza bardzo oryginal-
nie się rymuje, i t. d. i t. d.

Tego rodzaju argumenty działają wprawdzie
magicznie na umysły przeciętne, nie umiejące myśleć;
działają samym dźwiękiem bez względu na sens;
dość takiemu człowiekowi powiedzieć: »*Omne trinum
perfectum*«, a wypije trzeci kieliszek, choćby nie był
lingwistą; dość powiedzieć: która kura dużo ryczy,
mało mleka daje“, a będzie zupełnie przekonany, że
kobiety nie mają racji itp. Umysły takie, gdy po

„głębokiem zadumaniu się“ postanowią o czemś napisać, to piszą śmiało i bez przytomności, są bowiem przekonani, jak „muzykanci“ Kryłowa, że aby pięknie zagrać, dość jest mieć tylko odpowiednie siedzenie, ani się domyślają, że do tego potrzeba mieć odpowiednie ucho, oraz umiejętność.

Ztąd to pochodzą utwory tego typu, co broszura naszego szanownego autora. Nie dziw też, że jakieśmy widzieli, zarzuty jego czynione umysłowości kobiet, „krętaństwu“ i „głupocie“ postępowców, „interesowności“ uczonych — zwracają się przeciw niemu samemu; jego ton ordynaryjny zdradza blizkie duchowe pokrewieństwo z redakcją „Roli“; jego pragnienie stawiania „szubienic wysokich“ wykazuje prawdziwego poganina, nadużywającego imienia Chrystusa; jego rady dawane kobietom, jaką drogę obrać mają, by wyjść z trudnego położenia, chyba „nieuk“ lub hipokryta mógłby wziąć na seryo. Każdy mający choć trochę więcej mózgu niż „kura“ i choć trochę uczciwości zrozumie, iż ztąd, że Bartek „zawsze spierze swę babę, gdy tego zachodzi potrzeba“ i że Św. Paweł nakazuje, by „białogłowa była poddana mężowi“ nie wynika bynajmniej, iż kobieta nie powinna mieć praw równych mężczyźnie i swobodnie sobą rozporządzać; a ztąd, iż *crucem* rymuje rymuje się z *lucem* nie wynika, że wiara może uwolnić kobiety-robotnice od wyzysku kapitalistów, gdyż w rzeczywistości, jak widzieliśmy, do brutalnych środków wyzysku dodaje ona moralne.

Ażeby wreszcie okazać do jak trafnych i zbawienych rezultatów doprowadziłaby w praktyce logika ks. N. wyobraźmy sobie, iż żyje on w czasach Ko-

lumba i że należy, (a z pewnościąby należał!) do liczby tych szanownych dostojników kościoła, którym przysługiwało prawo ocenienia wartości pomysłów Kolumba. Otóż ks. N. powiedziałyby do niego stylem swej broszury: jakto? ty głupcze, obszarpańcze, krętaczu, arlekinie — tybyś miał dokonać tego, czego żaden król, żaden papież, żaden biskup nie zdołali dokonać; czego nie dokonaliśmy my, Hiszpanie, przez tysiące lat odkąd ziemia istnieje — ty chcesz dokonać tego? — to się sprzeciwia słowom Pisma św., ty chcesz ludzkość zdemoralizować, spoganić. Hajducy wzięć go i zaczepić na szubienicy wysokiej!

Oto, coby zyskała ludzkość, broniona od „spoganienia“ przez pp. Niedziałkowskich!

Nie! — nie tędy droga, szanowny panie!

Kopnięcie umierającego lwa.



nany zwolennik chińszczyzny, autor „Bankructwa umysłowego“ i napaści na Zolę („Zola i Wolter“), ksiądz Dębicki, rzucił się obecnie na innego mocarza duchowego, Nietzschego: zamieścił mianowicie w „Tygodniku Ilustrowanym“ utwór rymowany, poświęcony „zwolenniczkom Nietzschego,“ w którym, pragnąc widocznie, usprawiedliwić wkroczenie kapłana chrześcijańskiego na Parnas, dokumentuje swój kult obowiązkowy dla religii miłości w ten sposób, że złożonego niemocą lwa, niemogącego się już bronić, lży najostatniejszymi wyrazami: zowie go „zbiorem podłym,“ który „chce wypłynąć wśród łotrów powodzi,“ który ma „wytarte czoło,“ którego jedynym „celem życia są złoto, hołdy,“ który ma serce twarde, który jest wreszcie „arlekinem, szakalem, złodziejem“ !

W obelgach tych uwydatnia się bezwątpienia szczerłość uczuć chrześcijańskich księdza Dębickiego oraz szlachetna delikatność jego duszy: zamiast do złamanego cierpieniem filozofa iść z Chrystusowemi słowy pociechy i ukojenia, ksiądz Dębicki rzuca mu się do oczu z pięściami, wołając „ty złodzieju!“

Ale wyrzeknijmy się łatwych tryumfów zestawiania słów księdza Dębickiego z jego charakterem służgi Chrystusowego, wogóle porzućmy stronę etyczną tego wystąpienia, która jest aż nadto jasną, aby potrzebowała jeszcze oświecenia — i zajmijmy się jego stroną logiczną, oraz pobudkami.

Logika ks. Dębickiego (szczera, czy udana) była bezwątpienia taka: ponieważ Nietzsche głosił, że trzeba być twardym, bezlitosnym, zdobywczym, brutalnym, i t. d., a zatem Nietzsche jest takim samym, więc „zbiorem, szakalem, złodziejem“ i t. d.

Zastosujmy dla próby tę logikę do niektórych wypadków.

Ponieważ Mickiewicz piorunował na „głupią miłość ojczyzny,“ więc był jej wyrodnym synem.

Ponieważ Erazm Roterdański napisał „Pochwałę głupoty,“ więc był głupcem.

Ponieważ Newton wyrzekł, iż wydał się sobie „jak dziecię, igrające nad oceanem prawdy, który niezbadany i niezbadalny przed jego roztaczał się wzrokiem“ — więc wiedza Newtona i wiedza wogóle jest marna (toż samo zastosowanie swej logiki zrobił ksiądz Dębicki w „Bankructwie umysłowem“).

Ponieważ normalny literat warszawski oburza się na niemoralność, więc jest on wzorem moralności.

Ponieważ Zola opisuje rzeczy plugawe, a zwłaszcza prawdziwe (starannie ukrywane przez mających w tem interes), więc jest „literatem plugawym“. I tego zastosowania próbował ksiądz Dębicki w artykule „Zola i Wolter“ (*Przegląd katolicki*).

Ponieważ każdy ksiądz głosi naukę Chrystusa, nakazującą miłość bliźniego i ubóstwo, więc każdy ksiądz kocha wszystkich bliźnich, nie wymyśla im od „złodziejów“, nie ma żadnej nienawiści w sercu i jest ubogi.

Ponieważ ksiądz Dębicki pisał przeciwko nauce, więc — jest nieukiem... i t. d.

Przynajmniej do ostatniego wypadku ks. Dę-

bički nie chciałby, prawdopodobnie, stosować swej logiki (jakkolwiek nie można twierdzić, aby ona była zawsze bezwarunkowo błędną). A jednak w poprzednich wypadkach jest ona jeszcze mniej trafną.

Całe nieszczęście polega na tem, że ks. Dębicki, jakkolwiek kandydat na katedrę filozofii, do bardzo skomplikowanych objawów psychicznych przystosowywał bardzo grube narzędzie logiczne — zdrowy albo chłopski rozum. Jest to ulubione narzędzie księdza Dębickiego, zapewne jedyny pozytywny rezultat jego zagłębiania się w metody chińskie („Przyszłość Chin“): stosował on to narzędzie już zresztą szeroko w „Bankructwie umysłowem,“ gdzie krytykował największych geniuszów myśli ludzkiej, odwołując się do „zdrowego rozsądku“ czytelników „Tygodnika Ilustrowanego“! Tym sposobem, zgromadziwszy sobie audytorium z odpowiednimi mózгами, można wydrwić nawet system kopernikański lub zdobycze analizy spektralnej. W ten sam też sposób różni szanowni koledzy księdza Dębickiego po fachu z przed paruset lat, wydrwili z równym skutkiem istnienie antypodów.

Wiadomo przecież, że ten chłopski rozum, nawet wobec mniej skomplikowanych zjawisk natury, prowadzi często na manowce, nie potrafi wybrnąć z pozornych sprzeczności: nie pojmie on nigdy np. żeby brak jezior (w górach) mógł być oznaką wielkiej ilości deszczów; żeby przez wzniesienie poziomu jeziora głębokość jego (średnia) mogła się niekiedy zmniejszyć; żeby dolina mogła być i to najczęściej wypukłą formą powierzchni ziemi¹⁾); żeby

¹⁾ Mianowicie, gdy zbocza doliny, wznosząc się w obie strony od pewnego punktu sferoidu, leżą jednak niżej od płasz-

ruch plam na słońcu od wschodu na zachód mógł być oznaką, iż słońce obraca się od zachodu na wschód itd., itd.

W jakiż więc sposób ów chłopski rozum zdołałby sobie poradzić z bardziej skomplikowanymi zjawiskami ducha ludzkiego, które przytem niedość jest zrozumieć, trzeba je jeszcze odczuć.

Stosunek twórcy do ideału przezeń stworzonego, wogóle stosunek czynów jednostki do jej słów, jest bardzo różnorodny i skomplikowany i nieraz tylko za pomocą bardzo subtelnych narzędzi psychicznych da się zrozumieć i określić. Stosunek ten należy przedewszystkiem podzielić na udany i szczery.

Udanie może być albo ironią albo hipokryzyą, obliczoną na zysk, bądź osobisty, bądź kastowy. Jeżeli więc ktoś chwali głupotę przez ironię, jak Erazm, to nie wynika stąd bynajmniej, że jest jej zwolennikiem, głupcem. Jeżeli ktoś występuje przeciw nauce dlatego, że posiadanie jej przez masy ludowe uważa za niebezpieczne dla stanowiska swojego lub swej kasty, to może jednak (lubo nie zawsze) mimo to posiadać naukę. Jeżeli literat głosi moralność dlatego, że głoszenie takie obecnie u wydawców popłaca, to mimo to może prowadzić życie najniemoralniejsze: może np. występować przeciw niemoralności „idealnych żon,” a może być czarnym niewdzięcznikiem, korzystającym z miłej uprzejmości żon takich; może w pobożnych powieściach napadać na materyalistów

czyzny stycznej, w punkcie tym do sferoidu poprowadzonej. Tak np. zagłębienie oceanu Atlantyckiego jest wypukłe; aby było wklęsłe, musiałyby być, jak obliczył Lapparent, przeszło 150 razy głębsze.

a być sam w życiu materyalistą, ba, nawet szubrawcem.

Weźmy teraz stosunek szczery, gdy głoszący wypowiada to, co rzeczywiście myślał i czuł; czy nawet wtedy ze słów możemy wprost zdrowym rozumem wnioskować o czynach, brać wszystko, jak to mówią, za dobrą monetę? Bynajmniej.

Gdy mędrzec mówi o małej wartości swej nauki, to znaczy, że wydaje mu się ona małą w porównaniu do wielkości jego pragnień, i wtedy nie wolno nadawać temu oświadczeniu absolutnego znaczenia, objektywizować tego, co ma jedynie podmiotowe znaczenie. Gdy mityczny Thor uderzył potrzykroć swym piorunowym młotem w twarz olbrzyma Skrymira — ziemi, z dawało mu się, iż nie uczynił żadnego na niej śladu; a jednak od tego potężnego uderzenia powstały na ziemi trzy głębokie doliny. Albo też mędrzec może o marności nauki mówić w chwili wyczerpania się wysiłkami duchowymi, w chwili umysłowego osłabienia, a nie wolno dyskutować choiwie na swą korzyść weksli, wystawionych przez kogoś w chwili niemocy.

Gdy powieściopisarz kreśli często obrazy „plugawe,” to może tak czynić z tego powodu, że go jako najwrażliwszego na ludzką nędzę moralną i materyalną, rzeczy takie najbardziej bołą, więc chce je odstłonić, zdemaskować w całej ohydzie i przedstawić w postaci, któraby mogła poruszyć czytelników nawet najbardziej obojętnych, gruboskórnych; zaś od uświadomienia zła zaczyna się jego poprawa. Jest to postępowanie chirurga, który zdziera skorupę, pokrywającą ranę, aby ją uleczyć; z czego, naturalnie

srodze niezadowolone musi być robactwo, gnieźdzące się w ranie.

A jakże różnym może być stosunek tworzonych typów idealnych do ich twórców: jedni pisarze kreślą nam ideały, będące spotęgowaniem cech, przez nich samych posiadanych; inni (lub oi sami w innej fazie życia) mniej szczęśliwi, odwrotnie: doznawszy na swej drodze cierpień, które im życie złamały, dochodzą do wniosku, że dla osiągnięcia szczęścia trzeba przy każdym kroku życiowym zmienić znak algebraiczny na przeciwny, ulegają reakcyi, kreślą ideały wprost przeciwnie typowi, do którego sami należą; takim typem był właśnie Nietzsche. Typem pełnym uczuć najsubtelniejszych, mnożnikiem psychicznym, typem, który wszystkie swe siły życiowe zwrócił ku wnętrzu, przerobił na pracę ducha. Ta wielka wrażliwość, ta wielka praca wśród nieodpowiedniego, grubego medyum przygniotły Nietzschego swym brzemieniem. Widząc, że te cechy doprowadziły go do zguby, zapragnął cech innych, wprost przeciwnych: zapragnął pierwotnej brutalności i tę głosił, jako ideał człowieka.

Że taka jest geneza nietzscheizmu i taki stosunek jego do twórcy, dowodzi nietylko życie Nietzschego; kto potrafi zajrzeć w psychiczne głębiny słów jego, wyczyta to z samych dzieł: „Wie *ertrug* ich's nur? Wie *verwand* und *überwand* ich solche *Wunden*? — Wie entstand meine Seele wieder aus diesen *Gräbern*?” — Albo: „Ein *Hauch* warmen Athems, ein *Wenig* weiches Gezottel an der Tatze — und *gleich* warst du bereit es zu *lieben*.” mówi do siebie Zarathustra. Albo: „Meiner *Mildthätigkeit* sandtet

ihr immer die *frechsten* Bettler zu (aluzya do bezczelnych wyzyskiwaczy delikatnych uczuć), so verwundetet ihr meine Tugend“ („Also sprach Zarathustra“). Nie dziw też, że zamiast zimno obojętnego „Alles was ist, ist vernünftig“ oraz — dobrotliwie obojętnego: „Tout comprendre, tout pardonner,“ co niezbyt odbiega od filisterskiego „man muss leben und leben lassen,“ postawił Nietzsche zasadę godną wielkiego, silnie czującego (nie twardego!) serca: „Alles begreifen, alles angreifen.“

Naturalnie, iż pojmując i odczuwając w zupełności uczuciowe podstawy nietzscheizmu jako reakcyi biologicznej, nie godzimy się mimo to na jej podstawy logiczne; logika Nietzschego: ponieważ uczucie, wśród beczuciowego świata prowadzi do zguby, więc „bądźcie twardzi,“ nie jest jedyną, bo oto istnieje druga: ponieważ uczucie wśród beczuciowego świata prowadzi do zguby więc — zmieńmy świat na taki, wśród którego jednostka uczuciowa, subtelna, przeduchowiona żyć i rozwijaćby się mogła; świat, będący pastwiskiem dla bydła, uczynimy mieszkaniem dla ludzi. — „Dalej z posad bryło świata, nowemi pchniemy cię tory“! — To jest wniosek jedyny, zgodny z duchem rozwoju ludzkości, bo będący jego czynnikiem¹⁾.

¹⁾ Równie jednostronną antywolucyjną, jak logika Nietzschego, jest logika Tołstoja: ponieważ powabów życia mogą używać tylko wyzyskiwacze kosztem cudzych cierpień, więc wyrzeknijmy się wszyscy tych powabów, stańmy się Dyogenesami. — A czy nie lepiejby było, zamiast takiego obniżania tonu życia, zmniejszania sumy szczęścia, rozłożyć je sprawiedliwiej wśród ludzkości, uczynić je funkcją pracy i zasługi, a nie próżniactwa i poślouchi?

Naturalnie, że pojmujemy również, iż niejeden brutal z przyrodzenia weźmie to, co było reakcją przeduchowionego Nietzschego, za swój sztandar życiowy; użyje bólu filozofa za argument dla swego egoizmu, dla praktykowania gwałtu i ucisku. — Tak perła, produkt cierpienia muszli, służy niejednej kurtynie do przeprowadzania niecznych celów, lecz czyż muszlę za to potępiać będziemy?

Zresztą, tego ujemnego wpływu Nietzschego nie należy przeceniać: brutale potrafią z każdej idei ukuć odpowiedni oręż dla siebie: dla przeprowadzenia lub uzasadnienia egoistycznych celów dobrym jest dla nich nie tylko nietzscheanizm, darwinizm itp. potrafili oni przecież zużytkować dla swych celów nawet tak wzniosłą ideę poświęcenia, jak chrześcijaństwo! — a kto wie czy nie lepszym jest brutal otwarty, bezczelny, niż zamaskowany; czy nie lepszy jest bismarkizm, niż jezuityzm?

Z drugiej strony w nietzscheanizmie jest wiele stron dodatnich, wysokiej doniosłości nawet w praktyce życiowej: jako poezja pragnienia potęgi, budzi on z apatii; jak arsenik w pewnej dozie może wzmacniać ludzi osłabionych, tak trocha nietzscheanizmu może stać się zbawczą dla ludzi przeczulonych: może ich ostrzedz przed zbytnią hojnością dla „frechten Bettler“, przed zbytnią miłością dla niedźwiedzi, mających nieco „weiches Gezottel!“ — może jednym słowem uratować ludzi przeczulonych od fakiryzmu, karmienia robactwa krwią własną. Prócz tego dla umysłu głębiej patrzącego, nie biorącego rzeczy tak z gruba, nietzscheanizm może przynieść jeszcze jedną korzyść pośrednio: nasunie on mu wnioski analogi-

ozny do tego, jaki musiałby wyprowadzić podróżnik o stosunkach pewnego kraju, gdzieby spostrzegł spokojnego rolnika, który wybierając się orać swą niwę, uznałby za konieczne zarzucić na plecy gwintówkę, a za pas zatknąć jatagan oraz parę pistoletów i tym sposobem przyjął wygląd bandyty: niewyczerpany cierpieniem jak Nietzsche „podróżnik,“ może łatwo wpaść na radę: zamiast uzbrajać rolników, lepiej rozbroić bandytów.

Nie wspominamy już o psychologicznych głębinach, jakie się kłębią w pismach Nietzschego, głębinach, których naprózno szukalibyśmy w dziełach uczonych psychologów, gdzie zamiast duszy znajdujemy jej korrelata; dekorację — zamiast sztuki; podobnie jak w pracowicie napisanych biografiach wielkich ludzi, gdzie jest wszystko może co ich otaczało, lecz niema ich samych¹⁾.

Z powyższych, choć lekko tylko naszkicowanych uwag, widzimy jak skomplikowanem jest zjawisko nietzscheizmu i jak zgruba, jeżeli szczerze, traktował je ksiądz Dębicki.

Powiedzieliśmy, „jeżeli szczerze,“ albowiem ksiądz Dębicki miał interes, ze stanowiska swego fachu potępić Nietzschego, jak miał interes potępić autora

¹⁾ Przyczyną takiego smutnego stosunku niektórych psychologów do duszy jest, jak się zdaje, ta okoliczność, że przy dzisiejszym stanie psychologii tylko najniższe objawy duchowe dadzą się ująć naukowo. Powtórę zdaje się, iż na wybór przedmiotu studyów wpływa często dążność organizmu niesharmonizowanego do harmonii, zrównoważenia; tak więc np. zajmowanie się psychologią a również i etyką, krytyką artystyczną i t. d. byłoby dla niektórych organizacyi duchowych czemś w rodzaju ćwiczeń ortopedycznych.

„Lourdes“ i „Rzymu,“ a wtedy używa się wszelkiej logiki choćby błędnej, aby ona tylko doprowadziła do pożądanego celu potępienia, zdyskredytowania: wszakże wśród poprzedników ks. D., którzy posiadali większą władzę, byli tacy, co np. z zasady miłości bliźniego potrafili wywnioskować, że należy go palić na stosie lub szarpać kleszczami.

Otóż Nietzsche odzywa się mianowicie powątpiewająco o interwencji bóstwa w porządek tego świata: „Er hört nicht — und wenn er hörte, wüsste er trotzdem nicht zu helfen.“ — („*Fenseits von Gut und Böse*“).

Ale Nietzsche nie jest pod tym względem zbyt odosobniony pośród duchów wyższych, odczuwających nędzę tego świata. Tak np. Guyau (*Esquisse d'un morale*) przytacza swój sen, w którym porwany na skrzydła przez anioła, unosi się wśród jasnych sfer niebieskich, ale tam dochodziły go z ziemi dalekie szmery, w których rozróżniał wołania i jęki ludzi cierpiących, a gdy się zwrócił z pytaniem do anioła, ten z twarzą pogodną i białymi skrzydłami, lśnięciami w promieniach słońca, objaśnił, że są to modlitwy ludzi, wznoszące się do Boga. „Comme je fondrais en larmes, si j'étais Dieu!“ — zawołał Guyau, puścił rękę anioła i spadł na ziemię, myśląc „qu'il restait en moi trop d'humanité, pour que je puisse vivre au ciel.“ A wreszcie robi uwagę: „celui, qui a un Dieu, devrait le respecter trop, pour en faire un createur du monde.“

U Mickiewicza (tak pranego i oczyszczanego w ostatnich czasach ze wszystkich „grzechów młodości“) spotykamy rzucony Bogu zarzut, że „w ty-

siące ludzi krzyżujących ratunku, patrzy jak w zawile zrównanie rachunku“ — oraz przypuszczenie: że „miłość jest tylko jego omyłką liczebną.“

Ten szereg dusz wrażliwych, buntujących się przeciw nędzy tego „najlepszego ze światów“, możnaby znacznie przedłużyć. Dlaczegoż więc ksiądz Dębicki rzucił się specjalnie z taką furją na Nietzschego? Wynika to zapewne z nienawiści, że tak powiem, antropologiczno-gatunkowej. Nietzsche jest mianowicie naturą antypodycznie przeciwną naturze księdza Dębickiego: Nietzsche głosi bezinteresownie brutalność, jako swe pragnienie, a w rzeczywistości jest uczuciowy; ksiądz Dębicki odwrotnie: głosi miłość chrześcijańską, jako swój fach, a w rzeczywistości jest brutalny¹⁾.

¹⁾ W obronie ks. Dębickiego wystąpił profesor dr. Karol Hertz w liście do „Przeglądu Tygodniowego“, list ten równie jak naszą nań odpowiedź podajemy poniżej.

List dra Hertza.

Szanowny Redaktorze!



podziwiam się, że w imię sprawiedliwości zechcesz pomieścić w *Przeglądzie Tygodniowym* niektóre uwagi na artykuł p. Wacława Nałkowskiego, pod tytułem „Kopnięcie umierającego lwa“, (*Przegląd Tygodn.* nr. 34). List mój ma pewien interes ogólny, gdyż zostaje w ścisłym związku z etyką literackiej krytyki.

Ks. W. Dębicki w nr. 32 „Tygodnika Ilustrowanego“ umieścił sonet pod tytułem: „Nadczłowiek“¹⁾. P. Nałkowski upatruje w tym sonecie napaść brutalną na złożonego niemocą Nietzschego i z tego tytułu widzi w wystąpieniu księdza Dębickiego interes, wpływający ze stanowiska jego fachu. Ponieważ

¹⁾ Sonet ten brzmi:

Nie z krwi hyen, rzecz dziwna, z człowieczej pochodzi.
Mógłby z niego być Bismark, lecz nie Bonaparte.
Nie dość być zbirem podłym, mieć czoło wytarte,
By wypłynąć na szczyty, wśród łotrów powodzi.
Złoto, hołdy, to cele życia jego łodzi,
Płacz przed silnym, dla słabych, jak zwierzę rozzarte,
Hańbę swą, rozpacz cudzą na chuci swych kartę,
Kładł ten satyr, ten szakał, arlekin i złodziej.
Sumienia swego furze dławi, uzbrojony,
W sofistów broń — nie jemu żyć z sobą w rozterce;
Mądrość — mówi już zdarła z przesądów osłony.
Czyn, jak grom, twór jest fatum — czynów mam się kajać?
Rzeczecie: w jego piersi bije przecież serce...
Ma serce — jak dyament: szkło mógłby niem krajać.

Nietzsche powątpiewał o interwencji bóstwa w porządku tego świata, więc musi być potępionym, zdykredytowanym, a jeśli można, to należy go palić na stosie lub szarpać kleszczami. Na dowód prawdziwości tego twierdzenia, p. Nałkowski wspomina o dawniejszych utworach ks. Dębickiego („Bankructwo umysłowe“, „Zola i Wolter“). Nie mam zamiaru bronić ks. Dębickiego, jestem krańcowym przeciwnikiem jego poglądów, a mimo to muszę protestować przeciwko sposobowi polemizowania p. Nałkowskiego, gdyż usprawiedliwia on poniekąd metodę, używaną przez krańcowych naszych zacofańców, polegającą na przypisywaniu przeciwnikom motywów, którymi oni nie myśleli się kierować. P. Nałkowski twierdzi, że geneza nadczłowieka Nietzschego, tej twardej i bezlitosnej, zdobywczej, brutalnej, wysoko egoistycznej istoty, jest wynikiem uczuć subtelných, wielkiej wrażliwości wśród nieodpowiedniego, grubego medyum, które stało się zgubą chorego myśliciela. Nie wdając się w bliższy rozbiór tego poglądu, muszę jednak zaznaczyć, że pomimo największych usiłowań nie mogłem dopatrzeć się w pracach Nietzschego wyników, któreby miały dla ludzkości jakąś wartość realną, któreby rozszerzyły jej horyzont umysłowy lub moralny z wyjątkiem chyba nauki o niepomiernym rozwoju indywidualności. Większa część jego dzieł jest zupełnie niezrozumiała, a te jego myśli, które odnoszą się do etyki, robią bardzo smutne wrażenie. Przecież sam p. Nałkowski przyznaje, że niejeden brutal z przyrodzenia weźmie to, co było reakcją przeduchowionego Nietzschego, za swój sztandar życiowy, za środek dla swego egoizmu, dla praktykowania

gwałtu i ucisku. Dlaczegoż więc p. Nałkowski utrzymuje, że ks. Dębicki występuje przeciwko Nietzschemu, zowiąc go zbirem podłym, który chce wypłynąć śród łotrów powodzi, który jest arlekinem, szakalem, złodziejem? Może być, że ks. Dębicki miał na myśli tych właśnie zbójów, którzy wybryki zbolełego serca myśliciela używają jako sztandar dla uzasadnienia swych niecných czynów. Przyznam się, że ja w sonecie ks. Dębickiego nie mogłem dopatrzeć się napadu na samego autora „Also sprach Zarathustra“. Co więcej, jestem mocno przekonany, że wystąpienie ks. Dębickiego, miało jedynie na celu tych właśnie praktycznych Uebermenschów, o których p. Nałkowski wspomina.

Odpowiedź drowi Hertzowi.



zytelnik listu dra Hertza dostrzegł już, zapewne, że dla obrony mego zaatakowanego stanowiska muszę uczynić dwie rzeczy: 1) rozwiązać wątpliwość (względnie — zachwiać „mocne przekonanie“) dra Hertza, kogo mianowicie ks. D. miał na myśli — Nietzschego, czy „jedynie“ Uebermenscha; 2) sprostować pogląd dra H. na etyczną stronę mej krytyki, mianowicie odeprzeć twierdzenie, jakoby podsuwał ks. D. motywy, których nie posiadał.

Co do 1-go: Jeżeli ks. Dębicki, jak to szlachetnie domyśla się dr. Hertz, miał na celu rzeczywiście nie samego Nietzschego, lecz „jedynie Uebermenscha“, to, wymierzając swe ciosy, powinien był to wyraźnie rozróżnić; gdy się wali pięścią w jedną głowę z dwóch, obok siebie stojących, to trzeba na włoskę wytknąć granicę ciosu, bo inaczej można rozwalić drugą głowę, a w najlepszym jeszcze razie — obie. Tymczasem ks. D. nietylko rozgraniczenia takiego nie zrobił, ale owszem: wielu wskazówkami uwidocznili, że celem jego ciosów był Nietzsche; mianowicie: *a*) ks. D. poświęcił swój utwór „zwolenniczkom Nietzschego“, (szczegół ten dr. H. w cytacie opuścił), widocznie jakby choiła przez to powiedzieć: patrzcie oto jak pięknie wygląda wasz ulubiony pisarz! *b*) wśród gradu obelg ks. D. używa wyrazu „arlekin“, który nie może przecież odnosić się do Uebermenscha, tego uosobienia brutalnej siły i grozy, lecz do pisarza, głoszącego ten

ideał; c) winy, zarzucane przez ks. Dębickiego przeciwnikowi, są wymienione w czasie przeszłym (kładł ten satyr i t. d.), a zatem odnoszą się do, już popełnionych jakoby, win Nietzschego, nie do Uebermenscha, który jest przecież ideałem przyszłości; d) wreszcie szyderczy zwrot: „Rzeczecie: w jego piersi bije przecież serce“ jest widocznie skierowany ku obrońcom („zwolennikom“) Nietzschego, nikt bowiem chyba nie brał w obronę serca Uebermenscha.

Powyższe wskazówki nabierają jeszcze większej wyrazistości, gdy je rozpatrujemy na charakterystycznym tle dawniejszej działalności literackiej ks. Dębickiego: okazują się one mianowicie tylko jako szczególny przypadek jego zwykłej metody rozumowania. Zwróciłem już na to uwagę w moim artykule, nie będę się więc tu powtarzał, położę tylko nacisk na to, że analogiczne słowa ks. Dębickiego w stosunku do Zoli nie mogą już ulegać żadnej dyskusji: są zupełnie wyraźne, imienne; powtóre, — że w tem zastosowaniu fałszywość logiki ks. Dębickiego jest jeszcze bardziej rażąca, widoczniejsza, (niż w zastosowaniu do „niezrozumiałego“ Nietzschego): jednego z najczystszych ludzi, który za cel życia radzi obrać jakąś „wielką pracę“ i radę tę sam praktykuje; człowieka, który nie wahał się poświęcić spokój, sławę, mienie, a nawet narazić życie, w obronie sprawiedliwości, nazwał ks. D. „plugawym“ i posądził o „geszefciarstwo!“ Jeżeli więc Zolę mógł mieszać z tem błotem, jakie pisarz ten często odmalowywa obok rzeczy wzniosłych, to tembardziej mógł mieszać Nietzschego z Uebermenschem, gdyż po za zwartym

szeregiem bezlitosnych twierdzeń i nakazów tego autora, tylko głębsza analiza może odkryć serce czujące i zbolełe.

Taka metoda wnioskowania jest zbyt bezkrytyczna (szczególniej względem Zoli) na to, aby jej szczerłość nie budziła powątpiewania. Jedno z dwojga: albo rozumowanie ks. D. jest nad wszelki wyraz płytkie, albo było użyte tylko w tym celu, aby Zolę zdyskredytować jako autora „*Lourdes*“ i „*Rzymu*“, oraz jako człowieka, który śmiał pokusić się o zdemaskowanie kliki wojskowo-klerykalnej.

Co do 2-go: Z artykułu mego, oraz ze słów powyższych, które są tylko bardziej szczegółowym, dopełniającym wyrazem tych myśli, jakie mną w artykule kierowały, łatwo wytworzyć sobie pojęcie, jakim był cały mój proces myślowy, jaką „*metoda krytyki*“, którą podobało się dr. Hertzowi zakwestyonować i to nawet z punktu etycznego.

Otóż proces ten był taki: w wierszu ks. Dębickiego znalazłem wyrażenia, wskazujące, iż godził on w Nietzscheho; dla utwierdzenia się w tem, zwróciłem się po analogiczne fakta do poprzedniej działalności literackiej ks. D.; to pozwoliło mi wykazać, że ks. D. posługuje się w takich razach stale logiką zdrowego rozumu. Dalej przypomniałem fakt znany, że logika ta jest zwykle zawodna i okazałem, że jest taką w wypadkach ks. Dębickiego. Wreszcie postawiłem co do tej logiki alternatywę: „*szczerza czy udana*“ i skłoniłem się raczej do drugiej części tej alternatywy. Podstawą do tego był mi ten wzgląd, że ks. D. jako filozof powinien był rozumieć całą płytkość takiej logiki: jeżeli zaś to rozumiał, a mimo to logikę tę

stosował, to musiał mieć w tem jakiś interes. Poparcie tego teoretycznego wniosku znalazłem w tym fakcie, że ks. D. stosował tę logikę do objawów i ludzi, które, lub którzy, w jakibądź sposób podrywają grunt pod interesami kasty, do której ks. D. należy; wiadomo zaś powszechnie, iż interesy kastowe tak silnie wkorzeniają się w umysł człowieka, stają tak silną sprężyną naszych sądów, że od jej wpływu nie mogą się nieraz uwolnić nawet bardzo sumienni skądinąd uczeni.

Z powyższego widać, że moja „metoda krytyczna“ była taka sama, jakiej używa się zwykle przy badaniach naukowych lub śledczych. W tym procesie myślowym wszystkie punkta są postawione prawidłowo, niema ani jednego, któryby można było wstrząsnąć; zwłaszcza za pomocą „być może“ i, choćby „najmocniejszych“, ale gołosłownych, „przekonań“. Tak więc troskliwość dra Hertza o moją „etykę literacką“ była zupełnie zbyteczna w stosunku do danego wypadku, a jak mniemam i w stosunku do mojej całej działalności literackiej.

Jakiż zresztą mógłbym mieć interes występować przeciw ks. D. w obronie Nietzschego lub Zoli? — nie jestem przecież ani „zwolenniczką Nietzschego“, ani żydem; nie mam też powodu, jako osobiście obznajmiony z regułą procentu, do szczególnych w tym kierunku wdzięczności. Owszem dr. H. dobrze to chyba rozumie, iż wystąpienie takie, zwłaszcza u nas, to wcale nie jest interes. Daleko korzystniej byłoby np. wstąpić do którego z naszych pism „moralnych“, „stojących na straży“ i ztamtąd denuncyować idee, będące czynnikami rozwoju ludz-

kości¹⁾; napadać na naukę jako utwór szatański lub żydowski (tak jakby nieżydzi musieli być koniecznie idiotami!); dowodzić, że „sprawa Dreyfusa nie powinna nas nic a nic obchodzić“ (naturalnie — jako najostatniejszych nędzarzy moralnych); „pluć na Zolę“, jako „plugawego pornografa, geszefciarza“; występować w obronie „obrażonych“ przez niego „wysokich dostojników armii“ — występować w obronie Henrych, Esterhazych, du Paty de Clamów i tym podobnych łotrowskich bękartów, zrodzonych z suteńskiego związku między francuzką „szablą i kropicim“. — To byłby dopiero interes! Wtedy zyskałbym z pewnością „złoto i hołdy“; wtedy „wypłynąłbym wśród łotrów powodzi“.

¹⁾ Ponieważ kwestyę denuncyacji podjęła „Rola“ w odpowiedzi *Przeglądowi*, twierdząc, że nazwa ta odnosi się tylko do postępków tajnych, muszę więc określić, co tutaj rozumiem przez tę nazwę. Denuncyacją w walce ideowej nazywam takie wystawienie na pokaz idei przeciwnej, które przywołuje do pomocy w walce z nią jakąś postronną siłę brutalną: np. odjęcie środków do życia głoszącemu, lub zakneblowanie mu ust. Z taką pomocą idea najgłupsza i najpodlejsza może zwyciężyć najprawdziwszą i najwznioślejszą. Denuncyacja nie potrzebuje być wcale tajną: tajną jest tylko wtedy, gdy ma powód czegoś się obawiać lub strzedz, gdy zaś jest dostatecznie zabezpieczoną, może prowadzić swój proceder jawnie. Jakby na dowód tego „Rola“ w tym samym numerze walczy przeciw, ultra-postępowym jakoby, ideom *Tygodnika Ilustrowanego* w ten sposób, iż podmawia prenumeratorów, by go opuścili! — Gdy się czyn jakiś popełnia często, traci się zupełnie świadomość jego charakteru: świeży przykład tego mamy na Henrym, który nie mógł zrozumieć, co u licha zrobił złego i za co go mogli uwięzić! Co za szkoda, że u nas niema takich uprzejmych oficerów generalnego sztabu, którzyby składali naszym Henrym równie przekonujące wizyty. (Henry po wizycie oficera sztabowego poderznął sobie gardło).

Wtedy wreszcie odniósłbym jeszcze jedną specjalną korzyść: ujrzawszy dra Hertza w szeregu mych przeciwników, kwestyonujących mą etykę literacką, nie doznałbym z tego powodu — jak doznaję obecnie — niemilego zdziwienia¹⁾.



¹⁾ W kwestyi „niezrozumiałości“ Nietzschego i niemoralności nietzscheanizmu spierać się z dr. H. nie będą: strona zewnętrzna, etyczno-społeczna nietzscheanizmu jest zbyt łatwa do krytykowania, a strona wewnętrzna, uczuciowo-psychiczna, zbyt trudna do wytłomaczenia.

Z powodu życiorysu Darwina¹⁾



Podczas gdy na zachodzie Europy, wobec szerzej rozlewającego się światła nauki, dusze filisterskie i drapieżne, nie mogąc już powstrzymać fali darwinizmu, postarały się zużytkować ją zręcznie na swój młyn, na usprawiedliwienie liberalizmu społecznego, i oparte na niej, głoszą bezczelnie zasadę siły przed prawem, zasadę wolności, pożerania tak zwanych niższych przez tak zwanych wyższych — to u nas wobec panującej ciemnoty ostateczna ucieczka — bezczelność, jest jeszcze niepotrzebna: jeszcze wystarcza wygodniejszy etap — hipokryzya. Etap ten, mówiąc nawiasem, wydaje się niektórym naszym pisarzom tak świetlanym, iż sądzą, że obecnie „krytyka“ jest już niepotrzebna, dziś trzeba „tworzyć“, a co najwyżej pedagogicznie „przekonywać“, (np. w ten sposób, że ponieważ na zachodzie nawet duchowieństwo dało już aprobatę na darwinizm, a zatem nawet my możemy już śmiało go zażywać). Otóż u nas, w fazie hipokryzyi, dochodzi się do tych samych celów, co na zachodzie, nie przez zużytkowanie lecz odwrotnie: przez dyskredytowanie i zohydowanie darwinizmu i Darwina.

Pomocą do tego zohydowania i dyskredytowania są, prócz wzniosłych haseł etycznych, głoszonych przez wilków w skórze baraniej (a niekiedy nawet — tołstojowskiej, zależy to od stopnia cywilizacyi

¹⁾ Przegl. Tygodn. 1900 N. 19.

wilka), głuche wieści o tem, że teoria Darwina została zachwiana lub zastąpiona przez inne teorie. Gdy który z naszych uczonych „powołanych“ do oddzielania „plew“ od „ziarna,“ chcąc zyskać sobie serca publiczności, pójdzie jeszcze o włos dalej od metody „przekonywania“ i napomknie coś o tem, że darwinizm bankrutuje, że nauka nowsza nie zadawała się teorią Darwina, że to już rzecz przestarzała, wtedy filistrzy nie posiadają się z radości, gotowi go uściskać, wykrzykując: otóż to jest „prawdziwa nauka“! — podobnie jak wtedy, gdy usłyszą, że dyalektyczna konstrukcyja Marksa uległa wstrząśnieniu.

Ale w tych ucieszach filistrów tkwi pewne nieporozumienie, mianowicie identyfikowanie darwinizmu z ewolucją (podobnie jak — marksizmu z socjalizmem). Tymczasem nowsze teorie, czy wychodzą z bezpośrednich wpływów środowiska (neolamarizm), czy z jakiegoś popędu wewnętrznego do doskonalenia (naegelizm.) i t. p., zawsze są i będą tylko próbami nie obalenia, lecz lepszego uzasadnienia ewolucyi, która zapanowała w nauce, a przez niedawne odkrycie szczątków antropoida (*Anthropopithecus erectus*), w pliocenie wyspy Jawy, została w stosunku do najdrażliwszej właśnie kwestyi, pochodzenia człowieka, empirycznie stwierdzona. Otóż filistrom wcale nie zależy na tem, jak zostanie uzasadniona ewolucya, czy w sensie darwinistycznym, czy innym: im chodzi o obalenie, zduszenie ewolucyi (nieprzyjęcie przez Zarząd osad rolnych odczytu dra Fabiana o ewolucyi!), a wydaje im się, iż zachwianie darwinizmu, to zachwianie ewolucyi, to powrót do cuvierowskich katastrof, do oddzielnych aktów stworzenia. Naturalnie,

że myśl o powrocie do tego złotego wieku pojęć musi ich cieszyć, bo czyni bezpieczniejszymi na swych, przekazanych przez „świętą“ tradycję, śmieciskach, oraz uwalnia od zmory małpiego pochodzenia; mówimy „zmory,“ gdyż, jak to już Renan, zresztą zbyt optymistycznie, obliczył, „trzy czwarte ludzi, to małpy,“ a małpom chodzi o zatarcie ich małpiego pochodzenia (1).

Ale należy tu ostrzedz filistrów, by się nie dali wyprowadzać w pole uprzejmym uczonym; jeżeli usłyszą od nich, że darwinizm nie zadawała niektórym w biologii, to nie dlatego, że zarzucono ewolucję, cofnięto się do Cuviera, lecz dlatego, że uczeni starają się znaleźć dokładniejsze uzasadnienie ewolucji. Jeżeli usłyszą, że darwinizm nie zadawała w socjologii, to nie dlatego, że rozumiano, iż należy się cofnąć do ustroju średniowiecznego, lecz owszem: dlatego, że należy pójść dalej od obecnego, a mia-

1) Mówiąc nawiasem, często ludzie, wstydzący się pokrewieństwa z małpami, obrażają te ostatnie, albowiem oddalili się od nich raczej w kierunku ujemnym, niż dodatnim. Pewien podróżny opowiada, że stado pawianów, ścigane przez psy, zdołało się schronić na górę, lecz jeden młody nie zdążył za innymi, wspiął się tylko na niższą skałę i w przestrachu wołał o pomoc. I oto powraca z góry jeden z najsilniejszych osobników, prawdziwy bohater, nie zważając na niebezpieczeństwo, zbliża się do młodego pawiana i odprowadza go w tryumfie na górę; psy zdumione uszanowały bohaterstwo i pozwoliły małpom odejść w spokoju. — Czy wielu ludzi spotykamy takich, którzyby dorównali temu pawianowi? Czy wielu poświęciłoby swe życie a choćby mienie, spokój, dla obrony drugiego? A czy objaw takiego bohaterstwa budzi we wszystkich ludziach takie uszanowanie jak w owych psach? czy nie budzi często raczej nienawiści?

nowicie dlatego, iż uznano, że darwinizmu nie można przenosić żywcem z biologii do socjologii, albowiem w tej ostatniej występuje nowy, komplikujący czynnik: krytyczna i kierownicza świadomość człowieka. Ztąd w socjologii, na miejsce środowiska naturalnego, występuje sztuczna — pewna organizacja społeczna, która może rozdawać osobnikom nieodpowiednie do ich zdolności i zasług uzbrojenie, wpływać niekorzystnie na bieg ewolucyi, być wadliwą. Darwinistyczna walka o byt wynosi jak wiadomo na najwyższy szczebel osobniki najlepiej do danego środowiska przystosowane, a więc w środowisku złem — jednostki najgorsze: gdy ktoś, dostawszy się np. do środowiska szulerów, oszustów, sutenerów, złodziei, i t. p., stanie się najzręczniejszym szulerem, najsprytniejszym oszustem, najbezwstydniejszym sutenerem, największym złodziejem i t. p., to takie doskonałe przystosowanie się do środowiska da mu wprawdzie zwycięstwo, lecz dla ludzkości nie będzie wcale postępem. Na szczęście, człowiek, będąc twórcą sztucznego środowiska i różniąc się od zwierząt zmysłem krytycznym, może zrozumieć wady środowiska, a zrozumiawszy je, może, gdy posiada iskrę prometejską, zapragnąć zmiany tego środowiska. A więc wśród ludzkości najlepsze jednostki nie są te, które w sensie darwinistycznym najlepiej przystosowały się do swego środowiska, lecz te, które, wyprzedzając pochod ludzkości, starają się odwrotnie: środowisko przystosować do siebie, nagiąć je ku swym wielkim pragnieniom, porwać za sobą ku swym dostrzeganym lub przeczuwanym dalekim horyzontom, wznieść ku swym wysokim i d e a ł o m.

Ale objaw taki jest właśnie największą klęską dla doskonale przystosowanych, małych filistrów — tego obawiają się oni najbardziej, a osobników takich prześladują. Dzieje się to zaś głównie właśnie w dobach reakcyi, gdy między jednostkami, wybiegającymi naprzód, a tłumem nie tylko opóźnionym, lecz ciągnącym wtył, rozwiera się przepaść najszerza, gdy teoria Darwina ma właśnie najbardziej bezpośrednio, a dla rozwoju ludzkości niepożądane, zastosowanie w społeczeństwie; wtedy właśnie najwyżej wychodzą jednostki najlepiej przystosowane do takiego niepożądanego środowiska, o jakim mówiliśmy; wtedy największą sławą bywają otaczani tacy, co dzięki, czy to ciasnocie ideowej, czy sprytowi życiowemu, „twórczością“ swą dają najlepszy wyraz i apologię wstecznych dążeń i interesów psychicznego tłumu.

A więc, gdy jakiś uprzejmy uczony powie ogólnikowo filistrom, że teoria Darwina bankrutuje lub jest niedostateczna, zamilczawszy dyskretnie powyższe wyjaśnienia, niech mu nie dowierzają zbyt — niech się nie cieszą na kredyt.

Jednym ze środków obrony przeciw darwinizmowi było, a u nas przy naszym opóźnionym „etapie“, jest dotąd, zohydzanie samej osoby Darwina w imię etyki! Jaką była ta mniemana nieetyczność Darwina, dowodzi życiorys jego, skreślony przez znakomitego duńskiego psychologa (1). Z faktów przyta-

1) Harald Hoffding profesor uniwersytetu w Kopenhadze: Karol Darwin. Przełożył dr. M. F. Warszawa. Bronisław Natanson 1900 r.

czanych tam, czytelnik łatwo może się przekonać, iż Darwin był rzeczywiście: „jednym z najpiękniejszych i najszlachetniejszych charakterów naszych czasów mężem, który, pomimo wielkości ducha, zachował łagodność i prawdziwe ciepło uczuć i który obok niewzruszonej miłości prawdy, odznaczał się najgorętszym współczuciem dla wszystkiego, co na świecie żyje“.

Człowieka nieświadomego, a uczciwego mógłby zdziwić ten kontrast: z jakiego powodu człowiek o duszy tak szlachetnej, mógł uleść takim napaściom, skąd objawy takiej zaciekłej ku niemu nienawiści? Łatwo to sobie jednak objaśnić porównaniem: przypuśćmy, że jakieś towarzystwo udaje się w bezdrożne góry, ku szczytom, nie wiedząc nic o niebezpieczeństwie, jakie mu tam grozi. Ale zjawia się człowiek świadomy, który, kierowany miłością prawdy, i uczuciami ludzkości, uświadamia towarzystwu, że w górach tych ukrywają się rozbójnicy i tym sposobem na razie uczy ludzi ostrożności, skłania do uzbrojenia się, a następnie pobudza do zastanowienia, czyby nie można usunąć przyczyn rozbójnictwa, uczynić gór bezpiecznemi, życia — lepszem. Towarzystwo to będzie żywiło wdzięczność dla takiego człowieka, ale w zamian zyska on nieubłaganą nienawiść zbójów za to, że zdemaskował ich niecne rzemiosło, a tym sposobem do pewnego stopnia także i sparaliżował je; albowiem, zdemaskowani, będą zmuszeni napadać otwarcie, a to przyśpieszy ich koniec.

Z powodu estetyki Guyau¹⁾



adne zapewne zjawiska nie wywołują tak sprzecznych poglądów, jak zjawiska piękna, zjawiska sztuki; a nawet piękno i sztuka same w sobie.

Niektórzy, jak Tolstoj, zwolennik prostaczego ascetyzmu, negują nawet zupełnie piękno, sztukę — dlatego, że w dzisiejszym stadium ekonomicznym rozkosze estetyczne, sztuka są dostępne tylko dla pasorzytów społecznych. Kierując się jednak tą logiką, trzeba by negować także ideał owego żebraka Hugonowskiego — „codzienne jadanie,” albowiem, jak powiada on, „codzienne jadać mogą tylko bogaci.”

Inni, nie negując piękna, sztuki, bardzo rozmaicie zapatrują się na ich istotę, grzesząc zwykle jednostronnością: to ograniczają sztukę do zaspakajania potrzeby zabawy, wiążą z uspieniem rozumu; to za wyłączny jej teren obierają najsubtelniejsze, najwewnętrzniejsze drgnienia duszy ludzkiej, niezależne jakoby od czasu, miejsca i środowiska społecznego; to opatrzeni jakimś wsteczno-arystokratycznym promieniem widzenia, upatrują piękno tylko w starych gotyckich świątyniach, potęgę tylko w średniowiecznych rycerzach; odwracają się ze wstrętem, jak arystokraci panowie, od nieestetycznych kominów, fabryk, kolei i tym podobnych wytworów doby współczesnej.

¹⁾ Zagadnienia estetyki współczesnej przez M. Guyau. Przekład z oryginału francuskiego Stanisława Popowskiego. Wydawnictwo Przeglądu Filozoficznego.

Tylko duchy bardziej syntetyczne potrafią i w tych zjawiskach, napozór tak prozaicznych, odnaleźć wrażenie estetyczne, choć wprawdzie nie „zabawne” — wogóle, odczuwać potęgę człowieka współczesnego w walce jego z więzami społecznymi i ogrom jego cierpień. Wobec takich bojowników karleją dawni „kuci” rycerze do typów operetkowych, a bohaterowie autoanalizy, oderwani od walk ze środowiskiem, wyglądają jak misterne i estetyczne maszyny — do kawy, albo jak dowcipne miniaturowe modele technologiczne w stosunku do prawdziwych, zarówno skomplikowanych jak potężnych, maszyn, torujących ludzkości drogi przez puszcze pierwotne lub zwarte stada dzikich bestyj.

Takie właśnie syntetyczne stanowisko estetyczne zajmuje Guyau.

To też występuje on przeciw najbardziej rozpowszechnionemu, a ciasnemu, kanto-spencerowskiemu pogładowi na sztukę, jako na wynik potrzeby zabawy, gry, niezależny od pożytku i dobra. Guyau rozszerza pojęcie piękna; według niego mogą, a nawet muszą, być pięknymi rzeczy poważne, pożyteczne, dobre, celowe: człowiek jest całością, więc wzruszenia jego muszą zależeć od wszystkich jego władz, a zatem także od poczucia potrzeby użyteczności i prawdy. Nawet spencerowski pogląd na piękno ruchów jako na ekonomię sił, ogranicza on do tych wypadków, gdy, jak np. w gimnastyce, przy owych ruchach nie wchodzi w grę głębsze czynniki duchowe, których te ruchy są wyrazem; w przeciwnym razie zasadą piękna będzie nie ekonomia, lecz rozrzutność: „choć poseł z pod Maratonu, wyobrażony przez rzeź-

biarzy greckich, okryty był potem i kurzawą, a w jego rysach malowało się wyczerpanie i zaród śmierci — ten człowiek złamany, lecz tryumfujący, jest jakby symbolem pracy ludzkiej — tego piękna najwyższego, powstałego już nie z oszczędności, lecz ze szczodroty, nie z wygody, lecz z wysiłku; gdzie ruch jest nietylko znakiem i miarą zużytkowanej siły, lecz jednocześnie wyrazem woli i środkiem oceny swej energii wewnętrznej.“

Teorya zabawy, uśpienia rozumu, nie jest jednak zupełnie błędna, tylko jednostronna; odnosi się ona do piękna niższego gatunku, piękna oszczędzającego siły, które nazwałbym pięknem reakcyjnym, albo atawistycznym w przeciwieństwie do piękna wyższego z jaknajwiększym udziałem intelektu, do piękna potęgującego siły — do piękna ewolucyjnego.

Pięknem pierwszego rodzaju zachwyca się człowiek o umysłowości zacofanej w rozwoju (lub człowiek przeduchowiony w fazie reakcyi); dlatego to tak wielkie powodzenie mają różne rycerskie roman-sidla i ich autorowie: czytuje je liczna gawiedź umysłowa (oraz znużeni umysłowo, pragnący się prze-spać); jest to rodzaj wycieczki na Saską Kępę, do parku Praskiego, na odpust i t. p. dokąd, jak wiadomo, na rozkosze estetyczne dążą tłumy, więc przedsiębiorstwa dobrze się rentują. Powodzenie literackie jest tu jeszcze potęgowane kastowymi interesami wsteczniotwa i osobistymi — przedsiębiorców-wydawców. Protekcją i reklamą.

Guyau również zwalcza bezsensowny, a wygodny dla uprzywilejowanych, oraz artystów-sybarytów, po-

gląd, że demokracja zabija sztukę. Nie będziemy tu przytaczali jego wywodów w tym względzie, które wydają się nam rzeczą równie jasną, jak dwa razy dwa cztery.

Nie zdemokratyzowanie społeczeństwa tamuje rozwój sztuki, lecz podstawienie w miejsce arystokracji rodowej arystokracji pieniężnej — nie swoboda, lecz zmiana jarzma; prawdziwe zdemokratyzowanie, to jest zrównanie warunków (nie głów!) należy do przyszłości: ona ułatwi rozwój zarówno sztuki jak nauki, gdyż uczyni je dostępnymi dla wszystkich, a nie jedynie dla bogatych.

Jednakże z drugiej strony trzeba zauważyć, że Guyau, jakkolwiek duch bardzo rozległy, syntetyczny, będąc sam chorym fizycznie, zanadto znów wzdycha do „zdrowia“ w sztuce, zanadto jest przeciwny „neuropatom, dekantantom“; nie chce tego zrozumieć, że choćby niektórzy z nich byli zbyt jednostronni, aspołeczni, a nawet antyspołeczni, to jednak pośrednio przyczyniają się do postępowego ruchu społecznego, albowiem analizą swą z jednej strony czynią jednostkę ludzką bardziej wrażliwą, a więc niezadowoloną; z drugiej, rozluźniają daną fazę społeczną a stąd ułatwiają jej uruchomienie. Po za tym względem praktycznym mają oni wielką zasługę psychologiczną, posuwają naprzód sprawę rozumienia i odczuwania duszy ludzkiej, bardziej, niż różni profesorowie psychologii. Należy tylko pamiętać że przedstawienie zjawisk owej duszy „czystej“ czy „nagiej“ oderwanej od jej rzeczywistego tła, od medium społecznego, wśród którego i pod wpływem którego zjawiska psychiczne zachodzą w rzeczywistości,

powinno być tak uważane, jak eksperyment w nauce, gdzie dla badania pewnego, zbyt skomplikowanego w rzeczywistości, zjawiska, odtwarzamy je w odosobnieniu od pewnych komplikujących warunków; rezultaty tą drogą otrzymane mogą być bardzo pouczające, dać nie przewodnią do zrozumienia ich w rzeczywistej ich całości, ale same w tem ograniczeniu są tylko cząstkowemi.

Jak pierwiastek użyteczności, dobro społeczne nie szkodzi według Guyau pięknu, sztuce, tak również i pierwiastek naukowy, rozumienie. Sądzę, że i tu Guyau, mimo prawie powszechny pogląd przeciwny, ma rację. Wprawdzie niektórzy uczeni, pozbawieni wszelkiej iskierki poezyi, uczucia, są często śmieszni, gdy w swej obronie usiłują dowodzić tego samego, traktując estetycznie, jak sądzą, jakieś zjawiska przyrodnicze: spotykamy się wtedy z parodią poetyczności, przypominającą taniec niedźwiedzia. Ale z drugiej strony opisy przyrody wielu beletrystów, poetów, malarzy, nie rozumiejących naukowo przyrody, są zwykle śmiertelnie nudne. Gdy mamy do czynienia z poetą podmiotowym, który potrafi natchnąć zjawiska przyrody żywą, wieczną mistyką, wogóle żywą duszą ludzką, lub kreśli nam nie stan przyrody, lecz stan swej duszy pod wpływem zjawisk natury, wtedy możemy go skwitować z rozumienia, bo zamiast zjawisk natury mamy tu, bogatsze zwykle, zjawiska duszy ludzkiej: zjawiska przyrody odgrywają wtedy tylko albo rolę suggestyjonowanych medyów, albo też rolę palców, uderzających w harfiane struny duszy — nie patrzymy wtedy na palce, nie obchodzi nas ich własne piękno, toniemy w dźwiękach

harfianych. Ale u pisarzy realistycznych, opisujących zjawiska przyrody obiektywnie, a bez zrozumienia ich naukowo, to znaczy — genetycznie, dynamicznie w ich rozwoju, ruchu, a więc w ich życiu — opisy są zimne, martwe. I nic tu nie pomoże, iż raczą nas oni obficie różnemi „perciami“, „piargami“ i t. p. zawsze na geografję będzie to za suche, na poezję — za zimne. A jeżeli na rozgrzewkę „napętnią oni wóz“ wszelaką mitologią, martwymi już bogami, to znajdują wprawdzie poklask u panurgowej gawiedzi lub u przedsiębiorców reakcyi, ale w naszym mniemaniu jeszcze pogorszą swą sprawę.

Tylko połączenie zrozumienia z odczuciem stwarza arcydzieła; dla tego najwspanialsze obrazy przyrody spotykamy u uczonych humboldtowskiego typu.

Jeżeli jednak zasadniczo biorąc, nauka nie szkodzi pięknu, owszem, przyczynia się do jego spotęgowania, wzniesienia na wyższy poziom, to jednak względnie, t. j. w zastosowaniu do danego osobnika, szkodzi ona nieraz rzeczywiście. Nauka może bowiem nieraz tak zabsorbować siły danego osobnika, że nie pozostanie ich nic na odczuwanie piękna: wszakże nawet tak potężny duch, jak Darwin skarżył się, iż utracił wrażliwość na piękno, że dusza jego stała się jedynie maszyną do młócenia ogólnych praw z poszczególnych faktów. Dlatego to tak wielu uczonych mamy oschłych, drewnianych, tak wielu artystów — płytkich. Przy niedostatecznym zasobie sił osobnika, zwłaszcza wobec nadmiernego nacisku społecznego, powstaje ochronna konieczność zróżniczkowania zajęć, konieczność fachowości, jednostronności.

Tylko wielki zapas sił zdoła objąć harmonijnie

dwa tak wielkie światy, jak wielkie rozumienie i wielkie odczucie — żelaznej trzeba organizacyi fizycznej i żelaznej woli, by takie zogniskowanie dwóch światów w jednej duszy nie rozsadziło, niby dynamit, znikomej formy człowieczej.

Nietzsche powiedział, że stąpa po świecie, jak po poboju, gdzie napotyka się tylko kawałki ludzi — niema ludzi całkowitych. Otóż Guyau należy do typów, jeżeli nie zupełnie, to — najbardziej całkowitych, najbardziej syntetycznych: nie jest on ani arystokratyczno-egoistycznym estetą, który, jak tradycyjny podpalacz Rzymu, nie waha się niszczyć istnień ludzkich dla dostarczenia sobie rozkoszy estetycznej; ani wężkim społecznikiem lub uczonym fachowcem, pozbawionym wrażliwości na piękno — łączy on w sobie harmonijnie różne prądy i uzdolnienia duchowe — uczucie i rozum, poezję i naukę, miłość dla sztuki i miłość dla ludzi. Co najwyżej możnaby mu za pewien brak czy słabość poczytać zbyt dużą powagę, nie rozjaśnioną promieniami uśmiechu, nie błyskającą ostrzem ironii; albowiem, mimo wielkiego szarmonizowania duchowego, góruje w nim intelektualizm, który wraz ze słabością fizyczną rodzi jednostajną powagę i smutną rezygnację. Uczucie jego ujmuje nas nietyle wielkiem nateżeniem, ile wielkim gatunkiem — nie porywa, jak niczem nie powstrzymany, rozdzierany błyskawicami orkan, lecz przejmuje głęboko, mistycznie, jak odmętnie smutne blaski jesiennego zachodu.

Z powodu odczytów o życiu.



poprzedniej naszej pracy wspomnieliśmy nawiasowo o kolizji dra Fabiana z naszymi filantropami, urządzającymi odczyty; czytelnicy pism przypominają sobie zapewne wymowny protest prelegenta przeciw tym panom, którzy pozwalali sobie odczyty jego, już ulegalizowane, jeszcze ze swej strony cenzurować: wydały się im one jeszcze za mało legalnemi! Panowie ci powinni by na prelegentów naukowych powoływać jedynie reporterów: tylko stanowisko naukowe tych ostatnich odpowiadałoby doskonale wymaganiom i zakresowi umysłowemu tych panów.

Dr. Fabian zebrał swe odczyty w osobną książkę p. t. „Z nauki o życiu“, w której barwnym językiem traktuje objawy życia ze stanowiska ewolucyjnego.

W pierwszym z czterech odczytów omawianego zbioru, zatytułowanym: „U schyłku wieku“, autor omawia ziemię, człowieka i społeczeństwo z ewolucyjnego punktu widzenia: w ich rozwoju.

Człowiek dzisiejszy jest na tej podstawie tylko „przyczynowo warunkowanym wytworem nieskończonej i całe lat szeregi trwającej rozwojowej przemiany — na podobieństwo owej lśniącej kropli wody, którą potok czasu na mgnienie oka wyrzucił ku słońcu, by w przyszłej zaraz chwili znowu zapadła w olbrzymie łożysko i tam zniknęła na zawsze“.

W drugim („dziedziczność“) przedstawia zjawisko dziedziczności i jej teorie: Darwina i Weissmanna.

Wielką szlachetnością i podniosłością uczuć nacechowany jest tutaj ostatni ustęp: autor odczuwa tu okrucieństwo przyrody, która wskutek praw dziedziczności, „dziedzicznej doli“ — jednych darzy za-
datkami zdrowia, talentu i siły, innych znaczy piętnem niemocy, zwyrodnienia lub zniedołężnienia“ i t. d.; ale z drugiej strony wskazuje autor punkt jasny: „dobrotliwą rękę kultury“, która „pod światłem wiedzy i ciepłem miłości“ potrafi skutecznie przeciwdziałać straszemu fatalizmowi dziedziczności.

W trzecim („życie i śmierć“) wykazuje brak ostrej granicy między przyrodą martwą, a ożywioną, na zasadzie idei ewolucyjnej przemawia za powstaniem życia przez samorodztwo, zastanawia się nad warunkami długości życia i przyczyną śmierci; przytacza mianowicie niezmiernie ciekawy pogląd Weissmanna na istotę śmierci: według tego uczonego śmierć jest jedynie zjawiskiem przystosowania; życie nie dlatego nie przekracza pewnej granicy, iż z natury swojej nie może być wiecznem, lecz dlatego, że nieograniczone trwanie osobnika byłoby bezużytecznym zbytkiem dla gatunku. Dodamy tu od siebie, że teoria ta, o ile jest prawdziwą, wydaje nam się niezmiernie ważną dla rozwoju ludzkości, albowiem z biegiem czasu, w miarę zmniejszania się rozrodczych zdolności jednostki, a zwiększania się jej zdolności gromadzenia zapasów umysłowych, śmierć jednostki stawać się będzie coraz mniej pożyteczną dla gatunku, owszem szkodliwą dlań; a w takim razie przystosowanie wpływać musi w kierunku, jeżeli nie wieczności, to przynajmniej wielkiej długości życia.

W odczycie czwartym („mechanizm i witalizm“)

autor rozpatruje stosunek mechaniki do biologii, prawowitość zasad mechaniki w objaśnianiu zjawisk życia. W walce między mechanizmem i witalizmem o objaśnianie zjawisk życia zajmuje stanowisko pojednawcze: przyznaje witalizmowi zasługę krytyki wobec krańcowości grubo-mechanistycznych poglądów na życie; zresztą ostrzega przed wyłącznością jednego lub drugiego „wyznania wiary“ i widzi drogę do celu raczej w ciągłych spostrzeżeniach i doświadczeniach, ciągłym doskonaleniu metod badawczych. Szczególniej występuje autor przeciw przecenianiu stosowania matematyki do rozwiązywania zadań biologicznych i przytacza w tym celu wspaniałą ideę Fechnera, który uważał za możliwe przedstawienie różnych twarzy ludzkich, a nawet różnych wyrazów twarzy przy różnych uczuciach, za pomocą formuł matematycznych zamiast portretów. Autor, przypuszczając nawet możliwość, stara się wykazać bezpożyteczność takiego przedstawienia wobec istnienia portretów. Na sąd ten trudno się zgodzić: portret, artyzmem swoją drogą, a formuła, matematyka swoją: formuła twarzy, pozwalająca do badań fizyognomicznych wprowadzić pomiar, ująć zjawiska ilościowo, miałaby obok portretu równie pożyteczne znaczenie, jak obok pięknie namalowanego krajobrazu ma znaczenie mapa, owa matematyczna formuła pejzażu, wyrażona graficznie. Formuły twarzy kombinowane pozwoliłyby konstruować *a priori* różne wyrazy twarzy, a ich analiza mogłaby nas wiele pouczyć, tak iż, napotykając rzeczywistą twarz, odpowiadającą skombinowanej, nie stawalibyśmy już wobec zagadki, lecz wobec czegoś

znanego, podobnie jak stawaliśmy np. wobec Leverrierowskiego Neptuna.

Zresztą przy końcu swej pracy sam autor wyraża zadowolenie, że w sprawie zagadkowej czynności komórek, tak zwanego przyciągania z wyboru, „na miejsce zupełnej pojęciowej szczyrby stworzono przynajmniej jakiś wzór, jakiś symbol matematyczno-fizyczny, z którym się już przecie rachować można“; autor przytacza tu mianowicie odkrytą przez Hofmeistera i Spirę „selekcję fizyczną“ t. j. przyciąganie pewnych barwników przez otoczkę klejową sztucznej komórki, i wyraża nadzieję, że to odkrycie wyjaśni wiele zagadek „selekcji fizyologicznej“ komórek żywych, których zdolność właśnie wybierania sobie materiału odżywczego, dla nich właściwego, uważano dawniej za coś „jakoby mistycznego“. Podzielając w zupełności tę nadzieję, trzeba jednak zauważyć, że nawet całkowite wyjaśnienie zachowania się komórek żywych za pomocą zachowania się martwych (sztucznych), wogóle sprowadzenie objawów życia do mechaniki, wyrażenie ich we wzorach matematycznych, nie odjęłoby jeszcze całej sprawie charakteru „mistycznego“; cofnęłoby jedynie tajemniczość o jeden szczebel głębiej.

Książka dr. Fabiana, obok strony naukowej, stanowiska ściśle ewolucyjnego, posiada jeszcze dwie zalety uboczne: barwność stylu i pewien szlachetny, oparty na ewolucyi, optymizm w poglądzie na życie. W niewielu tylko miejscach zalety te stają się może nieco nadmierne. Tak np. autor, traktując dzieje naszej planety w sposób metaforyczny, porównywając jej życie do życia człowieka, wyjaśnia powstawanie

„niebotycznych gór łańcuchów“ młodzieńczemi ognistemi wybuchami (t. j. wulkanizmem); tymczasem wielkie górskie łańcuchy są genetycznie górami tektonicznymi, głównie fałdowymi; są objawem kurczenia się ziemi, objawem nie „młodzieńczych wybuchów“, lecz starzenia się naszej planety, co zresztą sam autor dalej przy omawianiu fałd zaznacza.

Zbyt ni znów optymizm występuje tam, gdzie autor omawia stosunek moralności do kar: w myśl Lombrosa uważa on przestępców za „zapóźnionych, zacofanych“, niejako za „wykopaliska minionej epoki“, którzy „śród obecnego społeczeństwa stanowią materiały spraw skandalicznych, rozpraw sądowych i zakładów karnych“. Otóż należy zauważyć, że obok przestępców urodzonych, biologicznych, są przestępcy społeczni, nie mający nic wspólnego z jakimś niedorozwojem, atawizmem; ludzie najprawidłowisi, nieraz najszlachetniejsi i których karząc społeczeństwo, wydaje wyrok na siebie, na wadliwość swego ustroju. Powtóre do „rozpraw sądowych“ kwalifikuje się właściwie każde silne odstępianie od normy, zarówno wstecz, jak i naprzód; a nawet to ostatnie bardziej, bo instytucje są zawsze bardziej zacofane, niż prąd życiowy: przedmiotami „rozpraw“ są nietylko „Kuby Rozpruwacze“, ale i Emmetowie.

Książkę dra Fabiana polecamy czytelnikom jak najgoręcej; już wyżej zaznaczona jego kolizja z „filantropami“ dowodzi wartości ideowej jego odczytów: sąd ciemnoty jest wybornym reaktywem na wykazanie siły światła.

Filozofia praktyczna czyli etyka pastorska¹⁾.



Nie ma zapewne narodu (prócz nas) bardziej „religijnego“ i „moralnego“, niż burżuazyjni *par excellence* Anglicy. Czy urządzają oni sportowe polowania na Tasmańczyków, czy rozdają, jak prawdziwi filantropowie, zatrutą mąkę głodnym Australczykom; czy przywiązują Indusów do wyłotów armatnich dla prędkiego uwolnienia biedaków od trosk ziemskich; czy cywilizują nieokrzesanych Boerów litytami bombami, paląc im farmy i znieważając kobiety; czy bawią się po lordowsku w lupanarach londyńskich itd. itd., czynią to wszystko zawsze z biblią w ręku i słowami moralności na ustach.

U nich też wychodzi najwięcej książek, mających na celu „umoralnienie“ t. j. wytłómaczenie wyzyskiwanym biedakom, że życie jest piękne, że żyć warto, że jedynie praca i poświęcenie przynosi szczęście, że spełnianie obowiązku względem „chlebodawcy“ jest rzeczą najświętszą; a choćby tu na ziemi człowiek za te cnoty nie był dostatecznie wynagradzany, to za to czeka go sowita nagroda w świecie innym i t. p. — Są to wszystko dzieła, że tak powiem, „metodyczne“, wzorowane na metodzie węzowej,

¹⁾ W. James. Filozofia praktyczna. „Czy warto żyć“. Z angielskiego przełożył W. Kosiakiewicz. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“. Warszawa, 1901 i tegoż Filozofia praktyczna. „Nałóg szkic psychologiczny“ tł. dr. R. Radziwiłowicz. Wydawnictwo „Przeglądu Filozof.“ Warszawa 1901.

ubezwładnienia swej ofiary przez jej oszołomienie, uśpienie; że tym sposobem dzieła te są „praktyczne“ nie potrzeba dowodzić.

I my lubimy tego rodzaju literaturę, więc skwapliwie rzeczy takie tłómaczymy z angielskiego; a sprawiedliwość, a zarazem duma narodowa, każe dodać, że posiadamy też samodzielne nasze tego rodzaju wyroby, zwłaszcza w dziale literatury powieściowej, cenione znów nawzajem i tłómaczone przez Anglików. Dlatego to my nie chcieliśmy robić Anglikom przykrości i nie podpisaliśmy adresu w obronie Boerów — „patryotyzm“ przedewszystkiem!

Wogóle dzięki tego rodzaju „moralnej“ działalności zaczynamy być sławni w całej Europie, albowiem dogorywająca burżuazya sprowadza sobie w swej agonii eliksiry z „moralnego“ Wschodu, które, jak zwykle leki, posiadają najczęściej etykiety łacińskie i emblematy święte (*Quo Vadis* i t. p.) — zupełnie jak znana z uzdrawiających skutków *aqua tofana*.

Uzdrowiające skutki takiej literatury są podwójne: ogłupia się, oszałamia masa ludzi, a jednocześnie wyciąża się im z kieszeni pieniądze, które przechodzą do kieszeni „obywatelskich“ wydawców i „sławnych“ autorów.

Do tego rodzaju literatury należą i książki Jamesa (zresztą nie bez pewnych zastrzeżeń). W książce „Czy warto żyć“ autor usiłuje uzasadnić wartość życia, głównie na podstawie wiary religijnej, wiary w inny świat.

Przypatrzmy się na paru przykładach argumentacji autora. Ponieważ — powiada on — w głowie uczonego z profesyi, wewnętrzna potrzeba ujednostaj-

nienia praw przyczynowości, jak tego dowiodła praca wielu pokoleń, okazała się proroczą, dla czegożby i potrzeba wierzenia w świat pozagrobowy nie mogła być także proroczą? Prawda, że argument mocny? Wogóle autor lubi używać porównań, jako argumentów; porównania te nie tylko są ciekawe formalnie jako argumenty, ale i same w sobie, w swej treści, są bardzo charakterystyczne: „Nasze psy np. — mówi autor — istnieją w naszym ludzkim życiu, ale one tem życiem nie żyją. Są one świadkami stale zewnętrznej strony wrażeń, których wewnętrzne znaczenie nie jest w stanie przez żadną możliwą operacyę wejść do ich inteligencji — zdarzeń, w których one same często grają rolę główną. Mój wyżeł ugryzie np. chłopca, który go drażni, a ojciec jego zażąda odszkodowania. (Proszę uważać co za wielkopański przykład! — czy autor ani na chwilę nie przypuszcza, że ojciec mógłby w innej nieco formie, niż w „monecie“ zażądać odszkodowania od właścicieli psów gryzących dzieci?) Pies — mówi dalej autor — może być obecnym w ciągu pertraktacyi i widzieć monetę płacaną i ani przejdzie mu przez głowę, co to znaczy, ani podejrzenie się w nim nie zrodzi, że tu idzie o niego; i on nigdy nie może wiedzieć tego w swoim psim życiu.“ Albo inny przykład: „przyjrzyjmy się biednemu psu podczas wiwisekcyi. Leży on, związany na stole, piszcząc i szczekając na swych egzekutorów i w swej ciemnej świadomości znosi literalnie pewnego rodzaju piekło. W całej tej sprawie nie może on dojrzeć najmniejszej idei odkupienia; a jednak cała ta pozornie dyabelska operacya kontrolowana jest przez intencye ludzkie,

które, gdyby mógł on choć w najmniejszej części rozumieć, poruszyłyby w nim nabożnie wszystko, co posiada w sobie heroicznego. Uchwycenie prawdy, ulga przyszłym cierpieniom ludzi i zwierząt zostają za jego męki kupione. Mogłoby to stać się prawdziwym prawem odkupienia“ i t. d.

Naprzód ze stanowiska formalnego porównanie to, choć nie pozbawione sprytu, nie jest żadnym dowodem: że istnieje świat ultrapsi nie jest to dowód, że istnieje świat ultraludzki; porównanie to mogłoby być tylko niezłą ilustracją prawdy, już w inny sposób dowiedzionej. Powtóre, ciekawa jest treść: autor czyni z nas niby psów bożych, co jest bardzo „praktyczne“, bo jakkolwiek wiadomo, że psie cnoty są „hańbą człowieka“, to jednak w ustroju burżuazyjnym psie cnoty są właśnie bardzo pożądane dla różnych panów, trzymających „psy“.

Przytem na podstawie tego porównania różni „egzekutorowie“, nie psów, ale ludzi, mogą im łatwo wytłomaczyć, że oni ich „egzekwują“ bynajmniej nie dla własnego zysku, ale dla celów świata wyższego, zagrobowego. Metoda ta była już z doskonałym skutkiem używana przy inkwizycjach; tak więc obok „neoscholastycyzmu“ mamy też i „neojezuityzm“ — oto co się nazywa „filozofia praktyczna!“

Autor w tym swoim zapędzie porównawczym idzie tak daleko, iż nawet przypisuje w i e r z e moc uczynienia bytności świata pozagrobowego prawdą: „Przypuście np., że drapiecie się po górach i żeście wleźli w pozycję, z której wyratować was może szalony skok. Miejcie pewność, że ten skok możecie pomyślnie wykonać, a noga was nie zawiedzie. Ale nie ufajcie

sobie i myślcie o wszystkich słodkich (?) rzeczach, jakieście usłyszeli od przeciwników szkoły „może być“, a będziecie się wahali i stoczyć się w przepaść“. — Porównanie to jest zupełnie błędne, bo prawdą jest tylko, że czy n nasz własny może zależeć od naszej wiary w pomyślne jego dokonanie, ale nie byt, leżący całkowicie po za nami. Wszakże dawniej silnie wierzono, że np. ładu jest na ziemi więcej, niż wody, bo jakżeby Bóg mógł się więcej troszczyć o mieszkanie dla ryb, niż dla człowieka; a jednakże ta silna wiara nie zdołała zmienić istniejącego stanu rzeczy, który jest odwrotny temu, w jaki wierzono.

Takie to są dowody, mające nas przekonać o istnieniu drugiego świata, i innych nie można się było spodziewać: istnienie świata pozagrobowego nie da się dowieść, więc wszelkie usiłowanie dowodzeń musi prowadzić do śmieszności i dziwołagów logicznych. Przytem, gdyby nawet istnienie to zostało dowiedzione, to niewieleby przyniosło korzyści dla celu autora, to jest dla dowiedzenia wartości życia; albowiem wobec wyższości tamtego drugiego świata przekonywałoby raczej o wartości nie życia, lecz śmierci; tak, iż oznaczona książka powinna by zamiast tytułu „Czy warto żyć“, nosić raczej tytuł: „czy warto umierać“ — co zresztą bynajmniej nie odjęłoby jej charakteru „praktycznego“.

Druga książeczka Jamesa, „Nałóg“ różni się dodatnio od poprzedniej: autor, rozpatrując tu zjawisko nałogu i jego znaczenie dla życia ludzkiego, zajął stanowisko ściśle naukowe. Lecz, mimo to, James i tutaj pozostał sobą: ma on, jak wielu uczonych anglosaskich, w sobie, coś z pastora; choć włożył na siebie

togę uczonego, to zawsze z pod niej sterczy mu „etyka“. A oto jakiego rodzaju.

„Nałóg — mówi on — jest najcenniejszym czynnikiem zachowawczym społeczeństwa. On tylko utrzymuje ludzi w ryzach posłuszeństwa i zabezpiecza dzieci dostatku (kochane dziecieczki!) od zazdrośnych pożądań biedaków“. „Nałóg strzeże najtwardsze i najwstrętniejsze drogi życiowe (t. j. zajęcia) od dezercyi ludzi (t. j. „biedaków“), nałogowo wdrożonych do kroczenia po nich“. „Nałóg zapobiega pomieszaniu się warstw społecznych“ i t. p.

Taki jest stosunek psychologa-moralisty do ideałów społecznych, które przecież obecnie tkwią w prądach, zdążających do tego, aby uczynić jednostkę najzupełniejszym, najwszechstronniej rozwiniętym i najbardziej uświadomionym człowiekiem; dla Jamesa ideałem jest niewolnik-automat, skazany na spełnianie „najwstrętniejszych zajęć“, bez krytyki, bez szemrania, bez „zazdrości“ względem „dzieci dostatku“ (James nie lubi ludzi „wyrzekających“).

Naturalnie, rozumiem to dobrze, że jak dla zekonomizowania myślenia potrzebnem jest uogólnienie, tak dla zekonomizowania czynności — nałóg: czynności ludzkie w pewnym zakresie powinny być zautomatyzowane, maszynowe; a jednak człowiek nie powinien być jedynie maszyną, lecz zarazem i maszynistą: powinien do swej maszyny, do swych nałogów (zarówno jak i do uogólnień) odnosić się krytycznie, być zdolnym do „wyrzekania“, umieć maszyną kierować, nadawać jej w razie potrzeby inny kierunek działania. I to nie jest wcale „marzycielstwo“, jakby powiedział James: człowiek nietylko

takim być powinien, ale takim jest rzeczywiście, i to w stopniu tym wyższym im wyższy jest stopień rozwoju społeczeństwa, stopień uświadomienia jednostki. „Zachowawczy“ zaś ideał Jamesa, bezwzględne zautomatyzowanie, bezkrytyczne wykonywanie zajęć „najwstrętniejszych“ jest ideałem chińskim, skostnieniem, negacją ewolucyi.

James, jak każdy zwykły moralista angielski, jest zdania, że „sami przedziemy sobie swój los zły lub dobry“, a to znów jest wprost (nie odwrotnie) proporcjonalne według niego do występku lub cnoty, czyli, innymi słowy, nieszczęśliwi, nędzarze są takimi z własnej winy, wskutek „występku“, szczęśliwi są takimi wskutek „cnoty“! Występek bowiem może wedle niego „przebaczyć tylko Niebo“, ale życie nie przebaczy! (z jakiej James u licha spadł na ziemię planety?) Przytem dziwna to zaiste logika, przypisywana „miłosiernemu Niebu“ — wszakże bowiem życie musi być, według Jamesa, objawem woli tego „Nieba“, owo więc „miłosierdzie“ Jamesa przypomina takiego dawnego pana, który sam osobiście chłopu przebacza, ale pozwala ekonomowi wlepić mu sto batów! Wiązaniem zaś szczęścia z „cnotą“, James przypomina socjologa-kamerdynera z powieści Czechowa: „biedni, mówi on, są złodzieje, siedzą w turmach, a porządni ludzie, uważ pan, są zawsze bogaci“.

Charakterystyczny też jest James i tu w swoich przykładach, tak sobie, od serca, wybranych.

Mówi np., że człowiek z niższej sfery towarzyskiej, przeniesiony do wyższej, nie łatwo odzwyczai się od mowy nosowej, nie potrafi ubrać się tak wytwornie, jak urodzony dżentelmen. „Sposób, w jaki

jego lepiej urodzeni towarzysze radzą sobie w wyborze swoich sukien pozostanie dla niego tajemnicą do końca życia“ (czyż doprawdy wobec tego warto ludzi źle urodzonych kształcić, dopuszczać do wyższej sfery?)

James jako moralista występuje przeciw rozdźwiękowi między teorią i praktyką, słowem i czynami. Naturalnie, chcemy mu serdecznie przyklasnąć, ale powstrzymujemy się wnet, gdy spostrzegamy, jak ilustruje on swój wstręt i kogo obiera za kozła ofiarnego, — oto Rousseau'a. „Rousseau — mówi on — zapalający wymową swoją wszystkie matki do postępowania wedle praw natury, do karmienia własną piersią swych niemowląt, a sam posyłający dzieci swe do domu podrzutków, jest klasyczną ilustracją“.

Czyż tak trudno było o inny przykład, żeby akurat wyszukać Rousseau'a? Dlaczego James nie dał za przykład któregoś z wielkich geszefciarzy angielskich, którzy, jak np. Cecil Rhodes, jedną ręką sięgają mord, a drugą rozdają mordowanym biblię? Nie! takiego przykładu on nie da, bo ma respekt dla ludzi „czynu“, nienawidzi „marzycieli“; zapomina, że czynem jest nietylko podbój lub założenie wielkiej fabryki, ale i przekazanie potomnym swych myśli; nawet jedno spojrzenie, jeden gest „marzyciela“ może dla rozwoju ludzkości mieć większe znaczenie, niż największa fabryka. Zapomina, że za nieetyczność geniuszów w rodzaju Rousseau odpowiedzialnem jest społeczeństwo, zbiór takich ludzi „czynu“, których czyny zmierzają ku zatruciu życia geniuszów, uczynienia ich nędzarami i stąd ku narażeniu ich na straszną walkę wewnętrzną, na konieczność wyboru między

nieetycznością względem bliźnich i nieetycznością względem siebie, względem swych idei, których urzeczywistnienie nakazuje im niezłomny głos wewnętrzny. Przytem przykład Rousseau nie jest tak bardzo klasyczny, jak to się Jamesowi wydaje. Rousseau nie był w tak wielkiej ze sobą sprzeczności: ten „marzyciel“, przeganiany z miejsca do miejsca, jak dzikie zwierzę, przez ludzi „czynu“, był nędzarzem, więc oddał dzieci do domu podrzutków, bo inaczej byłby wraz z niemi zginął z głodu; karmić zaś dzieci własną piersią radził bogatym damom, które karmią swe dzieci krwią innych ubogich kobiet, narażając ich dzieci na śmierć.

Kwestya etycznej oceny danej jednostki nie jest tak prosta, nie da się rozstrzygnąć tak po gospodarsku, jak to się Jamesowi, choć jest filozofem, wydaje. Przytem nie każdy jest uprawniony do surowości sądu.

James, syty „dżentelmen“, umiejący się ubierać gustownie, wojażujący do Paryża i „uczący się piosenek“, tryumfuje nad biedakiem Rousseau, że ten oddał swe dzieci do domu podrzutków — ale James, choć uczony psycholog i moralista, ani się domyśla, że nie ma prawa tryumfować. Prawo tryumfować miałby tylko ten, ktoby w takich samych warunkach, jak Rousseau, i przy równej jemu wydajności duchowej, okazał się silniejszym: znalazł jeszcze „jak pelikan“, dość krwi własnej, by nią karmić swe potomstwo, — ale taki z „prawa“ tego nie zechciałby korzystać, gdyż wiedziałby dobrze, ile na to „wziął życia z swego istnienia“ — o ile skrzywdził swe dzieci duchowe, aby nie skrzy-

wdzić fizycznych. W sądach o etyce ludzi trzeba umieć sprowadzać objawy do wspólnego mianownika: inaczej jakaś rentyerska krypto-szwinią może się okazać etyczniejsza od człowieka, i jeszcze mu urągać.

Nie znam stosunków Jamesa, ale zdaje mi się, iż na podstawie jego etyki pastorskiej, możnaby je z wielkiem prawdopodobieństwem tak *a priori* odbudować: jest to człowiek, który zdołał szczęśliwie zautomatyzować zupełnie swe czynności w pozytywne i moralne „nałogi“, człowiek zupełnie przystosowany, nie doznający rozdzwieków między pragnieniami, a rzeczywistością. Posiada on urząd, a zapewne i rentę, wierzy w Boga, wstaje regularnie rano, mówi pacierz, odbywa konieczne czynności, zjada befszytk i zasiada do filozofii, potem idzie wykładać etykę; przed obiadem pije wódkę, po obiedzie gra w karty z pastorem, a ponieważ czynność tę doskonale zautomatyzował, więc podczas niej może się informować co do poglądów teologicznych pastora, aby móżdżek każdorazowo wyrównać z niemi swe wykłady etyczne. Następnie, dla wyrobienia w sobie uczuć etycznych i silnej woli, stwarza sobie umartwienia sztuczne (ponieważ życie nie przedstawia mu naturalnych): usiłuje „grzecznie rozmawiać ze starą ciotką“ (choć, jako „etyk“, miałby wielką ochotę zadzwic z niej po męsku). Wieczorem „uczy się piosenki“ i wczesnie idzie spać dla „służby bożej“. Jednym słowem jest to typ, przypominający typy satyryczne pisarzy, którzy „burzą“, albo też typy poważne niektórych naszych powieściopisarzy, którzy „budują“; jest to, jednym słowem, anglo-saski Połaniecki, t. j. typ bykowato-troglodytyczny; różnice są tu tylko pod-

rzędne, zawodowo-etnograficzne: jeden ma mózg szlachecki, drugi — profesorski; jeden obrał za fach interes przemysłowy, drugi filozoficzny; jeden grywa w karty z proboszczem, drugi z pastorem.

Czyżby w celach spolszczenia nie można było znaleźć autorów nie mniej fachowych, a mniej „etycznych”? Tego rodzaju utwory „filozofii praktycznej“, jak Jamesa, są „praktyczne“ głównie dla przedsiębiorców; a wartoby było dać też coś praktycznego dla najmitów, pierwsi są i tak dość praktyczni; dajmy lepiej jakąś praktyczną radę „marzycielom“.

Warszawski Hegel czyli czarna niewdzięczność.



pan Jeleński, ten jedyny w dziejach idealista, idejowiec, który potrafi z idei budować kamienice (choć taki Hegel nie zdołał zbudować z idei nawet jednego kamienia!); ten niezmordowany maszynista „Roli“, która, niby najdoskonalsza maszyna Bergera, bezustannie pompuje w kółko „powrotną falę“ na posiłek swym łaknącym prenumeratom; ten rycerz bez skazy i lęku, ten nieugięty „kamienny“ wódz jedyne u nas pisma „niezależnego“, w którego każdym numerze całuje każdego „szanownego ks. Dobrodzieja“ w obie pulchne rączki, a ma nawet, skromnie ukrywaną, ochotę pocałować w oba pulchne — półgębki; ten pan Jeleński, mówimy, doczekał się czarnej niewdzięczności: oto znalazł się ksiądz (Charszewski), który, za zbliżeniem się doń „nieugiętego“ pana Jeleńskiego z pomienionym zamiarem, stawia mu się hardo frontem i nie chce mu pozwolić tej drobnej, a „niezależnej“ przyjemności ¹⁾.

Ks. Charszewski i wogóle niewdzięczni konserwatywni przeciwnicy p. Jeleńskiego nie występują przeciw programowi „Roli“, lecz przeciw sposobowi jego eksploatacyi. Jedni konserwatyści, jak pan Jeleński, prowadzą gospodarstwo rabunkowe: chodzi o wyciągnięcie z tego

¹⁾ Ob. broszurę: „Ślepi wodzowie“. Warszawa 1901.

gruntu w krótkim czasie żywota jaknajwiększej ilości dóbr doczesnych dla siebie, a potem niech co chce będzie, *après nous le deluge*; drudzy prowadzą gospodarstwo racjonalne, rachują na dalszą metę: pojmują, że grunt może się wyjałowić, chcą zachować pastwisko na długo dla całej klasy — dla tych pan Jeleński jest niewygodny; inni wreszcie, uczciwsi a naiwni, sądzą, że na gruncie tym da się wyhodować szczęście ludzkości — dla tych pan Jeleński ze swem geszetciarstwem i hipokryzyą jest wstrętny.

Prócz tych różnic ogólnych, co do kwestyi antysemityzmu w szczególności też nie ma zupełnej zgody w obozie konserwatywnym. Antysemityzm natrafia na różne szkopyły: jest on z jednej strony dla konserwatystów dobry, bo budzi w masach fanatyzm i zwracając uwagę na wyzyskiwaczy żydowskich, odwraca ją od — katolickich. Ale ma i złe strony: pomijam już to, że żadne akrobatyczne koziołki pp. Jeleńskich nie zdołają go uchronić od rażącej sprzeczności z nauką Chrystusa; pomijam to, bo strona teoretyczna, brak logiki, nie przeszkadzają zbytnio w obelgiwaniu ciemnych mas; ważniejszą rzeczą jest tu względ praktyczny, że antysemityzm, odwracając chwilowo uwagę od wyzyskiwaczy katolickich, z czasem zaprawia masy do walki z wyzyskiem wogóle, staje się „Socialismus für dumme Köpfe“. To też bezczelniejsi ze wsteczników ubolewają wyraźnie: „antysemityzm, doskonale! lecz to nieszczęście, że często schodzi ze stanowiska rasowego na kapitalistyczne“. Niektórzy wielcy kapitaliści, jako dobrzy chrześcijanie, nawet całkiem odrzucają antysemityzm w imię

miłości bliźniego; naturalnie, po co się drzeć, lepiej zgodnie, wspólnie — obdzierać.

Musimy zauważyć, że walki, prowadzone z „Rola” przez niewdzięczników konserwatystów na gruncie „zdrowego” postępu lub na gruncie religii, niewiele szkody wyrządziły panu Jeleńskiemu: on, jako skrajniejszy, zajmuje w walce tej korzystniejsze stanowisko i jest bardzo konsekwentny w dążeniu do swego celu. Postawił on sobie mianowicie bardzo racjonalną zasadę: trzeba zrobić pieniądze; a najwięcej pieniędzy da się wyciągnąć z głupoty ludzkiej. I rzeczywiście: większość tak skołatanego społeczeństwa, jak nasze, składa się z głupców i geszefciarzy, którzy żyją z głupoty i w których interesie więc leży jej utrzymanie i rozwijanie. Gdy bowiem człeka ogłupi się dostatecznie, gdy mu się wytłomaczy, że zbawienie zależy od rozwartości jego worka, to będzie on w końcu błagał swych opiekunów o przyjęcie grzesznej mamony. Z tak racjonalnej zasady wychodząc, pan Jeleński stara się wszelkimi możliwymi środkami rozkrzewiać głupotę, a prześladować wszelki objaw myśli ludzkiej, wszelkie osobistości, które są jej przedstawicielami; w tem prześladowaniu pan Jeleński nie cofa się przed żadnym środkiem. Zarówno sam on, nie posiadający żadnego naukowego wykształcenia, jak i różni jego pismaacy: Werytusy, Sodalisy, Katoliccy hrabiowie X., księża Y. i t. d., wstydzający się nawet podpisać swego prawdziwego nazwiska, napadają brutalnie na największe potęgi umysłowe świata, ufni, i słusznie, że znajdują posłuch wśród głupców. Stanowisko więc pana Jeleńskiego jest silne, jak silną jest głupota ludzka: p. Jeleński to wielki

grzyb trujący, wyrosły na naszym zatęchłym bagnisku społecznem; grzyby takie, wciągając w siebie zbyt wiele błotnych soków i rozrastając się nadmiernie, czasami same pękają, w przeciwnym razie usunąć je może tylko zdrenowanie bagna.

Socjologia lecznicza.



Dołtor Władysław Chodecki napisał małą broszurkę, a raczej nieoprawny nawet świstek z 8¹/₂ kartek złożony, kosztujący jednak aż 40 kopiejek, z tytułem wielce obiecującym dla wielu biedaków, co w ciężkiej walce o byt stargali siły nerwowe¹). A no, zobaczymy, czy nie znajdziemy w niej oręża na zwalczenie, lub przynajmniej zmniejszenie, złęgo.

Autor prawi nam przedewszystkiem kazanie za „żądze używania“, „pracę jedynie dla chleba“, a nie dla wznioślejszych idealnych pobudek — „nauki dla nauki“.

Autor widocznie nie wie, że ktoby u nas chciał się poświęcić „nauce dla nauki“, ten nietylko daleko prędzej zdenerwowałby się takim zbytkiem, niż „żądzą używania“, ale poprostu umarłby z głodu.

Dalej, jakoby z Virchowem, czyni autor odpowiedzialnym pozytywizm za liczne w naszych czasach samobójstwa; trudno zrozumieć, jakim sposobem niewiara ma prowadzić do samobójstwa; prędzej chyba silna wiara w przyszłe, lepsze życie powinaby skłaniać do skrócenia sobie życia tych, którym ono nie ściele się po różach. Samobójstwo, wynikające nie z chwilowej rozpaczki lub obłędu, lecz z chronicznej, że się tak wyrazimy, niechęci do życia, ma za przyczynę wyczerpanie sił nerwowych, to zaś wynika najczęściej

¹) Dr Władysław Chodecki. Jak zapobiegać chorobom nerwowym. 1886. (Odbitka z Ateneum).

z trudnych warunków życia, z wysiłków w walce o byt, a nie z tych lub owych teorii filozoficznych. Filozofowie pesymiści, żyjący wygodnie i dostatnio, ani myślą odbierać sobie życia, tymczasem biedny rzemieślnik, nie mający pojęcia o filozofii, ale obarczony liczną rodziną i spracowany, odbiera sobie życie na wiadomość, że rodzina jego powiększyła się bliźniętami. Autor, występując z tego powodu przeciw popularyzowaniu hipotez dla tłumu, nie tylko przecenia szkodliwość niektórych w tym względzie, ale wykazuje brak jasnego pojęcia o nauce wogóle, o jej historycznym rozwoju: nauka składa się jedynie z faktów i hipotez (bo któż odróżni napewno teorię od hipotezy); te ostatnie są cementem, wiążącym fakty w logiczną harmonijną budowę; autor chce, aby zamiast tego dawać tłumom tylko liczne fakty, jako rzeczy pewne; jest to z jednej strony niepedagogiczne, z drugiej naiwne, bo i za pewność faktów nikt nie zareczy: w miarę doskonalenia się narzędzi obserwacyi fakty, uważane dziś za pewne, jutro mogą się okazać złudzeniem. Któż więc i jak ma rozstrzygnąć, co kapłani wiedzy mają ogłaszać tłumowi, a czego nie mają? Nie, panowie! uczeni nie powinni stanowić zgromadzenia kapłanów egipskich, kryjących wiedzę przed tłumami, ażeby ktoś z niej nie zrobił złego użytku. (Np. robotnicy w fabrykach, gdyby byli obznajomieni z higieną, mogliby użyć tego na „złe“, t. j. zażądać od właściciela higieniczniejszego urządzenia fabryki, narazić go na koszt i nie pozwolić mu żyć „moralnie“, jak to niżej zobaczymy). Ale w takim razie wzbrońcie panowie tłumom używać ognia, bo nim można podpalić, zróbcie się jego szafarzami, sprzeda-

wajcie go drogo po aptekach i tylko za receptą doktorów. Nie, panowie! wiedza tłumów powinna być tylko spopularyzowaną wiedzą uczonych, wiedzą w jej stanie współczesnym, a nie jakimś paleontologicznym tworem, oszlifowanym *ad usum Delphini*.

Projekt autora, aby każdy, wstępujący w związki małżeńskie, poddawał się oględzinom lekarza, byłby najkorzystniejszym dla tego ostatniego; zresztą przyniósłby więcej szkody niż pożytku. Nauka medycyny daleką jest jeszcze od możliwości stawiania tutaj prognozy: słabi rodzice mają czasem dzieci zdrowsze, niż rodzice zdrowi, „mistrze słowa“ miewają dzieci nieme, ludzie najzdolniejsi — dzieci idyotyczne i t. d. Któż jest w stanie takie rzeczy przewidzieć, a dla mniemanego uniknięcia przypuszczalnego nieszczęścia przypuszczalnego potomstwa czynić rzeczywiście nieszczęśliwymi żyjących („egoistów“, jak ich w szlachetnym zapale nazywa nasz autor). Łamać im życie, a może i pożyteczną dla kraju i społeczeństwa działalność na polu nauki, sztuki i t. d. byłoby barbarzyństwem i nonsensem. Jedynym środkiem poprawy jest tu pozostawienie instynktowi swobody wyboru, a nie krępowanie go zakazami doktorskimi lub, jak to się dzieje obecnie, stosunkami majątkowymi.

Co do zakazu wchodzenia w związki małżeńskie między krewnymi, z których ma jakoby wynikać epilepsja(?), to, nie będąc lekarzem, nie będę się spierał o naukową podstawę, zdaje mi się jednak, iż autor, występując przeciw hipotezom, sam nadużywa hipotez i że wstręt do zawierania związków małżeńskich między krewnymi jest prędeż faktem socjologicznym, niż biologicznym — że wynika mianowicie z egzogamii.

Autor żąda, aby ludzi nerwowych kierować na ogrodników, rybaków, leśniczych i t. p. Według tej recepty nie mielibyśmy n. p. Słowackiego, któryby był zmuszony przez jakiego prowincjonalnego eskułapa do przyjęcia obowiązków leśniczego u jakiego pana hrabiego; kwestya też, czy na tem stanowisku wyleczyłby się on z nerwowości, skoro miał wrodzony popęd do czegoś wznioślejszego; pan hrabia byłby z pewnością niezadowolony ze swego strzelca. Mimo to jednak autor nieco dalej twierdzi, iż przyczyną zdenerwowania bywa niewłaściwe obranie zawodu, a ztąd brak zamiłowania w pracy zawodowej; na to zupełnie się zgadzamy, ale to jest sprzeczne z powyższem.

Przez cały artykuł autora przewija się nić przeciętnej moralności, ubolewań nad brakiem „podstaw etycznych“, nad „moralnem zepsuciem“ i t. p. Przypomina to nieco biblijno-sielankowy styl starego lekarza moralisty, Hufelanda, który, szczególnie w chorobach płciowych, gromił niemoralność. Moralizowanie takie wygląda zupełnie tak samo, jak gdyby n. p. biedakowi, który dostał kataru żołądka, stołując się w podrzędnej garkuchni, prawić: jakiś ty niemoralny, cierpisz z własnej winy. Ależ, panowie moralisci takiego pokroju, raczcie się zastanowić, że owa „niemoralność“, jaką zarzucacie innym, nie może chyba polegać na jedzeniu obiadu, boć i wy go jadacie, lecz tylko na jego jakości: wy możecie płacić za obiad n. p. pięć rubli i jesteście zdrowi, silni, „moralni“; biedak może pozwolić sobie tylko na obiad złotówkowy i truje się, jest według was „niemoralny“. Dr Chodecki napada n. p. na „niemoralność“ pracownic fabrycznych; a przecież i taka

kanalia musi zaspakajać potrzeby swych organów trawienia i płciowych z równem prawem, jak hrabina, proboszcz, żołnierz, papież, a nawet doktor medycyny; że zaś tych stać na lepsze obiady, to czyżby przez to byli moralniejsi? Panowie zdawkowi moralisci (pośród których ze zdziwieniem napotyka się lekarzy) mają zapewne tutaj gotową radę: wychodźcie za mąż, żeńcie się — bardzo pięknie, ale zastanówcie się, panowie, że taka „moralność“ jest dla biedaka zbytkiem albo wpadnięciem z deszczu pod rynnę: jak w kwestyi obiadu, tak w kwestyi płciowej — w kwestyi „głodu i miłości“, biedak na każdej drodze dochodzi do „niemoralności“: albo pozostaje wolnym i choroby płciowe doprowadzają go do ruiny, albo żeni się i widząc, jak z biegiem czasu rodzina jego się zwiększa, a siły do pracy maleją, odbiera sobie życie (nie wiedząc nic o pozytywizmie i innych zgubnych kierunkach filozoficznych), rozpija się, rozchorowyywa, ginie; w każdym więc razie staje się „niemoralnym“.

Kwestya moralności płciowej jest kwestyą ekonomiczno-socjologiczną i na drodze kazań biblijno-sielankowych, na drodze ubolewań nad zepsuciem rozwiązać się nie da; jedynie na drodze ekonomiczno-społecznej musi się kiedyś rozstrzygnąć.

Co do rad lekarskich autora przeciw chorobom nerwowym, są to po większej części ogólniki, jakie zwykle znajdujemy sformułowane w każdym medycznym handbuchu niemieckim: „tanzen, turnen, schwimmen, reiten; Bewegung im Freien. Leichtes Bier, etwas Wein kann auch gestattet werden“. Rady takie do niczego nie prowadzą, każdy je zna, ale nie każdy praktykować je może, najmniej ten, kto jest słaby.

Jądro chorób nerwowych, jak i „moralności“, leży w stosunkach ekonomicznych; nie ma co obwijać w bawełnę: ażeby uniknąć rozstroju nerwów najlepiej być zamożnym, mieć byt spokojny, pracować umiarkowanie nad tem, co sprawia przyjemność. Lecz kto ubogi wstępuje na arenę życia, ten, jeżeli chce uczciwą pracą zdobyć byt i stanowisko, musi (mimo odradzania Dra Chodeckiego i mimo wszelkiej świadomości niebezpieczeństwa dla zdrowia) wyteńczyć wszystkie swe siły w walce o byt; jeżeli tego nie uczyni, konkurencya zgniecie go bez litości, jeżeli to zrobi, to albo dopnie celu, zanim zupełnie zrujnuje nerwy i wtedy przepcha jakoś to życie, albo wprzód zrujnuje nerwy ze szczerem i zginie; to już zależeć będzie od organizmu, szczęścia i większych lub mniejszych skrupułów w wyborze środków.

Najlepszym jeszcze stosunkowo sposobem poprawienia nerwów, jest napisać krótką i nie wiele zużywającą mózg broszurkę, dać jej zachęcający i wiele obiecujący tytuł i sprzedawać ją drogo, a za zebrane pieniądze kupić parę butelek starego węgryzyna, który mimo wszelkich wycieczek przeciw alkoholizmowi, lepiej odrestauruje nerwy, niż wszelkie preparaty żelazne, kompresy i najnieograniczeńsza „wiara w lekarza“.

Na powyższą krytykę, podpisaną pseudonimem „Nerwowy“, Dr Chodecki nadesłał do „Głosu“ (1887) następującą odpowiedź.

Odpowiedź Dra Chodeckiego.



Przedewszystkiem wyrazić muszę zdziwienie, dlaczego pan Nerwowy, który sam się do tego przyznaje, że nie jest lekarzem, jął się oceniać pracę treści czysto lekarskiej? Naturalną konsekwencyą tej niekompetencyi jest ujawnianie się na każdym kroku, w mowie będącej krytyki, nieznamomości najnowszych naukowych prac o nerwowości i wogóle nieznamomości podstaw elementarnych nauki, traktującej o przyczynach chorób (etiologii).

W broszurze mojej bowiem, zgodnie z badaczami, zajmującymi pierwszorzędne stanowisko w nauce (profesorowie Virchow, Krafft-Ebing, Moebius, Börger i inni) wyprowadzam wniosek, że pośród przyczyn, powodujących ogromne szerszenie się chorób nerwowych przeważną grają rolę: brak ideałów we współczesnych społeczeństwach, walka o byt, nadmierna praca umysłowa, wadliwość wychowania, bezwyznaniowość wreszcie. W związku z tem krytykuję zbyt pochopne popularyzowanie wśród mas hipotez naukowych. Pan Nerwowy ostro mię za to gromi; co do mnie, nie przestaję twierdzić, że hipotezy naukowe doprowadzają często masy do nieuzasadnionych nieczem wniosków, wywierających najzgubniejszy wpływ na ich społeczne i etyczne przekonania. W tym samym duchu odezwał się prof. Virchow na 50-tem zgromadzeniu lekarzy i przyrodników niemieckich, odbytem

w r. 1877 w Monachium. W odczycie swym o wolności nauczania genialny badacz i myśliciel wypowiedział swój pogląd pedagogiczny, dający się streścić w następujących słowach: W szkołach mają być wykładane tylko takie prawdy, które są bezwzględnie pewne. Do szkoły należą fakty a nie hipotezy. Badania nad kwestyami, obchodzącemi cały naród, winny być wszystkim dozwolone i to właśnie stanowi wolność badania.

Zdanie, wypowiedziane w mej broszurce: iż każdy, obarczony nerwowem lub chronicznem cierpieniem a wstępujący w związki małżeńskie, winien się poddawać oględzinom lekarza, nie podobało się panu Nerwowemu.—Twierdzenie jego, iż medycyna daleką jest od możności stawiania tutaj prognozy, jest absolutnym fałszem.—Niektóre zakażenia krwi, przebiegające chronicznie jak n. p. syfilis, zawsze prawie udzielają się potomstwu już to w formie pierwotnej t. j. jako syfilis, już to jako zoły (skrofuły).

Ponieważ tedy choroba ta często pozostaje ukrytą w organizmie, dając złudzenie zupełnego zdrowia i pozostawiając ślady dostrzegalne tylko dla oka lekarza, każdy więc, kto przebywał tę chorobę a chce zawrzeć związek małżeński, jeżeli jest uczciwym człowiekiem i nie chce płodzić chorowitego potomstwa, musi poddać się szczegółowemu badaniu lekarza. Co do chorób nerwowych, to ścisłe badania wykazały, iż na 100 przypadków rozmaitych form chorób nerwowych w dziewięćdziesięciu spotykamy dziedziną skłonność; mając na uwadze ten fakt, musimy stanowczo oświadczyć się przeciwko zawieraniu małżeństw między osobami nerwowemi i to

właśnie w imię zdrowia, a więc najpierwszego warunku szczęścia ogółu.

„Jednostki, cierpiące na ciężkie choroby nerwowe, mówi prof. Krafft-Ebing, powinny całkowicie wyrzec się małżeństwa“.

Prof. Leyden, luminarz berlińskiego uniwersytetu, uważa dziedziczność w większości chorób nerwowych jako jedyną przyczynę i na tej zasadzie twierdzi, że małżeństwa między osobami nerwowymi są zgubne dla zdrowia potomstwa.

Przy zdaniu mojem, iż z małżeństw, zawieranych w bliskim pokrewieństwie, potomstwo przychodzi na świat ze skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych, stawia p. Nerwowy znak zapytania. Otóż niech przeczyta pierwszy lepszy podręcznik chorób nerwowych, n. p. artykuł o epilepsji (padaczce) prof. Nothnagel'a zamieszczony w podręczniku patologii Ziemsen'a. Liczne przykłady uczą nas, mówi we wzmiankowanym artykule prof. Nothnagel, że padaczka (epilopsya) rozwija się często u dzieci, pochodzących z małżeństw, zawieranych w bliskim „pokrewieństwie“.

Uwaga krytyka, że wstręt do zawierania związków małżeńskich między krewnymi jest prędeż faktem socyologicznym, niż biologicznym — jest absolutnie fałszywa.

Szkodliwość małżeństw zawieranych w bliskim pokrewieństwie, jak się słusznie wyraża Quatrefages, polega na tem, że właściwe obu małżonkom skłonności do chorób dosięgają wyższego stopnia rozwoju u potomstwa.

W broszurce mojej wyraziłem zdanie, że ponie-

waż w poważnej liczbie wypadków nerwowości cierpi mózg, przeto ludzie w wysokim stopniu nerwowi powinni porzucić, wyczerpujące system nerwowy, zajęcia umysłowe i oddać się zatrudnieniom przy roli i t. d. Rada ta wywołała śmieszna uwagę ze strony pana Nerwowego, iż według tej recepty nie mielibyśmy np. Słowackiego, który byłby zmuszony przez jakiego prowincjonalnego eskulapa do przyjęcia obowiązków leśniczego u jakiego pana hrabiego“ i t. d.

Otóż pan Nerwowy zapomniał o tem, iż higiena jest wyłącznie nauką zachowania i polepszania zdrowia. Higiena, jako nauka o warunkach i prawidłach zdrowia, nie może troszczyć się o dostarczanie geniuszów ludzkości, ale wskazuje warunki zdrowotności tak przeciętnym ludziom jak i geniuszom.

Twierdzenie pana Nerwowego, że bieda i nędza jest jednym z głównych czynników szerszenia się nerwowości, nie zgadza się bynajmniej z prawdą. — Właśnie my lekarze mamy sposobność obserwować nerwowość, i to w bardzo ciężkich objawach, w zamocznych warstwach społeczeństwa; tutaj właśnie zupełny brak ideału, wyczerpanie mózgu, by do coraz większych dojść środków materialnych, uganianie się za wstrząsającymi wzruszeniami są niewątpliwie tego rozstroju nerwowego przyczyną.

„Dr Chodecki, mówi dalej pan Nerwowy, napada n. p. na niemoralność pracownic fabrycznych; przecież i taka kanalia musi zaspakajać potrzeby swych organów trawienia i płciowych z równem prawem jak hrabina, proboszcz i t. d. Czyż ja gdzie twierdziłem, iż pracownica fabryczna nie powinna za-

spakując potrzeb swych organów trawienia i płciowych? Powiedziałem w swej broszurce, iż co do przyczyn nerwowości u kobiet sfer niższych, to zbyt częste porody, nadmierna i przeciwna zdrowiu praca w fabrykach, dająca najczęściej powód do moralnego zepsucia i przedwczesnych stosunków płciowych i t. d. są najważniejszymi przyczynami.

Czy pan Nerwowy zacytował fakty, któreby się powyższemu twierdzeniu sprzeciwiały?

Nie.

Pan Nerwowy twierdzi, iż co do rad lekarskich, to można znaleźć w mej broszurce same ogólniki, gdy przeciwnie, każdy znaleźć może jak najszczególowsze wskazówki lekarskie, zbyt szczegółowe może, jak na pracę higieniczną. Przytoczmy kilka przykładów:

„Zbawiennemi dla osób nerwowych są nacierania rano na czczo zimną wodą; należy je robić w ogrzonym pokoju, zawsze jednak należy zaczynać od temperatury 24^o, 23^o by uniknąć możliwego zaziębienia i wynikającego ztąd kataru oskrzeli, zapalenia gardła i t. d.“

„Dla nerwowych, bezkrwistych, anemicznych najlepszymi są źródła żelaziste jak u nas Krynica, w Niemczech Pyrmont, Elster, Kudowa. W zimie zaś należy brać żelazo w przetworach aptecznych itd.“

„Bicie serca, tak częste u nerwowych, ustępuje przy użyciu zimnych okładów na lewą stronę klatki piersiowej; ze środków aptecznych można polecić wodę wawrzyno-śliwową, bromek potasu, wa-

leryjanę, castoreum i t. d. — To chyba nie ogólniki“.

Słowem, pan Nerwowy siłę argumentacyi stara się zastąpić płaskimi konceptami, na które odpowiadać nie warto.

Odpowiedź Dr Chodeckiemu.



dziwienie“ Dr Chodeckiego jest zbyt-
czne, ponieważ kwestya nerwowości,
prócz strony „czysto lekarskiej“ ma
jeszcze stronę ogólniejszą, społeczną,
ogólnie ludzką; lekarz więc, traktujący
sprawę chorób nerwowych, musi wkro-
czyć w tę dziedzinę, która czasami bywa mu niestety
dość obca i ta okoliczność może wywołać zupełnie
słuszną i uzasadnioną krytykę ze strony „nie lekarza“.
Dr Chodecki nie dowiódł bynajmniej mojej „niekom-
petencyi“ w zakresie tych kwestyi, jakie poruszałem;
jeżeli więc dajemy tę obszerną odpowiedź, to nie ze
względu na wagę zarzutów Dra Chodeckiego, lecz ze
względu na zasadniczą, społeczną ważność kwestyi
poruszonych. Dr Chodecki zamiast argumentacyi, za-
słania się największymi powagami doktorskimi, ale
i największe powagi medyczne mogą się mylić,
gdy wkraczają w obcą im nieraz dziedzinę socyo-
logii; mogą się mylić tem bardziej, że uprzedzenia
kastowe często zaciemniają ich pogląd. Powagi Dra
Chodeckiego widzą brak ideałów, brak podstaw ety-
cznych, jako przyczynę nerwowości, a nie widzą np.
pruskiego militarizmu, który wysysa najżywotniejsze
soki z ludzi pracy, czyni z nich maszyny robocze,
obciąża ich nadmiernymi podatkami. Nie zapominajmy,
że uczeni niemieccy pod względem społecznym stano-
wią niemal kastę; wszak od Niemców wyszła potworna
myśl podziału społeczeństwa na uczonych, używają-
cych wiedzy i życia bez wszelkich ograniczeń i uprze-

dzeń, oraz na ciemne, w ciemnocie trzymane religijne bytło robocze. To sprowadzanie przyczyny zła z czy-sto realnego, ekonomicznego gruntu na mglisty nie-biesko-etyczny przypomina zupełnie twierdzenie kra-kowskich klerykałów, którzy emigrację ludu wyzy-skiwanego, doprowadzonego do nędzy przez klerykalizm, tłumaczy „brakiem wiary i przywiązania do rodzinnego kościołka“. Jest to niezmiernie sprytna jezuicka me-toda: gdy powstanie żywotna kwestya realna, ziem-ska, która mogłaby szkodzić realnym interesom kasty, wówczas kasta stara się zaciemnić ją i zwrócić na bezpieczne tory niebieskie; w zamian chleba obiecać głodnym gruszki na wierzbie!

Że zresztą ludzie, mający cele idealne, dążący do nich z zapałem, daleko prędzej w tem trudnem dążeniu zdenerwują się, niż ludzie bez ideału, syba-rycy, egoiści, mający tylko na względzie brzuch, wy-gody i przyjemności, to jest to tak jasne, że tylko zaślepienie lub zła wola mogą twierdzić inaczej. Że „nadmierna praca umysłowa i walka o byt“ (natural-nie i „wadliwe wychowanie“) są przyczyną chorób nerwowych, to temu przecież nie przeczyłem, twier-dziłem tylko, że człowiek pracy musi nadmiernie pracować, choć wie, że to jest dla niego zgubne; a musi właśnie dlatego, że ci, co dbają tylko o swój brzuch, każą innym żyć ideałami lub pocieszać się perspektywą szczęścia zaziemskiego.

Że „bezwyznaniowość“ sprowadza choroby ner-wowe i samobójstwa, to tkwi tu tylko współrzędność, a nie przyczynowość w tym sensie, jak sądzi Dr Cho-decki i jego powagi. Ludzie bezwyznaniowi znajdują się mianowicie w niekorzystnych warunkach, albowiem

dzisiaj jeszcze formalna religijność jest dobrym interesem (inaczej nie spotykalibyśmy dziwnego na pozór faktu, iż u nas np. gorliwymi propagatorami chrześcijaństwa są żydzi-wydawcy; stąd też pochodzi zacięłość antysemitów, którzy na tym samym chcieliby robić interes, a żydzi sprawiają im konkurencję); przytem, pominiawszy głupich fanfaronów, ludzie bezwyznaniowi są to zwykle jednostki najwyżej duchowo uorganizowane, psychicznie najbardziej skomplikowane, najsubtelniejsze, najsilniej odczuwające; dodawszy do tego, iż wobec dzisiejszych stosunków społecznych są oni najbardziej narażeni na ciosy wszelkiego rodzaju i to nie tylko jako bezwyznaniowcy, ale, co zatem idzie, jako ludzie niepodległego poglądu na każdą kwestyę, jako ludzie nie dający się łatwo ugiać i nagiąć, zrozumiemy łatwo, na jak fatalne próby narażone są ich nerwy. Widząc, jak dokoła tryumfuje obłuda i podłość nad prawdą i szlachetnością, jak nicosć umysłowa i moralna, rozparta na złotym cielcu, patrzy z góry na zasługę i prawość, jak znużeni walką ludzie słabsi idą na służbę do przeciwnego obozu i ściskają przyjaźnie rękę tych, których moralną nicosć sami dawniej głosili i t. d. i t. d.; widząc to wszystko, bezwyznaniowiec z silnym, nieugiętym charakterem, czuje swoje odosobnienie, czuje, że potęga Arymana jest dzisiaj jeszcze niezwalczona, napawa się goryczą, woli zginąć, niż się przystosować do nikczemności — „umiera,“ by się „nie poddać.“ A więc bezwyznaniowość tylko socyologicznie doprowadza do samobójstwa, nigdy jako taka, nigdy biologicznie, t. j. w tym sensie, jak tego chce dr. Ch. i jego powagi. W państwie Birmańskim, za króla Thibo, każde

zdanie, niezgodne z jego wolą, narażało poddanego na kary, prześladowania, a ztąd naturalnie na choroby i śmierć; gdyby dr. Ch. był nadwornym lekarzem birmańskim, to według tej samej logiki, musiałby twierdzić, że niezgadanie się z wolą królewską, jest (biologicznie) szkodliwe dla zdrowia!

Co do nadużywania w nauczaniu i popularyzowaniu hipotez, to ja w swej ocenie postawiłem tę kwestyę zasadniczo, p. Ch. nie podniósł tak tej sprawy, lecz wyjechał znów z indywidualnem (bo przecież nie medyczno-naukowym) zdaniem Virchowa, które nie zastąpi argumentacyi, a nawet dałoby się użyć za przeciwny argument, bo właśnie owe najnowsze, niebezpieczne hipotezy traktują najżywotniejsze kwestye (dlatego właśnie zowią je „niebezpiecznemi“), „obchodzące cały naród“. Na szczęście nie wszyscy uczeni podzielają w tym względzie pogląd Virchowa.

Zdanie moje o trudności, wobec której stanęliby lekarze, gdyby im przyszło wyrokować, czy dany osobnik może, czy nie może wstępować w związek małżeński, nazywa dr. Ch. „absolutnym fałszem“, tymczasem, wzięwszy na swą obronę działo największego wagomiaru, syfils, twierdzi jednak, że „zawsze prawie i t. d.“; więc jeżeli nawet w tak namacalnej chorobie i tak potężny wywierającej wpływ na zdrowie potomstwa tylko „prawie zawsze i t. d.“, nie zaś absolutnie zawsze i t. d., to może twierdzenie o niepewności prognozy nie jest „absolutnym fałszem“, tem bardziej, gdy je odniesiemy do mniej namacalnych chorób, do chorób nerwowych. Gdyby przed doktorem postawiono z jednej strony normalnego podoficera pruskiego, wierzącego „absolutnie“

w swego generała, z drugiej — jakiego „bezwyznaniowca,” gotującego się porzucić wstrętą dlań ziemię, to rozstrzygnięcie o kwalifikacyach małżeńskich nie byłoby trudne; ale ileż to jest stopni pośrednich między temi dwiema ostatecznościami, jak więc znaleźć, że się tak wyrazimy, nerwo-hymeno-metr? Że w takim procederze byłoby mnóstwo nadużyć i krzywd umyślnych lub mimowolnych, to jest aż nadto jasne. Zresztą, chcąc być konsekwentnym, trzeba by przed każdym stosunkiem małżeńskim poddawać się oględzinom lekarza, bo chwilowy ówczesny stan zdrowia lub stan psychiczny także ma niemały wpływ na zdrowie potomstwa; trzeba by uprowidować się w domowych doktorów, ale ta „moralność“ znów tylko dla bogatych byłaby możliwa.

Przeciw znanej zasadzie że wogóle zdrowi rodzice mają zdrowe dzieci, nikt z pewnością występować nie będzie, nawet bez przytaczania powag; ale zużytkowanie tej zasady w praktyce dla poprawienia zdrowia potomstwa w sposób proponowany przez d-ra Ch., jest niemożliwe; trzeba by chyba zaprowadzić w społeczeństwie hodowlę stadninową. Zresztą trzeba przyznać, że dr. Ch. jest sprawiedliwszy od dr. Withersa Moore: pierwszy pragnąłby rozciągnąć nadzór hodowcy nad obu płciami, podczas gdy praktyczny Anglik chce gwałtem tylko słabszą połowę rodzaju ludzkiego zniżyć do rzędu samiec rozplodowych, aby silniejsza połowa ciągnęła stąd korzyść tak bezpośrednio (dobór haremowy) jak i w potomności.

Co do innego mojego „absolutnego fałszu,” że „wstręt do zawierania związków małżeńskich między krewnymi“ i t. d., to „fałsz“ ten przedstawia się jak

następuje: według Lubbocka, małżeństwo wytworzyło się z pierwotnego heteryzmu drogą porywania kobiet wśród innych pokoleń; teoria ta objaśnia nam wybornie początek egzogamii. Oczywiście: dawniej brano za żony kobiety z innego pokolenia, bo istniejące we własnym pokoleniu prawo wspólności kobiet nie pozwalało na małżeństwo z jedną z nich. Następnie siłą nawyknienia zwyczaj żenienia się po za pokoleniem, pozostał i wtedy, gdy już przestała istnieć jego przyczyna i z biegiem czasu wyrobił się nawet przesąd przeciwko małżeństwu pośród pokolenia. Ztąd zdaje się nie będzie zbyt śmiałym wniosek, że istniejący dziś u wszystkich prawie ludów zakaz zawierania związków małżeńskich między bliskimi krewnymi, zakaz, dla objaśnienia którego często przywoływano na pomoc fizyologię i moralność, jest tylko pozostałością ogólnie rozpowszechnionej niegdyś egzogamii, nie zaś wynikiem jakiegoś naturalnego wstępu do kazirodztwa. Że wstęp ten nie jest bynajmniej naturalnym, dowodzą zwierzęta, dowodzą zresztą i niektóre ludy, nieposiadające żadnych ograniczeń w małżeństwie, nieposiadające zupełnie pojęcia kozirodztwa, a nie posiadające poprostu dla tego, że nie przez egzogamię, tylko inną drogą dojść musiały do instytucji małżeństwa. Wielką jest zasługa teorii Lubbocka, iż rzuca ona tak jasne światło na początek egzogamii, a pośrednio i na zakaz zawierania związków małżeńskich między krewnymi.

Powyższa argumentacya więcej trafia nam do przekonania (choćby nawet nie opierała się na powadze Lubbocka i holenderskiego etnologa Wilkena), niż naga statystyczna współrzędność, nie związana przy-

czynowo, na którą powołuje się dr. Ch. Zresztą ja mimo to użyłem wyrazów „zdaje mi się“ i „prędzej“, tymczasem dr. Ch. w tego rodzaju kwestyach spornych wznosi się śmiało do „absolutności.“

Co do zdania Quatrefagesa, to odnosi się ono chyba tylko do krewnych chorych, lecz nie do krewnych wogóle, boć przecież pod tem zdaniem możnaby z zupełną równą słusnością podpisać następujące: z b a w i e n n o ś ć zawierania związków małżeńskich między krewnymi, polega na tem, że właściwe obu małżonkom dobre skłonności (zdrowie, zdolności, dobroć i t. p.) dosięgają wyższego stopnia rozwoju w potomstwie.

W twierdzeniu, iż higiena nie ma za zadanie dostarczać geniuszów, lecz ludzi zdrowych, dr. Ch. ma ze swego stanowiska najzupełniejszą słusność; miałby więc też zupełną słusność uczynić Słowackiego leśniczym, pod warunkiem jednak, aby ten leśniczy był rzeczywiście zdrow; otóż w tym warunku właśnie tkwi sęk, albowiem sam dr. Ch. twierdzi, że przyczyną zdenerwowania jest niewłaściwe dla usposobienia obranie zawodu; o tej sprzeczności, którą w swej ocenie wytknąłem, dr. Ch. z umysłu widać zamilczał.

Twierdzenie dr. Ch., iż nerwowość zdarza się głównie u bogatych, a nie u biednych, przypomina mi nieco logikę pewnej pokojówki, która twierdziła, że w pokojach słonecznych jest więcej kurzu, niż w pozbawionych słońca: opiera się ono na kulawej, a raczej ślepawej statystyce; bogaci bowiem częściej wzywają doktorów, mając środki i czas do leczenia się, wątpię zaś bardzo, aby „gromadzenie

bogactw“ mogło więcej denerwować, niż bezustanna troska o jutro.

Co do robotnic, to twierdzenie moje było koniecznym wnioskiem z zarzucania im przez dr. Ch. „niemoralności i zepsucia,“ tymczasem niemoralnością tą jest: zbyt ciężka praca wskutek wyzysku, oddychanie zepsutem powietrzem, złe pożywienie, nakoniec nieprawidłowe zaspakajanie popędu płciowego, pod groźbą chorób płciowych lub macierzyństwa w nędzy i hańbie. Każda z nich wolałaby z pewnością być „moralną,“ to znaczy: w miarę pracować, dobrze się odżywiać, założyć domowe ognisko. A możeby, panie doktorze, wyrabiać w nich „podstawy etyczne,“ zwrócić myśl ku „ideałom,“ powiększyć „przywiązanie do kościołka,“ a równocześnie zmniejszyć płacę? — możeby to uczyniło je „moralniejszymi?“

Co do środków, jakie dr. Ch. przepisuje, to powtarzam, iż one są ogólnie znane dla każdego średnio inteligentnego człowieka, cierpiącego na nerwy: „wycieranie wodą, waleryana, ogrzewanie pokoju w zimie“ i t. d., a któż tego nie używał i kto nie przekonał się o bezsilności tych środków (o tem już chyba i nie lekarz sądzić może); nawet wyjazd do wód dla niezamierzonych chorych przynosi więcej szkody, niż pożytku; o tem powinnyby pamiętać pp. lekarze, zalecając wyjazdy.

Co do „płaskich conceptów“ i t. d., to dr. Ch. wziął je widać bardzo powierzchownie, tymczasem pod formą żartobliwej rady zawierają one zupełnie poważny zarzut: jeżeli dr. Ch. uważał, iż broszurka jego może przynieść ulgę cierpiącej ludzkości, to jako za odbitkę (zatem za pracę już wynagrodzoną) powi-

nien był naznaczyć minimalną cenę (o ile nie jest literatem, żyjącym z pióra); a zarzut ten był tembardziej uzasadnionym, że tytuł broszury: „jak zapobiegać chorobom,” jest zupełnie analogiczny z takimi, jak np.: „Jak zostać milionerem,” lub: „Niezawodny sposób prędkiego z bogacenia się” i t. p.

W końcu, jeżeli mnie zarzucał dr. Ch. „niekompetencyę” (choć w zakresie kwestyi przezemnie poruszonych tego nie dowiódł), to ja powiem, że do traktowania kwestyi naukowych wogóle trzeba umieć rozróżniać przyczynowość od współrzędności, oraz nie wpadać w logiczne sprzeczności z samym sobą; do traktowania zaś nerwowości w szczególe nie dość jest studyować handbuchy medyczne, trzeba być prócz tego psychologiem, pojmować cierpienia ludzkości, być wolnym od różnych społecznych uprzedzeń i filisterskich formułek — tych zalet dr. Chodecki ani w swej broszurze, ani w odpowiedzi „absolutnie nie wykazał.”

Swojski piasek¹⁾.

Amicus Plato...



onieważ w „Głosie“ przy wymienieniu składu redakcyi „Wisły“ pomieszczono i moje nazwisko a kierownik tej ostatniej w programowym artykule wstępnym „Wędrowca“ (Nr. 1) rozwinął poglądy na „Wisłę“ zupełnie sprzeczne z moimi, zmuszony więc jestem zabrać głos w tej sprawie; jakkolwiek bowiem nie mam pretensyi do nieomyślności, to jednak pozwalam sobie mieć pretensyę do — konsekwencyi; solidaryzując się zaś z poglądami pomienionego artykułu, stanąlbym w sprzeczności z poglądami własnymi na sprawy geograficzne i niegeograficzne, wyrażonymi w różnych artykułach.

Jeżeli zdołałem dobrze zrozumieć pana D., to artykuł jego zawiera dwa zasadnicze twierdzenia:

1) Wiedza zachodnia do badania naszego kraju i utrzymania narodowego bytu jest niepotrzebna, nawet szkodliwa, albowiem po używaniu jej nie staliśmy się ani lepszymi (?), ani szczęśliwsiymi (post hoc ergo propter hoc!)

2) Dla utrzymania narodowego bytu potrzebna jest natomiast święta zgoda.

Co do tego drugiego punktu, to z mego specjalnie geograficznego stanowiska nie mam wprawdzie powodu zbytnio się nad nim rozwodzić. Nie mogę jednak nie

¹⁾ Artykuł ten był napisany w chwili powstawania „Wisły“.

zauważyć, że ze stanowiska tak przyrodniczego, jak i ekonomicznego, zgoda wśród różnych warstw i obozów jednego społeczeństwa jest poprostu idyllą; gdyby zaś nawet idylla taka dała się na jakiś czas urzeczywistnić, chociażby formalnie, to przyniosłaby społeczeństwu raczej szkodę niż korzyść; albowiem 1-o na polu umysłowym, przez założenie towarzystwa wzajemnej adoracyi, doprowadziłaby musiała do wyjałowienia; 2-o na polu ekonomicznym utrzymywałaby się kosztem pracującej większości, a zatem prowadziłaby do ruiny. Przytem, gdyby mimo to, większość ta, pokrzywdzona, praktykowała zgodę nie tylko formalnie, ale z przekonania, to dowodziłaby tem zupełnej martwoty, a przecież martwota nie może być środkiem zachowania życia, środkiem obrony.

Nie dziw też, że dotąd tylko poeci i ideolodzy śpiewali serenady o społecznej zgodzie, i tylko podstępny spryt Agryppy ujął ją w formę budującej bajeczki, której zresztą już w owe czasy nie zupełnie dowierzano.

Co do pierwszego twierdzenia pana D., to badanie kraju bez udziału wiedzy zachodniej, metodami „swojskimi,” „samodzielnie” zdobytymi, przedstawia się nam w sposób mniej więcej taki: gdy staniemy np. wobec problemu zniżania się wód okolicy goplańskiej, wygasania jezior—to nasza „swojska” wiedza objaśni nam to zjawisko w ten sposób, iż „żaby wypijają wodę”—tak objaśniają podobne zjawisko mieszkańcy Turanu, którym wiedza zachodu nie zamąciła zdrowego rozsądku, którzy sądzą jedynie na podstawie wiedzy „swojskiej,” na zasadzie „własnego doświadczenia.” Gdy staniemy wobec problemu powstania

gór Ś-to-Krzyzkich, wówczas wiedza swojska powie nam, że Pan Bóg, nosząc po stworzeniu świata worek z kamieniami dla stwarzania gór, w tem miejscu upuścił kamień—tak objaśniają powstawanie gór Czarnogórcy, którzy, patrząc od wieków na swe góry, bez pomocy wiedzy zachodu nabyli tak głębokiego w tej rzeczy, „własnego“ doświadczenia. Gdy staniemy wobec głązów erratycznych, to wiedza „swojska“ objaśni nam, że kamienie te „czart rozsypał“ lub że one „rosną“ — tak objaśniają to zjawisko „samodzielnie“ mieszkańcy wschodnio-europejskiej niziny i t. d. i t. d. Zresztą po co tu szukać analogii? Czyż my sami nie „badaliśmy“ przez wieki kraju za pomocą tej naszej wiedzy swojskiej? Wszakże do ostatnich czasów byliśmy zamiłowani do kwestyj zachodnich tylko o tyle, o ile one odnosiły się do mody lub sportu; gdzie tylko jednak chodziło o naukę, to zawsze (z wyjątkiem „Heklątek,“ „Darwiniątek“ i t. d.) wykazywaliśmy dziwny zapał do „swojskości“ — objaśnienia w rodzaju czarnogórskim zawsze łatwiej włączyły nam do głowy niż różne takie niepatryotyczne „dyslokacje,“ „epigenezy,“ „wsteczne erozye,“ „abrazye,“ „ingresye,“ „transgresye“ i t. d. Dzięki to właśnie tym naszym „swojskim“ metodom, cudzoziemcy znają lepiej nasz kraj, niż my sami. Jeżeli zaś chodzi o obronę naszego bytu za pomocą takich metod, to wyraża się ona chyba tylko w tem, że tego rodzaju „swojskie samodzielne badania“ wprowadzić mogą w dobry humor uczonych zachodu, oraz że nam samym pozwalają pocieszać się myślą, iż jakkolwiek nie istnieje już rzeczpospolita Polska, to istnieje wciąż jeszcze nasza nieśmiertelna rzeczpospolita Babińska.

Nie myślimy tu bynajmniej ubliżać szczupłemu gronu naszych uczonych, którzy położyli niezaprzeczone zasługi w badaniach naszego kraju; ale jeżeli położyli oni zasługi w tym względzie, to właśnie dla tego, że przyswoili sobie badawcze metody zachodu. Jeżeli np. p. Kontkiewicz w „Pamiętniku Fyzjograficznym“, badając obszar na południu gór Ś-to-Krzyżkich, nie ograniczył się na wyliczaniu pagórków lub rzeczek, jakby to zrobił każdy nasz „swojski“ geograf; nie ograniczył się nawet na wyliczaniu formacji i skamieniałości, lecz potrafił formy topograficzne związać genetycznie z geologiczną przeszłością kraju, a przez to tchnąć życie w owe martwe formy, to uczynił to dla tego, że przyswoił sobie te metody, jakimi za przykładem Richthofena postępuje się każdy dobry geograf niemiecki. Jeżeli p. Karłowicz objaśnia z powodzeniem nazwy geograficzne, to czyni to także dla tego, że przyswoił sobie metodę zachodu, a zerwał z metodą „swojską“, która np. nazwę Babilonu wyprowadzała w łatwy sposób od babiego łona. Toż samo ma miejsce w każdej gałęzi wiedzy krajoznawczej. A zatem p. D., wzywając do współpracownictwa „Wisły“ tego rodzaju uczonych, staje w sprzeczności z głoszoną przez się zasadą wyłącznej swojskości i gdyby chciał być z nią zgodnym, to musiałby na współpracowników wezwać np.: do lingwistyki swojskiej p. Maleczyńską, do geografii swojskiej p. Krynickiego, do socjologii swojskiej p. Jeleńskiego i t. d. P. D. musi bowiem przyznać, że są to najbardziej typowi przedstawiciele zalecanej przez niego wiedzy „swojskiej“, których nie można posądzić o grzeszne konszachty z wiedzą zachodnią; zatem „ba-

dacze“ zupełnie „samodzielni“, z metodami „własnymi“, zdobytemi osobistym „doświadczeniem“, badacze nawskroś „swojscy“, którzy patriotyzm w tym kierunku doprowadzili do możliwej doskonałości. Jeżeli p. D. ich nie wezwał, to jest w sprzeczności z tem, co głosi o metodach „Wisły;“ jeżeli zaś ich znów wezwał, to w takim razie „Wisła“ czynić będzie niepotrzebnie konkurencyę „Roli,“ której udało się osiągnąć zupełne oczyszczenie swojskiej wiedzy od naleciałości zachodu, która idzie w kierunku czysto „swojskim,“ a czyni to, przynajmy z takim powodzeniem, że „Wisła“ konkurencyi nie wytrzyma; po co więc wstępować na pole uprawiane tak dzielnie.

Jeżeli wszechgólności badanie kraju za pomocą metod swojskich, nie przynosząc doniosłych naukowych rezultatów, nie może też przynieść i znacznych korzyści praktycznych, któreby nam dały jakąś skuteczną broń w zewnętrznej walce o byt, to wogólności takie zasklepienie się w swojskości, zamykanie się murem chińskim od wpływów zewnętrznych jest tylko stwarzaniem fatalnych sztucznych warunków wyspowych (naturalnie bez strategicznych korzyści wyspowego położenia), jest chęcią przyjęcia na siebie roli kangurów, peszeresów, drontów i t. d. Zwierzęta takie i ludzie tacy „przystosowali“ się doskonale do warunków swych krain, a jednak nie unikną zguby, zgotowanej im przez odosobnienie. Indyjanie wyspowej Ameryki też „przystosowali się“, też opierali się na „pierwiastkach swojskich:“ poznali swój kraj swemi metodami, znali każdą knieję, zajmowali się „swojskiem“ łowiectwem, pogardzając cudzoziemskim rolnictwem, a jednak wymierają i wymarliby daleko prę-

dzej, gdyby nie przyjęli od cudzoziemców przynajmniej „broni palnej“ w miejsce „swojskiego“ łuku. Pan D. za to nazywa ich „mądrzejszymi“.—Tak, bezwątpienia są oni mądrzejsi, ale od... zwolenników wyłączonej swojskości; bo dla nas bronią palną jest właśnie wiedza zachodu; odstrychując się od niej, postępowalibyśmy jak Indyanie, którzyby chcieli w walce przeciw broni palnej postugiwać się wiernie „swojskimi“ łukami lub pałkami.

Nie! wiedzy zachodniej nie można „wykluczyć za nawias“, to nas nie zbawi, jak strusia — wsadzenie głowy w piasek, bo przez to my sami wśród narodów cywilizowanych tak się „wykluczymy za nawias“, że już nigdy się doń nie dostaniemy; i nie nam nie pomogą wszelkie środki zalecane przez p. D.: ani „wiedza swojska,“ ani „krajowa religia,“ ani dr. Moore, wróg wykształcenia kobiet, ani „przystosowanie,“ które już dawniej znane było u nas jako „dojrzałość umysłowa.“ „Przystosowanie“ takie lub taka „dojrzałość“ może być korzystna dla filistrów w wewnętrznej walce o byt, jak to sam p. D. trafnie dawniej wykazał, nazywając to „interesem do lepszej pieczeni;“ ale dla narodu w walce zewnętrznej korzystnem być nie może: jest to uwstecznienie, a uwstecznienie nigdy nie może być korzystnem dla utrzymania narodowego życia. Gdy skrzydła narodu przystosują się do warunków odosobnienia, jak skrzydła dronta, to naród musi w końcu podzielić los tego ptaka. Wprawdzie pojedyncze dronty mogły być za życia tego gatunku tem tłustsze, im lepiej były do tego wstecznego wyspowego życia przystosowane, to jednak wobec walki zewnętrznej te tłuste dronty-sybaryty

właśnie najprzód uległy; bądźto jako najsmaczniejsze kęski, bądźto jako okazy, połapane do menażeryi, gdzie zresztą, wyznajemy to, przystosowawszy się do warunków, do swych panów, żyły dalej jakiś czas i nawet tłusciały. Ale chyba p. D. nie pragnąłby dla nas takiej egzystencji; przynajmniej my ubodzy pracownicy nie jesteśmy tak rozrzutni, za tak wysoką cenę nie możemy kupować konsensu nawet na egzystencję.

Po tem wszystkiem stanęliśmy przed psychologiczną zagadką. Pan D. przez lat wiele nie odznaczał się bynajmniej „zgodnością,” ani „przystosowaniem”; owszem znany był jako ostry polemista w słusznej sprawie rozprzestrzeniania wiedzy zachodu. Przystwajał nam tę wiedzę w niezwykłej obfitości, wprowadził ją do swych powieści i stał się przez to wyborym nowelistą, a choć nie zyskał tego rozgłosu, co ci, którzy, opierając się jedynie na „swojskości,” schlebiali próżności narodu i wygrywali na jego i tak już starganych nerwach; niemniej jednak nie pozostał bez doniosłego wpływu na ogół, wszczepił węć głębsze poglądy na świat otaczający i na stanowisko człowieka, a więc bez wątpienia uczynił nas „lepszymi“ (że nie uczynił „szczęśliwsiymi,” czyż to jego wina lub wina wiedzy zachodu, którą głosił; czyż już tak prędko można było odrobić całe brzemię grzechów przeszłości, tem bardziej, gdy nastąpiły fatalne stosunki zewnętrzne?). I teraz po tak chwalebnej działalności p. D. „radikalista z nad Nidy“ uląkł się, trąbi do odwrotu, rzuca broń, amunicję, rzuca tornister z zebranymi zapasami, pozostawia towarzyszy, cofa się w nieładzie na tyły armii, po za linię furgo-

nów i myśli się bronić metodą strusia, wsadzając głowę w „swojski“ piasek, lub, co najwyżej, radzi wznosić mur chińsko-polski i z po za niego wywijać maczugą jaskiniowych przodków.

I czyż to nie zagadka, a przynajmniej czyżby to nie była zagadka, gdybyśmy nie wiedzieli, że w czasach, gdy narody przechodzą ciężkie koleje, gdy usuwają im się z pod nóg podstawy bytu, wtedy najlepsze, najszlachetniejsze, najbardziej miłujące kraj jednostki w niespokojnem poszukiwaniu zbawczych dróg wyjścia zbaczają częstokroć na zgubne bezdroża.

Na zakończenie przyznajemy się, iż niniejsze wystąpienie nasze sprawia nam niewymowną przykrość ze względu na osobę pana D.¹⁾: przywykliśmy bowiem zawsze walczyć nie przeciw niemu, lecz z nim razem, pod jedną chorągwią, w jednym szeregu; przywykliśmy z nim wspólnie uprawiać jeden krajowy zagon ku ogólnemu dobru. Ale trudno: zasady są rzeczą droższą nad wszystko, o nich, jak o uczuciach, można powiedzieć z poetą: „tam jest krew moja.“

¹⁾ Pod inicjałem D kryje się tu nazwisko nieodżałowanej pamięci Adolfa Dygasińskiego, znakomitego powieściopisarza i bojownika postępu. Pojawienie się w swoim czasie jego artykułów w obronie „krajowej religii“ i „wiedzy swojskiej“, oraz propagowanie poglądów dra Moore przeciw wykształceniu kobiet, było dla mnie bolesną niespodzianką. — Na szczęście była to tylko chwilowa, a szczerą, reakcyą tego silnego ducha i prawego charakteru.

Kiepska służba.



a łamach „Biblioteki Warszawskiej“ p. Bronisław Grabowski, pomieścił powieść pod tytułem: „Stary Romantyk,“ w której postanowił sobie walczyć przeciw dzisiejszej nauce w imię romantyzmu, idealizmu, wiary w co dobre i piękne i t. d., a nawet w imię tańców, maskarad, śmietanki towarzyskiej i t. d.

Że uczuciu przypada ważna rola w życiu społecznem, że wiedzę czerpać należy nie tylko z ksiąg, ale i z życia, temu nikt nie zaprzecza; ale przyjrzyjmy się, jak p. Grabowski tęzę tę pojmuje, i jak ją przeprowadza.

Autor postanowił skorzystać z niej, ażeby potępić młodzież, oddającą się z zaparciem studjom naukowym, a pochlebić wyższym sferom towarzyskim, im przyznać moralne przewodnictwo nad uczuciami młodzieży, im dać rolę mentorów. Przytem, przeprowadza to w sposób poprostu niedorzeczny: ci, których chce przedstawić jako ideały, uczynić bohaterami, wychodzą, jako głupcy, a nawet podli.

I tak:

P. Grabowski każe swemu bohaterowi, studentowi uniwersytetu, uciekać od studjów naukowych do domów arystokratycznych na bale i maskarady — tam czerpać ze źródła wzniosłych i szlachetnych uczuć, tam uczyć się poznawać zadania, obowiązki i cele życia. Środkami do tego są: rozmowa z panią domu, korzystanie z jej biblioteki, gdzie znajdują się głę-

bokie dzieła Deotymy i Ilnickiej (risum teneatis!), nakoniec bywanie w teatrze, albowiem pańska rodzina była zamożna, mogła sobie pozwalać na urzeczywistnienie wszelkich idealnych porywów, poczynając od kawy z dobrą śmietanką, którą raczyła studenta, aż do stałej łoży, gdzie zawsze dla studenta (chyba lokaja?) znalazł się kącik. Wiemy, co w rzeczywistości człowiek nauki zyskać może na zetknięciu się ze światem arystokratycznym, dość na to przykładów spodlenia przedstawia Galioya; — ale gdybyż przynajmniej w powieści autora świat ten usprawiedliwiał przypisywane mu przez p. Grabowskiego przymioty; moglibyśmy wtedy twierdzić, że powieść pana Gr. nie zgadza się z rzeczywistością, ale przyznać, że p. Gr. zgadza się przynajmniej sam ze sobą. Tymczasem córka pani domu, naturalnie piękna, wzniosła, idealna, szlachetna, rozumna — zakochana w studencie, wychodzi za mąż po jego wyjeździe za granicę, za kogo innego, posłuszna woli ojca. Warto się tu jeszcze zastanowić nad przyczyną wyjazdu studenta: panie wytłumaczyły mu, że studia medyczne nie odpowiadają jego idealnym aspiracyom, że powinien wybrać zawód, bardziej odpowiadający jego idealnym skłonnościom. Wskutek tej rady, nawrócony na idealizm student postanawia zostać... no, czy też państwo zgadnicie czem?, ręczę, że nie zgadnicie — dyrektorem fabryki! i to dla względów idealnych dla tego, aby być pomocą „tłumom“! (dziękujemy za takich pomocników! Timeo Danaos...!) Ale wróćmy do dziejów miłości: student powraca z zagranicy i застаје „pannę“ już zamężną i dietną, a więc smuci się, jak przystało, przyzwoicie, chodzi za panią po ba-

lach (to jest konieczne dla studenta według p. Gr.), rzuca na nią miłosne spojrzenia, nawet ściska w tańcu o, do dyabła!), radby „paść na kolana jak przed świętą pańską“ (właściwie chyba przed prostytutką, która oddała się mężczyźnie, kochając innego), ale ona odpowiada mu spokojnem spojrzeniem rezygnacyi. Pani ta ma przytem córkę, która jest równie piękna, szlachetna i rozumna (to już jest w tym arystokratycznym rodzie po kądzieli), choć dzieci zrodzone z małżeństw skojarzonych bez gorętszej skłonności zwykle nie bywają osobliwe, no, ale jak wiadomo, autor jest w rozterce z nauką. Bohater nasz jest tym wszystkim zachwycony, czerpie ztąd otuchę, jest szczęśliwy, dumny, ma mimo to „wiarę i nadzieję.“ (a cóż za idyota!), poucza kolegów, mozolących się nad nauką, że „ premia za naukową rozprawę są zabawką trzygroszową wobec pozyskania takiego skarbu“ (tj.: panny z arystokratycznego domu) i t. d. A koledzy, książkowe móle, zazdroszczą mu, czują się zawstydzeni, rzucają książki, chwytają za czapki i spiesznie wybiegają na dwór. Po co? — tego nie objaśnia pan Grabowski, czytelnik jednak domyśli się: zdjęty ich nudności, tak jak i czytelnika.

Jeżeli już kto chce koniecznie służyć, to niech to czyni przynajmniej dobrze, bo inaczej panowie wypowiedzą mu służbę.

Zaściankowa oryginalność.



Jeżeli pojawienie się dzieła naukowego wogóle jest u nas rzadkością, to tembardziej pojawienie się dzieła geograficznego. Ten objaw wyjątkowy może wynikać z dwóch przyczyn. Może on być rezultatem siły międzynarodowego prądu umysłowego i ekonomicznego, którym nawet my możemy być porwani; wszakże nawet nomadzi Azji centralnej, ci najbardziej typowi i najbardziej uparci reprezentanci zastoju, którzy niedawno jeszcze zapewniali Vamberego, iż łatwiej jest ziarnko lotnego piasku przygwoździć, niż ich skłonić do cywilizacyi — nawet ci nie mogli się oprzeć ogólnemu prądowi, wnikającemu do nich przez szyny kolejowe, cóż więc byłoby dziwnego, gdybyśmy my, umieszczeni w bramie przejściowej między dwiema częściami Europy, gdzie każdy krok wstecz, nawet każde zatrzymanie się jest wyrokiem zagłady; gdybyśmy i my pojęli, że w obecnej fazie ewolucyjnej umysłowe i ekonomiczne życie odosobnione jest zarodem śmierci; że każde zjawisko narodowego życia na jakimkolwiek punkcie globu drgnieniem swem wywołuje kręgi fal, które odbijają się odpowiedniemi drgnieniami we wszystkich punktach pozostałych i zdławiają, zaleją nieprzygotowanych; gdybyśmy pojęli, że w tym wspólnym życiu całego globu, to znaczy w tym szalonym wirze zażartej walki na wszechświatowej arenie, jednym z najskuteczniejszych orężów, jedną z najpewniejszych kierowniczek jest wiedza geograficzna w szerokim tego słowa znaczeniu.

Oto jeden możliwy motyw pojawienia się u nas dzieła geograficznego, motyw, który, gdyby się urzeczywistnił, byłby niezmiernie pocieszającym.

Ale możliwym, a niestety i bardziej prawdopodobnym jest motyw drugi. Wśród przeciętności i zaściankowości naszego życia umysłowego zjawiają się nieraz umysły od przeciętności różne, noszące jednak na sobie klątwę zaściankowego pochodzenia; są to samorodni filozofowie, oryginały, czasami nawet bziki; różnią się oni od przeciętnego otoczenia skłonnością do myślenia, ale nie posiadają czucia z ogólnym rozwojem myśli ludzkiej; niezdolni do samooceny, uniesieni dumą rzucają się śmiało na odkrycie *perpetuum mobile* lub Ameryki, nie wiedząc o tem, że odkrycie pierwszego jest niemożliwe, a drugiej niepotrzebne; nie wiedząc, że nawet, gdy starają się skromnie dokonać jakiegoś odkrycia możliwego i potrzebnego, to i wtedy odkrycie ich nie może mieć żadnego dla nauki znaczenia, albowiem tym mniemanym, „swojskim“ geniuszom brak odpowiedniego do tych odkryć przygotowania. W pierwotnym stadyum nauki, gdy istniał dopiero jej parter, każdy profan mógł wstąpić do tego gmachu i położyć w nim swój kamyk, lecz dziś inaczej: dziś gmach ten stał się już olbrzymem, wkraczającym w obłoki, dziś dla położenia swego kamienia trzeba przebyć wszystkie piętra gmachu i stanąć na szczycie; trzeba więc być wdrożonym do wielkich wysokości i szerokich horyzontów — trzeba mieć i oddech głęboki i oko pewne, i głowę niezawrotną. Mówiąc krótko: motywem pojawienia się u nas dzieła geograficznego może być ekscentryczność, dziwactwo, bzik!

Ten drugi motyw pojawienia się dzieła geogra-

ficznego w kraju, gdzie prace geograficzne, liczące się z nauką, leżą w rękopiśmie lata całe, a nikt nie pojmuje potrzeby ich wydania, nawet ci, których to jest obowiązkiem; w kraju takim, powiadamy, ten drugi motyw jest prawdopodobniejszy, a prawdopodobieństwo to stwierdza w sposób najświetniejszy książka dra Weinberga „Geozofia“¹⁾, jak to zaraz zobaczymy.

Książka ta mianowicie jest stekiem 1. faktów błędnych, 2. poglądów przestarzałych lub bezsensownych i 3. odznacza się ideą przewodnią czyli metodą taką, dla której określenie nienaukowa, byłoby zbyt delikatne. Tak np. według autora:

Jeziora takie, jak Genewskie, są pozostałościami morza, jak tego dowodzi barwa wody! Sposób argumentowania przypomina owego samorodnego lekarza, co radził bladym pić barszcz burakowy, aby nabrali rumieńców!

Zresztą autor wogóle nie argumentuje, jego metoda badania polega na „głębokim przekonaniu, ufności i wierze“; dla dojścia przyczyny jakiegoś zjawiska, dla rozstrzygnięcia kwestyi spornej autor stawia sobie pytanie: jaki to zjawisko może mieć cel dla człowieka, przytem charakterystycznie to formułuje: „Czy Bóg stworzył tabakę dla nosa, czy nos dla tabaki?“ Naturalnie odpowiedź nie może być dwuznaczną. A więc: soli dla tego jest na ziemi dużo, aby ją było mogło lizać i służyć na pożytek człowiekowi; żelaza jest dużo, aby człowiek miał z czego wyrabiać

¹⁾ Geozofia, powstanie i rozwój kuli ziemskiej. Warszawa 1894.

narzędzia. Wulkany dla tego wybuchają, aby dostarczyć kwasu węglanego, wzmódcz roślinność i tym sposobem mieć pieczę o pożywienie człowieka, dostarczyć mu „chleba powszedniego“. Ziemia nie kurczy się, jak mylnie sądzą uczeni, lecz powiększa się, a gdzie argument? prosty, trzeba być hebesem, by go nie widzieć: wszak ludzie się mnożą (autor „tulenie się cząstek i mnożenie“ uważa za kategorię imperativ świata), więc ziemia musi się powiększać, by im dostarczyć miejsca: zwiększanie się ilości ludzi, a zarazem zmniejszanie się ziemi uważa autor za bezsens godny półgłówków. Podobnie autor twierdzi, że energia słońca wciąż się powiększa, aby nasi potomkowie mogli sobie na Franz-Joseph-Landzie budować takie wille, jak my dziś w Abazyi.

Z tego ustanowionego przez siebie porządku świata autor jest tak mocno zadowolony, iż wykrzykuje: „zaprawdę, gdyby mnie danem było nową kulę ziemską stworzyć, korzystałbym z dobrego przykładu, jaki obecna kula przedstawia.“

Z taką metodą badania autor spóźnił się nieco; metodę taką znamy z dziejów nauki, mianowicie z jej stadyów dziecinnych lub z stadyów zaćmienia; metoda taka doprowadzała „ufających“ do takich niewzruszonych wniosków, jak n. p., że ładu musi być na ziemi więcej, niż wody, bo jakżeby Bóg mógł się mniej troszczyć o miejsce dla człowieka niż dla ryb, — że deszcz dla tego nie pada na pustyniach, gdyż tam ludzie nie mieszkają — że rzeki dla tego płyną pod wielkimi miastami, aby ludzie mieli poddostatkiem wody itd. itd.

Zresztą nie wątpimy, że i dzisiaj autor nie po-

zostanie odosobnionym: znajdzie on uznanie u dusz pokrewnych, których szczególnie u nas nie braknie; — są u nas ludzie, których siły były za słabe do wytrzymania w cywilizacyjnym wyścigu, którzy na „schyłku wieku“ ulegli „bankructwu umysłowemu“, zerwali z „marną nauką“ (no, jak czyja!) i zwrócili się ku uczuciu, „legendom“ i misteryom, szukając tam ucieczki, niby znużony struś w piasku, lub niby Australczyk, który, skończywszy uniwersytet, ucieka na pustynię, by tam razem ze swymi dzikimi braćmi chodzić nago, spożywać padlinę i ozić węże, a w rezultacie tego — uledez zagładzie pod miażdżącym rydwanem cywilizacji.

My jednak osobiście nie jesteśmy zwolennikami porzucania zdobytych pozycji i dlatego sądzimy, że jakkolwiek według zapewnienia autora „przyroda była dlań łaskawą i otworzyła mu drobną szparkę w ciemnej i gęstej osłonie, zachęcając do szperania“, to jednak ta zachęta na nic mu się nie zdała. Widocznie autor, który, jak nas zapewnia w przedmowie, zwiedzał liczne źródła lecznicze i tam nabył swych idei geologicznych, nie natrafił dotąd na źródło skuteczne.¹⁾

¹⁾ Autor „Geozofii“ wyraził swój żal do mnie z powodu niniejszej oceny umieszczonej w „Prawdzie“. — Na to odpowiem tylko to, że jako człowiek mogę sympatyzować z człowiekiem, który mimo wieku podeszłego poświęca swe siły dla celów idealnych; ale jako krytyk, muszę z całą stanowczością uderzyć na to, co jest błędne lub takim mi się wydaje. Albowiem praca piśmiennicza w szlachetnem pojęciu jest walką idei; aby pewna idea zwyciężyła, trzeba wprzód pokonać ideę jej przeciwną, bez względu na jednostkę, która ją głosi. Kto tak pojmuje swe powołanie pisarskie, ten w walce nie może oszczędzać jednostek (jak nie oszczędza i siebie), albowiem

chodzi tu o coś ważniejszego niż jednostka; chodzi o ideę, to znaczy o ludzkość całą, o jej rozwój, jej dążenie w niezmierną dal wieków, ku wysokim niewiadomym celom.

A jeżeli sędziwy autor mówi mi smętnie o „trawie, która na jego grobie porośnie,“ to ja mu odpowiem nie z większym weselem, iż w naszym społeczeństwie, gdzie w nauce panuje bezkrytyczność, a w etyce prywatna, praca na polu naukowym łamie często życie już za młodu i nieraz trawa porasta wcześniej na grobach pracowników młodszych, zwłaszcza tych, którzy posłuszni nieprzeczającemu głosowi wewnętrznemu, idą naprzód przebojem, nie wiele dbając o życie.

Cnotliwa rodzina.



Łody autor Stefan Kempner napisał dramat¹⁾, który jest zdarciem obłudnej maski z pewnej sfery objawów społecznych; mianowicie z „miłych i sympatycznych“ naszych stosunków teatralno-prasowych, no i rodzinnych. Są tu aktorki i ich troskliwi rodzice, są utytułowani protektorowie sztuk pięknych i „profesor“, pisujący sprawozdania z teatru — pożyczający pieniądze od protegujących i chwalcący protegowane. Akcja odbywa się na tle życia pewnej rodziny, a że u nas z pojęciem rodziny wiąże się zawsze pojęcie świętości i cnoty, sądzę więc, iż autor powinien był dać swej pracy tytuł: „Cnotliwa rodzina“.

Zaraz też na początku sztuki widzimy pokój, w którym stoi klęcznik — widocznie mieszka tu rodzina pobożna. Gospodarz, ojciec rodziny, Borski, rozmawia przy czarnej kawie ze swym gościem, „profesorem“ Grodeckim i mityguje go w jego narzekaniach słowami: „Wszystko należy robić spokojnie jak Bóg Najwyższy przykazał“. Źródło tej rezygnacji religijnej Borskiego wyjaśnia się nieco z odpowiedzi Grodeckiego: „łatwo to panu mówić, bo z tańców ma pan dosyć; córki zarabiają także“. Na to poczciwy Borski daje mu przyjacielską radę: gdyby profesor chciał, to mógłby u mnie grywać na tańcach. Będzie profesor miał za sobą młodych i da profesor

¹⁾ Przełom. Dramat w trzech aktach. 1899.

koncert. Na skłaniającą się odpowiedź Grodeckiego ściska mu ręce, dodając: „profesor zawsze był artystą!”

Pani Borska, Antonina, właścicielka kłęcznika, jest widocznie kobietą pełną cnót rodzinnych; chodzi często z panienką (Heleną), do kościoła i składa swe troski i wątpliwości w konfesyjonał; ostro też moralizuje służącą (Małgorzatę), której widać „za mało było jednego bachora.“

Pani Borska, jest naturalnie dobrą matką, troszczy się widocznie nawet o spokojny sen swej córki aktorki, Heleny, albowiem żywo protestuje, gdy służąca chce łóżko, przygotowane dla drugiej córki, Zofii, studentki, przyjeżdżającej z Paryża, wstawić do pokoju Heleny.

Swoją drogą „protektor“ Heleny, baron Holtz, wchodząc do pokoju, odzywa się do tej cnotliwej matrony: „I cóż moja stara? — Helena jest?“ Poufaty ton Holtza ze „starą“ ma źródło nie tylko w jego obecnej „protekcji“ dla Heleny: dom Borskich ma widocznie dobrą tradycję, bo Holtz odzywa się później (złośliwie): „kiedym był młody“ gustowałem w przyjaciółkach starych“, a dziś kiedym stary, lubię przyjaciółki młode“. Gdy Holtz wymawia „starej“, że Helena zaczyna go zaniedbywać dla innych wielbicieli „talentu“, matrona odpowiada z godnością: „Proszę pana barona, jeżeli człowiek bogaty, człowiek przyzwoity, pozna mojego męża i chce z nami zjeść jeden obiad, za który płaci, to mu nie można odmówić; Helena nawet go nie widzi. Nasza córka nie jest znów taka ostatnia, żeby mówić z pierwszym lepszym. Ona też ma swoją ambicję“.

Przybycie Holtza wobec spodziewanego przyjazdu Zofii, wprawia pobożną matronę w kłopotliwe poło-

żenie. „Zofia, mówi z pożałowaniem Borska do Holtza, jest trochę dziwna — mogła zrobić karierę, bo przystojna jest“ — Baron zresztą jest człowiekiem zasad liberalnych: „ja zawsze, mówi, sprzyjałem emancypacji. — Przeciwko wolnej miłości nie powstaję“.

Tymczasem Zofia przyjeżdża a Borscy z Heleną muszą grać przed przybyłą studentką komedię cnoty. Jest to rzeczą tem trudniejszą, że prócz Holtza przybywa drugi protektor sztuk pięknych, hrabia Nikin ze swą protegowaną, Zuzanną. Borski serdecznie zaprasza do towarzystwa Warskiego, przyjaciela Zofii, który umyślnie skłonił ją listownie do przyjazdu, aby poznała całą gorzką prawdę. Borski przytem szczyci się, że jest „szlachcic herbu Gozdawa“ i pije „polską gorzałę“! Estetyczną Helenę razi ta prostota „gorzały“, ale na to Borski, znający wartość swej córki, robi jej, tchnącą żalem, uwagę: „jeżeli ci żal ojca, to zrób, aby w domu strzelały buteleczki ze srebrnymi kapturkami“.

Gdy Zofia, odczuwająca instynktowy wstręt do tego towarzystwa infamisów, nie mogąc wytrzymać w tej dusznej atmosferze, wstaje, mówiąc „chcę być sama“ i wychodzi do swego pokoju, Holtz uważa to za objaw niedobry: „ja się na tem znam, to pachnie anarchią“. Borski uspokaja go, że nasze powietrze (moralne!) wpłynie na zmianę jej usposobienia“.

Ponieważ hrabiemu Nikinowi Zofia bardzo się podobała, więc Borski chwytą w lot tę okazję, aby i na drugiej córce coś zarobić. Natrąca, że jego „interesy świetne nie są“, że edukacja córki drogo kosztuje itp. Uzyskuje tym sposobem od Nikina 1000 rubli (bo, jak mówi altruista Nikin, „musimy sobie dopomódz“)

i w uniesieniu szlachetnej wdzięczności, chce go za to pocałować w rękę.

Tymczasem Zofia, rozmyślając samotnie, orientuje się w sytuacji: zrozumiała wreszcie, że pieniądze, jakie jej przysyłano na kształcenie, pochodzą z hańby jej siostry i rzuca ojcu te słowa: „ta siostra, dzięki której kształciłam się... moja siostra... moja siostra jest kobietą utrzymywaną!”

Borski, człowiek wytrawny, nie daje się zbić z tropu i przemawia do niej, jak pedagog i kaznodzieja: „psujesz sobie krew i o nic. To, czego nie możesz pojąć, jest takie proste, takie zwyczajne, że za chwilę nic cię to dziwić nie będzie. — Wy młodzi chcielibyście odrazu mieć rozum starych“... „twoja siostra jest śpiewaczką i musi mieć stosunki. Artystka z wyższemi dążeniami (!) musi mieć protektorów“. „A taki baron? — przecież to chyba zaszczyt, że do nas przychodzi. Nazywają go królem mecenasów sztuki. Czy ty wiesz co to znaczy? kobieto! na Boga wsze chmogającego upamiętaj się! Coś ty wyrzekła!“... O dżegnaj tę moc, co cię prowadzi do przepaści“ (prawdziwy kaznodzieja, gromiący bezbożność postępoców!)

Naiwna Zofia daje się na razie obalamucić, a Borski mówi patryarchalnie: „Miejmy nadzieję w Bogu i kochajmy się, moje dzieci!“

Pod wpływem tego Zofia zaczyna się dostrajać do towarzystwa, lecz spotkanie Holtza w zamkniętym pokoju Heleny, do którego musiała się dobijać, otrzeźwiło ją i uświadomiło. Tymczasem Zuzanna rozwścieczona na Zofię, że zwróciła na siebie uwagę Nikina, chce zrobić u Borskich skandal; scena sam na

sam między nią i Nikinem uderza silnie swym brutalnym realizmem; ona mówi mu w końcu: „ja ciebie przez rok żywiłam“ (był dawniej w kłopotach), na co on rzuca jej hrabiowskie: „ścierwo!“ Następnie rozwścieczona Zuzanna wpada na Zofię, wołając: „chodząca świętość — jak jej siostra, utrzymanka barona!“ Podczas, gdy po takim ciosie, Zofia w swym pokoju szarpie się, walczy z rozpaczą, Borski, spojony przez barona, przyprawdza Holtza w nocy do Heleny, która zaczęła go zaniedbywać. Przytem Borski pysznie po pijanemu przemawia do barona: „dałem panu słowo i będzie ją baron miał, a jako żem jest z prawa natury ojciec rodziny, to mi, bracie, winienesz respekt. Jaśnie wielmożny panie baronie, pójdzie baron do jej pokoju i tam baron zaczeka... te kolczyki, które baron kiedyś kupił są zastawione... Nie zrób tam baron Heli krzywdy... Przecieżem szlachcie, mam honor, mam krew. Idź bracie, idź, bom ci dał moje słowo“, (ot co się nazywa *verbum nobile!*). Tymczasem z pokoju Zofii pada strzał. Wszyscy przerażeni sądzą, że się zabiła i biegną tam; po chwili kobiety wychodzą, podtrzymując Zofię — zwolna podnosi ona głowę i mówi. — Nie, ja przejrzałam, żyjemy i szukajmy“. — „Małgorzato, przygotuj mi walizkę“. Nikt tego „przełomu“ nie może zrozumieć, a pijany Borski woła: „zwaryowała, zwaryowała!“

Oto treść dramatu.

Typy ujemne schwytał autor znakomicie, w całej krasie ich podłości; tętnią one prawdą, życiem; są to wspaniałe — kanalie. Szczególniej wspaniałą jest Borski z jego „honorem“ szlacheckim, pobożnością, patryotyzmem, patryarchalnością — to prawdziwie wzorowy

ojciec rodziny! Typy dodatnie nie dorównywają ujemnym: Zofia w swem oburzeniu jest dość blada, chwilami nawet ulega wpływowi otoczenia, dostraja się do niego, mówi jego żargonem. Warski jest też niewyraźny. Wskutek tego konflikt między temi dwiema kategoriami typów nie dosięga zbyt wysokiego stopnia nateżenia. Wolelibyśmy, aby było inaczej, ale stając na stanowisku autora, nie można mu z tego zrobić zarzutu. Autor stoi widocznie na stanowisku realistycznym: utwór jego jest nadzwyczaj wierną fotografią zdjętą z pewnej sfery życia, a raczej z jej najbardziej typowych objawów; kto zaś chwyta objawy życia z wiernością fotografa, czy też wyborczego obserwatora, ten musi naturalnie chwytać przeważnie typy ujemne, albowiem takich typów jest więcej niż dodatnich; przytem pierwsze przedstawiają się jaskrawiej nawet w swym stanie codziennym, normalnym; typów zaś dodatnich, zwłaszcza nie takich „przeciętnych“, jakie przedstawił autor, jest nietylko mało, lecz i nie zawsze obserwować je można we właściwych i charakterystycznych objawach: są to chwile rzadkie, chwile porywu, walki wybuchu. Aby więc takie typy schwycić na swej kliszy, trzeba uczynić bardzo wiele zdjęć fotograficznych, albo też trzeba w ogniu życia przetworzyć się z obserwatora w bojownika i dedukować te typy ze swej własnej natury. Zresztą nie można odmówić twórcy prawa pewnej predylekcyi do typów ujemnych: każdy człowiek wrażliwy, któremu duszno wśród ludzkiego bagna, chwyta z rozkoszą i ujawnia kanale — jak człowiek, nie cieszący się snem chłopskim, chwyta z rozkoszą pluskwy.

Co do tendencyi, to naturalnie wobec tego, co

powiedziano wyżej o charakterze utworu, nie może być mowy o jakiejś tendencji z góry postawionej, do której autor nakręcałby swe typy; ale w każdym utworze, przedstawiającym wiernie typowe objawy życia, musi tkwić tendencya immanentna, bo nie dzieje się bez przyczyny i nie przechodzi bez pozostawienia skutków. A zatem i tutaj objawy typowe przedstawiają się jako skutki praw ogólnych danego układu stosunków; wychodzą tu na jaw zasadnicze sprzeczności, tkwiące w obecnym układzie społecznym, wobec którego jedni podlą się z powodu braku, drudzy — z powodu nadmiaru; wobec którego nawet lepsza jednostka, jeżeli nie jest bohaterem, dążąc do celów dodatnich, musi ku nim stąpać po błocie, musi się też spodlić, jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio, przez to, że musi wejść w zależność od tych, którzy się podlą. A więc kto chce np. zostać uczonym, artystą i t. p. ten, jeżeli nie posiada sił nadludzkich, musi albo zginąć, albo zostać szubrawcem; jeżeli naturalnie nie był szczęśliwym szubrawcem *à priori* — szubrawcem dziedzicznym. Można bez przesady powiedzieć, że w danym układzie tkwi dążność do takiego rezultatu: im znakomitszy uczony, im większy artysta, tym większy — szubrawiec! (nawet i dziś już możnaby na to odszukać przykłady).

Naturalnie, że utwór, odznaczający się takim „wstrętnym, plugawym, niezdrowym“ realizmem, nie przypadnie do wykwintnego smaku „naszych znanych“. Według naszej „sympatycznej“, no i popłatnej, recepty, rodzina przedstawia się w literaturze w ten sposób mniej więcej, iż żyje ona cnotliwie, schludnie i szczęśliwie przy 30 rublach miesięcznego dochodu (choć

wiadomo, że z tego kamienicznik za jedną izbę zedrze więcej niż połowę). Uboga młoda dziewczyna przedstawia się jako zarabiająca szyciem na utrzymanie rodziny, wzbudzająca mimo takiej pracy zapal miłości w młodym uczonym, któremu pomaga w dokończeniu studyów zagranicą. Baronów zaś i hrabiów przedstawia się jako filantropów, zajętych wraz z altruistycznym księdzem — ochronkami, oraz wyświadczeniem przeróżnych łask biedakom „niezaradnym”; albo, jako mecenasów, poświęcających pracę i mienie na ołtarzu dobra publicznego. Jednym słowem przedstawia ich się tak jak wyglądają np. w „pocziwych” powieściach p. Gawalewicza lub w „zacnych” pojęciach p. Borskiego.

Z przedwczesnych mogił!



Pełen wielkich nadziei, młodzieńczy autor „Przełomu“, którego ocenę podaliśmy tutaj niedawno, już umilkł na zawsze! — zgasł, zduszony zatrutą atmosferą naszą. Bo ona sprzyja nie talentom, lecz przedsięwzięciom, nie duchom samodzielny, lecz lokajskim, nie miłującym prawdę, lecz hipokrytom — ona sprzyja prostytutce literackiej!

Zmarły, trawiony silnymi aspiracjami literackimi, pragnieniami szerokich widnokręgów, pracował ciężko jako buchalter! Iluż to u nas tworców, psychologów, pedagogów i t. p. pracuje jako buchalterzy! Za to sprytni buchalterzy — swych własnych kieszeni — zastępują bezczelnie miejsca tamtych, wśród bezkrytycznego, obojętnego społeczeństwa. Zmarły z pośród nieskończonych szeregów cyfr, nękających jego umysł, zapełniony postaciami dramatów, wybiegał marzeniami daleko: marzył o wyjeździe do Paryża dla dokończenia studyów i urzeczywistnienia swych licznych pomysłów dramatycznych. Nie mógł jednak nigdzie wykołatać potrzebnych na to choć kilkuset rubli! — zgasł trawiony gorączką tworzenia. Teraz niejeden odetchnie swobodniej: zmarły był bowiem człowiekiem niebezpiecznym: miał wielką bystrość w chwytaniu i demaskowaniu podłości, kryjącej się pod maską filantropii, patryotyzmu, religii, i t. p. Umiał oświetlić ją światłem jaskrawym, miażdżycę zjadliwą ironią. Gdyby był żył, iluż tak zwanym „ludziom“ byłby on pokazał lustro dla przejrzenia się i zobaczenia swych „twarzy“

małpich. Tak — dla nich to szczęście, że umarł, że tacy najczęściej prędko umierają. U nas istnieje od dawna tajemna, po części świadoma, po części instynktowa organizacja w celu tępienia ludzi takich, w celu wybrakowania społeczeństwa z umysłów twórczych samodzielnych, krytycznych: świeżo jeszcze mamy w pamięci Podkowińskiego, Kurzawę, J. Potockiego i wielu, wielu innych, którzy choć żyją jeszcze, znajdują się już w stanie przedśmiertnej agonii.

Ale nie cieszcie się tak bardzo panowie, że wam się udaje zepchnąć kogoś do grobu lub wytoczyć komuś krew, marnując pracę jego ducha. To tylko do czasu: fosa, którąście nam wykopali, zapełnia się coraz bardziej ciałami, niby pomostem; widok padających towarzyszy budzi tem większy szal w pozostałych, a szal ten jak huragan zmiecie was z czasem, oczyści duszną atmosferę i utoruje drogę do postępu ludzkości.

„Bóg zasmuci, Bóg pocieszy“.



ostatnich czasach, czasach powrotu do „ideałów“, różni znachorowie głosili i głoszą naszemu narodowi, że „nauka zbankrutowała“ — że ciemnota jedna prowadzi do zbawienia, że wyciąg z trupów jest jedynym lekarstwem na wszystkie choroby. Ale pragnienia wiedzy, prawdy, światła, nie zdołają stłumić żadne arymanowe zastępy; wiedza, prawda, światło stają się coraz bardziej dla ludzkości taką samą nieodzowną potrzebą, jak powietrze, woda, chleb. — I oto, mimo wszelkich wstecznych zapędów, zjawia się nawet wśród naszego społeczeństwa, grono ludzi, które nie szczędzi czasu i sił, by opracować szereg dzieł, przeznaczonych na szerzenie światła — szereg „poradników dla samouków“; a opracowywa je nietylko z wielką gruntownością, ale z taką ofiarnością, że z powodu taniości, są one dostępne każdemu, choćby najbiedniejszemu (a wiadomo, że pragnienie światła nie czyni bogatym). I społeczeństwo, mimo starań gascieli światła, rozechwytuje te dzieła, jak karawana wodę na pustyni, tak, że już po kilku miesiącach wychodzi drugie wydanie tomu pierwszego.

Tego rodzaju objawy szerzenia światła, jak powyższy, muszą być bezwątpienia bardzo smutne dla tych, co pragną bankructwa nauki; jednak losy łaskawe na nich, nie poskąpiły im w tym smutku pewnej pociechy: oto jeden z tych, przeciwko którym oni zwykle występują, jeden z tych ofiarnych pracowników nauki, Strumpf, nie dożył chwili druku swej

pracy, zgaśł w 28 roku życia; organizm nie wytrzymał wielkiego nacisku pracy i wielkich aspiracyj duchowych¹⁾. Kto przeczyta jego wstęp do botaniki w „Poradniku“, ten zrozumie, czym był przedwcześnie zmarły, jakiego gatunku umysłem; nie był to, ulubiony u nas, typ „szewca naukowego“, typ zwany przez Marksa „fachowym idyotą“, a przez Kanta jednookim „Cyklopem“, co potrafi jedynie zasuszać, wypychać, rejestrować — był to orzeł, co ze szczytu swej specjalności zatacza szerokie kręgi, obejmujące cały obszar wiedzy; nie był maszyną naukową, szematem, manekinem, drewnem, lecz człowiekiem zarazem myślącym i czującym, uświadomioną jednostką społeczną; był indywidualnością, a to jest u nas uważane za największy grzech, za nieprzyzwoitość. Czyżby nie wiedziano o tem, że cały rozwój kulturalny stworzyły właśnie indywidualności, nie manekiny — ale zresztą tu chodzi właśnie o powstrzymanie rozwoju — o, co duszą światło, muszą być przeciwni jednostkom, co je rozsiewają; muszą się cieszyć, gdy pada jeden z tych, co są jego nosicielami.

Niestety i poza powyżej wymienionym faktem jest wśród naszego społeczeństwa dość jeszcze objawów „pocieszających“ dla zwolenników bankructwa nauki. Oto np., czy nie „pocieszającym“ jest fakt, że podczas, gdy na stałe utrzymanie obserwatora, w miejskim obserwatorium astronomicznem, nie możemy

¹⁾ Niedługo po napisaniu tych słów zmarł drugi współpracownik „Poradnika“, Forszteter, wyczerpany pracą w biedzie nad dziełem naukowym. I wobec tego są ludzie, mający czoło pisać, że u nas jest wszystko, tylko nie ma ludzi, chcących pracować naukowo.

się dotąd zdobyć, a pracownik, który dawniej podjął się tego darmo (bo tylko dzień cały miał zajęty lekcjami, więc naturalnie powinien był noc ofiarować darmo), musiał po kilku latach złudzeń ustąpić, by nie podzielić losu Strumpfa, to z drugiej strony kapitaliści, jak tryumfalnie pisma codziennie donoszą, złożyli tysiące rubli na stałe utrzymanie trębacza! — trębacza, któryby stale trąbił z kościelnej wieży. — O, tak, to pocieszające, tylko ja sądzę, że nie dość nam jednego trębacza — składajcie panowie więcej pieniędzy, aby nie na jednej, lecz na każdej wieży mógł siedzieć trębacz i trąbił wam, panowie, głośno i stale takie epitety, których piórem, a raczej drukiem, wyrazić się nie da. Proponuję nawet na tej podstawie nową formułę towarzyską, wielce uprzejmą: „spraw sobie pan dobrodziej trębacza“.

O sprawiedliwość. ¹⁾

List do Redaktora »Prawdy«.



Wybacz Szanowny Panie Redaktorze, że znów zajmuję łamy Twego cennego pisma polemiką, sędzę jednak, że „Prawda“, która wypowiedziała walkę wszelkiemu fałszowi i wszelkiej krzywdzie, nie odmówi w tym celu miejsca swemu współpracownikowi, który, obcy wszelkiej prywacie, walczył zawsze wiernie pod powyższemi godłami.

Dziwnem być może wyda się komuś, że niżej podpisany, nie będąc fachowym muzykiem, ani krytykiem artystycznym, występuje w sprawie, na której nie zna się na pozór. Pospieszam więc przedewszystkiem usunąć to zdziwienie.

Krytyka, przeciw której zamierzam tu wystąpić, zawierała trzy rzeczy, których ocena jest zupełnie dostępna dla niefachowca, a mianowicie:

1. Fakty nie odnoszące się bezpośrednio do muzyki;
2. Osobiste wrażenia krytyka; 3. Wnioski, z wrażenia tego wyprowadzone, dotyczące psychologii artystki.

Otóż: 1. Fakty takie dadzą się łatwo sprawdzić za pomocą dokumentów drukowanych. 2. Wrażeniu osobistemu można przeciwstawić inne, a liczne, wrażenia osobiste. 3. Wnioski o psychologii dadzą się sprawdzić prawidłami logiki oraz faktami z życia.

¹⁾ Ob. art. p. Seliki „Z estrady“ (o grze p. M. Wąsowskiej) „Prawda“ Nr. 5. 1894. Niniejszy mój list był umieszczony w „Prawdzie“ Nr. 16 i 17. r. 1894.

1. Faktem przytoczonym przez krytykę jest, że p. W. została „niewątpliwie wyśrubowana przez kuryery“.

Zobaczmy, czy fakt ten jest prawdziwy, to jest zobaczmy, jak kuryery odnosiły się do gry p. W. przed tem wysokiem uznaniem, jakie pozyskała w Berlinie.

Otóż pochwały „Kuryera Warszawskiego“ prowadzają się do następującego typu: „p. W. musi być artystką utalentowaną, skoro do współudziału w swym koncercie zdołała pozyskać tak znakomite siły warszawskie, jak pp. X, Y, Z“. Jeżeli to ma być „śruba“, to w każdym razie chyba nie panny W.; jest to raczej znane nasze protekcyonalne lekceważenie osoby, nie należącej do kliki. A więc może w „Kuryerze Codziennym“? dobrze: tam znajdziemy znów takie „śrubki:“ „siła nie dość spokojnie użyta raz i zbyt ostrym akcentem...“ „śpiew traktuje artystka wogóle bez głębokości, bez czarujących, a wdzięcznych niespodzianek, bez tego czegoś, co się określić nie da, a co przemawia do duszy“. „Efektowność trzyma prym przed uczuciowością.“

I to wszystko rzeczywiście ma być „wyśrubowanie“? ależ to jest raczej owo „wybrakowywanie“ wyższych jednostek z pośród nas, o którym pisałem w artykule „Trzeba mieć metodę“ („Prawda“ nr. 1, 2),— wybrakowywanie, a przynajmniej jego embryon, który w kuryerach został zduszony przez uznanie berlińskie, ale niestety został podjęty i rozwinięty w omawianej przez nas krytyce¹⁾.

¹⁾ Ta początkowa niechęć względem p. Wąsowskiej przypomina mi inną — względem pani Wojcickiej, której mapa zyskała

Porównajmy teraz to warszawskie „wyśrubowywanie“ z krytykami zagranicznymi, które u nas tylko w jednym p. Bogusławskim miały poprzednika, a które nie są zbyt skłonne do zachwytu wobec polaków i wobec polskich utworów, jakie artystka na koncertach swych przeważnie grywała.

Vossische Ztg.: „In Ihrem Spiel liegt *etwas* jugendlich gesundes und frisches“... „natürlich und lebhaft ist die Auffassung“. *Berl. Bors. Ztg.* nazywa artystkę: „eine der *Besten* unter den jüngeren Pianistinnen; z powodu zaś wykonania Chopina mówi, iż on daje jej sposobność: „den ganzen Zauber ihres *seelenvollen* Anschlags zu entfalten“. *Berl. Tagebl.* przyznaje „klares Erfassen der musikalischen *Gedanken*“. „*Warme Empfindung*“. „*Poetische Vortrag*“ i dodaje: „Der lebhaft Beifall des zahlreichen Publikums rief die Künstlerin *wiederholt* auf das Podium und entlockte Ihr eine Zugabe“ itd. *Wiener Allg. Ztg.* mówi, że artystka „sich zweifellos als prima erwiesen hat.“ *Wiener Deutsche Ztg.* „Eine berufene *Meisterin* der Tasten, die in der Welt noch von sich reden machen wird.“ *Die Presse*: „Sie beherrscht auch *geistig* die Werke.“ *Wiener Extrbl.*: „Künstlerische *Individualität* der jungen Dame eine *bedeutende* und dem *grossen Rufe* entsprechende ist.“ *Wiener Tagebl.* podnosi „ihre hervortretend *musikalische Natur*. Was sie spielt erscheint uns *nicht* als die Frucht *endloser Repetitionsstunden*.“ „*Echte Musikgefühl*“ itd. I kończy „Die anmuthige Polin wird auf dem Wege, den so viele heute

niejakie uznanie u nas wtedy dopiero, gdy Niemcy powiedzieli: »*Karte findet allgemeinste Bewunderung*«.

betreten in Bälde die Meisten hinter sich zurücklassen.“ *Posener Tagebl.* „poesievolle, anmuthig-geistreiche Auffassung.“ *The Monthly Musical Record*, mówiąc o dawniejszym koncercie artystki w Londynie, przyznaje jej „prawdziwie artystyczny temperament“, oraz „świetne wniknięcie w myśl kompozytora“ (Beethovena). Krytycy petersburscy (między innymi Sołowiew) przyznają artystce „polot, uczucie, poezję, namiętny poryw, „*feu sacre*“ itd. publiczność, która z początku przyjęła artystkę „zimno“, została „zelektryzowana“ i robiła jej „formalne owacye, w których przyjął udział sam Rubinstein.“

Tak więc krytyka europejska przyznaje pannie W. w wysokim stopniu te same zalety, których nasza krytyka kuryerkowa dawniejsza, oraz krytyka p. Seliki stanowczo jej odmawia. Nie Warszawie zatem, nie *Kuryerom*, lecz zagranicy zawdzięcza p. W. swą sławę.

I czegoż to dowodzi, powie zapewne p. Selika, oto, że krytycy całej Europy z Rubinsteinem, u nas zaś p. Bogusławski, a zapewne i niżej podpisany, są to bądź „wzięci na kawał“, bądź najęci przez impresarya klakierzy!...

Jeżeli powyżej zarzut „wyśrubowania przez *Kuryer y*“ został, jak mniemam, odparty, to tego drugiego zarzutu, jakkolwiek on wydaje mi się monstualnym, rozumowo odeprzeć nie jestem w stanie; pocieszam się jednak myślą, że p. Selika nie będzie również w stanie go dowieść. Pozwolę sobie przytem zrobić uwagę, iż zarzucaniem komuś złej woli należy operować bardzo ostrożnie — jest to bowiem miecz obosieczny.

2. Co do osobistego stanowczo ujemnego

wrażenia p. Seliki, to tak ze względu na powagę pisma, w którym pomieszczoną została omawiana krytyka, jako też dla utrudnienia sobie obrony, przypuszczam iż p. S. jest wolną od wszelkich względów osobistych, że jest znakomitą znawczynią muzyki, że posiada wysoki zmysł artystyczny. Ale nawet w takim razie jej osobiste wrażenie nie może tu mieć decydującego znaczenia, albowiem można mu przeciwstawić wyżej przytoczone wrażenia krytyków europejskich, przeciwstawić „zelektryzowanie“ nawet początkowo chłodnej publiczności, przeciwstawić wreszcie wrażenie Rubinsteina, które posiada chyba jakąś wagę... Jakże więc wobec powyższych tak dodatnich moich przypuszczeń względem p. S. wytłomaczyć sobie jej ujemne wrażenie? Jest to zapewne jakaś idyosynkrazja, która nikogo obowiązywać nie może. Zdarza się np., że nawet jakiś wytworny gastronom nie znosi np. smaku i zapachu pomarańcz; nikt nie będzie zmuszał go do ich spożywania, ale z drugiej strony nie zdoła on przekonać innych znawców, aby owoc ten należało wyrzucić w błoto. Ale powie nam kto może, iż przypuszczając „idyosynkrazyę“, nie dość szanujemy wrażenia i uczucia jednostki. Dobrze, więc pójdźmy jeszcze o krok dalej na polu ustępstw dla jednostki oraz na polu utrudnienia obrony. Zróbmy następujące porównanie: cała ludzkość na widok lasu doznaje wrażenia zieleni, na widok nieba — wrażenia błękitu — biedna ludzkość: ona podlega daltonizmowi. Ale występuje jednostka obdarzona wyjątkowo, jednostka, powiedzmy, nie z idyosynkrazją, lecz owszem, jednostka, którą gwałtem nazwijmy normalną, jednostka zdolna do pojęcia »*Ding an*

*sich**, do odczuwania wrażeń absolutnych, nie zaburzonych żadnymi warunkami ubocznymi, nieskrępowanych żadnymi więzami względności. I oto ta jednostka „normalna“ widzi jaknajwyraźniej, i naucza ludzkość, że niebo ma barwę sromotnej gumiguty, a las barwę wstrętnej posoki. Takie są barwy prawdziwe, absolutne. Lecz i w takim nawet razie ludzkość, pozbawiona zmysłu bezwzględności, oświecić się nie da; ona, gruba i naiwna, „wzięta na kawał“ przez siłę natury, zachwycać się będzie nadal uroczą zielenią lasów, cudownym błękitem nieba, lazurem gór dalekich.

Jak w powyższym porównaniu tak i w danym razie nie to nie pomoże, iż nam p. S. powie o artystce rzeczy najnieartystyczniejsze: że „jakkolwiek w technice nie przytrafia jej się nigdy brzydki wypadek“, to jednak „bierze ona tylko na kawał“; że „nie ma nerwu muzycznego, nie ma polotu, nie ma indywidualności“; że nawet technika, jako wykuta, nie jest jej zasługą itd.¹⁾; cóż to wszystko pomoże: dla grubych natur ludzkich, nie pojmujących prawdy absolutnej, będzie to zupełnie niezrozumiałe wobec tego jednego faktu, że artystka posiada tę „siłę“, ten „święty ogień“, co porywa i entuzjazmuje słuchaczy!²⁾.

¹⁾ Prosimy porównać, jak podobne są wrażenia p. S. do wrażeń „Kuryerów“, które miały niby „wyśrubować“ pannę W., a jak antypodycznie sprzeczne z przytoczonymi wrażeniami krytyków zagranicznych, wziętych naturalnie „na kawał.“

²⁾ Z drugiej strony celem naszym nie jest bynajmniej przekonać p. Selikę; pozostanie ona bezwątpienia przy swych wrażeniach i nadal; my chcemy tylko dać sposobność czytelnikom „Prawdy“ zadośćuczynienia ważnej zasadzie sprawiedliwości: *»audiatur et altera pars.«*

3. Zobaczmy teraz, jakie wnioski o psychologicznej stronie artystki wyprowadza lub nasuwa p. S. na podstawie tego wrażenia i postaramy się sprawdzić te wnioski i to nawet niezależnie od wartości wyżej rozbieranego wrażenia, które im służyło za podstawę.

Odtwarzanie duchowej strony artystki *a priori* na podstawie wrażeń muzycznych, o ile może być pociągające dla umysłów typu leverrierowskiego, o tyle jest niebezpieczne wtedy szczególnie, gdy da się ono łatwo skonfrontować z faktami. Przypomina mi się tutaj pewien nasz literat rzeczywiście „wyśrubowany przez kuryery“, który pokusił się skonstruować *a priori* język dawnego dokumentu, nie wiedząc o „brzydkim wypadku“, że dokument ten istnieje przechowany i że nie jest ani na jotę podobny do skonstruowanego. Coś podobnego i tutaj ma miejsce: p. S. odtwarzając psychologię p. Wąsowskiej, jakby zapomniała, że artystka jest dzieckiem Warszawy, że żyje wśród nas, że wielu ludzi, różniących się nieco i etycznie i umysłowo od reporterów, było i jest świadkami jej artystycznego rozwoju i że oni wiedzą, iż fakty jej życia, dające się łatwo sprawdzić, stanowią z typem skreślonym przez p. S. antypodyczne przeciwieństwo (a zupełną zgodność z typem krytyk zagranicznych) tak, iż dla sprowadzenia formuły p. Seliki do rzeczywistości trzebaby w niej wszystkie znaki — zamienić na +; wszystkie „nie“ na „tak“ i odwrotnie!

I tak: p. S. nie mogąc zaprzeczyć artystce wysokiej techniki (i to w uprzejmej formie, że „nie zdarza się jej brzydki wypadek“), dodaje zaraz, jak wspomniałem, że nie jest to żadną jej zasługą, ponie-

waż „nie miała zbyt wielkich trudności w zwalczaniu uniesień“; że „mogłaby równie dokładnie grać przez sen, jak na jawie“; że „szkodzi jej zbyt wielka pewność siebie“ itd. Wszystkie te twierdzenia służą do psychicznego scharakteryzowania artystki jako bezczuciowej, bezdusznej maszyny, jako prawidłowo działającej katarynki!

Tymczasem ta katarynka p. S., ta bezduszna maszyna „mogąca grać równie dobrze przez sen jak na jawie“, gra jednak zupełnie inaczej w różnych chwilach i różnych okolicznościach; inaczej wśród kółka ludzi życzliwych i natur pokrewnych, inaczej tam, gdzie słuchają jej nie pojmujący lub niechętni — tak potrzeba jej, jak każdej wyższej organizacyi nerwowej, tej świadomości, że dusza jej znajduje oddźwięk w duszach pokrewnych. Ta bezduszna maszyna, z taką „pewnością siebie“, pomimo zupełnego opanowania techniki, pomimo tylu powodzeń, drży przed każdym wystąpieniem — tak mało sądzi o sobie, tak wiele od siebie wymaga. Ta katarynka miewa nawet „na jawie“ chwile takiej niewiary w siebie, takiej depresyi, że po całych dniach nie jest w stanie grać; kiedyindziej następują znów chwile napływu szalonej energii, w których grywa jak natchniona po wiele godzin prawie bez odpoczynku, po czem jest bliską omdlenia. (Czyż wobec tego może być mowa o wykuwaniu techniki?)

Tak więc ta bezduszna maszyna w wyobraźni p. S. jest w rzeczywistości subtelną organizacją nerwową, naturą głęboko czującą, zdolną do namiętnie-artystycznych porywów, naturą o cechach genialności.

Że natura taka nie posiada sprytu życiowego,

że nie potrafiłaby zaskarbiać sobie względu reporterów „wyśrubowujących“, że nie byłaby w stanie zniżyć się do organizowania reklamy, to znajduje logiczne uzasadnienie w jej psychologii, a realny wyraz w niechętnych przedberlińskich krytykach warszawskich.

Reasumując całe nasze powyższe roztrząsanie, dochodzimy do przekonania, że potępienie panny W. opierało się: 1) na faktach niezgodnych z prawdą, 2) na wrażeniu, które, jako wprost przeciwne wrażeniom ogółu, jest zupełnie wyjątkowe i doczesnego świata obowiązywać nie może, 3) na wnioskach z wrażenia tego *a priori* wypływających, które, jak można się było spodziewać, są wprost przeciwne faktom, a więc utrzymać się nie dadzą.

Nikt może bardziej odemnie nie uznaje potrzeby walki przeciw „wyśrubowywaniom“, karyerowiczostwu, prywacie, bladze; zdaje mi się nawet, że w naszych warunkach mniejszą zasługą jest zasianie pięknego ziarenka, które najczęściej marnieje, przygłuszone chwastem, niż wyplenianie chwastów, które przygotowuje grunt do pewniejszego posiewu. To też doznaję zawsze przykrego uczucia, ilekroć przychodzi mi wystąpić przeciw autorowi, walczącemu pod tym samym sztandarem wypleniania; ale gdy mi się wydaje, że towarzysz mój popełnił omyłkę lub, mimo swej woli, nie był dość sprawiedliwy, nie mogę się wstrzymać od wystąpienia, a zdaje mi się, że nie jest to ze szkodą sztandaru.

Należy nam bowiem w sędzie, w potępieniu, być

przynajmniej tyle subtelnymi i ostrożnymi, ile nieugiętymi. Nieugiętymi powinniśmy być dlatego, że każdy błąd lub każde wykroczenie w naszym społeczeństwie winno być surowiej traktowane niż gdzieindziej; ostrożnymi — dlatego, że nie mamy jednostek wyższych, a nawet tylko czynnych, za dużo, abyśmy je mogli lekceważyć, a cóż dopiero poniewierać. Nawet wtedy, gdy stajemy jako sędziowie wobec błędów niewątpliwych, to po za ich stronę faktyczną, inaczej powinniśmy je wytknąć, gdy je popełnia jakiś karyerowicz, jakaś kanalia, a inaczej, gdy je popełnia jednostka, co całą swą istotność przelała w ideę, albo pracownik przytłoczony brzemieniem trudów lub cierpień. I my w ocenie nie bądźmy „maszynami“, lecz posiadajmy „nerw“ społeczny.

W szczególności co do artystów, to ci bywają rzeczywiście najczęściej „wyśrubowywani“ i to należy piętnować bez litości; ale z drugiej strony artysta, potępiony niesprawiedliwie, znajduje się w daleko gorszych warunkach obrony niż każdy inny pracownik: gdy ktoś uczonemu zarzuci, że dwa a dwa nie jest cztery, łatwo on sobie z tym zarzutem da radę; ale gdy ktoś nawet genialnemu artyście powie, że on gra nieładnie lub że nie ma duszy, jakże może on dowieść, że gra pięknie, jak ma swą duszę okazać?

Bezstronny głos w sprawie żydowskiej.¹⁾



obec dusznej atmosfery wytworzonej przez reakcyę wogóle, a przez ujadanie nacyonalistyczno-antysemicko-syonistyczno-hakatystyczne w szczególności, „głos“ zacytowanej broszury jest rzeczywiście „na czasie“; a przez swą bezstronność, szczerłość i swe stanowisko ewolucyjne jest niby świeżym powiewem, niosącym uzdrowienie.

Praca ta napisana jest przytem z pewnym polotem i znacznem ciepłem, które nazwałbym patriotycznym, gdyby wyraz ten nie był dziś bardzo dyskredytowany swemi ścisłemi związkami z klerykalizmem, gdyby nie stał się synonimem bądź szczerzej ciasnoty, bądź obłudnego sprytu.

Autor doskonale analizuje kwestyę żydowską, wyświetla motywy syonizmu, sprowadza ruch ten do właściwych rozmiarów, ocenia jego strony dodatnie i ujemne, przewiduje skutki w przyszłości.

Co do kwestyi żydowskiej, to autor rozwiewa widmo wszechzmowy żydowskiej, wykazuje mało znaną, a straszną nędzę proletaryatu żydowskiego, a nawet sprowadza do skromnych (może zbyt skromnych) rozmiarów wieści o wielkich bogactwach Żydów, gdyż „grube ryby“ żydowskie bywają skwa-

¹⁾ Ob. broszurę: „Nasze rachunki i syonizm“. „Głos na czasie“ przez Belaryusza“. Warszawa. T. Paprocki 1903.

pliwie asymilowane, wchłaniane przez społeczeństwo rdzenne. Odpiera zarzut niewdzięczności Żydów względem społeczeństwa rdzennego, przytaczając przykłady pożytecznej działalności Żydów na polu naukowym i obywatelskim, której antysemityzm podcina skrzydła; wykazuje błędność antysemityzmu naukowego, powołując się na wspaniałą pracę I. Radlińskiego „Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów“. Przeciwnie hasłu antysemityzmu ekonomicznego, który stroi się w maskę chrześcijańskiej miłości bliźniego a krzyczy „chleb dla swoich“, autor stawia humanitarną zasadę „chleb dla wszystkich“ i przy tej sposobności wygłasza słowa pełne szczerego uczucia: „na ziemiach zamieszkałych przez Żydów wszelkie wpływy przyrody przystosowały ich do danego kraju, bo wszystkim ludziom przyświeca jedno słońce, wszyscy oddychają tem samem powietrzem, zrasza ich ten sam pot znojnej pracy i wdychają te same wyziewy wspólnej matki ziemi, a wreszcie leżą tam prochy ich ojców. Wieki wspólnego pożycia na jednej ziemi wyźłobiły w naszych sercach miłość dla niej, choć nieraz społeczeństwo było nam macochą, i te dążenia inteligencji żydowskiej do uspołecznienia się w kierunku kultury miejscowej uprawniają nas do zaliczenia się w poczet współrzędnych obywateli krajowych bez względu na stanowisko pewnych klas i grup społeczeństwa“. Naturalnie: nie w tem lub owem pochodzeniu tkwi żywotność i racya bytu narodu, lecz w zdolności jego do żywienia i rozwijania ideałów przyszłości; te grupy społeczne, które nie tylko są dla ideałów tych obojętne, ale, bądź to z powodu ciasnoty umysłowej, bądź interesów osobistych i ka-

stowych, przeciw tym ideałom występują wrogo, są, bez względu na swe pochodzenie rasowe, skazane etnicznie na zagładę. I gdyby rdzenne społeczeństwo w całej swej masie miało zawsze zachowywać się wrogo, lub choćby tylko opornie, wobec rozwoju wiedzy i ideałów społecznych, to prędzej, czy później nastąpiłaby u nas zupełna pseudomorfoza etniczna: przyszły badacz ludów byłby zmuszony współczesnych sobie Polaków zaliczyć do rasy semickiej.

Broniąc element żydowski od napaści antysemitów, autor przechodzi w części do ataku i zadaje napastnikom dotkliwe razy: „jeżeli Żydzi w Polsce trudnili się lichwą i szynkarstwem, co wskazuje, że inne środki zarabkowania były im co najmniej utrudnione, to czerpali oni soki z włościństwa na korzyść żywiołu szlacheckiego. Zarobionemi bowiem pieniędzmi z lichwy okupywali się Żydzi nadmiernym podatkom i kontrybucyom, a wyszynkiem wódek szlacheckich wzbogacali właściciele gorzelni i korzystających z praw propinacyjnych: szlachtę i wielkich panów“. Krzykacze, geszefciarze antysemitcy nazwą to żydowską bezczelnością, ale niech się powstrzymają w zapale, gdyż autor opiera się tu na poważnych autorach „rdzennego“ pochodzenia: na historyku, Władysławie Smoleńskim, oraz na pośle pińskim, Mateuszu Butrymowiczu.

Co do syonizmu, to autor genezę jego widzi w eksterminacyjnej polityce Bismarka, który usiłował zwalczyć ideę Lassalle'a i Marx'a; to wywołało antysemityzm i w następstwie syonizm. Obok ludzi idei, zwłaszcza gorącej młodzieży, cierpiącej już na ławach szkolnych prześladowanie i poniżenie ze strony „rdzen-

nych“ kolegów, rzucili się do syonizmu i ci, którzy w tym prądzie dostrzegli korzystny dla siebie interes, jak żydowskie duchowieństwo i prasa; wreszcie tłum, pociągany przez utalentowanych mówców, którzy mu powiadają: „ojczyznę naszą jest obczyzna, jednością rozproszenie, solidarnością ogólna nieprzyjaźń. Żyd jest dla posiadacza żebrakiem, dla ubogiego milionerem i lichwiarzem“ i t. d.

Na przyszłość syonizmu autor zapatruje się sceptycznie: „Nacyonalistyczne dążności Żydów są mrzonką, jest to powrót do przeszłości dawno zamierzchłej i nikt na seryo brać nie może powrotu do kultury staro-hebrajskiej. Kultura europejska ma to do siebie, że się przemocą narzuca i nietylko ludzi uspołecznia, ale siłą faktów narzuca im swój język i obyczaje, i w szeregach najzawziętszych nacyonalistów żydowskich językiem rodzinnym będzie język kraju, w którym żyją: u nas polski, w Cesarstwie — rosyjski, we Francji — francuski“.

Na zakończenie autor w kwestyi asymilacyi Żydów wypowiada parę głębokich poglądów, mających znaczenie niesłychanie ważnych wskazówek:

„Pozostają dwie alternatywy: albo wziąć się do wspólnej pracy celem wydźwignięcia tej masy (ciemnego proletaryatu żydowskiego) z obecnego stanu na wyższy szczebel kultury, odpowiadającej wspólnym pragnieniom; albo w myśl krótkowidztwa politycznego masę tę wyodrębnić i pchać gdzieindziej“, a dalej: „Asymilacya ze rdzennem społeczeństwem nie jest rozpląnięciem się i unicestwieniem, ale wzajemnym upodobnieniem na podstawie ideału nie już istniejącego, ale utworzyć się mającego

i stojącego po nad obu rodzinami, pragnącemi się zasymilować“.

Należy, dodamy od siebie, życzyć sobie jak najgoręcej, aby Żydzi, którzy asymilują się dotąd ze rdzennem społeczeństwem najczęściej w imię ideałów strupieszalnych (nawet niektórzy z tych uczonych, których autor poprzednio przytacza), którzy wciskają się w osobiście korzystną dla nich formę klerykalno-narodowo-demokratyczno-arystokratyczno-burżuazyjną — w ten bigos hultajski, przyrządzony przez rozpaczliwą kuchnię reakcyjną — zechcieli wziąć sobie powyższe wskazanie autora jak najbardziej do serca.

Reakcyja zdobywa ciemne, ubogie tłumy ogłupianiem lub najemnictwem; niechże przynajmniej inteligencya nie da się pochwycić w te sidła, a wtedy łatwiej będzie zwyciężyć potwora, który w ostatnich drgawkach usiłuje stłumić ducha ludzkiego, rwącego się ku przyszłości.

Wspomnienia krakowskiego studenta.

Z przed ćwierci wieku¹⁾.

I.



ielcy panowie, piorunujący zawzięcie na teorię Darwina, praktykują ją jednak, gdy tylko mogą zeń wyciągnąć zysk materialny lub wzmocnić swe stanowisko kastowe: wszak przecież prowadzą oni oddawna hodowlę stad przez wybrakowanie jednostek nieodpowiednich, t. j. np. zbyt krnąbrnych i nie dających się zaprzędz do jarzma, nie obiecujących zbyt obfitej wełny, lub smacznego, miękkiego i strawnego mięsa na pańskie stoły. Aristokracja galicyjska, a szczególnie krakowska, najprzeciwniejsza ze wszystkich Darwinowi, poszła jednak jeszcze dalej w sprawie hodowli stad: uprawia ona hodowlę ludzi, a to przez — wybrakowywanie szlachetnych! Ta galicyjska gospodarka, wydała już obfite owoce, świetne dla kasty, wstrętne i straszliwe dla każdego, kto ukochał ideały ludzkości.

To wybrakowywanie odbywa się kilkoma drogami: ludzie z duszą niepodległą, z sercem i głową, ludzie „podejrzani“, „niebezpieczni“, napróżno wyęzają swe siły w walce o byt: stańczykowsko-jezuicka

¹⁾ Zwracamy uwagę czytelnika na datę; od tego czasu zmieniło się zapewne wiele — ale nie wszystko: Kraków odznacza się charakterem nieugiętym, nie tak prędko pozbywa się „cnoty ojców“!... A w każdym razie poznanie przeszłości ułatwia zrozumienie terażniejszości.

policya śledzi ich, usuwa od zajęć, a proteguje spoldonych, giętkich w karku; bystre oko chlebobdawcy-
 stańczyka lub księdza, odkryje wnet sztywność w karku
 zależnego odeń pracownika i miejsce jego zastąpi umie-
 jący się spodlić i poniżyć sługus. I cóż dziwnego, że
 najlepsze, najszlachetniejsze jednostki albo umierają
 tam w kwiecie wieku z głodu (czy to bezpośrednio,
 czy przez wywiązanie się suchot), albo, gdy organizm
 jest dziwnie silny, żyją, ale tracą wszelką siłę nerwową,
 wpadają w apatyę, stają się chodzącymi trupami, in-
 walidami życia, kończą często obłędem lub samobój-
 stwem. Tylko ci, co pojęli wcześniej beznadziejność
 drogi szlachetnej i przeszli w szeregi lokai, ci zasto-
 sowawszy się do tego stanowiska, z czasem osiągną
 zaszczyty i świetny byt materyalny; stańczykowsko-
 jezuicka policja doskonale zorganizowana postępuje
 tutaj bardzo systematycznie, metodycznie: wybrawszy
 ofiarę, nasyła nań kusicieli, którzy potrafią z szatańską
 psychologią roztoczyć przed nią czarowną przyszłość,
 świetną karierę, lub też obrazy nędzy, a to odpo-
 wiednio do tego, czy wybrana ofiara zechce być po-
 wolnym narzędziem, czy też ośmieli się być krnąbrną.
 Tym sposobem kusiciele potrafią wypruć jednostce
 ludzkiej wszelkie porywy, wszelkie uczucia ogólnol-
 udzkie, uczynić ją żołądkiem reakcyi, a przynajmniej
 bezdusznym specjalistą, szewcem naukowym — tak
 fabrykuje się każdy „doktór-profesor“. W ostatnim
 razie, wybrakowywanie odbywa się drogą mniej gwał-
 towną, nie przez wycinanie, lecz tylko naginanie i szcze-
 pienie „młodych płonek“. Machina społeczna, wyni-
 kająca jako rezultat takiej hodowli, musi się składać
 z trzech elementów: panów (i księży), jako kierowni-

ków, lokai, jako wykonawców i nędzarzy, jako odpadków.

* * *

Kto kształcił się na uniwersytecie krakowskim, ten zna te różne kategorie tamecznej młodzieży, dążącej do celu; wśród moich wspomnień szczególniejsze miejsce zajmują losy jednego ze zmarnowanych przez jego śmierć wysoce tragiczną.

Człowiek ten już przed śmiercią był zmarnowany w walce z biedą, był inwalidem życiowym. Wykształcony wszechstronnie, miewał chwile ożywienia i zapału, chwile przebudzenia z apatyi, ale takie „chwile przebudzenia są coraz krótsze, a sen w grobie coraz dłuższy i coraz twardszy“. W chwilach takich zdradzał on erudycję i głębokie poglądy, odczytywał mi wiele swych luźnych notat życiowych i pozaczynanych prac naukowych, lecz na radę, by się wziął do ich zebrania w całość, do wykończenia, odpowiadał zwykle z westchnieniem: już zapóźno, przepadło — zresztą na co to, nikt nie wydrukuje tego, a choćby wydrukowano, czy to co pomoże, czy jesteśmy w stanie oprzeć się przemocy. Ten człowiek nie miał już sił do dalszej walki, żył z dnia na dzień bez idei. Coraz częściej zatapiał się on w smutną zadumę o bólach i przeciwnościach, które nie dozwoliły mu zająć się ulubionymi naukowemi studjami i znękały jego umysł, osłabiły dzielność myślenia, o młodości spędzonej w nędzy i głodzie, nie opromienionej blaskiem jasnych dni. Biada ludziom, którzy wpadają w zadumę, którym często „żrenica zamglona nie da się chłodno obejrzeć po świecie“, biada! — wśród szalonego wiru walki

o byt padną oni zgruzgotani pod stopami tych, co zawsze trzeźwo i chłodno patrzą przed siebie. Wskutek takiej to zadumy, a może i wskutek świadomości o swem zmarnowanym życiu, człowiek ten znalazł śmierć pod kołami lokomotywy; śmierć ta była tylko spuszczeniem kurtyny nad tragedią życiową, straszliwym sformułowaniem tego, co już faktycznie poprzednio się stało.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdym przyszedł odwiedzić trupa, jak dniem wprzód odwiedziłem żywego. Leżał w trupiarni szpitalnej, pokryty prześcieradłem. Dziecinna krótkość, pozbawionego nóg, korpusu, stanowiła straszliwy kontrast z twarzą zestarzałą przedwcześnie, nacechowaną niewymownym cierpieniem. Obok niego leżały pogruchotane nogi. Kilka innych trupów uzupełniało ten okropny widok, którego ciszę przerywali tylko wstrętne posługacze szpitalni: kłócili się oni o kwalifikację trupa na stół sekcyjny i prawie wydzielali go sobie wzajemnie.

Była to scena pełna szekspirowskiej grozy. Gdym przebiegał myślą całą skalę ideałów, pragnień, uczuć i cierpień tego człowieka, który leżał przedemną, jako osobnik „wybrakowany“; gdy przyszło mi na pamięć pytanie: „czy tysiące ludzi, krzyczących ratunku, nie są tylko zawilem zrównaniem rachunku“, czy uczucie, szlachetność, wytrwałość „są na coś na świecie potrzebne, czy nie są to tylko omyłki liczebne“, wtedy obok mnie stanęła jakaś cheiwa wrażeń dama krakowska i, przeżegnawszy się pobożnie, przypatrywała się przez pince-nez zmarłemu; śnać jednak inne myśli w jej głowie krążyły, gdyż, skrzywiwszy się, wyraziła swe niezadowolenie, że o tak gorącej porze trupiarnia

nie była dezinfekowana!... Wyrazy te wyrwały mnie z zamyślenia, zdziwiłem się, że też mnie, co tak długo tam stałem, nie przyszła na myśl tak zdrowa uwaga... te pobożne damy krakowskie są od nas — troskliwsze!

Wyszedłszy z trupiarni, powróciłem do domu, lecz obraz, jaki wyrył się w mej pamięci, długo nie dawał mi pokoju i działał na mnie pognębiająco; gdym się nieco otrzasnął, zabrałem się do przejrzania notatek, jakie zmarły na moją prośbę powierzył mi krótko przed śmiercią; część notatek, zawierająca obserwacje życia krakowskiego, nie wymagała prawie żadnego opracowania, postanowiłem więc dać je do druku, ale rękopis przez lat parę wędrował z redakcyi do redakcyi, odmówiono mu miejsca i nie dziwnego: jest on ciężkiem oskarżeniem możnych, obroną uciśnionych, tępiionych, „podporządkowywanych“ dotąd w społecznej hodowli interesom kasty.



Pragnę przedstawić czytelnikowi obrazy i obrazki z życia społecznego, jakie przesuwają się przed memi oczami, podczas mego pobytu na uniwersytecie krakowskim; a jeżeli obrazki te będą wstrętne i bolesne dla szlachetnego serca i prawej duszy, to czytelnik niech wybaczy to kronikarzowi, nie jest on bowiem malarzem, który dowolnie może dodać jasnego kolorytu i pięknych kształtów swym utworom, lecz zwierciadłem tylko, odbijającym wszystko, co nań padnie z wiernością, nie troszcząc się o jasność barw i piękność form.

Ponieważ duch narodu wyraża się w jego języku,

przypatrzmy się więc krakowskiemu językowi, a zobaczymy, jak bogate wnioski wyprowadzić zeń można o charakterze ludności. Kraków ma swój język oddzielny; pominąwszy już germanizmy, odróżniające go wyrazami i zwrotami od naszego, język ten używa wielu znanych nam wyrażen na oznaczenie pojęć wprost przeciwnych tym, jakie my przywykliśmy do nich przywiązywać. I tak np., jeżeli ktoś w Krakowie poważy się napisać prawdę o nikczemnych czynach, jakiej osoby, zajmującej wysoki urząd, lub donieść, że pewnemu hrabiemu lub protegowanemu przyznano stopień doktorski, pomimo, że doktorant wykazał brak najelementarniejszych podstaw nauki i t. p., to takiego śmiałka nazywają tu o p r y s z k i e m lub b a n d y t ą literackim, opisanych zaś przez niego osobników nazywają szanownymi mężami, pełnymi nadziei pracownikami, znakomitymi uczonymi i t. d. Adwokat, pochodzący z podupadłej arystokratycznej rodziny, a biegający po chłopskich chałupach podkrakowskiej wioski i podjudzający ciemny i biedny lud do procesów dla ciągnięcia zysku, zowie się mężem, którego imię przynosi chlubę krakowskim prawnikom. Owi „wielce szanowni mężowie“ „czynią uważnym“ urząd policyi, t. j. denuncyują „bandytów“ jako zagrażających moralności publicznej (moralnością nazywa się staranne ukrywane niemoralności) i wsadzają do kozy lub wydalają z kraju, a postępowaniu takiemu przykładuje większość społeczeństwa: prezydent ma słusznie, powiadają, my są tutejsi, moglibyśmy zostać spokojnie siedzieć, a tu jakiś przybłąda przychodzi, i nie dość, że zjada nasz chleb,

lecz jeszcze chciałby nas uczyć — niech sobie idzie *fort* i niech go szlag trafi.

Pokrewnymi „bandytom“ są tak zwani ludzie niebezpieczni; przez człowieka niebezpiecznego rozumie się w Krakowie takiego, którego oburza wszelka krzywda i niesprawiedliwość, wyrządzona przez możnych słabym. Jednym z takich ludzi był p. W., wydany z Krakowa w ciągu kilku godzin bez żadnego sądu i rzucony w kraj obcy bez żadnych środków do życia; wina p. W. była następująca: mieszkając na letniem mieszkaniu w wiosce pod Krakowem, dowiedział się, iż ksiądz tamtejszy w porozumieniu z wójtem gminy, krzywdził gminę, przywłaszczywszy sobie część pieniędzy przeznaczonych na budowę szkoły. Pan W., któremu skarżyli się biedni włościanie, oburzony do żywego, napisał im skargę do właściwej władzy; skarga ta naturalnie nie odniosła skutku; za to ksiądz, dowiedziawszy się, kto był autorem skargi, użył swych wpływów (a czegoż ksiądz w Krakowie nie może) i uzyskał wydalenie p. W. Nie dziw też, iż gdy później ksiądz ów umarł, trumnę jego panowie pokryli wieńcami. A propos usuwania niebezpiecznych żywołów, niepodobna też przemilczeć o głośnej przed paru laty sprawie p. C., Polaka, nauczyciela francuskiego języka; tego „niebezpiecznego“ człowieka pozbyto się w inny, nieco legalniejszy sposób. P. C., ubogi emigrant, utrzymywał w Krakowie rodzinę, składającą się z żony, dzieci i staruszków rodziców, dawanem lekcyi. P. C. zawadzał jakimś protegowanemu przez wielkich panów, a więc zadenuncyowano go najniewinniej o zgubną propagandę, o propagandę! — człowieka, który od rana do nocy był

zpracowany lekcyami, bo inaczej nie byłby w stanie wyżywić licznej rodziny. Mimo to jednak, mimo, że nie kompromitującego nie znaleziono u niego, został aresztowany. W więzieniu trzymano go przez kilka miesięcy, podczas których rodzina pozostawała bez utrzymania. Pan C., człowiek pracowity i cichy, a bardzo uczuciowy, tak odczuł ten gwałt nikeszemny, którego stał się ofiarą, że gdy po kilku miesiącach wypuszczono go, zrujnowany na zdrowiu, p. C. wskutek zgryzoty zmarł, zostawiając bez kawałka chleba złamanych niedolą rodziców, których był podporą, oraz nieszczęśliwą żonę z dziećmi. Wielkiem jest zaiste społeczeństwo, co tak dba o usuwanie ze swego łona takich „niebezpiecznych“ żywiołów. Postępowanie podobne nazywa się tu zgodnem ze zdrowemi zasadami i jest prawdziwą chlubą Krakowa wobec zgniłych, pozabawionych religii społeczeństw zachodu. „Zgnilizna“ ta według „Czasu“, głównie wyraża się tem, że w innych krajach sędziowie przysięgli uwalniają ludzi, którzy mszczą się za wyrządzoną im krzywdę, za złamanie szczęścia całego życia, za zbezczeszczenie. Tacy sędziowie nazywają się tutaj bez sumienia, ludzie zaś, co z rozpaczy mszczą się za wydarte im szczęście, za zmarnowanie życia, nazywają się zbrodniarzami; a te potwory, które swoim postępowaniem doprowadzają „zbrodniarzy“ do rozpaczliwego kroku, nazywają się sprawiedliwymi mężami; tak np. gdyby ojciec p. C., po utracie swego ukochanego syna, w rozpaczy palnął w łeb temu, co był przyczyną śmierci, to pierwszy byłby zbrodniarzem, drugi niegodnie zamordowanym sprawiedliwym mężem; sędziowie nie

byliby wtedy bez sumienia, zbrodniarz od-
dności by zasłużoną karę, sprawiedliwo-
ści stałoby się zadość.

Myślećby można, że wśród takiego społeczeństwa
dodatnim wyjątkiem jest młodzież uniwersytecka, a no
— przyjrzyjmy się też młodzieży.

Młodzież krakowskiego uniwersytetu dzieli się
na arystokrację, czyli szyk i na górali (po-
mijamy szczupłe grono, nie należące do żadnej z tych
kategorji, jako element napływowy, przybłądów);
o pierwszych nie wiele powiedzieć można: panice
tacy są znani wszędzie i noszą cechę kosmopolityczną:
bilardy, teatry, bale i t. d. stanowią treść ich życia;
propagują oni dalej adresy do Ledóchowskiego, pa-
pieża, składki na cele pobożne, jak panom przystało;
chodzą na wykłady rzadko, wyjąwszy na hr. Tarnow-
skiego, bo to należy do szyku; natomiast opuszczają
audytoryum, gdy który profesor — biały kruk, powie
coś prawdziwego o księżach i papieżach.

Przed bramą uniwersytetu staje zwykle ich gro-
mada — wyświeżona wedle ostatniej mody, z bino-
klami na nosach, z cygarami w zębach; gwarzą wesoło
o swych sukcesach i wydrwijają ubogich kolegów,
którzy przemykają się nieśmiało koło nich w niemo-
dnych i wytartych ubraniach.

Druga grupa studentów, górale, są to nie tylko
dzieci ludu górskiego, ale wogóle dzieci ludu, a nawet
wszyscy biedni, bo nazwa „góral“, posiadająca u nas
pewien nawet poetyczny charakter, w Krakowie stała
się ogólną dla oznaczenia niskiego pochodzenia, chłop-
skich manier, nieokrzesałości, serwilizmu; jednym

słowem, stała się wyrazem obelżywym: powiedzieć komuś „ty góralu“, jest to obrazić go boleśnie.

Możnaby sądzić, że ten element stanowi w uniwersytecie opozycję przeciw arystokratom-gogom, że stanowi postępową demokrację: — nic mylniejszego. Postaram się przedstawić moralny typ „górali“.

„Górale“ są to ludzie, nie mający żadnych ideałów życiowych, a raczej, mający ideał nadzwyczaj niski, upadający. Ideałem tym jest oddalić się, jak można najbardziej od swego chłopskiego początku, zatrzeć swe niskie pochodzenie i stanąć najbliżej arystokracji, choćby u klamki jej podwoi — środkiem do tego celu jest płaszczenie się i nauka (biedna nauka!); ma ona dla nich o tyle wartość, o ile zapewnia wyższe stanowisko, stanowisko, podnoszące ich nie w oczach świata naukowego, nie na polu sławy naukowej, lecz na polu towarzyskiem (i materyalnym). W dopięciu tego celu niezbyt świętego kierują się oni zasadą: cel uświęca środki, wybierają więc te środki, które w Krakowie są najbardziej skuteczne, jako to: pokora, nadszkakiwanie profesorom, księżom, ich gospodyniom, kochankom — i wogóle podobnym osobom wpływowym, regularne uczęszczanie do kościoła, służenie do mszy (studenci uniwersytetu!), modlenie się przykładne na książce, potępienie postępu, wydrwiwanie Darwina i t. p. Mimo to, a raczej dla tego, praktykują oni walkę o byt w najohydniejszym znaczeniu tego wyrazu; cieszyli się np., gdy w czasie okupacji Bośni uruchomiono polskie „pułka“, bo wielu kolegów powołano, mówili, wielu zginie, będzie większa szansa otrzymania posady dla tych, co zostają. Niech kto dostanie dobrą lekcję, to inni starać się będą oczer-

nić go, zdyskredytować, by go wysadzić i zająć jego miejsce; z drugiej strony ci, co dostają dobrą lekcję lub jakiebądź zyskowne zajęcie, nie są lepsi: pierwsza rzecz u nich elegancko się ubrać, by się zbliżyć do arystokratycznych kolegów, którzy im wtedy czasem protekcyjnalnie podają jeden palec; sami oni zaś nie poznają swych dawnych przyjaciół mniej szczęśliwych, nawet zapominają tego, że ci nieraz dzielili się z nimi swemi szczupłemi dochodami lub kawałkiem chleba z serem (co stanowi zwykły obiad tamtejszej ubogiej młodzieży). Względem wyższych postępowanie jest zupełnie inne: płaszczenie się, serwilizm, pochlebstwo — oto szczeble, po których wspinają się coraz wyżej po drabinie towarzyskiej i społecznej; to daje posady i byt materyalny; z takich to ludzi niektórzy sprytniejsi dochodzą wysoko przez sprzedawanie swej osoby, swego pióra celom arystokracji; im to kładzie w usta Rodoć następujące wiersze: „ciekawym, co to szkodzi liberalnej bestyi, dlaczego ją to gniewa, czemu ją to złości, że ja liżę stopy mojej możnej braci, kiedy mi ona za to doskonale płaci.“ Góral po otrzymaniu stanowiska często zmienia swe chłopskie nazwisko na inne, lepiej odpowiadające jego towarzyskiemu stanowisku, a to albo przez dodanie ski albo przez końcówkę niemiecką. Chcą tym sposobem zatrzeć swe pochodzenie, ale to nie zawsze się udaje: chłopski akcent mowy, albo unizoność, pozostała z czasu dawniejszych zabiegów, zdradzają górala w wysokim dygnitarzu.

Na zakończenie tej góralijady musimy jeszcze wspomnieć o drogach, jakimi górale zawierają zwykle związki małżeńskie. W Krakowie rodziny rozmaitych

robotników, stróżów, lokajów i t. p., przyjmują na stancję studentów górali, nieraz po bajecznie niskich cenach: za 12 reńskich miesięcznie, można dostać stancję, stół i opranie; naturalnie stancję wspólną, a rojącą się często robactwem, porośłą grzybami od wilgoci i t. p., stół, składający się z promnickiego chleba, tak zwanej kawy, oraz kapusty i ziemniaków. Często zdarza się, iż biednemu góralowi nie wystarcza nawet na takie niezbędne życia i zadłuża się; jeżeli pani gospodyni ma córki (a zdarza się to najczęściej, gdyż właśnie ze względu na córki owe panie trzymają na stancyach górali), to pozwala się bez końca zadłużać takiemu lokatorowi, a nawet czasem wspiera go i pieniędzmi wedle możności; tym sposobem biedny student wchodzi w stosunki zależności i wdzięczności, podpisuje cyrograf na swe ciało i żeni się często jeszcze nawet przed otrzymaniem posady (o co nagłą troskliwej matki, wiedzą bowiem dobrze, iż sprytniejsi, po otrzymaniu posady robią coup d'état i żenią się z jaką starą panną, córką profesora lub podupadłego szlachcica, co im daje lepszą pozycję towarzyską, oraz protekcję; najrzutniejsi z nich rozstawiają swe imię jakim wierszykiem, komedyjką i t. p. i puszczają się jako „argonaucci“ w matrymonialnych celach za kordon, gdzie wywarli silny wpływ na korupcję. Ponieważ przygotowanie do zakonu małżeńskiego wskutek różnych przeszkód trwa nieraz długo, a wcześniej się zaczyna, czasem już od wyższych klas gimnazjum, więc góral, dostający posadę, ma nieraz już porządną porcyjkę „dziecek“, a zatem i na posadzie nie tęgo mu się dzieje (tacy pożenieni z prostymi kobietami, upośledzeni towarzysko i pozbawieni protekcji, otrzy-

mują zwykle najgorsze posady). Okoliczność ta, szczególnie dawniej, miała doniosłe moralne, a raczej demoralizujące znaczenie: pensye profesorskie były dawniej nadzwyczaj szczupłe (i obecnie rozmaici suplenci lub pomocnicy profesorów biorą po 25—50 reńskich miesięcznie), profesorowie rekrutowali się głównie z pomiędzy górali, to też włosy na głowie powstają, gdy ci, co za owych czasów uczęszczali do szkół, zaczną opowiadać o bezwstydnym przekupstwach profesorów, popełnianych z największym cynizmem, jako coś najzwyczajniejszego w świecie: kto zapłacił, przywiózł ze wsi różnych zapasów śpizarnianych, ten uzyskiwał dobre stopnie, pytania przed egzaminem i t. p.; przeciwnie, biedni, którzy nie mieli nic do ofiarowania, za którymi nikt wstawić się nie mógł, za którymi nie przemawiał ani tytuł, ani majątek — ci byli prześladowani. Stąd to od lat najmłodszych rozwijała się w młodzieży szkolnej straszna demoralizacya: wcześniej przekonywała się młodzież, iż praca, zasługa, sumiennosc — to mrzonki, poezye; że pieniądze, tytuł, urodzenie jest wszystkim. Skutki tego dają się czuć dotykalnie. Tak to skąpem uposażeniem posad, wyzyskiwaniem pracy, fanatycznym ogłupianiem, partya arystokratyczno-ultramontańska w Galicyi zdemoralizowała najzdrowszą część ludności i zamknęła ją w atmosferze zgnilizny i jezuityzmu; wychowała zamiast uczciwych demokratów — nikczemnych kramarzy, frymarozących swym obowiązkiem, swem przekonaniem, oraz — usłużnych lokajów, gotowych na wszystko dla przypodobania się panom. Cieszyć się więc, panowie! Trafnie też w pewnej części miał się wyrazić jeden z przywódców arystokracji gali-

cyjskiej, że obowiązuje się dać 100,000 guldenów, jeżeli mu pokażą jednego porządnego demokratę w Galicyi. Ale temu panu wartoby zauważyć, że nie więcej wart porządek tych, co się przyczynili do takiego zdemoralizowania narodu we własnym interesie, by zamiast rozumnej, godnej szacunku demokracji, której opozycja byłaby niedogodną, mieć ludzi podłych, którzy, uciskani, wyzyskiwani, przygnieceni nędzą, gotowi są się sprzedać, stać się powolnym narzędziem w rękach arystokracji i jezuitów.

II.

Wracając do podziału uniwersyteckiej młodzieży, od któregośmy nieco odbiegli, widzimy, że gdyby nas zapytano, którą z powyższych dwóch kategorii przekładamy, musielibyśmy posłużyć się znanem wyrażeniem Rzewuskiego: „oddałbym wszystkie siostry, aby tylko nie mieć żadnego brata“. Najżywotniejszy element stanowi w tutejszym uniwersytecie nieliczna garstka, nie należąca do żadnej z powyższych dwóch kategorii; są to tak zwane przybłędy albo cudzoziemcy, pochodzący z pewnych odległych, zamorskich niemal, krain: Mazowsza, Litwy i t. p. Trzeba prócz tego przyznać, że i wśród górali znajdują się niekiedy dzielne jednostki, ale te niedające się nagiąć i szczepić płonki, bywają zwykle wybrakowywane. O takich to wyraził się kiedyś *Czas* w swym fejetonie z wielkiem „niezadowoleniem“, że mimo braku środków, mimo trudności, gwałtem dobijają się o birety doktorskie, które powinni pozostawić innym (t. j. hrabiom i lokajom), a sami w poczuciu miłości

matki ojczyzny i swej zagrody, powrócić na niwę ojcowską i uprawiać rolę, jak ich przodkowie (czysto po egipsku!). *Czas* ubolewał również nad tem, że stypendya bywają rozdawane ubogim, zamiast tym, którzy, według uznania profesorów, uzdolnieniem na to zasługują. Naprzód jest to nieprawda: biednemu trudno dostać stypendyum, tembardziej, że do wielu zapisów przywiązany jest prawdziwie cywilizacyjny warunek — szlacheckie pochodzenie; to też stypendya otrzymują zwykle zamożni na przyjemności lub protegowani lokaje; powtóre: szanowny redaktorze *Czasu*, gdyby ci przez dni kilka nie dano nic jeść, prócz może suchego kawałka chleba, posadzono w mieszkaniu wilgotnem, gdzie zimą atrament marznie, obciążono cię mechaniczną pracą lekcyj, za któreby ci lichy płacono, a nawet urywano to, co z ugody przypada, to nie wiem czy równie gładko pisałbyś swe cyniczne wycieczki przeciw biednym „nizkiego“ pochodzenia, ale silnego hartu duszy, młodzieńcom. Trzeba naprzód pracującego postawić w odpowiednich do pracy warunkach, a potem dopiero wyrokować o rezultatach jego pracy.

Zadowolenie, jakie nam sprawiła możność znalezienia dodatnich wyjątków, nie mogło nam całkowicie wynagrodzić przykrego uczucia, jakie nam towarzyszyło przy kreśleniu ogólnego typu „górali“; pozostaje chyba ta jedyna pociecha, iż możemy z głębiem przekonaniem powiedzieć:

„ oni nie winni

 Inni szatani byli tam czynni“.

Skojarzenie wyobrażeń polega czasem na antytezach, otóż i nam *a propos* szatanów nasuwa się antyteza (?): duchowni, wielebni ojcowie, księża. Chcesz szanowny czytelniku zobaczyć prawdziwy i najdoskonalszy typ człowieka „ducha“, który pokonał ciało? Przyjeżdżaj do Krakowa. Tutaj to spotkasz w wielkiej liczbie istoty, różniące się od normalnych ludzi niepomiernym rozwojem tłuszczu: ich obrzękłe, trzęsące się jak galareta twarze, wyglądające jak bezkształtna, tępo ucięta masa, przypominają (że użyję parlamentarnego wyrazu) twarze hipopotamów; oczy zaledwie dostrzegalne wśród tłuszczu, bezmyślne, bez innego wyrazu prócz zwierzęcej chuci, brzuchy jak balony, czyniące osobnikowi oglądanie swych stóp niedościgłym ideałem — tacy ludzie w Krakowie zowią się duchownymi (duchowymi), podczas gdy pracownicy na polu nauki nowoczesnej, często wychudli i wybladli od głodu, pracy, myśli, zaniedbania wygod cielesnych, zowią się materialistami; to także charakterystyczny przyczynek do krakowskiego słownictwa. Dbając tak o własne ciało, propagują oni umartwienie ciała innych, szczególnie biedaków: na kazaniach dla biednego ludu piorunują oni przeciw ciału, przeciw nadmiarowi jedzenia (u biedaków!), nakazują ograniczenie się w jedzeniu i oddawanie zaoszczędzonych przez to pieniędzy na chwałę bożą (t. j. na tuczenie ciał księży), nawet w pismach dla ludu (biedny lud mający takich kierowników, owce mające za pasterzy wilków) radzą w chorobie posty, umartwienia i wezwanie księdza zamiast doktora, albowiem trzeba przedewszystkiem dbać o zdrowie duszy, a zdrowie ciała przyjdzie samo z siebie.

Darwiniści tutaj właśnie, szukaćby powinni owej zaginionej przejściowej formy między zwierzęciem i człowiekiem; kto wie jednak, czy po badaniach tego rodzaju, darwiniści nie byliby zmuszeni zmodyfikować nieco swej teorii: czy czasem nie okazałoby się, że ludzie nie od małp, lecz od karmnych bezrogich pochodzą. Jeden duchowny, zajmujący w Krakowie wybitne stanowisko, jako apostoł pokory, wydrukował paszkwil z najohydniejszymi oszczerstwami na jednego z najuczciwszych ludzi w Krakowie; nawet krakowski sąd uznał księdza za winnego, lecz naturalnie złagodził karę do drobnej kwoty pieniężnej, tymczasem powinien był karę obostrzyć. Kilka lat temu (w r. 1871), pewien szanowny duchowny został skazany za kradzież, połączoną z nagłą śmiercią okradzionego! A ileż to brudów innego rodzaju! Rzućmy zasłonę na uwodzenie dziewcząt niepełnoletnich, na kalanie związków małżeńskich i t. d. i t. d., chociaż mógłbym też przytoczyć wiele faktów, ale na odmalowanie takich rzeczy, trzebaby jadu zebranego z piany ofiar męczonych przez świętą inkwizycję.

Taki to piękny element rządu, a przynajmniej współrządzi, całą machiną społeczną, a nawet polityczną. Księża są po części prawą ręką, po części narzędziami arystokracji, a wywierają potężny wpływ na stan mieszczański; niejeden mieszczanin zawdzięcza im cały swój byt, bądź przez protekcję, bądź przez bezpośrednią pomoc pieniężną; ostatnia naturalnie wynika z interesu: najczęściej szanowny dostojnik kościoła, sprzykrzywszy sobie gospodynię i chcąc się z nią rozstać, wydaje ją za mąż za jakiego biednego mieszczanina i daje „młodej parze“ po bo-

żemu skojarzonej, pieniędzy na założenie sklepu lub innej spekulacji; łatwo zrozumieć, jak ogromny wpływ mają księża w takiej rodzinie, gdzie żona i matka jest ich ex-nałożnicą, a mąż i ojciec obdarzonym, pełnym wdzięczności, rogiaczem; tutaj podczas częstych odwiedzin, nierdzewiejąca stara „miłość“ odżywa chwilami, to znowu przechodzi naturalną drogą na dorastające córeczki: znany jest przecież wiersz o klesze, który „sam dla się pasie niewinne owieczki“. *A propos* owieczek, przypomina się nam głęboka prawda, wypowiedziana pewnego razu przez świątobliwy nasz *Czas*, wypowiedziana z uczuciem szlachetnego zadowolenia i dumy. „Z pewnością (woła szanowny dziennik w oburzeniu na zagraniczną wolnomyślność) żadna z naszych krakowskich dziewic nie wyjdzie na doktora medycyny lub prawa“; przypomina to słowa pewnej arystokratycznej damy z odwiecznej komedyi: „ja chwala Bogu, nie takem wychowana (to znaczy: nie według dzisiejszych bezbożnych zasad): list mogą otrzymać, ale czytać rozkazuję komu innemu“. Jakkolwiek powyższej zasłużonej pochwały nie możemy niestety uzurpować wyłącznie dla naszych dziewic krakowskich, bo tej samej musimy udzielić i niektórym innym np. hottentockim, to z drugiej strony nie możemy nie schylić czoła przed głęboką i niepożytą przez długie wieki prawdą słów *Czasu*. O z pewnością krakowskie dziewczęta zawsze więcej interesować się będą tem, który ksiądz, w którym kościele, którego dnia i o której godzinie mieć będzie kazanie, mszę, nieszpory i tym podobne rzeczy, a obok tego — palącym pytaniem, czy ten lub ów sztucer czyli kibic (elegant) jest prawdziwym

katolikiem, czy też tylko zręcznie pokrywa swe bezbożne kwalifikacye na tureckiego świętego. Takiemi to i tym podobnemi z d r o w e m i kwestyami zajmują się krakowskie dziewoje, nie zaś t c h n ą c e m i z g n i l i z n ą kwestyami wiedzy. W czasie odpustów lud zbiera się licznie do miasta, dniem i nocą zalega ulice, to modląc się, to załatwiając różne codzienne funkcye. Pomijając straty ekonomiczne, jakie kraj ponosi przez oderwanie od gospodarstwa takiego mnóstwa ludzi, pomijając, że rodzice, idąc na odpust, pozostawiają bez opieki w domu dzieci, które często, pozbawione dozoru, narażają się na choroby i śmierć, podniesiemy tu charakterystyczny krakowski fakt, będący wyptywem takiego zbiorowiska, a mianowicie: pijaństwo i prostytutcyę. W Krakowie istnieje niezliczona moc szynków, bo zarząd miasta, zabraniający zakładania księgarni (jeżeli takowe obok książek nie sprzedają wody z Lourdes), udziela licznych pozwoleń na zakładanie szynków, gdyż to przynosi miastu wielkie dochody. W czasie odpustu kościoły są zarówno przepętnione jak i szynki; w tych ostatnich mężczyźni i część kobiet przepędza nocę, druga zaś część kobiet przepędza nocę wygodniej. Odpusty bowiem są porą polowań myśliwców pewnego rodzaju, rekrutujących się, jak wszyscy myśliwcy, przeważnie ze złotej młodzieży; i jakże to złoci młodzieńcy nie mają być n a b o ż n i, gdy nabożeństwo daje im sposobność zadowolenia ich żądź kosztem córek ludu. Dla tego to i *Czas*, choć już podstarzały, zawsze jednak ożywiający się wspomnieniami, radośnie podnosi, że na taki to a taki odpust „nasz pobożny ludek zebrał się, jak zwykle, bardzo licznie, co jest dowodem, że

wiara i cnota nie wygasły w nim i że ta część naszego narodu nie daje ucha bezwyznaniowej zgniliznie zagranicy“. Nie też dziwnego, że przy takiej gospodarce, sfanatyzowany i ogłupiały lud rzuca się np. na aeronautę, (który się spuścił balonem na jedną ze wsi pod Krakowem), bije go i niszczy sztukę szatańską! I czyż to nie »*Halb-Asien*?« A jednak pewien hrabia miał czelność utrzymywania w sejmie, że Galicya za wiele wydaje na cele oświaty ludu, że oświata jest przyczyną demoralizacyi i emigracyi! (hr. Rey, na sejmie 1880 r.). Podobnież *Czas* twierdzi, że dzieci ludu nie należy puszczać dalej jak do czwartej klasy! — tylko patrzeć, a będzie głosował za wprowadzeniem znanego dawniej amerykańskiego prawa, które surowo karało każdego, kto ośmielił się nauczyć niewolnika czytać!

Teraz nieco o stosunkach ekonomicznych.

Wszyscy narzekają tu na biedę, ale jakże starają się zapobiedz tej biedzie: oto zbierają składki na pomnik dla papieża umarłego, na kosztowny krzyż dla papieża żyjącego, odbywają religijne pielgrzymki do stóp papieża, pod wodzą — myślicie zapewne organistów — nie, gdzież tam: pod wodzą profesorów uniwersytetu i członków akademii. Budują kościoły, klasztory, restaurują ołtarze, tworzą zyskowne synekury dla hrabiów-hulaków, którzy na kochanki lub karty potracili fortuny; za to źle płatny jeden niższy urzędnik musi robić za trzech, za to miejsca w gimnazyach zapechane niepłatnymi lub płatnymi po 25 guldenów miesięcznie pomocnikami, praktykantami, suplentami. Tego wszystkiego wymaga nasze głębokie uczucie religijne, nasz patryotyzm, nasze wierne trzy-

manie się tradycyi, które czyni z nas naród rzeczywiście „wybrany“, prawdziwą relikwię z czasów średniowiecznych. Toż samo uczucie relinijne zabrania wydawania pieniędzy np. na regulacyę rzek, które co-roczenie wylewami niszczą plony rolnika, zabierają mienie biednych wieśniaków, doprowadzają ich do nędzy i zmuszają do emigracyi (co *Czas* tłómaczy „zmniejszeniem się wiary i przywiązania do rodzinnego kościółka“); na sprawę tę zapatrują się tak tutaj widać, jak niegdyś w świątobliwej Hiszpanii: „gdyby Wszechmocnemu podobało się uczynić te rzeki regularnemi, to uczyniłby to bez przyłożenia się naszych marnych rąk, a jeżeli tego nie uczynił, to snąc nie leżało to w jego wyrokach i w takim razie wziąć się do regulacyi rzek, byłoby to powstawać przeciw Jego niezbadanym wyrokom“. Wogóle na wszystkie sprawy niebieskie (czytaj kościelne) znajdują się pieniądze, na sprawy, dążące do rozwoju, oświaty i dobrobytu zawsze tam ich brak. Nie dziw też, iż wobec takiej gospodarki *Czas* zapisy szlachtetnych filantropów nazywa „dziwactwami“, a ich samych „poronionymi St. Simonami“; podczas gdy zapisodawców na klasztory, Zmartwychwstańców i t. p., nazywa panami, wiernymi tradycyom szlachtetnego rodu, pełnymi wspaniałomyślności“.

Tak więc nazywa się w Krakowie grabieżca swego społeczeństwa, sprawca ekonomicznego upadku kraju. To także przyczynek do krakowskiego słownictwa.

Nie można też nie wspomnieć tutaj o niecnem wyzyskiwaniu pracy i o traktowaniu, jakiego doznają tu ludzie pracy. Ludzie pracy są tu uważani za pa-

ryasów, za żebraków; nastęczenie pracy — za jałmużnę, a stosunek zapłaty do pracy wygląda jak grabież; zresztą nawet minimalna zapłata bywa jeszcze wypłacana ratami, urywana, wyłgiwana i t. p. W kierunku tym pracodawcy dochodzą do niepojętej bezczelności. Pewnego razu np. przełożony klasztoru zażądał od pewnego technika zdjęcia i wyrysowania planu pól klasztornych; technik, wygłodzony i słaby, chwycił się skwapliwie roboty i kontent, że ją dostał, nie śmiał nawet umawiać się o cenę, nie chcąc zrażać swego chlebobdawcy: zebrał ostatki sił, chodził, mierzył, przybrał drugiego biednego kolegę do rysowania, aby pracę prędzej ukończyć i prędzej otrzymać choć trochę grosza na poratowanie swego rozpaczliwego położenia. Gdy jednak po ukończeniu i oddaniu roboty wspomniął o pieniądzach, wtedy dobrze odżywiony duchowny spojrział ze zdziwieniem na spracowanego, wybladłego technika i rzekł: ależ ja sądziłem, że to będzie tak po dobrej znajomości, na chwałę Bożą! Po długich dopiero prośbach, przedstawieniu smutnego położenia i t. p. miłosierny kapłan dał technikowi nieco pieniędzy, jako jałmużnę, wspominając coś o materializmie (!) dzisiejszego wieku. Wyzysk pracy biednych dla interesów kasty zaczyna się nieraz od najmłodszych lat: biedne uczennice na pensjach muszą wykonywać różne mozolne roboty i te później figurują na dorocznych wystawach, jako roboty wykonane przez kilka uczennic bogatych, córki różnych dygnitarzy i t. p. Biedne uczennice prześladowane, gnębione niesprawiedliwością (o jednej z najniesprawiedliwszych nauczycielek, niedawno zmarłej zakonnicy, pisma pedagogiczne i niepedago-

giczne rozpisywały się jako o ideale cnót pedagogicznych!), rzucają się na nauczycielstwo prywatne na wieś, do szlachty galicyjskiej i tu wpadają z deszczu pod rynnę. Los guwernantek we wschodniej Galicyi zyskał europejską sławę, my do tego zasłużonego wieńca dodalibyśmy jeden fakt autentyczny. Pewna panienka z krakowskiego seminaryum zmuszona była wskutek niedostatku wyjechać na nauczycielkę do wschodniej Galicyi; zarządzająca biurem stręczeń przedstawiała dom obywatelski jako ideał cnót domowych i rodzicielskiej opieki. Nieszczęściem panienki była jej uroda, na którą raczył swą łaskawą uwagę zwrócić pan domu; rezultatem tego były rozmaite zaczepki, przejmowanie listów, jakie panienka owa odbierała od narzeczonego, żarty z jej zaręczynowego pierścionka, wzbudzanie niewiary w szczerłość zamiarów narzeczonego, wystawianie nędzy, jaka ją czeka, gdy wyjdzie za mąż i t. d. Gdy nasz przedstawiciel tradycyi i rycerz bez skazy sądził, że ataki tego rodzaju wstrząsnęły dostatecznie fortecą, przypuścił szturm, czyniący zaszczyt jego szlacheckiej brawurze: w nocy zjawia się w negliżu w pokoju nauczycielki, lecz ta oburzona i przełęczniona narobiła hałasu, który zbudził żonę naszego rycerza i tym sposobem spotkało go fiasko — tak postępują z nauczycielkami ojcowie dzieci, posłowie do rady państwa! I taka wstrętna jaskinia zowie się w Galicyi arką cnót domowych i obywatelskich.

Taki to bujny i barwny bukiet uszczknąć można na galicyjskiej żyznej niwie, lecz najoryginalniejszym, najbarwniejszym z jego kwiatów jest to, wyżej wspomniana, demoralizacya ludu, jest niszczenie lub kupo-

wanie najlepszych jego jednostek. Żadne klęski, spadające z zewnątrz, nie są w stanie tak głęboko zasnąć naszej duszy, jak widok dzieci ludu, walozących za pieniądze w obronie swych wiekowych kajdan. Dodać bezstronnie należy, iż wśród tych walozących znajdują się czasami, lubo niestychanie rzadko, jednostki szlachetne, obalamucone, idące z przekonania; są to nowi Wandejczycy; przypominają oni owego psa, co tak przywykł do obroży, iż kaleczy zrywając ją rękę. Są nakoniec jeszcze inni, którzy znają dobrze ciężar tej obroży, ale uważają ją jako obronę przeciw zewnętrznemu złu; zapominają oni jednak, iż istnieją specyfiki, odwlekające śmierć z danej choroby, ale zarazem podkopujące zkadinał organizm tak, iż ten nawet w razie zniknięcia danej choroby ginie na zepsucie soków żywotnych. Czyż nie lepiej w takim razie odrzucić sztuczne specyfiki i leczyć nieszkodliwymi higienicznymi środkami; jeżeli organizm ma dość sił żywotnych, przetrwa chorobę, a wtedy rekonwalescent wyjdzie zupełnie zdrowy, zupełnie przygotowany do nowych warunków swobodnego bytu.

ECHA.

(Badanie kraju metodą swojską. — Swojski pogromca Darwina. — Warszawski Skotinin. — Sympatye hiszpańskie. — Wietrzenie niereligijności. — Emetyk literacki. — Naganka moralistów na Zolę. — Zbyteczne zdziwienie. — Chaos chaotyczny i chaos niechaotyczny).

Badanie kraju metodą swojską. „Kartki z podróży od Słuczy do Bohu“ p. Chłopiczkiego („Tyg. Ilustr.“) są nielada przyczynkiem do poznania naszego kraju. Jakichże bo ciekawych a doniosłych rzeczy dowiadujemy się od tego podróżnika. P. Chł. opowiada nam, że spotkał w swej podróży księdza Maryusza, „pełnego młodzieńczego ognia i wiele obiecującej słodyczy“; toby zresztą jeszcze nie było nic tak nadzwyczajnego: że nasi księża odznaczają się „ogniem“ (mamy tu naturalnie na myśli ogień miłości — Chrystusowej), to rzecz znana i uznana; pod tym względem będą oni dla, dbających jedynie o ciała, materialistów niedościgłym ideałem. Bardziej już trzeba podziwiać szczęście autora, że na każdym kroku spotyka kapłanów „wysoce świątłych“, którzy opowiadają uczenie o swych „dalekich badawczych podróżach“. A opanowywa nas już prawdziwe zdumienie gdy nam p. Chł. mówi o „lekturze i uczonych pogadankach“ z „wysoce humanitarno-społecznym baronem“. Wynalazczość pana Chł. przedstawia się jednak mniej niepojętą, gdy się dalej dowiadujemy, że autor z ks. Maryuszem w klasztorze zasiadał „z modlitwą“ do „skromnego posiłku anachoretów“, zapewne zlewanego starym miodkiem lub węgrzynem, zaś przez pana barona zaproszony był następnie na cało-

dzienny w i c h t podczas całego swego pobytu w Winnicy, a nawet pan baron „humanitarność“ swą posunął tak daleko, że pozwolił łaskawie autorowi jeździć powozem (czy na koźle?) ze „ślicznymi panienkami“ (czyż baronówny mogą nie być „śliczne“?) pod samą kłamkę „wspaniałej rezydencji hr. Grocholskich“. Podziwialiśmy prócz tego tę równowagę duchową autora, jaką potrafi on zachować we wszelkich „próbach przebytych“; i tak np. przyjeżdża do miasteczka „ożywionego resztkami odbytego z rana odpustu“ i widok tych skromnych tylko „resztek“ rozwiął mu już chmurkę złęgo humoru i pogodził z losem. Cóż za nieodżałowana szkoda, że p. Chł. nie trafił na najważniejszą chwilę odpustu! w jakiejże wtedy byłby równowadze duchowej, kiedy widok „resztek“ tak go anielsko usposobił!

Nic dziwnego, że autor, podróżując tak psim swędem pośród dostojników kościoła, baronów i hrabiów, doznawał wszędzie halucynacyi cudów: widział „obrazy cudami słynące“.

Że to przyniosło p. Chł. nie lada „pożytek“ ani wątpimy, ale co za pożytek może mieć czytelnik, dowiadujący się o tego rodzaju pieczeniarskich sukcesach?

Tak wyglądają badania naszego kraju metodami swojskimi, metodami, które, według naszych patryotów, mają przynieść zbawienie krajowi.

Swojski pogromca Darwina. „Wiek“ w korespondencyi z Krakowa donosi o epokowym odczycie wielkiego filozofa krakowskiego, księdza Mo-

rawskiego: o „celowości w naturze“. Prelegent ku uciesze dewotek zbijał „świetnie“ teorię Darwina, wykazując celową mądrość za pomocą takich spiżowych dowodów, jak np., że dała ona w swej łaskawości „ptakom skrzydła do latania, a rybom pletwy do pływania“ — nie zaś odwrotnie! Zwracamy uwagę ks. Morawskiego, iż mógłby przytoczyć więcej równie przekonujących i wymownych dowodów, np. że ludzie przyjmują i wydzielają pokarmy w takim jak wiemy, a nie odwrotnym kierunku, a byłoby to co najmniej subiekcyjne; że chodzą nogami po ziemi, a głowę trzymają w górze, nie zaś podskakują na głowie, fikając nogami w powietrzu, co nawet dla najtwardszej głowy byłoby niedogodne. Żałujemy też, że ks. Morawski nie powtórzył dowodu, przytaczanego już przez jednego z jego równie filozoficznych poprzedników, iż celowa mądrość wyraża się między innymi i tem, że kazała ona rzekom płynąć pod miastami, aby mieszkańcom ich nie brakło wody! No dalej — że pchły stworzone są celowo dla prześladowania grzeszników, a jeszcze więcej grzeszniczek; że owcom dano dobrą wełnę, aby ją mogli strzydz pasterze, co dobrze wiadomo! I takie to absurda głoszą z publicznej katedry w polskich Atenach! Doprawdy, w Japonii podobny prelegent okryłby się śmiesznością, u nas jest oklaskiwany, a poważny! (?) dziennik nie wstydzi się twierdzić, że ks. Morawski zbijał „świetnie“ naukę Darwina, tej chluby dziewiętnastego stulecia!

Warszawski Skotinin. Pan Jeleński, niby Achill „wrzący, zawzięty“, nie przestaje swych mor-

derczych, jak mniema, razów wymierzanych nauce w obronie ukochanej przez niego głupoty. Przybiera on też w tym celu do pomocy różnych knechtów, bądź rzeczywistych, bądź fikcyjnych, bądź świeckich, bądź duchownych. MoŜnaby zapytać, skąd taka nienawiść pana Jeleńskiego do nauki, skąd taka pogarda dla Darwinów, Spencerów, Millów, Bucklów i wszelkich największych duchów naszego stulecia, których traktuje takim tonem, jak ekonom lub karbowy, czując za plecami pana, traktuje parobków. W pierwszej chwili nasuwa się prosta odpowiedź: pomieszanie zmysłów! — ale w danym razie jest to wykluczone: natury takie nie dostają zwykle pomieszania zmysłów; na to trzeba mieć duszę bardziej subtelną, bardziej ludzką, która często łamie się w zapasach z brutalnością świata. Co do pana Jeleńskiego, trzeba więc szukać innych przyczyn, mianowicie w jego geszefciarskim sprycie i w duchowej małości. Najprzód bowiem jasnym jest dla p. Jeleńskiego, że kto przestaje z tak wielkimi duchami, jak powyższe, ten nie będzie przestawał z p. Jeleńskim, nie będzie miał umysłu tak ograniczonego, aby znajdować przyjemność w czytaniu takiej kołowacizny literackiej jaką jest „Rola“. Cóżby więc stało się z prenumeratą tego pisma i dochodami p. Jeleńskiego, gdyby społeczeństwo przestało być ciemnym? Tak jest, p. Jeleński rozumie doskonale, że powszechna głupota — to warunek jego dobrobytu. Powtóre p. Jeleński z zawiścią patrzy na ludzi, których umysł jest zdolny do przedstawiania z wielkimi duchami, do kształcenia się naukowego, albowiem on, p. Jeleński nie zdołał wznieść się do tej umysłowej wyżyny; nienawiść p. Jeleńskiego

do nauki jest to nienawiść lisa do winogron, wiszących zbyt wysoko; jest to psychologia owego Skotina, z komedyi rosyjskiej, który wogóle nienawidzi ludzi, lubi dokoła siebie tylko świnię, albowiem, mówi on szczerze, „ludzie patrzą na mnie z wysoka, a między świniąmi jam najmądrzejszy“. Tylko że p. Jeleński nie jest tak szczerym i wmawia we wszystkich, że powszechna głupota jest zbawieniem społeczeństwa, podczas, gdy ona jest tylko zbawieniem „Roli“ i jej redaktora, a to przecież gruba różnica.

Sympatyje hiszpańskie. Do grona pism, sympatyzujących u nas z hiszpanami, należy naturalnie prawowierna i czuła „Biesiada“. W numerze więc 25 powtarza ona zawołanie Loti'ego nad dawną i nową Hiszpanią („Król dziecko i stare zbroje“): rozczulają go dawne zbroje i tarcze, służące niegdyś do zabawy dzieci królewskich; rozczulają go dzisiejsi huzarzy czerwoni i niebiescy, którzy na służbie pałacowej czynią „prawie religijne wrażenie“. Loti wzdycha za Hiszpanią Filipa II, gdy „wojna była rzeczą szlachectwa i elegancyi“. „Gdyby — mówi — i dziś męstwo stanowiło o losie bitew, Hiszpania niewieleby sobie robiła z narodu przemysłowców, który ją napadł“ (nb. w chwili, gdy złopala krew swej zdobyczy). „Ale cóż, — mówi dalej smutnie — amerykanie mają więcej pieniędzy, maszyn, materiałów wybuchowych“ (ba! bo nie kradną tak, jak urzędnicy hiszpańscy). To rozczulenie Loti'ego tłómaczy się wielką uprzejmością, z jaką przyjmowała go w swym pałacu „Jej Królewska Mość Regentka“. Loti zachwyca się jej

„odwagą“, albowiem (argument!) „ufa ona bohaterstwu swych żołnierzy, którzy odważnie dali się zabijać“. — „Walczy ona mężnie — mówi dalej — o zabezpieczenie swemu synowi tronu, a Hiszpanii — rządu monarchicznego i katolickiego“. — Poczciwy Loti zapomniał dodać, że chodzi tu o utrzymanie rządu, który napycha kieszenie wieszającym Weylerom, torturuje niewinnych więźniów, rozstrzeliwa poetów. — Utrzymanie takiego rządu, oto idea godna poparcia! No i z naszej strony pięknie to świadczy, że i my ideę tę popieramy i z nią sympatyzujemy. — Co jednak godne uwagi, to to, że rosyjska rówieśniczka „Biesiady“ ilustracya „Niwa“ dowodzi zupełnie przeciwnie: że Hiszpania słusznie płaci obecnie za swe bezprawia, za to że nie szła z duchem czasu, z duchem ludzkości, że krępowała swe kolonie formalnościami celnymi i paszportowymi, że uciskała mieszkańców, a niezadowolonych wysyłała na galery. Pewno prawowierna „Biesiada“ wstydzi się swej wolnomyślnej rówieśniczki. — Nieprawdaż?

Wietrzenie niereligijności. W nr. 32 „Roli“ w artykule p. t. „Z prasy“ jakiś „moralny“ pacholek p. Jeleńskiego zwietrzył niereligijność, nie zgadniecie u kogo — u Rodziewiczówny! W powieści tej autorki p. t. „Kądział“ bohaterka wygłasza takie bardzo proste zdanie: „Fijalski (lekarz) jest jak każdy. Żyje ze swego fachu, jak każdy ksiądz żyje z religii. Bierze jeden pieniądze za lekarstwa, drugi za modlitwy“. Na to „Rola“ z właściwą jej pewnością siebie, odpiera: „Czy szanowni państwo uważają, jakie to

jest mądre i jakie — głębokie? A my byśmy zapytali szanowną autorkę, w jakich też to księgach mądrości wyczytała ów aksyomat, że „ksiądz żyje z religii i za pieniądze się modli“. — Na to zapytanie „Roli“ łatwa odpowiedź: Najprzód księgi, które o takich rzeczach piszą, były od wieków prześladowane, tępione, palone — nawet obecnie sam p. Jeleński, posługując się szlachetną denuncyacją, gardłuje za użyciem gwałtu, aby je usunąć z czytelni bezpłatnych. Powtóre, mimo tych wszystkich prześladowań, wiele z tych książek ocalało i stanowią słupy wytyczne na drodze rozwoju myśli ludzkiej. Po trzecie, gdyby nawet p. Jeleński, dzięki jakiemuś cudowi, wymodlonemu przez jego prenumeratorów, stał się tak potężnym, że mógłby po świecie rozesać swych pachotków, którzyby, rozlaższy się jak robactwo, zniszczyli wszystkie książki, to jeszcze pozostałaby jedna — — księga życia; a w tej każdy czytać może, chociażby nawet wrogowie światła postarali się o to, by większa część ludzi była analfabetami (błogosławione niech będą bogobojna Hiszpania i bogobojna Galicya nasza!) Dla zamknięcia ludziom księgi życia nie wystarczą panie Jeleński żadne denuncyacje czytelni, na to trzebaby ludziom w dzieciństwie już bandażować czaszki, by nie dozwolić na prawidłowy wzrost mózgu i wytworzyć pokolenie już nietylko wychowanych (na „Roli“), lecz fizyologicznych idyotów. Trudne więc, acz zaszczytne zadanie, ma przed sobą p. Jeleński; a jednak tylko tą drogą mógłby on wmówić w ludzi, że ksiądz nie bierze pieniędzy ani za msze, ani za chrzty, ani za pogrzeby; że żyje manną zsyłaną

z nieba i że on, p. Jeleński przyjmuje takową (nie pieniądze) workami jako prenumeratę.

Emetyk literacki. W niedzielnym 325 numerze „Kuryera Warszawskiego“ „zaszczytnie znany powieściopisarz i poeta“ p. Maryan Gawalewicz, opowiadając w „Listach z Krakowskiego przedmieścia“ o swych „latach chłopięcych“ do możliwego użytku dla pana Hoesika, podnosi zasługę tego ostatniego, jako „nurka wylawiającego perły i korale“, to znaczy — feljetony pana Sienkiewicza ze „Słowa“ i t. d. Pan Gawalewicz wpada z tego powodu w rozmarzenie i przypomina sobie rozkosznie te słodkie chwile, gdy „w zacisznym saloniku“ słuchał opowiadań samego Sienkiewicza, swego „przyjaciela“. Wspomnienie to staje mu tak żywo, że zmienia się w halucynację; pan Gawalewicz doznaje wizyi, spostrzega przed sobą żywego, pełnego animuszu, Sienkiewicza i szepcze, jakby odaliska w upojeniu: „No jeszcze, jeszcze, panie Henryku“.

O dosyć, dosyć, panie Maryanie; dosyć tego wsadzania — ludziom palca w gębę, bo nawet czytelnicy „Kuryera“, przyzwyczajeni do ochłapów, dostaną wreszcie ...nudności!

Naganka moralistów na Zolę. Starając się gwałtem nasunąć czytelnikowi myśl, że Zola był przekupiony, lub działał w celach geszefciarskiej reklamy, ks. Dębicki w „Przeglądzie Katolickim“ nazywa go „pornografem, ponurym mizantropem, pluwawym literatem, epikurejczykiem“, a z tych nazw wypada już księdzu Dębickiemu niemożliwość motywu

idealnego u „takiego“ Zoli. Jest to znany kruczek logiczny: „daj komuś złą nazwę a potem go powieś“. A jak gruntowne podstawy ma ks. Dębicki do nadawania takich nazw Zoli!.. „Ponury mizantrop“ — bo jednemu ze swych bohaterów, księdzu Fromont, każe poświęcać się całe życie dla miłości bliźnich, dla niesienia ulgi cierpiącym. „Plugawy literat“ — bo wykrywa plugastwa, w celu ich usunięcia. „Epikurejczyk“ — bo radzi młodzieży zająć się jakąś pracą olbrzymią, któraby wypełniła życie całe, a co radzi, sam wykonywa, A to nikczemnik, geszefciarz! — nieprawda, księżę Dębicki? Ale do najwyższego chyba stopnia bezczelności, doszedł jakiś literat (Z—A.) z „Biesiady“ (nr. 18 r. 1898), opowiada on bowiem czytelnikom z dobrą miną, że Zola występuje w obronie zdrady i szpiegostwa, gdyż według niego, nie są to wcale wielkie przestępstwa. Otóż niepodobna, aby temu literatowi z „Biesiady“ (jeżeli nie jest kretynem) nie było wiadomo, że występować w obronie człowieka dla tego, iż ma się przekonanie, iż on nie jest zdrajcą i szpiegiem, a występować w obronie zdrady i szpiegostwa, to kolosalna różnica; jeżeli zaś ktoś rozumie tę różnicę, a stara się ją zatrzeć dla zamydlenia oczu czytelnikom, to popełnia przestępstwo nie lepsze ani trochę od zdrady i szpiegostwa. Inny znowu „literat“ z „Gazety Warszawskiej“, pisząc o medalu dla Zoli, jaki koło wybitniejszych uczonych, artystów i polityków zamierza mu ofiarować za obronę prawdy — powiada — że nikt nie może wątpić o pokryciu subskrypcyi, w tym celu zarządzonej, gdyż „fałsz zbyt dobrze dzisiaj we Francyi popłaca“...

I tacy to panowie występują w obronie, zagrożonej jakoby, moralności!

Zbyteczne zdziwienie. W jednym z numerów „Biesiady“ kronikarz przytacza fakt, że pewien młodzieniec bogatego rodu zamyslił odbyć poślubną (czy przedślubną) podróż do Częstochowy wraz ze swą dulcyneą. Zapał, a zarazem kieszeń owego obywatela były tak potężne, iż chciał on nająć w tym pobożnym celu „ekstracug“. Kronikarz „Biesiady“ wyraża zdziwienie, jakim sposobem w jednej głowie (nb. do pozłoty) mogą pomieścić się dwie różne rzeczy: tak zacna, poczciwa i religijna myśl, jak podróż do Częstochowy, z tak niegodną rozrzutnością w dzisiejszych ciężkich czasach, jak najmowanie „ekstracugu“. Zdziwienie „Biesiady“ jest zbyteczne, gdyż oba powyższe objawy wielkopańskiej fantazyi t. j. podróże poślubne do miejsc świętych i rozrzucanie pieniędzy (obok skąpstwa na cele ogólnego dobra) są ze sobą w najściślejszym związku, są typem dla ludzi „towarzystwa“, a raczej pierwszym stadyum do zupełnie skończonego typu. Oto np. krótka historia rozwoju takiego typu z Krakowa, którego przedstawiciela znałimy osobiście. „Przedstawiciel“ ten wziął ślub w Rzymie, zwiedzał następnie wraz z żoną miejsca cudami słynące tak w kraju jak i za granicą, przywiózł ze sobą znaczne zapasy wody z Lourdes na wszelkie dolegliwości małżeńskie, jakie mogłyby się okazać wskutek rzewnych wspomnień przeszłości. A jednak, pomimo to wszystko, a właściwie dla tego, po roku pożycia „typ“ opuścił żonę i włóczy się gdzieś po

Wiedniach, Paryżach itd., jak za dobrych kawalerskich czasów, z kokotkami (*on revient toujours* itd), začna zaś matrona pozostała wierną — zasadam, nabytym w Rzymie: romansuje z księżmi i pod niebytność małżonka obdarzyła go potomkiem, który wiernie znów przechowywać będzie tradycye przodków. Takie wypadki można liczyć na tysiące, są one normą dla „wyższych“ sfer. Nic w tem niema dziwnego: wszystkie te i tym podobne „pocziwe“ myśli i czyny wiążą się ze sobą zupełnie logicznie. Młodzieniec wysokiego rodu, jeśli i miał bowiem jakie szlachetniejsze uczucia, wytarł je zawczasu w garderobach teatralnych, za kulisami, w domach publicznych (naturalnie „porządnych“, pierwszorzędných), czemże więc jest dla niego małżeństwo? — z jednej strony rachubą na posag, z drugiej przynętą nowości, tem czem są np. różne ulepszone metody zaspakajania popędu płciowego, wymyślone w paryskich lupanarach ku zadowoleniu tych, którzy wskutek wyniszczenia potrzebują coraz nowych podniet. Lew wielkopański, który wy-czerpał się już w miłościach płatnych lub zakazanych, myśli z pewnem zaciekawieniem, czyby nie lepiej smakowała miłość bezpłatna, legalna?... No i żeni się, a czując brak silniejszych węzłów rzeczywistých, stara się zastąpić tę pustkę uczucia uroczystymi formalnościami, jak ślub w Rzymie, Częstochowie lub Krakowie, zwiedzanie miejsc świętych itp. Wkrótce jednak następuje rozczarowanie: nowość przestaje być nowością, a że tylko ta nowość była pewnym węzłem, więc małżonkowie, nie mając już nic ze sobą wspólnego, rozchodzą się. I czemu tu dziwi się kronikarz „Biesiady“, gdy to wszystko tak proste.

— Chaos chaotyczny i chaos niechaotyczny. P. W. Skiba w kronice powszechnej „Kuryera Warszawskiego“, stara się objaśnić „dwóch (?) niepospolitych“ antagonistów: p. W. M. Dębickiego i p. Wł. Gosiewskiego. Przeciwnicy ci wymienili mianowicie następujące zdania: „Nie jestem w stanie roztrząsać takich poglądów, jak n. p. że ślepy traf, działający w chaosie, może wywołać trwałą harmonię i prawidłowość, bo mnie zdumiewa i oniemia ich olbrzymia oryginalność“ — to uwaga p. Dębickiego nad twierdzeniem p. Gosiewskiego. Na to p. Gosiewski odpowiada: „okazywać zdumienie na takie zdania, jak to, że w chaosie może powstać porządek przez działanie nieustanne losu, jest to nie znać ani zasad prawdopodobieństwa, ani też filozofii eleackiej, a osobliwie szczątków poematu Parmenidesa o prawdzie“. Dla objaśnienia tych dwóch przeciwników, a raczej dla obrony p. Dębickiego, p. Skiba wpadł na pomysł rozróżnienia dwójakiego chaosu: idealnego, czyli absolutnego, to jest takiego, który nie zawiera w sobie danych do wytworzenia harmonii, czyli porządku, i — chaosu niechaotycznego, który takie dane zawiera; przytem p. Skiba podkreśla w wyrażeniu p. Dębickiego słowo „trwałą“ (harmonię), którego jakoby nie zauważył p. Gosiewski i twierdzi, że nawet z chaosu drugiego rodzaju nie może powstać ślepym trafem harmonia trwała, a więc trwałość naszej światowej harmonii, jest, sądzi p. Skiba, dowodem, że nie wytworzył jej ślepy traf.

Rozróżnienie takie dwójakiego chaosu polega na błędnem pojmowaniu harmonii, czyli porządku (wszechświata) jako czegoś danego z góry a priori, podobnie

jak dany był wiersz Mickiewicza: „Kochanko moja, na co nam rozmowa“ (wzięty za przykład przez pana Skibę), który przez tworzenie różnych kombinacji z chaosu liter daje się nakoniec ślepym trafem otrzymać — lub jak dane są prawidła gry preferansowej, która dla tego właśnie, że jest dana z góry, nie uda się, gdy do kart domieszymy młódki. Porządek zaś obecny świata nie był dany z góry, lecz powstał a posteriori: jakabykolwiek kombinacja powstała z jakiegokolwiek chaosu, to zawsze wyda się ona harmonią, porządkiem dla świadomości powstałej na podstawie, na prawach takiej kombinacji; świat zewnętrzny musi być, że się tak wyrazimy, współpostaciowy z naszą myślą i ta to współpostaciowość, ta zgodność zjawisk świata z naszym myśleniem, jest właśnie tą naszą harmonią; dla istoty innej organizacyi wzrosłej na zasadzie innej kombinacyi elementów chaosu, nasza harmonia wyda się chaosem. A zatem niema potrzeby żadnego różnicowania chaotycznego i niechaotycznego chaosu: każda kombinacja, z każdego chaosu, może stać się porządkiem. Powtóre co do trwałości tej naszej światowej harmonii, to jest to kwestya co najmniej wątpliwa: według zdania astronomów nasz system planetarny z czasem zamieni się w ruinę i przejdzie znów w chaos laplasowego obłoczku.

Ucieczka na „łono natury“.

(Wrażenia i refleksye).

»Id jus jurandum vobis datum ita conservavi, ut nemini dubium esse debeat, quod in reliquo tempore eadem mente sim futurus.«

»Wesoło żeglujmy, wesoło!...«

Rekomendacya.



a wycieczkę, którą tu opisać zamierzam, nie wybrałem się bynajmniej dla naukowych badań, przeciwnie: chciałem choć na dni kilkanaście zerwać wszelkie nici, wiążące mnie z nauką, myśleniem, otoczeniem, wogóle z dotychczasowem życiem — wybrałem się w podróż dla odpoczynku. Dla kogo życie jest ciągłym odpoczynkiem, dla tego podróże są czasami szkołą łamania się z przeciwnościami, stawiania czoła niebezpieczeństwom, hartowania woli; dla kogo zaś życie samo jest właśnie tego rodzaju szkołą, dla tego podróz, choćby związana z wielkimi niewygodami, jest odpoczynkiem. Dwie dusze w tych samych warunkach mogą doznawać uczuć różnych, podobnie jak dwie ręce — w medium tej samej temperatury, gdy przedtem przywykły do temperatur różnych.

Z powyższego wynika, że poniższy szkic jest pośrednio produktem znużenia: może wyznanie to nie będzie zbytnią zachętą dla czytelnika, niemniej jednak muszę być szczerem.

Nie mam więc bynajmniej zamiaru w tych „wra-

zeniach i refleksjach“ przedstawiać badań naukowych, a to tembardziej, że, jak głosi ks. Dębicki, „nauka zbankrutowała“; i ma w tem zupełną rację; naturalnie: analfabeci, idyoci, karyerowicze, hipokryci i rozmaite twory, dla których ciemność jest warunkiem żerowania, nie chcą nabywać weksli podpisanych przez naukę. Co najwyżej tolerowaną być może tylko „nasza“ nauka, której głównem zadaniem jest „oczyszczanie od plew“, to znaczy od idei, od tego, co właśnie stanowi istotę nauki, co może wprowadzić do mózgow jakis promyk światła. U nas w nauce chodzi przedewszystkiem o „ziarna“, t. j. np. o odkrycie, że ogon jednego zwierzęcia jest o 15mm. dłuższy od drugiego i t. p. Słusznie też, że u nas w celu „badań“ podróźniczych wysyłani bywają zwykle reporterzy, powieściopisarze i księža zwłaszcza zamilowani w rzeczach przyrodzenia¹⁾; no bywają wprawdzie wysyłani i „uczeni“, ale tylko „sympatyczni“. Ja zaś jaknajmniej na to sobie zasłużyłem; wiem, że popełniłem zbyt wiele ciężkich grzechów: wszakże dowiedziono mi, że w mych geograficznych elukubracjach „rozumowaniem mroził każdą szlachetną duszę młodzieńczą“, że wypowiadałem „dziwaczne poglądy nienależące do geografii“, że „upstrzyłem“ geografję rzeczami nie wspólnego z nauką nie mającemi. No i co najgorzej — nie mogłem zrozumieć znakomitego spolszczenia Geologii Dany przez prof. d-ra Siemiradzkiego, w której wprawdzie sąsiednie stronnice biorą się za czuby, ale którą tak znakomity mineralog jak

¹⁾ Mam tu na myśli „badania“ ks. Chełmickiego z Glinką w Brazylii.

p. Morozewicz, twórca sztucznych minerałów, zalecał po znajomości w „Przewodniku” samoukom: chciał zapewne z ich świeżych mózgów otrzymać w tyglu „sztuczne” — flaki garnuszkowe.

Muszę jednak zauważyć, że za grzechy powyższe już odpokutowałem po części, dostałem bowiem porządny *Seitenhieb*, czyli tak zwane przez fehmistrzów „świńskie cięcie”: nie wydano mi zamówionej geografii fizycznej. To jest dopiero argument konkretny; kto ma władzę zbijać przeciwnika takimi argumentami, po co mu trudzić się wywodami naukowymi »*Grau ist alle Theorie und grün des Lebens goldener Baum!*«.

Nie mam także w mym opisie zamiaru dydaktycznego: nie chcę bynajmniej pouczać, jak należy z wiedzieć strony ojczyste, bo w tem również wyprzedzili mnie i zastąpili reporterzy i to z wybor-nym skutkiem: teraz już wszyscy wiemy, jak należy zwiedzać strony ojczyste: wypić „starego węgrzyna” z proboszczem, „zieleniaczka” ze szlachcicem, zjeść suty obiad lub kolację z szampanem u hrabiego, wysłuchać mszy św. w jakiej prastarej świątyni, wreszcie zajrzeć do jakiego elememtarza historycznego i wypisać z niego nieco dat o miejscowościach w ten sposób zwiedzanych. Metoda ta, tradycyjna u nas, wydała świetne rezultaty: kraj nasz jest prawie tak dobrze znany jak Afryka środkowa — przed kilkudziesięciu laty; metoda ta ma między innymi i tą dobrą stronę, że przy pewnym sprycie uwalnia nawet autora od wyjazdu z Warszawy: proboszcza, szlachcica, hrabiego można znaleźć na miejscu; węgrzyna, zieleniaczka, szampana, dobrą kolacyjkę podadzą i u nas

gdzieś na łonie natury w „Krzaczkach“ albo jeszcze lepiej w gabineciech „familijnych“ poświęcanych przez znanego księdza-specjalistę; a nawet co do wyboru wina można się poradzić specjalisty-chemika (jednakże uczeni są na coś potrzebni, nauka nie całkiem jeszcze zbankrutowała!).

Nie mam więc, jak powiedziałem, powyższych ambicyi: jeżeli gdzieś napiję się czegoś, to mleka w chłopskiej chałupie albo, co najwyżej, piwa w jakim prowincjonalnym zakładzie; raz spotkałem się wprawdzie z jakimś szlachcicem, ale ten nie zafundował mi nawet kieliszka wódki, jakkolwiek, chcąc sobie w jego oczach nadać znaczenia, udawałem literata z kuryera. Jeżeli zaś wtrącę jakąś kwestyę naukową, to bardzo skromną, a przecież trudno mi tak odrazu odwyknąć od bakalarskiego nałogu. Kto dzieciństwo „sielskie-anielskie“ od drugiej klasy włącznie strawił na korepetytorstwie, kto przez całą młodość „górną i chmurną“, jako tak zwany „profesor“, dowodził przynajmniej po sześć godzin na dobę, że ziemia jest okrągła, choć jej tego zabronił szanowny Kosmas Indykopleustes, — i że andypodzi nie chodzą na głowach, choć im tak pod utratą zbawienia przykazywał św. Augustyn, Laktancyusz i inne filary kościoła; kto następnie uprawiał geografię ze ścisłością — alfabetyczną w „Wielkiej Encyklopedyi“, kto zagłębiał się w obliczaniu długości drutów telegraficznych dla różnych epok — geologicznych w również „Wielkim“ Atlasie Geograficznym¹⁾, ten nie może się tak zaraz

¹⁾ Do osiągnięcia więc całkowitej „wielkości“ brak mi tylko jeszcze należenia do „wielkiej“, a raczej „wyborowej“ biblioteki, ale na ten stopień już nie mogłem się wznieść: miałem wprawdzie

otrząsnąć z „wielkiej“ uczoności. Wprawdzie, opisując w tymże „Wielkim“ Atlasie herby rozmaitych „wielkich“ państw europejskich jak np. księstw Schwarzburg Rudolfstad i Schwarzburg Sondershausen, a także Schleitz, Greitz i t. d. mógł nabrać wielu pierwiastków estetycznych, zwłaszcza estetyki barw: piękność tych barw poprostu oczarowała mój umysł. Raz po długich studyach nad herbami państw miałem uroczy sen: śniło mi się całe stado pięknie miauczących kotów, pomalowanych w paski i kratki najcudniejszych barw — zielonej, żółtej, czerwonej, niebieskiej i t. d. Naturalnie, że tego rodzaju szkoła estetyki nie może nie

w tym kierunku silne protekcje mych przyjaciół hrabiów, nie to jednak nie pomogło, albowiem p. Teodor Jeske-Choiński, któremu zawdzięczamy „rozkład w życiu i literaturze“, zamierza sobie zapewne wybrać tylko geografów „wyborowych“, t. j. takich którzy noszą przy boku tak laski jak przodkowie nosili karabele i mają czupryny też podobne do przodków (?), nawet nie potrzebując się sztucznie podgalać. Każdy bowiem w wyborze pilnuje zasady: *„Damit der Kerl nicht so sehr von meiner Glatze absticht“*.

Apropos „Wielkiej Encyklopedyi“ nie mogę jednak zrozumieć dlaczego zwolennicy p. Jeleńskiego tak bardzo narzekają, że wiele kosztów ponieśli na wydawnictwo, które nieprędko się skończy: przecież mają za to w każdym razie szereg artykułów, a nawet monografii, napisanych przeważnie ze znajomością rzeczy; mogą się więc zawsze czegoś z nich nauczyć; ale zachodzi pytanie, na co im się przydadzą roczniki „Roli“, za którą przecież wydali daleko więcej; co za wartość mają one po za użytkową wartość papieru, zupełnie niezależną od tego, czy jest, czy nie jest zadrukowany. Wprawdzie świadomość, że papier, którym dowoli rozporządzamy, nosi na sobie ślady znakomitych myśli pana Jeleńskiego i jego „światłych“ pomocników, może nam sprawiać chwilowo moralne zadowolenie, ale w każdym razie sądzimy, że za te przelotne chwile zadowolenia p. Jeleński każe sobie płacić zbyt drogo.

oddziaływać błogo na talent pisarski, nawet najordynarniejszego bakalarza, ale w każdym razie nie może on tak od razu nabrać tej mistrzowskiej barwności i lekkości, która cechuje naszych „sympatycznych“ podróżników-artystów. Oni na całym globie zbierają wrażenia dla swych dusz bogatych, wszechstronnych, artystycznych, nie dziw, więc że potrafią na pięknej posadzce między Europą i Afryką tańczyć wdzięcznie i lekko „odbijanego“ z uroczą Sycylią — my zacieśnieni w bakalarstwie, przykuci do miejsca, wyznajemy otwarcie: nie bylibyśmy w stanie zatańczyć nawet z naszą pocziwą Św. Katarzyną.

Jednakże muszę się pochwalić jedną pierwszorzędną cechą potrzebną podróżnikom — znakomitami nogami; i nie dziw: wyrabiałem sobie w nich siłę przez całe lata i to znakomitą metodą. Czytelnik myśli, że może gimnastyką — gdzież tam: wszakże uczeni doktorzy dowiedli, że gimnastyka wcale nóg nie wyrabia, że atleci nóg nie mają i podnosząc setki funtów w górę, unoszą się w powietrzu — nie: jest inna metoda wyrabiania nóg: osobiste odbieranie honoraryów literackich u warszawskich wydawców i redaktorów. Kto choć lat parę w tym kierunku się potrenuje, zyska, zaręczam, nogi żelazne — a gdy przytem stosunki wydawnicze układają się pomyślnie, gdy np. jedno pismo ma kilku wydawców i redaktorów, gdy przyłączą się jeszcze amatorzy, mecenas, lub instytucje dla popierania nauki i literatury, wtedy można się nawet nauczyć „odbijanego“. Odbieranie przy pomocy pośłańców jest wprawdzie daleko tańsze, wynosi zwykle co najwyżej 33⁰/₁₀₀ windykowanej sumy, podczas gdy przy odbieraniu osobistem, licząc cenę

czasu, koszt może dojść do 100%, no—ale, jak wiemy z mechaniki, co się traci na czasie, to się zyskuje na sile. A zatem rekomenduję.

Mam nadzieję, że z tych słów paru łaskawi czytelnicy poznali już skromne siły i środki swego sługi i że darzyć go będą podczas czytania poniższych „wrażeń i refleksyj” swoją życzliwą pobłażliwością.

Podróż.

I.

Wyjechałem z Warszawy w połowie lipca rano koleją Nadwiślańską. Po długotrwałych deszczach, które, zalawszy łąki, pola i lasy, nadały niskim okolicom „nadwiślańskiej syreny” charakter jakiejś zamierzchłej geologicznej przeszłości, nastąpiła pogoda. Przy przejeździe przez most kolejowy widok na wezbraną, spienioną Wisłę był wspaniały. Dziwne wrażenie czyni bujna, majowa zieleń fortów. Oburzył by się pewnie na to Ruskin, który piękno widzi tylko w dziełach przyrody lub w dziełach ludzkich z dziejowej przeszłości, a jednak te zupełnie współczesne forty, kryjące pod bujną zielenią narzędzia śmierci i zniszczenia, pod maską idylli — tragedję, mają w sobie niezaprzeczenie piękną grozę. Patrząc na nie, przypomniałem sobie końcowy ustęp z *La force* P. Adama: bohater Hericourt podjeżdża konno pod jakąś osadę, która błyszczy w promieniach słońca zielenią ogrodu i gazonów; w oknach domów widać doniczki z kwiatami. Zmęczony marszem i upałem wojownik obiecuje sobie znaleźć tam wypoczynek w cieniu i chłodzie — lecz dziwny jakiś, spiżowy blask

przebija przez zieleń drzew; cóżby to być mogło? W tem jakaś siła, jakby niewidzialnego Tytana ciska bohatera wraz z koniem na ziemię: ukryte śród zieleni drzew, stały tam nieprzyjacielskie baterye — bohater znalazł odpoczynek — na wieki.

Jednak kto chce rozpędzić smutek niech jedzie dalej koleją Nadwiślańską: zaraz za Warszawą czeka go Radość — tak bowiem zwie się stacya kolejowa.

Pogoda cudowna, stoję na platformie, pociąg w pełnym biegu; jego energia udziela mi się, czuję rozkosz opanowywania przestrzeni; niech co chce mówi Ruskin, nieubłagany wróg kolei, lecz i pociąg pędzący, ten olbrzymi zapas energii, jest piękny; trzeba tylko mieć więcej zmysłu współczesności i przyszłości, — nie być jedynie estetykiem opactw i kościołów, strojnych dam i klejnotów; nie być estetykiem reakcyi.

Pociąg mój pędzi, wiatr chłodzi mi oczy, zmęczone przeglądaniem map generalnego sztabu poprzedniej nocy, gdym, zdecydowawszy się na wyjazd, układał sobie naprędce plan drogi. Zresztą dla orzeźwienia od upału, dymu i kurzu kolejowego biorę ze sobą zawsze buteleczkę z wódką — kolońską; jest to środek wyborny, ale nie narzucam tego nikomu, bo istnieją i inne metody: patrzę na mego towarzysza podróży, siedzącego w wagonie: rzeźwi on się ustawicznie wódką — monopolową i kłębamii dymu tytoniowego — to się dopiero nazywa używać świeżego powietrza! Przytem jest to metoda altruistyczna; dym udziela się bezpośrednio wszystkim sąsiadom, a co do wódki to i ta udziela się choć pośrednio — przez dobry humor pijącego i sturubłowy — kolor nosa.

„Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie“, widocznie był wyższy i nad marne uciechy towarzyszy pijących i nad moją bezduszną empiryę: duszę swą zatopił w — feljetonie Kuryera, gdzie pewien „nasz znany“ wpadł na myśl naśladowania „Paryża“ Zoli, bo Zola zaczyna być nieco w modzie u nas; trzeba go tylko „uszlachetnić“, to znaczy uperfumować „warszawskimi“ wyziewami. To „warszawskie“ naśladowanie Zoli przywodzi mi na pamięć pewną analogię: Kanak z Nowej Kaledonii pytał raz Francuza, co to znaczy *presence d'esprit*? Francuz usiłował mu to wytłumaczyć, lecz ciasny mózg wyspiarza nie mógł zrozumieć abstrakcyi, więc Francuz uciekł się do środka pogładowego: położył rękę na stole i kazał w nią Kanakowi silnie uderzyć, a tymczasem szybko ją usunął. Kanak stłukł sobie pięść porządnie. Zdawało się, że nauka była wymowna. Kanak, wyszedłszy, spotkał na drodze swego rodaka i chcąc się pochwalić nabytą wiedzą, zaczął mu wyklądać naukę Francuza: lecz niestety nie było stołu. Nauczyciel więc zamiast stołu, wybrał swą gębę i położył na niej rękę, całą dalszą naukę przeprowadził już wiernie — zrozumiał! — Akurat tak samo „nasz znany“ zrozumiał naukę Zoli.

Jedziemy dalej, przejeżdżamy szeroką rzekę Świder o brzegach stosunkowo dość wysokich i malowniczych, na których niegdyś obrał sobie siedzibę Andriolli. Okolice Świdra i Otwocka pagórkowato-piaszczysta, lasy sosnowe, mnóstwo willi wśród lasu tak skupionych, że tworzą niby miasto leśne, którego „świeże powietrze“ stało się zapewne tylko nominalnem. „Letnikom“ jednak wydaje się, że są na wsi, na świeżem powietrzu — jakże długo forma pozostaje

staje i zadawalnia ludzi, gdy treść już dawno uległa zwieterzeniu.

Pod stacją Celestynowem kolej pędzi przekopem przez wysoką diunę, toż samo przed Pilawą; szczególnie piękny przekop przez diunę białą, błyszczącą, uwieńczoną ciemnym lasem, znajduje się za Wilgą. Wogóle w niskich okolicach Warszawy, jako w krainie „Wielkich Dolin“, obok wysokich względnie brzegów pewnych rzek, które przerzynają się przez wyższe smugi, dzielące główne wielkie równoleżnikowe doliny, diuny stanowią jedyne urozmaicenie jednostajnego krajobrazu, nieraz niepozbowione malowniczego wdzięku. Porosłe wrzosem i sosnami stanowią melancholijny kontrast ze świeżą, soczystą zielenią otaczających łąk; to znowu, spadając ku ciemnym torfowiskom, niby wały opuszczonej twierdzy — ku zapleśniałym fosom, składają się wspólnie na obraz przejmującego smutkiem pustkowie. W niektórych miejscach wskutek wyniszczenia lasów (wycinanie „choinek“ na święta Bożego Narodzenia pod Warszawą, wykopywanie korzeni sosen na koszyki) diuny na nowo zmieniają się w wydmy. Diuny te powstały z piasku nagromadzonego w tej krainie przez potoki, spływające z krawędzi lodowca, spoczywającego niegdyś na grzbiecie Bałtyckiego Pojezierza; piaski te uległy następnie przemożnej władzy Eola. Stało się to wtedy zapewne, gdy krawędź lodowa przeszedłszy na północ Pojezierza, przestała zalewać krainę „Wielkich Dolin“ potokami, a wiatry, nad lodami przepływające, oddając im swą wilgoć, nabywały własności osuszania.

W dalszej podróży koleją Nadwiślańską zbli-

zamy się do stacyi Życzyn; krajobraz ulega zmianie. Powierzchnia ogólna kraju staje się nieco falistą, stojące żółte kałuże wskazują na grunt gliniasty; lasy liściaste, niwy bujniejsze, zjawia się pszenica, na zboczach przekopów kolejowych zamiast gołych piasków lub macierzanki, jak dotąd, rośnie konieczyna i inne kwiecie; na polach „ciche grusze siedzą“ i to nawet nie „z rzadka“. Zresztą tu i ówdzie powraca jeszcze krajobraz poprzedni, mianowicie pod samym Życzynem.

Za zbliżeniem się do Iwangrodu linia kolei wstępuje w dolinę Wisły; na prawo rozciągają się rozległe łągi wiślańskie, ku którym z lewej kraj spada wysokimi, nieraz stromemi, gliniastymi zboczami; kolej biegnie u stóp tych zboczy, wreszcie znikają one i kolej wstępuje na równinę powstałą ze zlania się łągów wiślańskich z wieprzańskimi. Dojeżdżamy do Iwangrodu; znów wita nas zdradziecka zieleń for-tów, oblanych wodą, przejeżdżamy most kratowy przez Wisłę; z początku jeszcze łągi, dalej okolice piaszczyste z sośniną podobne do podwarszawskich (gdyż nizina Radomska należy jeszcze do krainy Wielkich Dolin); znaczną rolę w barwach krajobrazu odgrywa „gryka jak śnieg biała“, a miejsce „bursztynowego świerzopu“ zajmuje jajeczny łubin; tu i ówdzie nagie diuny z próbami sztucznego utrwalenia. Ta jednostajna nizina Radomska pod Jedlnią nabiera pewnego wdzięku z powodu lasów jodłowych.

Okolice Radomia niczem nie zdradza bliskości większego miasta, chyba kilku cegielniami. Za Radomiem okolica zaczyna nieco falować; w kałużach woda żółtawa; szachownica pól urozmaica się i buj-

nieje: na nizinkach śród pól rozciągają się łąki bezrzeczne; w zbożach niezliczona moc maków i bławatków tak, iż zmieszane ich barwy stanowią ogólne tło krajobrazu i przypominają mi lata dziecinne w urodzajnej krainie Lubelskiej.

Wkrótce na południowym horyzoncie wynurzają się błękitne profile gór, dojeżdżamy do stacyi Jastrząb. Falistości gruntu zwiększają się, jakaś dolina wód deszczowych śród lasu po lewej stronie została zatamowana wałem z ziemi, bezwątpienia aby powstrzymać spływ wód deszczowych i tym sposobem uchronić ją od rozmycia, oraz utrzymać jej charakter łąkowy. Góry przed nami rosną, z błękitnych stają się ciemnozielone. Dojeżdżamy do stacyi Skarzysko z kominami fabrycznemi; tu koleje się krzyżują, część podróźnych przesiada się do Ostrowca. Przejeżdżamy Kamienną, wąską lecz bystrą rzekę, ważny motor dla zakładów górniczych, dalej — już białą szosę (dotąd napotykały się szare, granitowe, z kamieni erratycznych). Wjeżdżamy w góry; ze zboczy tu i ówdzie szara skała „żebrem wzrok ubodzie“; dojeżdżamy do Suchedniowa śród gór.

Ogólny charakter krajobrazu: grzbiety lesiste, zbocza łagodne, pokryte szachownicą pól i chatami, linie najniższe stanowią wypłuczyska z rumowiskiem. Kolej przechodzi grzbiety przekopami, doliny — nasypami. Dachy chat przeważnie gontowe, bezwątpienia z powodu taniości drzewa z jednej — a nikłości i krótkości słomy z drugiej strony. W ubiorze kobiet przeważa barwa czerwona. Pola jeszcze wszędzie zielone, choć dalej na północ widziałem już żniwa. Nad małą, śród kobierca łąk płynącą, rzeczulką, wzdłuż

której jedziemy, rozciągają się białe pasy płótna. Lasy jodłowe.

Dojeżdżamy do Zagnańska, dalej przejeżdżamy przekop z warstwami o barwie czerwonej, właściwemu tryasowi. Spuszczamy się w bródę Kielecką, przed nami zarysowuje się nowy lesisty łańcuch gór z Karczówką. Na jego ciemnozielonym tle malowniczo odrzyna się biało-czerwona grupa domów — Kielce. Linie dróg części białe, po części czerwone, oraz kominy pieca wapiennego, cegielni i huty szklanej, wskazują na urozmaicenie geologiczne i uwarunkowany nim przemysł. Kielce są miastem ładnym, czystym i zdrowym: spadki ulic znaczne, woda w rynsztokach płynie bystrem potokiem do rzeki Silnicy (systemat Nidy) wązkiej, lecz bystrej, płynącej wśród łąk; na nich pośród miasta ludzie koszą i grabią siano, co czyni przyjemne wrażenie.

Kielce są jednak miastem martwym. Sklepów bardzo tu niewiele, na ulicach żadnego prawie ruchu. Jestto właściwie nie miasto lecz kompleks willi wśród ogrodów. Wille te chyba w jakiej $\frac{1}{3}$ należą do adwokatów, którzy tu są „domatorami“ *par excellence*, gdyż ze wszystkich cnót domowych posiadają najważniejszą, t. j. same domy. Oni to chyba zbudowali Kielce. Jaka być może tego przyczyna?

Na nas geografach ciąży obowiązek wyjaśnienia tego osobliwego zjawiska warunkami geograficznymi, wpływem otoczenia. Sądzymy, mianowicie, iż jest to w związku z bliskością gór Świętokrzyskich, z którymi, jak zwykle z górami, związane było niegdyś rozbójnictwo („zboj świętokrzyżki“); rozbójnictwo to prawem dziedzictwa musiało dotąd pozostać częściowo

śródmieszkańców w złagodzonej, że tak powiem, burżuazyjnej formie; a to znów wyrabia u niepoprawnych idealistów potrzebę szukania interwencji prawa. Wniosek powyższy popiera też jedna analogia: u stóp wysokich gór Karpat leży miasto Biecz, słynne jako „miasto katów“, a to z powodu dawnego rozbójnictwa w Karpatach; że zaś góry Świętokrzyżkie są o wiele łagodniejsze od Karpat, więc i rozbójnictwo świętokrzyżkie musiało być już w początkach, w zasadzie swej, łagodniejsze niż Karpackie. Nie dość na tem — powyższy wniosek a priori, poparty przez analogię, mogę poprzeć jeszcze na drodze empirycznej — historycznie: otóż w rozbójnictwie świętokrzyżkiem przyjmowała udział kobieta Rusinowska, wiadomo zaś, że jeżeli w sprawie jakiejś bierze udział kobieta, to sprawa ta ulega natychmiast uszlachetnieniu tak, iż i tutaj owo osławione *»cherchez la femme«* należy rozumieć, jak chcą kobiety współczesne, w znaczeniu dodatniem.

Wprawdzie Rusinowska miała buty z ostrogami, ale to bynajmniej nie mogło jej odbierać charakteru kobiecości, unicestwiać tak cenionego przez moralistów *»das ewig Weibliche«*: dawanie ostrogi pobudza nietylko rumaki: wszakże, z kobiet najbardziej kobiece, murzynki kołą, kaleczą swych Połanieckich przed „służbą bożą“ — że użyję terminologii naszego najślawniejszego zwolennika kobiecości — pana Sienkiewicza. Jeżeli zaś ostrogi nie odbierają kobiecie charakteru kobiecości, owszem, to pośrednio można to samo wywnioskować i o butach albowiem „bosonogi przy ostrogach“ to *contradictio in adjecto*. Ale możemy znaleźć na to nawet dowód bezpośredni: jeżeli

mianowicie udamy się do „księgi mądrości narodów“ tj. do przysłów, których, jak wiadomo, z takim powodzeniem używa za argumenty ks. biskup Niedziałkowski, to znajdziemy tam tylko, że w ą s y czynią kobietę męzczyzną, ale nigdzie nie znajdujemy tego w zastosowaniu do butów — choćby z ostrogami.

Co prawda boję się trochę, czy w rozumowaniu tem zachowałem ściśle wszystkie prawidła logiki. Boję się zwłaszcza naszego platonika i logika *par excellence*, profesora W. Lutosławskiego, który, mimo przywiązania do rodzinnego Drozdowa, zakłada w Galicyi towarzystwa wstrzemięźliwości, który usiłuje wszczepić ludziom miłość bliźniego zapomocą pięści i który za swe znakomite artykuły w obronie duszy, platonizmu, patryotyzmu, idealizmu itd. — żąda tak wysokich honoraryów, o jakich Platon z pewnością nawet nie marzył. Czyni to bez wątpienia dlatego, że nie jest bezmyślnym naśladowcą Platona, lecz potrafi zasady tego idealisty zastosować do naszych warunków, a to mianowicie w myśl znakomitego humorysty Lama, który banknoty nazwał „idealnikami“. Tak, iż p. Lutosławski nie jest czystym platonikiem, lecz plato-lamikiem. Na tej podstawie prof. Lutosławski potrafił wyrozumować, że jedyną obroną przeciw pesymizmowi jest błoga myśl o śmierci („Skąd się biorą pesymiści“) oraz, że główną dźwignią miłości kraju jest — miłość funtów szterlingów — prawdziwie: *»ecce homo Platonis«!*

Otóż tak ściślego logika obawiam się tutaj: mógłby mi bowiem zarzucić, że przysłowie mówi jedynie o przetwarzaniu się cioci na wujaszka za pomocą w ą s ó w i że ze stanowiska logiki nie wolno cech

gatunkowych przenosić na cechy rodzajowe — z oioc jedynie na kobiety w ogóle. Jestem tego zupełnie świadomy, ale nie trzeba brać kwestyi tak formalnie, trzeba wnikać w „samą rzecz“: boć w danym razie twórca przysłowia widocznie tylko dla konkretności wyraził się terminami gatunkowemi, w istocie jednak miał na myśli właśnie cechy ogólniejsze — rodzajowe. Więc mimo wszelkich powag profesor-skich możemy śmiało powyższe przysłowie uogólnić: z cici i wujaszka wszczególne na kobietę i mężczyznę wogóle.

Tak tedy możemy twierdzić napewno, że buty, a nawet ostrogi nie odbierały Rusinowskiej tyle cenniejszej słusznie cechy kobiecości, a stąd — własności łagodzenia, uszlachetniania, upiększania każdej sprawy.

Reasumując to wszystko, dochodzimy do wniosku, że rozbójnictwo pod Kielcami ma i miało łagodniejszy charakter niż pod Bieczem i dlatego Kielce stały się nie miastem katów, jak tamten, lecz miastem adwo-katów.

Przepraszam czytelnika za te zbyt długie wywody, wolę jednak użyć drogi dłuższej, ale dojść do rezultatu niewzruszonego. Teraz mogę być pewnym, że tej zdobyczy geograficznej nie zdołają mi wydrzeć moi szanowni koledzy po fachu, starsi w randze, doktorzy i profesorzy: dr. Czerny, dr. Rehman, dr. Plebański, dr. Siemiradzki, dr. Nadmorski, dr. Wrześniowski, którzy atakowali moją geografję głównie z twierdzy „wszechświatowej“. Wiadomo, że wszyscy ci panowie rzucili się niegdyś na mnie jako lwy, owe z — Fliegende Blätter, które to, natrafiwszy na jakiegoś chudeusza, złożonego tylko z żył i kości, nie

mogły go zgryźć i pozostawiły na pustyni — swe połamane zęby.

Temu mógłby zaprotestować tylko Dr. Rehman, z którym nie miałem jeszcze sposobności dyskusowania; przepraszam go tu najmocniej za taki brak uprzejmości z mej strony, ale praca jego, „Ziemie dawnej Polski“, późno mnie doszła, a czasu mam niewiele na przyjemności. P. Rehman w tej pracy uczynił mi zaszczyt (nie wymieniając jednak, przez skromność, mego nazwiska) zastanowienia się nad memi geograficznymi poglądami; przypisanie dawnej Polsce charakteru przejściowego raczył nazwać „nieuctwem“, a jakby przeczuwając, że jego „uczoność“ nie jest dość mocna, wezwał, jak to zwykle w tych razach bywa, na pomoc rzekomą etykę i politykę i moje „nieuctwo“ starał się blisko spokrewnić z „szalbierstwem“ geografów wrogich Polakom. — Może kiedyś, gdy będę miał czas i dobry humor, rozprawię się z tym panem szczegółowo¹⁾. Tutaj przytoczę tylko próbkę jego logiki. Na str. 49 wspomnianej książki p. Rehman zarzuca mi „nieuctwo“ za to, że ja „ziemi Polskiej indywidualnego charakteru odmówił“ (oo, mówiąc nawiasem, nie jest prawdą), a o 9 wierszy dalej mówi: „szukać indywidualnego charakteru na takim obszarze Europy, jaki zajmowała dawna Polska, jest poprostu niedorzecznością“. — A więc według dra prof. Rehmana:

1) Odmawiać indywidualnego charakteru jest nieuctwem.

¹⁾ Już po napisaniu tych słów, a przed ich wydrukowaniem, spełniłem tę zapowiedź w „Ogniwie“ 1903 r., Nr. 18—20.

2) Szukać indywidualnego charakteru jest niedorzecznością.

I rób że tu co chcesz z tymi doktorami-profesorami — choć siądź i płacz! — I doprawdy groziłaby mi rozpacz, gdyby twarda szkoła życia nie wyleczyła mnie oddawna z idealizmu i nie nauczyła, że „szukać logiki u doktorów-profesorów jest prosto niedorzecznością“.

Prócz doktorów napadli na mnie i niedoktorzy, ale o tych nie warto nawet wspominać: widocznie nie posiadali oni czarnego fraka z białym krawatem i kilkuset marek w kieszeni — tych koniecznych, a niemal i dostatecznych, warunków do otrzymania stopnia naukowego: gdy się bowiem takowe posiada, to napisanie jakiejś rozprawy przewrotowej, jak np. »*Verbreitung des Kafeebaums*«, »*Die Mittlere Höhe des Tüningerwaldes*« i t. p. jest już bagatelą. Dziś chwała Bogu pieniądze są już warunkiem wystarczającym do wszystkiego: przy ich czarodziejskiej pomocy ludzie przetwarzają się w olbrzymów; nie mając pojęcia o niczem, mogą tworzyć wszystko: pisać przeróżne dzieła wielotomowe, układać opery, malować obrazy; ba — nawet pisać poezye i zdobyć wieńce sławy, bo za pieniądze mogą dostać bezimiennych autorów, a następnie, imiennych recenzentów.

II.

Przenocowawszy w Kielcach, wyszedłem rano ulicą Bodzentyńską na szosę, która prowadzi ku północo-wschodowi przez bródę kielecką, ujętą na północy i południu dwoma lesystemi łańcuchami gór;

zbliżałem się do łańcucha północnego. Droga prowadziła przez równinę falistą, pokrytą bujnemi łąkami zbóż, wśród których znaczną rolę grała pszenica; zboża były bogato utkane w różnobarwne wzory maków i bławatów, cykoryi, wyki i t. d. Była niedziela, więc ku Kielcom zdążyły do kościoła malownicze grupy wieśniaczek w ponsowych spódnicach, w czerwono-pstrych chustkach, w ciemno-granatowych zapaskach, zarzuconych na ramiona. Śród pól tu i owdzie smugi łąk, z których bije zapach świeżo skoszonego siana. Pogoda cudowna, wiatr poranny owiewa mię, przenika swem rzeźwiącem tchnieniem. Zdała widnieją Kielce na tle ciemnego pasma południowego, z którego bliżej wybiega Karczówka, rysująca się wyraźnie w promieniach słońca, jako zielony odcinek kuli, obwiedziony łukowatym pasem ciemnego lasu, uwieńczony na szczycie klasztorem, od którego zbiega ku podstawie jasna linia drogi.

Przez Szydłówek doszedłem do Dąbrowy, i tu skręciłem z szosy na prawo, aby przez Masłów dojść do Mąchocic, gdzie się znajduje wyłom Czarnej Nidy i gdzie zaczyna się najwyższa część łańcucha Łysogórskiego. Za dworem masłowskim skręciłem w lewo ku górom i udałem się doliną strumienia między polami rzepaku i pszenicy, zmierzając ku stromej skale, sterczącej na grzbiecie gór. Dolina potoku, na kilkanaście kroków szeroka, ma dno łąkowe, powoli wznoszące się, lecz równe jak bilard. Zbocza strome, ale nie urwiste, lecz porośnięte trawą. Potok wkrótce się kończy (t. j. zaczyna), dalej w górę prowadzi dolina sucha, używana przez wody deszczowe, jak to pokazuje świeży namul wśród trawy. U źródeł potoku widać

kawały darni podmyte i obsunięte w potok; jest to poglądowy dowód t. z. wstecznej erozyi — posuwania się źródeł potoku w górę, wydłużania się jego doliny w tym kierunku. Powyżej w paru miejscach o mniejszym spadku występuje jeszcze na powierzchnię woda rdzawo zabarwiona. Przy końcu (początku) doliny znów źródłisko z obsunięciami, którego woda gubi się jednak zaraz wśród trawy. Tutaj rozciąga się wieś Masłów, a za nią właściwe góry, porośnięte krzakami jałowca i niską brzezina. U stóp gór, tam, gdzie one przechodzą w łagodniejszą pochyłość pól uprawnych, wykopano rów, który przechwytyje wody, spływające z gór; nadmiar ich spływa brózdą, wykopaną wzdłuż pochyłości pól. Gdzie niema rowu, tam góry od pól oddziela płot, świadczący, iż góry służą za pastwisko, co stwierdzają też i inne bardziej bezpośrednie dowody.

Grzbiet gór Masłowskich jest pokryty ostrokaniciastem rumowiskiem głazów kwarcytowych szarych, miejscami szerniałych, miejscami czerwonych, takich samych, jakie występują na grzbiecie całym pasma Łysogórskiego. Skały te, sterczące wśród pustego samotnego grzbietu Masłowskiego, porośnięte krzakami jałowca, czynią zwłaszcza przy niebie pochmurnem i dalekich grzmotach, melancholijne, nawet mistyczne wrażenie — tak wyglądać muszą druidyczne krajobrazy Bretonii.

I rzeczywiście są one pomnikiem — geologicznej spostrzegawczości prof. dra Siemiradzkiego, który ten produkt zwiętrzenia wziął za lokalną morenę skandynawskiego lodowca. Za śmiałość mego teoretycznego powątpiewania o tem p. Siemiradzki rozgniewał się

na mnie „wspaniałomyślnie“, a jednak badania prof. Michalskiego na miejscu okazały, że miałem powód do powątpiewania. Patrząc teraz na te kwarcyty grzbie-
tu Masłowskiego, przyszło mi na myśl, dlaczego lodowiec, który, według samego p. Siemiradzkiego, przekroczył góry na zachód św. Katarzyny, nie zabrał z sobą tego rumowiska na drugą stronę gór, lecz zostawił je porządnie ułożone na samym grzbiecie; zaniedbał nawet oszlifować skał, porysować, stępić kantów? Na powierzchniach występują tylko rysy pęknięcia, wypełnione zwykle białymi żyłami krystalicznego kwarcu; zdaleka możnaby te rysy proste, jakby wzdłuż linii dyamentem zarysowane, wziąć za lodowcowe, zblizka widać na powierzchniach, przecinających daną, że sięgają one w głąb skały. Wobec krótkiej pochyłości powierzchni skalnej nie może tu być nawet zjawisk pseudolodowcowych, obtarcia wskutek staczania się rumowiska, które mogłyby złudzić obserwatora.

P. Siemiradzki jednak jakimś cudem znalazł oszlifowania i szramy lodowcowe przy klasztorze świętokrzyskim na skale „świeżo odstoniętej“. Widocznie lodowiec p. Siemiradzkiego był w stanie szlifować powierzchnię, leżącą poniżej powierzchni, na której leżał — widocznie rysował on przez kalkę i to dość twardą!

Ale te kwarcyty nie są jedynymi pomnikami p. Siemiradzkiego: potrafił on np. otrzymać wodę słodką (w lagunach, odciętych od morza) przez to, że sól, wskutek ulatniania się wody, opadła na dno!... A gdyby tak jakiś bakałarz, chcąc tego dowieść metodą pogładową, rzucił spragnionemu p. Siemiradzkiemu do

szklanki wody „słodkiej“ kawałek soli „na dno“? Czyby p. Siemiradzki, znużony na wycieczce geologicznej, zechciał orzeźwić się taką wodą „słodką“?

Dalej, p. Siemiradzki, uprawiając „wspaniałomyślnie“ humorystykę we *Wszehświecie*, na moje wyrażenie, że wskutek wypłukania grzbietu antyklinalnego powstają grzbiety izoklinalne, odpowiada, że nie może tego zrozumieć, „o ile go uczono greki w szkołach“. Otóż muszę wprawdzie przyznać, iż profesor greki, który uczył p. Siemiradzkiego, jest w zupełnym porządku: doskonale tłumaczył mu etymologię wyrazu izoklinalny — i pięknie to jest, gdy geolog umie po grecku, ale jeszcze piękniej — gdy umie geologię, a to choćby z elementarnych podręczników, z których każdy zawiera schematyczne przekroje różnych gatunków grzbietów i dolin w sfałdowanych warstwach. P. Siemiradzki jest wogóle zakochany w najnowszej terminologii, ale nie zawsze cieszy się jej wzajemnością.

P. Siemiradzki ulega nawet czasami dwuosobowości: raz myślałem, że mam przed sobą dwóch zupełnie różnych panów Siemiradzkich. Jeden z nich żartował ze mnie „wspaniałomyślnie“, twierdząc stanowczo, że w naszym wilgotnym klimacie niemożliwa jest erozja wietrzana, a drugi przedtem i w tym samym *Wszehświecie* dowodził, że erozja wietrzana występuje i w klimacie wilgotnym. Od tego czasu zmuszony jestem rozróżniać pana Siemiradzkiego *senior* i pana Siemiradzkiego *junior* — i od tego ostatniego apelować do pierwszego, jako lepiej poinformowanego, gdyż wiemy skądinąd, że erozja wietrzana występuje nawet w wilgotnej Islandyi.

Nie dość na tem: p. Siemiradzki, zwalczając we *W s z e c h ś w i e c i e* moje twierdzenie o epoce lodowej, jako zwolennik jej tellurycznej (nie kosmicznej) przyczyny, twierdził nietylko, że klimat w tej epoce był cieplejszy niż obecnie (!), ale potrafił to ciepło, a zarazem zwiększenie wilgoci otrzymać za pomocą zmniejszenia morza¹⁾, choć wiadomo przecież, że na północ 45° szer. pn. zmniejszenie morza działa oziębiająco. Ale p. Siemiradzki rozporządza jeszcze innemi środkami: każe on masywom górskim wznosić się w miocenie dla otrzymania lodu w diluwium. Jaka zapobiegliwość: chcąc mieć lód w diluwium, przygotowuje go już w miocenie; lód ten przechowywa on tak starannie, że różni solidni obywatele, dinoterya, mastodonty itp. chodzą sobie przez ten czas zupełnie bez żenady, jak tureccy święci, a przynajmniej jak „hipokryzyjne“ damy Ropsa, malarza nagich — dusz, ani się domyślając podstępu. Dopiero po niezliczonych wiekach w późniejszym diluwium p. Siemiradzki wydobywa naraz lód z zanadrza, jak magik — jajecznicę z szapoklaka.

I jeszcze nie dość: pana Siemiradzkiego nie ambarasuje wcale ani to, że zlodowacenie było zjawiskiem powszechnem, ani to, że było kilka zlodowaceń, rozdzielonych peryodami wolnemi od lodów; p. Siemiradzki więc musiałby kazać górcom podskakiwać na komendę kilkakrotnie — zapewne wskazówką była mu tu geologia — Mojżesza, który, z powodu trzę-

¹⁾ „Klimat raczej cieplejszym być musiał przy znacznie mniej rozgałęzionem i cieplejszem, niż obecnie, morzu pliocenicznem“.
(I. Siemiradzki, *W s z e c h ś w i a t*, t. VII, Nr. 13, str. 203).

sienia ziemi mówi; „góry podskakiwały jak barany, a pagórki jak małe jagnięta“, jakby chciał tem porównaniem dać do zrozumienia, że kiedyś świat cały zmieni się w jedną owczarnię.

Ale zreasumujmy jeszcze te ciekawe konstrukcye logiczne p. Siemiradzkiego o epoce lodowej: stawia on fałszywe faktycznie twierdzenie (klimat był cieplejszy); dla uzasadnienia tego twierdzenia przytacza argument (zmniejszenie morza), który je logicznie obala (gdyż ład na północ 45° szer. działa oziębiająco) i staje w rażącej sprzeczności z drugim twierdzeniem p. Siemiradzkiego w tej kwestyi (klimat był wilgotniejszy), a przytem sam w sobie jest faktycznie niepewny. Wreszcie p. S. każe przyczynie (wzniesienie gór), jeżeli nie logicznie, to przynajmniej realnie bezpośredniej¹⁾, a występującej jednorazowo, spowodować skutek dopiero po niezliczonych wiekach (telepatya geologiczna!) i to kilkakrotny, tak, iż były peryody, w których przyczyna, istniejąc, nie działała. W tej „wspaniałości“ konstrukcyi logicznych przewyższył prof. dra Siemiradzkiego chyba jeden tylko dr. prof. W. Lutostawski²⁾ — no, ale to przecież profesor logiki!

Po tej dygresyi, która była konieczna dla podniesienia zasług mego „wspaniałomyślnego“ krytyka, powracam do mojej podróży.

Idąc rumowiskiem wzdłuż grzbietu doszedłem do najwyższej sterczącej skały, którą widziałem z Masłowa. Wznosi się ona fantastycznie, stromo; lecz po

¹⁾ Gdyż ze wzniesieniem się gór równocześnie następuje oziębienie — bezpośrednia przyczyna zlodowacenia.

²⁾ „Skąd się biorą pesymiści“. *Ateneum*. Porówn. artykuł „Forpoczty“.

trawiastym gzymsie, który ją pochyło opasuje, oraz po schodowato połupanem zboczu, można się dostać na jej szczyt, z którego doskonale widać Kielce. Za tą skałą, ku wschodowi, grzbiet się zniża, rumowisko staje się rzadsze i drobniejsze; widocznie lodowiec p. Siemiradzkiego lubił pokonywać trudności; im wyższy napotykał grzbiet, tem większe głazy i tem więcej ich tam wynosił.

Zdążamy tym grzbietem na wschód ku wyłomowi Nidy Czarnej, grzbiet nagle się zniża, a raczej odsuwa ku północy, zstępujemy w dolinę poprzeczną, wzdłuż której idzie droga, uszu naszych dolatuje plusk wody i za drogą spotykamy głęboki wąwóz, porośły brzozą i jałowcem; w głębi płynie po głazach bystry, szumiący potok; szum wód, gęganie gęsi, ryk krów, beczenie owiec, szczekanie psów, widok pastuszków i pastuszek — wszystkie te głosy i objawy bliższej wsi czynią miły kontrast z ciszą i pustkowiem przebytego grzbietu megalitów.

Usłyszawszy szum potoku, sądziłem, że to Czarna Nida, lecz niebawem dostrzegłem, iż potok zaczyna się niedaleko, po tej samej stronie gór, nie tworzy wyłomu, lecz zwykłą dolinę poprzeczną, jest dopływem prawym Nidy, której wyłom leży dopiero nieco dalej.

Zszedłszy do wsi Mąchocie Dolnych i wykąpawszy się w szumiącej Nidzie, udałem się w górę wyłomu. Rzeka trzyma się lewej strony doliny, po prawej, po której szedłem, rozpościerają się łąki i prowadzi droga. Zbocza gór spadają stromo, ale nie urwisto, ku dnu wyłomu, są porośnięte brzozami; tu i owdzie zbocza się przerywają i na dolinę główną wychodzą krótkie ma-

lownicze wąwozy o dnie łąkowym, o zboczach też stromych, porośniętych brzozą. W najwyższej części gór na brzegu rzeki i w samej rzece występują wielkie głazy czerwonawe; wąwóz boczny, w tym miejscu zbiegający do wyłomu, jest dziki, nie łąkowy, lecz zasypany rumowiskiem; wyjście jego zostało zagrodzone potrójnym płotem chróścianym, dla ochrony łąk nad Nidą od zanieśienia rumowiskiem. Na początku wyłomu jest młyn, a poniżej młyna droga przekracza rzekę po sterzcących głazach. Powyżej młyna i wyłomu, gdzie góry, ścieśniające dotąd rzekę, zniżają się, oddalają i znikają, szczególnie po lewej stronie rzeki, Nida, zatamowana młynem, płynie wolno, szeroko, sennie, wije się węzłem wśród łąk, świeżo skoszonych, pokrytych kopami siana. W jej zwierciadlanej powierzchni odbijają się wyraźnie korony licznych olch; jestto obraz pełen idyllicznego wdzięku. Usiadłszy na łagodnych lewych zboczach wyłomu, patrzyłem długo na ten pociągający obraz, aż zaczął znikać w ciemnościach wieczoru.

Już góry pociemniały, w dolinach noc głucha,
 Źródła szemrzą, jak do snu na łożu z bławatów;
 Powietrze, tchnące wonią — tą muzyką kwiatów,
 Mówi do zmysłów głosem tajemnym dla ucha.

W wyłomie Nidy spotkałem Sonntags-fischera z Kielc, który wybrał się tu na niedzielę dla łowienia ryb i raków; brodząc po wodzie boso, z wysoko zawiniętymi spodniami, wyglądał jak pacjent księdza Kneipa, a to tembardziej, że miał minę skwaszoną, gdyż, jak utrzymywał, psy zjadły mu wątrobę —

cielejącą, zabraną na przynętę. U nas psy też szarpią wątrobę, ale ludzką.

Na całej przestrzeni wyłomu zbocza, o ile mogłem dojrzeć, prawie nigdzie nie są obnażone, w niewielu zaś takich miejscach przedstawiają rumowisko, pomieszane z piaskiem, nic więc o uwarstwieniu dowiedzieć się nie mogłem. Ponieważ jednak linia grzbietu i podnóże gór są po zachodniej stronie wyłomu bardziej na północ wysunięte, niż po stronie wschodniej, więc być może, mamy tu przed sobą zjawisko pęknięcia i przesunięcia, czyli uskoku poziomego, który wskazał drogę rzece i przyczynił się do powstania wyłomu. Widzieliśmy też, że powyżej młyna, przy owym idyllicznym krajobrazie, góry zniżają się i nęką, szczególnie po stronie lewej, podczas, gdy po stronie prawej zamykają ten krajobraz dość wysokimi zboczami. Poprzednio zaś widzieliśmy nad ową doliną prawego dopływu Nidy nagłe obniżenie się grzbietu, a raczej odsunięcie się ku północy — wszystko to czyni tu istnienie poziomych przesunięć bardzo prawdopodobnem.

Na wschód od wyłomu grzbiet jest nagi, też usypany rumowiskiem w miejscach wyższych, poniżej tylko tu i ówdzie leżą głazy, powierzchnia zboczy północnych jest cała przemokła od licznych źródeł. I tutaj zbocza są odgradzone od pół rowem, zbierającym wodę źródeł, która wąskimi brózdami sączy się poniżej rowu ku dolinie podłużnej.

Powyżej wyłomu, nad potokiem, płynącym od Wilkowa i szczytu św. Katarzyny doliną podłużną na zachód ku Nidzie leżą Mąchocice Górne po lewej, a Ciekota po prawej stronie potoku; tu znajduje się

drugi młyn, z kołem nasiębiorczem. Tu przenocowałem u młynarza w stodole na sianie, mając zamiar, następnego dnia udać się dalej na wschód dla zwiedzenia najwyższej części Łysogór.

III.

Obudziwszy się bardzo rano, usłyszałem deszcz, a następnie grzmoty; dostrzegłszy jednak przez szparę stodoły, że góra Św. Katarzyny, stanowiąca lesistą kopułę o zboczach nieco wklęsłych, zaczyna się wyjaśniać, zwinąłem rzeczy i puściłem się w drogę. Grzmoty z błyskawicami rozlegały się po tamtej, południowej stronie gór, podczas gdy po tej zaświeciło słońce.

Szedłem na wschód wzdłuż nowej podłużnej doliny rzeczki Mąchockiej (dopływ Nidy); łańcuchy gór, zamykające tę dolinę z południa (Łysogóry) i północy (góry Bodzentyńskie), ciągną się bliżej siebie niż w bródzie Kieleckiej. Dolina ta, ciągnąca się ku Nowej Słupi, jest z początku mniej wesoła niż Kielecka: grunta sapowate, zamiast rzepaku i pszenicy, widać tu tylko kartofle, owsy, łubin, nikłe żyto z kostrzewą; woda stoi na polach, zboże wymaka i musi być siane późno, gdyż na wiosnę grunt długo nie obrycha.

Droga po mostku przekracza strumień, który płynie doliną łąkową podmokłą. Śród pól na jednym z niemi poziomie rozciągają się też i łąki, dość oryginalne, gdyż porośnięte jałowcem, a tu i owdzie kępami torfowca.

Pod Wilkowem skręciłem na prawo i, mijając po

prawej Krajno, poszedłem ku Św. Katarzynie po łagodnych zboczach gór, porośniętych jałowcem i służących za pastwisko, ogrodzonych od niżej leżących pól wałami z kamieni i darni. Wszędzie słychać plusk wody, strumyki tworzą małe kaskady, na pastwiskach chodzi bydło, a także owce i gęsi; zbliżam się do wsi. Zapytuję czerwono ubrane pastuszki, co to za wieś — odpowiadają: Krajno. — Jakto, powiadam zdziwiony, tam Krajno i tu Krajno? — odpowiadają mi mową bogów: „ajno“. — Tak więc po tej stronie gór są dwa Krajna (i tyleż po drugiej).

Pytam w kilku chałupach o mleko, nadaremnie: twierdzą, że niema. — Jakto, powiadam, tyle krów chodzi po pastwisku, a nie macie mleka? — to też, odpowiadają, że „po pastwisku: tam chodzą też owce i gęsi, trawa wypalona, krowy nie mają co jeść“. Część prawdy jest w tem bezwątpienia, lecz część przypisać też należy niechęci do obcego, którego, jak się później dowiedziałem, posądzają o zaczarowanie mleka! W jednej chałupie udało mi się wreszcie mleka dostać, lecz i tu kobieta, kołysząca dziecko, podała mi mleko z pewną mrukliwą niechęcią; tem więcej byłem zdziwiony, gdy później trzeba było użyć perswazyi by przyjęła zapłatę. Przy tej sposobności stała się rozmowniejszą i dowiedziałem się o przyczynie jej niechęci, a raczej apatyi: przed paru tygodniami, jej ukochane trzechletnie dziecko utopiło się w studni, której ocembrowanie jest zbyt niskie. Wydobyto je w krotce, ale nikt nie umiał ratować.

Teraz pociągają ją do odpowiedzialności, że kołysząc jedno dziecko, nie mogła dopilnować drugiego, które trudno było trzymać wciąż w dusznej izbie.

Od stóp Św. Katarzyny zaczyna się wspaniały las jodłowy, drzewa proste, jak świece, strzelają ku niebu; niektóre zwalone wichrem mierzą po trzydzieści kilka kroków długości. U stóp północnych leży klasztor Św. Katarzyny.

Przy wstępie na górę złapała mnie burza gradowa, a choć wkrótce zdołałem się schronić do domu leśniczego, jednak przedtem zmokłem do nitki, a grad wypełnił mi kieszenie paltota.

Gdy deszcz ustał, zacząłem znów wstępować na górę po linii wyciętej wśród lasu. Burze tu muszą być szalone, gdyż napotkałem jodły, które dwóch ludzi zaledwie objąć by mogło, złamane na wysokości człowieka lub wyrwane z korzeniami. Korzenie z powodu skalistości gruntu rozpościerają się poziomo, to też wyrwane z ziemi, splecione, zlepione, postawione pionowo, tworzą wysokie ściany, tamujące drogę. W miarę zbliżania się do szczytu mnoży się ilość napotykaných ostrokanciastych głazów; wyborny teren komunikacyjny, „nierówny a jednak gładki“, zwłaszcza po świeżym deszczu: ześlignawszy się z głazu wpada się w maziste błoto; no, ale polecivszy się opiece patrona — szewców, brnąłem dalej po tym dylemacie komunikacyjnym. Wkrótce przekonałem się, iż trzeba się też było polecić opieczą patrona krawców, albowiem coraz częściej tamowały mi drogę sterczące konary jodeł i ściany ich korzeni.

Kanty rumowiska są ostre, zarówno niżej jak i na szczycie góry, nigdzie śladu działania lodowców. Sam szczyt kończy się wspaniałą piramidą rumowiska. Wrażenie, jakie ona czyni, zdołamy sobie wyobrazić, jeżeli usypimy piramidę z kawałków cukru i wylol-

brzymimy ją w myśli do wielkości piętrowej kamienicy, a pojedyncze kawałki — do wielkości komody. Wstępując na tę piramidę po deszczu, gdy głązy są oślizgłe, trzeba zachować wielką ostrożność, by nie złamać nogi; a możnaby w takim razie długo tu monologować.

Dostawszy się po części na czworakach na szczyt rumowiska, usiadłem na wielkim gładzie. Nie dziwię się teraz, że szczyty Łysogór wiążą się u ludu z zabobonami: nawet człowiek cywilizowany nie może oprzeć się pewnemu mistycznemu uczuciu, gdy znajdzie się samotny wśród tego rozpaczliwego rumowiska, jakby rękami tytanów nagromadzonego, pośród ciemnego boru, którego ciszę przerywają często gromy piorunów, lub przynajmniej srożące się echa dalekiej burzy.

Na drugą, południową stronę tej piramidy zejście jest krótkie, a dalej grunt, wolniejszy od gładów — znów się wznosi ku drugiemu szczytowi, gdzie stoi sygnał drewniany. Szczyt ten spływa się na południu z łagodniejszym spadkiem całego grzbietu. Widok na północ jest częściowo otwarty pośród drzew, ale monotony, tembardziej, że pogoda była dżdżysta, horyzont zamglony.

Droga na szczyt zajęła mi przeszło godzinę; mógłbym się przytem pochwalić, że mimo fatalnego terenu nie upadłem ani razu, ale nie jest to wcale moją zasługą, leżało to w moim własnym, dobrze zrozumianym interesie.

Przy schodzeniu, niższa część drogi, gdzie głązy nie panują już tak wyłącznie, gdzie więc miałem do wyboru między gładami i — błotem, wydała mi się

arcywygodną, prawie jak warszawski trotuar. Jakże względniemi są nasze uczucia. Dobrze powiedział ktoś, że największą rozkoszą jest chwila, gdy człowieka przestały boleć zęby — niestety, nigdy rozkoszy tej nie doświadczałem; wyobrażam sobie jednak dobrze, iż niewolnik, przyzwyczajony dostawać po 100 batów dziennie, musi być nieskończenie wdzięczny plantatorowi, gdy ten zacznie od pewnego czasu wyliczać mu w dobroci serca tylko po 99.

Zejsście trwało tylko pół godziny, gdyż z jednej strony przyciąganie ziemi, a z drugiej deszcz coraz gęstszy i zmrok zapadający dodawały mi przy zstępowaniu niemało animuszu; tymczasem przy wstępowaniu coraz gęściej gromadzące się głązy wywoływały pewien hamletyzm — analizę psychiczną, której punktem wyjścia były rozmaite części składowe mej garderoby.

Wróciwszy do domu leśniczego, zjadłem z nim jego zwykłą arcyposilną wieczerzę — grzyby z kartoflami i poszedłem spać na zwykłe idylliczne siano; na ten raz nie w zapole, lecz, że tak powiem, na sianie *in statu nascenti*, t. j. na wozie, z którego nie zdążono jeszcze zrzucić siana w zapole.

IV.

W nocy budziły mnie gęsi, które, jako nieodrodne potomkinie kapitolinśkich, reagowały gremialnie na najmniejszy szelest; były niejako jego multiplikatorem. Reagowanie to udzieliło się i mnie, gdyż mam duszę wrażliwą, i byłem dumny, budząc się pod wpływem tego samego motywu, co niegdyś wielcy bohaterowie,

„stojący na straży ideałów“ sławnego Rzymu; a czyż i dzisiaj mózgi gęsie nie dopomagają naszym wodzom, „mistrzom“ do uświetnienia Rzymu? Zresztą nie można nie dostrzedz postępu: dziś prócz gęsi przyjmują w takich sprawach ważny udział i inne zwierzęta swojskie...

Zbudzony gęganiem, „oglądam mój rewolwer“, jak mawia dzielny nasz amerykański podróżnik dr. Siemiradzki¹⁾ lecz napróżno, nieprzyjaciel nie zjawił się niestety. Choć, jak się później dowiedziałem, nie był tak bardzo daleko: w sąsiedniej chacie złodzieje wystawili okno i, korzystając ze „prawiedliwego“ snu mieszkańców, wynieśli skrzynię z rzeczami.

Rano, schodząc z wozu, zauważyłem, że tuż koło niego z boku stała wielka maźnica pełna smoły; dziwiłem się niepomału memu niezwykłemu szczęściu, że wchodząc wczoraj pociemku na wóz z tej strony, nie wstąpiłem akurat w maźnicę: byłby to nietylko przenośny ale i konkretny „pech“; a to jedyna rzecz, na której mi nigdy w życiu nie zbywało. Wyjątkowy ten wypadek zepsuł mi humor, gdyż nie podchodził pod zasadę mego już wyrobionego światopoglądu; gdy się zaś wyrobi pewną naukową teorię, nieprzyjemnie jest spotykać fakty, które jej nie sprawdzają.

Pocieszyłem się jednak wkrótce choć drobną kompensatą: z siana, z tego idyllicznego, upajającego siana, włożył mi w ucho jakiś twór żyjący i przez cały dzień wyprawiał tam awantury, chcąc się widocznie wyco-

¹⁾ Prof. dr. Siemiradzki zbiera jak wiadomo też i w Ameryce laury: o amerykańskich pracach p. S. ostatni numer „Petermann's Mittheilungen“ (1899 r. Literatur Bericht Nr. 818) powiada, iż jestto: „Produkt des wüstesten Dilettantismus“!

fać z fałszywej pozycyi. Ponieważ, zgodnie z teorią Tołstoja, znajduję szczęście jedynie tylko w dopomaganiu innym i to mianowicie swą pracą (nie pieniędzmi, bo to niemoralne!), więc starałem się wszelkiemi siłami dopomódz zupełnie bezinteresownie temu nieznanemu mi, ale widocznie „maluczkiemu“ bliźniemu; a to znów za pomocą twardszych ździebeł tego samego siana (*similia similibus curantur!*), lecz nadaremnie; długo obawiałem się o losy mego lokatora: z czasem ucichł on zupełnie i dotąd pozostaje w niewiadomości, czy padł ofiarą fałszywej pozycyi, jak generał Wauchope w pułapce Boerów, czy też się wydostał i w którą mianowicie stronę — na zewnątrz, czy na wewnątrz?

Ale wracam do wątku podróży. Rano puściłem się w drogę dla obejrzenia źródła Św. Franciszka, bijącego ze zbocza Św. Katarzyny, oraz — kaplicy tego świętego. Wogóle u stóp i na zboczach Św. Katarzyny jest wiele źródeł i kaplic, z których każda ma jakieś specjalne utylitarne przeznaczenie; jedna stoi nad źródłem uzdrawiającem, pod drugą składają włosy chorzy na kołtun i tp.

Droga do źródła Św. Franciszka prowadzi koło klasztoru Św. Katarzyny. Idąc nią, zamiast zboczyć na prawo zaraz za klasztorem, poszedłem mylnie w górę; droga jest tu typową dla danej okolicy, t. j. jak wiadomo, stanowi mieszaninę gładów i błota w stosunku *quantum satis*. Kamienie prowadzą zarówno przez błota jak i strumyki, i są zwykle kantami zwrócone ku górze, mają więc tę dobrą stronę, że tylko dotąd zmuszają do hamletyzmu, póki się nie zacznie po nich przechodzić; lecz, gdy raz już zdecydowaliśmy się i nabyli pewnego rozpędu, wtedy odbywa się

już tak szybkie ruchy ekwilibrystyczne, że niema czasu do rozwiązywania dylematów, na który kamień postawić nogę. Sądzimy, że chodzenie po tutejszych kamieniach przez błota i strumienie byłoby daleko lepszym środkiem zwrócenia ducha na zewnątrz, niż radzone przez lekarzy przeduchowionemu Tainowi, posuwanie nogą kamyka na przechadzce.

Z powodu takiej kamienistości gruntu ludzie chodzą tu w drewnianych trepach: podeszwy z obcasami drewniane, a nosy skórzane, przybite do drewna gwoździami. Tylko kobiety sądzą, iż im nie wypada, chodzić w takich trepach — wolą za to obwiązywać sobie szmatami nogi skaleczone i — kuleć.

Znalazwszy wreszcie właściwą drogę, doszedłem do źródła Św. Franciszka. Stoi tu kaplica drewniana z kamienną posadzką; u ołtarza posąg Św. Franciszka, obok inne posążki; przed nimi kwiaty sztuczne, wetknięte w dwie — butelki z etykietą: *»Kreuzbrunn Marienbäder prämiirt mit dem Ehrenmedail. des k. k. Handelsministeriums*. To zapewne argument „premiowany“, świadczący o cudowności leczniczej św. Franciszka. — Źródło przedstawia kotlinę w kształcie stożka eliptycznego, obłożonego schodowato głazami; z kotliny tej wypływa potok, dokoła olbrzymie jodły i cisza wspaniała letniego poranku — tylko plusk potoku.

IV.

Pierwiastkowym moim planem było po zwiedzeniu Św. Katarzyny pójść grzbietem Łysogór do góry Świętokrzyskiej, jednak przekonałem się, że na to dość

wprawdzie jednej dobrej pary nóg (czasami przy pomocy pary rąk), ale jednej pary butów — stanowczo za mało. Zwiedziwszy więc źródło Św. Franciszka, wróciłem do stóp góry i zdecydowałem się dotrzeć do Św. Krzyża wzdłuż północnego stoku gór. Przy tej sposobności postanowiłem zboczyć na północ, do Bodzentyna, gdzie miałem nadzieję zjeść coś pożywniejszego, gdyż dotąd żyłem prawie samem mlekiem i wodą cudownych źródeł, bałem się więc, by moje zęby nie odwykły od gryzienia.

Droga do Bodzentyna wkracza niebawem w las sosnowy, następnie wspina się na wyniosłość i tu do sosny mieszają się jodły i dęby; za lasem droga prowadzi wśród silnych falistości. Temi falistościami terenu, falującymi też zbożem, spada lesisty grzbiet Bodzentyński ku dolinie Bodzentyna, zroszonej wodami Świśliny (dopływ Kamiennej). Widok z góry na rozestany w dolinie Bodzentyn (Bożęcín u ludu), z lśniącymi białymi ścianami i jaskrawo czerwonym dachem kościoła oraz ze zwaliskami zamku, jest malowniczy.

Na odślonięciach drogi, gdzie ona się zagłębia w stoki pochyłości, widać, że wchodzimy w krainę lössu, którego warstwa jest tu bardzo gruba; to też na pochyłościach falują bujne łąny pszenicy; między niemi biegną dolinki łąkowe o zboczach stromych, ale nie urwistych.

Szczątki zamku stoją na górze, stromo ku rzece spadającej. Zamek bardzo zniszczony, zostały trzy narożniki z wieżami; zbudowany jest z cegieł i gładów szarych i czerwonych. Brama dobrze zachowana z piaskowca czerwonego. Na podwórzu pasą się gęsi i włością psy.

Zamek, na którym brzmiało wesele,
 Wieczna żałoba pokryje,
 Na wałach dzikie porośnie ziele
 W bramie pies wierny zawyje.

Co do prozaicznej kwestyi, która ściągnęła mię do Bodzentyna, to w tutejszej restauracyi nie mogłem się zbyt odrestaurować: dostałem niestety tylko jakiejś siekaniny i raków; mówię „niestety“, gdyż siekaniny w restauracyach mają dla mnie zawsze w sobie coś mistycznego, wiadomo zaś, iż chodziło mi o rzeczy „pozytywne“; zresztą mistycyzm w potrawach działa na mnie przygnębiająco, gdyż przypomina mi owe słowa wieszczki: „a ktoby chciał wzystkiego rozumem dochodzić — i umrze i nie będzie umiał w to ugodzić“. Rzeczywiście: co było w tych siekaninach, to mógłby wiedzieć chyba tylko jasnowidzący; ja jedno tylko mogę twierdzić na podstawie studyów — petrograficznych, że głównymi właściwymi składnikami były: pieprz i sól; reszta to tylko akcesorya i wtrącenia. Ale czegoż nie strawi żołądek podróżnika: wszakże bezwątpienia na tej podstawie zwolennik analogii, Kneip na wszystkie dolegliwości żołądka każe pić napar z podróżnika (*cicchorium intybus*).

Restaurator w Bodzentynie grubo mi zaimponował, a nawet przestraszył: przedewszystkiem dał mi bardzo dwuznaczne zapewnienie, że kto u niego jadł raz jeden, nigdy już gdzieindziej jeść nie będzie; powtóre jako ekskapelmistrz teatrów ogródkowych, czy też kelner, który zwiedził wszystkie stolice Europy, znał wszystkie hotele i tingeltangle, usiłował mi zaimponować wiedzą geograficzną. Przypomniał mi tem

wielu ludzi kelnerskiego typu, chwalcących się z tego, że widzieli wiele osobliwości, „nasiedzieli się w Paryżu“, — że „znają geografję“.

Ta „znajomość geografii“ bogatych filistrów jest nieraz prawdziwem utrapieniem, które prześladowuje geografa nie tylko w towarzystwie, gdy każą mu słuchać głupich i nudnych opowiadań „podróżniczych“, ale sięga nawet do stosunków nauczycielskich: jeden z młodych geografów, traktujących tę naukę rozumowo, opowiadał mi, iż po miesiącu wykładu na lekcji prywatnej, matka uczennicy, zubożona burżuazka, „podróżniczka“ po badach, imponująca wciąż swą „wiedzą geograficzną“, zapytała go: „kiedy pan wreszcie zacznie wykładać geografję?“ (chodziło jej o opis miast). Przypomina mi się tutaj ów chciwy wiedzy żydek chałaciarz, o którym opowiada Cezary Jellenta w swej „Eusapiadzie“: chałaciarz, kupiwszy bilet na przedstawienie kuglarskie, wszedł przez omyłkę na, odbywający się w tymże gmachu, odczyt filozoficzny; siedział i słuchał czas jakiś, nareszcie zniecierpliwiony zwraca się do sąsiada z pytaniem: „przepraszam pana, kiedy on już zacznie połykać żywe gołębie?“ Ten chałaciarz to milion: aby u nas obudzić powszechny interes, trzeba koniecznie umieć „połykać żywe gołębie“.

Cokolwiek mógłbym sądzić o „geografii“ restauratora bodzentyńskiego, muszę przyznać, że posiada on umysł szeroki, tolerancyjny, demokratyczny: podobnie jak nasi wydawcy, „popiera równomiernie interesy wszystkich warstw“, szanuje wszystkie stany — pijące; przytem działalność swą restauracyjno-monopolową potrafił oprzeć na podstawach naukowych.

Wiadomo bowiem, iż ideałem nauki jest umiejętność przepowiadania faktów; otóż potrafił on niemylnie przepowiedzieć, że goście po zjedzeniu jego siekanin będą pochłaniali niezliczoną ilość kufli piwa. Czy do takich rezultatów doszedł drogą samodzielną, to jednak wątpliwe, pochodzi on bowiem z Krakowa, gdzie w pewne dni w restauracjach dają darmo potrawy słone, aby zmusić do picia. Mój gospodarz więc mógł wiedzę tę przynieść ze swej ojczyzny; sprawiedliwość jednak każe przyznać, iż sposób ten potrafił on zmodyfikować, zastosować do nowych warunków gleby i klimatu, — wogóle *tz. milieu*: otóż podczas gdy w Krakowie dają potrawy słone — darmo, gospodarz bodzentyński każe za nie płacić — słono.

Postuszny niezłomnym prawom nauki, po zjedzeniu siekaniny i raków nadziejanych, wypłem coś z pięć kufli piwa. Mówię to pod sekretem, gdyż od czasu, gdy, niewdzięczny, porzuciwszy karmiące łono kamieniczników warszawskich, uciekłem się pod zbawcze skrzydła parcelacyi i osiadłem pod Warszawą, stawszy się łubinosiejem, zaprzestałem, jako drobny właściciel, używać, wszelkich „tronków“: nasz surowy proboszcz nałożył na nie *t a b u* dla drobnych właścicieli, podczas gdy więksi są od niego wolni, i słusznie: dziś wszystko zdrożało, dziś nawet bogobojny, ubogi chłopek płaci za pogrzeb kilkadziesiąt rubli, musi więc przez długie lata ciułać i oszczędzać — by zebrać sobie na pogrzeb „uczciwy“, mogący doprowadzić go do nieba. O ileż więcej powinien za to samo zapłacić heretyk!

Pokrzepiwszy się na ciele w Bodzentyń, skie-

rowałem me kroki za miasto na południo wschód, dążąc ku górze Świętokrzyskiej.

W lössowych przepuszczalnych okolicach Bodzentyna nie ma już tej obfitości źródeł, tego prze-moczenia gruntu, co w okolicy Św. Katarzyny; studnie z kołowrotami, głębokie, jak na lössową okolicę przystało.

Przed Dąbrową (drugą) góry Bodzentyńskie roz-płaszczają się, tracą lasy, przechodzą w łagodne fali-stości, pokryte bujnem zbożem. Dalej ciągną się lesi-ste Łysogóry, jak *lucus a non lucendo*, gdyż łysin tu nie wiele. Za Dąbrową pod Grabkowem rzeczka, by-stro w poprzek drogi płynąca, rozlała na drogę tak, iż przeszedłszy przez most, znalazłem się znów wo-bec wody. Obejść nie było można, gdyż po obu stro-nach drogi łąki też zalane. Szczęściem, iż po ukoń-czeniu mej geografii fizycznej dla kasy Mianowskiego, chcąc wzmocnić, nieco kapryszące, nerwy, leczyłem się czas jakiś metodą Kneipa — to znaczy, jak wiadomo, że uczyłem się chodzić bez butów: nauka ta przydała mi się teraz doskonale — niema tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Otóż użyłem metody Kneipa i przeszedłem w bród: za rzeką pojawiają się znów gruntu sapowate z kan-ciastemi głazami, jak w okolicach Św. Katarzyny; urodzaje znów złe, tu i ówdzie pojawia się jeszcze pszenica, ale nikła z miotłą, pola żółcą się łubinem, na ugorach znów kępy torfowca.

W pobliżu wsi Jeziorko, już na podnóżu Łyso-gór, niedaleko góry Świętokrzyskiej, pojawiają się piaski i gliny z głazami erratycznymi skandynawskimi,

a dalej znów löss, który mi towarzyszył aż do Sandomierza.

Na polu spotkałem kobietę, rwącą chwast; była ona widocznie mniej biegłą w sprawach czarownictwa, gdyż bez obawy obiecała mi mleka, gdy skończy robotę; ucieszyłem się tym szczególnym dowodem zaufania i korzystając z czasu, postanowiłem się wykąpać w rwącym potoku Jeziorkowskim, jakkolwiek było to, jak się zdaje, wbrew tutejszym zwyczajom: chłopci zapatrują się tu na kąpiącego się bądź z politowaniem, jak na narwańca, bądź z pewną zabobonną trwogą, podobnie, jak mieszkańcy Nowej Gwinei, unikają wody, sądząc, że *»der Teufel sasse drinnen«*. Namawiałem nieraz brudnego pastucha, pasącego bydło nad rzeką, aby się wykapał, ale gdzietam, nie dał się namówić, — nie głupi! Sądzę, że ludzie nie tylko się tu nie kąpią, ale nie używają nawet „pół-kąpiołka“. Na tej podstawie należałoby metodę Kneipa nieco zreformować: jeżeli polega ona na zwrocie ku naturze, naśladowaniu wieśniaków, to należałoby z jej terapii zupełnie usunąć — wodę.

Na urwistych brzegach Jeziorkowskiego strumienia (źródłowy Pokrzywianki), znajdują się odstonięcia czarnych i niebieskawych łupków ilastych (syluryjskich), kruszących się w drobne blaszki.

Jeziorko — to typowa wieś polska: chaty kryte słomą, (żyzny löss), ciągną się długim szeregiem po obu stronach drogi, wysadzonej wierzbami. Chodziłem po tej drodze do późnego wieczoru, bo najlepszym odpoczynkiem po pieszej podróży jest — znów przechadzka spokojna, bez pośpiechu i celu. Po jednej

stronie tej drogi ciągną się wąskie smugi pól, poro-
dzielanych miedzami, zniżających się ku rzece Je-
ziorkowskiej, zkąd rozlega się rechot żab; po drugiej —
pola podnoszą się ku lesistym grzbietom Łysogór,
gdzie najwyżej wznosi się klasztor Św. Krzyski. Do-
koła cisza, prawie cała wieś uspiona; tylko w jednej
chacie błyska światło w małym okienku — to moja go-
spodyni, Wikta. „krząta się koło wieczerzy“, spóźnio-
nej z powodu mitręgi we młynie. Nad tem wszy-
stkiem księżyc rozlewa swe łagodne światło — to
atmosfera w której mogą znaleźć ukojenie wszystkie
„dusze znużone“.

Ponieważ wieś Jeziorko leży tak blisko góry
Św. Krzyskiej a i sama przedstawia wiele zjawisk cie-
kawych, widoków malowniczych, więc postanowiłem
zatrzymać się tu na dni kilka; tembardziej, że zna-
lażem tu gospodarzy życzliwych tak, iż noclegi na
sianie i jakie takie pożywienie miałem zapewnione.

Nazajutrz, chcąc dotrzeć do św. Krzyża, wysze-
dłem z Jeziorka ku wschodowi i skręciłem na prawo
do Mirocie, wsi malowniczo położonej wśród wąwozów
lössowych, łąk i sadów. Od drogi, biegnącej w wą-
wozie, prowadzą schodki z głazów do chałup, zbudow-
wanych na wyniosłościach. Z Mirocie, przez obniżenie
w górach (nieco ku zachodowi od św. Krzyża) pro-
wadzi droga do wsi Huta, leżącej po drugiej stronie
gór, zkąd zbudowano szosę do klasztoru. Idąc drogą
ku Hucie, spotkałem chłopa, który mi radził ominąć
tę wieś i pójść do św. Krzyża grzbietem gór, bo to
bliżej; spytałem go, czy niema tam dużo kamieni;
odpowiedział, że kamienie są wprawdzie, ale te same
są i na szosie z Huty. Ten stoicyzm wobec kamieni

byłby mi bardzo zaimponował, gdyby nie okoliczność że mój doradca miał na nogach buty — drewniane: tak więc ja w moich skórzanych znajdowałem się względem niego, jak drewniana flota hiszpańskiego admirała Montoya wobec stalowych amerykańskich kolosów Deveja. Przypomniałem sobie jednak męstwo Hiszpanów, więc mimo złego uzbrojenia, usłuchałem rady i skręciłem z drogi w lewo na grzbiet gór. Z upału słonecznych pól wszedłem w cienisty chłód leśny; znów doleciał mię szum strumieni, stuk dzieciociów, a gdzieś zdala — uderzenia siekiery i chrzęst piły.

Na grzbiecie to samo rumowisko, co na Św. Katarzynie, lecz mniej spiętrzone, mniej gęste, porozdzielane mchem, murawą, igliwem, wreszcie trociami i wiórami, gdyż tu są poręby.

Po tych rumowiskach można już iść, nie używając rąk: więcej utrudniają tu drogę złomy drzew, więc idąc tak czas jakiś po grzbiecie i widząc, że charakter jego pozostaje wciąż jednaki, skręciłem w prawo i wkrótce doszedłem do owej szosy, prowadzącej z Huty na św. Krzyż. Mówiono mi, iż przy budowie tej szosy wielu ludzi utraciło wzrok, gdyż niezmiernie twarde kwarcyty przy uderzeniu młotem raziły ostremi odpryskami w oczy.

V.

Przed klasztorem rumowisko jest porządnie zebrane; ułożono z niego płot dokoła ogrodu warzywnego. Klasztor służy obecnie za więzienie. Klasztor i więzienie, to jakby dwa *f a c y e s y* najnowszej for-

macyi, aluwialnej, spoczywające na starych, paleozoicznych kwarcytach, które, choć tak twarde, jednak z biegiem czasu rozsypały się w gruzy.

Klasztor-więzienie jest zbudowany z kwarcytów; z nich też zbudowany jest mur opasujący go; kwarcytów użyto także, jak widzieliśmy, na płot dla ogrodu, na szosę; z kwarcytów jest bruk więziennego podwórza. Podwórze ma wygląd ponury, zwłaszcza podczas ulewnego deszczu, jaki mię tu złapał: na bruku kwarcytowym stoją tu dwa długie budynki, jeden, z kamieni, służy za mieszkanie dla dozorców i ich rodzin; drugi, z drzewa — na kurniki i chlewiki. Takie vis à vis. Aresztanci, przysłani tu na poprawę, chorują na suchoty i próchnienie kości z powodu wilgoci: kamień, z którego zbudowany jest klasztor, tak nabiera wilgoci, iż woda spływa kroplami po ścianach więzienia („płaczący kamień“).

Rumowiska są głównie na zboczach, w pobliżu grzbietu: sam grzbiet posiada idylliczne, jasno-zielone polanki, otoczone ciemno-zielonym wiankiem jodeł. W pobliżu grzbietu leżą też dwie sadzawki, zasilane przez ocembrowane źródło.

Ciągły deszcz przeszkodził mi w zwiedzaniu okolic klasztoru, musiałem powrócić i na ten raz szedłem wciąż szosą do Huty, a stąd przez las (góry), gdzie musiałem się kierować ukazującym się niekiedy słońcem i mapą. Tak wróciłem znowu do Jeziorka. W drodze tej zwiedziłem część pól między wsią i podnóżem gór; pola te przerzyna łąkowa dolina potoku, płynącego na wschód ku rzece Jeziorkowskiej; ku dolinie tego potoku, werzniętej głęboko w powierzchnię lossową, zbiegają z gór wypłuczyska deszczowe

z urwistemi, pionowemi po części terasowatemi ścianami lossu. Na dnie tych wypłuczysk zasadzono wierzby dla przeszkodzenia niszczącemu działaniu wody; w węższych wąwozikach, wskutek obsuwania się ścian z darnią, powstały naturalne mosty, lub, jeśli kto woli tunele.

Lossowego charakteru tutejszej gliny dowodzą: pionowość i tarasowatość ścian, zbutwiałe korzonki roślin, oraz brak uwarstwienia i kamyków, z wyjątkiem konkrety wapiennych, „lalek lössowych“, (lösskindel); na ścianach wąwozu, wzdłuż którego prowadzi droga z gór do wschodniego końca wsi Jeziorko, konkrety te występują masami o formach najdziwniejszych; niektóre z nich są okrągłe, kartoflowate, inne złożone z dwóch soczewkowatych części na podobieństwo biszkoptów, jeszcze inne wyglądają jak posążki z poobtrącanemi kończynami. W jednej takiej konkrety był mały otwór, z którego wysuwała się długa dżdżownica; za dotknięciem schowała się weń cała. Choć architektura tego „domku“ bardzo mi się podobała, uszanowałem jednak cudzą własność i zostawiłem dżdżownicę w spokoju.

Wąwozy lössowe zwą się u ludu „wąkopami“, a konkrety — „zuzłami“. („Kamienny imbir“ u Chińczyków).

Następnego dnia rano obudziły mnie wróble, przelatujące nad głową pod dachem stodoły. Słońce cudowne, tylko szczyt Św. Krzyża tonie w lekkiej mgłę. Przedewszystkiem wykąpałem się w rzece jeziorkowskiej i przekonałem się, że woda od wczoraj znacznie spadła; zresztą dla przekonania się o zmienności wód tutejszych niekoniecznie trzeba się kąpać kilka razy

w tem samym miejscu; dość spojrzeć na liście wierzby nadbrzeżnej, powleczone mułem, na gałęzie, obwieszane źdźbłami traw, unoszonych przez wodę.

Dnia tego wybrałem się do Dębna, wsi prawie przytykającej do Jeziorka od zachodu; chciałem bowiem zwiedzić dalszy ciąg okolicy lössowej. Nad samą już drogą sterczą ściany lossowe; wprawdzie w jednym miejscu w Dębnie dostrzegłem w takiej ścianie głazy miejscowego kwarcytowego rumowiska, co mnie zrazu mocno zdziwiło, lecz gdy wśród tego rumowiska znalazłem skorupę z garnka, widoczną się tu stała interwencya człowieka: rzeczywiście, dowiedziałem się, że na grzbiecie tej ścianki była dawniej chata i dół na piwnicę.

Loss występuje głównie po południowej stronie tak Jeziorka, jak i Dębna, ku góróm; widocznie został tu naniesiony przez wiatry północne, podobnie, jak na północne stoki gór Bodzentyńskich¹⁾, w dolinie zaś między górami Bodzentyńskimi i Św. Katarzyną lössu niema.

Stąd po południowej stronie drogi, prowadzącej przez Jeziorko i Dębno, studnie są głębsze, posiadają zwykle cembrowiny, podczas gdy na północ od niej

1) Pewien podróżnik z „Kuryera Warszawskiego“ wysłany dla zwiedzania „stron ojczystych“, pouczał, że loss został do nas przywiany przez wiatry z Chin! To się dopiero nazywa słyszeć, że dzwonią, a nie wiedzieć, w którym kościele: löss, występujący masowo w Chinach, powstał, według Richthofena, przez nawianie wiatrem — naturalnie chińskim; loss polski, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powstał również przez nawianie wiatrem, — ale, naturalnie, polskim. To nie loss polski, tylko głowy polskie zostały zawiane przez chińczykę.

studnie są płytsze, a na cembrowiny wystarczają wypróchniałe i wyżłobione pnie jodeł (cieńsze pnie z dodaniem dnem służą na wysypki). Na polach lössowych nigdzie niema jałowca i torfowca, występują one dopiero pod samym lasem górskim, skąd wypływają źródła, zabagniające ten pas; i tutaj wody tych źródeł są przechwytywane na granicy pól przez rowy i skierowane w pojedyncze strugi, które żłobią sobie w polach lössowych głębokie wąwozy.

Ogólny charakter tego pasa lössowego. ciągnącego się u północnych stóp gór Świętokrzyskich, stanowią: wyniosłości faliste, równoległe do głównego grzbietu, pokryte bujnem zbożem; na dnie dolin podłużnych, dzielących te wyniosłości, płyną strumienie wśród zielonego kobierca łąk; ku tym łąkom zbiega lossowe spadają stromo, lecz są zwykle trawiaste; erozyja wód deszczowych pokrajała te zbiega dolinami poprzecznymi o zboczach urwistych; wąwozy te służą za drogi od wsi do gór. Na grzbietach wyniosłości stoją wiatraki, w dolinach nad bystro płynącymi strumieniami — młyny wodne. Na północ pasa lössowego występują grunta nieurodzajne, po części sapowate, po części piaszczyste, zwane „wydrzyskami“.

Chodząc wieczorem dla odpoczynku po ulicy wioskowej, spotkałem chłopca, który służył we flocie. Używał terminów marynarskich, opowiadał, jak raz chwyciła ich „kaczka“. Ponieważ, jak już wspomniałem, trudno mi otrząsnąć się z naukowości, więc zaraz przypomniawszy sobie, że wielkość zwierząt wodnych jest proporcjonalna do wielkości wodozbiorów, w których przebywają, zacząłem porównywać wielkość morza z naszymi sadzawkami, gdzie się hodują nasze

kaczki, i doszedłem do rezultatu, że morska kaczka musi być tak wielka jak kamienica warszawska, co wypasa nietylko właściciela ale i jego liczne przyjaciółki. To też przeszło mnie mrowie na myśl, jak taki potwór chwyci okręt w dziób, niby lokatora. Tymczasem całe to moje rozumowanie rozsypało się w gruzy, gdy mi marynarz wytłumaczył, że kaczka znaczy kołysanie się okrętu w czasie burzy. Druga rzecz którą mi opowiadał, nie była już tak zabawna: towarzysz jego na okręcie, chłopiec młody i przystojny, poniósł śmierć podczas manewrów: gruba lina którą armata jest przywiązana do ściany okrętu dla osłabienia cofnięcia się działa po strzale, pękła w jednym końcu i, odrzucona cofnięciem się działa, uderzyła stojącego obok kanoniera, przecinając go prawie zupełnie w połowie ciała; obie połowy trzymały się tylko na kości pacierzowej. Pochowano go na cmentarzu marynarskim, na płaskim wybrzeżu morza; burzliwa fala w dni kilka zmywa grób taki, pozostawiając miejsce na inny. Jest to przejściowa forma pogrzebu marynarzy, przebywających w pobliżu lądu: od zwykłego cmentarza do bezpośredniego pogrążenia w morzu.

Zachodząc do chaty mych gospodarzy, przyjrzałem się życiu tutejszej kobiety. Moja gospodyni jeziorkowska, Wikta, była doskonałym typem młodej wieśniaczki: silna, wysmukła, prosta jak jodła gór Świętokrzyskich, pracująca bez przerwy, bez pamięci o sobie, bez świadomości swej ofiary; cały dzień jest w ciągłym ruchu: małe dziecko krzyczy w kołysce, zawieszonej u pałupu na sznurach, kot, wyprawiając harce na nich, kołysze dziecko; w kojcu pod ścianą kury skarżą się i rozprawiają, jakby się uwolnić z zam-

knięcia bez złożenia jaja w ofierze. Wikta, skończywszy klasyfikację kur, bierze wrzeszczące dziecko na rękę i zaczyna je karmić; tymczasem drugie, starsze, lecz słabe, czepia się jej nóg, wogóle przychodzi do niej z każdą biedą: bolakiem, drzazgą, zadrapaniem przez kota itd. Lecz na kominie gotuje się obiad, war kipi; kobieta kładzie prędko dziecko na ziemi i chwyta garnek, nie zważając na taką drobnostkę, że war parzy jej ręce. Gdy jedno dziecko zaśnie na chwilę, a drugie się uspokoi lub wypęźnie do sieni, kobieta bierze się poparzonemi rękami do szycia koszuli z płótna, które sama z lnu wymiędliła, wyczesła, uprzedła, utkała. Całe ubranie na niej z wełny („sorc“) jest też jej ręką zrobione. Naturalnie, że obok tych zajęć pracownicy fabrycznej nie może zaniedbać gospodarskich: zbiera chwast dla krów, doi je, robi sery, pasie wieprza, dla którego gotuje w wielkich garach i tłucze kartofle; uprawia i pielęgnuje ogród warzywny, a nawet pod oknem zasadziła nieco kwiatów. Ruskin zachwyciłby się pewnie tą sielanką, ja także, choć w inny nieco sposób: patrzałem z podziwem na ten wielki zapas energii, lecz zarazem z żalem, że rozprasza się, zużywa tak marnie; cóż energia ta zdziałałaby mogła, gdyby była skierowana właściwie! Estetyk, wielki pan, lubujący się w sielankach, niech im się przygląda w teatrze, ale niech nie stara się utrzymywać ich gwałtem w życiu kosztem rzeczywistych aktorów, których, sądzi, że uszczęśliwia: przypomina się tu ów zblazowany magnat, esteta z jakiejś powieści, który ożenił się z naiwną dziewczyną tylko dlatego, by nabyć w niej piękny mebel stylowy, zdobiący jego zamek; kazał on jej,

odpowiednio ubranej, siadywać w starych komnatach przy kołowrotku i z rozkoszą znawcy zachwycał się całymi godzinami tym widokiem.

Z dwojga złego lepsza jest już praca fabryczna: daje ona przynajmniej jakieś chwile wytchnienia, ciągnie się tylko do pewnej godziny; tutaj wypełnia wszystek czas, wszystkie myśli, całe życie, nie dając nic w zamian. A panowie-estetycy, panowie-gospodarze, panowie-księża, dziwią się i oburzają, że lud tak mało ceni sielankę, dworek, kościółek i ucieka do miast, fabryk, ba nawet do bezbożnej Ameryki. — Patrząc na te wielkie zapasy sił, uwięzionych obecnie w sielankach Ruskinowskich, myślałem sobie, jakie rezultaty będą one mogły przynieść kiedyś, gdy zostaną wyzwolone z tej kołowrotkowej sielanki przy pomocy tych prozaicznych maszyn, które z czasem zaczną przecież pracować dla całej ludzkości.

VI.

Ostatniego dnia mego pobytu w Jeziorku moi gospodarstwo wybierali się do Nowej Słupi dla obowiązkowego zaszczepienia ospy dzieciom, więc skorzystałem z tego, aby sobie skrócić czas podróży, i zabrałem się z nimi.

Po drodze przez Mirocice jechaliśmy wciąż krainą lössową, stanowiącą północne podnóże góry Świętokrzyskiej. Jadąc, spotkaliśmy żebraków, nie pieszych, jak zwyczajni, nie konnych, jak abisyńscy, lecz jadących wygodnie własnym wozem, krytym budą płócienną. Widocznie obfitość klasztorów, pustelni, kaplic i źródeł cudownych — wogóle pewna aureola

świętości, wisząca nad okolicą świętokrzyską, wpłynęła na nadanie tutejszym żebrakom większej powagi i przyzwoitszej pozycyi, jako ostatniemu ogniwu w pewnym zwartym łańcuchu.

W Nowej Słupi, u wschodniego podnóża góry Świętokrzyskiej, kwarcyty wynurzają się z pod lössu; ulice są usypane rumowiskiem, trzęsienie wozu idealne: wprowadzie zdołałem kości utrzymać w kupie, ale wszystkie skazówki od zegarka odleciały. Śród rumowiska płynie mały strumyczek ze Świętego Krzyża. W górę potoku prowadzi do klasztoru droga usypana też z natury rumowiskiem, niewiele różniąca się od szosy, prowadzącej po stoku pochyłości północnej.

Korzystając z bytności w „mieście“, wstąpiłem do restauracyi na tak zwany „obiad“ — tu spotkałem kilku studentów, zwiedzających góry. Studenci, jako młodzi idealiści, zażądali bifszytków, ale ja, jako sceptyk, odradzałem im stanowczo: bifszytk w Nowej Słupi, gdzie we wszystkich objawach życia panują twarde kwarcyty, bifszytk w Nowej Słupi — to rzecz tylko nominalna, pusta kategoria kantowska, albo lepiej: to pseudomorfoza, krystaliczna forma bifszytku, wypełniona zupełnie nieodpowiednim jej — „minerałem“; to wreszcie „świątynia bez bóstwa“, jakby powiedział poeta. Ktoś zaproponował kwaśne mleko — na to aż skoczyłem: mnie, który dotąd, niby pacjent dawnych specjalistów od chorób żołądka, żywiłem się prawie wyłącznie kwaśnym mlekiem, mnie zaproponować coś podobnego... Byłem w położeniu słynnego podróżnika, majora Serpa Pinto, który, przechodząc Afrykę w poprzek, żywił się całe miesiące samą kukurydzą; gdy przybył wreszcie na

wybrzeże, gubernator Natalu przyjął go wspaniałą uczcią. Serpa Pinto rozkoszuje się znów atmosferą cywilizacyi, gdy w tem lokaj podaje mu półmisek — kukurydzy. Serpa Pinto rzucił na podającego wzrok tak straszny, iż przerażonemu lokajowi półmisek wypadł z ręki i rozbił się w drobne kawałki. Zdecydowaliśmy się wreszcie na tradycyjną jajecznicę, którą sobie urozmaicili kilku — jajami na twardo i kilku — na miękko.

Pożegnawszy się ze studentami, którzy odjechali do Kielc, poszedłem dalej na wschód, w kierunku Opatowa. Na drodze z Nowej Słupi do Zwoli Sarniej głązy coraz rzadziej widnieją z pod pokrycia lössowego. Przed Wołożnowem droga przekracza grzbiet, ciągnący się z południa na północ. Poprzeczne jego doliny mają tylko niewielkie, strome ścianki lösso, bo niżej występują łagodniejsze zbocza, usypiska z iłów łupkowych. Przy chatach, a nawet przy drogach, rosną czereśnie. W drodze zaszła mnie noc, ale ponieważ w Wołożnowie, pomimo tradycyjnej „gościnności“, nie chciano mi nigdzie udzielić stodoły i siana, a nocleg naturalny w bujnej sandomierskiej pszenicy unieвозмоżliwiały komary, więc postanowiłem iść dalej nocą, tembardziej że księżyc przyświecał. Wśród pola jednak droga, idąc dotąd na wschód, rozdzielała się: jedna szła na północ, druga na południe; mapy nie mogłem się radzić pociemku, więc trzeba było wybierać instynktem, od której z dwóch dróg pójdzie następnie droga na wschód. Wybrałem drogę południową, lecz ta prowadziła w las.

Błądząc nocą po polach, doszedłem do wsi Rostylic u podnóża góry Witosławskiej, gdzie napotka-

łem dwóch chłopów na stójce. Zaprowadzili mię przed jakąś szopę z sianem, gdzie spał gospodarz i budzą go: „przenocujcie pana“; ale gościnny gospodarz kazał nam iść do dyabła. Tu wmieszałem się do rozmowy: czegoż się boicie, przecież was jest trzech, a ja jeden, nic złego wam nie zrobię, mam paszport. Gospodarz się jakoś rozbudził, udobruchał i pozwolił mi znaną metodą gimnastyczną wdrapać się po chróścianej ścianie na górę. Tłómaczył mi się ze swej pierwotnej niechęci, twierdząc, że stójka nieraz budzi go na żarty, niby obcy, żądający noclegu; sądził więc że i teraz były to takie same psie figle, któremi mu sen przerywano. Przypomniała mi się stara facecya o dwóch podróżujących szlachcicach, z których jeden drugiego budzi na popasie, żądając rozstrzygnięcia trapiącej go wątpliwości: czy na tym parawanie, który widzieli na poprzednim popasie, Turek Chińczyka, czy Chińczyk Turka gonił!...

Rano zwiedziłem pobliską górę Witosławską, która, po pewnej przerwie, stanowi przedłużenie grzbietu Świętokrzyskiego, przesunięte nieco ku południowi. Góra Witosławska jest również złożona z kwarcytów i równie porośla lasem jodłowym. Blisko szczytu wznosi się tu kościółek drewniany, a w nim znajduje się puszka z napisem: „Ofiara na światło do Św. Juzefa“ (sic!). Za kościołem źródło, naturalnie uzdrawiające, z figurą kamienną Matki Boskiej. Niedaleko, w domku leśniczego, mieszka stara pustelnica. Zapytana, czy jej nie smutno, gdy w zimie śniegi zasypią górę, odpowiedziała, że jej „bardziej wesoło niż największemu monarsze“. Odpowiedź ta byłaby wielce sympatyczna, gdyby nie była wygłoszona

z emfazą i widoczną chęcią zrobienia efektu, zawstyżenia mnie, światowca, pływającego się po uszy w uciechach ziemskich, aby po śmierci pławić się równie głęboko we wrzającej smole.

Ponieważ musiałem już za parę dni być w Warszawie, więc dalszą podróż odbyłem końmi do Opatowa (dwie mile), a stamtąd do Sandomierza (cztery mile).

Droga do Opatowa prowadzi przez błogosławioną krainę lössu, albo „popielatki“, o powierzchni tylko lekko sfalowanej. Góry po prawej stronie (dalszy ciąg Witosławskiej) zniżają się, lecz ciągną jeszcze pod Opatów; z lewej — równina bez końca, nad którą na skraju horyzontu wznoszą się dymy fabryczne Klimkiewiczowa („Klimkiewica“). Pola pokryte bujną pszenicą, burakami cukrowymi, bobikiem, wyką, konieczną; wód mało, na wyniosłościach stoją wiatraki. Żyzność ziemi odbija się w barwach krajobrazu: brak tu mianowicie żółtej barwy łubinu, oraz białej — tartarki. Dachy chat są już wszędzie kryte słomą, która tu rośnie bujnie, podczas gdy drzewo jest rzadsze, niż w Świętokrzyskiem.

Pod samym Opatowem, za zbliżeniem się do rzeki Opatówki, powierzchnia kraju się urozmaica, wąwozy coraz głębsze, ścianki lössowe coraz wyższe. Na szosie, obok dotychczasowych kwarcytów, pojawiają się wapienie.

Chcąc się opłókać z kilkodniowego pyłu i otrześć z kilkonocnego siana, oraz zjeść obiad, stanąłem w Opatowie w zajeździe. Miałem do wyboru „Warszawski“, albo „Sandomierski“; do pierwszego nęciły mnie wrodzone sympaty, ale był dla mnie przeszło-

ścia, podczas gdy drugi reprezentował przyszłość; a komuż nie uśmiecha się przyszłość, choćby tak, jak owemu naiwnemu Madziarowi — „biała szata“. Wybrałem więc przyszłość

Ciemna brama zajazdu, niby tunel, woń stajni, metaliczny dźwięk zaprzęgów, świst włosienia ogonów, któremi konie, stojące u żłobów, oganiają się od much, chrzęst owsa gryzionego, chomąta dawnego stylu na koniach — wszystko to przypomniało mi żywo błogie lata dzieciństwa, gdy się podróżowało „wozem, końmi, sam i z ojca, a nie piecem, gdzieś do licha“.

Wiadomo, że niektórzy takie lub tym podobne osobiste wspomnienia dzieciństwa usiłovali uczynić kanonem estetyki i uszczęśliwić prozaiczną ludzkość powrotem do dawnych środków lokomocyi przez usunięcie kolei żelaznych, jako nieestetycznych! Jeżeli kiedyś ludzkość wymyśli środki lokomocyi od kolei żelaznych doskonalsze, to przyszli estetycy tego gatunku wystąpią przeciw nim i będą wymagali utrzymania kolei żelaznych, jako jedynie estetycznych, sielankowych.

W zajeździe podano mi obiad: mięso było zupełnie podobne do miejscowych świętokrzyskich kwarcytów; ta sama barwa szaro-czerwonawa, te same białe żyłki, ten sam numer na skali twardości. Podobieństwo było tak wielkie, że mogło złudzić niejednego petrografa; musiałby on na pewno z pomocą balsamu kanadyjskiego przygotowywać z tego mięsa szlify i badać je pod mikroskopem w świetle spolaryzowanym. Ja jednak, pozbawiony tych wszystkich naukowych przyrządów, doszedłem do rozpoznania

daleko prościej: za pomocą metody Rostanda — nosem. Dzięki Rostandowi, wiadomo mianowicie, że porządny nos może się stać narzędziem do osiągnięcia wysokich cnót, bohaterstwa i idealizmu; „dobry nos“ jest też, jak wiadomo, nieodzowną, a wielce poszukiwaną przez wydawców cechą redaktora każdego pisma, mającego na pieczy przechowanie ideałów. Ja umyśliłem użyć tego szlachetnego organu do badań petrograficznych; zresztę nie jestem w tym względzie zupełnie bez poprzedników, sądzę więc, że nie będzie to tak wielce karygodną z mej strony innowacją — że więc nie ulegnę za to takiemu potępieniu ze strony męźów, „stojących na straży“, jak za inne moje geograficzne nowatorstwa. Otóż tedy nos doprowadził mnie do tej prawdy — ale niebezpiecznie jest ogłaszać rezultaty badań: wszak „są prawdy, o których mędrzec nie mówi nikomu“ (naprzykład prawdziwa wysokość wody na nilometrze) — no, niech, co chce, będzie, jestem fanatykiem idei, powiem otwarcie: mięso śmierdziało. To jedynie różniło je od kwarcytów. No, ale menu nie kończyło się przecież na tem: przyniesiono mi jeszcze jakąś nogę zagadkowego, być może tak zwanego „przedpotowego“, ptaka, na pewno z rodziny cursores; poznałem to na podstawie teorii Lamarka o używalności narządów: widocznem było mianowicie po rozwoju muskulatury, że noga ta stanowiła organ najbardziej przez nieboszczyka używany; a ponieważ wojownicy chętnie pożerają serca padłych w boju bohaterów, ażeby nabyć ich własności, więc też i ja z chciwością ogryzałem nogę o mięśniach stalowej twardości, gdyż własność ta była mi przede wszystkim potrzebna w podróży.

Jedynie kapuśniak był dobry, bo u nas wszędzie urodzaj na głowy kapuściane, no i na głowy do pozłoty: rzeczywiście pozłota na tym kapuśniaku była tak gruba i przedstawiała tyle warstw różnego wieku geologicznego, że musiałem ją zdjąć pierwej na inny talerz i wtedy dopiero zabrałem się „na odkrywkę“ do eksploatacyi kapuśniaku. Przytem musiałem staczać walkę o byt z muchami, które, umoczywszy przedewszystkiem nogi w tłuszczu, chodziły następnie po powierzchni kapuśniaku na zasadzie znanego im widocznie prawa hydrostatyki.

Pokrzepiwszy się tak doskonale, wyszedłem na zwiedzenie Opatowa.

VII.

Śród miasta, na lössie, wiele tu sadów, obojżonych owocem. W ścianach lossu piwnice; dla ochrony tych ścian od obsuwania się, obsadzono krawędzie krzakami koziorogu (*licyum barbarum*), a pod kościołem farnym obmurowano je wielkimi głazami kwarcytu spojonymi cementem; ten cyklopowy mur czyni imponujące wrażenie; chyba nawet dzisiejsze armaty, ulepszone po konferencyi w Hadze, miałyby dość do roboty z takim murem. Zwaliska klasztoru pobernardyńskiego budzą smutny nastrój, tembardziej, że część tych ruin, przypierająca do kościoła, jest zamieszкана, co tworzy dziwny kontrast. Klasztor ten, odpowiednio do bogactwa geologicznego okolic, został zbudowany z najrozmaitszych kamieni: głazów kwarcytu, piaskowca, wapienia, no i cegieł — prawdziwie różnorodny konglomerat.

Przed Opatowem są cegielnie, ale löss niedobry na cegły; zrzucają go zwierzchu i dopiero pod nim znajduje się glina, zawierająca drobne odłamki kwarcytu, i tę biorą na cegłę.

Za Opatowem, za mostem na rzeczce, wpadającej z prawej strony do Opatówki, przy szosie, prowadzącej do Sandomierza, po prawej stronie występuje na jaw z pod lössu konglomerat czerwony. Skamieniałości nie miałem czasu w nim szukać, zresztą słaba nadzieja znalezienia ich w skale, będącej produktem silnego zburzenia. W każdym razie jest on młodszy od miejscowych skał dewońskich, gdyż są w nim ich okruchy. Rzeczka podmywa ten konglomerat, który wielkimi złomami stacza się do niej, tworząc rodzaj mostu, pod którym woda pędzi z szumem.

Wgółe okolice Opatowa są bardzo ciekawe pod względem geologicznym; niestety ani czas, ani środki nie pozwalały mi zająć się ich badaniem. Zresztą dowiedziałem się, że przed paru tygodniami jakiś geolog, najawwszy konie i przewodników na cały miesiąc, badał te okolice bardzo szczegółowo: jeździł do okolicznych kopalń, rozbijał młotkiem skały i zbierał próbki, jak się należy do pudełek i woreczków. Badania te, tak systematyczne, dadzą zapewne ciekawe rezultaty.

Noc w zajeździe, gdzie obiecywałem sobie odpocząć, stanowiła pendant do obiadu i godne zakończenie pobytu w tem mieście: doznałem tu tego, co Heine nazywa *Das schrecklichste der Schrecken* — *Kampf mit einer Wanze*; a pluskwa może człowiekowi prawie tak popsuć noc, jak — filister dzień, tembardziej, że oboje mają w sobie coś z rogu Wojskiego: gdy trapić przestaną — trapi jeszcze ich „echo“. Na

szcęście do „walki“ tej przygrywała mi muzyka, która, jak wiadomo, od czasu Tyrteja, podnosi ducha: była to mianowicie orkiestra beczących cieląt w poblizkiej obóroe. Jeszcze ta serenada cieleca się nie skończyła, zaczęła się jutrznia kogucia; zdało mi się, iż przeżyłem jedną z tych „jasnych nocy“ północnych, gdzie zmierzch wieczorny zlewa się z świtem porannym, aby człowiekowi było wciąż jasno. Przejęty dumą mego bohaterstwa i zważywszy na bliskość restauracyi, słyszałem śród tych głosów cielecych i kogucioich wyraźnie *morituri te salutant*; a że mi żywo tkwił w myśli, raczej — w nosie, poprzedni „obiad“, więc pocieszałem się altruistycznie tą myślą, że ciała tych *morituri*, zanim spoczną w żołądkowym grobie kogoś z przyjezdnych, długo leżeć będą w miłym cieple spiżarni aż do zepsucia. Jest to sposób gastronomiczny, praktykowany przez kanibalów. Traktowanie takim mięsem jest widocznie objawem atawizmu śród dzisiejszych Opatowian — to nowy dowód konserwatywnego wpływu gór.

Po tak pokrzepiającym noclegu, nająwszy konie, pojechałem wczesnym rankiem do Sandomierza. Zaraz za Opatowem, na lewo od szosy, w wąwozie, dostrzegłem pierwsze mieszkanie lössowe: drewniana ściana frontowa chaty leży na powierzchni ściany lössowej wąwozu, reszta wpuszczona w löss; jest to więc dopiero zawiązek mieszkań lössowych: gdy drzewo zdrożeje, to i frontowe ściany będą z lössu. W dalszej drodze skręcamy na lewo od szosy, gdyż wymówiłem sobie u furmana zboczenie do Karwowa dla obejrzenia źródła Kadłubka („źródło Św. Wincentego“). Jedziemy śród głębokich wąwozów lössowych; na gzymsach

trawiastych tarasów, biegnących wzdłuż ścian, pasą się krowy. spinając się po urwiskach, jak kozy. Wjeżdżamy w wąwóz tak głęboki, iż zupełnie tracimy widoki boczne, lecz wkrótce ściana się przerywa i przez tę przerwę, niby przez otwarte drzwi, odsłania się widok na wąwóz sąsiedni, niby drugi pokój za ścianą; jest to miniatura krajobrazu lössu chińskiego, znanego z wiekopomnej podróży Richthofena.

Karwów leży nad Opatówką, płynącą tu w głębokiej dolinie. Za wsią, na łące, wśród olch, bije źródło Kadłubka, woda wypływa drobną strugą, nad którą leżą głazy gąbczastego, lekkiego, brudno-białego tufu wapiennego, osadzonego z wody.

Wracamy do szosy inną drogą, wszystkie drogi jednak leżą tu we wgłębieniach: wiatr zwiewa pył z rozkruszonej drogi i nawiewa na pola, gdzie roślinność tamuje pęd wiatru i wpływa na osadzanie pyłu; tym sposobem droga się pogłębia, a powierzchnia okolicznych pól podnosi. W przeciwieństwie do tego, na północ obszaru lössowego, w krainie Wielkich Dolin, gdzie występują błota, drogi biegną często po wyniosłych nasypach. Wreszcie wyjeżdżamy znowu na szosę, biegnącą bez końca, wśród kraju równego, pokrytego bujnymi niwami; w barwach krajobrazu, jak już wspomnieliśmy, niema ani złotego łubinu (czasami tylko niebieski), ani też gryki „jak śnieg białej“: wobec żyzności gruntu pierwszy jest niepotrzebny, a na drugą szkoda ziemi. Miejsce krajobrazowe gryki, formę, że tak powiem, zastępczą, zajmują kartofle, które dzięki czy to swemu gatunkowi, czy żyzności ziemi, pokrywają się tak bujnym, białym kwiatem, że zdala robią wrażenia pól tatarczanych.

Na wyniosłościach i tu wszędzie wiatraki; studnie z korbą z łańcuchami lub z żórawiami, sztukowanemi z kilku drążków; świadczy to o głębokości studzien, a więc i o grubości pokrywy lössowej.

Podczas, gdy w pobliżu gór, wody z nich spływające, poryły w lössie głębokie wąwozy, na dnie ich płyną rzeki i rozścielają się łąki, nadające tej części okolic lössowych wygląd urozmaicony, malowniczy, pełen ruchu i życia, to dalej od gór nastaje ubóstwo wód płynących; doliny bezzreczne, płytkie, zwykle łagodne, uprawne aż do dna, nadają krajobrazowi lössowemu cechę jednostajności i martwoty: zwłaszcza gdy powietrze jest spokojne i wiatraki, sterzące na grzbiecie wyniosłości, stoją bez szumu, nieruchome, jak upiory. Tylko za zbliżeniem się do większej rzeki krajobraz, jak to widzieliśmy wyżej, staje się podobnie urozmaiconym, jak u stóp gór.

Jedziemy wciąż szosą bez końca, wśród równiny niezmierzonej, falującej lekko łanami zboża, niebo bez chmurki, upał prawdziwie stepowy: i tutaj, jak w stepowej ojczyźnie księżnej Jarosławny, „słońce trzykroć promienne i ciepłe rzuca żar nieczuły“.

VII.

Szosą mijają nas liczne bryczki i powoziki szlachackie, zaprzężone w „dziarskie“ konie; w powozikach siedzą eleganckie damy i panowie o minach „gęstych“; tu i owdzie sterczy wśród nich prosty jak świeca, wyświeżony kleryk z sandomierskiego seminarjum; to przyszłość — *die Jugend klopft!*... Wszyscy są w pudermantlach, jak przystało na krainę

lössową; przejeżdżając prędko, darzą mnie tumanami pyłu; skręcają na bok od szosy, dążąc do kościołów (była niedziela); i słusznie: mają za co Bogu dziękować, urodzaje wspaniałe; ziemia tutejsza wydaje bujny plon, użyźniana — potem ludzkim.

Wieśniaczki, które spotykamy po drodze, nie mają już, jak w Świętokrzyskiem, zapasek własnego wyrobu, albowiem w tej żyznej krainie niema nieużytków, a więc i pastwisk dla owiec; miejsce zapasek zastępują kupne kaftany niebieskiej barwy i także po większej części spódnice; zresztą te ostatnie bywają też czasami buraczkowe, kraciaste itp.

Sandomierz po brudnym Opatowie, wydał mi się rajską oazą, a przynajmniej drugimi Kielcami, t. j. drugim biegunem gór Kielecko-Sandomierskich: czysty, biały, czerwony, tonący w zieleni ogrodów, obciążonych owocem, z pięknym ratuszem w pośrodku, przypominającym Sukiennice. Domy są tu, podobnie jak w Opatowie, zbudowane na lössie i podobnie cierpią od obsuwania się ścian tegoż; i tu więc trzeba ścianki utrwałać, chronić od obsuwania się; nie uczyniono tu jednak tego tak mocno, jak przy farze opatowskiej: pod zamkiem, obronnym niegdyś, z jednej strony stromym spadkiem do doliny Wisły, z drugiej — do ubocznego głębokiego wąwozu, obmurowano ściankę, spadającą ku Wiśle, tylko murem ceglanym; to też po silnych deszczach tego lata (1899 r.) zwałił on się na przestrzeni kilkudziesięciu kroków, zasypując ulicę i tamując przejście; szczęściem zdarzyło się to podczas deszczu ulewnego, gdy nikogo na ulicy nie było. Koło kościołów ścianki starasowano i utrwalone zasianemi trawami.

Teren miasta lössowy, pokrajany wąwozami, stąd wiele ulic komunikuje się schodami i w ogóle nierówności terenu wyznaczyły tu rozkład ulic.

W labiryncie wąwozów lössowych, którymi poźłobiony jest grzbiet t. z. gór Pieprzowych, na północ Sandomierza, znalazłem ku wielkiemu memu zadowoleniu mieszkania w lössie („baraki“): sądząc, że zjawisk lössowych w Chinach, spodziewałem się *a priori* spotkać i tu, choć w miniaturze, zjawiska podobne. Tylko frontowe ściany są z cegieł, reszta w lössie, dachy słomiane. Na ścianach lössu mniej tu konkrety, za to bardzo wiele drobnych muszelek lądowych. Warstwa lössu leży tu na rumowiskach zwiertrzałej skały, w których przeważają odłamki wapienne; rumowisko to znów leży na łupkach żółtych i czarnych.

Między górami Pieprzowemi i Wisłą rozciąga się z początku równina z pastwiskami, ogrodami i sadami. Idąc wzdłuż niej, doszedłem do wsi Kamienia Plebańskiego, gdzie też są mieszkania lössowe; pytałem mieszkańców, skąd przyszli do takiego sposobu budowania; odpowiadali: „bieda nauczyła“. Löss jest tu tak twardy, że mieszkania te trzeba było wyrąbywać siekierą; świadczy to o wielkiej spoistości jego cząstek.

Tutejsze mieszkania lössowe mają ścianę frontową drewnianą; mówiłem mieszkańcom ich, tym nawpół troglodytom, że w pewnym kraju, w Chinach, ludzie budują sobie całe miasta w takiej glinie i nawet ściany frontowe są tam z tegoż samego materiału. Jeden z mieszkańców Kamienia Plebańskiego oświadczył mi, że jego chata też miała z początku front z gliny, ale mu się to wydało jakoś „do niczego“, t. j. nie podo-

bało mu się; zwałił więc ścianę z lössu i zrobił drewnianą, jakkolwiek ona bardziej woiąga wilgoć niż lossowa. Jak na przejściu z ustroju hordowego do rodzinnego, dziewczyna, wychodząca zamąż, musiała się wprawdzie oddać innemu, aby uczynić zadość świętej tradycyi (bo, jak rozumuje Połaniecki, „tak robiła jej matka, babka“ itd.), tak tutaj na przejściu od mieszkań drewnianych do lössowych, (wskutek drożenia drzewa) ludzie zachowywać będą czas jakiś przynajmniej frontowe ściany z drzewa, bo tak budowali ich ojcowie, dziady itd., więc oni byliby „kpami“, gdyby chcieli budować inaczej. Ale z czasem, gdy drzewo jeszcze bardziej zdrożeje, a ludzie bardziej zmadrzeją, to przekonają się, że właśnie „trzeba być kpem“, aby trzymać się starego zwyczaju, gdy warunkujące go okoliczności już istnieć przestały.

Za Kamieniem Plebańskim góry Pieprzowe przystępują bezpośrednio do rzeki stromemi, urwistemi zboczami kambryjskich łupków czarnych i żółtych. Zbocza są zasypane rumowiskiem czarniawem, blaszkowem; od tego, być może, pochodzi nazwa gór Pieprzowych; zresztą osypiska te są podobniejsze do miału węglowego, niż do pieprzu.

Po tych osypiskach trudno się było wdrapać; przytem noc już zapadała, deszcz zaczął pokrapywać; trzeba było wracać do miasta.

VIII.

W poniedziałek znów wybrałem się za miasto. Po wsiach zbocza lössowe ogrodzono płotami chróścianemi, co jednak nie wiele pomaga. W głębi wą-

wozów sadzą wierzby, niby afrykańskie „lasy gale-
ryowe“, schowane w wąwozie lub tylko wierzchołkami
wysterczające ponad jego krawędzie. Typowy pod
tym względem jest bardzo głęboki wąwóz Gołębi-
czanki pod wsią Gołębice. Jak w górach Łysogórskich
kopią rowy powyżej pól na granicy gór, aby uchro-
nić pola od wód górskich, tak tutaj kopią rowy po-
niżej pól, nad krawędzią wąwozu, aby ochronić go
od rozmycia.

Wzdłuż wąwozu Gołębiczaneki prowadzą ścieżki
po wąskich gzymsach ścian lössowych, wpoprzek zaś
wąwozu, na jego dnie są usypane niskie grobelki, po
których odbywa się komunikacja poprzeczna przez
wąwóz. Grobelki te przytem zatrzymują, skąpo sącząca
się, wodę i tworzą powyżej małe kałuże tamowe, w któ-
rych rozkoszują się gęsi.

Studnie znajdują się tylko na dnie wąwozu. W niż-
szej części wąwozu (w sensie podłużnym) groble są
większe i tu tworzy się już rodzaj stawu, w którym,
o dziwo! ujrzałem kąpiących się pastuszków; to wy-
jątkowe zjawisko łatwo jednak sobie wytłumaczyć:
kąpiel w tej gęstej, żółtej wodzie nie zagraża czło-
wiekowi — umyciem.

Jeszcze niżej, idąc wzdłuż wąwozu, dostrzegłem
pod ścianą lössu warstwę tłustej gliny czerwonej,
z której wypalają cegłę; löss jest tu podziurawiony
przez osy, jakby kulami karabinowemi. Dalej (wzdłuż
wąwozu) pod ścianą lössu występuje żwir. Następnie
widać znów cegielnię i glinianki; porządek warstw
od góry jest następujący: 1) löss, 2) glina szara o po-
wierzchni nierównej, wychodzącej po części na jaw
nad löss, 3) glina żółta, 4) glina czerwona, bardzo

wyraźnie poziomo uwarstwiona, 5) piasek pomarańczowy. Dostęp do tej ściany był niemożliwy: po ulewnym deszczu błoto maziste było tu niezgłębione. Jeszcze niżej wzdłuż wąwozu pod lössem leży glina brunatna, widocznie produkt wietrzenia skały wapiennej, zawierającej krzemień, gdyż występują tu ostre odłamki obu. Dalej wzdłuż wąwozu, na zboczach trawiastych pojawia się miejscami piaskowiec, bardzo kruchy, łupiący się w płyty. Wreszcie przy końcu wąwozu, gdzie już Gołębiczanica wychodzi na dolinę Wisły i ma tylko lewe zbocze wysokie, koło trzeciej cegielni występuje pod lössem znów glina czerwona, a pod nią piasek pomarańczowy.

Głęboka dolina Gołębiczanicy, ze stromemi, często urwistymi zboczami, pokrajanymi przez wąwozy poprzeczne, przyczem nieraz małe płaty wyżyny lossowej zostały zupełnie odcięte od masy głównej, przedstawia morfologicznie i genetycznie podobieństwo do doliny Prądnika pod Ojcowem; tylko tam materiał jest inny, trwalszy — wapień jurajski; tutaj przeważnie löss. Ściany lössowe noszą u tutejszych pastuszków nazwę „graba“; chłopcy urządzają tu sobie sport: ścigają się i mocują na samej krawędzi lub skaczą ze znacznej wysokości; ludzie i krowy muszą się tutaj odznaczać zręcznością, jak w górach. No, i ja też nabrałem pewnej zręczności, ale moje buty, zaatakowane już poważnie przez kwarcyty świętokrzyskie, tutaj pod wpływem wązkich i pochyłych gzymsów lössowych, oraz gliniastej mazi, odmówiły mi zupełnie posłuszeństwa: nabrały form tak dziwacznych, wichrowatych, można powiedzieć mistycznych, że po zdjęciu włożyć ich napowrót nie mogłyby nawet

uczony polski — na to potrzebaby chyba istoty czterowymiarowej!

Byłem więc zmuszony wejść w bliższe stosunki z szewcami sandomierskimi, a rzecz dziwna, mimo mych szczerze demokratycznych przekonań, czynię to zawsze z pewną niechęcią; czuję wyraźnie, że motywem zbliżenia nie jest tu ten szczerzy, wewnętrzny, zresztą nieco spóźniony, popęd towarzyski, który skłania np. poczciwych hrabiów krakowskich do hasania na balach rzemieślniczych — nie, u mnie jest to nieunikniony przymus konwenansu, którego nawet demokratyczny Kneip nie zdołał przełamać.

Wieczorem po wycieczkach zamiejskich lubię dla odpoczynku przechadzać się zwolna bez celu po ulicach miasta; w czasie takich przechadzek samotnych po obcym mieście doznaje się podwójnego uczucia: naprzód uczuwamy zadowolenie, że indywidualność nasza nie jest krępowana żadną inną, że myślimy i poruszamy się zupełnie swobodnie; następnie jednak opanowują nas przykre uczucie obcości, jakbyśmy byli cudzoziemcami w kraju obcym, lub nawet, jakbyśmy spadli tu z innej planety, albo też zostali przeniesieni do jakiej tajemniczej krainy z ubiegłej geologicznej przeszłości, śród obce zupełnie nam twory.

Podczas takiej przechadzki spotkałem w jakimś zaułku nad Wisłą dziwaczного starowinę, obszarpanego, w kapeluszu zgniecionym, z rondami opuszczonemi; miał rękę obwiązaną szmatami. Myślałem, że to dziad, pytam go, co mu w rękę, zaczął odpowiadać półśłówkami, robiąc miny i gesta tajemnicze; wreszcie wyznał, że został ranny w bójce, gdy napadło nań kilkunastu zbójów. Zdziwiłem się, z ja-

kiego powodu aż kilkunastu ludzi napadło na biednego dziada, ale jeszcze większe było moje zdziwienie, gdy mi tajemniczo wyznał, że to szło o kobietę: „chcieli mi odbić kochankę!“ Ale miłość zwyciężyła: „kochanka broniła się butelką, a ja nożem; bo ja proszę pana — dodał — jestem kropidlarz, wyrabiam kropidła dla księży, więc zawsze mam nóż przy sobie do strugania.“ No, jeżeli to wszystko prawda, to zaiste dzielny staruszek — niech żyją kropidlarze!

Zresztą dlaczego mu nie wierzyć? — ziemia, co ma tyle źródeł z wodą cudowną, musi mieć także dzielnych kropidlarzy (zarówno jak ma zamożnych żebraków) — wszystko jest nieprzerwanym łańcuchem przyczyn i skutków.

IX.

W dniu 25 lipca, a jedenastym mej podróży, musiałem już wracać do Warszawy. Część tej drogi od Sandomierza do Nowej-Aleksandryi, postanowiłem przebyć statkiem, aby zwiedzić najbardziej malowniczą część naszej Wisły, wyłom jej między wyżyną Sandomierską a Lubelską.

Statek odchodzi z Sandomierza o siódmej rano. Zejście z miasta do przystani poza gmachem gimnazjum jest karkołomne: wazka ścieżka wije się po wysokim zboczu lössowem, nad przepaścią, na dnie której widać dachy domów; ścieżka jest nie tylko wazka, ale i bardzo spadzista, tak, iż trzeba się dobrze wko-pywać obcasami, by nie przejść w galop, zwłaszcza, gdy się ma w ręku pakunek; przytem trzeba się tu, naturalnie, czasem wymijać z idącymi w górę.

Zeszedłszy na dolinę rzeki i idąc tu groblami, usypanemi z kwarcytów, oraz ścieżkami między wikliną, doszedłem do statku „Płoczczanin“. Było dopiero wpół do siódmej, ranek chmurny, ponury. Niezadługo przyjechał na brzeg powóz, cztery konie w leje, choma, liberya, jak za dawnych dobrych czasów — i weszła na pokład brać szlachta: dwóch panów z damą; a że to była szlachta polska, poznałem zaraz po pierwszych wyrazach: *»est-ce de la premiere (classe)?«*. Mimo to, a raczej dlatego, jeden z panów, widąc „nietutejszy“, pytał się drugiego, obywatela z okolicy, gdzie tu jest San, czy wpada do Wisły z lewej, czy z prawej strony?

Przed samem odejściem statku zajaśniało słońce i oświeciło spiętrzony malowniczo na górach Sandomierz. Statek rusza, Wisła z tyłu statku kłębi się i srebrzy w promieniach poranku; zbliżamy się do „Pieprzówek“, które rysują się na tle nieba krawędzią jednostajną, naga, czyniąc z dala wrażenie olbrzymiego szanca fortecznego. Zbliżka widać, jak górna krawędź trawiasta schodzi to niżej, to wyżej i spada stromo żółtawą ścianą lössu; niżej czarne osypiska łupkowe stanowią znów nieco łagodniejszą pochyłość. Granica między pasem jasnym i ciemniejszym jest dość równa, jakkolwiek warstwy łupku są zdyslokowane; widać powierzchnia ich, pierwotnie nierówna, została następnie wyrównana przez działanie wód bądź morskich, bądź atmosferycznych, zanim osadziły się na niej warstwy młodsze. Głęboka dolina dzieli ten szaniec na dwie części.

Płyniemy dalej, „Pieprzówki“ nikną, zbliżamy się do brzegu przeciwległego, niskiego; fala od statku nalewa się na nadbrzeżne wikliny, które kołyszą się,

jakby silnym wiatrem miotane. Oba brzegi Wisły są tu jednostajne, niskie; po prawej ta płaszczyna nadbrzeżna ciągnie się do skraju horyzontu, jako nizina Galicyjska, po lewej — jest ograniczona przez dalekie wyniosłości wyżyny Sandomierskiej.

Jednostajność brzegów pozwala mi spojrzeć na statek. Kajuta »*de la premiere*« z wszelkimi wygodami: siedzenia aksamitne, umywalnie, lustro, przed którymi damy porządkują swe toalety, podczas gdy solidni panowie, wyciągnięci, śpią na sofkach, niewiele się troszcząc o wdzięki Wisły i blaski poranku. Druga klasa natomiast niewymownie brudna i śmierdząca; po rogach kiwają się, tyłem do publiczności odwróceni żydzi, sądząc zapewne, że tem sprawiają Panu Bogu szczególniejszą przyjemność. Siedząca na twardej ławie, wynędzniała kobieta czegoś płacze; jakaś tłusta jejmość patrzy z poczuciem wyższości na taką „niepraktyczność“, „niezaradność“ i t. d. i ofuka szorstko: „czego to płakać — trzeba wszystko Bogu ofiarować, Bóg zasmuci, Bog pocieszy — Bóg może pani jeszcze wszystko odmienić“. — A no w takim po-dłem pomieszczeniu biedni ludziska muszą się przecież czemś pocieszać — *Mundus vult decipi...*

Zbliżamy się do Zawichosta, wyżyna z lewej strony znów przystępuje do Wisły, ale zbocza jej już są żółte prawie do samego dołu; od wody dzieli je tylko jakaś wązka smuga szara. Mijamy liczne tratwy, na których stoi strażnik austriacki z pobliskiej komory i załatwia jakieś formalności. Na niższej części wyżyny wznosi się Zawichost z dwoma kościołami; stajemy; u spodu zboczy występuje wapień i tu są jego łomy. Odtąd i brzeg prawy nieco się podwyższa,

spadając obrywami żyznej mady ku rzece; za nim ukazują się też krawędzie wyżyny Lubelskiej. Zbocza jej białą się, a nie żółcą, jak po stronie lewej, a wreszcie i po tej wapień, któryśmy widzieli pod Zawichostem na dole, wznosi się coraz wyżej, pozostawiając tylko na górnym rąbku zboczy pas żółty. Pod wsią Opoka zbliżamy się do białych zboczy prawych: tu są łomy wapienia, który ładują na galary. U góry zboczy widać wapienne warstwy poziome, u dołu — osypiska. Ten charakter brzeg prawy zachowuje i dalej, zbocza zaś brzegu lewego też bielejące, a razem szarzejące, ustępują na daleki plan.

Stajemy pod wsią Jakubowice (niedaleko Rachowa) po prawej z dymiącym kominem fabryki krochmalu. Dalej wyniosłości odsuwają się od obu brzegów daleko. Pod wsią Słupia lewe białe wapienne zbocza, pokrajane wąwozami, porośłe ciemnym lasem sosnowym, który miejscami zbiega prawie do samego poziomu wody, przypominają kredowe brzegi Rugii, uwieńczone ciemnymi lasami bukowemi. We wsi Wałowicach po stronie prawej widać malowniczy dwór na wzgórzu i gorzelnię; na grzbietach wyniosłości obu brzegów liczne wiatraki.

Gdy brzegi stają się jednostajne, nie zwracam na nie uwagi i siadam na ławce pokładu. Wpatrzony w srebrzystą, magnetyzującą falę, wsłuchany w jej szum usypiający, lekko przez nią kołyszany, chłodzony jej bryzgami i powiewiem wiatru, oddaję się kontemplacyi, tonę w zapomnieniu; chciałbym tak nawpół senny płynąć w nieskończoność bez myśli o przyszłości, bez wspomnień przeszłości. Ocknąwszy się, uczuwam żal, że podróż ma cel i kres.

Podjeżdżamy pod Józefów, prawe wysokie zbocza znów przystępują ku Wiśle; na nich widnieje rudera wspaniałej pańskiej rezydencji, sprzedanej żydom na materyał. *Sic transit...*

Dalej zamajaczyły przedemną na lewym brzegu jakieś zwaliska zamku — to Solec. Są to pierwsze zwaliska, jakie widziałem w latach dziecińczych, gdy rodzice moi, mieszkający w Lubelskiem, jeździli do krewnych w Radomskiem, przeprawiając się tutaj przez Wisłę. Z pobliskich Białobrzegów przyglądałem się wtedy tym białym ruinom, błyszczącym na tle fioletu wyżyn, owianym mgłą błękitnej dali. Teraz poznałem je: choć to tak dawno, niewiele się zmieniły. Tak i człowiek: raz zmieniony w ruinę przez gromy i burze życiowe, pozostaje już do końca jednakim: stawia zwycięsko czoło nowym burzom, bo wszystko, co słabe, kruche, zmienne, uległo już w nim zniszczeniu; to, co pozostało, posiada twardość głazu.

Pod samym Solcem, gdzie lewe wapienne zbocza spadają stromo, zerwał się silny wichur i lunął deszcz; ruiny znikły mi z oczu. Tutejsza stacya nie jest zbyt przyjemna dla wysiadających wśród ulewnego deszczu: jest to stacya tylko *de nomine*, bez najmniejszego schronienia.

Za Solcem lewe wyniosłości spłaszczają się i oddalają od rzeki. Ku Kazimierzowi zaczynają się wyłaniać wysokości od strony prawej i zbliżać do rzeki: potem zbliżają się i wyniosłości lewe; tym sposobem rzeka ulega ścieśnieniu z obu stron. Strona prawa jest bardziej malownicza, lesista, pożłobiona dolinami przez erozyę potoków; w jednej z dolin rozłożył się Kazimierz; na pobliskich wzgórzach wznoszą się zwa-

liska zamku, a na najwyższym przyładku, spadającym ku Wiśle, sterczy potężna, samotna baszta, patrząc niejako na widniejące po drugiej stronie Wisły zwaliska zamku Janowieckiego.

Stoją jeszcze te zamki, jak umysł wysoki,
 Co bity nieszczęściami, do tłumu nie spada,
 Opuszczone, z chmurnemi obcują obłoki,
 Lub z wiatrem, co się w murów szczeliny zakrada.
 Był czas, gdy jeszcze młode wznosiły się dumnie,
 Na ich szczytach sztandary, w dole bój rycerzy,
 Ale ci, co walczyli, śpią już w krwawej trumnie.

Pas nad Wisłą między Kazimierzem a Nową Aleksandryą, ścieśniony między rzeką i lasistemi zboczami wyżyny, zieleniejący sadami, przypomina swą malowniczością drogę z Krakowa do Bielan. Jest to nadwiślańska Riviera.

Statek z powodu deszczu pod Solcem nie przyzedł na czas do Nowej Aleksandryi, to jest nie zdążył na kolej Nadwiślańską, którą chciałem powrócić do Warszawy. Ale bywam uparty: nająłem konie i pogoniłem za koleją; nie było to znów tak wielkiem szaleństwem, bo kolej stoi w Iwanogrodzie półtorej godziny.

Droga z Nowej Aleksandryi do Iwanogrodu prowadzi szosą, której jednak znaczna część, podmyta przez Wisłę, zwała się, niestety, do wody; trzeba było tę część wymijać drogą okolną po piaskach przez las (nową szosę dopiero budowano). Dalej szosa prowadzi wzdłuż wysokiej grobli, która chroni bujne pola pszenicy i buraków na madzie wiślanej od zalewów. Przez Wieprz przeprawiliśmy się prymitywnym spo-

sobem, na promie łańcuchowym. Kolej dognałem i znaną już drogą powróciłem na czas do Warszawy.

We wstępie do mej podróży przeprosiłem nieprzyjaciół nauki za to, że tu i ówdzie wplotłem w mój opis kwestye naukowe; obecnie muszę z drugiej strony przeprosić niektórych naszych uczonych, którzy starannie oddzielają „plewy od ziarna“ i — wogóle wszystkich ludzi „poważnych“, „solidnych“, którzy nie lubią bezmyślnych psych figlów. A jestem do tego tembardziej zmuszony, że jeden taki poważny i solidny pan, jakiś „w głowie wążki“, wystosował do mnie z powodu mej podróży sążnisty list prywatny, w którym wyraził mi swe niezadowolenie i raczył udzielić nauki, jak należy pisać podróże. Ja — pisze mi ten pan, nie mam, panie dobrodzieju, czasu czytać głupstw, chcę od pisma rzeczy poważnych, pożytecznych, a pan zapełniasz kolumny „Głosu“ „łamańcami kuryerkowemi“ i napadasz na ludzi poważnych; przytem mieszasz pan rozmaite rzeczy naraz, zamiast, panie dobrodzieju, każdą traktować oddzielnie, pod osobną rubryką: wszak, gdy w sklepie kupuję towary, to zawijają mi osobno tabakę, osobno pieprz i t. d., bo inaczej łatwo się przecie człowiek może omylić i zamiast miłej tabaki wpakować do nosa pieprzu.

List ten wywarł na mnie głębokie wrażenie: cóż to za subtelne wnikięcie w duszę autora, co za *presence d'esprit*, o jakiej już wspominałem w początku mej podróży; jakie zrozumienie stosunków społecznych, co za znanstwo literatury podróźniczej, od

Humboldta i Richthofena z jednej, aż do Heinego i Słowackiego z drugiej strony!

Tak, tak, postaram się na przyszłość o poprawę. A jednak zdarza się czasem, iż rzecz, żartobliwa z pozoru, przetrwa rzeczy poważne: oto np. rzeczy poważne Erazma Rotterdamskiego mniej obecnie mają wartości, niż jego „Pochwała głupoty“, napisana dla rozrywki w podróży; ta rzecz żartobliwa zachowała dotąd swą wartość i zastosowanie. Bo też dotąd, jak za czasów Erazma, głupota ludzka prosperuje. Co najwyżej, do dzieła tego możnaby zrobić mały dodatek; dodać jedną więcej pochwałę, a raczej wyraz wdzięczności: głupota tak zwanych bliźnich jest jedynym jasnym promieniem, który choć przelotnie rozświeca smutek głęboki, trawiący człowieka dzisiejszego: tylko głupocie tej zawdzięcza on, że chwilami śmiech serdeczny rozchyła jego zaciśnięte usta.

Tak więc wytłómaczyłem się ze wszystkiego, wszystkich przeprosiłem i obiecałem poprawę; a u nas nigdy nie można tego czynić zanadto; wszakże u nas „dobrze myślący“ publicyści łamią sobie wciąż nad tem głowę, jakby wszystkim dogodzić i zaprowadzić w literaturze powszechną harmonię, pogodzić sprzeczne prądy, wytworzyć owoczy pęd, zaprowadzić miłość powszechną, zbliżyć do siebie literatów różnych tak zwanych obozów, stłumić polemiki itd. itd. Jeden z takich publicystów, p. Ciniselli, zdołał nawet taki ideał urzeczywistnić: zdołał on mianowicie usadowić na psie kota, na kocie mysz, a całą tę piramidę oparł na — świni, jako na najtrwalszym fundamencie harmonii. A więc harmonia — niech żyje nasza harmonia!

To też, gdy, jadąc już nocą, zobaczyłem w ciemności światła Warszawy, ucieszyłem się serdecznie — bo ja cię Kocham, o harmonijna Warszawo; ty z pewnością zrodzisz kiedyś Herkulesów, bo posiadasz — stajnie Augiasza.

Rzut oka w daleką przyszłość.



Jeżeli okiem geologa przebiegniemy dzieje naszej planety od czasów przypuszczalnej Laplasowej mgławicy aż do chwili obecnej, to przedstawi się nam ona równie znikomą, jak wszystkie minione— przedstawi się jako skutek przeobrażeń przeszłych, a zarazem jako podstawa przeobrażeń przyszłych. Przeniknąć przyszłość — to nieprzeparte pragnienie duszy, a zarazem wielkie zadanie nauki.

Uczeni rysują nam tę przyszłość planetarną w sposób bardzo niewesoły: ziemię ze wszystkim, co się na niej znajduje, czeka bezwarunkowo śmierć, wątpliwem może być tylko, jakiego ona będzie rodzaju, mamy bowiem dość bogaty wybór: więc ciepło ziemi uleci, ziemia wystygnie, woda i powietrze przenikną w jej skaliste wnętrze i glob nasz ze stanu planetarnego przejdzie w stan satelitowy; stanie się martwym, pustym jak obecnie nasz księżyc. Albo: słońce, lubo powoli, traci swe ciepło, coraz słabiej ogrzewać będzie ziemię; przyjdzie więc chwila, gdy „ostatni Eskimos pod równikiem zginie, marznąc przy słabym blasku lampy tranowej“. Wreszcie słońce pokryje się twardą skorupą, zagaśnie zupełnie i ziemia oraz inne planety krążyć będą „jak milezące, ciemne groby, około ciemnego słońca“. Nie dość na tem! — nastąpi czas, gdy wszelka energia we wszechświecie rozproszy się (entropia); nie będzie żadnego ruchu, żadnej wymiany; i nie tylko nasz system planetarny,

ale świat cały stanie się jednym wielkim omentarzem! — Czy tak, czy owak, po epoce naszej, antropozoi-
cznej, nastąpi epoka apozoiczna (pożyciowa).

Wprawdzie pocieszają nas tem, że to się stanie dopiero po lat milionach; że więc my osobiście możemy być spokojni; że nawet nie mamy się co troszczyć o bardzo długi szereg naszych potomków, którzy długo żyć będą szczęśliwie, nagromadzą wiele bogactw i wiele pięknych rzeczy zdiatają. Lecz dla człowieka, wybiegającego po za ciasną sferę codzienności i jednostkowego egoizmu; dla człowieka, czującego się ogniwem w nierozzerwalnym łańcuchu, wciąż postępującej, doskonalącej się ludzkości, „pociecha“ ta nie jest zaiste zbyt pocieszającą; nie zdoła ona uwolnić go od fatalnej, przynębiającej myśli o marności wszelkich usiłowań, znikomości wszelkich cywilizacyjnych zdobyczy, wszelkich udoskonaień duchowych: wszystko to znajdzie przecież bezpowrotny koniec w ogólnej śmierci wszechświata!

Wobec tego warto sobie postawić pytanie, czy wyrok, wypisany wyżej przez naukę, jest absolutnie nieodwołalny, czy też w powyższym wnioskowaniu nie pominięto czasem jakiegoś czynnika, który może wpłynąć modyfikująco na rezultat i wśród powszechnej śmierci utrzymać pierwiastek życia?—Sądzimy, że tak. A nie zamierzamy opierać się tu bynajmniej na stanowisku bujnej fantazyi lub gorących pragnień serca ludzkiego; nie: stajemy na naukowej podstawie ewolucyi. Powiadają nam, że ziemia umrze i że to się stanie dopiero za lat miliony; dobrze, ale zapytajmy teraz, czym stanie się przez ten czas istota myśląca i czująca; jakiej ulegnie ona zmianie pod

wpływem milionów lat ewolucji: w jakim stosunku stanie jej wciąż rosnąca potęga do potęg martwej przyrody? — Czy więc mamy prawo uważać powyższy wniosek o powszechnej śmierci za zupełnie pewny, gdy przy jego wyprowadzaniu nie wzięliśmy w rachubę tego, modyfikującego rzecz, czynnika, tej olbrzymiej i wciąż olbrzymiejącej potęgi?

Jakie rezultaty potęga ta będzie mogła sprowadzić, gdy na planecie naszej, choćby zmartwiałej, zimnej, ciemnej zabłyśnie słońce prawdy, zapłonie ciepło sprawiedliwości; gdy olbrzymie siły, zużywane dotąd na mordy, pożogi, na wzajemne wydzieranie sobie owoców swej pracy, na zmuszanie jednych, by myśleli i czuli jak drudzy, na gwałtowne tłumienie prawdy, zagłuszanie sprawiedliwości, na niewymowne cierpienia moralne, stąd wynikające — gdy wszystkie te siły, idące dziś na marne, lub na tworzenie zła, zwrócą się, i to wyolbrzymione milionami lat ewolucji, w zgodnym współdziałaniu całej ludzkości na walkę z martwą przyrodą? Czy jesteśmy w stanie dziś olbrzymie skutki tego obliczyć a choćby tylko je sobie wyobrazić? — Czy ludzkość taka, wyolbrzymiała, nie pokona martwoty przyrody, czy nie pokona śmierci samej? — Czy po epoce antropozoicznej zamiast obiecywanej a pozioicznej nie nastąpi raczej psychozoiczna?

Wyobraźmy sobie bowiem, że w odległej epoce geologicznej, przed nastaniem dzisiejszych klimatów słonecznych, gdy na całej ziemi panowała jednostajnie wysoka temperatura, że, powiadamy, żyjące w opoce tej zwierzęta zimnokrwiste mogłyby myśleć i wnioskować, na podstawie ówczesnych stosunków,

o przyszłości; to gdyby zdołały (np. na podstawie zmniejszenia się tarczy słońca) wywnioskować o nastąpieniu z czasem klimatów słonecznych z ich zmianami temperatury, spadającymi poniżej zera i wywołującymi krzepnięcie soków żywotnych, twierdziłyby z pewnością, że wtedy, t. j. z nastaniem klimatów słonecznych, nastąpi koniec życia lub przynajmniej, jego ograniczenie do wąskiego pasa równikowego. A jednak wiemy, że tak się nie stało, albowiem drogą ewolucji pojawiły się istoty, posiadające zdolność wytwarzania własnego ciepła, przeciwdziałającego zimnu zewnętrznemu. Wiemy też, że i ciemnościom organizmy potrafią stawić czoło: w ciemnych głębiach oceanu rozwinęły się istoty, wytwarzające własne światło, którym przyświecają sobie niby latarniami.

Czyż więc my, nauczeni doświadczeniem wieków, mamy jeszcze wnioskować tak, jak owi paleozoiczni zimnokrwieńscy myśliciele? Czyż, oparci na prawach ewolucji, nie możemy przypuścić raczej, że gdy nasze słońce — gdy wszystkie słońca zagasną; gdy energia ich się rozproszy; — że wówczas wśród zimnych i ciemnych przestworów wszechświata zabłyszczą słońca nowe, nowe skupienia energii — słońca myślące i czujące o woli tak potężnej, iż będą dowolnie koncentrowały w sobie potrzebne zapasy energii i dowolnie nią kierowały — istoty niezależne od otoczenia, lecz stwarzające sobie same otoczenie sztuczne, zależne od ich woli potężnej — istoty o tyle wzniezione nad nami, o ile myśmy stanęli wyżej ponad kambryjskie trylobity lub nawet ponad drzemiące zaczątki życia jakiegoś archaicznego eozoonu.

Tak więc, patrząc z wysokiego stanowiska ewolucji w nieskończoną otchłań przyszłości, dostrzegamy tam nie rozpaczliwe mroki wiecznej śmierci, lecz żywiące blaski wiecznego i wciąż potężniejszego — życia!



TREŚĆ:

	str.
Od Autora	1
Natura i siła	5
Forpoczty ewolucji psychicznej i troglodyci	35
Z powodu Forpoczt	91
Reakcja i ewolucja	98
Przeduchowiona	105
Nietzsche i Nietzscheanizm	134
Amiel a Nietzsche	140
Poszukiwanie utraconego ojca	143
„Chimera“ wobec ewolucji	146
Skandale jako czynniki ewolucji	156
„Et Haec Meminisse Juvabit“	166
Evoo! Jak ci bogowie na sposoby biorą się!	172
Dzikie pretensje	186
Wyjaśnienie	191
Trzeba mieć metodę	193
Epizod z rugów polskich	208
Początki dziedzicznego obarczenia ludzkości	235
Z dziejów miłości chrześcijańskiej	251
Nie tędy droga, szanowny panie!	256
Kopnięcie umierającego lwa	274
List dra Hertza	285
Odpowiedź drowi Hertzowi	288
Z powodu życiorysu Darwina	294
Z powodu estetyki Guyau	300
Z powodu odczytów o życiu	307
Filozofia praktyczna czyli etyka pastorska	312

	str.
Warszawski Hegel czyli czarna niewdzięczność	323
Socjologia lecznicza	327
Odpowiedź dra Chodeckiego	333
Odpowiedź drowi Chodeckiemu	339
Swojski piasek	348
Kiepska służba	356
Zaściankowa oryginalność	359
Cnotliwa rodzina	365
Z przedwczesnych mogił	373
„Bóg zasmuci. Bóg pocieszy“	375
O sprawiedliwość	378
Bezstronny głos w sprawie żydowskiej	388
Wspomnienia krakowskiego studenta	393
Echa: Badanie kraju metodą swojską. — Swojski pogromca Darwina. — Warszawski Skotinin. — Sympatyje hiszpańskie. — Wietrzenie niereligijności. — Emetyk literacki — Naganka moralistów na Zolę. — Zbyteczne zdziwienie. — Chaos chaotyczny i chaos niechaotyczny.	417
Ucieczka na łono natury (Wrażenia i refleksye)	430
Rzut oka w daleką przyszłość	506



90. —
10781/3205 —

34423